

CHARLES DE GAULLE

PAMIĘTNIKI WOJENNE
1940 – 1941

EDYCJA KOMPUTEROWA: WWW.ZRODLA.HISTORYCZNE.PRIV.PL

MAIL TO: HISTORIAN@Z.PL



MMIII©

NA RÓWNI POCHYLEJ

W ciągu całego mego życia noszę w duchu pewien obraz Francji. Dyktuje mi go zarówno uczucie, jak rozum. Słuchając głosu serca wyobrażam sobie, że Francja, niby księżniczka z bajki lub madonna z fresków ściennych, przeznaczona jest do wzniosłych i niezwykłych losów. Instynkt każe mi wierzyć, że Opatrzność stworzyła Francję do niedościgłych sukcesów lub bezprzykładnych nieszczęść. Jeżeli zdarza się jednak, że jej poczynania stoją pod znakiem przeciętności, odczuwam to jako absurdalną anomalię, za którą winę ponoszą błędy Francuzów, a nie geniusz Ojczyzny. Ale i rozum, realistyczne spojrzenie na rzeczy, mówi mi, że Francja tylko wówczas jest sobą, gdy znajduje się na pierwszym planie, że tylko wielkie poczynania są w stanie skompensować cechujące naród francuski skłonności do rozdrabniania swych sił i że kraj nasz, taki jaki jest w rzeczywistości wśród innych krajów, powinien pod grozą śmiertelnego niebezpieczeństwa mierzyć wysoko i nigdy nie ugiąć kolan. Słowem, w moim przekonaniu Francja nie może być Francją, gdy jest pozbawiona wielkości.

Wiara ta rosła we mnie, w miarę jak sam dorastałem w środowisku, w którym się urodziłem. Mój ojciec, człowiek myślący, kulturalny, hołdujący tradycji, był przepojony poczuciem godności Francji. To on pierwszy objawił mi jej historię. Matka żywiła dla ojczyzny bezgraniczną miłość, równie bezkompromisową, jak jej głęboka pobożność. Dla moich trzech braci, siostry i dla mnie samego duma z naszego kraju, połączona z uczuciem niepokoju o jego przyszłe losy, stała się niejako druga naturą. Dla mnie, małego chłopca z Lilie dorastającego w murach Paryża, nie było nic bardziej wstrząsającego nad symbole naszej chwały: katedra Notre-Dame w mrokach zapadającej nocy, Wersal w majestacie wieczoru, Łuk Tryumfalny skąpany w blaskach słońca, zdobyczne sztandary szeleszczące pod sklepieniem Inwalidów. Nic nie robiło na mnie większego wrażenia niż przejawy naszych sukcesów na-

rodowych: entuzjazm tłumu przy przejeździe cara Rosji, rewia wojskowa w Longchamps, cuda wystawy światowej, pierwsze loty naszych lotników. Nic mnie bardziej nie smuciło niż nasze słabości i błędy, które jako dziecko wyczytywałem z wyrazu twarzy otaczających mnie osób i z zasłyszanych słów: opuszczenie Faszody, sprawa Dreyfusa, konflikty społeczne, właśnie religijne. Nic wreszcie nie przejmowało mnie większym wzruszeniem niż opowiadania o naszych dawnych nieszczęściach, kiedy to ojciec wspominał o daremnych wypadach naszych wojsk z Bourget i Stains, gdzie został raniony, lub matka mówiła o owej straszliwej rozpacz, w jaką wpadła jako młoda dziewczyna na widok swych rodziców zalewających się Izami na wiadomość o kapitulacji Bazaine'a.

W latach mej wczesnej młodości wszystko, co łączyło się z losami Francji, obojętnie, czy chodziło o wydarzenia historyczne, czy o wypadki aktualnego życia publicznego, interesowało mnie nade wszystko. Dramat, rozgrywający się bez przerwy na widowni, pociągał mnie, a zarazem i oburzał. Olśniewała mnie inteligencja, żarliwość, wymowa wielu występujących w nim aktorów, zasmucał zaś fakt, iż tyle talentów marnuje się w chaosie politycznym i niesnaskach narodowych. Tym bardziej że na początku naszego stulecia ukazywały się pierwsze zwiastuny wojny. Muszę przyznać, że w latach najwcześniejszej młodości wojna, ta nieznana przygoda, nie budziła we mnie odrazy, że raczej z góry ją gloryfikowałem. Słowem, nie wątpiłem, że Francja będzie musiała przeżyć gigantyczne próby, i całą wartość życia widziałem w tym, by móc pewnego dnia wyświadczyć jej jakąś wielką przysługę. Wierzyłem, że będę miał okazję do tego.

Gdy wstąpiłem do wojska, armia francuska była jedną z najwspanialszych rzeczy na świecie. W ogniu krytyki i obelg, których jej nie szczędzono, czekała spokojnie, a nawet z pewną ukrytą nadzieją, na dni, kiedy wszystko będzie od niej zależeć. Po ukończeniu Saint-Cyr rozpocząłem w 33 pułku piechoty w Arras służbę oficerską. Mój pierwszy dowódca pułku Pétain pokazał mi wówczas, co wart jest dar i sztuka dowodzenia. Później, gdy unoszony huraganem wojny przebyłem wszystkie jej dramatyczne etapy — chrzest bojowy, kalwarię okopów, ataki, bombardowania, rany, niewolę — widziałem, jak Francja, którą zmniejszony przyrost naturalny, czcze ideologie oraz zaniedbania rządu pozbawiły części środków potrzebnych do obrony, zdobyła się mimo wszystko na nieprawdopodobny wysiłek, jak sama kosztem bezmiernych ofiar zdołała zastąpić wszystko, czego jej brakowało, i jak zwycięsko wyszła z tej próby. Byłem świad-

kiem, jak w najkrytyczniejszych dniach zespoliła się moralnie najpierw pod egidą Joffre'a, a przy końcu pod niezłomnym kierownictwem Clemenceau — „Tygrysa”. Widziałem następnie, jak wycieńczona stratami i zniszczeniami, wstrząśnięta do podstaw w swej strukturze społecznej i zachwiana w równowadze moralnej, niepewnym krokiem podjęła znowu drogę ku swemu przeznaczeniu, podczas gdy reżim stopniowo przybierał swe dawne oblicze i odwracając się od ideałów Clemenceau odrzucał wielkość i znowu pogrążał się w zamęcie.

W ciągu następnych lat w swej karierze przebywałem różne etapy: misję i kampanię w Polsce, profesurę historii w Saint - Cyr, szkołę wojenną, służbę w gabinecie marszałka Pétaina, dowództwo 19 batalionu strzelców w Trêves, służbę sztabową nad Renem i na Bliskim Wschodzie. Wszędzie stwierdzałem, jak nasze niedawne sukcesy przywróciły Francji utracony prestiż, a jednocześnie jak niekonsekwencja jej kierowników budziła niepokój o przyszłość. Na razie znajdowałem w zawodzie wojskowym ogromne zainteresowanie, jakie budzi on w umyśle i sercu. W armii czasu pokoju widziałem instrument wielkich akcji w niedalekiej przyszłości.

Było jasne, że zakończenie wojny nie zapewniło pokoju. Niemcy, w miarę jak odzyskiwały siły, powracały do swych dawnych roszczeń. Podczas gdy Rosja odosobniła się w swej rewolucji, Ameryka trzymała się z dala od Europy, Anglia oszczędzała Berlin, aby Paryż musiał szukać jej pomocy, a nowo powstałe państwa pozostawały słabe i skłócone — zadanie powstrzymania Reichu spoczywało jedynie i wyłącznie na Francji. Francja istotnie starała się spełnić to zadanie, ale w jej usiłowaniach nie było ciągłości. Z początku nasza polityka pod kierownictwem Poincarégo stosowała metody przymusu, potem, z inicjatywy Brianda, usiłowała wkroczyć na drogę pojednania i wreszcie zaczęła szukać ocalenia w Lidze Narodów. Tymczasem Niemcy stawały się coraz większą groźbą. Hitler zbliżał się do władzy.

W tym okresie od 1932 do 1937 roku byłem przydzielony do Generalnego Sekretariatu Obrony Narodowej — stałego organu przy prezesie rady ministrów zarządzającego sprawami przygotowania państwa i całego narodu do wojny. Pod czternastoma gabinetami stykałem się z całą działalnością polityczną, techniczną i administracyjną dotyczącą obrony kraju. W szczególności znałem plany bezpieczeństwa i ograniczenia zbrojeń przedstawiane kolejno w Genewie przez André Tardieu i Paul-Boncoura; dostarczyłem gabinetowi Doumergue'a elementy powziętej przezeń decyzji, gdy postanowił obrać inną drogę po dojściu do władzy fuhrera; musiałem niezliczone razy przerabiać pro-

jekt ustawy o organizacji państwa w czasie wojny. Zajmowałem się zarządzeniami, których wymagała mobilizacja administracji cywilnej, przemysłu i organów komunalnych. Rodzaj wykonywanych przeze mnie funkcji, obrady, w których brałem udział, kontakty, które musiałem nawiązać, ukazały mi całe bogactwo naszych zasobów, ale zarazem i cała słabość państwa.

W dziedzinie tej bowiem skutki nietrwałości rządów ujawniały się w całej pełni. Nie chcą przez to powiedzieć, jakoby ludziom wchodzącym w skład kolejnych gabinetów brakowało inteligencji i patriotyzmu. Przeciwnie, widziałem, jak na czele poszczególnych ministerstw stawiali ludzie niewątpliwie wartościowi, niekiedy nawet wybitni. Ale tryby reżimu zużywały ich siły i paraliżowały wolę. Jako powściągliwy, ale namiętny obserwator spraw publicznych widziałem, jak ciągle powtarzał się jeden i ten sam scenariusz. Każdy nowy premier bezpośrednio po objęciu władzy spotykał się od razu z niezliczonymi żądaniami, krytyką, z licytowaniem się pretendentów do władzy i zużywał całą swą energię na to, by pokrzyżować te manewry, których jednak nie był w stanie opanować. Parlament nie tylko mu nie pomagał, lecz szykował sanie pułapki i zdrady. Ministrowie, którym przewodził, byli jego rywalami. Opinia publiczna, prasa, poszczególne ugrupowania reprezentujące te lub inne interesy zwały na niego winę za każde niepowodzenie. Wszyscy zresztą wiedzieli — a on sam lepiej niż ktokolwiek inny — że swój urząd szefa rządu piastować będzie niedługo. Ludziom odpowiedzialnym za obronę narodową tego rodzaju warunki uniemożliwiały realizowanie jakiegokolwiek ciągłego planu, podejmowanie dojrzałych decyzji, przeprowadzenie do końca rozpoczętych akcji — słowem wszystko to, co zwykło się nazywać polityką.

To było powodem, że koła wojskowe, którym państwo dawało tylko sporadyczne i sprzeczne bodźce do poszukiwania nowych dróg rozwoju, zasklepiały się w rutyniarstwie. Armia zastygła w tych samych koncepcjach, których trzymała się jeszcze przed zakończeniem pierwszej wojny światowej. A trzymała się ich teraz tym bardziej, że jej dowódcy starzejąc się na swych stanowiskach hołdowali wciąż tym samym poglądom, które ich niegdyś przywiodły do sławy.

Toteż idea ciągłego, stałego frontu stanowiła podstawę strategii, którą zamierzano stosować w razie wybuchu nowego konfliktu zbrojnego. Organizacja, szkolenie, zbrojenie — cała doktryna wojenna wywodziła się z idei wojny pozycyjnej. Było rzeczą uzgodnioną, że w razie wojny Francja zmobilizuje gros swych rezerw i stworzy możliwie jak największą liczbę dywizji, przeznaczonych jednak nie do tego, by manewrować, atakować,

rozwijać sukcesy, lecz do tego, by trzymać odcinki frontu. Dywizje te miały zająć pozycje wzdłuż granicy francuskiej i belgijskiej — Belgia była w owym czasie naszym sojusznikiem — i czekać na ofensywę przeciwnika.

Jeżeli chodzi o takie środki, jak czołgi, samoloty, działa zmotoryzowane o okrężnym ostrzale, które w ostatnich bitwach wykazały, że, umożliwiając zaskoczenie i przełamanie frontu, a których siła odtąd nieustannie wzrastała, to zamierzano ich użyć dla wzmocnienia frontu lub w razie potrzeby odtworzenia go za pomocą lokalnych kontrataków. W związku z tym ustalono typy broni: powolne czołgi, uzbrojone w lekkie działa małokalibrowe, przeznaczone do towarzyszenia piechocie, a nie do działań szybkich i samodzielnych; samoloty myśliwskie dla obrony w powietrzu, poza którymi lotnictwo miało niewiele tylko bombowców i ani jednego samolotu szturmowego; działa artyleryjskie przysposobione do strzelania z pozycji stałych o wąskim polu ostrzału, a nie do ruchu w każdym terenie i ognia w każdym kierunku. Ponadto front był z góry wytyczony przez umocnienia linii Maginota przedłużonej o fortyfikacje belgijskie.

Naród pod bronią miał się więc ukryć za barierą linii Maginota i pod jej osłoną czekać, aż oblężenie wyczerpie siły przeciwnika, a napór wolnego świata powali go na kolana.

Tego rodzaju koncepcja wojny była zgodna z duchem reżimu. Skazany przez słabość władzy i właśnie polityczne na stagnację, z natury rzeczy opowiadał się za tą na wskroś statyczną doktryną. Skądinąd to uspokajające panaceum tak dalece odpowiadało nastrojom panującym w kraju, że ktokolwiek ubiegał się o mandat w wyborach, o aplauz i sukcesy publicystyczne, uznawał je z góry za słuszne. Opinia publiczna oddawała się złudzeniu, że wypowiadając wojnę wojnie można przeszkodzić agresywnym czynnikom w rozpętaniu nowego konfliktu zbrojnego. Mając jeszcze w pamięci wiele niszczycielskich ataków z okresu pierwszej wojny światowej i nie orientując się w rewolucji, jakiej w siłach zbrojnych dokonał od tego czasu silnik, nie brano w ogóle pod uwagę możliwości działań zaczepnych. Słowem, wszystko składało się na to, aby uczynić z bierności dominującą zasadę naszej obrony narodowej.

Mnie osobiście tego rodzaju orientacja wydawała się w najwyższym stopniu niebezpieczna. Z punktu widzenia strategicznego oddawała ona całą inicjatywę w ręce przeciwnika. Z punktu widzenia politycznego sami, głosząc wszem wobec, że jesteśmy zdecydowani nie wyprowadzać naszych wojsk poza granice Francji, zachęcaliśmy Niemcy do wystąpienia przeciwko ich słabszym i izolowanym przez to sąsiadom: Zagłębiu Saary, Nadrenii,

Austrii, Czechosłowacji, krajom bałtyckim, Polsce itd. Uważałem, iż tym samym odstręczamy Rosję od sojuszu z nami i dajemy do zrozumienia Włochom, iż mogą liczyć na to, że cokolwiek by uczynili, nie spotkają się z naszej strony z odporem, który by udaremnił ich agresywne zamiary. Wreszcie, z moralnego punktu widzenia, wydawało mi się rzeczą haniebną wytwarzać w społeczeństwie francuskim wrażenie, jakoby ewentualna wojna miała dla Francji polegać na tym, żeby się jak najmniej bić.

Prawdę mówiąc, filozofia czynu, urabianie i użycie armii przez państwo i zagadnienie stosunków między rządem a dowództwem wojskowym interesowały mnie od dawna. Swoje poglądy w tej materii wypowiedziałem już w kilku publikacjach: „La discorde chez l'ennemi” („Nieporozumienia w obozie nieprzyjaciela”), „Le fil de l'épée” („Na ostrzu miecza”) oraz w pewnej liczbie artykułów prasowych. Wygłosiłem także szereg odczytów publicznych, np. w Sorbonie, o prowadzeniu wojny.

W styczniu 1933 roku Hitler doszedł do władzy w Niemczech. Odtąd sprawy musiały się siłą rzeczy potoczyć w zawrotnym tempie. Skoro nikt nie zgłaszał żadnych propozycji, które odpowiadałyby sytuacji, uważałem za swój obowiązek wystąpić wobec opinii publicznej z własnym projektem. Ponieważ mogło to jednak mieć poważne następstwa, musiałem liczyć się z tym, że pewnego dnia znajdę się w centrum zainteresowania opinii publicznej. Po dwudziestu pięciu latach przeżytych pod rygorem przepisów wojskowych niełatwo mi było się na to zdecydować.

Swój plan i poglądy ująłem w książce pt.: „Vers l'armée de métier” („Ku armii zawodowej”). Proponowałem natychmiastowe utworzenie manewrowej armii uderzeniowej, sformowanej z doborowych wojsk pancernych i zmechanizowanych, uzupełniającej związki formowane w drodze mobilizacji. Po raz pierwszy poruszyłem ten temat w 1933 roku w artykule ogłoszonym w „Revue politique et parlementaire”. Na wiosnę 1934 roku ukazała się moja książka, która przedstawiała zarówno samą koncepcję tego rodzaju armii, jak i przyczyny przemawiające za tym, by ją sobie zapewnić.

Skąd potrzeba tego rodzaju armii? Omawiając na wstępie sprawę bezpieczeństwa Francji wskazywałem przede wszystkim na to, że warunki geograficzne sprzyjają inwazji na nasze terytorium od północy i północnego wschodu, że charakter narodu niemieckiego z jego skłonnością do niepomiarnych roszczeń pcha go na zachód wytyczając mu kierunek na Paryż przez Belgię, że wreszcie charakter narodu francuskiego przy wybuchu każdej wojny naraża go na zaskoczenie. Wszystko to, podkreślałem, na-

wadzić do akcji daleko przed czołgami towarzyszącymi piechocie. W tym celu pod koniec 1918 roku fabryki nasze zaczęły wypuszczać olbrzymie 60-tonowe czołgi. Zawieszenie broni zatrzymało jednak tę produkcję, teorię zaś sprowadziło do formuły „działania ogólnego” uzupełniającej formułę „towarzyszenia”. Anglicy, którzy w dziedzinie użycia czołgów odegrali pionierską rolę wprowadzając w 1917 roku pod Cambrai korpus pancerny *Royal Tank Corps* do zmasowanego działania na dużą głębokość, trwali w dalszym ciągu przy koncepcji samodzielnej walki oddziałów pancernych, koncepcji, której protagonistami byli generał Fuller i Liddell Hart. We Francji w 1933 roku dowództwo zebrało w obozie Suippes rozproszone elementy wojsk pancernych i podjęło pierwszą próbę utworzenia zaczątku dywizji lekkiej do celów osłony i rozpoznania.

Inni widzieli jeszcze szersze horyzonty. Generał von Seeckt w swej pracy „Myśli żołnierza” wydanej w 1929 roku wskazywał na możliwości, jakie doborowa armia — miał na myśli 100-tysięczną Reichswehrę z długoterminowym okresem służby — miałyby w stosunku do słabo zespolonych mas, tzn. w jego rozumieniu mas Francuzów. Włoski generał Douhet obliczając skutki, jakie można osiągnąć bombardowaniem powietrznym ośrodków przemysłowych i skupisk ludzkich, uważał, że armia lotnicza może sama przez się zdecydować o wyniku wojny. Wreszcie „plan maksimum”, którego Paul-Boncour w 1932 roku bronił w Genewie, przewidywał wyposażenie Ligi Narodów w armię zawodową rozporządzającą wszystkimi czołgami i wszystkimi samolotami w Europie i mającą za zadanie zapewnić bezpieczeństwo zbiorowe. Mój plan zmierzał do tego, aby z tych fragmentarycznych, lecz w istocie zbieżnych koncepcji zbudować pewną całość w interesie Francji.

Książka moja „Vers l'armée de métier” początkowo spotkała się z pewnym zainteresowaniem, ale bynajmniej nie wstrząsnęła opinią publiczną. Dopóki uważano, że roztrząsa ona jedynie myśli, z których władze wojskowe zrobią użytek według własnego uznania, dopatrywano się w niej pewnej nowej, oryginalnej teorii. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że mogą one spowodować zmianę całej naszej organizacji wojskowej. Gdybym miał wrażenie, że nic nie nagli do pośpiechu, mógłbym się wtedy ograniczyć do wysunięcia swej tezy w gronie specjalistów licząc na to, że rozwój wydarzeń przyjdzie mi z pomocą i że w końcu moje argumenty osiągną zamierzony cel. Ale Hitler nie czekał.

Już w październiku 1933 roku zerwał z Ligą Narodów i sa-

mowolnie proklamował swe prawo do pełnej swobody działania w dziedzinie zbrojeń. W latach 1934 i 1935 Trzecia Rzesza rozwinęła ogromny wysiłek na polu produkcji zbrojeniowej i poboru żołnierza. Rząd narodowosocjalistyczny otwarcie głosił, iż jest zdecydowany złamać Traktat Wersalski i zdobyć sobie „przestrzeń życiową” — *Lebensraum*. Polityka ta wymagała ofensywnego aparatu wojskowego. Zapewne, Hitler przygotowywał masowy pobór rekruta. Wkrótce po dojściu do władzy wprowadził „służbę pracy”, a następnie powszechny obowiązek służby wojskowej. Ale ponadto potrzebna mu była armia inwazyjna w celu przecięcia węzłów gordyjskich w Moguncji i Wiedniu, w Pradze i Warszawie, jak również po to, aby ostrym grotem lancy germańskiej uderzyć w samo serce Francji.

Dla ludzi dobrze poinformowanych nie było zresztą tajemnicą, że Hitler jest zdecydowany wychować nową armię niemiecką w duchu swej ideologii, że chętnie użycza ucha oficerom zgrupowanym niegdyś wokół generała von Seeckta, którzy jak Keitel, Rundstedt i Guderian, będąc zwolennikami manewru, szybkości i wysokiego poziomu wyszkolenia wojsk, stawiali wskutek tego na siły zmechanizowane, że wreszcie dzieląc teorie Goeringa dąży do stworzenia lotnictwa mogącego ściśle współdziałać z wojskami naziemnymi. Wkrótce zostałem poinformowany, że Hitler kazał sobie zreferować mą książkę, która zwróciła uwagę jego doradców. W listopadzie 1934 roku dowiedziano się, że Rzesza sformowała pierwsze trzy dywizje pancerne. Ogłoszona w tym czasie praca pułkownika Nehringa, ze sztabu generalnego Wehrmachtu, podawała, że będą one miały skład niemal identyczny z tym, jaki ja proponowałem dla naszych przyszłych dywizji pancernych. W marcu 1935 roku Goering oznajmił, że Rzesza jest w toku tworzenia potężnej armii powietrznej obejmującej, poza wieloma myśliwcami, liczne bombowce i silne lotnictwo szturmowe. Mimo że każdy z tych kroków stanowił jaskrawe pogwałcenie traktatów, wolny świat ograniczył się jedynie do przeciwstawienia im platonicznych protestów Ligi Narodów.

Nie mogłem patrzeć obojętnie na to, jak nasz przyszły przeciwnik tworzy środki zwycięstwa, gdy tymczasem Francja była ich nadal pozbawiona. Jednakowoż przy nieprawdopodobnej apatii, w jakiej pogrążył się naród francuski, nie podniósł się żaden autorytatywny głos, aby żądać zrobienia tego, co było potrzebne. Stawka była tak wielka, że uważałem, iż jakkolwiek skromne było moje stanowisko, a moje nazwisko mało znane, nie mam prawa milczeć. Odpowiedzialność za obronę narodową spo-

czywała na kierownictwie władzy państwowej. Na ten więc teren postanowiłem przenieść dyskusję.

Zawarłem nasamprzód przymierze z André Pironneau, naczelnym redaktorem „Écho de Paris”, a następnie dyrektorem „L'Époque”. Podjął się *on* zadania, "by propagować projekt stworzenia zmechanizowanej armii i nie dawać w tej sprawie spokoju rządowi stale przypominając mu o niej na łamach wielkiego organu prasowego. Łącząc tę kampanię z bieżącą problematyką André Pironneau ogłosił ogółem czterdzieści artykułów wstępnych, dzięki którym temat stał się ogólnie znany. Za każdym razem, gdy pod wpływem aktualnych wydarzeń uwaga opinii publicznej zwracała się ku problemom obrony narodowej, mój przyjaciel i współpracownik wykazywał w swym dzienniku konieczność stworzenia specjalnej armii uderzeniowej. Ponieważ wiadano, że w dziedzinie zbrojeń główny wysiłek Niemiec zmierza ku stworzeniu środków uderzenia i szybkiego rozwinięcia sukcesu, Pironneau bił na alarm, natrafiając jednak prawie wszędzie na mur obojętności. Udowadniał, powracając do tego chyba ze dwadzieścia razy, że masa niemieckich wojsk pancernych wspieranych przez lotnictwo może zupełnie niespodzianie zmieść cały nasz system obrony i wywołać w społeczeństwie francuskim panikę, której już nic nie zdoła opanować.

Podczas gdy André Pironneau prowadził tę pożyteczną akcję, inni dziennikarze i krytycy wojskowi stawiali przynajmniej samo zagadnienie, jak Rémy Roure i generał Baratier w „Le Temps”, Pierre Bourget oraz generałowie de Cugnac i Duval w „Journal des Débats”, Emil Buré i Charles Giron w „L' Ordre”, André Lecomte w „L'Aube”, pułkownik Emil Mayer, Lucien Nachin, Jean Auburtin w różnych czasopismach itd. Jednakowoż istniejący stan rzeczy stanowił zbyt silną barierę, by można ją było skutecznie przełamać uderzeniem samej tylko prasy. Należało wnieść problem na forum kierowniczych instancji politycznych kraju.

Wydawało mi się, że Paul Reynaud idealnie nadaje się do spełnienia tego zadania. Miał dostatecznie szerokie horyzonty, by ogarnąć jego powody, dosyć talentu, by wykazać znaczenie tego problemu, oraz dosyć odwagi, aby go bronić. Poza tym mimo rozgłosu, jakim już wtedy się cieszył, odnosiło się wrażenie, że jest człowiekiem, który właściwą swą karierę ma jeszcze przed sobą. Odbyłem więc z nim rozmowę, przekonałem go o słuszności sprawy i odtąd pracowaliśmy razem.

15 marca Reynaud wygłosił z trybuny Izby Deputowanych porywające przemówienie wykazując, dlaczego i w jaki sposób

należy naszą organizację wojskową uzupełnić wysoko kwalifikowaną armią zmechanizowaną. Gdy zaś wkrótce potem rząd domagał się uchwalenia ustawy o dwuletniej służbie wojskowej, Paul Reynaud wyrażając zgodę na ten postulat wniósł jednocześnie projekt ustawy przewidującej „natychmiastowe utworzenie armii specjalnej w składzie sześciu dywizji liniowych, jednej dywizji lekkiej, odwodów ogólnych i służb, sformowanej z żołnierzy i oficerów służących na warunkach kontraktowych, z tym że powinna ona być wystawiona i całkowicie gotowa najpóźniej do 15 kwietnia 1940 roku". W ciągu trzech lat Paul Reynaud konsekwentnie bronił swego stanowiska zarówno w szeregu przemówień w Izbie, które poruszyły nasze parlamentarne podwórko, jak i w książce pt. „Le problème militaire français" („Francuski problem wojskowy"), w szeregu stanowczych artykułów i wywiadów i wreszcie w rozmowach prowadzonych na ten temat z wybitnymi przedstawicielami sfer politycznych i wojskowych. Występował więc w roli męża stanu, który jako nowator i dzięki swemu zdecydowanemu stanowisku z natury rzeczy predestynowany był do objęcia władzy w razie poważnych trudności.

Ponieważ uważałem za pożądane, aby tę samą melodię grały różne instrumenty, starałem się pozyskać dla sprawy również innych działaczy politycznych. Szlachetnym jej orędownikiem stał się Le Cour Grandmaison, którego w projekcie armii zawodowej pociągało wszystko to, co odpowiadało naszym tradycjom wojskowym. Trzech deputowanych z lewicy: Philippe Serre, Marcel Déat i Léo Lagrange, których talent nadawał się do uwypuklenia rewolucyjnej strony projektowanej innowacji, zgodzili się wstąpić w szranki. Pierwszy z nich uczynił to w formie tak znakomitej, że zyskał reputację wielkiego mówcy i wkrótce wszedł w skład gabinetu. Drugi, na którego talenty szczególnie liczyłem, został po swej porażce w wyborach 1936 roku wciągnięty do obozu przeciwnego. Trzeciemu wreszcie partia, której był członkiem, przeszkodziła w zaimplementowaniu swych poglądów. Wkrótce jednak ludzie tak wybitni, jak Paul-Boncour w Izbie Deputowanych i prezydent Millerand w Senacie dali mi do zrozumienia, że i oni popierają reformę.

Tymczasem czynniki oficjalne i popierające je organy prasowe, zamiast uznać oczywistą konieczność reformy, zgodzić się na jej przeprowadzenie i zastrzec sobie tylko ostateczne sformułowania oraz sposób wcielenia jej w życie, kurczowo trzymały się istniejącego systemu. Czyniły to niestety w sposób tak kategoryczny, że same zamknęły sobie drogę odwrotu. Aby zdyskredytować ideę elitarniej armii zmechanizowanej, starano się ją przed-

stawić w wypaczonej postaci. Aby zakwestionować ewolucję techniczną, negowano samą jej potrzebę. Aby oprzeć się przekonywającej wymowie wydarzeń, udawano, że się ich nie widzi. Mogłem się na tym przykładzie przekonać, że ilekroć starcie się ze sobą różnych idei stawia pod znakiem zapytania uświęcone przez tradycję metody i słuszość ludzi znajdujących się u władzy, dyskusja nabiera nieprzejednanego charakteru sporów teologicznych.

Generał Debeney, słynny dowódca armii w pierwszej wojnie światowej, który w 1927 roku jako szef sztabu generalnego opracował ustawy o organizacji naszych sił zbrojnych, zdecydowanie potępił mój projekt. Ogłosił on w „Revue des Deux Mondes” artykuł, w którym wywodził w sposób autorytatywny, iż każdy konflikt zbrojny w Europie będzie koniec końców rozstrzygnięty na północno-wschodniej granicy Francji i że całe zagadnienie polega na tym, aby mocno bronić tej granicy. Nie ma więc żadnego powodu do wprowadzenia jakichkolwiek zmian w istniejących zasadach i praktyce, trzeba tylko wzmocnić system, który się na nich opiera. Z kolei w tym samym miesięczniku zabrał głos generał Weygand. Zakładając z góry, że moja koncepcja prowadzi do podziału armii na dwie części, kategorycznie przeciw temu protestował: „Dwie armie? Do tego pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić!” Nie przeczył, że rola, którą wyznaczałem specjalnej armii zmechanizowanej, jest interesująca, twierdził jednak, że mogą ją z powodzeniem spełnić istniejące już związki. „Posiadamy — pisał — rezerwę zmechanizowaną, zmotoryzowaną i konną. Niczego nie trzeba dopiero tworzyć, wszystko już istnieje.” Jeszcze 4 lipca 1939 roku generał Weygand przemawiając w Lille ponownie oświadczył, że jego zdaniem nic nam nie brakuje.

Marszałek Pétain również uznał za stosowne zabrać głos w dyskusji. Uczynił to w przedmowie do książki generała Chauvineau pod tytułem: „Czy inwazja jest jeszcze możliwa?” udowadniając, że czołgi i samoloty nie zmieniają charakteru wojny i że głównym elementem bezpieczeństwa Francji jest ciągły, umocniony front. Dziennik „Figaro” zamieścił serię uspokajających artykułów Jean Rivièrę’a: „Czołgi nie są niezwyciężone”, „Słabość czołgów”, „Gdy politycy schodzą na manowce” itd. W miesięczniku „Mercure de France” pewien generał podpisujący się trzema gwiazdkami odrzucał samą zasadę motoryzacji. „Niemcy — oświadczał — będąc z natury nastawione na działania zaczepne muszą oczywiście posiadać swe *Panzerdivisionen*. Ale Francja, pokojowa i nastawiona wyłącznie na obronę, może być tylko przeciwniczką motoryzacji.”

Inni krytycy usiłowali ośmieszyć mój projekt. Komentator wojskowy pewnego wielkiego miesięcznika literackiego pisał: „Trudno wprost, choćbyśmy tego pragnęli, utrzymać się w granicach kurtuazji przy ocenianiu pomysłu, który graniczy z szaleństwem. Powiedzmy po prostu, że pana de Gaulle'a ubiegł już przed wielu laty Ubu-król. Był to również wielki taktyk o nowoczesnych poglądach. Gdy powrócimy z Polski — pisał — wymyślimy przy pomocy naszej znajomości fizyki maszyną z wiatrakiem, którą przewozić będziemy całe armie.”

Nie mniej negatywnie niż konserwatyści ustosunkowali się do mego projektu przedstawiciele obozu postępu. Leon Blum w listopadzie i grudniu 1934 roku na łamach „Le Populaire” oświadczył bez obłonek, że plan mój budzi w nim odrazę i niepokój. W kilku artykułach zatytułowanych: „Żołnierze zawodowi i armia zawodowa”, „Ku armii zawodowej?”, „Precz z armią zawodową!” również i on wystąpił przeciwko specjalnej armii uderzeniowej. Czynił to zaś nie pod kątem interesów obrony narodowej, lecz w imię ideologii, którą nazywał demokratyczną i republikańską, a która we wszystkim, co zahaczało o wojsko, tradycyjnie dopatrywała się groźby dla reżimu. Leon Blum rzucił więc anatemę na armię zawodową, której skład — według niego — oraz duch i uzbrojenie automatycznie stwarzały niebezpieczeństwo dla republiki.

Tak więc czynniki oficjalne znajdując poparcie zarówno na prawicy, jak na lewicy sprzeciwiały się jakiegokolwiek bądź zmianie. Projekt Paul Reynaud został przez komisję wojskową odrzucony. Sprawozdanie w tej sprawie złożone przez pana Senac, a zredagowane przy bezpośredniej współpracy sztabu generalnego armii, kończyło się konkluzją, że proponowana reforma „jest niepotrzebna, niepożądana, że przemawiają przeciwko niej zarówno logika, jak historia”. Z trybuny Zgromadzenia Narodowego generał Maurin, minister wojny, odpowiadając mówcom, którzy przychylnie ustosunkowali się do projektu armii manewrowej, mówił: „Czy sądzi ktoś, że poświęciwszy tyle wysiłków na zbudowanie umocnionej linii obronnej będziemy obecnie tak szaleni, aby wyjść poza tę barierę i wdać się w nie wiedzieć jaką awanturę?”, po czym dodał: „To, co powiadam wam z tego miejsca, jest to opinia rządu, który — przynajmniej w mojej osobie — zna doskonale plan naszych działań na wypadek wojny”. Słowa te przypieczętowały los korpusu specjalnego, a jednocześnie poinformowały wszystkich zainteresowanych w Europie, że Francja, cokolwiek się stanie, nie przedsięwzię nic innego poza jednym: obsadzeniem wojskami linii Maginota.

Jak było do przewidzenia, dezaprobata rządu dotknęła także i mnie osobiście. Znalazło to jednak wyraz w sporadycznych gwałtownych wybuchach, a nie w jakimś formalnym potępieniu. Tak np. pewnego dnia w Pałacu Elizejskim pod koniec posiedzenia Najwyższej Rady Obrony Narodowej, której byłem sekretarzem, generał Maurin zwrócił się do mnie podniesionym głosem: „Żegnam pana, de Gaulle! Tam gdzie ja jestem, nie ma miejsca dla pana!” W swym gabinecie mówił do osób, które próbowały mówić mu o mojej sprawie: „Wziął sobie pisarza, pana Pironneau, i fonograf — pana Paul Reynaud. Ześlę go na Korsykę!” Jednakże generał Maurin był na tyle szlachetny, że nie cisnął we mnie gromu, którym już tak groźnie potrząsał. Wkrótce potem nowy minister wojny Fabry, który zajął jego miejsce na ulicy Saint-Dominique, i generał Gamelin, mianowany następcą generała Weyganda na stanowisku szefa sztabu generalnego sił zbrojnych z jednoczesnym zachowaniem stanowiska szefa sztabu generalnego armii lądowej, ustosunkowali się do mego projektu równie negatywnie jak ich poprzednicy, a do minie osobiście z tym samym co oni zażenowaniem i niechęcią.

W gruncie rzeczy jednak ludzie stojący wówczas u władzy, mimo iż bronili utrzymania *status quo*, w głębi ducha nie byli obojętni na moje argumenty. Byli zresztą nazbyt rozsądni i doświadczeni, aby wierzyć bez reszty w wysuwane przez siebie obiekcje. Chociaż w swych wypowiedziach stwierdzali, że szerzone przeze mnie poglądy co do możliwości wojsk zmechanizowanych są przesadzone, byli niemniej jednak zaniepokojeni faktem, że Trzecia Rzesza tworzy sobie właśnie takie wojska. Gdy twierdzili, że siedem dywizji uderzeniowych można zastąpić taką samą liczbą zwykłych związków taktycznych typu defensywnego, które nazywali związkami „zmotoryzowanymi”, ponieważ miano je przewozić ciężarówkami, wiedzieli lepiej niż ktokolwiek, że jest to po prostu ekwilibrystyka słowna. Gdy argumentowali, że stworzenie armii specjalnej podzieliłoby armię francuską na dwie części, udawali, iż nie pamiętają o tym, że ustawa o dwuletniej służbie wojskowej, uchwalona już po ukazaniu się mej książki, pozwalała w razie potrzeby wcielić do specjalnej armii zawodowej pewną liczbę żołnierzy powołanych na podstawie powszechnego obowiązku służby wojskowej, że obok armii lądowej istnieje przecież marynarka wojenna, lotnictwo, armia kolonialna, armia Afryki, żandarmeria, gwardia ruchoma, które mimo specyficznego zróżnicowania nie narażają na szwank zawar-

tości sił zbrojnych, że wreszcie nie identyczność sprzętu i składu osobowego decyduje o jedności narodowych sił zbrojnych, lecz fakt, że służą one wszystkie tej samej ojczyźnie, podlegają tym samym ustawom, skupione są pod tym samym sztandarem.

Toteż uczuciem troski napawał mnie widok tych wybitnych Francuzów, którzy wskutek źle zrozumianego lojalizmu — lojalizmu „na opak” — zamiast stać się przywódcami wysuwającymi żądania, stawali się czynnikiem usypiającym czujność opinii publicznej. A jednak czułem, że ludzi tych mimo ich pozornego przekonania pociągają otwierające się nowe horyzonty. Był to pierwszy epizod w długim łańcuchu wydarzeń, w toku których pewna część francuskiej elity potępiając wszystkie proklamowane przeze mnie cele, lecz w głębi ducha zrozpaczona własną bezsilnością, po wielu potępieniach dała mi w końcu smutną satysfakcję przyznając się do popełnionych błędów.

Tymczasem wypadki toczyły się dalej. Hitler wiedząc już teraz, jakiej może się spodziewać reakcji ze strony Francji, rozpoczął serię „faktów dokonanych”. Już w 1935 roku, w związku z plebiscytem w Zagłębiu Saary, stworzył tak groźną atmosferę, że rząd francuski wycofał się, zanim partia została rozegrana, i że potem mieszkańcy Saary pociągnięci, a zarazem i zastraszeni germańską gwałtownością głosowali masowo za Trzecią Rzeszą. Mussolini ze swej strony dzięki poparciu gabinetu Laval’a i tolerancji gabinetu Baldwina przystąpił do podboju Abisynii za nic sobie mając sankcje Ligi Narodów. Nagle 7 marca 1936 roku armia niemiecka przekroczyła Ren.

Traktat Wersalski zabraniał wojskom niemieckim wkraczania na obszary położone na lewym brzegu Renu, które ponadto zdemilitaryzował układ w Locarno. Ze ściśle prawnego punktu widzenia mogliśmy, z chwilą pogwałcenia przez Rzeszę zaciągniętych zobowiązań, natychmiast zająć te terytoria. Gdybyśmy wówczas posiadali, choćby częściowo, specjalną armię zmechanizowaną z jej szybkimi środkami walki oraz składem osobowym gotowym każdej chwili do marszu, armia ta od razu naturalnym biegiem rzeczy znalazłaby się wtedy nad Renem. Ponieważ nasi sojusznicy — Polacy, Czesi i Belgowie, byli gotowi nas poprzeć, a Anglia była z góry do tego zobowiązana, Hitler niewątpliwie byłby się cofnął. Znajdował się wtedy dopiero w pierwszej fazie realizacji swego programu zbrojeniowego i nie mógł zaryzykować konfliktu, w którym musiałby stawić czoło całej koalicji przeciwników. W dodatku tego rodzaju porażka zadana mu w owym czasie przez Francję mogłaby mieć dla niego katastrofalne następstwa we własnym kraju. Wdając się w podobną grę mógłby za jednym zamachem wszystko utracić.

Stało się inaczej: nie tylko nic nie stracił, lecz wszystko wygrał. Organizacja naszej obrony narodowej, charakter jej środków, sam jej duch przyczyniły się do bezczynności rządu, który i tak aż nadto się ku niej skłaniał, i przeszkodziły nam w wystąpieniu. Ponieważ byliśmy gotowi jedynie do obrony naszej granicy, z góry zdecydowani w żadnym razie jej nie przekraczać, nie można było się spodziewać żadnego przeciwdziałania ze strony Francji. Fuhrer był tego pewien, a wkrótce cały świat mógł się o tym przekonać. Rzesza nie tylko nie została zmuszona do wycofania swych wojsk, lecz obsadziła bez jednego wystrzału całą Nadrenię i zajęła pozycje w bezpośrednim sąsiedztwie Francji i Belgii. Cóż z tego, że Flandin, minister spraw zagranicznych, z żalem w sercu udał się do Londynu, aby się poinformować o zamiarach Anglii, że Sarraut, prezes rady ministrów, oświadczył, iż rząd paryski „nie zgodzi się na to, by Strasburg leżał w zasięgu niemieckiej artylerii”, i że dyplomacja francuska uzyskała od Ligi Narodów zasadnicze potępienie akcji Hitlera — były to tylko czcze gesty i słowa w obliczu faktu dokonanego.

Wydawało mi się, że wrażenie, jakie to wydarzenie wywołało we francuskiej opinii publicznej, mogło mieć zbawienne skutki. Rząd mógł je wykorzystać, aby wypełnić luki grożące Francji śmiertelnym niebezpieczeństwem. Jakkolwiek Francja była wówczas zajęta kampanią wyborczą i kryzysem społecznym, który nastąpił po wyborach, wszyscy byli zgodni co do tego, iż należy wzmocnić obronę kraju. Gdyby skierowano wówczas wszystkie wysiłki na stworzenie brakujących nam środków obrony, najważniejsze można jeszcze było uratować. Ale do tego nie doszło. Poważne kredyty wojskowe przyznane w 1936 r. zostały użyte na uzupełnienie istniejącego systemu obrony, a nie na to, aby go zmodyfikować.

Mimo wszystko miałem wtedy jeszcze iskierkę nadziei. Wydawało mi się, że w owym wielkim zamęcie, w który wciągnięty został naród, a który znalazł swój wyraz polityczny w kombinacji wyborczej i parlamentarnej nazwanej „Frontem Ludowym”, tkwi element psychologiczny pozwalający na zerwanie z biernością. Wolno chyba było liczyć się z tym, że w obliczu narodowego socjalizmu świecącego triumfy w Berlinie, w obliczu faszyzmu panującego w Rzymie i w obliczu ofensywy frankistowskiej Falangi na Madryt, Republika Francuska zapragnie zarazem i przeobrazić swą strukturę społeczną, i zreformować swe siły zbrojne. W październiku 1936 roku Leon Blum, prezes rady ministrów, zaprosił mnie na rozmowę. Przypadek chciał, że odbyła się ona po południu tego samego dnia, kiedy król Belgów oświadczył, iż zrywa sojusz z Francją i Anglią uzasadniając swój krok tym,

że gdyby Belgia została zaatakowana przez Niemcy, sojusz ten nie uchroniłby jej przed inwazją. „W każdym razie — mówił król Leopold — wobec możliwości nowoczesnych wojsk zmechanizowanych pozostalibyśmy wtedy osamotnieni”.

Leon Blum zapewniał mnie gorąco, że moje poglądy bardzo go interesują.

— A jednak — odparłem — pan je zwalczał.

— Gdy zostaje się szefem rządu, inaczej patrzy się na rzeczy.

Mówiliśmy najpierw o tym, co może nastąpić, jeżeli Hitler, z czym należy się liczyć, ruszy na Wiedeń, Pragę lub Warszawę.

— To bardzo proste — powiedziałem. — Zależnie od okoliczności odwołamy się do naszych czynnych sił zbrojnych lub powołamy pod broń nasze rezerwy po to, by przez strzelnice naszych fortyfikacji biernie przyglądać się ujarzmianiu Europy.

— Jak to — zawołał Leon Blum — czyżby pan chciał, żebyśmy wysłali korpus ekspedycyjny do Austrii, Czech lub Polski?

— Nie — odpowiedziałem. — Ale gdyby Wehrmacht posuwał się naprzód wzdłuż Dunaju lub Łaby, dlaczegoż my nie mielibyśmy wtedy ruszyć nad Ren? Gdyby Hitler pchnął swoje wojska nad Wisłę, czemu nie mielibyśmy wkroczyć do Zagłębia Ruhry? Zresztą sam fakt, że bylibyśmy zdolni do takich środków odwetowych, niewątpliwie zapobiegłby tego rodzaju aktom agresji. Ale nasz obecny system militarny nie pozwala nam ruszyć się z miejsca. Natomiast sam fakt posiadania armii pancernej skłoniłby nas do działania. Czyż nie jest tak, że każdy rząd ma ułatwioną sytuację, gdy zna z góry swoje możliwości?

Premier najzupełniej się z tym zgodził, lecz oświadczył:

— Byłoby oczywiście rzeczą godną pożałowania, gdyby nasi przyjaciele w Europie środkowej i wschodniej mieli choćby nawet tylko chwilowo paść ofiarą niemieckiej inwazji. Niemniej jednak Hitler niczego by przez to jeszcze nie osiągnął, dopóki nie pokonałby również Francji. A jakże miałby ją pokonać? Przyzna pan, że nasz system, choć mało przydatny do ataku, jest znakomity, gdy chodzi o obronę.

Dowiodłem mu, że tak nie jest. Przypominając deklarację ogłoszoną tegoż dnia przez Leopolda III wskazałem, że jeżeli stracilibyśmy Belgię jako sojusznika, to właśnie wskutek niższości, w jakiej stawia nas wobec Niemców brak doborowej armii zmechanizowanej. Szef rządu nie oponował, nadmienił jednak, że zdaniem jego stanowisko Brukseli wpływa nie tylko ze względów strategicznych.

— W każdym razie — powiedział — nasz front obronny i nasze umocnienia zapewniają bezpieczeństwo naszego terytorium.

— Jest to co najmniej wątpliwe — odparłem. — Już w 1918 ro-

ku nie było takiego frontu, którego nie można by było przełamać. A jakież postępy zrobiły od tego czasu czołgi i samoloty! Jutro skoncentrowane działanie wystarczającej masy sprzętu technicznego będzie w stanie przełamać na obranym odcinku każdą bez wyjątku barierę obronną. Po dokonaniu wyłomu Niemcy będą w stanie pchnąć daleko w głąb naszej obrony szybkie wojska pancerne wsparte przez armię powietrzną. Jeżeli i my będziemy posiadać takie same środki, wszystko da się naprawić. W przeciwnym razie wszystko będzie stracone!

Premier oświadczył mi na to, że rząd za zgodą parlamentu postanowił przeznaczyć, poza zwyczajnym budżetem, wielkie sumy na cele obrony narodowej i że znaczna część tych kredytów przeznaczona będzie na czołgi i na lotnictwo. Zwróciłem uwagę na fakt, że niemal wszystkie samoloty, których konstrukcja jest przewidziana, przeznaczone są do obrony, a nie do ataku. Co do czołgów, to w dziewięciu wypadkach na dziesięć chodzi o czołgi Renault i Hotchkiss wzoru 1935 roku, nowoczesne w swym rodzaju, lecz powolne, ciężkie, uzbrojone w małe armaty o krótkiej lufie, nadające się do towarzyszenia w walce piechocie, lecz zupełnie nie nadające się do samodzielnych związków pancernych.

— Zresztą — dodałem — nikt nie myśli o użyciu ich do tego celu. Nasza organizacja pozostanie zatem, taka sama, jaka była. Zbudujemy tyle czołgów i wydamy na to tyle pieniędzy, ile by potrzeba na stworzenie armii zmechanizowanej, a jednak armii tej nie będziemy posiadali.

— Sposób użycia kredytów przyznanych resortowi wojny — odparł premier — to sprawa p. Daladiera i generała Gamelina.

— Niewątpliwie — odpowiedziałem. — Pozwoli mi pan jednak wyrazić pogląd, że obrona narodowa jest sprawą rządu.

Podczas naszej rozmowy telefon dzwonił chyba z dziesięć razy odwracając za każdym razem uwagę Leona Bluma na drobne sprawy parlamentarne lub administracyjne. Gdy żegnałem się, znowu zabrzączał telefon. Blum zrobił wymowny gest wyrażający znużenie: „Teraz może się pan przekonać, czy łatwo jest szefowi rządu wgłębić się w proponowany przez pana plan, skoro nie może nawet przez pięć minut skupić myśli na jednej sprawie”.

Wkrótce potem przekonałem się, że prezes rady ministrów minio wrażenia, jakie zrobiła na nim nasza rozmowa, nie jest owym człowiekiem, który byłby zdolny „wstrząsnąć kolumnami świątyni”, i że przewidziany poprzednio plan będzie realizowany bez zmian. Odtąd szansę, byśmy mogli zawczasu zrównać nasze siły z nowymi siłami Rzeszy, wydawały mi się poważnie zagrożone. Byłem przeświadczony, że charakter Hitlera, jego doktryna, jego wiek, a także i sam rozmach, który nadał swemu narodowi, nie

pozwoła mu czekać i że sprawy potoczą się zbyt szybko, by Francja mogła odrobić swe opóźnienia, nawet gdyby jej kierownicy tego pragnęli.

1 maja 1937 roku przez ulice Berlina defilowała pełna dywizja pancerna, nad którą w powietrzu unosiły się setki samolotów. Widzowie, a przede wszystkim ambasador Francji p. François-Poncet i nasi attache wojskowi, odnieśli wrażenie, iż jest to siła, której nic, z wyjątkiem analogicznej siły, nie jest w stanie powstrzymać. Ale ich raporty nie spowodowały zmiany zarządzeń wydanych przez rząd paryski. 11 marca 1938 roku Hitler przeprowadził anschluss Austrii. Pchnął na Wiedeń dywizję zmechanizowaną, której sam widok wystarczył, aby krok ten spotkał się z powszechną aprobatą; wieczorem tegoż dnia wkroczył z nią triumfalnie do stolicy Austrii. We Francji czynniki oficjalne, dalekie od tego, by zrozumieć całą wymowę brutalnej demonstracji, usiłowały uspokoić opinię publiczną ironicznymi opisami defektów kilku czołgów niemieckich w toku tego forsownego marszu.

Równie mały skutek jak anschluss Austrii odniosły lekcje wojny domowej w Hiszpanii, gdzie włoskie i niemieckie samoloty szturmowe, mimo nieznaczej ich liczby, odgrywały decydującą rolę w każdej walce, w której się pojawiały.

We wrześniu Hitler sięgnął po Czechosłowację. Londyn, a następnie Paryż stały się współnikami tej zbrodni. Na trzy dni przed Monachium kanclerz Reichu przemawiając w Pałacu Sportowym w Berlinie postawił wszystkie kropki nad i, wywołując tym radosne śmiechy i wybuchy entuzjazmu: „Teraz — krzychał — mogę wyznać publicznie to, o czym wy już dawno wiecie. Osiągnęliśmy stan zbrojeń, jakich świat jeszcze nie widział!” 15 marca 1939 roku zmusił prezydenta Hachę do ostatecznej abdykacji i tegoż dnia wkroczył do Pragi. Następnie, 1 września 1939 roku, ruszył na Polskę. W tych następujących po sobie aktach jednej i tej samej tragedii Francja grała rolę ofiary, która czeka na swą kolej.

Co do mnie nie byłem zaskoczony tymi wydarzeniami, choć obserwowałem je z bólem w sercu. Po udziale w 1937 roku w pracach Centrum Wyższych Studiów Wojskowych zostałem mianowany dowódcą 507 pułku czołgów w Metzu. Moje obowiązki pułkownika i oddalenie od Paryża pozbawiły mnie zarówno możliwości, jak i niezbędnych kontaktów, aby móc kontynuować podjętą przeze mnie wielką walkę. W dodatku Paul Reynaud wstąpił na wiosnę 1938 roku do gabinetu Daladiera objąwszy zrazu tekę sprawiedliwości, potem zaś finansów. Niezależnie od tego, że był związany solidarnością gabinetu, przywrócenie naszej rów-

nowagi gospodarczej i monetarnej stanowiło tak pilne zadanie, że był nim wtedy całkowicie zaabsorbowany. Przede wszystkim jednak upór, z jakim rząd trwał przy statycznym systemie militarnym, wówczas gdy Niemcy rozwijali dynamizm w całej Europie, zaślepienie, z jakim reżim francuski kontynuował swą absurdalną grę w obliczu Niemiec gotowych do zaatakowania Francji, głupota gapiów witających z uznaniem kapitulację monachijską — wszystko to w istocie wywoływało wrażenie głębokiej rezygnacji narodowej. Na to nie mogłem nic poradzić. Niemniej jednak w 1938 roku czując zbliżającą się burzę wydałem swą książkę „La France et son armée” („Francja i jej armia”). Wskazywałem w niej, jak w ciągu stuleci armia zawsze była zwierciadłem, w którym odbijała się dusza i los Francji. Było to ostatnie ostrzeżenie, jakie z mego skromnego miejsca skierowałem do ojczyzny w przededniu katastrofy.

Gdy we wrześniu 1939 roku rząd francuski za przykładem rządu angielskiego zdecydował się przystąpić do wojny rozpoczętej już w Polsce, nie miałem najmniejszej wątpliwości, że powziął tę decyzję ulegając złudzeniu, iż Francja mimo stanu wojny nie będzie musiała toczyć poważnych walk. Jako dowódca wojsk pancernych 5 armii w Alzacji nie dziwiłem się bynajmniej, widząc, jak nasze zmobilizowane wojska trwały w bezczynności, podczas gdy Polska została rozbita w ciągu dwóch tygodni przez niemieckie *Panzerdivisionen* i eskadry *Luftwaffe*. Gdy siły przeciwnika były niemal w całości zaangażowane nad Wisłą, nie zrobiliśmy w istocie nic, pomijając kilka demonstracji, aby posunąć się nad Ren. Nie zrobiliśmy również nic, aby wyeliminować Włochy stawiając je przed alternatywą inwazji francuskiej lub udzielenia nam gwarancji swej neutralności. Wreszcie nie zrobiliśmy nic, aby zrealizować natychmiastową łączność z Belgią osiągając Liège i Kanał Alberta.

Mało tego. Nasza oficjalna szkoła wojskowa usiłowała dopatrywać się w tej polityce wyczekiwania przejawu bardzo skutecznej strategii. W przemówieniach radiowych i artykułach prasowych premier i wielu dygnitarzy państwowych starali się wykazać korzyści tej bezczynności, dzięki której, jak twierdzili, udaje nam się bez strat zachować integralność terytorium francuskiego. Podczas wizyty złożonej mi w Wangenburgu p. Brisson, naczelny redaktor dziennika „Figaro”, zapytał mnie o moje poglądy, a gdy mu powiedziałem, jak bardzo ubolewam nad biernością naszych wojsk, zawołał:

— Czyż pan nie widzi, że już obecnie wygraliśmy „zimną Marnę?”

W styczniu będąc przejazdem w Paryżu byłem na obiedzie u Reynaud na ulicy Rivoli, gdzie spotkałem Leona Bluma.

— Jakie są pańskie prognozy? — zapytał mnie.

— Całe zagadnienie polega teraz na tym — odparłem — czy na wiosnę Niemcy uderzą na zachód, aby zdobyć Paryż, czy na wschód, aby zdobyć Moskwę.

— Jak to? — zdziwił się Blum. — Niemcy mieliby uderzyć na wschód? Ale po cóż mieliby się zapuszczać na terytorium radzieckie? Powiada pan, że mogą uderzyć na zachód? Ale coż mogliby tu zrobić przeciwko linii Maginota?

Gdy prezydent Lebrun odwiedził 5 armię, zaprezentowałem mu swoje czołgi. „Znam pańskie koncepcje — rzekł do mnie uprzejmie — ale zdaje mi się, że jest już za późno na to, by przeciwnik mógł je zastosować.”

To dla nas było za późno. Mimo to 26 stycznia 1940 roku podjąłem jeszcze jedną ostatnią próbę. Rozesłałem do osiemdziesięciu osobistości z rządu, dowództwa i sfer politycznych memoriał, w którym usiłowałem je przekonać, że wróg przedsięwzięcie ofensywę niezwykle potężnymi siłami zmechanizowanymi — lądowymi i powietrznymi; że wskutek tego nasz front może każdej chwili być przełamany; że z powodu braku równie silnych środków walki dla odparcia ciosu grozi nam katastrofa; że należy natychmiast powziąć decyzje co do stworzenia tych środków; że niezależnie od produkcji niezbędnych ku temu elementów uzbrojenia należy niezwłocznie połączyć w jedną zmechanizowaną armię odwodową wszystkie już istniejące lub znajdujące się w toku formowania mniej lub więcej nadające się do tego oddziały.

„Pod żadnym pozorem — pisałem w konkluzji swego memoriału — naród francuski nie powinien ulegać złudzeniu, jakoby obecny stan bezczynności militarnej wynikał z samego charakteru toczącej się wojny. Wręcz przeciwnie, silnik zapewnia nowoczesnym środkom zniszczenia taką siłę, taką szybkość i taki zasięg działania, że wojna ta wcześniej lub później stać będzie pod znakiem ruchu, zaskoczeń, głębokich włamań, pościgów, których rozmiary i tempo przewyższą wielokrotnie wszystkie najbardziej piorunujące wydarzenia w przeszłości. „...Nie łudźmy się! Wojna, która wybuchła, stanie się wojną najbardziej rozległą w przestrzeni, najbardziej złożoną i najbardziej okrutną z wszystkich wojen, jakie kiedykolwiek pustoszyły świat. Kryzys polityczny, ekonomiczny, społeczny i moralny, z którego ten konflikt się zrodził, sięga tak głęboko i przybiera tak powszechny charakter, iż doprowadzi nieuchronnie do całkowitego przewrotu w życiu narodów i w strukturze państw. Otóż niezbadana harmonia wszystkich rzeczy daje temu przewrotowi narzędzie militarne — ar-

mię motorów — ściśle przystosowane do jego gigantycznych rozmiarów. Czas najwyższy, aby Francja wyciągnęła z tego wnioski."

Mój memoriał nie wywołał wstrząsającego wrażenia. Jednakowoż wysunięte w nim myśli i przytoczone dowody odniosły pewien skutek. W końcu 1939 roku mieliśmy dwie lekkie dywizje zmechanizowane, trzecią formowano. Chodziło tu jednak tylko o jednostki rozpoznawcze, które byłyby bardzo użyteczne do rozpoznania poprzedzającego manewr zmasowanych związków pancernych, lecz stawały się mało przydatne, skoro tego rodzaju związki nie istniały. 2 grudnia 1938 roku Najwyższa Rada Wojenna pod naciskiem generała Billotte'a uchwaliła sformowanie dwóch dywizji pancernych. Jedną sformowano na początku 1940 roku, druga miała być gotowa w marcu. Miały one być uzbrojone w 30-tonowe czołgi B, których kilka pierwszych sztuk posiadaliśmy już od piętnastu lat, a które obecnie — nareszcie! — fabrykowano w ilości około 300 sztuk. Jakakolwiek była wartość tych czołgów, siła każdej z tych dywizji daleka była od tej, jaką ze swej strony proponowałem. Miały one liczyć po 120 czołgów, gdy tymczasem ja żądałem po 500. Miały posiadać po jednym batalionie piechoty transportowanym samochodami, gdy tymczasem ja żądałem siedmiu batalionów na wozach terenowych. Miały posiadać po dwa dywizjony artylerii — ja zaś uważałem za konieczne, by posiadały po siedem dywizjonów. Miały nie posiadać batalionu rozpoznawczego, podczas gdy ja uważałem, że jest on potrzebny. Wreszcie nie wyobrażałem sobie innego użycia jednostek zmechanizowanych, jak tylko w postaci samodzielnej formacji odpowiednio do tego zorganizowanej i dowodzonej. Tymczasem mowa była jedynie o przydzieleniu dywizji pancernych do różnych korpusów piechoty, inaczej mówiąc — o roztopieniu ich w ogólnym zgrupowaniu wojsk.

To samo słabe pragnienie zmian, które z braku woli przejawiało się w dziedzinie wojskowej, przebijało także w dziedzinie politycznej. Uczucie błęgiego spokoju, który ta „dziwna wojna" — *drôle de guerre* — wzbudziła początkowo w kołach rządzących, zaczynało się stopniowo rozwiewać. Mobilizacja milionów ludzi, przestawienie przemysłu na produkcję wojenną, przeznaczenie na te cele olbrzymich sum, wszystko to zapoczątkowało w szerokich masach ludności zmianę nastrojów, której skutki już się przejawiały ku przerażeniu polityków. U przeciwnika nic zresztą nie zapowiadało osłabienia, którego spodziewano się po blokadzie. Chociaż nikt nie występował z programem innej polityki wojennej, do której zresztą nie posiadano środków, to jednak wszyscy już okazywali swe niezadowolenie z polityki, którą prowadzono, i ostro ją krytykowali. W końcu wybuchł kryzys mi-

nisterialny. Reżim niezdolny do powzięcia środków, które by mogły zapewnić ocalenie, próbował oszukać sam siebie i opinię publiczną. 21 marca Izba obaliła gabinet Daladiera. 23 marca 1940 roku Paul Reynaud utworzył nowy gabinet.

Wezwany do Paryża przez nowego premiera zrehabilitowałem na jego żądanie zwyciężę i wyraźną deklarację rządową. Przyjął ją bez zmian i postanowił odczytać w parlamencie. Potem — podczas gdy za kulisami wrzało już od nowych intryg — udałem się do Pałacu Burbońskiego, gdzie na jednej z trybun byłem obecny na posiedzeniu, na którym nowy rząd przedstawił się Izbie.

Posiedzenie to było okropne. Po deklaracji rządu, odczytanej przez premiera przed sceptyczną i ponurą Izbą, głos w debacie zabrali jedynie przedstawiciele grup lub deputowani uważający się za pokrzywdzonych przy układaniu listy nowego gabinetu. Niebezpieczeństwo wiszące nad ojczyzną, konieczność wysiłku narodowego, pomoc wolnego świata — wszystko to w wygłaszanych przemówieniach stanowiło jedynie zewnętrzne décorum, pod którym kryły się osobiste pretensje i urazy. Tylko Leon Blum, chociaż nie zaproponowano mu miejsca w rządzie, wygłosił wzniosłe przemówienie. Dzięki niemu też Paul Reynaud choć z wielkim trudem wygrał batalię; gabinet uzyskał votum zaufania jednym głosem większości. „I to — mówił do mnie później prezydent Izby, Edward Herriot — nie jestem bardzo pewien, czy je naprawdę uzyskał,”

Zanim udałem się z powrotem na me stanowisko dowodzenia w Wangenburgu, spędziłem kilka dni u boku premiera, który zainstalował się na Quai d'Orsay. Wystarczyło mi to, aby się przekonać, do jakiego stopnia doszła demoralizacja reżimu. We wszystkich partiach politycznych, prasie, administracji, życiu gospodarczym bardzo wpływowe grupy otwarcie opowiadały się za zaprzestaniem wojny. Ludzie dobrze poinformowani twierdzili, że pogląd ten podziela również marszałek Pétain, w owym czasie ambasador w Madrycie, który, jak twierdzono, wie od Hiszpanów, że Niemcy chętnie poszłyby na takie porozumienie. „Jeżeli Reynaud upadnie — mówiono wszędzie — Laval obejmie władzę mając u swego boku Pétaina. Marszałek bowiem jest w stanie skłonić naczelne dowództwo do zawarcia zawieszenia broni.” W tysiącach egzemplarzy kolportowano wówczas ulotkę z trzema wizerunkami marszałka. Na pierwszym przedstawiony był jako zwycięski wódz w pierwszej wojnie światowej z podpisem: „Wczoraj wielki żołnierz”. Pod drugim rysunkiem, wyobrażającym go jako ambasadora, widniał napis: „Dziś wielki dyplomata”. Wreszcie na trzecim majaczyła jakaś ogromna niewyraźna sylwetka z podpisem: „A jutro?...”

Trzeba powiedzieć, że pewne koła widziały wroga raczej w Stalinie niż w Hitlerze. Znacznie bardziej niż o pokonanie Niemiec troszczyły się one o znalezienie środków do ugodzenia Rosji bądź przez udzielenie pomocy Finlandii, bądź przez zbombardowanie Baku, bądź przez wysadzenie wojsk w Stambule. Wielu zupełnie otwarcie przyznawało się do swego podziwu dla Mussoliniego. Niektórzy zaś, nawet w łonie samego rządu, zabiegali wprost o to, aby Francja zjednała sobie jego życzliwość odstępując mu Dżibuti, Czad i udział w kondominium, które by ustanowiono w Tunisie. Ze swej strony komuniści, którzy szumnie przyłączyli się do sprawy narodowej, dopóki Berlin przeciwstawiał się Moskwie, pomstowali na wojnę „kapitalistyczną”, odkąd Mołotow i Ribbentrop doszli do porozumienia. Masy zaś zdezorientowane i czując, iż u góry nikt nie jest w stanie opanować wydarzeń, miały się w zwątpieniu i niepewności. Było jasne, że jakiegokolwiek poważne niepowodzenie wywoła w kraju falę konsternacji i przerażenia, której nic nie będzie w stanie się oprzeć.

W tej zabójczej atmosferze Paul Reynaud usiłował ugruntować swój autorytet. Było to tym trudniejsze, że znajdował się w stałym konflikcie z Daladierem, swoim poprzednikiem na stanowisku premiera, a obecnie ministrem obrony narodowej i ministrem wojny w nowym gabinecie. Tej dziwnej sytuacji nie można było zmienić, gdyż partia radykalna, bez której poparcia rząd byłby upadł, żądała, aby jej przywódca pozostał w składzie gabinetu, by przy pierwszej okazji znowu stanąć na jego czele. Z drugiej strony Reynaud pragnąc powiększyć swą znikomą większość usiłował rozwiązać zastrzeżenia, jakie mieli co do niego umiarkowani. Było to trudne zadanie, znaczna bowiem część prawicy pragnęła pokoju z Hitlerem i porozumienia z Mussolinim. W tych warunkach premier uznał za wskazane powołać na podsekretarza stanu w prezydium rady ministrów bardzo czynnego w tych kołach Paul Baudouina i mianować go sekretarzem komitetu wojennego, który dopiero co utworzył.

Co prawda Paul Reynaud początkowo zamierzał mnie zaofiarować to stanowisko. Komitet wojenny, który miał za zadanie prowadzić wojnę, w związku z czym w skład jego wchodził kierownicy najważniejszych resortów oraz naczelni dowódcy wojsk lądowych, marynarki wojennej i lotnictwa, mógł odegrać pierwszorzędą rolę. Zadaniem jego sekretarza było przygotowywać obrady, uczestniczyć w posiedzeniach, przekazywać uchwały komitetu właściwym organom i czuwać nad ich wykonaniem. Wiele mogło zależeć od sposobu wykonywania tych funkcji. O ile jednak Reynaud, jak się zdawało, pragnął, aby wykonywane były właśnie przeze mnie, o tyle Daladier nie chciał się na to zgodzić.

Wysłannikowi premiera, który go odwiedził na ulicy Saint-Dominique, aby omówić tę sprawę, odpowiedział prosto z mostu: „Jeżeli de Gaulle tu przyjdzie, opuszczę ten gabinet, zejść ze schodów i zatelefonuję do pana Reynaud, aby go mianował moim następcą”.

Daladier bynajmniej nie był wrogo usposobiony do mej osoby. Dowiedział tego niedawno, gdy jako minister osobiście powziął decyzję wpisania mnie na listę awansów, z której klika ministerialna próbowała mnie wyeliminować. Ale ponosząc już od kilku lat odpowiedzialność za obronę narodową Daladier stał konsekwentnie na gruncie istniejącego systemu. Czując, że wydarzenia lada dzień przyniosą rozstrzygnięcie, przyjmując z góry jego konsekwencje i uważając, iż w każdym razie jest za późno na jakąkolwiek zmianę organizacji, bardziej niż kiedykolwiek trwał przy raz powziętych poglądach. Dla mnie zaś byłoby oczywiście niemożliwością sprawować funkcję sekretarza komitetu wojennego wbrew woli ministra obrony narodowej. Wyjechałem więc z powrotem na front.

Przedtem jednak udałem się do generała Gamelin, który wezwał mnie do swej kwatery w zamku Vincennes. Żył tu w warunkach przypominających klasztorne, otoczony niewielką grupą oficerów, pogrążony w pracy i rozmyślaniach, nie mieszając się do bieżących prac służbowych. Dowodzenie frontem północno-wschodnim przekazał generałowi Georges. Mogło to od biedy trwać tak długo, jak długo na froncie tym nic się nie działo, lecz było niewątpliwie nie do utrzymania w razie rozpoczęcia się bitwy. Generał Georges zainstalował się z częścią sztabu w Fertésous-Jouarre, podczas gdy pozostałe oddziały funkcjonowały w Montry pod kierownictwem generała Doumenc, szefa sztabu. W istocie więc naczelne dowództwo było podzielone na trzy części. W swej pustelni w Vincennes generał Gamelin zrobił na mnie wrażenie uczonego, który zamknąwszy się w laboratorium bada w próbkach reakcje swej strategii.

Oświadczył mi na wstępie, że zamierza podnieść liczbę dywizji pancernych z dwóch do czterech i że postanowił powierzyć mi dowództwo 4 dywizji pancernej, która będzie formowana od 15 maja. Niezależnie od uczucia, jakie z ogólnego punktu widzenia budziło we mnie nasze prawdopodobnie nie dające się już odrobić opóźnienie w dziedzinie wojsk zmechanizowanych, byłem bardzo dumny, że jako pułkownik zostaję powołany na dowódcę dywizji. Powiedziałem to generałowi Gamelin. Odpowiedział mi prostymi słowami: „Rozumiem pańskie zadowolenie. Jeżeli zaś chodzi o pańskie obawy, uważam je za nieuzasadnione”.

Potem naczelny wódz począł rozwijać swoje poglądy na sy-

tuację. Rozpościerając mapę, na której nakreślona była dyslokacja wojsk przeciwnika i własnych, powiedział mi, że spodziewa się w niedługim czasie ataku Niemców. Według jego przewidywań natarcie będzie skierowane głównie na Holandię i Belgię, zmierzając ku Pas-de-Calais, aby nas odciąć od Anglików. Zdaniem jego różne oznaki wskazywały na to, że nieprzyjaciół wykona najpierw operację osłonową lub dywersyjną wymierzoną przeciwko krajom skandynawskim. Osobiście Gamelin zdawał się być nie tylko pewny słuszności własnych zarządzeń i wartości bojowej naszych wojsk, lecz nawet zadowolony z tego, że będą one wystawione na próbę, na co czekał z niecierpliwością. Słuchając go przekonałem się, że na skutek tego, iż sam reprezentował pewien określony system wojskowy, nad którym długo pracował, głęboko wierzył w jego niezawodność. Czułem także, że nawiązując do przykładu Joffre'a, którego na początku pierwszej wojny światowej był bezpośrednim współpracownikiem, a w pewnej mierze także inspiratorem, jest przekonany, iż na swoim stanowisku powinien przede wszystkim skoncentrować całą swą wolę na określonym planie i nie dać się potem od niego odwieść przez żadne przemiany. Człowiek ten, którego cechowała wysoka inteligencja, bystrość umysłu i panowanie nad sobą, z pewnością nie wątpił, że w zbliżającej się bitwie w końcu odniesie zwycięstwo.

Z uczuciem szacunku, ale i pewnego niepokoju opuściłem tego wielkiego dowódcę, który w swym klasztornym odosobnieniu przygotowywał się do tego, aby wziąć na swe barki olbrzymią odpowiedzialność i postawić wszystko na jedną kartę — kartę, którą ja uważałem za przegraną.

W pięć tygodni później grom uderzył. 10 maja Niemcy zająwszy uprzednio Danię i niemal całą Norwegię rozpoczęli swą wielką ofensywę. Prowadziły ją wszędzie wojska zmechanizowane i lotnictwo. Główne masy piechoty podążały za nimi, przeciwnik jednak ani razu nie musiał ich użyć do poważnych działań bojowych. Dziesięć dywizji pancernych i sześć dywizji zmotoryzowanych w dwóch grupach dowodzonych przez Hotha i Kleista parło na zachód. Siedem z tych dziesięciu dywizji pancernych przebywszy Ardeny wyszło po trzech dniach nad Mozę. 14 maja sforsowały ją pod Dinant, Givet, Monthermé i Sedanem, podczas gdy cztery dywizje zmotoryzowane wspierały je i osłaniały, a niemieckie samoloty szturmowe nieustannie im towarzyszyły, bombowce zaś rażąc linie kolejowe i szosy paraliżowały nasz transport. 18 maja, wyminawszy linię Maginota, przełamawszy nasze szyki bojowe i zniszczywszy jedną z naszych armii zebrały się pod Saint-Quentin, gotowe każdej chwili uderzyć na Paryż.

lub na Dunkierkę. Tymczasem pozostałe trzy dywizje pancerne wraz z towarzyszącymi im dywizjami zmotoryzowanymi działając w Holandii i Brabancji, gdzie alianci dysponowali armią holenderską, belgijską i angielską oraz dwiema armiami francuskimi, wniosły w tę masę 800 000 żołnierzy zamieszanie, którego się już nie udało opanować. Można powiedzieć, że po upływie tygodnia los kampanii był przesadzony. Armia, państwo, Francja z zawrotną szybkością staczały się po równi pochyłej, na którą dawno pchnęły nas nieprawdopodobne błędy.

A przecież i my mieliśmy trzy tysiące nowoczesnych czołgów i osiemset samochodów pancernych. Niemcy nie mieli ich więcej. Tylko że nasze, zgodnie z ustalonymi poprzednio planami, były rozproszone na różnych odcinkach frontu. Przy tym przeważnie już z racji swej konstrukcji i uzbrojenia nie nadawały się w ogóle do tego, by działać jako zmasowana siła manewrowa. Nawet tych kilka dywizji zmechanizowanych, którymi dysponowaliśmy, wprowadzono do akcji z osobna. Trzy lekkie dywizje pchnięte w kierunku Liège i Breda na rozpoznanie musiały się szybko cofnąć i zostały użyte do obrony frontu, 1 dywizja pancerna, którą przydzielono jednemu z korpusów piechoty i 16 maja na zachód od Namur pchnięto samą jedną do kontrataku, została okrążona i zniszczona. Tego samego dnia jednostki 2 dywizji pancerniej, przerzucone kolejną do rejonu Hirson, w miarę jak je wyładowywano z transportów, ginęły kolejno, wciągane jedna po drugiej w wir powszechnego chaosu. Siły dopiero co sformowanej 3 dywizji pancerniej zostały od razu podzielone pomiędzy bataliony jednej z dywizji piechoty i już poprzedniego dnia utknęły w nieudanym kontrataku na południe od Sedanu. Połączone zawczasu w jedną całość dywizje te mogłyby mimo wszystkich swych braków zadać najeźdźcy okrutne ciosy. Ale działały one w odosobnieniu i już w sześć dni po rozpoczęciu niemieckiej ofensywy pod naporem niemieckich kolumn pancernych pozostały z nich tylko żałosne resztki. Co do mnie, to stopniowo na podstawie fragmentarycznych wiadomości ukazywał mi się prawdziwy obraz sytuacji; dałbym wszystko za to, by moja ocena okazała się niesłuszna.

Ale w bitwie, choćby i przegranej, żołnierz już nie należy do siebie. Teraz przyszła kolej na mnie. 11 maja otrzymałem rozkaz objęcia dowództwa 4 dywizji pancerniej, która zresztą jeszcze nie istniała, ale której poszczególne oddziały przybywając z bardzo odległych okolic sukcesywnie przechodziły pod moje rozkazy. Z Vésinet, gdzie na razie znajdowało się moje stanowisko dowodzenia, zostałem 15 maja wezwany do kwatery głównej, by otrzymać swe zadanie bojowe.

Zakomunikował mi je szef sztabu naczelnego wodza generał Doumenc. Zadanie było poważne.

— Dowództwo — powiedział generał — pragnie stworzyć front obronny wzdłuż rzek Aisne i Ailette, aby zagrozić drogę do Paryża. Na linii tej rozwinie się 6 armia pod dowództwem generała Touchona sformowana z oddziałów wycofanych z wschodniego odcinka frontu. Pańskie zadanie polega na tym, aby wysunąwszy się ze swą dywizją do przodu i działając samodzielnie w rejonie Laonu zyskać czas potrzebny dla rozwinęcia tej armii. Generał Georges, dowódca frontu północno-wschodniego, pozostawia panu całkowitą swobodę co do sposobu działania. Zresztą zależeć pan będzie tylko i bezpośrednio od niego. Major Chomel zapewni z nim łączność.

Z kolei przyjął mnie generał Georges. Był spokojny, serdeczny, ale znać na nim było przygnębienie. Potwierdził mi, czego się ode mnie spodziewa, po czym dodał:

— A więc do dzieła, de Gaulle! Pan, który od dawna głosił metody stosowane dziś przez przeciwnika, ma teraz okazję do działania.

Właściwe sztaby zrobiły wszystko, co mogły, by skierować do Laon przeznaczone dla mnie oddziały. Stwierdzam, że w owych strasznych dniach, gdy nieoczekiwane uderzenia przeciwnika powodowały coraz to nowe zmiany sytuacji, sztab generalny, stojąc przed niezliczonymi problemami związanymi z ruchami i przerzucaniem wojsk, doskonale wywiązywał się ze swych zadań. Mimo to można było wyczuć, że nadzieje pierzchają i że sprężyna jest złamana.

Udałem się natychmiast do Laon, zainstalowałem swe stanowisko dowodzenia w Bruyères, na południowo-wschodnim krańcu miasta, i zapoznałem się z okolicą. Z wojsk francuskich znalazłem tu kilka rozproszonych jednostek należących do 3 dywizji kawalerii, garstkę ludzi stanowiących załogę cytadeli w Laon i przypadkowo zapomniany tu 4 samodzielny dywizjon artylerii, który miał rozkaz, by w razie potrzeby użyć chemicznych środków walki. Dywizjon ten składający się z dzielnych żołnierzy uzbrojonych tylko w karabiny podporządkowałem sobie i ubezpieczyłem nim linię wzdłuż kanału Sissonne. Już tego samego wieczora nieprzyjacielskie patrole nawiązały z nim styczność bojową.

16 maja wraz z przybyłą do mnie pierwszą nieznaczną częścią mego sztabu przeprowadzałem rozpoznanie zbierając niezbędne wiadomości. Odniosłem wrażenie, że znaczne siły niemieckie, które wyszły z Ardenów przez Rocroi i Mézières, maszerują nie na południe, lecz na zachód, aby osiągnąć Saint-Quentin, osłania-

jąc swe lewe skrzydło strażami bocznymi na południe od rzeki Serre. Wszystkimi drogami wiodącymi z północy szły nie kończące się tłumy nieszczęsnych uchodźców. Było wśród nich wielu żołnierzy bez broni. Należeli oni do oddziałów, które w ciągu ostatnich dni natarcie niemieckich czołgów zmusiło do bezładnej ucieczki. Gdy ich potem doścignęły niemieckie oddziały zmechanizowane, kazano im rzucić karabiny i ruszyć dalej na południe, by nie tarasować dróg. „Nie mamy czasu na to — wołano — by was wziąć do niewoli!”

Na widok tych ogarniętych paniką mas cywilnych uchodźców i tej cofającej się w bezładzie armii, słysząc o tej bezczelności, z jaką wróg okazywał nam swą pogardę, czułem, jak wzbiera we mnie bezgraniczna wściekłość i oburzenie. Oto czegośmy się doigrali. Wojna zaczęła się katastrofalnie. Cóż, trzeba ją więc kontynuować. Dostatek jest na to miejsca na świecie. Póki życia, będę się bił, będę walczył gdziekolwiek to tylko będzie możliwe i tak długo, jak długo to będzie potrzebne, dopóki wróg nie zostanie pokonany i nie zostanie zmyta hańba narodowa. Wszystko, co potem dane mi było zrobić, wywodziło się z decyzji powziętej właśnie tego dnia.

Na razie postanowiłem, że nazajutrz rano uderzę siłami, które do tego czasu nadejdą, jakiegokolwiek by były. Posunąwszy się o jakie dwadzieścia kilometrów na północny wschód spróbuję osiągnąć Montcornet nad rzeką Serre, węzeł dróg do Saint-Quentin, Laon i Reims. W ten sposób przetnę pierwszą z tych dróg, tak że wróg nie będzie już mógł z niej korzystać w marszu na zachód, i zagrodzę dwie inne, którymi w przeciwnym razie mógłby podejść bezpośrednio pod front trzymany przez 6 armię. O świcie 17 maja otrzymałem trzy bataliony czołgów: jeden z nich (46 batalion) uzbrojony w czołgi B i wzmocniony kompanią czołgów D należał do 6 półbrygady; dwa pozostałe bataliony (2 i 24) były uzbrojone w czołgi Renault 35 i wchodziły w skład 8 półbrygady. Z nastaniem dnia pchnąłem je naprzód. Zmiatając na swej drodze nieprzyjacielskie jednostki, które się już przedarły do tego rejonu, osiągnęły one Montcornet. Do wieczora toczyły walki najpierw na krańcach, a potem i w samym centrum tego miasta, likwidując wiele nieprzyjacielskich gniazd oporu i ostrzeliwując ze swych armat kolumny niemieckich samochodów usiłujące przejść przez Montcornet. Nad Serrą jednak stały znaczne siły niemieckie. Nasze czołgi pozbawione jakiegokolwiek wsparcia oczywiście nie mogły sforsować rzeki.

W ciągu dnia przybył 4 batalion strzelców. Ledwo go wylądowano, wprowadziłem go od razu do akcji, aby zlikwidować w pobliżu Chivres nieprzyjacielską straż przednią, która przepuściła

nasze czołgi i dopiero potem się ujawniła. Cel ten niebawem został osiągnięty. Ale z południowego brzegu Serry artyleria niemiecka ostrzeliwała nas, podczas gdy nasza artyleria jeszcze nie zajęła stanowisk ogniowych. Przez całe popołudnie niemieckie Stukasy nadlatywały coraz to nowymi falami bombardując z lotu nurkowego nasze czołgi i samochody. Wreszcie zmechanizowane oddziały niemieckie, coraz liczniejsze i coraz bardziej aktywne, zaczęły działać na naszych tyłach. Wsunąwszy się o trzydzieści kilometrów do przodu przed rzekę Aisne walczyliśmy w odosobnieniu. Sytuacja była co najmniej niepokojąca i trzeba jej było położyć kres.

Z nastaniem nocy rozkazałem dopiero co przybyłemu pułkowi rozpoznawczemu (10 pułkowi kirasjerów) nawiązać styczność z nieprzyjacielem, czołgi zaś i strzelców ściągnąłem z powrotem do Chivres. W terenie widać było kilkuset zabitych niemieckich żołnierzy i wiele spalonych niemieckich samochodów. Wzięliśmy 130 jeńców. Nasze straty wyniosły niespełna 200 ludzi. Na tyłach fala uchodźców się urwała. Niektórzy zaczęli nawet powracać, gdyż wśród tych nieszczęśliwych rozeszła się pogłoska, że wojska francuskie posuwają się naprzód.

Teraz trzeba było działać już nie na północny wschód, lecz na północ od Laon, ponieważ znaczne siły przeciwnika maszerując z Marie na zachód posuwały się wzdłuż rzeki Serre w kierunku La Fère. Jednocześnie straże boczne Niemców zaczęły posuwać się w kierunku południowym, i zachodziło niebezpieczeństwo, iż wyjdą nad rzekę Ailette. W ciągu nocy z 18 na 19 maja dywizja pancerna zajęła pozycje na północnych wylotach z Laon. Tymczasem otrzymałem posiłki: 3 pułk kirasjerów składający się z dwóch szwadronów czołgów Somua i 322 pułk artylerii w składzie dwóch dywizjonów 75 mm. Prócz tego generał Petiet, dowódca 3 lekkiej dywizji kawalerii, przyrzekł wesprzeć mnie ogniem swych dział ustawionych na wysokości Laon.

Wprawdzie ze 150 czołgów, którymi teraz dysponowałem, było tylko trzydzieści czołgów B uzbrojonych w 75 mm armaty i około czterdziestu typu D2 lub Somua z małokalibrowymi armatami 47 mm, wszystkie zaś pozostałe czołgi typu Renault 35 miały działa kalibru 37 mm mogące prowadzić skuteczny ogień najwyżej na odległość 600 metrów. Przy tym dowódcy czołgów Somua nigdy jeszcze nie strzelali z dział, a kierowcy mieli za sobą maksimum cztery godziny prowadzenia czołgu. Na domiar dywizja miała tylko jeden batalion piechoty przewożony zresztą autobusami i wskutek tego szczególnie wrażliwy na ogień przeciwnika w czasie transportu. Poza tym artyleria składała się z pododdzia-

łów pochodzących z różnych jednostek zapasowych i wielu oficerów poznawało swych żołnierzy dosłownie dopiero na polu bitwy. Nie mieliśmy też radiowych środków łączności, tak że musiałem dowodzić dywizją przekazując rozkazy podległym dowódcom przez motocyklistów, a przede wszystkim udając się samemu do nich. Wreszcie wszystkie jednostki odczuwały brak środków transportowych, zaopatrzenia i warsztatów, które w normalnych warunkach powinny były posiadać. A jednak mimo wszystko ta całość sklecona naprędce w warunkach improwizacji była już przepojona duchem bojowym. A więc naprzód! Źródła naszej siły jeszcze nie wyschły.

19 maja o świcie ruszamy naprzód. Czołgi dywizji kierują się skokami na Crécy, Mortiers i Pouilly. Mają tam opanować mosty i przeciąć przeciwnikowi drogę do La Fère. Czołgom towarzyszy artyleria. Pułk rozpoznawczy i batalion piechoty osłaniają prawe skrzydło nad rzeką Baranton; w kierunku Marie wysłane zostaje rozpoznanie. Przedpołudnie mija pomyślnie. Wychodzimy nad rzekę Serre zmusiwszy do ucieczki różne nieprzyjacielskie oddziały, które przeniknęły do tego rejonu. Ale przeciwnik obsadził północny brzeg rzeki. Panuje on nad przeprawami i niszczy nasze czołgi, które próbują się ku nim zbliżyć. Jego ciężka artyleria otwiera ogień. Okazuje się, że nawiązaliśmy styczność bojową z dywizjami niemieckimi zmierzającymi ku Saint-Quentin. Aby móc sforsować rzekę i pchnąć nasze czołgi dalej do przodu, musielibyśmy posiadać piechotę, a tej nie mieliśmy, oraz silniejszą artylerię. W ciągu tych ciężkich godzin nie mogłem nie myśleć o tym, co mogłaby zdziałać armia zmechanizowana, o której tak długo marzyłem. Gdybym tego dnia rozporządzał taką armią, by nagle uderzyć w kierunku Guise, niemieckie dywizje pancerne zostałyby od razu powstrzymane, ich tyły ogarnęłoby zamieszanie i nasza północna Grupa Armii mogłaby się znowu połączyć z Grupą Armii środkową i wschodnią.

Ale nasze siły w rejonie na północ od Laon były znikome. Toteż Niemcy forsują rzekę Serre. Przeprowadzają się przez nią poprzedniego wieczora w Montcornet, które opuściliśmy, a od południa także pod Marie. Zaatakowali nasze prawe skrzydło nad rzeką Baranton i nasze tyły pod Chambry znaczną liczbą czołgów, dział samobieżnych, moździerzy na samochodach i zmotoryzowanej piechoty. Z kolei nadlatują Stukasy, które bombardują aż do zapadnięcia zmroku, groźne dla samochodów mogących poruszać się tylko po szosach i dla artylerii. We wczesnych godzinach popołudniowych generał Georges przesyła mi rozkaz, by zaprzestać walki. 6 armia ukończyła rozwinięcie wojsk i moja dywizja ma być niezwłocznie użyta do innych zadań. Postanowiłem opóźniać

przeciwnika jeszcze przez jeden dzień, przegrupowując dywizję, na noc w rejonie Vorges, aby uderzyć w jego skrzydło, gdyby spróbował ruszyć z Laon na Reims lub Soissons, i dopiero następnego dnia przeprawić się z powrotem przez Aisne.

Przegrupowanie odbyło się składnie, chociaż przeciwnik wszędzie próbował nas atakować. Przez całą noc trwały potyczki naszych straży tylnych. 20 maja 4 dywizja pancerna wyruszyła w kierunku Fismes i Braine, posuwając się dosłownie wśród Niemców, od których roilo się na wszystkich drogach i którzy trzymali wiele punktów oporu oraz atakowali nas licznymi czołgami. Dzięki naszym czołgom, które stopniowo oczyszczały drogi i przyległe do nich tereny, osiągnęliśmy Aisne bez poważniejszych trudności. Natomiast w Festieux nasz pułk rozpoznawczy (10 pułk kirasjerów) tworząc straż tylną wraz z batalionem czołgów tylko z trudem zdołał się oderwać od przeciwnika, a na płaskowzgórzu Craonne tabory dywizyjne gwałtownie atakowane musiały pozostawić płonące ciężarówki.

Podczas gdy 4 dywizja pancerna działała w rejonie Laon, dalej na północ wydarzenia rozwijały się w szybkim tempie niemieckich dywizji pancernych. Dowództwo niemieckie postanowiwszy zniszczyć najpierw północne armie sprzymierzone i dopiero potem zająć się likwidacją wojsk frontu środkowego i wschodniego, pchnęło swe siły zmechanizowane na Dunkierkę. Wznowiły one natarcie posuwając się spod Saint-Quentin dwiema kolumnami: jedną wprost na Dunkierkę przez Cambrai i Douai, drugą wzdłuż wybrzeża morskiego przez Étaples i Boulogne. Tymczasem dwie nieprzyjacielskie dywizje pancerne zajęły Amiens i Abbeville i uchwyciły tam przyczółki na południowym brzegu Sommy, z których później miały zrobić użytek. Po stronie alianckiej wieczorem 20 maja armia holenderska przestała istnieć, wojska belgijskie cofały się na zachód, a armia brytyjska wraz z 1 armią francuską zostały odcięte od Francji.

Niewątpliwie dowództwo francuskie usiłowało przywrócić łączność między tymi dwiema częściami swych sił. W tym celu pchnęło do ofensywy północną Grupę Armii z Arras na Amiens i lewe skrzydło środkowej Grupy Armii z Amiens na Arras. Taki właśnie rozkaz wydał 19 maja generał Gamelin. Generał Weygand, który 20 maja został mianowany jego następcą i następnego dnia miał jechać do Belgii, przejął ten plan. Teoretycznie plan był logiczny. Po to jednak, aby go wykonać, trzeba było, by samo dowództwo wierzyło jeszcze w zwycięstwo. Tymczasem załamanie się całej doktryny wojennej i wszystkich zasad organizacyjnych uznawanych przez naszych kierowników wojskowych Pozbawiło ich wszelkiej energii. W swej depresji moralnej zaczęli

teraz wątpić we wszystko, a przede wszystkim w siebie samych. Od razu też przejawiać się zaczęły siły odśrodkowe. Król Belgii myślał już o kapitulacji, lord Gort — o ewakuacji swych wojsk, Weygand — o zawieszeniu broni.

Podczas gdy w warunkach ogólnej klęski dowództwo zaczyna się rozpręgać, 4 dywizja pancerna maszeruje na zachód. Najpierw chodziło o to, by sforsowała Sommę i stanęła na czele natarcia, które miano rozwinąć na północ. Potem jednak odstąpiono od tego zamiaru. Następnie miano jej użyć wraz z innymi siłami, aby odrzucić Niemców, którzy przeprawili się przez Sommę pod Amiens. Potem wszakże zrezygnowano z jej udziału w tej operacji, dla której jednak zabrano jej jeden z batalionów czołgów. Wreszcie w nocy z 26 na 27 maja dowódca dywizji, mianowany na dwa dni przedtem generałem, otrzymuje od generała Roberta Altmayera, dowódcy 10 armii grupującej siły przerzucane w pośpiechu nad dolną Sommę, rozkaz, aby niezwłocznie wyruszyć w kierunku Albberville i uderzyć na przeciwnika, który na południe od tego miasta utworzył silny przyczółek.

W tym czasie dywizja znajdowała się w rejonie Grandvilliers. Wyruszyła stąd 22 maja i maszerując przez Fisnes, Soissons, Villers-Cotteret, Compiègne, Montdidier i Beauvais przebyła w ciągu pięciu dni 180 kilometrów. Można powiedzieć, że odkąd dywizja została sformowana na polach pod Montcornet, bez przerwy znajdowała się w walkach lub w marszu. Odbiło się to na stanie czołgów, z których około trzydziestu pozostawiono na drodze. Za to w miarę posuwania się naprzód otrzymywaliśmy cenne posiłki: batalion czołgów B (47 batalion), batalion 20-tonowych czołgów D2 (19 batalion), który niestety musiałem pozostawić w rejonie Amiens, 7 zmotoryzowany pułk dragonów, dywizjon artylerii 105 mm, baterię artylerii przeciwlotniczej, pięć przeciwpancernych baterii 47 mm. Z wyjątkiem 19 batalionu wszystkie te jednostki zostały naprędce sformowane, ale od razu po przybyciu udzielił im się duch bojowy panujący w dywizji. Wreszcie dla wykonania wyznaczonego mi zadania otrzymałem do dyspozycji 22 pułk piechoty kolonialnej i artylerię 2 dywizji kawalerii. W sumie 140 zdolnych do boju czołgów i 6 batalionów piechoty wspieranych przez 6 dywizjonów artylerii miało uderzyć od południa na niemiecki przyczółek.

Postanowiłem natrzeć jeszcze tego samego wieczora, ponieważ lotnictwo niemieckie nieustannie śledziło naszą dywizję i tylko przyspieszenie natarcia dawało jakąś szansę wykorzystania momentu zaskoczenia. Niemcy istotnie oczekiwali nas w pełnej gotowości bojowej. Już od tygodnia trzymali, frontem na południe, Huppy na zachodzie i Brayles-Mareuil nad Sommą na wscho-

dzie, a między tymi dwiema wsiami — lasy Limeux i Bailleul. Za tą linią umocnili miejscowości Bienfay, Villers, Huchenneville i Mareuil. Wreszcie wzniesienie Mont Caubert, które na tym samym brzegu Sommy panuje nad Abbeville i jego mostami, służy im za redutą tej pozycji obronnej. Te trzy kolejne linie wyznaczam mej dywizji jako przedmioty natarcia.

O godz. 18 dywizja rozpoczyna natarcie. 6 półbrygada ciężkich czołgów z 4 batalionem strzelców uderza na Huppy, 8 półbrygada lekkich czołgów wraz z 22 pułkiem piechoty kolonialnej naciera na lasy Limeux i Bailleul, 3 pułk kirasjerów, czołgi średnie wraz z 7 pułkiem dragonów — na Bray. Artyleria wspiera głównie centrum. Z nastaniem nocy pierwsza linia zostaje zdobyta. W Huppy poddają się resztki niemieckiego batalionu broniącego tej miejscowości. Pod Limeux zdobywamy między innymi kilka baterii przeciwpancernych i znajdujemy resztki czołgów angielskiej brygady zmechanizowanej zniszczonych przez nie kilka dni przedtem.

O świcie znowu ruszyliśmy dalej. Nasze lewe skrzydło miało zająć Moyenneville i Bienfay, centrum — Huchenneville i Villers, prawe skrzydło — Mareuil, przy czym „gwoździem” całego ataku miały stać się działania czołgów B, których zadanie polegało na tym, by posuwając się z zachodu na wschód odciąć tyły niemieckie. Celem końcowym dla wszystkich był Mont Caubert. Dzień ten był wyjątkowo ciężki. Przeciwnik utrzymawszy posiłki stawiał coraz bardziej zacięty opór. Jego ciężka artyleria z prawego brzegu Sommy ostrzeliwała nas zaciekle. Inne baterie prowadzące ogień ze wzniesienia Mont Caubert również zadawały nam duże straty. Wieczorem cel został osiągnięty. Tylko Mont Caubert wciąż jeszcze się bronił. Po obu stronach było wielu zabitych. Nasze czołgi silnie ucierpiały. Tylko niecała setka jest jeszcze zdalna do boju. Ale mimo to wszystko nad polem bitwy unosi się duch zwycięstwa. Wszyscy wysoko trzymają głowy. Nawet ranni się uśmiechają. Zdawało się, że i działa strzelają radośnie. W regularnej bitwie Niemcy nie wytrzymali naszego naporu i cofnęli się.

W kilka tygodni potem w swej pracy „Abbeville” major Gehring, historyk niemieckiej dywizji Blumm, która broniła przyczółka nad Sommą, pisał:

„Co z grubsza biorąc wydarzyło się 28 maja?

Przeciwnik zaatakował nas znacznymi siłami pancernymi. Nasze jednostki przeciwpancerne walczyły bohatersko. Ale wytrzymałość francuskich pancerzy poważnie zmniejszała skuteczność ich uderzeń. Czołgi przeciwnika zdołały się przedrzeć między

Huppy i Caumont. Ponieważ nasza obrona przeciwpancerna została zmieciona, piechota musiała się wycofać...

Gdy do sztabu dywizji zaczęło napływać coraz więcej alarmujących meldunków i pod nieustannym ogniem artylerii francuskiej nie sposób już było porozumieć się z żadnym z walczących batalionów, dowódca dywizji sam wyruszył na czoło... Spotkał cofające się w bezładzie wojska, przegrupował je, doprowadził do porządku i powiodł na pozycje obronne przygotowane o kilka kilometrów za przednimi liniami...

Ale strach przed czołgami ogarnął żołnierzy... Straty są ciężkie... Nie ma prawie nikogo, kto by nie stracił bliskich towarzyszy broni..."

Tymczasem Niemcy otrzymali posiłki. W ciągu nocy z 27 na 28 maja mogli już zluźnić wszystkie swe walczące jednostki. Zabici i jeńcy byli potwierdzeniem tego. W nocy z 28 na 29 przeciwnik znowu zluźniał oddziały. Zarówno w trzecim, jak i w drugim dniu bitwy mamy więc naprzeciw siebie świeże wojska. My natomiast nie otrzymujemy żadnych posiłków. A tak niewiele było potrzeba, aby dopełnić zwycięstwa. Cóż, trudno, 29 maja z tym, co mamy, ruszymy jeszcze raz do ataku.

Tym razem jest on skierowany na wzgórze Mont Caubert. Główne uderzenie nastąpić ma od zachodu. Nasze ostatnie czołgi B i czołgi Somua, przerzucone z prawego na lewe skrzydło, mają wyruszyć do natarcia z Moyenneville i Bienfay. Batalion strzelców, który stracił więcej niż połowę swego stanu, pułk rozpoznawczy zredukowany do jednej trzeciej i batalion dragonów mają podążać za nimi. Z Villers pchnięte zostają do walki pozostałe nam czołgi Renault wraz z 22 pułkiem piechoty kolonialnej. Aby nas wesprzeć, generał Altmayer rozkazał 5 lekkiej dywizji kawalerii, stojącej wzdłuż Sommy poniżej przyczółka, wysunąć swe prawe skrzydło w kierunku Cambron. Dywizja ta jednak nie jest w stanie posuwać się naprzód. Generał prosił o współdziałanie lotnictwa bombowego, aby atakować wyloty z Abbéville, ale samoloty znajdowały się na innych odcinkach frontu. O godzinie 15 ruszamy do ataku. Udaje nam się zająć stoki Mont Caubert, ale szczyt pozostaje w rękach przeciwnika. Z nastaniem nocy Niemcy przy silnym wsparciu artylerii rozpoczynają kontratak na Moyenneville i Bienfay, których jednak nie udaje im się odzyskać.

30 maja 4 dywizja pancerna zostaje zluźniona przez 51 dywizję szkocką pod dowództwem generała Fortune, która dopiero co wylądowała we Francji. Wojska te są zupełnie świeże i pełne animuszu. 4 dywizja pancerna przegrupowuje się w pobliżu miejscowości Beauvais. Wraz ze mną dowódcy czołgów Sudre, Simonin

i François, dowódca pułku rozpoznawczego de Ham, dowódca pułku strzelców Bertrand, dowódca pułku piechoty kolonialnej Le Tacon, dowódca zmotoryzowanego pułku dragonów de Longuemare, dowódcy pułków artylerii Chaudesolle i Ancelme i pułkownik sztabu Chomel — robią bilans operacji. Wprawdzie nie zdołaliśmy całkowicie zlikwidować niemieckiego przyczółka pod Abbeville, ale bądź co bądź zmniejszyliśmy o trzy czwarte jego rozmiary. Obecnie nie może on być użyty przez przeciwnika jako rejon wyjściowy do natarcia wielkich sił. Niemcy musieliby go uprzednio znowu poszerzyć. Nasze straty są ciężkie, ale mniejsze niż straty przeciwnika. Wzięliśmy 500 jeńców, nie licząc tych, których wzięliśmy pod Montcornet. Zdobyliśmy znaczne ilości broni i sprzętu bojowego.

Niestety! Gdzież w tej bitwie o Francję wojska nasze zdobyły lub zdobędą inny teren wyjąwszy ów mały pas ziemi głębokości 14 kilometrów? Iluż Niemców — poza wziętymi do niewoli załogami samolotów straconych za linią frontu — wzięliśmy lub weźmiemy jeszcze do niewoli? Gdyby zamiast tej nieszczęsnej, słabej, niepełnej dywizji, skleconej naprędce i walczącej w odosobnieniu, walczyła tu w ostatnich dniach maja doborowa armia pancerna, której elementy przecież faktycznie istniały, tylko że były rozrzucone i niewłaściwie użyte — jakież wtedy byłyby rezultaty? Gdyby rząd francuski spełnił swa zadanie, gdyby wówczas, kiedy jeszcze był czas, nastawił swój system wojskowy na akcję, a nie na bezczynność, i gdyby w wyniku tego nasi dowódcy dysponowali armią uderzeniową i manewrową, której tak często domagano się od rządu i dowództwa — wówczas nasze siły zbrojne mogłyby liczyć na zwycięstwo, a Francja odnalazłaby swą wielkość.

Ale 30 maja bitwa faktycznie była już przegrana. Na dwa dni przedtem król belgijski skapitulował ze swą armią. W Dunkierce armia brytyjska załadowywała się już na okręty. Resztki wojsk francuskich na północy również usiłowały ewakuować się drogą morską — wszystko to wśród ciężkich, katastrofalnych strat. Tylko patrzeć, a wróg rozpocznie drugą fazę swej ofensywy w kierunku południowym, mając przed sobą przeciwnika, którego siły zmniejszyły się o jedną trzecią i który bardziej niż kiedykolwiek pozbawiony był środków przeciwstawienia się niemieckim siłom zmechanizowanym.

W mojej kwaterze polowej w Pikardii nie oddawałem się żadnym złudzeniom. Ale byłem zdecydowany nie tracić nadziei. Jeżeli w ostatecznym wyniku nie uda się przywrócić sytuacji w metropolii, trzeba ją będzie przywrócić gdzie indziej. Wszak mamy imperium z jego wielkimi zasobami. Mamy flotę, która może je

osłonić. Mamy naród, który chociaż nieuchronnie stanie się ofiarą inwazji, znajdzie w swych zasadach republikańskich natchnienie do oporu — strasliwą okazję do zmanifestowania swej jedności. Jest wreszcie i wolny świat, który może nas zaopatrzyć w nową broń, a potem udzielić potężnej pomocy. Wszystko sprowadza się teraz do jednego pytania: czy władze państwowe, cokolwiek by się stało, zdołają nie dopuścić do tego, by naruszone zostało samo istnienie państwa, czy zdołają uratować niepodległość i zabezpieczyć przyszłość? Czy też, przeciwnie, ogarnięte paniką katastrofy wydadzą to wszystko na zgubę?

Pod tym względem — przewiduję to bez trudu — wiele zależeć będzie od postawy dowództwa. Jeżeli nie złoży ono sztandaru, dopóki, jak mówi przepis regulaminu wojskowego, „nie będą wyczerpane wszystkie środki, podyktowane honorem i obowiązkiem”, słowem, jeżeli w ostateczności zdecyduje się kontynuować opór w Afryce, może w tej katastrofie stać się boją ratowniczą dla państwa. Jeżeli zaś samo zrezygnuje z kontynuowania walki i popchnie bezwładny rząd do kapitulacji, to jakżeż przyczyni się przez to do poniżenia Francji!

Takie myśli dręczyły mnie, gdy 1 czerwca wezwany przez generała Weyganda udawałem się do jego kwatery głównej. Naczelny wódz przyjął mnie w zamku Montry. W rozmowie ze mną przejawiał jak zawsze cechującą go jasność myśli i prostotę. Na wstępie pogratulował mi operacji pod Abbeville, za którą zresztą dopiero co przyznał mi zaszczytną wzmiankę w rozkazie dziennym do armii. Potem zapytał mnie, jaki zdaniem moim należy zrobić użytek z owych 1200 czołgów, którymi jeszcze dysponujemy.

Odpowiedziałem naczelnemu wodzowi, że uważam, iż należy je natychmiast zebrać w dwie grupy: jedną — główną — na północ od Paryża, drugą — na południe od Reims. Rdzeń tych grup stanowić powinno to, co pozostało z naszych dywizji pancernych. Na dowódcę pierwszej grupy zaproponowałem generała Delestraint, inspektora wojsk pancernych. Do pierwszej grupy należałoby dodać trzy, do drugiej — dwie dywizje piechoty wyposażone w środki transportowe i w zdwojoną ilość artylerii. Dałoby nam to możliwość zadawać nieoczekiwane uderzenia w skrzydła tych lub innych zmechanizowanych korpusów niemieckich, gdy po przełamaniu naszego frontu rozciągnęłyby się wszerek i wydłużyły w głąb. Generał Weygand przyjął do wiadomości moje propozycje, po czym zaczął mówić o sytuacji bojowej.

— 6 czerwca — powiedział — zostanę zaatakowany nad Sommą i nad Aisne. Będę miał na karku dwa razy więcej dywizji niemieckich, niż sami posiadamy. To wystarczy, by zrozumieć,

jak nikłe są nasze widoki. Jeżeli sprawy nie potoczą się zbyt szybko, jeżeli zdołam zawczasu wcielić z powrotem do armii wojska francuskie, które wymknęły się z Dunkierki, jeżeli je będę miał w co uzbroić, jeżeli armia brytyjska po ponownym wyekwipowaniu się powróci, by wziąć znowu udział w walce, jeżeli wreszcie Anglicy zgodzą się zaangażować gros swego lotnictwa w walkach na kontynencie — to pozostanie nam jeszcze jakaś szansa.

Potem potrząsnął głową i dodał:

— W przeciwnym razie...

Wiedziałem wszystko. Z ciężkim sercem opuściłem generała Weyganda.

Na barki jego nieoczekiwanie spadło brzemie ogromnego zadania, które w dodatku przerastało jego siły. Gdy 20 maja objął naczelne dowództwo, było już niewątpliwie za późno na to, aby wygrać bitwę o Francję. Generał Weygand widocznie sam był tym zaskoczony. Ponieważ nigdy nie przemyślał realnych możliwości wojsk zmechanizowanych, błyskawiczne sukcesy, jak również ogromne środki przeciwnika wprawiły go w osłupienie. Aby stawić czoło tej katastrofalnej sytuacji, musiałby sam stać się innym człowiekiem, musiałby z dnia na dzień zerwać z przestarzałymi koncepcjami, z tempem i metodami, które już nie miały zastosowania. Musiałby w swych planach strategicznych wyjść poza ciasne ramy metropolii, zwrócić przeciwko wrogowi tę samą śmiertelną broń, która on się posłużył, i wykorzystać w swej własnej strategii atuty wielkich przestrzeni, wielkich szybkości, wielkich zasobów, objąć nią dalekie terytoria, sojusze, morza. Weygand nie był człowiekiem zdolnym dokonać tego dzieła. Jego wiek, zarówno jak jego mentalność, a przede wszystkim temperament, stały temu na przeszkodzie.

Weygand w rzeczy samej był znakomitą doradcą. Oddał w tym charakterze niezwykle usługi Fochowi. W 1920 roku nakłonił Piłsudskiego do zaakceptowania planu, który ocalił Polskę. Jako szef sztabu generalnego wykazał za urzędowania kilku ministrów i pod ich władzą inteligencję i odwagę oraz umiejętność obrony żywotnych interesów armii. Jeżeli jednak walory potrzebne do służby sztabowej i walory potrzebne do dowodzenia nie są sobie przeciwstawne, to w każdym razie nie można stawiać między nimi znaku równania. Decydować się na akcję na własną odpowiedzialność, polegać tylko na sobie, stawić czoło losowi, ta cierpka pasja cechująca prawdziwego wodza — wszystkiego tego Weygand ani nie posiadał, ani nie był do tego przygotowany.

Zresztą w ciągu całej swej długiej kariery wojskowej Weygand, czy to w wyniku osobistych skłonności, czy też na skutek zbiegu

okoliczności, nigdy nie dowodził żadnym pułkiem, brygada, dywizją, korpusem ani armią. Fakt, że w momencie największego niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek zagrażało Francji, właśnie jego wybrano na naczelnego wodza, i to wybrano nie dlatego, że wierzano w jego zdolności, lecz pod pretekstem, że jego „nazwisko jest sztandarem” — był następstwem błędu charakterystycznego dla naszej polityki, która aż nazbyt często skłonna była iść drogą najmniejszego oporu.

Ale przynajmniej z chwila gdy się zorientowano, że Weygand nie nadaje się na to stanowisko, powinien je być niezwłocznie opuścić, bądź na własną prośbę, bądź na mocy decyzji rządu. To jednak nie nastąpiło. Odtąd porwany biegiem wydarzeń, których już nawet nie próbował opanować, począł szukać jedyne go wyjścia leżącego w zasięgu jego możliwości: kapitulacji. A że nie chciał wziąć na siebie całej odpowiedzialności za to, więc próbował wciągnąć na tę drogę rząd. Znalazł w tym pomoc marszałka Pétaina, który z różnych powodów domagał się tego samego rozwiązania. Francja miała za to wszystko zapłacić nie tylko katastrofalnym rozejmem wojskowym, ale ponadto niewolą państwa. Potwierdza to raz jeszcze prawdę, że w obliczu wielkich niebezpieczeństw ocalenie znaleźć można tylko w wielkości.

5 czerwca dowiedziałem się, że wróg wznowił ofensywę. W ciągu dnia udałem się po rozkazy do generała Frère'a, dowódcy 7 armii, w którego pasie działania znajdowała się moja dywizja. Podczas gdy dookoła oficerowie sztabowi (przeglądali alarmujące meldunki, ten prawdziwy żołnierz zwrócił się do mnie ze słowami:

— Jesteśmy chorzy. Mówią, że zostanie pan mianowany ministrem. Za późno na to, byśmy mogli jeszcze liczyć na wyzdrowienie. Ach, gdyby przynajmniej uratować honor!

UPADEK

W nocy z 5 na 6 czerwca Paul Reynaud w związku z rekonstrukcją swego gabinetu powołał mnie na stanowisko podsekretarza stanu w ministerstwie obrony narodowej. Wiadomość tę zakomunikował mi rano generał Delestraint, inspektor wojsk pancernych, który ją słyszał w radio. Nieco później nadeszło oficjalne potwierdzenie. Pożegnawszy się z mą dywizją wyjechałem do Paryża.

Gdy przybyłem na ulicę Saint-Dominique, zastałem tam premiera. Był jak zawsze żywy, pewny siebie, pełen werwy, zawsze gotów wysłuchać każdego zdania i szybko powziąć decyzję. Wy tłumaczył mi, co go skłoniło do tego, by na kilka dni przedtem powołać w skład rządu marszałka Pétaina, który — co do tego ani Reynaud, ani ja nie mieliśmy żadnych wątpliwości — służył za parawan zwolennikom zawieszenia broni.

— Lepiej — powiedział do mnie premier używając znanego zwrotu — mieć go wewnątrz niż zewnątrz.

— Obawiam się — odparłem — że będzie pan musiał zmienić zdanie. Wydarzenia potoczą się teraz bardzo szybko i zachodzi niebezpieczeństwo, że fala defetyzmu zaleje wszystko. Dysproporcja między naszymi siłami a siłami Niemiec jest tak wielka, że jeżeli nie nastąpi jakiś cud, nie mamy już najmniejszej szansy na zwycięstwo w metropolii, ani nawet na to, żeby się w niej utrzymać. Zresztą nasze dowództwo jest tak zdruzgotane błyskawicznym rozwojem wypadków, że już się z tego nie otrząśnie. Wreszcie, sam pan najlepiej wie, jaka atmosfera rezygnacji panuje w kołach rządowych. Marszałek i ci, co stoją za nim, będą teraz mieli łatwą sprawę. Jeżeli jednak wojna 1940 roku jest dla nas przegrana, możemy wygrać inną wojnę. Nie rezygnując z tego, by tak długo, jak to będzie możliwe, kontynuować walkę na kontynencie europejskim, musimy się zdecydować i odpowiednio przygotować do prowadzenia wojny w oparciu o nasze posiadłości zamorskie. Wymaga to odpowiedniej polityki: prze-

rzucenia sił i środków do Afryki Północnej, wyznaczenia dowódców zdolnych pokierować przyszłymi działaniami wojennymi, utrzymania ścisłych stosunków z Anglikami, nie zważając na żadne żale, które możemy żywić do nich. Gotów jestem zająć się niezbędnymi do tego przygotowaniem. Paul Reynaud wyraził swą zgodę.

— Musi pan — dodał — jak najprędzej wyjechać do Londynu. W czasie ostatnich rozmów z rządem, brytyjskim 26 i 31 maja wywołałem, być może, wrażenie, że nie wykluczamy ewentualności zawieszenia broni. Teraz jednak trzeba przekonać Anglików, że cokolwiek by się stało, będziemy dalej walczyć — w razie potrzeby nawet we Francji zamorskiej. Zobaczy się pan z Churchillem i powie mu pan, że rekonstrukcja mojego gabinetu i pański udział w nim są dowodem, że jesteśmy na to zdecydowani.

Poza tym ogólnym zadaniem miałem podjąć w Londynie starania o uzyskanie zgody rządu angielskiego, aby angielskie lotnictwo, przede wszystkim myśliwskie, w dalszym ciągu brało udział w operacjach we Francji. Wreszcie miałem nalegać, podobnie jak poprzednio domagał się tego premier, na podanie nam dokładnych terminów, kiedy wojska brytyjskie, którym udało się uniknąć katastrofy dunkierskiej, będą na nowo uzbrojone i ponownie wysłane na kontynent. Odpowiedź na te dwa pytania zależała od wyjaśnień technicznych, których udzielić mogły tylko odpowiednie sztaby, ale zarazem i od decyzji Winstona Churchilla jako ministra wojny.

Podczas gdy organy łączności przygotowywały rozmowy, które miałem odbyć w stolicy Anglii, udałem się 8 czerwca do zamku w Montry, by nawiązać kontakt z generałem Weygandem. Naczelnny wódz był spokojny i opanowany. Jednakże już kilka chwil rozmowy wystarczyło mi, aby zrozumieć, że pogodził się z myślą o klęsce i jest zdecydowany na zawieszenie broni. Oto niemal dosłowna treść naszej rozmowy, która — jakżeż mogłoby być inaczej — dobrze pozostała mi w pamięci.

— Jak pan widzi — rzekł do mnie generał Weygand — nie myliłem się, gdy kilka dni temu zapowiedziałem panu, że Niemcy 6 czerwca zaatakują nas nad Sommą. W tej chwili są w trakcie forsowania rzeki. Nie mogę im w tym przeszkodzić.

— Przypuśćmy, że sforsują Somnę. I co dalej?

— Co dalej? Dalej przyjdzie kolej na Sekwanę i Marnę.

— Zgoda. A potem?

— Potem? Ależ to koniec!

— Jak to koniec? A świat? A nasze imperium? Generał Weygand roześmiał się z goryczą:

— Imperium? Ależ to dziecinada! Jeżeli zaś chodzi o resztę świata, to zapewniam pana, że jeżeli zostaną tu pobity, Anglia najdalej w ciągu ośmiu dni rozpocznie rokowania z Niemcami.

Po czym patrząc mi w oczy dodał:

— Ach, gdybym był pewien, że Niemcy pozostawią mi dosyć sił dla utrzymania porządku...

Wszelka dalsza dyskusja była bezcelowa. Opuściłem generała Weyganda oświadczając mu, że jego punkt widzenia jest sprzeczny z intencjami rządu, który nawet i wtedy nie zaprzestanie walki, gdyby obecna kampania skończyła się niepomyślnie. Weygand nic już na to nie odpowiedział i pożegnał się ze mną nader uprzejmie.

Przed powrotem do Paryża rozmawiałem jakiś czas z oficerami różnych sztabów, którzy przybyli do generała Weyganda na odprawę, a których znałem osobiście. Rozmowy te utwierdziły mnie w przekonaniu, że w kołach wyższych dowódców uważano kampanię za przegraną i że spełniając mechanicznie swoje obowiązki każdy z nich w duchu pragnął, żeby bitwa o Francję tak czy inaczej skończyła się jak najprędzej; nie miałem wątpliwości, że niebawem pragnienie to wypowiedane będzie głośno. Po to, aby skierować umysły ku nowym celom i natchnąć ludzi odwagą do kontynuowania wojny poza metropolią, niezbędne były zdecydowane kroki rządu.

Natychmiast po powrocie oświadczyłem to premierowi. Zaklinałem go na wszystko, aby odebrał dowództwo generałowi Weygandowi, który pogodził się już z myślą o klęsce.

— Na razie jest to niemożliwe — odpowiedział Paul Reynaud — ale trzeba zawczasu pomyśleć o następcy. Co pan o tym sądzi?

— Jeżeli chodzi o następcę — odparłem — to nie widzę obecnie nikogo poza Huntzigerem. Chociaż i on nie ma wszystkich potrzebnych ku temu warunków, to jednak zdaniem moim zdolny jest wznieść się do strategii w skali światowej.

Paul Reynaud w zasadzie zgodził się z moją sugestią, nie chciał jednak natychmiast wcielić jej w życie.

Zdecydowany powrócić wkrótce do tej sprawy, zabrałem się do opracowania planu przerzucenia do Afryki Północnej wszystkiego, co można tam było przerzucić. Sztab generalny armii w porozumieniu ze sztabami marynarki wojennej i lotnictwa rozpoczął już przygotowania do ewakuacji na tamtą stronę Morza Śródziemnego wszystkich sił i środków nie zaangażowanych w bitwie. Chodziło w szczególności o dwa roczniki rekrutów, odbywających szkolenie na zachodzie i południu Francji, i o tę część składu osobowego wojsk pancernych, która ocalała od pogromu na północy. W sumie dawało to około pięciuset tysięcy wyszkolonych ludzi.

Później niewątpliwie można by ewakuować drogą morską wiele innych jednostek bojowych, w miarę jak resztki naszej armii cofać się będą ku wybrzeżu. W każdym razie można by ewakuować do Afryki resztki naszego lotnictwa bombowego mogącego o własnych siłach przebyć Morze Śródziemne oraz ocalałe eskadry myśliwskie, personel baz lotniczych i morskich, a przede wszystkim — samą flotę. Dowództwo marynarki wojennej, do którego należało zadanie przeprowadzenia tych transportów, obliczało, że po uruchomieniu wszystkich naszych środków transportu morskiego zabraknie nam pięciuset tysięcy ton. O ten brakujący tonaż należało się zwrócić do Anglii.

Wczesnym rankiem 9 czerwca udałem się samolotem do Londynu. Towarzyszyli mi mój adiutant Geoffroy de Courcel i szef kancelarii dyplomatycznej premiera Roland de Margerie. Była niedziela. Stolica Anglii tchnęła atmosferą spokoju, nieomal beztroski. Ulice i parki pełne spokojnych spacerowiczów, długie szeregi ludzi przed kinami, sznury samochodów sunących ulicami, dostojne sylwetki portierów przed gmachami hoteli i klubów — wszystko to należało do innego świata niż ten, który ogarnęła wojna. Niewątpliwie dzienniki wskazywały między wierszami na prawdziwą sytuację, chociaż podobnie jak w Paryżu, tak i tutaj wiadomości były osładzane oficjalnym optymizmem i przeplatane naiwnymi anegdotami. Niewątpliwie plakaty na murach, budowane schrony, maski gazowe przypominały o ewentualnym niebezpieczeństwie. Ale było jasne, że olbrzymia większość ludności londyńskiej nie zdawała sobie sprawy z całej powagi sytuacji we Francji; tempo wydarzeń było na to zbyt prędkie. Widać było, że Anglicy w każdym razie uważają, iż kanał La Manche jest jeszcze dostatecznie szeroki...

Churchill przyjął mnie na Downing Street. Było to pierwsze moje spotkanie z nim. Wrażenie, jakie odniosłem z tej rozmowy, utwierdziło mnie w przekonaniu, że Wielka Brytania pod kierownictwem takiego bojownika na pewno się nie podda. Churchill wydał mi się człowiekiem zdolnym sprostać najtrudniejszym zadaniom pod warunkiem, by były one nie tylko trudne, ale i wzniosłe. Pewność jego sądów, wielka kultura osobista, znajomość spraw, krajów i ludzi, o których chodziło, wreszcie ogromne zainteresowanie specyficznymi zagadnieniami wojny — wszystko to w toku naszej rozmowy w pełni dało się odczuć. Przede wszystkim jednak już sam charakter Churchilla predestynował go do tego, by działać, nie cofać się przed ryzykiem, wpływać na bieg wydarzeń, zmierzać do celu stanowczo i bez skrupułów. Słowem, uważałem, że znakomicie nadaje się do roli przywódcy i wodza. Takie były moje pierwsze wrażenia.

Później zostałem w nich tylko utwierdzony przekonawszy się ponadto o jego wielkim darze wymowy i o tym, jak umie się nim posługiwać. Obojętnie, czy przemawiał do tłumu czy do parlamentu do rady ministrów czy do pojedynczego słuchacza, czy mówił przed mikrofonem czy z mównicy, przy stole czy zza biurka, zawsze jego natchniony, oryginalny, sugestywny tok myśli, uczuć i argumentów dawał mu nieomal nieodparty autorytet w owych dramatycznych warunkach, w których borykał się świat. Jako wytrawny polityk Churchill posługiwał się tym boskim, a zarazem demonicznym darem słowa, aby poruszyć, porwać flegmatyczną masę Anglików, a także robić wrażenie na cudzoziemcach. Humor, którym umiał okraszać swe gesty i słowa, ton, w którym kurtuazja przeplatała się z gniewem, świadczyły, jak dalece panuje nad straszliwą grą narzuconą mu przez bieg wydarzeń.

Przykre i ostre incydenty, do których później wielokrotnie dochodziło między nami, tak z powodu różnicy naszych charakterów, jak i na skutek niektórych sprzeczności interesów między naszymi krajami i niesprawiedliwości popełnianych przez Anglią wobec ciężko doświadczonej Francji, wpływały na moją postawę wobec premiera, ale nigdy nie zmieniły mojej opinii o nim. Od początku aż do końca wielkiej tragedii Winston Churchill zawsze był w moich oczach wielkim bojownikiem o wielką sprawę, wielkim współtwórcą wielkiej historii.

Tego dnia wyłuszczyłem mu wszystko, co mi premier francuski polecił powiedzieć o woli naszego rządu prowadzenia nadal walki, nawet gdybyśmy musieli ją kontynuować z naszych posiadłości zamorskich. Churchill okazał żywe zadowolenie z tej decyzji rządu francuskiego. Ale czy będzie ona miała jakieś praktyczne rezultaty? Dał mi do zrozumienia, że nie jest o tym przekonany. W każdym razie nie wierzył już w możliwość naprawienia sytuacji militarnej w samej Francji, co znalazło niedwuznaczny wyraz w jego kategorycznej odmowie udziału znacniejszych sił RAF w walkach na kontynencie.

Od czasu ewakuacji armii angielskiej z Dunkierki lotnictwo brytyjskie brało już tylko sporadycznie udział w bitwie o Francję. Z wyjątkiem jednej grupy myśliwskiej, która dzieliła jeszcze los naszego lotnictwa, eskadry brytyjskie miały swe bazy na Wyspach Brytyjskich i były zbyt oddalone, by móc wspierać nasze wojska nieustannie cofające się coraz dalej na południe. Na moją usilną prośbę, aby do współdziałania z nami przerzucić na lotniska na południe od Loary przynajmniej część lotnictwa angielskiego, Churchill odpowiedział stanowczo odmową. Jeżeli chodzi o siły lądowe, to przyrzekł przysłać do Normandii świeżo przy-

byłą dywizję kanadyjską i pozostawić we Francji 51 dywizję szkocką, jak również resztki brygady zmechanizowanej, które walczyły wspólnie z nami. Natomiast oświadczył mi, że nie może nawet w przybliżeniu ustalić terminu, kiedy korpus ekspedycyjny, któremu udało się uniknąć pogromu w Belgii — przy pozostawieniu tam sprzętu bojowego — będzie w stanie wziąć znowu udział w walce.

Jedność strategiczna Londynu i Paryża była zatem faktycznie zerwana. Jedno niepowodzenie na kontynencie wystarczyło, aby Anglia poświęciła się wyłącznie sprawom związanym z jej własną obroną. Było to pośmiertnym triumfem Schlieffena, właściwego twórcy planu niemieckiego, który po niepowodzeniach niemieckich w 1914 i 1918 roku tym razem doprowadził w końcu do rozdzielenia sił francuskich i angielskich, a tym samym do wbicia klina między Francję i Anglię. Łatwo było przewidzieć, jakie wnioski wyciągną stąd koła defetystyczne we Francji.

Prócz tej rozmowy z Churchillem nawiązałem w ciągu tego samego dnia kontakt z ministrem wojny Edenem, z pierwszym lordem admiralicji Alexandrem, z ministrem lotnictwa Archibaldem Sinclairem i z szefem sztabu generalnego Johnem Dille. Odbyłem także narady z naszym ambasadorem Corbinem, z przewodniczącym angielsko-francuskiego komitetu do spraw koordynacji zakupów materiałów wojennych Monnetem oraz z szefami naszych misji wojskowych: armii, marynarki wojennej i lotnictwa. Było jasne, że jeżeli w Londynie ludność była spokojna, to w kołach dobrze poinformowanych kłęski we Francji wywołały najwyższy niepokój i wątpliwości co do dalszej postawy władz francuskich. Wieczorem wylądowałem na lotnisku w Bourget, zresztą nie bez trudności, bo lotnisko na krótko przedtem było bombardowane przez Niemców.

W nocy z 9 na 10 czerwca Paul Reynaud zawezwał mnie do swego mieszkania. Dopiero co otrzymał alarmujące wiadomości. Przeciwnik osiągnął Sekwanę poniżej Paryża. Z drugiej strony wszystko wskazywało na to, że niemieckie wojska pancerne przejdą lada chwila do decydującego uderzenia w Szampanii. Stolica była więc bezpośrednio zagrożona z trzech stron: od zachodu, od wschodu i od północy. Wreszcie nasz ambasador w Rzymie François-Poncet donosił, że oczekuje z minuty na minutę wypowiedzenia wojny przez rząd włoski. W obliczu tych niepomyślnych wiadomości mogłem zaproponować tylko jedno: zdobyć się na największy wysiłek, jak najprędzej ewakuować się do Afryki i niezwłocznie przestawić się na wojnę koalicyjną z wszystkimi wpływającymi stąd konsekwencjami.

Niewiele godzin spędzonych w ciągu tej doby przy ulicy Saint-Dominique* dało mi aż nazbyt wiele podstaw do utwierdzenia się w przekonaniu, że nie ma innego wyjścia. Wydarzenia rozwijały się tak szybko, że niepodobieństwem było nadażyć za nimi. Każda powzięta decyzja była już w kilka chwil później nieaktualna. Powoływano się na precedensy pierwszej wojny światowej, które w rzeczywistości nie miały już najmniejszego zastosowania. Łudzono się, że istnieje jeszcze jakiś front, jakieś aktywne, działające dowództwo, naród zdolny do ofiar. Marzenia lub reminiscencje! W rzeczywistości naród był wstrząśnięty i ogłuszony, armia pozbawiona wiary i nadziei, a tryby aparatu państwowego obracały się w warunkach kompletnego chaosu.

Odczułem to zwłaszcza podczas krótkich wizyt złożonych przeze mnie zgodnie z przyjętym zwyczajem czołowym osobistościom Republiki: najpierw prezydentowi Lebrun, któremu zostałem przedstawiony jednocześnie z nowymi ministrami, potem przewodniczącym obu Izb i wreszcie członkom rządu. Na zewnątrz wszyscy okazywali spokój i godność. Ale było jasne, że byli już tylko statystami na scenie, na której obracali się siłą przyzwyczajenia. Wśród orkanu rozgrywających się wydarzeń posiedzenia rady ministrów, udzielane instrukcje, odbierane meldunki, deklaracje publiczne, krzątania oficerów, urzędników, dyplomatów, parlamentarzystów, dziennikarzy, którzy mieli coś do zakomunikowania lub przychodzili o coś się pytać — wszystko to sprawiało wrażenie jakiejś fantasmagorii, pozbawionej realnego celu i znaczenia. W istniejących warunkach i w tych ramach, w których rozgrywały się wydarzenia, jedynym wyjściem istotnie była kapitulacja. Z tym albo trzeba było się pogodzić — a pewni ludzie, i to wcale nie najpośledniejsi, już się z tym pogodzili — albo za wszelką cenę zmienić ramy i warunki walki. „Cud nad Marną” mógł się powtórzyć, ale tylko nad Morzem Śródziemnym.

Dzień 10 czerwca był dniem agonii. Wieczorem rząd miał opuścić Paryż. Odwrót na froncie przebiegał coraz szybciej. Włochy wypowiedziały nam wojnę. Teraz już nikt nie mógł mieć wątpliwości: to była katastrofa. Ale na najwyższych szczytach państwa aktorzy tej tragedii poruszali się jak gdyby we śnie. Zdarzały się nawet chwile, które upadek Francji z wyżyn jej wielkości na samo dno przepaści zaprawiały jakimś makabrycznym humorem. Tak na przykład rano ambasador Włoch Guariglia przybył na ulicę Saint-Dominique z dosyć dziwną wizytą. Przyjął go Baudouin, któremu według jego relacji dyplomata włoski oświadczył:

— Zobacz pan, że w ostatecznym efekcie to wypowiedzenie

* W Ministerstwie Obrony Narodowej (*przyp. red.*).

wojny wyjaśni wzajemne stosunki między naszymi dwoma krajami. Stwarza ono sytuację, która koniec końców okaże się bardzo pożyteczna...

Wkrótce po tym wchodząc do gabinetu premiera zastałem u niego ambasadora amerykańskiego W. Bullitta. Myślałem, że przyszedł do premiera, aby na polecenie Waszyngtonu dodać nam otuchy na przyszłość. Nic podobnego. Przyszedł się pożegnać. Postanowił pozostać w Paryżu, aby w miarę możliwości i potrzeby interweniować w interesie stolicy. Ale jakkolwiek chwalebne byłyby jego intencje, fakt pozostawał faktem, że w rozstrzygających dniach przy rządzie francuskim nie będzie ambasadora Stanów Zjednoczonych. Obecność D. Biddle'a, któremu rząd waszyngtoński polecił utrzymywanie kontaktu z rządami emigracyjnymi, mimo wszystkich walorów tego znakomitego dyplomaty nie mogła zmienić wrażenia, że w Stanach Zjednoczonych nie przywiązywano już wielkiego znaczenia do Francji.

Tymczasem, podczas gdy Paul Reynaud gorączkowo przygotowywał się do przemówienia, które miał wygłosić przez radio i co do którego zasięgał mej rady, na ulicę Saint-Dominique przybył niespodzianie generał Weygand. Ledwo zdążono go zameldować, a już bez ceremonii wszedł do gabinetu premiera. Zauważywszy, że Reynaud jest tym nieco zdziwiony, oświadczył, iż został jakoby wezwany.

— Nie przeze mnie — oświadczył Reynaud.

— Ani przeze mnie — dodałem od siebie.

— W takim razie musiało zajść jakieś nieporozumienie — powiedział Weygand. — Ma ono jednak i swą dobrą stronę, bo mam coś ważnego do zakomunikowania.

Usiadł i począł od razu rozwijać swój pogląd na sytuację. Wniosek był oczywisty: powinniśmy nie zwlekając prosić o zawieszenie broni.

— Sprawy zaszły tak daleko — oświadczył kładąc na stole jakiś dokument — że odpowiedzialność każdego z nas powinna być wyraźnie określona. Dlatego też ująłem swój pogląd na piśmie i pozostawiam panu ten dokument.

Premier, mimo iż bardzo się śpieszył, bo miał niebawem wygłosić swe przemówienie, które w dodatku było już zapowiedziane, podjął dyskusję z naczelnym wodzem. Ten jednak trwał przy swoim: wojna w metropolii jest przegrana, trzeba kapitulować.

— Ale są jeszcze i inne możliwości — wtrąciłem w pewnej chwili. Weygand zapytał z ironią:

— Czy ma pan jakieś propozycje?

— Rząd — odpowiedziałem — nie proponuje, tylko rozkazuje, i mam nadzieję, że to uczyni...

Skończyło się na tym, że Reynaud pożegnał naczelnego wodza. Rozstaliśmy się w bardzo napiętej atmosferze.

Ostatnie godziny pobytu rządu w stolicy były wypełnione przygotowaniami, których wymagał tego rodzaju exodus. Faktycznie przygotowania były już daleko posunięte, zgodnie z planem opracowanym przez Sekretariat Generalny Obrony Narodowej. Ale pozostawało do zrobienia wszystko to, czego nie dało się przewidzieć. Przy tym w związku z nieuniknionym już teraz pojawieniem się Niemców pod murami Paryża wyłaniało się mnóstwo trudnych problemów. Od chwili objęcia mego stanowiska reprezentowałem pogląd, że Paryża należy bronić, i domagałem się od premiera, który był zarazem ministrem obrony narodowej i ministrem wojny, by w tym celu mianował gubernatorem Paryża stanowczego człowieka. Proponowałem na to stanowisko generała de Lattre'a, który wyróżnił się ostatnio na czele swej dywizji w walkach w rejonie Rethel. Ale wkrótce potem naczelnny wódz ogłosił Paryż „miastem otwartym”, a rada ministrów zatwierdziła jego decyzję. Teraz trzeba więc było w sposób zaimprovizowany zorganizować ewakuację zarówno wielu obiektów, jak i ogromnej masy ludzi. Byłem tym zaabsorbowany aż do wieczora, podczas gdy dookoła pakowano skrzynie, a w całym gmachu roło się od przybyłych w ostatniej chwili interesantów i bez przerwy rozpaczliwie dzwoniły telefony.

Około północy wsiedliśmy z Reynaud do jednego samochodu. Posuwaliśmy się powoli drogą zatłoczoną pojazdami i ludźmi. O świcie stanęliśmy w Orleanie. W gmachu prefektury nawiązaliśmy łączność telefoniczną z Kwaterą Główną, która zainstalowała się w Briare. Wkrótce potem zatelefonował generał Weygand prosząc o połączenie z premierem. Reynaud wziął do ręki słuchawkę i ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedział się, że po południu tego dnia przybędzie Churchill. Okazało się, że naczelnny wódz prosił go przez wojskowe organy łączności, aby jak najszybciej przybył do Briare.

— Trzeba — mówił generał Weygand — by Churchill osobiście zapoznał się z rzeczywistą sytuacją na froncie.

— Jak to — zwróciłem się do premiera — czy pan pozwoli na to, żeby naczelnny wódz na własną rękę zapraszał brytyjskiego premiera do Francji? Czyż pan nie widzi, że generał Weygand nie przeprowadza już planu operacyjnego, lecz prowadzi własną politykę, i to w dodatku sprzeczną z polityką pańskiego rządu? Czyż w tych warunkach rząd pozostawi go jeszcze na stanowisku?

— Ma pan rację — odpowiedział Reynaud. — Trzeba z tym

skończyć. Mówiliśmy z panem o generale Huntzigerze jako ewentualnym następcy Weyganda. Jedźmy więc natychmiast rozmówić się z Huntzigerem.

Ale gdy zajęły samochody, premier zwrócił się do mnie:

— Doszedłem do wniosku, że jednak lepiej będzie, jeżeli pan sam uda się do Huntziguera. Ja tymczasem przygotuję się do rozmowy z Churchillem i Anglikami. Spotkamy się w Briare.

Generała Huntziguera, dowódcę Grupy Armii Środek, zastałem na stanowisku dowodzenia w Arcissur-Aube. Przybyłem tam w chwili, gdy korpus pancerny Guderiana zaatakował i przełamał front jego wojsk w Szampanii. Byłem zaskoczony spokojem i opanowaniem Huntziguera. Poinformowałem go o swej krytycznej sytuacji. Z kolei ja zobrazowałem mu ogólne położenie i w końcu powiedziałem:

— Rząd zdaje sobie sprawę, że bitwa o Francję jest faktycznie przegrana, ale ma niezłomną wolę kontynuować wojnę i w tym celu przenieść się do Afryki z wszystkim, co da się ewakuować. Decyzja ta zakłada całkowitą zmianę naszej strategii i organizacji. Obecny naczelny wódz nie jest człowiekiem, który może jeszcze tego dokonać. Czy pan podjąłby się tego zadania?

— Tak jest — brzmiała prosta odpowiedź Huntziguera.

— Doskonale. Otrzyma pan od rządu odpowiednie instrukcje.

Jadąc do Briare obrałem drogę przez Romilly i Sens, aby nawiązać kontakt z dowódcami różnych związków. Wszędzie widoczny był bezład i panika. Wszędzie jednostki wojskowe pomieszane z tłumem uciekinierów uchodziły na południe. Droga była tak zatarasowana, że pod Méry mój skromny samochód przez całą godzinę nie mógł ruszyć z miejsca. Jakaś dziwna mgła, którą wielu brało za falę gazu, jeszcze bardziej zwiększała nerwowość żołnierzy, przypominających stado opuszczone przez pasterza.

W Kwaterze Głównej w Briare udałem się natychmiast do premiera Reynaud i poinformowałem go o odpowiedzi Huntziguera. Zorientowałem się jednak od razu, że premier odstąpił od zamiaru natychmiastowego odwołania Weyganda i znowu chciał prowadzić wojnę mając przy sobie naczelnego wodza, który dążył do zawieszenia broni.

Przechodząc przez hall przywitałem się z marszałkiem Pétainem, którego nie widziałem od 1938 roku.

— Został pan generałem — rzekł do mnie. — Nie składam panu gratulacji. Cóż po stopniach wojskowych, kiedy się jest pobitym!...

— Ale przecież i pan, panie marszałku — odparłem — otrzymał swe pierwsze szlify generalskie podczas odwrotu w 1914 roku. W kilka dni potem zwyciężyliśmy nad Marną.

— To nie ma nic do rzeczy — odburknął Pétain. Co do tego zresztą miał rację. Tymczasem przybył Churchill i rozpoczęła się konferencja.

Na tej naradzie otwarcie starły się ze sobą poglądy i dążenia, które miały odtąd znamionować nową fazę wojny. Wszystko, co dotąd określało każdy krok i każde zapatrywanie, należało do przeszłości. Solidarność anglo-francuska, potęga armii francuskiej, lojalność dowództwa przestały być samo przez się zrozumiałymi faktami. Każdy z uczestników narady zachowywał się już nie jako partner wspólnie prowadzonej akcji, lecz jako człowiek orientujący się i działający już tylko na własną rękę.

Generał Weygand nie krył się z tym, że jego największą troską jest skończyć jak najprędzej bitwę i wojnę. Powołując się na świadectwo generałów Georges'a i Bessona roztoczył przed uczestnikami konferencji obraz beznadziejnej sytuacji militarnej. Naczelny wódz, który zresztą w latach 1930—1935 był szefem sztabu generalnego, spokojnie, choć nieco agresywnie tłumaczył przyczyny klęski swych armii. Mówił tonem człowieka, który stawia zarzuty innym, lecz sam uchyla się od odpowiedzialności. W konkluzji oświadczył, że należy zakończyć tę ciężką próbę, ponieważ wojsko może się w każdej chwili załamać i otworzyć tym samym drogę anarchii i rewolucji.

Marszałek Pétain zabrał głos, aby jeszcze bardziej pogłębić ten pesymizm. Churchill chcąc rozładować atmosferę zwrócił się do niego na w pół żartobliwie:

— Ależ, panie marszałku! Proszę sobie przypomnieć bitwę pod Amiens w marcu 1918 roku, gdzie wszystko szło jak najgorzej. Odwiedziłem pana wtedy w pańskiej Kwaterze Głównej. Przedstawił mi pan swój plan. W parę dni później front był znowu przywrócony.

Na to marszałek surowym tonem:

— Tak jest, front został przywrócony. Tylko że wtedy wy, Anglicy, byliście rozbici, a ja wam posłałem czterdzieści dywizji, aby was wyciągnąć z opresji. Dziś my jesteśmy rozbici. Gdzież jest waszych czterdzieści dywizji?

Premier francuski, chociaż powtarzał raz po raz, że Francja nie wycofa się z walki, i nalegał na Anglików, by przysłali nam na pomoc gros swego lotnictwa, dawał jednocześnie do zrozumienia, że mimo wszystko nie zamierza się rozstać ani z Weygandem, ani z Pétainem, jak gdyby oddawał się jeszcze nadziei, że pewnego dnia zdoła ich jeszcze pozyskać dla swej polityki. Churchill wydawał się niewzruszony i pełen energii. Wobec Francuzów stojących w obliczu katastrofy zachowywał nacechowaną serdecznością rezerwę, jak gdyby pod wpływem strasznej, ale wspaniałej per-

spektywy wyobrażał już sobie — nic bez pewnej wewnętrznej satysfakcji — jak to Anglia pozostanie na swej wyspie całkowicie odosobniona, a on, Churchill, przywiedzie ją do zwycięstwa.

Myśląc o tym, co dalej ma nastąpić, rozumiałem, że cała ta szermierka słowna jest bezsensowna i konwencjonalna, skoro nie ma na widoku jedyne go słusznego rozwiązania polegającego na tym, by podjąć na nowo walkę poza granicami Francji europejskiej.

Po trzygodzinnej dyskusji, która nie dała żadnego wyniku, zasiedliśmy przy tym samym stole do kolacji. Siedziałem obok Churchilla. Nasza rozmowa umocniła we mnie zaufanie do jego siły woli. Nie wątpię, że i on odniósł wrażenie, iż de Gaulle, chociaż wytracono mu z ręki oręż, jest nie mniej zdecydowany.

Admirał Darlan, nieobecny na konferencji, pojawił się dopiero po kolacji. Przepuszczając przed sobą generała Vuillemina, szefa sztabu generalnego lotnictwa, podszedł do premiera Reynaud. To, z czym przychodził, dawało wiele do myślenia. Przewidziana była połączona operacja floty i lotnictwa dla bombardowania Genui. Według ustalonego planu miała ona być przeprowadzona tej nocy. Ale Darlan zmienił zdanie zasłaniając się obiekcjami generała Vuillemina, który obawiał się, że Włosi gotowi są w odwet za to zbombardować nasze składy paliwa w Berre. Admirał jednak przed zmianą rozkazu chciał mieć na to zgodę rządu.

— Co pan sądzi o tym? — zwrócił się do mnie Reynaud.

— W sytuacji, w jakiej się znajdujemy — odpowiedziałem — uważam, że wręcz przeciwnie, nie należy niczego oszczędzać. Moim zdaniem operację należy wykonać.

Darlan zdołał jednak przekonać premiera i operację odwołano. Później Genua została mimo to zbombardowana przez słabe siły morskie, w trzy dni po pierwotnie przewidzianym terminie. Incydent ten wyjaśnił mi, że teraz i Darlan prowadzi własną grę.

W ciągu następnego dnia, 12 czerwca, mieszkając w zamku Beauvais, własności pana Le Provost de Launay, pracowałem przez cały dzień z generałem Colsonem nad planem ewakuacji do Afryki Północnej. Prawdę mówiąc, wydarzenia, przy których byłem obecny poprzedniego dnia, i izolacja, w jakiej się obecnie znalazłem, napełniły mnie obawą, że nastroje rezygnacji wzmogły się jeszcze bardziej i że plan ten nigdy nie będzie wykonany. Byłem jednakże zdecydowany zrobić wszystko, co leżało w mej mocy, aby stał się on oficjalnym programem rządu i został narzucony dowództwu.

Skończywszy główną część prac udałem się do Chissay, gdzie zatrzymał się Reynaud. Było późno. Premier opuściwszy posiedzenie rady ministrów, które odbyło się w Cangey i na które nie zostałem zaproszony, przybył około godziny jedenastej wieczór

w towarzystwie Baudouina. Podczas gdy jedli kolację z osobami swego otoczenia, przysiadłem się do stołu i wyraźnie postawiłem sprawę Afryki Północnej. Ale moi rozmówcy nie chcieli słyszeć o żadnym problemie z wyjątkiem jednego, również zresztą związanego z problemem ewakuacji, który został wysunięty na radzie ministrów. Chodziło mianowicie o to, dokąd obecnie rząd ma się udać. Istotnie, wszystko wskazywało na to, że Niemcy po sforsowaniu Sekwany niezaślęgu wyjdą nad Loarę. Istniała alternatywa: Bordeaux albo Quimper. Przy zastawionym stole wyłoniła się na ten temat hałaśliwa i bezładna dyskusja, wszyscy byli bowiem zdenerwowani i zmęczeni. Ostatecznie nie powzięto żadnej decyzji. Reynaud udał się na spoczynek umówiwszy się ze mną na następny dzień rano.

Ja oczywiście byłem za Quimper. Nie dlatego, bym ulegał jakimś złudzeniom co do możliwości utrzymania się w Bretanii. Chodziło mi o co innego: rząd przenosząc swą siedzibę do Quimper wcześniej czy później będzie zmuszony ewakuować się drogą morską. Niemcy bowiem, aby przedsięwziąć działania przeciw Anglikom, bezwarunkowo musieli zająć Półwysep Bretoński, tak że w żadnym razie nie mogło być mowy o tym, by Bretania stała się „wolną strefą”. Z chwilą zaś gdy ministrowie znajdą się już na okręcie, skierują się najprawdopodobniej do Afryki — bądź bezpośrednio, bądź po krótkim zatrzymaniu się w Anglii. W każdym razie Quimper był to etap na drodze do stanowczej decyzji. Dlatego też, gdy Reynaud po moim wstąpieniu do rządu mówił mi o swym projekcie stworzenia „bretońskiego bastionu”, od razu się z tym zgodziłem. I na odwrót, tacy ludzie, jak Pétain, Weygand, Baudouin, którzy zmierzali do kapitulacji, kierując się — cokolwiek by twierdzili — przesłankami politycznymi, a bynajmniej nie względami natury wojskowej, byli temu projektowi przeciwni.

13 czerwca wczesnym rankiem powróciłem do Chissay. Po długiej dyskusji i wbrew wszystkim wysuniętym przeze mnie argumentom premier postanowił przenieść siedzibę rządu do Bordeaux zasłaniając się tym, że poprzedniego dnia wypowiedziała się za tym rada ministrów. Z tym większą więc energią zacząłem się domagać, aby wydany został przynajmniej rozkaz zobowiązujący naczelnego wodza do tego, aby zaplanował i przygotował przerzucenie wojsk do Afryki. Wiedziałem, że koniec końców tego właśnie pragnie Reynaud. Ale różne intrygi i wpływy tak na niego działały, że ta ostatnia nadzieja topniała z godziny na godzinę.

Jednakże tegoż dnia około godziny 12 premier podpisał list do generała Weyganda precyzując, czego rząd od niego oczekuje: „Przed wszystkim utrzymania jak najdłużej w swym ręku Masywu Centralnego i Bretanii”, a następnie „...w razie kiesi...”

przeniesienia się do Francji zamorskiej i podjęcia stamtąd walki przy wykorzystaniu wolności mórza". List ten był niewątpliwie dowodem jak najlepszych intencji premiera. Ale nie był moim zdaniem owym kategorycznym rozkazem, którego wymagała sytuacja. Zresztą i po podpisaniu był jeszcze przedmiotem długich dyskusji kularowych i został wysłany dopiero następnego dnia.

W ciągu tego samego przedpołudnia przybył do Chissay prezydent senatu Jeanneney i prezydent Izby Deputowanych Herriot. Pierwszy okazywał wśród ogólnego zamieszania zdecydowaną postawę powołując się raz po raz na przykład Clemenceau, z którym w wielkich dniach 1917 i 1918 roku bezpośrednio i blisko współpracował w rządzie. Drugi, towarzyski i rozmowny, mówił z głębokim przejęciem o różnych targających nim uczuciach. I jeden, i drugi manifestowali swą solidarność z premierem i byli gotowi wraz z rządem przenieść się do Algieru. Raz jeszcze odniosłem wrażenie, że Reynaud, mimo wszystkich intryg i knowań stronników kapitulacji, mógł przeforsować swoje stanowisko, gdyby tylko nie godził się na żadne ustępstwa.

Byłem już w Beauvais, gdy we wczesnych godzinach popołudniowych zatelefonował do mnie Margerie, szef kancelarii dyplomatycznej premiera: „Za chwilę rozpocznie się w prefekturze w Tours konferencja premiera z Churchillem, który przybył wraz z kilkoma ministrami angielskimi. Donoszę panu o tym w największym pośpiechu, bo i mnie poinformowano dopiero w ostatniej chwili. Jakkolwiek nie jest pan zaproszony, uważam, że powinien pan przybyć. Baudouin przejawia dużą aktywność, co mi się bardzo nie podoba”.

Jechałem do Tours zaniepokojony tym nieoczekiwanym spotkaniem, o którym Reynaud, choć przez długie godziny byłem z nim razem, nie uznał za stosowne mnie poinformować. Na dziedzińcu i w korytarzach prefektury tłoczył się tłum parlamentarzystów, urzędników, dziennikarzy, którzy przybyli spragnieni nowin i przypominali wzburzony chór w antycznej tragedii zbliżającej się do rozwiązania. Podczas przerwy na obiad wszedłem do gabinetu, gdzie zastałem premiera w towarzystwie Baudouina i Margerie. Właśnie w tej samej chwili Churchill i jego brytyjscy koledzy powrócili do gabinetu. Margerie poinformował mnie szybko, że odbyli oni naradę w parku i mają teraz odpowiedzieć na wysunięte przez Francuzów pytanie: „Czy Anglia mimo układu z 28 marca 1940 roku, którym obie strony zobowiązały się nie rozpoczynać separatystycznych rokowań z przeciwnikiem, gotowa jest zgodzić się na to, by Francja zapytała Niemcy o warunki, na jakich mogłaby uzyskać zawieszenie broni”.

Churchill usiadł. Lord Halifax, lord Beaverbrook, sir Alexander Cadogan i towarzyszący im generał Spears również zajęli miejsca. Przez chwilę panowało przytłaczające milczenie. Potem premier angielski zabrał głos. Mówił po francusku. Równym i smutnym tonem, kiwając głową, z cygarem w ustach, zaczął od tego, że w imieniu własnym oraz rządu i narodu brytyjskiego wyraża nam współczucie z powodu losu, który spotkał Francję. „Zdajemy sobie w pełni sprawę — mówił — z sytuacji, w jakiej Francja się znajduje. Rozumiemy, że czujecie się przyparci do muru. Nasza przyjaźń dla was pozostaje niewzruszona. W każdym razie bądźcie pewni, że Anglia nie wycofa się z wojny. Będziemy walczyć aż do końca, obojętnie gdzie i obojętnie jakimi środkami, nawet i wówczas, jeżeli nas zostawicie samych.”

Z kolei przeszedł do sprawy zawieszenia broni między Francją a Niemcami. Myślałem, że uniesie się oburzeniem, tymczasem przeciwnie, wyraził pełne współczucia zrozumienie. Ale przechodząc do sprawy marynarki wojennej stał się nagle surowy, nieprzejeđnany. Było widoczne, że rząd angielski tak dalece obawia się, by francuska marynarka wojenna nie została wydana Niemcom, iż gotów jest odstąpić od warunków umowy z 28 marca, byle tylko, póki jeszcze czas, uzyskać gwarancję co do losu naszych okrętów. I tym też istotnie skończyła się ta potworna narada. Przed opuszczeniem sali obrad Churchill zażądał jeszcze z naciskiem, aby Francja przed zaprzestaniem działań wojennych odesłała do Anglii czterystu wziętych do niewoli niemieckich lotników, co mu też od razu przyrzeczone.

W towarzystwie naszego premiera Anglicy przeszli teraz do sąsiedniej sali, gdzie znajdowali się prezydenci obu Izb i kilku ministrów. Tutaj panowała zupełnie inna atmosfera. W szczególności Jeanneney, Herriot i Marin mówili tylko o jednym: o konieczności kontynuowania wojny. Podeszedłem do premiera i zapytałem go nieco podrażnionym tonem:

— Czy pan doprawdy zgodzi się na to, by Francja poprosiła o zawieszenie broni?

— Oczywiście, że nie. Ale trzeba sprawić wrażenie na Anglikach, żeby uzyskać od nich większą pomoc.

Odpowiedzi tej rzecz jasna nie mogłem traktować poważnie. Po hałaśliwym pożegnaniu na dziedzińcu prefektury wszyscy się rozeszli. Zupełnie przygnębiony wyjechałem do Beauvais. Tymczasem premier wysłał telegram do prezydenta Roosevelta błagając go o pomoc i dając do zrozumienia, że w przeciwnym razie dla nas wszystko jest stracone. Wieczorem Reynaud oświadczył w radio: „Jeżeli tylko cud może uratować Francję, wierzę w ten cud”.

Nie miałem wątpliwości, że zbliżamy się do rozwiązania. Podobnie jak oblężona twierdza jest bliska kapitulacji z chwilą, kiedy jej komendant zaczyna w ogóle o tym mówić, tak i Francja zbliżała się do zawieszenia broni, skoro szef jej rządu oficjalnie brał w rachubę tę możliwość. W tych warunkach dalsza moja obecność w rządzie, jakkolwiek by skromne było moje stanowisko, stawała się dla mnie niemożliwa. Tymczasem w nocy, w chwili gdy już zasiadłem do napisania prośby o dymisję, minister spraw wewnętrznych Georges Mandel, uprzedzony o tym przez szefa mego gabinetu Jean Laurenta, zaprosił mnie do siebie.

André Diethelm wprowadził mnie do jego gabinetu. Mandel mówił do mnie uroczystym i zdecydowanym tonem, który zrobił na mnie duże wrażenie. Był tak jak ja przekonany, że tylko kontynuując wojnę można obronić niepodległość i honor Francji. Ale właśnie w imię tej konieczności narodowej radził mi pozostać na zajmowanym stanowisku.

— Kto wie — powiedział — czy w końcu nie zdołamy jednak doprowadzić do tego, że rząd mimo wszystko uda się do Algieru. Opowiedział mi jeszcze, co po odjeździe Anglików zaszło na radzie ministrów. Mimo sceny, którą urządził tam generał Weygand, większość członków gabinetu zajęła zdecydowaną postawę. Powiadomił mnie także, że pierwsze oddziały niemieckie wkraczają już do Paryża. Potem przechodząc do spraw dotyczących przyszłości dodał:

— Tak czy owak, jest to dopiero początek wojny światowej. Będzie pan, generale, miał wielkie zadanie do spełnienia. Z tą jednak przewagą, że wśród nas wszystkich jest pan jedynym człowiekiem o nieposzlakowanej reputacji. Myśl pan tylko o tym, co należy uczynić dla Francji, i pamiętaj, że pańskie obecne stanowisko może panu w przyszłości ułatwić to zadanie.

Muszę przyznać, że ten argument przekonał mnie, iż istotnie należy poczekać ze złożeniem dymisji. I prawdopodobnie temu właśnie zawdzięczam, że praktycznie biorąc mogłem później zrobić to, co zrobiłem.

14 czerwca rząd znowu się ewakuuje. Żegnam się z moimi gospodarzami, państwem Le Provost de Launay. Postanowili oni nie ruszać się z domu i wraz z wszystkimi członkami rodziny, którzy nie byli zmobilizowani lub nie podlegali służbie wojskowej, przetrwać odwrót wojsk francuskich, a potem okres okupacji. Przed wieczorem po męczącej jeździe drogą zatłoczoną masami uciekinierów przybyłem do Bordeaux, gdzie kazałem się zaprowadzić do siedziby dowództwa okręgu wojskowego — rezydencji premiera. Marquet, mer miasta i deputowany, od razu mnie pierwsze-

mu zwierzył się z tym, co zamierza oświadczyć premierowi; brzmiało to bardzo pesymistycznie.

Gdy zjawił się Reynaud, powiedziałem mu:

— Od trzech dni widzę, w jakim tempie zbliżamy się do kapitulacji. Starałem się służyć panu moją skromną współpracą, ale po to, by prowadzić wojno. Odmawiam poddania się decyzji dotyczącej zawieszenia broni. Jeżeli pan tu pozostanie, fala defetyzmu porwie pana ze sobą. Trzeba jak najprędzej przenieść się do Algieru. Czy pan jest na to zdecydowany, czy też nie?

— Tak — odpowiedział Reynaud.

— W takim razie — kontynuowałem — muszę natychmiast udać się do Londynu, aby załatwić sprawę udziału Anglików w zorganizowaniu transportu. Wyjadę jutro. Gdzie pana zastanę?

Na to Reynaud:

— Zastanie mnie pan w Algierze.

Uzgodniliśmy, że wyjadę w nocy i zatrzymam się najpierw w Bretanii, by zorientować się na miejscu, co można tam załadować na okręty. Reynaud poprosił mnie jeszcze, abym na jutro rano zavezwał do niego Darlana; chciał z nim pomówić o sprawach marynarki.

Darlan znajdował się wtedy w drodze do La Guéritoulde. Wieczorem osiągnąłem go telefonicznie i przekazałem mu polecenie premiera. Odpowiedział mi gniewnym głosem: „Jutro mam pojechać do Bordeaux? Nie rozumiem, czym premier może się tam zajmować. Ja jestem dowódcą i nie mam czasu do stracenia”. W końcu jednak uspokoił się, ale ton, jakim przemawiał, nie rokował nic dobrego na przyszłość. W kilka chwil po tym rozmawiając krótko z Jean Ybarnegaray, ministrem stanu, który dotychczas był zwolennikiem walki do upadłego, mogłem się przekonać, w jakim tempie zmieniały się nastroje niektórych ludzi. Przybył on do mnie do hotelu „Splendide”, gdzie w pośpiechu jadłem obiad w towarzystwie Geoffroy de Courcela. „Co do mnie — powiedział — to jako stary żołnierz znam tylko jedną zasadę: słuchać moich zwierzchników, Pétaina i Weyganda!”

— Może przekona się pan pewnego dnia — odpowiedziałem mu na to — że dla ministra dobro państwa jest wyższe nad wszystkie inne względy.

W tej samej sali jadł obiad marszałek Pétain. Przywitałem się z nim w milczeniu. Uścisnął mi rękę nie mówiąc ani słowa. Nie miałem go już nigdy więcej zobaczyć.

Jakaż siła pchała go ku jego straszliwemu losowi? Cała kariera tego wyjątkowego człowieka była jednym pasmem wymuszonych na sobie wyrzeczeń. Zbyt dumny, by być intrygantem, zbyt wybitny, by zadowolić się przeciętną rolą, zbyt szlachetny,

by stać się karierowiczem, był wciąż w swej samotności opanowany żądzą władzy, która podsycalała w nim świadomość własnej wartości, przeszkody napotymane na drodze i pogarda dla innych. Sława wojenna niegdyś szczerze obsypała go swymi gorzkimi darami. Ale nie dało mu to satysfakcji, ponieważ nie był jej jedynym ulubieńcem. I oto nagle, u schyłku lat, wydarzenia dawały mu od tak dawna oczekiwaną możliwość rozwinięcia w pełni swych talentów i zaspokojenia swej pychy — pod jednym wszakże warunkiem, że dostąpi własnego wywyższenia kosztem upadku Francji i że upadek ten okryje swą sławą.

Trzeba powiedzieć, że marszałek Pétain tak czy inaczej uważał wojnę za przegraną. Ten stary żołnierz, który włożył mundur bezpośrednio po wojnie 1870 roku, skłonny był uważać obecną walkę po prostu za nową wojnę francusko-niemiecką. Zwyciężeni w pierwszej, wygraliśmy drugą wojnę 1914 — 1918 roku, wprawdzie z aliantami, ale odgrywającymi drugorzędną rolę. Teraz przegrywaliśmy trzecią. To było okrutne, lecz odpowiadało prawom rządzącym historią. Po Sedan i po upadku Paryża trzeba było skończyć wojnę, paktować i w razie potrzeby rozprawić się z Komuna, tak jak w podobnych okolicznościach niegdyś rozprawił się z nią Thiers. Dla starego marszałka takie elementy, jak światowy charakter konfliktu, jak możliwości wykorzystania terytoriów Francji zamorskiej, jak konsekwencje ideologiczne zwycięstwa Hitlera w ogóle nie wchodziły w rachubę. Nie miał zwyczaju zajmować się tego rodzaju problemami.

Mimo wszystko jestem przekonany, że w innych czasach marszałek Pétain nie zgodziłby się przyjąć berła władzy w warunkach poniżenia narodowego. Jestem przekonany, że w każdym razie tak długo, jak jeszcze był sobą, obrałby drogę wojny, gdyby się tylko przekonał, że jego rachuby były mylne, że zwycięstwo jest jeszcze możliwe, że Francja może wnieść swój wkład do zwycięstwa. Ale lata niestety nie tylko zużyły go fizycznie, lecz skruszyły także jego charakter. W swym sędziwym wieku poddawał się wpływom ludzi umiejących zręcznie wykorzystywać jego zmęczenie i zasłaniać swoje machinacje jego wielkim nazwiskiem. Starość jest katastrofą. I skoro już nic nie miało nam być oszczędzone, starość marszałka Pétaina stała się symbolem upadku Francji.

O tym wszystkim myślałem w nocy jadąc do Bretanii. Jednocześnie utwierdzałem się w postanowieniu kontynuowania wojny niezależnie od tego, do czego mnie to może doprowadzić. Rano 15 czerwca przybyłem do Rennes, gdzie spotkałem się z generałem René Altmayerem, który dowodził różnymi oddziałami wal-

czącymi na wschód od rzeki Mayenne, z generałem Guitry, dowódcą okręgu wojskowego, i z prefektem departamentu Ille-et-Vilaine. Wszyscy trzej, każdy na swym odcinku, robili wszystko, co było możliwe. Usiłowałem skoordynować ich wysiłki i środki dla obrony tego rejonu. Potem udałem się do Brestu mijając kolumny angielskie, które miały się tam zaokrętować. W prefekturze morskiej rozważałem wspólnie z admirałem Traubem i dowódcą zachodniej strefy morskiej, admirałem de Laborde, możliwości i potrzeby marynarki w związku z zaokrętowaniem wojsk w portach Bretanii. Po południu udałem się na pokład niszczyciela „Milan”, który miał mnie zawieźć do Plymouth; na pokładzie znajdowała się także grupa chemików na czele z generałem Lemoine, którą minister zbrojeń Raoul Dautry wysłał do Anglii, aby dostarczyć w bezpieczne miejsce nasz zapas „ciężkiej wody”. O świcie 16 czerwca przybyłem do Londynu.

Zamieszkałem w hotelu „Hyde Park”, gdzie w kilka minut po moim przybyciu pojawili się Corbin i Monnet. Ambasador Corbin zawiadomił mnie, że moje spotkania z Anglikami dla omówienia spraw transportu są wyznaczone na godziny przedpołudniowe. Poza tym zostało uzgodnione z rządem brytyjskim, że jeżeli Francja nie zwróci się do Niemiec z prośbą o zawieszenie broni, Churchill spotka się nazajutrz z Reynaud w Concarneau, aby wspólnie z nim ustalić program zaokrętowania wojsk. Później moi rozmówcy przeszli na inny temat. „Wiemy, że w Bordeaux nastroje defetystyczne szybko przybierają na sile. Zresztą, podczas gdy pan znajdował się w drodze, rząd francuski potwierdził telegraficznie swą ustną prośbę skierowaną 13 czerwca do Churchilla przez premiera co do zwolnienia Francji od zobowiązań układu z 28 marca. Nie wiemy jeszcze, jaka będzie odpowiedź Anglików; mają jej udzielić dziś rano. Przypuszczalnie zgodzą się pod warunkiem gwarancji dotyczących floty. Zbliżają się więc ostatnie minuty. Tym bardziej że rada ministrów ma w ciągu dzisiejszego dnia zebrać się w Bordeaux i że to posiedzenie najprawdopodobniej będzie miało rozstrzygające znaczenie.”

„Otóż zdawało nam się — tak mniej więcej kontynuowali swe wywody Corbin i Monnet — że jakieś nieoczekiwane pociągnięcie wprowadzające do sytuacji zupełnie nowy element mogłoby przyczynić się do zmiany nastrojów, a przede wszystkim utwierdzić Reynaud w jego postanowieniu udania się do Algieru. Dlatego też wspólnie ze stałym podsekretarzem stanu *Foreign Office* sir Robertem Vansittartem przygotowaliśmy projekt, który powinien wywołać nie lada efekt. Chodzi o unię francusko-angielską, którą rząd angielski uroczyście zaproponowałby rządowi w Bordeaux. W myśl tego projektu oba państwa postanowiły-

by utworzyć wspólny rząd, wspólnie wykorzystywać swe zasoby, w równej mierze ponosić ofiary dla zwycięstwa, słowem całkowicie związać swe losy. Nie jest wykluczone, że w obliczu podobnego kroku zrobionego w podobnych warunkach nasi ministrowie zdecydują się wzmoczyć opór na polu walki, a w każdym razie odroczyć kapitulację. Ale chodzi o to, żeby projekt nasz został przyjęty przez rząd brytyjski. Jest pan jedynym człowiekiem, który może to uzyskać od Churchilla. Jest już uzgodnione, że spotka się pan z nim na śniadaniu. Nadarza się więc znakomita okazja do omówienia tej sprawy, oczywiście jeżeli pan zgadza się z samą koncepcją."

Przeczytałem uważnie tekst, który mi przyniesiono. Było dla mnie od razu jasne, iż chodzi o sprawę tak wielką, że jej szybka realizacja jest w ogóle niemożliwa. Biło w oczy, że nie można w drodze zwykłej wymiany not połączyć w jedną całość, choćby tylko w zasadzie, Anglii i Francji z ich różnymi instytucjami, interesami, imperiami, nawet gdyby to było pożądane. Również i te punkty projektu, które można by praktycznie rozstrzygnąć, jak na przykład zagadnienie wspólnych wysiłków wojennych, wymagały żmudnych i mozolnych rokowań. Ale tego rodzaju propozycja skierowana przez rząd angielski do rządu francuskiego stanowiła manifestację solidarności, która już sama przez się mogła nabrać ogromnego realnego znaczenia. Zwłaszcza — w tym podzielałem zdanie Corbina i Monneta — że projekt ten mógł w tych najkrytyczniejszych chwilach wzmocnić pozycję Reynaud wobec jego ministrów domagających się zaprzestania walki. Z tych wszystkich względów oświadczyłem gotowość podjęcia starań, by Churchill zgodził się na ten projekt.

Przedpołudnie było niezmiernie pracowite. Zacząłem od tego, by zmienić port przeznaczenia transportowca „Pasteur”, wiozącego ze Stanów Zjednoczonych 1000 armat 75-milimetrowych, kilka tysięcy karabinów maszynowych i znaczne ilości amunicji. Zgodnie z wnioskiem naszej misji wojskowej wydałem rozkaz, by statek ten znajdujący się wówczas na morzu został zamiast do Bordeaux skierowany do jednego z portów brytyjskich. Biorąc pod uwagę nową sytuację należało przeszkodzić temu, by transport ten o zupełnie bezcennej wówczas wartości wpadł w ręce wroga. W rezultacie w armaty i karabiny maszynowe przywiezione przez „Pasteura” zostali uzbrojeni Anglicy, którzy w Dunkierce stracili niemal cały swój sprzęt bojowy.

Jeżeli chodzi o sprawę transportu do Algieru, to spotkałem się ze strony Anglików ze szczerą, gorliwą chęcią zrobienia wszystkiego, by wzmocnić nasze środki transportowe i zapewnić im osłonę. Wszystkie przygotowania do tej operacji prowadzone

były przez admiralicję brytyjską w porozumieniu z naszą misją morską, na której czele stał admirał Odend'hal. Ale było oczywiste, że w Londynie nikt już nie wierzył w to, że francuskie koła rządzące zdobędą się jeszcze na akt odwagi. Rozmowy z różnymi działaczami pozwoliły mi zorientować się, że poczynania naszych sojuszników podejmowane w różnych dziedzinach były już traktowane pod kątem widzenia bliskiego końca walk we Francji. Najbardziej niepokoił wszystkich los naszej marynarki. W tych dramatycznych godzinach każdy Francuz we wszystkich spotkaniach z Anglikami czuł wypowiedziane lub nie wypowiedziane pytanie: „Co stanie się z waszą marynarką?”

O tym samym myślał premier brytyjski, gdy wspólnie z Corbinem i Monnetem zasiedliśmy do śniadania w „Carlton Club”.

— Cokolwiek by się stało — powiedziałem mu — flota francuska nie zostanie dobrowolnie oddana przeciwnikowi. Nawet Pétain nigdy się na to nie zgodzi. Zresztą flota jest lennem Darlana, a pan feudalny nie wyrzeka się swego lenna. Żeby jednak być pewnym, że wróg nie zdoła położyć ręki na nasze okręty, trzeba, byśmy kontynuowali wojnę. Otóż muszę panu powiedzieć, że pańska postawa w Tours była dla mnie przykrą niespodzianką. Sprawiało to wrażenie, że nie przywiązuje pan zbyt wielkiej wagi do naszego sojuszu. Pańska ustępliwość jest wodą na młyn naszych defetystów. Mówią oni: „Sami widzicie, że jesteśmy zmuszeni do kapitulacji. Przecież nawet Anglicy się temu nie sprzeciwiają”. Otóż nie! Nie tak powinien pan być postąpić, by nas podtrzymać w tym straszliwym kryzysie, w jakim się znajdujemy.

Churchill wydawał się tym wstrząśnięty. Rozmawiał przez chwilę z majorem Mortonem, szefem swego gabinetu. Przypuszczałem, że w ostatniej chwili wydaje dyspozycje, aby zmienić powziętą już decyzję. I to może było powodem, że w Bordeaux w pół godziny później ambasador brytyjski zgłosił się do Reynaud, aby wycofać doręczoną mu już notę, w której rząd brytyjski w zasadzie zgadzał się na to, by Francja zapytała Niemcy o warunki ewentualnego zawieszenia broni.

Potem poruszyłem w rozmowie z Churchillem projekt unii między naszymi narodami.

— Lord Halifax mówił mi już o tym — rzeki na to Churchill. — Ale to nadzwyczaj skomplikowana sprawa.

— Tak jest — odpowiedziałem. — Toteż jej realizacja wymagałaby bardzo długiego czasu. Ale sama manifestacja może nastąpić natychmiast. W sytuacji zaś, w której się znajdujemy, nie należy pominąć niczego, co może podtrzymać Francję i po-

Po krótkiej dyskusji premier podzielił mój punkt widzenia. Zwołał natychmiast posiedzenie gabinetu brytyjskiego i udał się na Downing Street, by mu przewodniczyć. Towarzyszyłem mu tam i podczas gdy angielscy ministrowie odbywali naradę, czekałem z ambasadorem Francji w gabinecie przyległym do sali konferencyjnej rady ministrów. W międzyczasie zatelefonowałem do Reynaud, by go uprzedzić, iż spodziewam się, że jeszcze przed wieczorem przekażę mu w porozumieniu z rządem angielskim bardzo doniosłą wiadomość. Odpowiedział mi na to, że wobec tego przesuwam posiedzenie rady ministrów na godzinę siedemnastą. „Ale — dodał — dłużej odraczać go nie mogę.”

Posiedzenie gabinetu brytyjskiego trwało dwie godziny. Od czasu do czasu z sali konferencyjnej wychodził ten lub inny minister, by wyjaśnić z nami, Francuzami, jakiś szczegół. W końcu wszyscy ministrowie z Churchillem na czele weszli do naszego pokoju. „Zgadzaamy się!” — oświadczyli. Istotnie tekst uchwalony przez radę ministrów był, z wyjątkiem niektórych drobnych szczegółów, identyczny z przedłożonym im przez nas projektem. Natychmiast połączyłem się telefonicznie z Reynaud i przedyktowałem mu cały dokument. „To jest bardzo ważne — oświadczył premier. — Za chwilę zrobię z tego użytek na naszym posiedzeniu.” W kilku słowach powiedziałem mu jeszcze wszystko, co mogłem, aby go podnieść na duchu. Potem Churchill wziął słuchawkę do ręki: „Hallo, Reynaud! De Gaulle ma rację! Nasza propozycja może mieć ogromne konsekwencje. Trzeba się trzymać!” Potem wysłuchawszy odpowiedzi dodał: „A zatem do jutra, w Concarneau”.

Pożegnałem się z Churchillem. Dał mi samolot, bym mógł natychmiast powrócić do Bordeaux. Uzgodniliśmy, że samolot pozostanie do mojej dyspozycji na wypadek, gdyby zaszły wydarzenia, które by mnie skłoniły do powrotu do Londynu. Churchill miał pojechać pociągiem na wybrzeże, by na pokładzie niszczyciela udać się do Concarneau. O godzinie 21.30 wylądowałem w Bordeaux. Pułkownik Humbert i Auburtin z mego gabinetu oczekiwali mnie na lotnisku. Zawiadomili mnie, że premier ustąpił i prezydent Lebrun powierzył marszałkowi Pétainowi misję utworzenia nowego rządu. Oznaczało to nieuchronnie kapitulację. Od razu też postanowiłem, że o świcie odlecę z powrotem do Londynu.

Poszedłem do Reynaud. Przekonałem się, że nie żywi on żadnych złudzeń i pojmuję, co oznacza objęcie władzy przez Pétaina, a jednocześnie odczuwa jak gdyby ulgę z powodu uwolnienia się od ogromnego ciężaru. Sprawiał wrażenie człowieka, który stracił już wszelką nadzieję. Tylko ci, którzy byli naoczniymi

świadkami owych wydarzeń, mogą zrozumieć, co oznaczało ponosić odpowiedzialność za rządy w tym strasznym okresie. W ciągu długich dni bez odpoczynku i nocy bez snu premier czuł, że na nim spoczywa cała odpowiedzialność za losy Francji. Szef rządu bowiem, gdy fortuna odwraca się od niego, zawsze jest samotny. Na niego bezpośrednio spadały wszystkie ciosy, które znaczyły kolejne etapy naszego upadku: przełamanie frontu przez Niemców pod Sedanem, katastrofa w Dunkierce, oddanie Paryża, załamanie się w Bordeaux. A objął przecież kierownictwo rządu dopiero w przeddzień naszego nieszczęścia, nie mając już wcale czasu, by stawić mu czoło, i sam od dawna proponował politykę wojskową, która by mogła zapobiec katastrofie. Wobec strasznego orkanu zachował się woli, która go ani na chwilę nie opuszczała. Nigdy w ciągu tych dramatycznych dni nie stracił panowania nad sobą. Nigdy się nie unosił, nie oburzał, nie żalił. Tragiczny był ten widok wysoce wartościowego człowieka, którego niezasłużenie złamały przemożne wydarzenia.

W gruncie rzeczy Paul Reynaud z istoty swej był człowiekiem, który mógłby prowadzić wojnę w państwie, gdzie panowałby ład oparty na tradycyjnych podstawach. Wszystko to jednak zostało zmiecione. Szef rządu widział, jak dokoła niego załamuje się reżim, ucieka ludność, jak wycofują się sprzymierzeńcy, upadają na duchu najznakomitsi wodzowie. Od dnia kiedy rząd opuścił stolicę, sprawowanie władzy było już tylko swego rodzaju agonią przedłużającą się na szosach i drogach kraju wśród rozprzężenia stosunków służbowych, rozluźnienia dyscypliny i sumienia. W tych warunkach inteligencja Reynaud, jego odwaga, autorytet sprawowanego przez niego urzędu zawisły niejako w próżni. Nie miał on już wpływu na lawinę rozpętanych wydarzeń.

Aby uchwycić znowu wodze w swe ręce, trzeba było wyrwać się z tego zamętu, przenieść do Afryki i tam rozpocząć wszystko od nowa. Reynaud zdawał sobie sprawę z tego. Ale to wymagało powzięcia nadzwyczajnych decyzji: należało zmienić naczelnego wodza, zdymisjonować marszałka i połowę ministrów, zerwać z niektórymi wpływami, pogodzić się z okupacją całej metropolii, słowem, w sytuacji bez precedensu zdecydować się na ryzyko i wyjść poza ramy wszelkich utartych norm i zwyczajów.

Reynaud nie zdobył się na to, by wziąć na siebie odpowiedzialność za tak niezwykle decyzje. Próbował osiągnąć swój cel lawirując. Tym też w szczególności tłumaczy się fakt, że brał

pod uwagę ewentualne warunki przeciwnika, byleby Anglia się na to zgodziła. Niewątpliwie przypuszczał, że nawet ci, którzy pchali do zawieszenia broni, cofną się z chwilą, gdy dowiedzą się o warunkach wroga, i że wtedy dokona się powszechne zjednoczenie sił dla kontynuowania wojny i ocalenia ojczyzny. Ale dramat był zbyt nieubłagany, by można go było planować. Istniała tylko alternatywa: prowadzić wojnę nie szczędząc niczego lub poddać się natychmiast. Innej możliwości nie było. Paul Reynaud właśnie dlatego, że nie stanął bez reszty na gruncie pierwszej z tych diametralnie przeciwnych dróg wyjścia, musiał oddać władzę Pétainowi, który całkowicie opowiedział się za drugą.

Trzeba przyznać, że w decydującym momencie ustrój Francji nie dawał ostatniemu premierowi Trzeciej Republiki żadnego oparcia. Niewątpliwie wielu ludzi zajmujących wybitne stanowiska myślało z odrazą o kapitulacji. Ale władze państwowe, zdruzgotane katastrofą, za którą się czuły odpowiedzialne, w ogóle już nie reagowały. W okresie gdy wyłonił się problem, od którego zależała cała teraźniejszość i cała przyszłość Francji, parlament w ogóle nie odbywał posiedzeń, rząd był niezdolny do podjęcia jednomyślnych i stanowczych decyzji, a prezydent republiki nawet na posiedzeniach rady ministrów uchylał się od zabierania głosu, aby reprezentować najwyższy interes państwa. Toteż w ostatecznym rachunku u podstaw tego dramatu narodowego leżał upadek samego państwa. W świetle błyskawic reżim ukazał się w całej swej potwornej bezradności, oderwany od wszystkiego, co stanowiło o obronie, honorze i niepodległości Francji.

Późnym wieczorem udałem się do hotelu, w którym mieszkał sir Ronald Campbell, ambasador Wielkiej Brytanii, i zakomunikowałem mu swój zamiar wyjazdu do Londynu. Generał Spears, który wmieszał się do rozmowy, oświadczył, iż będzie mi towarzyszył. Zawiadomiłem Reynaud o moim zamierzonym wyjeździe. Reynaud kazał mi wypłacić z tajnych funduszy 100 tysięcy franków. Prosiłem pana de Margerie, aby niezwłocznie wysłał mojej żonie i dzieciom znajdującym się w Carantec paszporty potrzebne na wyjazd do Anglii: udało im się wyjechać ostatnim statkiem opuszczającym Brest. 17 czerwca o godzinie 9 rano odleciałem z Bordeaux z generałem Spearsem i porucznikiem de Courcelem tym samym samolotem brytyjskim, którym przybyłem poprzedniego dnia. Odlot odbył się bez wszelkiego romantyzmu i bez żadnych trudności.

Lecieliśmy nad La Rochelle i Rochefort. W obydwu portach płonęły statki zbombardowane przez niemieckie samoloty. Le-

cieliśmy nad Paimpont, gdzie znajdowała się moja ciężko chora matka. Nad lasem unosiły się gęste kłęby dymu od płonących składów amunicji. Po krótkim zatrzymaniu się w Jersey przybyliśmy do Londynu wczesnym popołudniem. Podczas gdy instalowałem się w mojej nowej kwaterze, a Courcel telefonował do ambasady i do misji wojskowych, gdzie odpowiadano mu już z dużą rezerwą, czułem się samotny i pozbawiony wszelkich środków — jak człowiek, który stojąc na brzegu oceanu zamierza go przebyć w pław.

WOLNA FRANCJA

Kontynuować wojnę? Tak jest, oczywiście. Ale w jakim celu i w jakich rozmiarach? Nie brak było ludzi, którzy nawet aprobując samo przedsięwzięcie pragnęli, by nie wychodziło ono poza ramy poparcia udzielanego przez garstkę Francuzów walczącemu niezłomnie Imperium Brytyjskiemu. Co do mnie to ani przez chwilę nie traktowałem sprawy w tej płaszczyźnie. Mnie chodziło o to, aby służyć sprawie Francji — ratować naród i państwo.

Uważałem, że honor, jedność i niepodległość Francji będą na zawsze utracone, jeżeli okaże się, że w tej wojnie światowej tylko Francja skapitulowała i na tym poprzestała. Wtedy bowiem, jakkolwiek by się ten konflikt zakończył, i niezależnie od tego, czy kraj, niewątpliwie pokonany, zostałby pewnego dnia wyzwolony przez obce armie, czy też pozostałby ujarzmiony, pogarda, która odczuwałby sam dla siebie i budził w innych narodach, zatrzymałaby duszę i życie wielu pokoleń Francuzów. A teraz? W imię czego poprowadzić niektórych jego synów do walki, jeżeli nie będzie ona walką Francji? Dostarczać wojsk pomocniczych siłom zbrojnym obcego mocarstwa? Nie! Jeżeli wysiłek miał się opłacić, trzeba było doprowadzić do tego, by nie tylko Francuzi, ale Francja wzięła znowu udział w wojnie.

To zaś oznaczało: ponowne pojawienie się naszych armii na polach bitew, powrót naszych terytoriów do stanu wojny z przeciwnikiem, udział samego kraju w tej walce, uznanie przez obce mocarstwa faktu, że Francja jako taka kontynuuje wojnę, nie oglądając się na klęskę i na politykę rezygnacji, słowem, przeniesienie suwerenności w ręce tych, którzy opowiadają się za wojna i pewnego dnia odniosą zwycięstwo.

Moja znajomość ludzi i spraw nie pozostawiała mi żadnych złudzeń co do trudności, które należało pokonać. Czekala nas przeprawa z potężnym przeciwnikiem, którego złamać można było tylko długą wojna na wyczerpanie i który mógł liczyć na

współpracę oficjalnych władz francuskich w przeciwstawianiu się wszelkim próbom militarnego odrodzenia państwa. Czekwały nas trudności moralne i materialne; w długiej i zaciętej walce nieuchronnie napotkają je ci, którzy prowadzić ją będą w sytuacji pariasów pozbawionych środków. Czekwały niezliczone obiekcje, insynuacje i oszczerstwa wysuwane przez sceptyków i tchórzów dla usprawiedliwienia własnej bierności. Liczyć się także należało z akcjami rzekomo „równoległymi”, w rzeczywistości zaś rywalizującymi i zmierzającymi do przeciwnych celów. Akcje te nieuchronnie będą musiały wzbudzać wśród Francuzów właściwa im namietność do sporów i zgodnie ze zwyczajem będą wykorzystywane przez politykę i organy wywiadu aliantów, którzy będą chcieli je sobie podporządkować. Czynniki zmierzające do przewrotu będą usiłowały skierować ruch oporu narodowego w stronę rewolucyjnego chaosu, który mógłby zrodzić ich dyktaturę. Wreszcie wielkie mocarstwa mogłyby chcieć wykorzystać naszą słabość we własnych interesach z uszczerbkiem dla interesów Francji.

Ja zaś, porywając się na to, aby przewyciężyć wszystkie te przeszkody, byłem początkowo niczym. Nie rozporządzałem żadną, choćby najmniejszą siłą zbrojną, nie popierała mnie żadna organizacja. W samej Francji — nikogo, kto by dzielił ze mną odpowiedzialność, żadnej popularności i mało komu znane nazwisko. Za granicą — ani kredytu moralnego, ani żadnej legitymacji do działania w imieniu Francji. Ale właśnie fakt, że byłem wszystkiego tego pozbawiony, nakreślał mi linię postępowania. Tylko oddając wszystkie swe siły sprawie ocalenia ojczyzny mogłem stworzyć sobie autorytet. Tylko występując w roli niezłomnego obrońcy narodu i państwa, mogłem uzyskać aprobatę, a nawet wzbudzić entuzjazm Francuzów oraz znaleźć uznanie i poważanie za granicą. Ludzie, których w ciągu tych tragicznych lat raziała moja nieprzejednana postawa, nie chcieli zrozumieć, że dla mnie, usiłującego przewyciężyć niezliczone, sprzeczne ze sobą wpływy, najmniejsze ustępstwo pociągnęłoby za sobą nieobliczalne konsekwencje. Słowem, jakkolwiek byłem osamotniony i ograniczony w środkach, i właśnie dlatego, że nim byłem, musiałem uchwycić władzę i już nigdy nie wypuścić jej z rąk.

Pierwsze, co należało zrobić, to podnieść znowu sztandar bojowy Francji. Mogłem to uczynić tylko za pomocą radia. Już po południu 17 czerwca poinformowałem Churchilla o moim zamiarze. Cóż jako rozbitek wyrzucony na brzegi Anglii mógłbym uczynić bez jego pomocy? Churchill natychmiast mi jej udzielił i na początek oddał do mojej dyspozycji rozgłośnię BBC. Uzgodniliśmy, że skorzystam z niej, skoro tylko rząd Pétaina poprosi o za-

wieszenie broni. Otóż jeszcze tegoż wieczora stało się wiadome, że to uczynił. Nazajutrz o godzinie 18 odczytałem przed mikrofonem mój apel, którego tekst jest znany. W miarę jak padały nieodwołalne słowa, czułem, że kończę jedno życie — życie, które prowadziłem dotąd w warunkach silnej Francji i jej niepodzielnej armii. Mając czterdzieści dziewięć lat rozpoczynałem przygodę jako człowiek, którego wydarzenia wyrzuciły z wszystkich utartych kolein losu.

Zanim jednak uczynić pierwsze kroki na tej drodze bez precedensu w historii, było moim obowiązkiem się upewnić, czy nie znajdzie się kto inny, cieszący się większym ode mnie autorytetem, kto by poprowadził do walki Francję i jej imperium. Dopóki zawieszenie broni nie weszło jeszcze w życie, można było — choć wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu — przypuścić, że rząd w Bordeaux w ostatniej chwili zdecyduje się na wojnę. Jak długo istniała jeszcze najmniejsza szansa na to, nie wolno jej było pominąć. Toteż natychmiast po przybyciu do Londynu, po południu 17 czerwca, zatelegrafowałem do Bordeaux proponując swoje usługi dla kontynuowania w stolicy angielskiej rozmów rozpoczętych przeze mnie poprzedniego dnia w sprawie materiałów wojennych ze Stanów Zjednoczonych, przekazania jeńców niemieckich i organizacji transportów do Afryki.

Odpowiedzią był telegram wzywający mnie do natychmiastowego powrotu. 20 czerwca napisałem do Weyganda, który po kapitulacji przybrał, o dziwo, tytuł „ministra obrony narodowej”, zaklinając go, aby stanął na czele ruchu oporu i zapewniając o moim całkowitym posłuszeństwie, jeżeli to uczyni. Ale list ten został mi w kilka tygodni potem zwrócony przez adresata z adnotacją świadczącą co najmniej o jego nieżyczliwości. 30 czerwca „ambasada francuska” w Londynie zawiadomiła mnie o rozkazie zameldowania się w więzieniu Saint-Michel w Tuluzie, by stanąć przed sądem wojennym. Sąd ten początkowo skazał mnie zaocznie na miesiąc więzienia, a potem na skutek apelacji wniesionej przez „ministra” Weyganda, który był niezadowolony z tego wyroku — na karę śmierci.

Licząc się zresztą — i nie bez powodu — z tym stanowiskiem rządu w Bordeaux, postanowiłem od razu nawiązać również kontakt z władzami Francji zamorskiej. Już 19 czerwca wysłałem telegram do generała Noguèsa, naczelnego dowódcy wojsk w Afryce Północnej i rezydenta generalnego w Maroku, zawiadamiając go, że oddaję się do jego dyspozycji w razie, jeżeli odrzuci zawieszenie broni. Tegoż wieczora przemawiając przez radio wzywałem "Afrykę Clauzela, Bugeaud, Lyauteya, Noguèsa do odrzucenia warunków przeciwnika". 24 czerwca telegrafowałem po-

wtórnie do Noguèsa, zwracając się jednocześnie do generała Mittelhausera, naczelnego dowódcy wojsk w krajach Lewantu, i do Puaux, wysokiego komisarza Francji w krajach Lewantu, jak również do generała Catroux, gubernatora generalnego Indochin. Proponowałem tym wysokim osobistościom stworzenie organu obrony Imperium Francuskiego i powiadomiłem ich, że mogę niezwłocznie nawiązać kontakty między tym organem a Londynem. 27 czerwca, dowiedziawszy się o dosyć bojowym przemówieniu generalnego rezydenta w Tunisie, Peyroutona, wezwałem z kolei i jego do wstąpienia do „Komitetu Obrony”, ponawiając jednocześnie propozycje skierowane do generała Mittelhausera i Puaux. Tegoż dnia poprosiłem na wszelki wypadek o zarezerwowanie dla mnie i dla moich oficerów miejsc na francuskim statku towarowym, który miał odpłynąć do Maroka.

W odpowiedzi otrzymałem tylko telegram od admirała de Carpentier, dowódcy marynarki wojennej w krajach Lewantu, który zawiadomił mnie, że Puaux i generał Mittelhauser zwrócili się do generała Noguèsa w tym samym duchu co ja. Poza tym jeden z synów generała Catroux, znajdujący się wówczas w Londynie, przyniósł mi telegram od swego ojca, który zachęcał go do walki i prosił wyrazić mi swą sympatię i aprobatę. Jednocześnie jednak wysłani przez Anglików Duff Cooper, członek gabinetu, i generał Gort, którzy udali się do Afryki, by zaproponować Noguèsowi pomoc sił brytyjskich, powrócili z niczym do Londynu; Noguès nawet ich nie przyjął. Wreszcie generał Dillon, szef brytyjskiej grupy łączności w Afryce Północnej, został wydalony z Algieru.

Jednakże pierwszym odruchem generała Noguèsa było podnieść sztandar Francji. Jak wiadomo, po zapoznaniu się z warunkami niemieckimi zatelegrafował on 25 czerwca do Bordeaux wyrażając gotowość kontynuowania wojny. Używając wyrażenia, którego sześć dni przedtem i ja użyłem w przemówieniu radiowym, mówił on o „panice w Bordeaux” nie pozwalającej rządowi „obiektywnie ocenić możliwości oporu Afryki Północnej”. Wzywał Weyganda do "poddania rewizji swych zarządzeń dotyczących wykonania zawieszenia broni" i oznajmił, że jeżeli te zarządzenia nie zostaną odwołane, to on, Noguès, „tylko z rumieńcem wstydu na czole będzie mógł je wykonać”. Jest jasne, że gdyby Noguès wybrał wtedy drogę oporu, całe nasze imperium poszłoby za nim. Ale wkrótce stało się wiadome, że zarówno on, jak i inni rezydenci, gubernatorzy i wyżsi dowódcy poddali się żądaniom Pétaina i Weyganda i przyjęli zawieszenie broni. Tylko generał Catroux, generalny gubernator Indochin, i generał Legentilhomme, dowodzący wojskami na wybrzeżu Somali, nie zmienili swego

negatywnego stosunku do zawieszenia broni. I jeden, i drugi zostali pozbawieni swych stanowisk, przy czym ich podwładni niewiele zrobili, by im okazać swe poparcie.

Tej niemocy większości naszych „prokonsulów” odpowiadało ogólne załamanie polityczne w metropolii. Gazety dochodzące nas początkowo z Bordeaux, a potem z Vichy ostentacyjnie aprobowwały zawieszenie broni i donosiły, że zostało ono przyjęte przez wszystkie partie, grupy, władze i instytucje. Zgromadzenie Narodowe zebrawszy się 9 i 10 lipca przekazało niemal bez debaty pełnię władzy Pétainowi. Prawda że osiemdziesięciu deputowanych odważnie głosowało przeciwko temu aktowi abdykacji. Z drugiej zaś strony parlamentarzyści, którzy na statku „Massilia” udali się do Afryki Północnej, zamanifestowali tym samym, że ich zdaniem Imperium Francuskie nie powinno zaprzestać wojny. Niemniej jednak faktem pozostaje, że ani jeden działacz nie podniósł głosu, aby potępić zawieszenie broni.

Przy tym, jeżeli załamanie się Francji wstrząsnęło światem, jeżeli wszystkie narody z niepokojem patrzyły, jak gaśnie to wielkie światło, jeżeli jakiś poemat Charles Morgana lub artykuł François Mauriaca wywoływały łzy w oczach wielu ludzi, to z drugiej strony rządy nie omieszczały pogodzić się z faktem dokonanym. Oczywiście, rządy krajów znajdujących się w stanie wojny z państwami Osi odwołały z Francji swych przedstawicieli; uczyniły to bądź z własnej inicjatywy, jak to miało miejsce przy odwołaniu sir Rolanda Campbella lub generała Vanier, bądź na żądanie Niemców. Ale w Londynie mimo wszystko w gmachu ambasady francuskiej nadal rezydował konsul, który komunikował się z metropolią, podczas gdy Dupuis, konsul generalny Kanady, znajdował się przy marszałku Pétain podobnie jak przedstawiciel Unii Południowoafrykańskiej. W Vichy, zwłaszcza wokół nuncjusza papieskiego Valerio Valeri, ambasadora Związku Radzieckiego Bogomołowa, a wkrótce potem także ambasadora Stanów Zjednoczonych admirała Leahy, powstał pokaźny korpus dyplomatyczny. Wszystko to rzecz jasna ostudziło zapał osobistości, których pierwszym zamiarem było stanąć po stronie Krzyża Lotaryngii.

Strach, rozpacz i rozliczne interesy złożyły się na to, że zarówno wśród Francuzów, jak i wśród innych narodów uważano Francję za pozycję straconą. Jeżeli wielu ludzi w uczuciach swych dochowało wierności jej przeszłości historycznej, a inni z wyrachowania starali się wyciągnąć korzyści z tego, co z niej jeszcze pozostało, to na całym świecie nie było ani jednego człowieka z nazwiskiem, który by działał tak, jak gdyby wierzył jeszcze

w jej niepodległość, dumę i wielkość. Ktokolwiek na świecie miał znaczenie, uważał, że Francja, zbeszczeszczona i zdeptana, jest odtąd skazana na haniebną niewolę. W obliczu tej straszliwej pustki i powszechnej rezygnacji nagle zrozumiałem jasno, na czym polega i jak ciężkie jest moje zadanie. W tym najtragiczniejszym momencie w dziejach Francji mnie przypadło w udziale wziąć na siebie odpowiedzialność za jej los.

Ale nie ma Francji bez miecza. Przede wszystkim należało stworzyć armię. Przystąpiłem niezwłocznie do realizacji tego zadania. Niektóre nasze jednostki wojskowe znajdowały się w Anglii. Były to przede wszystkim jednostki lekkiej dywizji alpejskiej, która po świetnej kampanii w Norwegii pod dowództwem generała Béthouart została w połowie czerwca przerzucona do Bretanii i stamtąd wraz z ostatnimi oddziałami angielskimi ewakuowana do Anglii. Prócz tego z Cherbourga, Brestu i Lorient schroniły się do Anglii okręty francuskiej marynarki wojennej (ogółem około 100 000 ton) mając na pokładzie oprócz własnych załóg niemało marynarzy z innych okrętów i z floty pomocniczej — w sumie około 10 000 ludzi. Wreszcie w szpitalach angielskich znajdowało się kilka tysięcy żołnierzy rannych niedawno w Belgii. Francuskie misje militarne postarały się o takie zorganizowanie dowództwa i administracji tych jednostek, aby wszystkich tych ludzi trzymać w posłuszeństwie wobec Vichy i przygotować ich gremialną repatriację do Francji.

Już samo nawiązanie kontaktu z tymi różnorodnymi i rozproszonymi grupami przedstawiało dla mnie nie lada trudności. Na razie dysponowałem, tylko nieznaczną liczbą oficerów i to niemal wyłącznie niższych stopni. Wszyscy oni byli pełni najlepszych chęci, ale niezdolni do przeciwstawienia się aparatowi hierarchii wojskowej. Prowadzić propagandę wśród podoficerów i szeregowców, z którymi udawało im się spotkać — oto wszystko, co mogli zrobić i co też zrobili. Wyniki były skromne. W osiem dni po ogłoszeniu mojego apelu z 18 czerwca liczba ochotników obozujących w sali Olympii, którą Anglicy oddali do naszej dyspozycji, wynosiła zaledwie kilkaset ludzi.

Trzeba powiedzieć, że władze angielskie bynajmniej nie faworyzowały naszych wysiłków. Co prawda rozpowszechniały wśród francuskich wojskowych ulotki, zawiadamiające ich, że mogą wybierać między repatriacją, przystąpieniem do de Gaulle'a i służbą w brytyjskich siłach zbrojnych. Tu i ówdzie instrukcje udzielone przez Churchilla, i wystąpienia Spearsa, któremu premier brytyjski powierzył funkcje łącznika między Wolną Francją a władzami angielskimi, przewyciężały inercję lub opór. Prawdą jest także, że prasa, radio, wiele organizacji i niezliczone osoby

prywatne gorąco popierały naszą sprawę. Jednakże dowództwo angielskie, oczekując z dnia na dzień ofensywy niemieckiej, a być może nawet i inwazji, było nazbyt zaabsorbowane własnymi przygotowaniami, by zajmować się sprawą w jego oczach zupełnie drugorzędną. Zresztą z wygody i zgodnie z zawodowym przyzwyczajeniem skłaniało się ono raczej do uznawania legalnej władzy, tj. rządu Vichy i jego misji. Wreszcie odnosiło się ono nie bez pewnej nieufności do wczorajszych sprzymierzeńców, poniżonych w swym nieszczęściu, niezadowolonych z siebie i innych oraz pełnych wszelkiego rodzaju pretensji. Co uczynią, jeżeli wróg wtargnie na terytorium brytyjskie? Czy nie byłoby rzeczą najrozsądniejszą jak najprędzej odtransportować ich do Francji? I jakież znaczenie miało w końcu tych kilka batalionów i załóg bez kadry dowódczej i sztabów, które generał de Gaulle spodziewał się pozyskać dla sprawy sojuszników?

29 czerwca udałem się do Trentham-Park, gdzie розміściła się nasza lekka dywizja górską. Dowódca dywizji chciał powrócić do Francji, chociaż był mocno zdecydowany pewnego dnia wziąć znowu udział w walkach, co zresztą później faktycznie uczynił przejawiając męstwo i odwagę. Teraz jednak wydał on zarządzenia, abym mógł zetknąć się z każdym zebrany w tym celu pododdziałem. Dzięki temu miałem możliwość pozyskać znaczną część obydwu batalionów 13 półbrygady Legii Cudzoziemskiej z ich dowódcą podpułkownikiem Magrin-Verneret, pseudo Monclar, i jego zastępcą kapitanem Koenigiem, 200 strzelców górskich, dwie trzecie kompanii czołgów, kilka pododdziałów artylerii, saperów i wojsk łączności oraz kilku oficerów sztabu generalnego i rozmaitych służb, wśród których znajdowali się major de Conchard oraz kapitanowie Dewavrin i Tissier. To było wszystko, chociaż po moim odjeździe z obozu angielscy pułkownicy de Chair i Williams, delegowani przez ministerstwo wojny, zebrali z kolei pododdziały, by im powiedzieć dosłownie: „Macie wszelkie prawo służyć pod rozkazami generała de Gaulle'a. Czujemy się jednak w obowiązku otwarcie was uprzedzić, że jeżeli zdecydujecie się na to, staniecie się buntownikami wobec waszego rządu...”

Następnego dnia chciałem odwiedzić obozy w Aintree i Haydock, gdzie znajdowało się kilka tysięcy francuskich marynarzy. Zaraz po moim przybyciu angielski admirał, dowódca bazy morskiej w Liverpoolu, oznajmił mi, iż jest przeciwny temu, bym spotkał się z tymi ludźmi, ponieważ może to zakłócić porządek. Musiałem odjechać z niczym. W Harrow-Park miałem w kilka dni potem więcej szczęścia. Wśród marynarzy francuskich ruch za zaciąganiem ochotniczym począł mimo wszystko czynić postępy.

Kilku zdecydowanych oficerów, którzy od razu przyłączyli się do mnie, jak np. komandor podporucznik d'Argenlieu, Wietzel, Moulec i Jourden włożyli w to całe serce. Oficerowie i załogi trzech niedużych okrętów wojennych od razu przeszły na moją stronę. Były to okręt podwodny „Rubis” (dowódca Cabanier), który krążył wzdłuż brzegów Norwegii, okręt podwodny „Narval” (dowódca Drogou), który po moim apelu opuścił Sfax i przybył na Malte (później został zatopiony w walce na Morzu Śródziemnym), i patrolowiec „Président Houdouin” (dowódca Deschatres). Przybycie wiceadmirala Muselier pozwoliło mi stworzyć ośrodek dla tych pierwszych zaczątków naszej floty i zapewnić im wytrawnego kierownika technicznego. Co prawda osoba admirała wzbudzała u wielu ludzi obiekcje związane z pewnymi faktami w jego karierze i cechami charakteru. W tym burzliwym okresie jednak decydującymi atutami były jego wiedza i doświadczenie. W tym samym czasie kilkudziesięciu lotników, których odwiedziłem w obozie Saint-Atham, skupiło się wokół kapitanów de Rancourt, Astier de Villatte i Becourt-Foch w oczekiwaniu majora Pijaud, który miał objąć nad nimi dowództwo.

Tymczasem do Anglii codziennie przybywali pojedynczy ochotnicy. Przeważnie przyjeżdżali z Francji ostatnimi statkami, regularnie odpływającymi do Anglii, lub też uciekając na małych stateczkach, które udało im się zdobyć. Inni wśród wielu trudności przedostawali się przez Hiszpanię wymykając się policji tego kraju, która zatrzymane osoby internowała w obozie Miranda. Lotnicy, którzy wbrew zarządzeniom władz Vichy zdołali wystartować na samolotach, uciekali z Afryki Północnej i lądowali w Gibraltarze. Marynarze floty handlowej, którzy przypadkiem znaleźli się z dala od portów francuskich, a także okręty, które nie podporządkowały się rządowi Vichy, jak np. „Capo Olmo” z kapitanem Vuillemin, domagali się wcielenia ich do floty francuskiej. Francuzi mieszkający za granicą również zgłaszali się do służby. Zebrawszy w White City dwa tysiące rannych z Dunkierki, znajdujących się na rekonwalescencji w angielskich szpitalach, pozyskałem z tego około dwustu ochotników. Batalion kolonialny znajdujący się na Cyprze, dokąd został przydzielony z armii Lewantu, przystąpił do mnie wraz ze swym dowódcą majorem Lorotte. W ostatnich dniach czerwca do brzegów Kornwalii przybiła cała flotylla statków rybackich, przywożąc generałowi de Gaulle wszystkich mężczyzn zdolnych do służby z wyspy Sein. Dzień po dniu przyłączali się do nas pełni entuzjazmu młodzi ludzie, z których wielu, alby przedostać się do nas, dokonywało prawdziwie bohaterskich czynów. Umacniało nas to w postanowieniu kontynuowania walki. Na moim biurku gromadziły się

stosy telegramów ze wszystkich krańców świata, Poszczególni ludzie lub małe grupy ludzi zwracali się do mnie z wzruszającą prośbą, by ich przyjąć do służby. Moi oficerowie i oficerowie z misji Spearsa dokonywali istnych cudów energii i pomysłowości, aby zorganizować ich przyjazd.

Wtem godne pożałowania wydarzenie zahamowało ten napływ ochotników. 4 lipca 1940 roku radio i gazety doniosły, że w przeddzień angielska flota śródziemnomorska zaatakowała okręty francuskie stojące na redzie Mersel-Kebir. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że Anglicy opanowali znienacka francuskie okręty wojenne, które schroniły się w portach brytyjskich, i nie bez krwawych incydentów wysadzili na ląd i internowali ich marynarzy i oficerów. Wreszcie 10 lipca opublikowany został komunikat o storpedowaniu przez angielskie samoloty francuskiego pancernika „Richelieu” stojącego na redzie przed Dakarem. Oficjalne komunikaty i dzienniki londyńskie usiłowały przedstawić te agresywne działania jako odniesione na morzu zwycięstwo. Widocznie w rządzie i w admiralicji angielskiej strach o przyszłość, reminiscencje odwiecznej rywalizacji na morzu i żale, które nagromadziły się od początku bitwy o Francję, a od czasu zawarcia zawieszenia broni przez rząd Vichy nabrały ostrości paroksyzmu, znalazły ujście w jednym z owych złowrogich porywów, kiedy długo powstrzymywany instynkt tego narodu łamie wszystko, co napotyka na swej drodze.

Tymczasem było rzeczą zupełnie nieprawdopodobną, aby francuska marynarka wojenna sama przez się podjęła działania nieprzyjacielskie przeciwko Anglikom. Od chwili mego przybycia do Londynu stale perswadowałem to zarówno rządowi angielskiemu, jak i admiralicji. Zresztą było jasne, że Darlan, uważający flotę za swą własność, niezależnie od jakichkolwiek względów na interesy narodowe Francji, nie odda jej Niemcom, dopóki nią dowodzi. Fakt, że Darlan i jego pomocnicy zrezygnowali z odegrania owej wspaniałej roli, którą wydarzenia niejako same im narzucały, że nie zechcieli stać się ostatnim ratunkiem Francji, gdy flota w przeciwieństwie do armii była nienaruszona, tłumaczy się w istocie tym, że uważali za rzecz pewną, iż będą mogli zachować swe okręty. Lord Lloyd, angielski minister kolonii, i admirał sir Dudley Pound, „pierwszy lord morza”, przybywszy do Bordeaux 18 czerwca, uzyskali od Darlana słowo honoru, że nasze okręty nie zostaną wydane przeciwnikowi. Pétain i Baudouin potwierdzili to formalnym zobowiązaniem. Wreszcie, wbrew wersji rozpowszechnianej początkowo przez agencje angielskie i amerykańskie, warunki zawieszenia broni nie zawierały żadnej klau-

zuli przewidującej bezpośrednie zawładnięcie flotą francuską przez Niemców.

Trzeba natomiast przyznać, że wobec kapitulacji kół rządzących w Bordeaux i licząc się z możliwością, że mogą one w przyszłości poczynić dalsze ustępstwa, Anglia mogła się obawiać, że pewnego dnia Niemcom uda się zawładnąć naszą flotą. Wtedy jednak nad Anglią zawisłoby śmiertelne niebezpieczeństwo. Mimo bólu i oburzenia, które i ja, i moi towarzysze odczuwaliśmy w związku z dramatem w Mersel-Kebir, postępowaniem Anglików i sposobem, w jaki się nim szczycili, uważałem, że dobro Francji stoi ponad wszystkim, nawet ponad losem jej okrętów, i że jak dotąd, tak i nadal naszym obowiązkiem jest kontynuować wojnę.

8 lipca powiedziałem to otwarcie przez radio. Rząd angielski, po wysłuchaniu raportu Duff Coopera, ministra informacji, w sposób równie rozumny, jak taktowny oddał w tym celu do mojej dyspozycji rozgłoszenie BBC, mimo że poszczególne miejsca mojego przemówienia były bardzo nieprzyjemne dla Anglików.

Ale dla naszych nadziei cała ta sprawa stanowiła straszny cios. Jego następstwa od razu odbiły się na zaciągu ochotników. Wiele osób, wojskowych i cywilnych, które zamierzały się do nas przyłączyć, teraz odwróciło się od nas. Również stanowisko, jakie zajęły wobec nas władze Imperium Francuskiego oraz siły lądowe i morskie, które je chroniły, w większości wypadków uległo zmianie: dezaprobata zajęła miejsce niezdecydowania. Nie trzeba dodawać, że rząd Vichy nie omieszkiał wykorzystać tych wydarzeń we własnym interesie. Wszystko to pociągnęło za sobą poważne następstwa w sprawie przyłączenia się do nas terytoriów afrykańskich.

Niemniej jednak kontynuowaliśmy naszą pracę. 13 lipca nie zawahałem się oświadczyć: „Francuzi! Wiedźcie, że posiadacie jeszcze zdolną do boju armię!” 14 lipca w Whitehall w obecności głęboko wzruszonego tłumu przyjąłem defiladę naszych pierwszych oddziałów, po czym poprowadziłem je przed pomnik Focha, aby złożyć u jego stóp trójbarną wiązaną kwiatów. 21 lipca udało mi się uzyskać, że wielu naszych lotników wzięło udział w bombardowaniu Zagłębia Ruhry; poleciłem ogłosić komunikat, że Wolni Francuzi znowu biorą udział w działaniach wojennych. Tymczasem na wniosek d'Argenlieu wszystkie nasze siły przyjęły jako emblemat Krzyż Lotaryngii. 24 sierpnia król Jerzy VI przybył z wizytą do naszej małej armii. Na jej widok można było powiedzieć, że „ułamany miecz” był z hartownej stali. Ale, mój Boże, jakże był krótki!

W końcu lipca 1940 roku ogólna liczebność naszych sił nie dochodziła nawet do 7000 ludzi. To było wszystko, co mogliśmy

zebrać w samej Anglii. Pododdziały francuskie, które nie zgłosiły swego akcesu, zostały tymczasem repatriowane do Francji. Z wielkim trudem odzyskaliśmy przynajmniej broń i sprzęt bojowy, pozostawione przez nie w Anglii, które często przechodziły w ręce Anglików lub innych sojuszników. Jeżeli chodzi o okręty wojenne, to tylko niektóre z nich byliśmy w stanie uzbroić. Z bólem w sercu widzieliśmy, jak inne pływały na morzach pod obcą banderą. Ale mimo wszystkich trudności powstawały nasze pierwsze oddziały, wprawdzie źle wyposażone, ale za to składające się ze zdecydowanych ludzi.

Istotnie, należeli oni do tej samej mocnej rasy ludzi co bojownicy francuskiego Ruchu Oporu, gdziekolwiek by się znajdowali. Żądza niebezpieczeństwa i przygód, pogarda dla małodusznych i obojętnych, skłonność do melancholii, a tym samym do kłótni w okresach spokoju, gdy nie groziło niebezpieczeństwo, i żarliwa jedność w walce, poczucie dumy narodowej spotęgowane przez doznaną katastrofę narodową i ustawiczne stykanie się z lepiej wyposażonymi aliantami, a przede wszystkim niezłomna wiara w słuszność i zwycięstwo własnej sprawy — takie były psychologiczne cechy tej garstki najlepszych synów Francji, garstki, która zacząwszy od niczego miała się z czasem rozrosnąć i pociągnąć za sobą cały naród francuski i całe jego imperium.

W miarę powstawania naszych sił zbrojnych wyłoniła się konieczność uregulowania naszych stosunków z rządem angielskim. Ten zresztą skłaniał się ku temu nie tyle z zamiłowania do prawniczej dokładności, ile z chęci, by na terytorium brytyjskim prawa i obowiązki walczących Francuzów — wprawdzie sympatycznych, ale dość przekornych — były ściśle określone.

Od pierwszej chwili poinformowałem Churchilla o moim zamiarze stworzenia, jeżeli się to okaże możliwe, „Komitetu Narodowego” dla pokierowania naszymi wysiłkami wojennymi. Aby ułatwić nam to zadanie, rząd angielski ogłosił 23 czerwca dwie deklaracje. W pierwszej odmawiał gabinetowi w Bordeaux charakteru niezależnego rządu. W drugiej przyjmował do wiadomości zamiar powołania do życia Francuskiego Komitetu Narodowego i z góry zapowiadał gotowość uznania go i współpracy z nim we wszystkich sprawach związanych z kontynuowaniem wojny. 25 czerwca rząd angielski opublikował komunikat, w którym donosił, że wielu wybitnych przedstawicieli Francji wyraziło chęć włączenia się do Ruchu Oporu, i proponował im swą pomoc. Potem jednak, gdy nikt się nie odezwał, rząd londyński mając po swej stronie znowu tylko generała de Gaulle postanowił uznać go oficjalnie za „szefa Wolnych Francuzów”.

W tym więc charakterze rozpocząłem z premierem i ministrem

spraw zagranicznych niezbędne rozmowy. Ich punktem wyjściowym było memorandum złożone przeze mnie 26 czerwca Churchillowi i lordowi Halifax. Rokowania zakończyły się umową podpisaną 7 sierpnia 1940 roku. Niektóre jej artykuły, do których przywiązywałem wagę, stały się powodem dość drażliwych pertraktacji między naszym przedstawicielem profesorem René Cassin a angielskim przedstawicielem Strangiem.

Biorąc z jednej strony pod uwagę hipotezę, że zmienne koleje wojny mogą skłonić Anglię do zawarcia kompromisowego pokoju, z drugiej zaś licząc się z tym, że Anglicy mogliby przypadkiem ulec pokusie zagarnięcia tej lub innej z naszych posiadłości zamorskich, nalegałem, by Wielka Brytania zagwarantowała przywrócenie granic metropolii i Imperium Francuskiego. Anglicy w końcu zgodzili się przyrzec „pełne przywrócenie niepodległości i wielkości Francji”, nie biorąc jednak na siebie żadnych zobowiązań co do integralności naszych terytoriów.

Jakkolwiek byłem przekonany, że wspólne operacje wojskowe na lądzie, morzu i w powietrzu normalnie biorąc powinny już choćby z racji układu sił być kierowane przez dowódców angielskich, zastrzegłem sobie w każdym razie „naczelne dowództwo” sił francuskich uznając tylko „ogólne dyrektywy dowództwa angielskiego”. W ten sposób podkreślony został ich czysto narodowy charakter. Ponadto nalegałem na wyraźne stwierdzenie — nie bez sprzeciwu ze strony Anglików — że ochotnicy w żadnym razie „nie zwrócą broni przeciw Francji”. To nie oznaczało, że nie mieli nigdy walczyć z Francuzami. Niestety! Należało przewidywać, że będzie akurat odwrotnie, ponieważ Vichy — to tylko Vichy, ale bynajmniej nie Francja. Klauzula więc, o której tu mowa, miała stanowić gwarancję, że nasza armia, uczestnicząc w sojuszniczej akcji militarnej, nie będzie w razie starcia się z siłami Francji oficjalnej użyta przeciw prawdziwej Francji z uszczerbkiem dla jej dziedzictwa i interesów.

Jakkolwiek wydatki na siły zbrojne Wolnej Francji miały według postanowień układu być na razie pokrywane przez rząd angielski, ponieważ początkowo nie rozporządzaliśmy żadnymi środkami, nalegałem na to, by układ wyraźnie stwierdzał, że chodzi tylko o zaliczki, które później zostaną spłacone przy wzięciu pod uwagę dostaw z naszej strony. Dług ten istotnie został też w pełni wyrównany w czasie wojny, tak że w końcowym efekcie siły zbrojne Wolnej Francji nie były w żadnym razie utrzymywane przez Anglię.

Wreszcie, mimo iż nazbyt zrozumiałego dążenia Anglików do zwiększenia swego tonażu morskiego, uzyskaliśmy, wprowadzie

nie bez trudu, ich zgodą na to, że między odpowiednimi organami angielskimi i francuskimi zostanie nawiązana „stała łączność” dla regulowania spraw związanych z „użytkowaniem francuskich statków handlowych i ich załóg”.

Dokument ten został podpisany przez Churchilla i przeze mnie w Chequers.

Umowa z 7 sierpnia miała dla Wolnej Francji istotne znaczenie nie tylko dlatego, że uwalniała nas na najbliższą przyszłość od trosk materialnych, ale także i dlatego, że władze brytyjskie, mając odtąd oficjalną podstawę do stosunków z nami, teraz już bez wahania udzielały nam pomocy. Przede wszystkim jednak cały świat dowiedział się, że mimo wszelkich przeszkód zostały znowu założone podwaliny pod solidarną współpracę francusko-angielską. Następstwa tego rychło też dały się odczuć na niektórych terytoriach Imperium Francuskiego i wśród Francuzów mieszkających za granicą. Ale i inne państwa widząc, że Anglia szykuje się do uznania Wolnej Francji, zrobiły pewne kroki w tym samym kierunku. Dotyczyło to przede wszystkim rządów emigracyjnych, które znalazły azyl w Anglii. Wprawdzie i one dysponowały tylko nieznacznymi siłami, nadal jednak zachowywały swe przedstawicielstwa i wpływy międzynarodowe.

Wszystkie bowiem rządy krajów europejskich, które padły ofiarą hitlerowskiej inwazji, zdołały schronić się na wolnej ziemi ocalając tym samym niepodległość i suwerenność państwa. Dotyczy to również krajów zajętych przez Niemcy lub Włochy w okresie późniejszym. Ani jeden rząd nie zgodził się dobrowolnie na jarzmo najeźdźcy, ani jeden z wyjątkiem, niestety, rządu, który nazwał się rządem Francji i który miał przecież do dyspozycji rozległe imperium chronione przez wielkie siły zbrojne i jedną z najsilniejszych flot świata!

W czerwcu, kiedy katastrofa następowała po katastrofie, na terytorium Wielkiej Brytanii schronili się monarchowie i ministrowie Norwegii, Holandii, Luksemburga, następnie prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i polscy ministrowie, a w jakiś czas potem również gabinet belgijski. Czechosłowacy zaczęli się organizować. Król Albanii nawiązywał niektóre kontakty. Anglia zaofiarowała wszystkim tym rządóm emigracyjnym gościnę kierując się wielkodusznością, ale zarazem i wyrachowaniem. Jakkolwiek były one ogołocone z wszelkich środków, to jednak zawsze coś im jeszcze pozostawało. Niektóre przywiozły ze sobą złoto i dewizy swych banków. Holendrzy mieli Indonezję i pokazną flotę, Belgia posiadała Kongo, Polacy niewielką armię, Norwegia wiele statków handlowych, Czesi — ściślej Benesz — dobrze zor-

ganizowaną sieć informacyjną w Europie środkowej i wschodniej oraz aktywne kontakty w Ameryce. Poza tym dla prestiżu Anglii nie było rzeczą obojętną, że występowała ona jako ostatnia ostoja chwiejącego się starego świata.

Dla tych rządów emigracyjnych Wolna Francja, nie posiadająca niczego, była interesującym eksperymentem. W szczególności jednak miała największą siłę przyciągającą dla tych, którzy byli najbardziej dotknięci katastrofą i mieli najwięcej powodów do niepokoju, tj. dla Polaków i Czechów. Pozostając wierni tradycjom Francji już przez to samo stanowiliśmy dla nich pewną nadzieję; ich sympatie były całkowicie po naszej stronie. W szczególności Sikorski i Benesz, mimo powściągliwości, którą im nakazywały intrygi i podejrzliwość, pogłębiające jeszcze ich nieszczęście, nawiązali ze mną ścisłe i trwałe stosunki. Nigdy może bardziej niż w owym strasliwym okresie upadku nie czułem, czym jest na świecie posłannictwo Francji.

Podczas gdy usiłowaliśmy zdobyć dla Wolnej Francji pewne uznanie na arenie międzynarodowej, próbowałem stworzyć zaczątki władzy i administracji. Byłoby śmieszne, gdybym prawie nikomu nie znany i pozbawiony jakichkolwiek środków ogłosił za „rząd” ów elementarny aparat, który wówczas tworzyłem Zresztą, chociaż byłem przekonany, że rząd Vichy staczać się będzie coraz niżej aż na samo dno upadku, i chociaż proklamowałem nielegalność tego rządu istniejącego z łaski okupanta, chciałem zachować możliwość przebudowy władzy państwowej, gdyby w czasie wojny nadarzyła się ku temu okazja. Dlatego też jak najskrupulatniej unikałem zrobienia czegokolwiek, choćby tylko w słowach, co mogłoby wówczas utrudnić odbudowę państwa. Wzywałem jedynie władze w naszych posiadłościach zamorskich do zjednoczenia się dla obrony naszego imperium. Później, gdy okazało się, że nie można na nie liczyć, postanowiłem stworzyć zaledwie zwykły „Komitet Narodowy”.

Teraz chodziło o to, aby osoby dosyć reprezentatywne zaofiarowały mi swą współpracę. Podczas pierwszych dni kilku optymistów myślało, że znajdzie się tylu takich ludzi, ilu się tylko zechce. Niemal co godzina napływały wiadomości, że ten lub inny znany polityk, słynny generał lub czczony akademik przybył przejazdem do Lizbony lub Liverpoolu. Ale wiadomości te szybko dementowano. W samym Londynie wpływowi Francuzi, przebywający tu służbowo lub przypadkowo, z bardzo nielicznymi wyjątkami nie zgłosili akcesu do Wolnej Francji. Wielu wyjechało do kraju, inni pozostali w Anglii oznajmiając jednak, iż podporządkowują się rządowi Vichy. Jeżeli zaś chodzi o tych, którzy wystąpili przeciw kapitulacji, to jedni zorganizowali na własną

rękę swój pobyt na emigracji w Anglii lub Stanach Zjednoczonych, inni zaś wstąpili na służbę rządu angielskiego lub amerykańskiego, tak że niewielu tylko ludzi „autorytatywnych” stało pod moim sztandarem.

— Ma pan rację — mówił mi na przykład ambasador francuski Corbin. — Ja, który najlepsze lata swej kariery służbowej poświęciłem sprawie sojuszu francusko-angielskiego, dałem otwarcie wyraz swemu stanowisku podając się do dymisji nazajutrz po pańskim apelu. Ale jestem starym urzędnikiem. Od czterdziestu lat żyję i działam w unormowanych warunkach. Stać w obozie dysydentów to ponad moje siły.

„Złe Pan robi — pisał do mnie Jean Monnet — stwarzając organizację, o której we Francji mogą pomyśleć, że powstała ona pod patronatem Anglii... W pełni solidaryzuję się z Pańską decyzją, iż należy przeszkodzić wycofaniu się Francji z walki. Ale sygnał do odrodzenia nie może pochodzić z Londynu.”

„Muszę wracać do Francji — kazał mi powiedzieć René Mayer — aby podzielić los mych współwyznawców, których oczekują prześladowania.”

„Aprobuję pańskie poczynania — oświadczył mi Bret. — Co do mnie to gdziekolwiek będę, w metropolii czy we Francji zamorskiej, będę ze wszystkich sił współdziałał w odrodzeniu Francji.”

„Udajemy się do Ameryki — oświadczyli mi André Maurois, Henry Bonnet, de Kérillis. — Tam zresztą będziemy mogli być panu najbardziej użyteczni.”

„Mianowany konsulem generalnym w Szanghaju — oznajmił mi Roland de Margerie — jestem w Londynie nie po to, żeby się przyłączyć do pana, lecz po to, żeby się udać do Chin. Będą tam służył interesom Francji, tak jak pan służy im tutaj.”

Natomiast Pierre Cot był tak wstrząśnięty wydarzeniami, że błagał mnie, by go użyć do jakiegokolwiek bądź roboty, „nawet do zamiatania klatki schodowej”. Ale był on postacią zbyt eksponowaną, by go można było wykorzystać.

W sumie ta powszechna niemal powściągliwość wybitnych przedstawicieli francuskich, z jakichkolwiek by wypływała powodów, z pewnością nie podnosiła prestiżu mych poczynąń. W tych warunkach zmuszony byłem zorganizowanie Komitetu Narodowego odłożyć na później. Im mniej znakomitych osobistości przystępowało do mnie, tym więcej innych powstrzymywało się od tego kroku.

Niektórzy jednak od razu stanęli przy moim boku wkładając w objęte nieoczekiwanie obowiązki tyle żarliwości i aktywności, że mimo wszystkich trudności nasz statek wypłynął w morze

i trzymał się na powierzchni. Profesor Cassin był moim współpracownikiem — jakże nieocenionym — w dziedzinie przygotowania wszelkich aktów i dokumentów, na których miała się oprzeć nasza powstała z niczego struktura wewnętrzna i zewnętrzna. Antoine kierował naszymi pierwszymi organami administracji cywilnej, co w okresie improwizacji stanowiło szczególnie niewdzięczne zadanie. Lapie, Escarra, a potem Hackin — ten ostatni wkrótce potem zginął wraz z żoną na morzu w czasie podróży służbowej — utrzymywali kontakt z *Foreign Office* i z rządami emigracyjnymi. Prócz tego nawiązywali łączność z Francuzami mieszkającymi za granicą, do których zwróciłem się z apelem. Pleven i Denis zarządzali naszymi skromnymi finansami i zajęci byli przygotowaniami dla zapewnienia warunków egzystencji koloniom, które przyłączyłyby się do nas. Schuman przemawiał w radio w imieniu Wolnej Francji, Massip śledził prasę i dostarczał jej informacji o naszej działalności. Bingen uzgadniał z sojusznikami sprawę wykorzystania francuskich statków handlowych i ich załóg.

W dziedzinie czysto militarnej Muselier wspomagany przez d'Argenlieu, Magrin-Vernet, Koeniga, Pijaud i Rancourta organizowali nasze pierwsze jednostki marynarki, sił lądowych i lotnictwa. Morin zajmował się sprawami uzbrojenia. Tissier, Dewavrin i Hettier de Boislambert stanowili mój sztab. Geoffroy de Courcel spełniał przy mnie funkcje szefa kancelarii, adiutanta, tłumacza, a często i dobrego doradcy. To były osoby należące do mojego „otoczenia”, które wroga propaganda przedstawiała jako zbiorowisko zdrajców, najemników i awanturników. Ale oni, przeniknięci wielkością stojącego przed nami zadania, skupiali się wokół mnie na dobre i złe.

Wobec instytucji brytyjskich, których pomoc była dla nas wówczas niezbędna, rzecznikiem naszych interesów był generał Spears. Muszę powiedzieć, że czynił to z energią i zręcznością i że oddał nam w tym ciężkim początkowym, okresie istotne usługi. Przy tym ze strony angielskiej nie spotykał żadnych ułatwień. Rutyniści piastujący wysokie stanowiska w hierarchii państwowej odnosili się z nieufnością do człowieka, który będąc jednocześnie członkiem parlamentu, oficerem, człowiekiem interesu, dyplomatą i pisarzem, w rzeczywistości nie należał do żadnego z tych zawodów. Ale Spears, gdy chodziło o przełamanie zapory rutyniarstwa, dyskontował swą inteligencję, swą zjadliwą bystrość umysłu, której się obawiano, i wreszcie swój ujmujący sposób bycia, którym umiał się w potrzebie posłużyć. Przy tym wszystkim żywił on dla Francji, którą znał na tyle, na ile w ogóle znać ją

może cudzoziemiec, uczucie troskliwej, ale zarazem wymagającej sympatii.

Podczas gdy tylu ludzi uważało moje poczynania za awanturę, przysparzającą tylko kłopotów, Spears z punktu zrozumiał ich charakter i znaczenie. Swej misji przy Wolnej Francji i osobie jej szefa podjął się z zapalem. Ale chęć służenia im czyniła go jeszcze bardziej zazdrosnym. Uznając niezależność naszego ruchu wobec wszystkich innych, z trudem umiał się z nią pogodzić, gdy przejawiała się wobec niego samego. Toteż było rzeczą nieuniknioną, że mimo wszystkiego, co początkowo uczynił, aby nam pomóc, generał Spears musiał pewnego dnia odwrócić się od naszej sprawy i zacząć ją zwalczać. Czyżby w pasji, z jaką to czynił, krył się żal, że nie mógł uczestniczyć w naszej działalności i że nas opuścił?

Ale Wolna Francja w okresie, gdy dopiero powstawała, nie napotykała jeszcze takich przeciwników, którzy zazwyczaj pojawiają się dopiero w okresie powodzenia. Borykała się tylko z kłopotami, które są udziałem słabych. Pracowaliśmy, moi współpracownicy i ja, w Saint-Stephens House na nabrzeżu Tamizy w pomieszczeniu, którego całe umeblowanie składało się z kilku krzeseł i stołów. Później administracja angielska oddała do naszej dyspozycji wygodniejszy dom przy Carlton Gardens, gdzie urządziliśmy naszą główną siedzibę. To tutaj dzień po dniu zalewała nas fala rozczarowań. Ale tutaj także dosięgały nas i podnosiły na duchu niezliczone słowa zachęty.

Z Francji bowiem zaczęły napływać dowody zainteresowania i sympatii. Najbardziej pomysłowymi drogami okrężnymi prosił ludźmi przysyłali nam, niekiedy w porozumieniu z cenzurą, listy i pozdrowienia. Otrzymaliśmy np. zdjęcie dokonane w okolicach Place de l'Étoile podczas wkraczania Niemców, a przedstawiające grupę mężczyzn i kobiet pogrążonych w bólu nad grobem Nieznanego Żołnierza. Wysłane 19 czerwca nosiło ono napis: „De Gaulle! Słyszeliśmy pana. Teraz będziemy pana oczekiwać!” Potem nadeszła fotografia grobu, który nieznani ludzie pokryli mnóstwem kwiatów. Był to grób mojej matki, która 16 lipca zmarła w Paimpont, składając Bogu w ofierze swe cierpienia w imię zbawienia ojczyzny i powodzenia misji swego syna.

Mogliśmy więc zdać sobie sprawę, jaki oddźwięk znalazła w najszerszych warstwach narodu francuskiego nasza odmowa pogodzenia się z klęską. Jednocześnie zaś mieliśmy dowód, że w całym kraju słuchano audycji radiowych z Londynu i że wskutek tego dysponujemy potężnym środkiem walki. Francuzi mieszkający za granicą również wyrażali nam swe patriotyczne uczucia. Wielu z nich na mój apel nawiązało kontakt ze mną i tworzyło grupy dla udzielenia pomocy Wolnej Francji. Malglaive

i Guéritte w Londynie, Houdry i Jacques de Sieyès w Stanach Zjednoczonych, Soustelle w Meksyku, baron de Benoist w Kairze, Godard w Teheranie, Guérin w Argentynie, Rendu w Brazylii, Piraud w Chile, Géraud Jouve w Konstantynopolu, Victor w Delhi, Levay w Kalkucie, Barbé w Tokio itd. podjęli w tym kierunku pierwsze inicjatywy. Niebawem też nabrałem pewności, że mimo nacisku rządu Vichy, oszczerstw jego propagandy i bierności wielu Francuzów naród francuski kierował resztę swej dumy i nadziei ku Wolnej Francji. Świadomość obowiązku, który nakładał na mnie ten najwyższy apel narodu, nie opuszczała mnie ani na chwilę we wszystkim, co potem miałem przedsięwziąć i przeżyć.

W samej Anglii otaczały Wolnych Francuzów szacunek i sympatia. Przede wszystkim król pragnął dać temu wyraz. Wszyscy członkowie rodziny królewskiej czynili to samo. Ministrowie i przedstawiciele władz również nie pomijali żadnej okazji, by nam zamanifestować swe przyjazne uczucia. Ale wprost trudno sobie wyobrazić wielkoduszną serdeczność okazywaną nam na każdym kroku przez naród angielski. Powstały najrozmaitsze towarzystwa pomocy dla naszych ochotników. Nie sposób było zliczyć ludzi, którzy oddawali do naszej dyspozycji swą pracę, czas i pieniądze. Gdy publicznie zabierałem głos, odbywało się to za każdym razem wśród pokrzepiających na duchu manifestacji. Gdy dzienniki londyńskie doniosły, że rząd Vichy skazał mnie na karę śmierci i skonfiskował mój majątek, do Carlton Gardens napływać zaczęły od nieznanых ofiarodawców niezliczone klejnoty i kosztowności, a kilkadziesiąt wdów przysłało swe obrączki ślubne, aby to złoto mogło być użyte dla akcji generała de Gaulle'a.

Trzeba powiedzieć, że atmosfera w Anglii była wtedy przeniknięta niepokojem. Z godziny na godzinę oczekiwano ofensywy niemieckiej. W obliczu tej perspektywy wszyscy Anglicy przejawiali niebywały hart ducha. Zdumiewający zaprawdę był to widok, jak każdy z nich zachowywał się, tak jak gdyby właśnie od niego zależało ocalenie kraju. To powszechne poczucie odpowiedzialności było tym bardziej wzruszające, że w rzeczywistości wszystko zależało od lotnictwa.

Gdyby przeciwnikowi istotnie udało się zdobyć panowanie w powietrzu, los Anglii byłby przesądzony. Flota, bombardowana z powietrza, nie mogłaby przeszkodzić niemieckim konwojom w przepłynięciu Morza Północnego. Armia licząca zaledwie około dwunastu dywizji, które poniosły znaczne straty w bitwie o Francję i pozostawiły ciężką broń na kontynencie, nie byłaby w stanie odeprzeć nieprzyjacielskich desantów. Potem dywizje niemieckie bez trudu zajęłyby całe terytorium mimo organizowanej przez

Home Guard lokalnej obrony. Niewątpliwie, król i rząd zawczasu wyjechaliby do Kanady. Ale ludzie wtajemniczeni wymieniali szeptem nazwiska polityków, biskupów, pisarzy, przedsiębiorców, którzy w razie inwazji dogadaliby się z Niemcami, by pod ich egidą przejąć administrację kraju.

Jednakże tego rodzaju spekulacje dotyczyły tylko ograniczonego kręgu ludzi. Anglicy w masie swej szykowali się do walki na śmierć i życie. Każdy mężczyzna i każda kobieta zajmowali swe miejsce w systemie środków obrony. Wszystko, co się tego tyczyło — urządzenie schronów przeciwlotniczych, rozdział broni, materiałów i narzędzi, organizacja pracy w fabrykach i w rolnictwie, służby pomocnicze, instrukcje, system kartkowy — nie pozostawiało nic do życzenia tak pod względem gorliwości, jak i dyscypliny. Brak tylko było środków, bo i w tym kraju długo lekceważono sprawę obrony. Wszystko jednak odbywało się tak, jak gdyby Anglicy chcieli teraz gorliwością wyrównać istniejące luki. W tym wszystkim nie brakowało przejawów humoru. Tak na przykład w jednym z dzienników angielskich ukazała się karykatura przedstawiająca potężną armię niemiecką, która po wylądowaniu w Anglii zatrzymała się ze swymi czołgami, działami, pułkami, generałami przed drewnianym szlabanem. Stała przed nim tablica z napisem, że przejechać można dopiero po zapłaceniu myta w wysokości jednego pensa. Poborca drogowy, dobrotliwy, ale nieugięty staruszek, mimo oburzenia, jakie wywołał tym wśród olbrzymiej kolumny najeźdźców, uprzejmie, lecz stanowczo odmawiał podniesienia szlabanu, dopóki nie otrzyma wszystkich należnych za to pensów.

Tymczasem na lotniskach angielski RAF znajdował się w stałej gotowości bojowej. W Anglii było wtedy wielu ludzi, którzy po to, aby uwolnić się od tego wręcz nieznośnego napięcia nerwów, otwarcie wypowiadali życzenie, by przeciwnik wreszcie zaryzykował atak. Przede wszystkim sam Churchill tracił już cierpliwość. Widzę go jeszcze, jak pewnego sierpniowego dnia w Chequers wznosi pięści ku niebu wołając:

— A więc jednak nie przyjdą!

— Czyżby pan doprawdy nie mógł się doczekać — rzekłem mu na to — żeby Niemcy zburzyli wasze miasta?

— Ależ zrozum pan — odparł — że zbombardowanie Coventry, Oxfordu, Canterbury wywoła w Stanach Zjednoczonych taką falę oburzenia, że Ameryka przystąpi wtedy do wojny.

Wyraziłem co do tego pewne wątpliwości przypominając, że na dwa miesiące przedtem upadek Francji nie skłonił Ameryki do wyrzeczenia się neutralności.

— To dlatego, że Francja się załamała — odpowiedział Chur-

chill. — Wcześniej czy później Amerykanie przystąpią do wojny, ale tylko pod warunkiem, że my będziemy się tu trzymać. Oto dlaczego lotnictwo myśliwskie absorbuje wszystkie moje myśli. Po czym dodał:

— Widzi pan, że miałem rację odmawiając go panu pod koniec bitwy o Francję. Gdyby dziś było zniszczone, wszystko byłoby stracone — i dla nas, i dla was.

— Ale — odrzekłem — interwencja waszych myśliwców, gdyby nastąpiła we właściwym czasie, tchnęłaby może nowe życie w nasz sojusz i pozwoliłaby Francji kontynuować wojnę nad Morzem Śródziemnym. Anglicy byłiby wtedy mniej zagrożeni, Amerykanie zaś bardziej skłonni do zaangażowania się w Europie i Afryce.

Doszliśmy w końcu z Churchillem do banalnego, ale ostatecznego wniosku z wydarzeń, które wstrząsnęły Zachodem, a mianowicie, że Anglia koniec końców jest wyspą, Francja — przylądkiem kontynentu, Ameryka zaś — inną częścią świata.

AFRYKA

W sierpniu 1940 roku Wolna Francja dysponowała już pewnymi środkami, miała zaczątek organizacji i cieszyła się pewną popularnością. Wszystko to musiałem niezwłocznie wykorzystać.

O ile pod niektórymi innymi względami gubiłem się jeszcze w poszukiwaniu właściwej drogi, o tyle nie miałem żadnych wątpliwości, co należało natychmiast przedsięwziąć. Hitlerowi udało się wygrać w Europie pierwszą rundę. Jednakże druga dopiero miała się rozpocząć, tym razem już w skali światowej. Należało przewidywać, że przyjdzie dzień, kiedy losy tej wojny rozstrzygną się tam, gdzie to jedynie było możliwe, to znaczy na starym kontynencie. Na razie my, Francuzi, musieliśmy kontynuować wojnę w Afryce. Byłem oczywiście zdecydowany pójść drogą, na którą jeszcze przed kilku tygodniami daremnie usiłowałem wciągnąć rząd i dowództwo, i kroczyć nią, skoro tylko poza granicami metropolii kierownictwo wojskowe i administracja cywilna pragnąc kontynuować wojnę przyłączą się do mego ruchu.

Na rozległych obszarach Afryki Francja mogła sobie na nowo stworzyć armię i odbudować suwerenność w oczekiwaniu momentu, kiedy przystąpienie do wojny nowych sojuszników zmieni stosunek sił. Wtedy zaś Afryka położona w pobliżu półwyspów Apenińskiego, Bałkańskiego i Pirenejskiego stanowiłaby dla powrotu do Europy znakomitą bazę wyjściową, i to bazę francuską. Poza tym wyzwolenie narodowe, gdyby pewnego dnia miało nastąpić dzięki siłom naszego imperium, zacieśniłoby wspólnotę między metropolią i naszymi posiadłościami zamorskimi. W przeciwnym razie, gdyby wojna miała się skończyć, a imperium nie podjęłoby nic dla ocalenia Macierzy, sprawa Francji w Afryce byłaby niewątpliwie przegrana.

Należało zresztą przewidywać, że Niemcy przeniosą walki na drugą stronę Morza Śródziemnego bądź dla osłony Europy, bądź dla zdobycia posiadłości kolonialnych, bądź wreszcie, by dopomóc swym sojusznikom włoskim, a ewentualnie i hiszpańskim, do po-

większenia własnego stanu posiadania. W Afryce zresztą już toczyły się walki. Państwa Osi zmierzały do opanowania Suez. Gdybyśmy w Afryce pozostali bierni, nasi przeciwnicy wcześniej lub później zagarnęliby niektóre nasze posiadłości, podczas gdy nasi sojusznicy musieliby, w miarę rozwoju działań wojennych, zająć niektóre nasze terytoria potrzebne im w celach strategicznych.

Udział sił i terytoriów francuskich w bitwie o Afrykę oznaczałby niejako, że kawałek Francji włączył się znowu do wojny. Oznaczałby bezpośrednią obronę naszych posiadłości przeciwko nieprzyjacielowi i w miarę możliwości przeszkodziłby temu, by Anglia, a pewnego dnia być może i Ameryka uległy pokusie zawładnięcia nimi dla potrzeb wojny i we własnym interesie. Oznaczałby wreszcie powrót Wolnej Francji z wygnania i jej zainstalowanie się w pełni praw suwerennych na własnym terytorium narodowym.

Ale którądy dostać się do Afryki? Na wielki, zwarty obszar Algierii, Maroka i Tunisu na razie nie miałem co liczyć. Wprawdzie w początkowym okresie otrzymałem od poszczególnych zarządów miejskich, związków, stowarzyszeń byłych kombatanów i klubów oficerskich wiele deklaracji akcesu do Wolnej Francji. Ale, w miarę jak zaostrzała się cenzura i sankcje karne, rychło z tego zrezygnowano; reszty dokonał dramat w Mersel-Kebir kładąc kres wszelkiej chęci oporu. Zresztą na tych obszarach nie bez uczucia tchórzliwej ulgi dowiedziano się, że według warunków zawieszenia broni Afryka Północna nie będzie okupowana. Fakt, że władza francuska utrzymywała się tam z całym aparatem militarnym, prowadząc stanowczą politykę, uspokajał kolonistów, a przy tym nie jątrzył muzułmanów. Wreszcie niektóre aspekty tego, co Vichy nazywało „rewolucją narodową” — odwołanie się do przedstawicieli miejscowej ludności, zwiększenie roli administracji, defilady byłych kombatanów, manifestacje antysemitki — odpowiadały tendencjom wielu ludzi. Słowem, nie rezygnując z tego, że pewnego dnia Afryka Północna, być może, „coś przedsięwzięmie”, ludność zajęła pozycję wyczekującą. Na to, by od wewnątrz rozwinął się jakiś spontaniczny ruch, nie było co liczyć. O tym zaś, by akcją od zewnątrz uchwycić tam władzę, nie mogło oczywiście być mowy.

„Czarna Afryka” dawała zupełnie inne możliwości. Już w pierwszych dniach Wolnej Francji manifestacje w Dakarze, Saint-Louis, Uagadugu, Abidżanie, Konakry, Lomé, Duali, Brazzaville i Tananarive oraz otrzymywane stamtąd telegramy świadczyły, że na tych nowych terytoriach francuskich, na których utrzymywał się duch inicjatywy, kontynuowanie wojny uważano za rzecz samo

przez się zrozumiałą. Niewątpliwie, stanowisko uległości zajęte w końcu przez Noguésa, wrażenie nieszczęsnych wydarzeń Mersel-Kebir, akcja Boissona, początkowo gubernatora generalnego Afryki Równikowej, a potem wysokiego komisarza w Dakarze, który przez dwuznaczne wystąpienia ostudził patriotyczny zapal swych podopiecznych, osłabiły wrzenie w naszych posiadłościach afrykańskich. Mimo to ogień tlił się pod powierzchnią w większości naszych kolonii.

Pomyślne perspektywy otwierały się zwłaszcza na naszych terytoriach Afryki Równikowej. W Kamerunie opozycja przeciwko zawieszeniu broni ogarnęła wszystkie warstwy. Ludność tego aktywnego i żywego kraju, zarówno francuska, jak tubylcza, oburzała się na kapitulację. Nikt zresztą nie wątpił, że zwycięstwo Hitlera oznaczałoby przywrócenie panowania niemieckiego, któremu Kamerun podlegał przed pierwszą wojną światową. Wśród ogólnego podniecenia podawano sobie z rąk do rąk ulotki, w których byli koloniści niemieccy, którzy niegdyś wycofali się stąd na hiszpańską wyspę Fernando-Po, zapowiadali swój rychły powrót na dawne stanowiska i plantacje. Pod przewodnictwem Mauclère'a, dyrektora robót publicznych, zawiązał się tu komitet akcji, który zgłosił akces do Wolnej Francji. Wprawdzie gubernator generalny Brunot, przerażony lawiną wydarzeń, odmówił zajęcia wyraźnego stanowiska, można jednak było przypuścić, że stanowcza interwencja od zewnątrz wyjaśniłaby sytuację.

Jeszcze pomyślniej przedstawiały się sprawy na terytorium Czadu. Tu gubernator Félix Éboué od razu zareagował w duchu oporu. Ten mądry i mężny człowiek, Murzyn czujący się płomiennym patriotą francuskim, filozof-humanista, całą swą istotą odrzucał kapitulację Francji i triumf hitlerowskiego rasizmu. Po moich pierwszych apelach Éboué, w porozumieniu ze swym sekretarzem generalnym Laurentie, w zasadzie od razu się zdecydował. Francuska część ludności skłaniała się w tym samym kierunku. Dla wielu zresztą było to nie tylko kwestią odwagi, ale i rozumu. Wojskowi znajdujący się na placówkach położonych w sąsiedztwie włoskiej Libii zachowywali ducha bojowego i spodziewali się otrzymać od de Gaulle'a posiłki. Urzędnicy i kupcy francuscy, jak również wodzowie tubylczych szczepów z niepokojem myśleli o tym, co czeka gospodarkę Czadu, gdyby granice brytyjskiej Nigerii, jego normalnego rynku zbytu, zostały nagle zamknięte. Poinformowany o tej sytuacji przez samego Éboué, telegrafowałem do niego 16 lipca. W odpowiedzi przysłał mi szczegółowy raport, w którym powiadamiał mnie, iż zamierza oficjalnie przystąpić do Wolnej Francji, przedstawiał warunki obrony i życia terytorium powierzonego przez Francję jego pieczy i w końcu zapytywał, co

mógłbym uczynić, by mu umożliwić kontynuowanie swego zadania pod znakiem Krzyża Lotaryngii.

W Kongo sytuacja była mniej przejrzysta. Gubernator generalny Boisson do połowy lipca przebywał w Brazzaville. Potem przeniósł się do Dakaru zachowując jednak prawo wglądu w sprawy całej Francuskiej Afryki Równikowej i pozostawiając jako swego następcę generała Hussona, dobrego żołnierza, kierującego się jednak źle zrozumianą dyscypliną. Husson mimo bólu, który odczuwał z powodu klęski Francji, nie był człowiekiem zdolnym wypowiedzieć posłuszeństwo władzom Vichy. W Ubangi, gdzie wiele kół opowiadało się za oporem, wszystko zależało od stanowiska, jakie zajmie Kongo. Natomiast w Gabonie, starej kolonii francuskiej prowadzącej ugodową politykę i tradycyjnie starającej się zająć postawę odmienną od innych obszarów Afryki Równikowej, pewne koła trwały w enigmatycznej rezerwie.

Biorąc pod uwagę sytuację w francuskiej „Czarnej Afryce”, postanowiłem możliwie jak najprędzej przyłączyć do Wolnej Francji wszystkie nasze terytoria równikowe. Spodziewałem się, że operacja ta nie będzie wymagała — oczywiście z wyjątkiem Gabonu — użycia poważniejszych sił wojskowych. Potem, gdyby ta pierwsza akcja miała się udać, zamierzałem przystąpić do działań w Afryce Zachodniej. Tu jednak nie mogłem nawet myśleć o tym, by można je było podjąć i doprowadzić do końca bez długiego wysiłku i poważnych środków.

Na początku całe zagadnienie polegało na tym, by jednocześnie zająć Fort-Lamy, Dualę i Brazzaville. Całą akcję należało przeprowadzić natychmiast i za jednym zamachem, gdyż Vichy dysponując okrętami, samolotami i wojskami w Dakarze i mogąc w razie potrzeby sięgnąć do wojsk stojących w Maroku, a nawet do floty w Tulonie, miało wszystkie środki dla szybkiej interwencji. Admirał Platon, dopiero co wysłany przez Pétaina i Darlana w podróż inspekcyjną do Gabonu i Kamerunu, wywarł pewien wpływ w duchu vichystowskim na miejscowe koła wojskowe i cywilne. Przyśpieszyłem więc tempo moich kroków. Lord Lloyd, angielski minister kolonii, któremu wyłuszczyłem mój projekt, doskonale zrozumiał jego znaczenie, zwłaszcza dla bezpieczeństwa posiadłości brytyjskich: Nigerii, Złotego Wybrzeża, Sierra-Leone i Gambii. Wydał on swym gubernatorom instrukcje, o które mi chodziło, i w wyznaczonym dniu oddał do mojej dyspozycji samolot dla przetransportowania z Londynu do Lagos ekipy moich „misjonarzy”.

Byli to Pleven, de Parant i d'Hettier de Boislambert. Mieli oni uzgodnić z gubernatorem Éboué warunki przystąpienia Czadu i wykonać z udziałem Mauclère'a i jego komitetu „zamach

stanu" w Duali. Bezpośrednio przed ich odjazdem mogłem dodać do tej ekipy jeszcze czwartego człowieka, który potem dowiedział, ile jest wart. Był to kapitan de Hauteclocque. Przybył on z Francji przez Hiszpanię z g ową obandażowaną po ranie odniesionej w walkach w Szampanii. Mimo zmęczenia natychmiast zgłosił się do mnie, ja zaś widząc, z kim mam do czynienia, z miejsca zdecydowałem, gdzie go należy wykorzystać. Postanowiłem wysłać go do Afryki Równikowej. Miał akurat jeszcze tyle czasu, by przygotować się do drogi i pod nazwiskiem majora Leclerc, zaopatrzony w rozkaz wyjazdu, który wręczyłem grupie, odlecieć wraz z pozostałymi trzema jej członkami.

Podnosząc jednak flagę z Krzyżem Lotaryngii nad terytorium Czadu i Kamerunu należało przyłączyć jeszcze trzy inne kolonie: dolne Kongo, Ubangi i Gabon, co oznaczało konieczność zajęcia Brazzaville, stolicy Afryki Równikowej, siedziby i symbolu władzy francuskiej nad tymi obszarami. Zadanie to powierzyłem pułkownikowi de Larminat. Ten znakomity i energiczny oficer znajdował się wtedy w Kairze. W końcu czerwca, jako szef sztabu armii Bliskiego Wschodu, próbował bez powodzenia nakłonić swego dowódcę generała Mittelhausera do kontynuowania walki, potem zaś sam wyprowadził w kierunku Palestyny oddziały, które nie godziły się na zawieszenie broni. Mittelhauserowi jednak udało się zawrócić je z drogi, w czym zresztą pomógł mu generał Wavell, naczelny dowódca wojsk angielskich na Wschodzie, który obawiał się, by to przejście wojsk francuskich na terytorium Palestyny nie przysporzyło mu w końcu więcej kłopotów niż korzyści. Tylko kilka grup wykazało upór i dotarło do strefy brytyjskiej. Larminat osadzony w areszcie zdołał zbiec. Po przybyciu do Dżibuti pomagał generałowi Legentilhomme w jego daremnych wysiłkach utrzymania francuskiego Somali w stanie wojny, po czym udał się do Egiptu.

Tu otrzymał mój rozkaz udania się do Léopoldville. W Kongo Belgijskim doznał skutecznej, choć dyskretnie udzielonej pomocy gubernatora generalnego Ryckmansa oraz sympatii opinii publicznej i aktywnego poparcia miejscowych Francuzów skupionych pod ideowym dowództwem doktora Stauba. Zgodnie z moimi instrukcjami Larminat miał na obu brzegach Konga przygotować swe wkroczenie do Brazzaville i skoordynować akcję na wszystkich terytoriach Afryki Równikowej.

Gdy wszystko było gotowe, Larminat, Pleven, Leclerc, Boislambert i przybyły specjalnie w tym celu z Czadu major d'Ornano zebrali się w Lagos. Sir Bernard Bourdillon, gubernator generalny Nigerii, udzielił Wolnym Francuzom aktywnej i roztropnej

pomocy, którą niezmiennie okazywał im również w okresie późniejszym. Uzgodniono, że pierwszy do Wolnej Francji przyłączy się Czad. Następnego dnia miano przeprowadzić zamach w Duali, a w dzień potem w Brazzaville.

26 sierpnia w Fort-Lamy gubernator Éboué i pułkownik Marchand, dowódca wojsk tego terytorium, proklamowali uroczyście, że Czad przystępuje do generała de Gaulle'a. Niezwłocznie po tym akcie przybył samolot Pleven, aby w moim imieniu zatwierdzić tę decyzję. Ja ze swej strony doniosłem o niej przez radio w Londynie i wymieniałem Czad w rozkazie dziennym zwracając się do całego imperium.

27 sierpnia Leclerc i Boislambert znakomicie przeprowadzili przewidziany zamach w Kamerunie, chociaż przystąpili do niego ze znikomymi środkami. Miałem początkowo nadzieję, że będę mógł im dać do dyspozycji oddział wojskowy, co ułatwiłoby sprawę. Odkryliśmy bowiem w jednym z obozów Anglii tysiąc czarnych strzelców wysłanych z Wybrzeża Kości Słoniowej podczas bitwy o Francję dla wzmocnienia wojsk kolonialnych. Przybywszy zbyt późno stacjonowali oni teraz w Anglii czekając na repatriację. Uzgodniłem z Anglikami, że skieruję ten oddział do Akry, gdzie major Parant obejmie nad nim dowództwo. Należało przypuszczać, że powrót tych Murzynów do Afryki nie zaniepokoi władz Vichy. Faktycznie też wysadzono ich na ląd na Złotym Wybrzeżu. Ich postawa sprawiła jednak tak doskonałe wrażenie, że oficerowie brytyjscy nie mogli się oprzeć pokusie, by ich wcielić do swoich wojsk. Leclerc i Boislambert mieli więc do dyspozycji zaledwie garstkę wojskowych i kilku kolonistów zbiegłych z Duali. W dodatku w momencie gdy opuszczali Victorię, generał Giffart, naczelny dowódca tamtejszych wojsk brytyjskich, nagle przeląkł się następstw tej operacji i zabronił jej wykonania. W pełnym porozumieniu ze mną, utrzymawszy mój telegram, że mają wykonać swe zadanie na nikogo się nie oglądając, Leclerc i Boislambert przeszli nad tym zakazem do porządku dziennego i dzięki zrozumieniu Anglików w Victorii wyjechali pirogami do Duali.

Mały ten oddział przybył do Duali w nocy. Kilku „degaullistów” na pierwszą wiadomość o tym pośpieszyło do doktora Mauze i przyjęło oddział, tak jak było uzgodnione. Leclerc, który jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej został nagle pułkownikiem i gubernatorem, zajął bez trudności pałac rządowy. Następnego dnia mając ze sobą dwie kompanie z garnizonu w Duali przybył pociągiem do Jaunde, gdzie znajdowały się władze. „Przekazanie władzy” odbyło się bezboleśnie.

W Brazzaville sprawy potoczyły się równie pomyślnie.

28 sierpnia o oznaczonej godzinie major Delange na czele swego batalionu udał się do pałacu rządowego i zażądał od gubernatora generalnego Hussona, by mu ustąpił swego stanowiska. Husson uczynił to bez oporu, ale i nie bez protestu. Garnizon, urzędnicy, koloniści i tubylcy, których opinia po większej części była z góry pozyskana dzięki wpływom generała-lekarza Sicé, intendenta Souques, pułkownika artylerii Serres i podpułkownika lotnictwa Carretier, przyjęli ten fakt wśród objawów radości. Generał de Larminat, który przejeżdżał wtedy przez Kongo, objął natychmiast w moim imieniu funkcje wysokiego komisarza Francuskiej Afryki Równikowej do spraw cywilnych i woj-skowych. Statek, na którym przybył, powrócił do Leopoldville mając na pokładzie generała Hussona.

Jeżeli chodzi o Ubangi, to gubernator de Saint-Mart, który tylko na to czekał, niezwłocznie po powiadomieniu go o wydarzeniach w Brazzaville doniósł telegraficznie o swym przystąpieniu do Wolnej Francji. Jednakże dowódca wojsk i niektóre oddziały zamknęły się w swych koszarach grożąc ostrzeliwaniem miasta. Ale Larminat udał się natychmiast samolotem do Ubangi i sprowadził tych zbłąkanych na właściwą drogę. Jednakże usunięto kilku oficerów i na ich własną prośbę skierowano do Afryki Zachodniej.

Tak więc większa część terytoriów Afryki Równikowej i Kamerunu została przyłączona do Wolnej Francji, przy czym nie przelano ani jednej kropli krwi. Tylko Gabon pozostawał oderwany od tej całości. Niewiele wszakże brakowało, aby i ta kolonia przyłączyła się do Wolnej Francji. 29 sierpnia gubernator Masson, poinformowany przez Larminata o zmianie władzy, zatelegrafował do mnie z Libreville zgłaszając swój akces. Jednocześnie proklamował publicznie przystąpienie terytorium Gabonu do Wolnej Francji i zawiadomił o tym dowódcę wojsk.

Ale władze vichystowskie w Dakarze szybko zareagowały. Na ich polecenie dowódca marynarki wojennej w Libreville, który dysponował jednym awizo,* jednym okrętem podwodnym i kilkoma małymi okrętami, wystąpił przeciwko gubernatorowi zapowiadając jednocześnie przybycie eskadry. Gubernator Masson zmienił wtedy stanowisko i oświadczył, że przystąpienie Gabonu do Wolnej Francji polegało na nieporozumieniu. Wodnopławowiec lotnictwa morskiego utrzymujący ruch wahałowy między Libreville i Dakarem wywiózł do Afryki Zachodniej „skompromitowane” osobistości i przywiózł do Gabonu personel wierny rządowi Vichy. Sytuacja uległa więc radykalnej zmianie. W całości

* Mały, szybki, lekko uzbrojony okręt wojenny (*przyp. red.*).

terytoriów równikowych powstała wroga enklawa, którą wobec jej dostępu do morza trudno nam było zająć. Rząd Vichy w celu wykorzystania sytuacji wysłał do Libreville generała lotnictwa Têtu z tytułem gubernatora generalnego Afryki Równikowej i z zadaniem przywrócenia wszędzie władzy vichystowskiej. Jednocześnie na lotnisku w Libreville wylądowało kilka bombowców Glenn-Martin, przy czym generał Têtu zapowiedział, że jest to tylko straż przednia, za którą niebawem nadejdą siły główne.

W sumie jednak rezultat był pomyślny. Miałem nadzieję, że i druga część mego planu przyłączenia „Czarnej Afryki” również powinna się udać.

Prawdę mówiąc, ta nowa faza nastęczała znacznie większe trudności. Władza w Afryce Zachodniej była silnie scentralizowana, a w dodatku ściśle powiązana z władzą w Afryce Północnej. Rozporządzała ona w dalszym ciągu znacznymi środkami wojskowymi. Dakar, dobrze uzbrojona twierdza, wyposażona w nowoczesne forty i baterie, wspierana przez kilka eskadr lotniczych i służąca za bazę dla eskadry, w szczególności dla okrętów podwodnych i potężnego okrętu liniowego „Richelieu”, którego dowództwo dyszało zemstą, odkąd został on uszkodzony przez angielskie torpedy, stanowiła groźny bastion przysposobiony zarówno do obrony, jak i do działań zaczepnych. Wreszcie gubernator generalny Boisson był człowiekiem energicznym, chociaż o większej ambicji niż inteligencji, co skłoniło go do tego, by stanąć po stronie Vichy. Dowiódł tego wkrótce po swym przybyciu do Dakaru w połowie lipca, kiedy kazał wtrącić do więzienia naczelnego administratora terytorium Górnej Volty, Louveau, który proklamował przyłączenie tego obszaru do Wolnej Francji.

Biorąc pod uwagę stan naszych środków nie mogłem myśleć o tym, by zdobyć Dakar szturmem. Z drugiej strony bardzo zależało mi na tym, by uniknąć poważnych starć. Nie znaczyło to niestety, bym oddawał się złudzeniom co do możliwości wyzwolenia naszego kraju bez bratobójczej walki Francuzów. Jednakże wielka bitwa wszczęta przez nas w danym momencie i na tym terytorium mogła niezależnie od wyniku poważnie zmniejszyć naszą szansę sukcesu. Nie można zrozumieć przebiegu operacji pod Dakarem nie biorąc pod uwagę tych względów, którymi się wówczas kierowałem.

Pierwotny mój plan wykluczał więc bezpośredni atak. Chodziło raczej o wysadzenie na ląd, w znacznej odległości od Dakaru, oddziału zdecydowanych ludzi, którzy by pomaszerowali ku twierdzy i w miarę posuwania się naprzód przyłączali do Wolnej Francji przebywane terytoria i przeciągali na swą stronę

napotkane jednostki wojskowe. W ten sposób można się było spodziewać, że siły Wolnej Francji powiększając się niejako drogą „kontaminacji” podeszłyby do Dakaru od strony lądu. Wojska te zamierzałem wysadzić na brzeg w Konakry. Stąd mogłyby one posuwać się ku stolicy Afryki Zachodniej korzystając z linii kolejowej i szosy łączących bezpośrednio Konakry z Dakarem. Aby jednak zapobiec zniszczeniu oddziału ekspedycyjnego przez eskadrę dakarską, musiałby on mieć zapewnioną osłonę od strony morza. O to musiałem prosić flotę angielską.

W ostatnich dniach lipca poinformowałem o tym planie Churchilla. Na razie nie powiedział mi nic konkretnego, ale wkrótce potem zaprosił mnie do siebie. 6 sierpnia zastałem go jak zwykle w owym wielkim pokoju na Downing Street, który zgodnie z tradycją służy za gabinet premiera i za salę posiedzeń rady ministrów Jego Królewskiej Mości. Na ogromnym stole zajmującym znaczną część pokoju leżały rozpostarte mapy, przed którymi teraz Churchill rozmawiając z ożywieniem chodził tam i z powrotem.

— Musimy — rzekł do mnie — wspólnie zawładnąć Dakarem. Jest to niezmiernie ważne dla was, bo jeżeli operacja zakończy się pomyślnie, wielkie siły i zasoby Francji wezmą znowu udział w wojnie. Jest to bardzo ważne i dla nas, bo możliwość wykorzystania Dakaru jako bazy ułatwiłaby nam wiele w ciężkiej bitwie o Atlantyk. Toteż, po omówieniu sprawy z admiralicją i szefami sztabów, mogę panu oświadczyć, że jesteśmy gotowi wziąć udział w tej ekspedycji. Zamierzamy użyć do tego silnej eskadry morskiej. Ale nie moglibyśmy jej długo trzymać u brzegów Afryki. Ponieważ potrzebna nam będzie do osłony Anglii i dla naszych operacji na Morzu Śródziemnym, będziemy musieli działać bardzo szybko. Dlatego też nie możemy się zgodzić z pańskim projektem wysadzenia wojsk w Konakry i powolnego posuwania się przez zarośla strefy przybrzeżnej, gdyż wtedy musielibyśmy trzymać nasze okręty w tym rejonie przez całe miesiące. Chcę panu zaproponować co innego.

Po czym Churchill ozdabiając swe wywody najbardziej malowniczymi barwami począł kreślić następujący obraz:

— Pewnego dnia ludność Dakaru budzi się rano smutna i przygnębiona. I oto w promieniach wschodzącego słońca widać w dali na morzu mnóstwo okrętów. Ogromna flota! Sto okrętów wojennych i transportowców! Zbliżają się powoli przesyłając przez radio przyjazne słowa powitania miastu, flocie i garnizonowi. Na niektórych z nich powiewa trójbarna flaga francuska. Inne płyną pod banderą brytyjską, holenderską, polską i belgijską. Od tej floty sojuszniczej odłącza się niewinny mały ku-

ter, nie uzbrojony, z białą flagą parlamentariuszy. Wchodzi do portu. Z pokładu schodzą na brzeg przedstawiciele generała de Gaulle'a. Prowadzą ich do gubernatora. Teraz chodzi o to, aby przekonać tego człowieka, że jeżeli pozwoli wam wylądować, flota aliancka wycofa się i pozostaną już tylko do uzgodnienia między wami warunki współpracy. Jeżeli natomiast wybierze walkę, zostanie na pewno pobity.

I Churchill, pełen najgłębszego przekonania, począł żywo gestykulując malować sceny dalszych wydarzeń, tak jak je widział w swej wyobraźni i jakimi pragnął je widzieć:

— Podczas tej rozmowy między gubernatorem i pańskimi przedstawicielami samoloty Wolnej Francji i samoloty angielskie krążą spokojnie nad miastem zrzucając utrzymane w przyjacielskim duchu ulotki. Wojskowi i cywile, wśród których działają pańscy agenci, gorąco dyskutują o korzyściach porozumienia z panem i o bezcelowości rozpoczynania wielkiej bitwy z tymi, którzy bądź co bądź są sojusznikami Francji. Gubernator czuje, że jeśli będzie się opierał, straci grunt pod nogami. Zobaczy pan, że będzie kontynuował pertraktacje aż do ich pomyślnego zakończenia. Być może w międzyczasie każe „dla honoru” oddać kilka strzałów armatnich. Ale dalej się nie posunie. Wieczorem zaś zje z panem kolację i wypije za ostateczne zwycięstwo.

Odrzucając z tego obrazu wszystkie kuszące upiększenia, które należało przypisać elokwencji Churchilla, doszedłem po pewnym zastanowieniu do wniosku, że przedstawiony mi przez niego plan opiera się na solidnych przesłankach. Skoro Anglicy nie mogli długo trzymać w rejonie Afryki Równikowej poważnych sił morskich, nie pozostawało mi nic innego jak tylko zająć Dakar za pomocą akcji bezpośredniej. Otóż akcja ta, jeżeli nie miała przybrać charakteru regularnej bitwy, musiała siłą rzeczy zawierać w sobie pewną mieszaninę perswazji i groźby. Z drugiej strony uważałem za rzecz prawdopodobną, że admiralicja brytyjska wcześniej lub później, z udziałem lub bez udziału Francuzów ureguluje sprawę Dakaru, który jako wielka baza atlantycka i z uwagi na znajdujący się tu okręt liniowy „Richelieu” musiał budzić pożyteczność Anglików, a jednocześnie napawać ich niepokojem.

Doszedłem do wniosku, że nasz udział w tej ekspedycji rokuje pewne widoki przyłączenia Dakaru do Wolnej Francji — nawet gdyby stać się to miało przemocą. Jeżeli natomiast odmówimy wzięcia udziału w tej operacji, Anglicy wcześniej lub później przedsięwzją ją na własną rękę. Wtedy zaś Dakar będzie się bronił wszystkimi siłami, armatami fortów i artylerią „Richelieu”, przy czym cała angielska flota transportowa będzie wy-

stawiona na ataki bombowców Glenn-Martin, myśliwców Curtiss i okrętów podwodnych, bardzo niebezpiecznych dla okrętów nie posiadających w owym czasie żadnych środków detekcyjnych. Gdyby zaś mimo to Dakar, zburzony pociskami, musiał w końcu skapitulować oddając Anglikom zgłiszcza i ruiny, zachodziła obawa, że stanie się to z uszczerbkiem dla suwerennych praw Francji.

Wkrótce odwiedziłem znowu Churchilla i zakomunikowałem mu, że przyjmuję jego propozycję. Plan operacji opracowałem wspólnie z admirałem Johnem Cunninghamem, który miał dowodzić angielską eskadrą. W toku tej przykrej dla nas sprawy znalazłem w nim jeżeli nie zawsze przyjemnego towarzysza, to w każdym razie znakomitego marynarza i odważnego człowieka. Jednocześnie kazałem przygotować niestety bardzo nieznaczne środki, które my, Francuzi, mogliśmy zaangażować w tej operacji. Były to trzy awiza „Savorgnan de Brazza”, „Commandant Duboc”, „Commandant Dominé”, dwa uzbrojone kutry, „Vaillant” i „Viking” oraz umieszczone na pokładzie dwóch holenderskich statków pasażerskich „Pennland” i „Westerland” (własnymi statkami francuskimi wtedy nie rozporządzaliśmy) batalion Legii Cudzoziemskiej, kompania rekrutów, kompania piechoty morskiej, skład osobowy kompanii czołgów i baterii artylerii, jak również zaczątki służb pomocniczych — w sumie dwa tysiące ludzi. Siły nasze obejmowały także pilotów dwóch eskadr lotniczych i wreszcie cztery francuskie statki handlowe „Anadyr”, „Casamance”, „Fort-Lamy” i „Nevada” wiozące ciężki sprzęt bojowy: czołgi, działa, zapakowane w skrzyniach samoloty „Lysander”, „Hurricane” i „Blenheim”, różnego rodzaju pojazdy i żywność.

Jeżeli chodzi o Anglików, to ich eskadra nie obejmowała wszystkich okrętów, o których początkowo mówił Churchill. W skład jej wchodziły dwa pancerniki starszego typu, „Barham” i „Resolution”, cztery krążowniki, lotniskowiec „Ark Royal”, kilka niszczycieli i jeden tankowiec. Poza tym trzy transportowce wiozły na wszelki wypadek dwa bataliony piechoty morskiej pod dowództwem generała brygady Irvina wraz z środkami desantowymi. Natomiast nie było już mowy o brygadzie polskiej, która według pierwotnych zapowiedzi miała wziąć udział w naszej ekspedycji. Odnosiło się wrażenie, że sztaby angielskie, mniej niż premier przekonane o doniosłości i szansach tej operacji, okroili pierwotnie przewidziane dla niej środki.

Na kilka dni przed odjazdem doszło do ostrej dyskusji spowodowanej przez Anglików, a dotyczącej użytku, jaki w razie udania się akcji zamierzam zrobić z bardzo poważnych zapasów

złota znajdujących się w Bamako. Chodziło o zdeponowane tu złoto Banku Francuskiego i banków państwowych Belgii i Polski. Istotnie, rezerwy i depozyty złota „Banque de France” zostały w chwili inwazji niemieckiej częściowo wywiezione do Senegalu; inną ich część oddano na przechowanie w podziemiach amerykańskiego „Federal Bank”, resztę zaś wysłano na Martynikę. Mimo blokady, granic i posterunków strażniczych organy wywiadu różnych państw wojujących nie przestawały interesować się tym złotem w Bamako.

Belgowie i Polacy zupełnie słusznie domagali się zwrotu swoich depozytów; udzieliłem w tej mierze zarówno Spaakowi, jak Zaleskiemu odpowiednich zapewnień. Ale Anglicy, chociaż rzecz prosta nie rościli sobie żadnego prawa własności do tych depozytów, zamierzali je jednak wykorzystać na opłacenie swych zakupów w Ameryce, przy czym powoływali się na to, że czynią to w interesie całej koalicji. W owym okresie Stany Zjednoczone faktycznie nie sprzedawały żadnemu państwu niczego na kredyt. Mimo nalegań Spearsa, który groził mi nawet, że Anglicy wycofają się z planowanej ekspedycji, stanowczo odrzuciłem to żądanie. W końcu stanęło na tym, jak to zresztą od początku proponowałem, że złoto francuskie zdeponowane w Bamako będzie użyte jedynie do opłacenia angielskich zakupów w Ameryce, przeznaczonych dla Francji Walczącej.

Przed samym odjazdem nadeszła wiadomość o przyłączeniu Czadu, Kamerunu, Konga i Ubangi do Wolnej Francji. Nadeszła w sama porę, aby nas podnieść na duchu. Liczyliśmy na to, że gdyby się nawet nie udało zająć Dakaru, to jednak dzięki posiłkom przywiezionym do Afryki będziemy mogli zorganizować w centrum tego kontynentu bazę operacyjną dla działań wojennych i stworzyć podstawę suwerenności walczącej Francji.

Ekspedycja wyruszyła z Liverpoolu 31 sierpnia. Znajdowałem się wraz z częścią sił francuskich i niewielkim sztabem na pokładzie „Westerlandu”, który obok bandery holenderskiej podniósł też banderę francuską. Dowódca „Westerlandu”, kapitan Plagaay, oficerowie i załoga, podobnie jak kapitan i załoga „Pennlandu”, prześcigali się w składanych nam dowodach przyjaźni i ofiarności. Towarzyszył mi Spears delegowany przez Churchilla jako oficer łącznikowy, dyplomata i informator. W Anglii pozostawiłem nasze formujące się oddziały pod rozkazami admirała Muselier, a zaczątek przyszłej administracji pod kierownictwem Antoine'a; Dewavrin miał utrzymywać bezpośrednią łączność z nami i bieżąco informować nas o wydarzeniach. Wkrótce zresztą oczekiwano przybywającego z Indochin generała Catroux. W liście, który miano mu natychmiast doręczyć, informowałem

go o wszystkich moich planach, jak również o zamiarach co do jego osoby. Liczyłem na to, że mimo mej nieobecności, jeżeli tylko nie potrwa ona zbyt długo, doświadczenie nabyte przez moich współpracowników wystarczy, by spory wewnętrzne i intrygi od zewnątrz zbyt nie wstrząsnęły kruchym jeszcze gmachem Wolnej Francji. Mimo to stojąc na pokładzie „Westerlandu”, na którym wraz z moim małym oddziałem i naszymi stateczkami opuściłem port w chwili nieprzyjacielskiego nalotu, czułem się niemal przytłoczony ogromem wziętego na siebie zadania. Na pełnym morzu, wśród nieprzeniknionych ciemności, mały, obcy, nie uzbrojony statek z pogaszonymi światłami unosił ze sobą losy Francji.

Naszym pierwszym portem przeznaczenia było Freetown. Zgodnie z planem mieliśmy się tu przegrupować i otrzymać ostatnie informacje. Przybyliśmy do Freetown dopiero 17 września, musieliśmy bowiem przystosować się do małej szybkości naszych statków handlowych i zrobić duży łuk na Atlantyku, aby uniknąć spotkania z niemieckimi samolotami i okrętami podwodnymi. Otóż w drodze dowiedzieliśmy się z radiogramu otrzymanego z Londynu o czymś, co dotyczyło sił Vichy i co mogło pokrzyżować wszystkie nasze plany. 11 września trzy duże nowoczesne krążowniki „Georges Leygues”, „Gloire” i „Montcalm” i trzy lekkie krążowniki „Audacieux”. „Fantasque” i „Malin” wyszedłszy z Tulonu minęły Cieśninę Gibraltarską nie zatrzymane przez flotę angielską i po krótkim postoju w Casablance dopłynęły do Dakaru. Ledwie jednak zarzucili kotwicę w Freetown, jak nadeszła nowa alarmująca wiadomość, która nas jeszcze bardziej wzburzyła. Eskadra tulońska, wzmocniona w Dakarze krążownikiem „Primauguet”, podniosła kotwicę i z całą szybkością popłynęła na południe. Angielski niszczyciel, wydzielony dla obserwacji, śledził z dala jej ruchy.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że ta potężna flota kierowała się do Afryki Równikowej, gdzie port Libreville stał dla niej otworem i gdzie mogła z łatwością zająć z powrotem Pointe-Noire i Dualę. Gdyby zaś ten grom z jasnego nieba nie wystarczył do przywrócenia *status quo* w Kongo i Kamerunie, wówczas pod osłoną tych pierwszorzędnych okrętów można by bez trudu przerzucić i wysadzić na brzeg oddziały karne wysłane z Dakaru, Konakry i Abidżanu. Przypuszczenie to zresztą od razu się potwierdziło, gdy zatrzymany przez Anglików statek handlowy „Poitiers” płynący z Dakaru do Libreville został zatopiony na rozkaz swego kapitana. Było jasne, że Vichy przedsięwzięło szeroko zakrojoną operację w celu odebrania terytoriów, które przyłączyły się do Wolnej Francji, i że wysłanie siedmiu krążowni-

ków w kierunku Afryki Równikowej nastąpić mogło tylko z pełną zgodą, a kto wie czy i nie na polecenie Niemców. Admirał Cunningham zgodził się ze mną, że należy niezwłocznie zatrzymać eskadrę Vichy.

Uzgodniliśmy, że trzeba wezwać tych intruzów, by skierowali się nie do Dakaru, lecz do Casablanki, uprzedzając ich, że w razie odmowy eskadra angielska rozpocznie działania bojowe. Uważaliśmy zresztą, że sama ta groźba wystarczy, by skłonić do zawrócenia statki Vichy, które zapuściły się w te rejony. Jeżeli bowiem okręty angielskie z powodu swej znacznie mniejszej szybkości nie mogły przeciąć im drogi, to za to dwukrotnie silniejsze uzbrojenie dawało im przewagę nad eskadrą tulońską z chwilą, gdyby musiała się ona schronić na redzie jakiegokolwiek portu Afryki Równikowej nie bronionego przez artylerię nadbrzeżną. Wtedy agresor musiałby albo się wycofać, albo przyjąć bitwę w niekorzystnych dla siebie warunkach. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby dowódca eskadry Vichy dał się wpędzić w sytuację stawiającą go przed tego rodzaju alternatywą.

Istotnie, kapitanowie krążowników angielskich nawiązawszy łączność z admirałem Bourraguet dowodzącym eskadrą, która pojawiła się tak bardzo nie w porę, uzyskali bez trudu, że zawróciła ona z powrotem, skoro tylko jej dowódca dowiedział się, iż w pobliżu znajduje się flota angielsko-francuska. Ale okręty Vichy nie obawiając się pościgu skierowały się nie do Casablanki, lecz najspokojniej w świecie popłynęły do Dakaru. Tylko krążowniki „Gloire” i „Primauguet”, które szły ze zmniejszoną szybkością z powodu defektu maszyn, a z którymi komandor porucznik Thierry d'Argenlieu znajdujący się na niszczycielu „Ingerfield” nawiązał w moim imieniu bezpośrednią łączność, poddały się temu żądaniu i przybyły do Casablanki, odrzuciwszy moją propozycję naprawienia uszkodzeń w Freetown.

Tak więc wolna Afryka francuska uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa. Już samo to po stokroć usprawiedliwiało zmontowaną przez nas ekspedycję. Z drugiej strony zachowanie się eskadry tulońskiej, która płynęła w kierunku Afryki Równikowej, jak gdyby nas tam nie było, a potem zrezygnowała ze swego zadania, skoro tylko przekonała się o naszej obecności, świadczyło o tym, że Vichy nie znało celu naszej ekspedycji. Złożywszy sobie wzajemne gratulacje z powodu udaremnienia planu naszych przeciwników, musieliśmy jednocześnie stwierdzić, że obecnie i nasz własny projekt był poważnie zagrożony. W rzeczy samej władze w Dakarze miały się teraz na baczności, a ponadto otrzymały posiłki w postaci niezwykle silnych okrętów wojennych. Niebawem dowiedzieliśmy się przez agentów naszego

wywiadu, że kanonierów wojsk kolonialnych obsługujących baterie nadbrzeżne uznano za nie dość pewnych i zastąpiono artylerzystami marynarki wojennej. Słowem, nasze szanse zajęcia Dakaru bardzo poważnie zmalały.

W Londynie Churchill i admiralicja uważali, że w tych warunkach lepiej będzie odstąpić od zamierzonej operacji. Już 16 września otrzymaliśmy telegram, w którym nam proponowano, by flota eskortowała tylko nasze statki aż do Duali i potem opuściła ten rejon. Muszę przyznać, że to wyrzeczenie się planowanej operacji wydawało mi się najgorszym rozwiązaniem sprawy. Gdybyśmy bowiem zaniechali akcji na Dakar, Vichy wystarczyłoby poczekać, aż okręty angielskie odpłyną na północ, i wznowić swój atak przeciw Afryce Równikowej. Wówczas morze stałoby dla nich otworem i krążowniki admirała Bourraguet skierowałyby się znowu ku równikowi. W ten sposób bojownicy walczący pod znakiem Krzyża Lotaryngii, z generałem de Gaulle włącznie, zostaliby wcześniej lub później zablokowani w tych odległych rejonach i nawet gdyby nie ulegli, zostaliby związani w bezużytecznych walkach prowadzonych przeciw innym Francuzom w przybrzeżnych zaroślach i lasach. W tych warunkach nie mieliby żadnych widoków włączenia się do walki przeciw Niemcom i Włochom. Nie wątpiłem ani na chwilę, że takie właśnie były rachuby wroga, którego narzędziem świadomie lub nieświadomie stawał się marionetkowy rząd w Vichy. Zdawało mi się, że w tym stanie rzeczy powinniśmy mimo wszystko spróbować zawładnąć Dakarem.

Muszę zresztą przyznać, że już przyłączenie się niektórych terytoriów afrykańskich do Wolnej Francji wzbudziło we mnie ukrytą nadzieję, którą potwierdziły pomyślne wiadomości otrzymane — już po moim odejściu z Londynu — z innych stron świata. 2 września przystąpiły do Wolnej Francji posiadłości francuskie w Oceanii, gdzie utworzył się rząd tymczasowy, w skład którego weszli Ahne, Lagarde i Martin. 9 września gubernator Bonvin obwieścił, że posiadłości francuskie w Indiach przyłączają się do mnie. 14 września na wyspach Saint-Pierre i Miquelon „Powszechne Zgromadzenie Byłych Kombatantów” zawiadomiło mnie formalnie o swym akcesie, po czym rząd brytyjski zwrócił się do rządu Kanady z prośbą o poparcie ich ruchu. 20 września gubernator Sautot, który 18 lipca przyłączył do nas Nowe Hebrydy, zajął na mój rozkaz Numeę. Tutaj „Komitet de Gaulle'a", któremu przewodził Michel Verges, stał się panem sytuacji przy entuzjastycznym poparciu ludności, co pozwoliło gubernatorowi Sautot uchwycić władzę w swe ręce. Wreszcie byłem sam świadkiem, jak eskadra admirała Bourra-

guet zawróciła z powrotem na pierwsze żądanie. Któż więc mógł zaręczyć, że nie spotkamy się w Dakarze z tą samą atmosferą zgody, gdzie przestają działać najbardziej nawet formalne rozkazy i zakazy; tak czy owak należało spróbować.

Admirał Cunningham był tego samego zdania. Zatelegrafowaliśmy do Londynu prosząc usilnie, aby nam pozwolono przeprowadzić operację. Churchill, jak później sam mi opowiadał, był zdziwiony, ale zarazem i zachwycony naszym uporem. Chętnie wyraził zgodę i akcja była zdecydowana.

Jednakże, nim wyruszyliśmy w dalszą drogę, miałem jeszcze ostrą przeprawę z Cunninghame, który chciał, abym wraz ze swymi skromnymi siłami przeszedł pod jego rozkazy, przy czym proponował mi w zamian przeniesienie się na flagowy okręt liniowy „Barham”. Rzecz jasna, że odrzuciłem zarówno jego żądanie, jak i zaproszenie. W naszej rozmowie prowadzonej tego wieczora na pokładzie „Westerlandu” doszło do kilku gwałtownych wybuchów. W ciągu nocy admirał przysłał mi liścik utrzymany w wyjątkowo serdecznym tonie, zawiadamiając mnie, iż rezygnuje ze swych żądań. 21 września podnieśliśmy kotwicę i już o świcie 23 września wśród wyjątkowo gęstej mgły stanęliśmy przed Dakarem.

Ta mgła miała bardzo poważnie zaszkodzić naszej operacji. Ponieważ nie było nic widać na odległość kroku, więc nie było absolutnie co liczyć na wrażenie moralne, które według przewidywań Churchilla powinien być zrobić na ludności i na garnizonie widok naszej floty. Ale operacji oczywiście nie można już było odwołać. Przystąpiliśmy więc do jej realizacji według ustalonego planu. O godzinie 6 rano zwróciłem się przez radio do floty, wojsk i mieszkańców zawiadamiając ich o naszym przybyciu i o naszych przyjaznych zamiarach. Zaraz potem z pokładu lotniskowca „Ark Royal” wzbity się w powietrze dwa małe nie uzbrojone francuskie samoloty turystyczne „Luciole”, które miały wylądować na lotnisku Uakam, po czym przewiezieni nimi trzech oficerowie, Gaillet, Scamaroni i Soufflet, mieli przeprowadzić swą misję fraternizacji. Rychło też dowiedziałem się, że samoloty wylądowały bez trudności i że na lotnisku rozpostarty został sygnał „Powodzenie!”.

Wtem w różnych miejscach otworzyła ogień artyleria przeciwlotnicza. Działa przeciwlotnicze pancernika „Richelieu” i artyleria twierdzy zaczęły ostrzeliwać samoloty Wolnych Francuzów i Anglików, które krążyły nad miastem zrzucając przyjacielskie ulotki. Jednakże odnosiłem wrażenie, że w tej kanonadzie, jakkolwiek złowrogiej, przebija pewien brak zdecydowania. Toteż wydałem rozkaz, aby dwa kutry z parlamentariuszami weszły

do portu, jednocześnie zaś francuskie awiza oraz „Westerland” i „Pennland” podeszły we mgle aż do samego wejścia na redę. Na razie nie wywołało to żadnej reakcji. Komandor porucznik d'Argenlieu, major Gotscho, kapitanowie Becourt-Foch i Perrin oraz podporucznik Porgès kazali przycumować swe łodzie i wyszli na nabrzeże pytając o komendanta portu. Gdy ten się zjawił, d'Argenlieu oświadczył, że ma doręczyć do rąk własnych gubernatora generalnego list od generała de Gaulle'a. Ale komendant, nie ukrywając swego zmieszania, oświadczył naszym parlamentariuszom, że ma rozkaz ich aresztować. Jednocześnie zdradził chęć zawezwania straży. Widząc to moi wysłannicy wrócili na swe kutry. Podczas gdy płynęli z powrotem ku okrętom, otworzono ogień do nich z karabinów maszynowych. D'Argenlieu i Perrin, poważnie ranni, zostali przeniesieni na pokład „Westerlandu”.

Teraz baterie Dakaru skierowały ogień na okręty Wolnej Francji i Anglii, na który my przez kilka godzin nie odpowiadaliśmy. Z kolei strzelać zaczął także „Richelieu”, który holowniki przeciągnęły na inne stanowisko w porcie, by mógł lepiej wykorzystać swe działa. Około godziny 11, gdy krążownik „Cumberland” został poważnie trafiony, admirał Cunningham wysłał następujący radiogram: „Nie strzelam do was, dlaczegoż więc wy strzelacie do mnie?” Odpowiedź brzmiała: „Odejdźcie na odległość 20 mil”. Na to z kolei Anglicy oddali kilka strzałów. Czas mijał, ale ani jedna, ani druga strona nie przejawiała prawdziwej chęci do walki. Do południa nie wystartował ani jeden samolot Vichy.

Wszystkie te oznaki zdaniem moim nie wskazywały na to, by twierdza miała zamiar bronić się do upadłego. Być może, że flota, garnizon i gubernator czekali na jakieś wydarzenie, które mogłoby posłużyć za pretekst do porozumienia. Około południa admirał Cunningham przesłał mi telegram, że i on podziela to wrażenie. Oczywiście o tym, by wprowadzić eskadrę do portu, nie mogło być mowy. Ale czy nie można było w pobliżu twierdzy wysadzić desant Wolnych Francuzów, którzy następnie spróbowaliby zbliżyć się do niej od strony lądu? Tego rodzaju wariant braliśmy pod uwagę już przedtem. Mały port Rufisque, położony poza zasięgiem donośności ognia większości fortów Dakaru, zdawał się dobrze nadawać do tej operacji, oczywiście pod warunkiem, że nie napotka ona zdecydowanego oporu. Chodziło bowiem o to, że podczas gdy nasze awiza mogły podejść do Rufisque, dla naszych transportowców było to niemożliwe z powodu ich głębokiego zanurzenia. Trzeba by więc było wysadzić wojska na brzeg szalupami, wtedy zaś nie mogłyby one wziąć ze sobą cięż-

kiej broni i los operacji zależałby od tego, czy miałaby ona przebieg pokojowy. Jednakowoż otrzymawszy od Cunninghama zapewnienie, że będzie nas osłaniał od strony morza, skierowałem wszystkie nasze siły do Rufisque.

Około godziny 15, wciąż jeszcze we mgle, stanęliśmy na miejscu. „Commandant Duboc” mając na pokładzie pluton fizylierów wszedł do portu i wysłał na brzeg szalupę z kilkoma marynarzami, by przycumować statek. Na brzegu tłum tubylców biegł już przywitać ten pierwszy patrol, gdy nagle wojska Vichy, rozmieszczone w pobliżu, otworzyły ogień do naszego awiza zabijając i raniąc kilku ludzi. Na kilka minut przed tym dwa bombowce Glenn-Martin przeleciały na niedużej wysokości nad naszym małym oddziałem, jak gdyby chcąc pokazać, że jest on zdany na ich łaskę i niełaskę. Tak też rzeczywiście było. W końcu admirał Cunningham zatelegrafował nam, że vichystowskie krążowniki „Georges Leygues” i „Montcalm” wyszły z redy Dakaru i znajdują się we mgle w odległości jednej mili od nas, a okręty angielskie zajęte gdzie indziej nie mogą nas przed nimi osłonić. Nie było wątpliwości: operacja spaliła na panewce. Nie tylko że nie mogliśmy wylądować, ale wystarczyłoby kilka strzałów armatnich z krążowników Vichy, aby całą ekspedycję Wolnej Francji posłać na dno. Postanowiłem wyjść w morze, co też nastąpiło bez dalszych incydentów.

Noc minęła na wyczekiwaniu. Rano flota angielska otrzymawszy od Churchilla telegram polecający jej kontynuować energicznie operację, wystosowała do władz Dakaru ultimatum. Te odpowiedziały, że twierdzą nie poddają. Potem Anglicy we mgle, która stała się jeszcze gęstsza, prowadzili na chybił trafił dość żywą wymianę strzałów armatnich z bateriami nadbrzeżnymi i okrętami stojącymi na redzie. Pod wieczór stało się jasne, że nie da się osiągnąć żadnego ostatecznego rezultatu.

Gdy zapadły ciemności, okręt liniowy „Berham” zbliżył się do „Westerlandu” i admirał Cunningham poprosił mnie do siebie dla omówienia sytuacji. Na pokładzie angielskiego pancernika panował smutny i napięty nastrój. Niewątpliwie żałowano tu, iż plan się nie udał. Przeważało jednak uczucie zdziwienia. Brytyjczycy, ludzie praktyczni, nie mogli zrozumieć, dlaczego władze, flota i wojska w Dakarze walczą z taką zaciekłością przeciw swym rodakom, a także przeciw swym sojusznikom, podczas gdy Francja znajduje się pod butem najeźdźcy. Co do mnie to postanowiłem odtąd niczemu się nie dziwić. Ostatnie wydarzenia przekonały mnie raz na zawsze, że władze Vichy nigdy nie omieszkają nadużyć męstwa i zdyscyplinowania swych podwładnych wbrew interesom Francji.

Admirał Cunningham przedstawił sytuację. „Biorąc pod uwagę postawę twierdzy i wspierającej ją eskadry — oświadczył — nie sądzę, by bombardowanie mogło doprowadzić do pożądanego wyniku.” Generał Irwing, dowódca oddziałów desantowych, dodał, że „gotów jest wysadzić swe wojska na ląd, aby przypuścić szturm do twierdzy, ale należy zdać sobie jasno sprawę, jakie ryzyko będzie to oznaczać dla każdego żołnierza i każdego okrętu”. I jeden, i drugi zapytali mnie, co stanie się z „ruchem” Wolnej Francji, jeżeli ekspedycja się na tym zakończy.

— Do tej chwili — odpowiedziałem — nie przeprowadziliśmy zdecydowanego ataku na Dakar. Próba zajęcia twierdzy bez walki spełzła na niczym. Bombardowanie nie przyniesie żadnego wyniku. Wreszcie lądowanie przemocą i atak na forty pociągnęłyby za sobą regularną bitwę, której ja ze swej strony pragnąłbym raczej uniknąć i której wynik, jak panowie sami powiadacie, byłby bardzo niepewny. Musimy więc na razie zrezygnować z zajęcia Dakaru. Proponuję admirałowi Cunninghamowi, by obwieścił, iż zaprzestaje bombardowania na prośbę generała de Gaulle'a. Blokadę jednak należy utrzymać, aby nie pozostawić żadnej swobody działania okrętom znajdującym się w Dakarze. Następnie będziemy musieli przedsięwziąć nową próbę zdobycia Dakaru, posuwając się ku niemu od strony lądu po wysadzeniu desantu w nie bronionych lub słabo bronionych miejscach, na przykład w Saint-Louis. W każdym razie Wolna Francja, cokolwiek by miało się stać, nie zaprzestanie walki.

Zarówno admirał Cunningham, jak i generał Irwing podzielili moje zdanie co do najbliższych kroków. Była już noc, gdy opuściłem „Barham” na pokładzie kołyszącej się na falach szalupy, podczas gdy oficerowie i załoga pancernika ustawiwszy się wzdłuż poręczy w przygnębianym nastroju oddawali mi przepisowe honory.

W ciągu nocy jednak dwa wydarzenia skłoniły admirała Cunninghama do odstąpienia od naszego porozumienia. Przede wszystkim nadszedł nowy telegram od Churchilla wzywający wyraźnie do kontynuowania operacji. Premier, jak wynikało z tego telegramu, był bardzo zaskoczony i zirytowany, że cała akcja może spalić na panewce, tym bardziej że koła polityczne w Londynie, a przede wszystkim w Waszyngtonie, pod wpływem wiadomości radiowych z Vichy i Berlina zaczynały już przejawiać niepokój. Z drugiej strony mgła ustąpiła, a tym samym bombardowanie twierdzy zdawało się znowu rokować pewne widoki. Tym razem nikt już nie pytał mnie o zdanie. O świcie zawiązała się nowa wymiana strzałów między twierdzą i flotą angielską. Ale pod wieczór pancernik „Resolution” trafiony torpedą okrętu podwodnego był bliski zato-

nięcia i musiał być wzięty na hol. Kilka innych angielskich okrętów otrzymało poważne trafienia. Cztery samoloty z lotniskowca „Ark Royal” zostały strącone. Po stronie przeciwnej pancernik „Richelieu” i różne inne okręty były ciężko uszkodzone. Niszczyciel „Audacieux” i okręty podwodne „Persée” i „Ajax” zostały zatopione; załogę tego ostatniego uratował angielski niszczyciel. Ale forty twierdzy nadal prowadziły ogień. Admirał Cunningham postanowił uniknąć dalszych strat. Nie pozostało mi nic innego, jak pogodzić się z tym. Wzięliśmy kurs na Freetown.

Nastąpiły dla mnie ciężkie dni. Czułem się tak, jak chyba czuć się może człowiek, którego dom chwieje się od gwałtownego wstrząsu podziemnego i na którego głowę sypie się grad dachówek.

W Londynie rozpętała się przeciw mnie nawałnica oburzenia, w Waszyngtonie huragan zjadliwych szyderstw. Dla prasy amerykańskiej i dla wielu dzienników angielskich było od razu rzeczą przesądzoną, że winę za niepowodzenie operacji ponosi generał de Gaulle. „To on — powtarzano ze wszystkich stron — wymyślił tę nieodpowiedzialną awanturę, wprowadził w błąd Anglików swoimi fantastycznymi informacjami o sytuacji w Dakarze i w swej donkiszoterii zażądał zaatakowania twierdzy, chociaż posiłki wysłane przez Darlana z góry wykluczały wszelką możliwość powodzenia... Zresztą krążowniki z Tulonu przybyły jedynie na skutek niezliczonych niedyskrecji popełnianych przez Wolnych Francuzów, które zaalarmowały Vichy... Jest jasne i na przyszłość nie wolno o tym zapominać, że nie można polegać na ludziach, którzy nie umieją zachować tajemnicy.” Wkrótce zaczęto z kolei atakować również Churchilla za to, że lekkomyślnie dał się wciągnąć w tę imprezę. Spears z posępną miną przynosił mi telegramy od swych informatorów, którzy uważali za prawdopodobne, że de Gaulle, zrozpaczony, opuszczony przez swych zwolenników, a także przez Anglików, zaniecha wszelkiej dalszej działalności, podczas gdy rząd angielski przy pomocy generała Catroux lub admirała Muselier wznowi werbunek pomocniczych wojsk francuskich w znacznie skromniejszych niż dotąd rozmiarach.

Propaganda Vichy triumfowała tracąc wszelkie poczucie umiaru. Sądząc po komunikatach z Dakaru można by było pomyśleć, że odniesiono wielkie zwycięstwo na morzu. W pismach okupowanej i nie okupowanej strefy Francji i w audycjach rozgłośni radiowych, które mieniły się „francuskimi”, podawano i komentowano niezliczone depesze gratulacyjne skierowane do gubernatora generalnego Boissona i bohaterskich obrońców Dakaru.

Tymczasem ja w mej ciasnej kajucie, na redzie, gdzie żar łał się z nieba, uświadomiłem sobie, jakie reakcje wywołać może strach — zarówno u przeciwników mszczących się za to, że go odczuli, jak i u sojuszników przerażonych nagle niepowodzeniem.

Niebawem jednak przekonałem się, że Wolni Francuzi mimo doznanego niepowodzenia pozostają niezachwiani. Gdy natychmiast po zarzuceniu kotwicy odwiedziłem wszystkie jednostki naszej ekspedycji, nie spotkałem ani jednego człowieka, który by chciał mnie opuścić. Przeciwnie, wroga postawa Vichy jeszcze bardziej wszystkich umocniła. Gdy nad naszymi okrętami stojącymi na kotwicy pojawił się samolot Dakaru, z pokładów wszystkich okrętów powitano go wściekłym ogniem karabinowym, co na tydzień przed tym na pewno by się nie zdarzyło. Wkrótce serdeczne depesze od Larminata i Leclerca przekonały mnie, że zarówno oni, jak i ich otoczenie są bardziej niż kiedykolwiek przepojeni uczuciem niewzruszonej wierności. Z Londynu nie zasygnalizowano mi ani jednego wypadku odstępstwa mimo niezliczonych przymówek kierowanych pod adresem Wolnych Francuzów. To zaufanie wszystkich, którzy związali się ze mną, było dla mnie wielką podporą. Okazało się więc, że Wolna Francja zbudowana jest na mocnych podstawach. A zatem naprzód, do dzieła! Będziemy kontynuować walkę. Spears już z nieco pogodniejszą twarzą cytował mi Wiktora Hugo: „Nazajutrz Aymeri zdobył miasto”.

Trzeba powiedzieć, że w Londynie rząd zdołał się oprzeć przejawianej wobec nas z wielu stron nieżyczliwości. Churchill, chociaż silnie atakowany, nie odstąpił mnie, tak jak i ja go nie odstąpiłem. 28 września wygłosił w Izbie Gmin exposé przedstawiając wydarzenia z całą obiektywnością, jakiej można się było po nim spodziewać, i oświadczając, że „wszystko, co się zdarzyło, wzmocniło tylko zaufanie rządu Jego Królewskiej Mości do generała de Gaulle'a”. Prawda, że wtedy premier wiedział już, choć wołał o tym nie wspominać, co było powodem, że eskadra, która wyszła z Tulonu, zdołała przepłynąć przez Cieśninę Gibraltarską. Sam mi o tym opowiedział, gdy w dwa miesiące później powróciłem do Anglii.

Okazało się, że oficer wywiadu francuskiego, kapitan Luizet, potajemnie związany z ruchem Wolnej Francji, poinformował telegraficznie z Tangeru Londyn i Gibraltar o ruchach okrętów Vichy. Telegram ten nadszedł jednak do Londynu w momencie, gdy na skutek nalotu niemieckich samolotów na Whitehall cały personel mieszczących się przy tej ulicy biur sztabu generalnego znajdował się w schronach i praca w sztabie jeszcze i po tym była przez kilka godzin zakłócona. Telegram odcyfrowano zbyt

późno i „pierwszy lord morza” nie mógł już na czas uprzedzić floty w Gibraltarze. Mało tego. Mimo że attaché morski Vichy w Madrycie w swej prostocie ducha (?) sam uprzedził attaché brytyjskiego i że wskutek tego admirał dowodzący w Gibraltarze wiedział już o tym z dwóch źródeł, nie zrobiono nic, by zatrzymać te groźne okręty.

Stanowisko zajęte publicznie przez premiera wobec „degaullistów” przyczyniło się w dużym stopniu do tego, że w parlamencie i prasie zapanował nieco spokojniejszy ton. Niemniej jednak sprawa Dakaru na długo pozostawiła w sercach Anglików bolesną drzazgę, u Amerykanów zaś zrodziła pogląd, że gdy kiedyś wypadnie im dokonać desantu na terytoriach administrowanych przez Vichy, operację tę trzeba będzie przeprowadzić bez udziału Wolnych Francuzów i Anglików.

Na razie nasi brytyjscy sojusznicy byli w każdym razie zdecydowani nie ponawiać próby. Admirał Cunningham oświadczył mi formalnie, że trzeba zrezygnować z powtórzenia tej operacji w jakiegokolwiek bądź formie i że będzie mógł tylko eskortować mnie do Kamerunu. Wzięliśmy kurs na Dualę. 8 października, kiedy okręty francuskie wchodziły w ujście rzeki Wuri, okręty angielskie oddały pożegnalny salut i wyszły na morze.

Gdy awizo „Commandant Duboc”, na którego pokładzie się znajdowałem, wpłynęło do portu Duala, w mieście zapanował niebywały entuzjizm. W porcie oczekiwał mnie Leclerc. Po przeglądzie wojsk udałem się do pałacu rządowego, podczas gdy wojska przybyłe z nami z Anglii wysadzały się na brzeg. Urzędnicy, koloniści francuscy i co znaczniejsi tubylcy, z którymi nawiązałem kontakt, burzliwie manifestowali swój patriotyzm. Przy tym jednak nie zapominali o trapiących ich szczególnych zagadnieniach. Najważniejszym z nich było utrzymanie eksportu produktów wytwarzanych na ich terytorium oraz zapewnienie przywozu brakujących, a niezbędnych im do życia artykułów. Ale mimo kłopotów i niektórych rozbieżności od razu przejawiała się jedność moralna Wolnych Francuzów, zarówno tych, którzy przystąpili do ruchu w Londynie, jak i tych, którzy potem przyłączyli się do nas w Afryce.

Ta wspólnota duchowa wszystkich Francuzów skupionych pod znakiem Krzyża Lotaryngii miała potem stać się stałym atrybutem naszego ruchu. Odtąd, gdziekolwiek by to było i o cokolwiek by chodziło, można było z całą pewnością przewidzieć, co myślą degaulliści i jak postąpią. Tak np. entuzjizm, z którym się dopiero co spotkałem, spotykałem odtąd wszędzie przy każdej okazji, ilekroć tylko obecne były masy ludowe. Muszę powiedzieć, że z czasem powstał z tego dla mnie stan swego rodzaju

stałego przymusu. Fakt, że dla mych towarzyszy walki ucieleśniałem losy naszej sprawy, dla społeczeństwa francuskiego — symbol jego nadziei, a dla cudzoziemców — symbol Francji niepokonanej mimo wszystkich prób, które jej przypadły w udziale, nakazywał mi odtąd moje zachowanie i narzucał postawę, której już nie mogłem zmienić. Była to dla mnie nie ustająca ani na chwilę wewnętrzna samokontrola, a zarazem ciężkie brzemię.

W danej chwili chodziło o zapewnienie wszystkim terytoriom Francuskiej Afryki Równikowej warunków egzystencji i o wciągnięcie ich do walki o Afrykę. Zamiarem moim było stworzyć na pograniczu terytorium Czadu i Libii teatr działań wojennych Sahary w oczekiwaniu dnia, kiedy rozwój wydarzeń pozwoli kolumnie wojsk francuskich zająć Fezzan i wyjść nad Morze Śródziemne. Ale warunki pustyni i niesłychane trudności komunikacji i zaopatrzenia pozwalały wykorzystać w tym celu tylko bardzo nieliczne, wyspecjalizowane jednostki wojskowe. Toteż jednocześnie chciałem wysłać na Środkowy Wschód korpus ekspedycyjny, który by się tam przyłączył do Anglików. Dalekim celem pozostawała dla nas wszystkich Francuska Afryka Północna. Napierw jednak trzeba było zlikwidować wroga enklawę Gabonu. 12 października wydałem w Duali potrzebne ku temu rozkazy.

Podczas gdy trwały przygotowania do tej bolesnej dla nas operacji, opuściłem Kamerun, aby odwiedzić pozostałe terytoria. Przede wszystkim, po krótkim pobycie w Yaoundé (Jaunde), udałem się do Czadu. Niewiele brakowało, a w toku tej podróży kariera szefa Wolnej Francji i towarzyszących mu osób dobiegłaby nagle kresu: samolot Potez 700, którym lecieliśmy do Fort-Lamy, miał w drodze defekt silnika i tylko cudem udało się nam wylądować bez większych szkód na bagnistym terenie.

Na terytorium Czadu zastałem atmosferę wielkiego podniecenia. Wszyscy żyli tu pod wrażeniem, że promień Historii padł na tę ziemię zasług i cierpień. Z powodu trudności wynikających z ogromnych odległości, odosobnienia, klimatu i braku środków, niczego oczywiście nie można tu było dokonać bez ogromnego wysiłku. Ale braki te wyrównywała panująca i tutaj bohaterska atmosfera, z której rodzą się wielkie czyny.

Èboué powitał mnie w Fort-Lamy. Czułem, że zawsze mogę liczyć na jego zaufanie i lojalność. Jednocześnie stwierdziłem, że ma on dostatecznie szerokie horyzonty, aby zrozumieć daleko idące projekty, do których zamierzałem go wciągnąć. Wypowiadając pełne zdrowego rozsądku poglądy, nigdy nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń co do ryzyka i wysiłku. A chodziło ni mniej, ni więcej tylko o to, że jako gubernator miał rozwinać ogromną

działalność z Brazzaville, Duali i Lagos i kierować potem ku granicom włoskiej Libii materiały wojenne i żywność potrzebne siłom Wolnej Francji do prowadzenia aktywnych działań bojowych. Chodziło o 6000 kilometrów dróg, które terytorium Czadu miało własnym sumptem zbudować lub utrzymać w stanie nadającym się do użytku. Poza tym należało rozwinąć gospodarkę kraju, aby mieć czym żywić wojska i robotników i móc eksportować, by pokryć wydatki. Zadanie było tym trudniejsze, że wielu kolonistów i urzędników czekała mobilizacja.

Wraz z pułkownikiem Marchand, dowódcą wojsk terytorium Czadu, poleciałem do miejscowości Faya i do wysuniętych placówek na pustyni. Zastałem tam wojska zdecydowane, ale cierpiące na straszliwy brak środków. Z wojsk ruchliwych było tu tylko kilka tubylczych oddziałów na wielbłądach i kilka drużyn samochodowych. Gdy oświadczyłem tym oficerom i żołnierzom, że liczę na nich, by pewnego dnia zająć Fezzan i wyjść nad Morze Śródziemne, widziałem malujące się na ich twarzach osłupienie. Zagony oddziałów niemieckich i włoskich, które z trudem tylko mogliby odeprzeć, wydawały im się znacznie prawdopodobniejsze niż nakreślona przeze mnie perspektywa szeroko zakrojonej ofensywy francuskiej. Nikt z nich zresztą nie zdradzał najmniejszego wahania co do konieczności kontynuowania walk; wszędzie powiewała flaga z Krzyżem Lotaryngii.

A tymczasem dalej na zachód, na obszarach nad Nigrem i w oazach Sahary, towarzysze tych oficerów stojący w podobnych warunkach również na granicy Libii, ale nie posiadający w hierarchii wojskowej ani jednego zwierzchnika, który by ośmielił się wyrwać ich z tego stanu odrętwienia, gotowi byli strzelać do każdego, kto by chciał ich poprowadzić do walki przeciw wrogom Francji. Z wszystkich przejść moralnych, które mi przypadły w udziale w związku ze zbrodniczymi błędami Vichy, żadne nie sprawiło mi tyle bólu, co widok tej bezmyślnej wegetacji.

Za to w Fort-Lamy czekało mnie po powrocie coś, co mnie mocno podniosło na duchu. Zawdzięczałem to generałowi Catroux. Gdy przybył on do Londynu już po moim odejście do Afryki, specjaliści od odgadywania cudzych zamiarów uważali, że Anglicy spróbują zastąpić de Gaulle'a tym generałem, przywykłym do działalności na wysokich stanowiskach, małostkowi zaś karierowicze zastanawiali się nad tym, czy w ogóle zechce on podlegać zwykłemu generałowi brygady. W Londynie Catroux spotkał się wiele razy z Churchillem, w związku z czym rozpuszczono pogłoski, jakoby w toku tych rozmów premier brytyjski proponował mu zajęcie mego miejsca — proponował oczywiście

nie po to, aby generał się na to zgodził, ale w myśl starej zasady *divide et impera*. Na kilka dni przed operacją dakarską Churchill nieoczekiwanie zawiadomił mnie depeszą, że wysyła Catroux do Kairu, alby stamtąd oddziaływał na pozostające pod mandatem francuskim kraje Lewantu, gdzie — jak się spodziewano — rychło nadarzyć się może ku temu pomyślna okazja. Zareagowałem na to w sposób niedwuznaczny, nie dlatego, żeby sama myśl wydawała mi się zła, tylko dlatego, że tego rodzaju inicjatywa wymagała mojej aprobaty. Churchill dał mi wtedy zadowalające wyjaśnienia powołując się na to, że pilność sprawy skłoniła go do tego kroku.

I oto teraz Catroux przybył do mnie z Kairu. Przy obiedzie wzniosłem toast za pomyślność tego wybitnego dowódcy, dla którego od dawna żywiłem uczucie przepojonej szacunkiem przyjaźni. Catroux odpowiedział w sposób szlachetny i prosty oznajmiając, iż poddaje się mojemu kierownictwu. Éboué i wszyscy obecni zrozumieli, nie bez wzruszenia, że dla Catroux osoba de Gaulle'a nie mieści się już w normalnym schemacie stopni wojskowych, że spoczywa na nim zadanie, które nie daje się określić szczeblami hierarchii służbowej. Nie było nikogo, kto by nie docenił znaczenia tego kroku generała Catroux. Gdy porozumieliśmy się co do czekającego go zadania i żegnałem się z nim przed samolotem, którym miał powrócić do Kairu, poczułem, że generał Catroux przerósł tu samego siebie.

W Brazzaville, dokąd przybyłem 24 października, na ogół zapatrywano się na sprawy z tą samą ufnością jak w Duali i Fort-Lamy, ale zachowywano przy tym więcej powściągliwości, co było zjawiskiem normalnym dla „stolicy”. Administracja, sztab, służby, koła gospodarcze i misjonarze zdawali sobie w pełni sprawę z trudności, jakie terytoria Afryki Równikowej, najbiedniejsze w całym Imperium Francuskim, będą musiały pokonać, aby móc w oderwaniu od metropolii przez kilka lat utrzymać się przy życiu i podolać ciężarom wojny. Niektóre rodzaje ich produkcji — olej, kauczuk, drzewo, bawełna, kawa i skóry — łatwo wprowadzić było sprzedać Anglikom i Amerykanom. Jednakże z powodu braku fabryk, a także kopalin mineralnych, z wyjątkiem niewielkich złóż złota, całość eksportu nie mogła wystarczyć na pokrycie wydatków związanych z przywozem towarów z zagranicy.

Aby dopomóc generałowi Larminat w tej dziedzinie, mianowałem Plevana sekretarzem generalnym. Po uruchomieniu swego aparatu miał on pojechać do Londynu i Waszyngtonu, aby uregulować sprawy płatności i terminów. Jego działalność wsparta autorytetem generała Larminat okazała się bardzo owocna. Administratorzy, plantatorzy, kupcy, spedycy widząc, że jest

wiele do zrobienia i że sprawa jest warta zachodu, rozwinęli intensywną działalność, która jeszcze w czasie wojny głęboko przeobraziła życie Afryki Równikowej. Podróż, którą w końcu października przedsięwziąłem do Ubangi, gdzie przyjął mnie gubernator de Saint-Mart, a później do Pointe-Noire, zarządzanego przez Daguina, dały mi możliwość zainicjowania na miejscu kroków, na które wszyscy czekali.

Wreszcie 27 października udałem się do Léopoldville, gdzie władze, wojsko, ludność, a także Francuzi mieszkający w Kongo Belgijskim zgotowali mi wzruszające przyjęcie. Gubernator generalny Ryckmans tak samo odcięty od swej ojczyzny i tak samo ożywiony pragnieniem, aby jego kraj uczestniczył w wojnie, sympatyzował z Wolną Francją. Ośłaniała ona zresztą Kongo Belgijskie przed duchem kapitulacji, który omal że nie przeniknął tu z północy. Ryckmans aż do końca wojny utrzymywał ścisłe stosunki ze swoim francuskim sąsiadem na przeciwległym brzegu rzeki Kongo. Dodać należy, że tak samo postępowali jego angielscy koledzy Bourdillon w Nigerii i Huddleston w Sudanie. Miejsce dawnych rywalizacji i intryg, które niegdyś dzieliły tych sąsiadów, zajęła osobista solidarność gubernatorów Lagosu, Duali, Brazzaville, Léopoldville i Chartumu, która odegrała niemałą rolę w wysiłkach wojennych i w utrzymaniu porządku w Afryce.

Tymczasem zakończone zostały przygotowania do zlikwidowania sprawy Gabonu. Przed moim przybyciem do Duali Larminat przedsięwziął pierwsze kroki. Pod rozkazami majora Parant kilka oddziałów ściągniętych znad Konga posunęło się naprzód aż do Lambaréné nad brzegiem rzeki Ogoue. Tu jednak zatrzymał je opór wojsk Vichy. Jednocześnie niewielka kolumna wysłana z Kamerunu pod rozkazami kapitana Dio oblegała placówkę w Mitzic. W Lambaréné i w Mitzic „degaulliści” i „vichyści” stojąc naprzeciw siebie zamieniali od czasu do czasu wystrzały. Niekiedy znad Libreville pojawiał się samolot Glenn-Martin zrzucając na naszych kilka bomb i mnóstwo ulotek. Nazajutrz samolot Bloch-200 z Brazzaville płacił przeciwnikowi tą samą monetą. Te przewlekłe i bolesne walki nie mogły do niczego doprowadzić.

Od razu po przybyciu do Duali postanowiłem zdobyć Libreville uderzeniem bezpośrednim i opracowałem plan działań. Należało się niestety obawiać, że nasze siły napotkają poważny opór. Generał Têtu znajdujący się w Libreville miał do dyspozycji cztery bataliony piechoty, artylerię, cztery nowoczesne bombowce, awizo „Bougainville” i okręt podwodny „Poncelet”. Powołał on pod broń pewną liczbę kolonistów. Z drugiej strony rozkaz

władz vichystowskich zobowiązywał go do walki. Aby więc przeszkodzić otrzymaniu przezeń posiłków, musiałem zwrócić się do Churchilla z prośbą, aby uprzedził Vichy, że w razie potrzeby flota angielska się temu sprzeciwi. Na skutek mego telegramu admirał Cunningham przybył do Duali, aby omówić ze mną tę sprawę. Uzgodniliśmy, że jego okręty nie wezmą bezpośrednio udziału w operacji na Libreville, ale będą krążyć na pełnym morzu, aby przeszkodzić vichystom z Dakaru, gdyby im znowu miała przyjść ochota wysłać swe krążowniki. Z ciężkim sercem przystępowaliśmy do tej smutnej dla nas operacji. Podałem do wiadomości, że nikt nie będzie w związku z nią cytowany w rozkazie dziennym; zawiadomienie to spotkało się z powszechną aprobatą.

27 października zajęta została placówka Mitzić. 5 listopada garnizon Lambaréné złożył broń. Niezwłocznie po tym z Duali wyszły statki transportowe mające na pokładzie oddział wojsk przeznaczonych do Libreville. Leclerc kierował całością operacji. Koenig stał na czele wojsk lądowych, na które składały się batalion Legii Cudzoziemskiej oraz mieszany batalion kolonialny Senegalczyków i kolonistów z Kamerunu. Wojska wylądowały u przylądka Mondah w nocy z 8 na 9 listopada. 9 listopada zawiązały się zacięte walki na przedpolach miasta. Tegoż dnia pod dowództwem majora de Marmier kilka samolotów „Lysander”, przywiezionych przez nas w skrzyniach z Anglii i szybko zmontowanych w Duali, dokonywało lotów nad terenem walk zrzucając pewną ilość bomb. Wtedy właśnie d'Argenlieu na pokładzie „Savorgnan de Brazza”, za którym szedł „Commandant Dominé”, wtargnął na redę portu, gdzie stał na kotwicy „Bougainville”. Mimo przyjacielskich wezwań, kilkakrotnie ponawianych przez nasze okręty, „Bougainville” otworzył ogień. „Brazza” przyjął walkę i vichystowski okręt stanął w płomieniach. Tymczasem batalion Legii Cudzoziemskiej złamał opór sił vichystowskich na lotnisku. Wkrótce potem, gdy d'Argenlieu wystosował do generała Têtu wezwanie do zaprzestania walki, przeciwnik skapitulował. Koenig zajął Libreville. Parant, którego już poprzednio mianowałem gubernatorem Gabonu, objął swe stanowisko. W walkach niestety poległo około 20 ludzi.

Poprzedniego dnia okręt podwodny „Poncelet” wyszedłszy z Port-Gentil spotkał na pełnym morzu jeden z krążowników Cunninghama i zaatakował go torpedą. Na to krążownik odpowiedział bombami głębinowymi i „Poncelet” wypłynął na powierzchnię. Anglicy przyjęli do siebie na pokład jego załogę; dowódca „Poncelet”, komandor podporucznik de Saussine, zatopił swój okręt i zginął śmiercią walecznych idąc z nim na dno.

Teraz należało zająć jeszcze Port-Gentil. Stało się to 12 listopada po dłuższych pertraktacjach, ale bez oporu twierdzy. Jediną ofiarą tej ostatniej operacji był gubernator Masson, który w sierpniu proklamował przystąpienie Gabonu do Wolnej Francji, później jednak zmienił postanowienie. Po zajęciu Libreville ten słaby człowiek, zrozpaczony popełnionym przez siebie błędem i jego następstwami, zajął miejsce na pokładzie „Brazza”, po czym w Port-Gentil wraz z pułkownikiem Crochu, szefem sztabu generalnego Têtu, wyszedł na brzeg, aby nakłonić administratora kolonii i garnizon, by nie wszczynali bratobójczej walki. Przyczyniło się to do zapobieżenia grożącemu nieszczęściu. Ale w drodze powrotnej Masson załamał się nerwowo i powiesił się w swojej kabinie.

15 listopada udałem się do Libreville, 16 listopada — do Port-Gentil. I tu, i tam ludność była przede wszystkim zadowolona, że położony został kres absurdalnej sytuacji. Odwiedziłem rannych jednej i drugiej strony, którzy wspólnie przebywali w szpitalu. Potem kazałem sobie przedstawić vichystowskich oficerów. Kilku z nich przyłączyło się do Wolnej Francji. Większość jednak, od której dowódca wziął słowo honoru, iż „pozostaną wierni marszałkowi”, wyraziła życzenie, by ich internowano. Dopiero gdy Afryka Północna ponownie wzięła udział w wojnie, powrócili oni do służby i mężnie spełnili swój obowiązek. Generał Têtu został oddany pod opiekę „Ojców Ducha Świętego” i przewieziony potem do szpitala w Brazzaville. W 1943 roku również i on wyjechał stąd do Algieru.

Radiostacje Dakaru, Vichy i Paryża, które jeszcze przed kilku tygodniami trąbiły na wszystkie strony o zwycięstwie, rozpętały teraz wściekłą kampanię oszczerstw. Zarzucano mi, że zbombardowałem, spaliłem i splądrowałem Libreville, a nawet, że kazałem rozstrzelać miejscowych notabli z biskupem Tardy na czele. Podejrzewałem, że vichyści chcą pod płaszczykiem tych kłamstw ukryć jakieś nowe łotrostwo. W czasie operacji dakarskiej zaaresztowali oni trzech naszych lotników, którzy nie uzbrojeni wylądowali na lotnisku Uakam; potem aresztowani zostali także Boislambert, Bissagnet i Kaouza, których po kryjomu wraz z doktorem Brunelem wysłałem do miasta, aby prowadzić tam agitację za naszą sprawą. Z tych „misjonarzy” tylko Brunelowi udało się potem przedostać do brytyjskiej Gambii. Otóż oskarżenia podnoszone przeciw mnie przez radio dakarskie wzbudziły we mnie podejrzenie, że chciano być może zemścić się na osobach tych więźniów. Tym bardziej że gdy ze wskazana w tym wypadku dyskrecją zaproponowałem Boissonowi ich wymianę na generała Têtu i jego oficerów, radio dakarskie natychmiast podało moją

propozycję do wiadomości publicznej, zaopatrując ją w mnóstwo oszczerczych i prowokacyjnych komentarzy. Wtedy uprzedziłem wysokiego komisarza Vichy w Dakarze, że w moich rękach znajduje się niemało jego przyjaciół i że odpowiedzą oni głową za życie więzionych przez niego Francuzów. Ton radia dakarskiego od razu złagodniał.

Różne oznaki wskazywały zresztą, jakie zamieszanie wywołały ostatnie wydarzenia w kołach rządzących w Vichy. Nikczemne uczucie radości, które ogarnęło je po zawieszeniu broni, szybko się rozwiało. Wbrew temu, co jeszcze niedawno głosiły one dla usprawiedliwienia swej kapitulacji, wróg nie złamał Anglii. Z drugiej strony przyłączenie się do de Gaulle'a wielu naszych kolonii, a następnie sprawa Dakaru i Gabonu, wykazały dowodnie, że Wolna Francja, choć umie posługiwać się radiem, nie jest bynajmniej „garstką najemników skupionych przy mikrofonie”. Zupełnie nieoczekiwanie zaczęto we Francji zdawać sobie sprawę, że istnieje na wskroś francuska organizacja walki, podczas gdy Niemcy musieli odtąd w planach swych brać pod uwagę coraz większe trudności, które spowoduje dla nich Ruch Oporu. Znajdując się wtedy w głębi Afryki dostrzegałem nerwowość, którą ten stan rzeczy już wywoływał w zachowaniu się vichystów.

Bezpośrednio po Dakarze zareagowali oni najpierw środkami gwałtu. Samoloty startujące z Maroka zrzucały wtedy bomby na Gibraltar. Ale już wkrótce potem spróbowali sięgnąć do pokojowych środków. Telegramy od Churchilla i Edena poinformowały mnie o rozmowach, które 1 października wszczął w Madrycie ambasador de la Baume ze swym angielskim kolegą sir Samuelem Hoare. Chodziło o uzyskanie od Anglików zezwolenia na przewóz do Francji ładunków z Afryki, przy czym Vichy chciało zagwarantować, że nie dostaną się one do rąk Niemców. Co więcej, de la Baume oświadczył w imieniu Baudouina, że „jeżeli wróg zagarnie te towary, rząd przeniesie się do Afryki Północnej i Francja rozpocznie znowu wojnę u boku Zjednoczonego Królestwa”.

Chociaż nie uchodziło mojej uwagi zamieszanie, o którym świadczyły tego rodzaju deklaracje, to jednak uważałem za konieczne przestrzec Anglików. Trudno było sobie wyobrazić, w jaki sposób ludzie, którzy sami oddali państwo pod władzę przeciwnika i skazywali tych, co chcieli dalej walczyć, mogli nagle przeobrazić się w bojowników oporu tylko dlatego, że najeźdźca zabierze sobie jeszcze trochę żywności ponad to, co już i tak codziennie zabiera. I rzeczywiście, mimo wysiłków rządu londyńskiego, aby podtrzymać rząd Vichy w manifestowanych przezeń dobrych zamiarach, mimo osobistych orędzi skierowanych do marszałka Pétaina przez króla angielskiego i prezydenta Stanów Zjednoczonych, mimo

kontaktów nawiązanych przez Anglię z Weygandem znajdującym się w Algierze i Noguèssem przebywającym nadal w Maroku, nadzieje te wobec nacisku Niemców wkrótce się rozwiały. W październiku odbyło się spotkanie Pétaina z Hitlerem w Montoire. Współpraca Vichy z wrogiem została oficjalnie proklamowana. Wreszcie w pierwszych dniach listopada Vichy przerwało pertraktacje w Madrycie.

Odtąd oczywiste powody kazały mi definitywnie odmówić władcom Vichy jakiegokolwiek prawa do legalności, wziąć na siebie odpowiedzialność za losy Francji i przystąpić do wykonywania władzy rządowej na wyzwolonych terytoriach. Tej władzy tymczasowej, łączącej przeszłość z przyszłością, nadałem formę republikańską proklamując swe posłuszeństwo i odpowiedzialność przed suwerennym narodem i uroczyście zobowiązując się zdać mu sprawę, skoro tylko odzyska wolność. 27 października w Brazzaville, na ziemi francuskiej, określiłem nasze stanowisko w sprawach narodowych i międzynarodowych w manifeście, dwóch rozporządzeniach i jednej deklaracji organicznej. Dokumenty te miały stać się Kartą mego ruchu. Sądzę, że nigdy się jej nie sprzeniewierzyłem, aż włącznie do dnia, gdy w pięć lat potem przekazałem przedstawicielstwu narodowemu przejętą przez siebie władzę. Z drugiej strony stworzyłem Radę Obrony Imperium Francuskiego, która jako organ konsultatywny miała mnie wspierać swymi radami. Na pierwszych jej członków powołani przeze mnie zostali: Catroux, Muselier, Cassin, Larminat, Sicé, Sautot, d'Argenlieu i Leclerc. Wreszcie notą skierowaną 5 listopada do rządu brytyjskiego określiłem definitywnie stanowisko Wolnej Francji, wzywając naszych sojuszników do zajęcia analogicznego stanowiska wobec rządu Vichy i jego prokonsulów w rodzaju Weyganda lub Noguèsa, chociaż niepoprawni optymiści wciąż jeszcze wierzyli, że pewnego dnia podejmą oni znowu walkę z przeciwnikiem.

Reasumując można powiedzieć, że jeżeli nasza akcja w Afryce nie osiągnęła wszystkich zamierzonych celów, to jednak stworzyła dla naszych wysiłków wojennych solidną bazę rozciągającą się od Sahary do Konga i od Atlantyku do dorzecza Nilu. W pierwszych dniach listopada powołałem do życia dowództwo, które miało na tym terenie kierować akcją. Éboué, mianowany gubernatorem generalnym Francuskiej Afryki Równikowej, zainstalował się w Brazzaville z Marchandem jako dowódcą wojsk. Lapie, wezwany z Londynu, został gubernatorem Czadu, a administrator Cournaire gubernatorem Kamerunu, gdzie zajął miejsce Leclerca. Tego ostatniego, mimo iż wolałby on kontynuować dzieło rozpoczęte w Duali, przenieśliśmy na terytorium Czadu dla kierowania opera-

cjami na Saharze, gdzie wśród ciężkich trudów miał poznać drogę wiodącą do sławy. Wreszcie Larminat, jako wysoki komisarz wyposażony we władzę cywilną i wojskową, miał sprawować ogólne kierownictwo.

Przed odjazdem do Londynu ustaliłem z nim plan działań na najbliższe miesiące. Chodziło z jednej strony o przeprowadzenie pierwszych zagonów sił zmotoryzowanych i lotnictwa na Murzuk i oazy Kufra, z drugiej zaś o wysłanie brygady mieszanej i grupy lotnictwa bombowego do Erytrei celem wzięcia udziału w walkach przeciw Włochom. Ekspedycja ta miała zapoczątkować udział sił francuskich w kampanii na środkowym Wschodzie. Należało jednak prócz tego zwerbować i uzupełnić kadrę dowódczą oraz uzbroić jednostki, które miały sukcesywnie wzmacniać te straże przednie zarówno na Saharze, jak nad Nilem. Trudno sobie wprost wyobrazić, jakich wysiłków wymagało na ogromnych obszarach Afryki, w równikowym klimacie, przeprowadzenie mobilizacji, szkolenie, wyposażenie i przewóz wojsk, które byliśmy zdecydowani wystawić i poprzez ogromne odległości pchnąć do boju. Nie można sobie także przedstawić cudów energii, jakich dokazywali wszyscy wykonawcy.

17 listopada opuściłem wolną Afrykę francuską udając się przez Lagos, Freetown, Bathurst i Gibraltar do Londynu. Podczas gdy pod jesiennym deszczem samolot leciał nisko nad oceanem, myślałem o tym, jakie nieprawdopodobne drogi okrężne będą w tej dziwnej wojnie musieli jeszcze przebyć walczący Francuzi, by stanąć twarzą w twarz z Niemcami i Włochami. Wyobrażałem sobie przeszkody, które będą zagradzały im drogę, a z których najpoważniejsze wznosili przeciw nim niestety inni Francuzi. Jednocześnie wszakże wstępowała we mnie nowa otucha na myśl o żarliwym zapale, jaki sprawa narodowa budziła u tych, którzy mieli możliwość jej służyć. Myślałem o tym, jak porywająca była dla nich owa wielka przygoda ogarniająca cały glob ziemski. Jakkolwiek by surowa była rzeczywistość, może uda mi się ją opanować, mówiąc bowiem słowami Chateaubrianda, byłem w stanie „poprowadzić za sobą Francuzów na skrzydłach marzenia”.

LONDYN

Na początku tej zimy nastroje w Londynie spowijała jak gdyby gęsta mgła. Zastałem Anglików w stanie napięcia nerwowego i melancholii. Z dumą wprawdzie myśleli o dopiero co wygranej bitwie powietrznej i o tym, że niebezpieczeństwo inwazji znacznie się oddaliło, ale podczas gdy uprząтали swe gruzы, nowe troski spadły na nich i na ich biednych sojuszników.

Szalała wojna podwodna. Naród angielski z coraz większym niepokojem widział, jak niemieckie okręty podwodne, samoloty i grasujące po morzach krążowniki niszczyły statki, od których zależał nie tylko przebieg wojny, ale nawet i wielkość dziennej racji żywnościowej każdego Anglika. Dla ministrów i urzędów istniała tylko jedna kwestia: tonaż. Problem tonażu stał się duszącą zmorą, tyranem panującym nad wszystkim innym. Życie i wielkość Anglii co dnia rozstrzygały się na morzu.

Na wschodzie, w Afryce rozpoczynały się aktywne operacje. Ale na skutek przejścia rządu Vichy na stronę przeciwnika Morze Śródziemne stało się niedostępne dla powolnych angielskich konwojów morskich. Wojska i materiały wojenne wysyłane z Londynu do Egiptu musiały płynąć dookoła Afryki przez przylądek Dobrej Nadziei, odbywając drogę długości równej połowie obwodu kuli ziemskiej. Również ładunki wysyłane z Indii. Australii i Nowej Zelandii przybywały tam dopiero po nieskończenie długich rejsach. Z drugiej strony ogromne ilości surowców, uzbrojenia i żywności — w 1941 roku 60 milionów ton — które Anglia importowała dla swego przemysłu, swej armii i swej ludności, mogły być sprowadzane tylko z daleka, z Ameryki, Afryki lub Azji. Potrzebna na to była ogromna flota handlowa, a jej statki, nim w końcu wpływały do portów leżących w ujściu rzek Mersey i Clyde, musiały płynąć zygzakami, przebywać olbrzymie odległości i wymagały znacznej eskorty.

Niepokój Anglików był tym większy, że na razie nigdzie nie otwierały się pomyślne perspektywy. Wbrew nadziejom wielu

Anglików bombardowanie miast angielskich i zwycięstwo odniesione przez RAF bynajmniej nie skłoniły Ameryki do przystąpienia do wojny. W Stanach Zjednoczonych opinia publiczna była niewątpliwie wroga wobec Hitlera i Mussoliniego. Przy tym prezydent Roosevelt natychmiast po swym ponownym wyborze w dniu 5 listopada 1940 roku poprzez kroki dyplomatyczne i deklaracje publiczne wzmógł jeszcze bardziej swe wysiłki zmierzające do zbrojnej interwencji Ameryki. Oficjalnym jednak stanowiskiem Waszyngtonu, w dodatku nakazywanym mu przez prawo, była neutralność. Toteż podczas tej ponurej zimy Anglicy musieli płacić w złocie i w dewizach za wszystko, co zakupywali w Stanach Zjednoczonych. Każda pośrednia pomoc, którą prezydentowi z kazuistyczną zręcznością udawało im się udzielać, spotykała się z ostrą krytyką w parlamencie i prasie. Krótko mówiąc Anglicy w miarę dokonywania coraz większych wpłat za niezbędnie potrzebne im dostawy widzieli zbliżający się moment, kiedy z braku środków płatniczych nie będą już mogli sprowadzać tego, co było nieodzownie potrzebne do walki.

Jeżeli chodzi o Rosję Radziecką, to w jej stosunkach z Rzeszą nie wystąpiła jeszcze żadna rysa. Przeciwnie, po dwóch podróżach Mołotowa do Berlina zawarty został w styczniu niemiecko-rosyjski układ handlowy, który miał poważnie przyczynić się do zaopatrzenia Niemiec. Z drugiej strony w październiku 1940 roku Japonia podpisała „pakt trzech”, proklamując swą solidarność z Berlinem i Rzymem, co groziło poważnymi następstwami. W tym samym czasie jedność Europy pod hegemonią niemiecką zdawała się stawać rzeczywistością. W listopadzie Węgry, Rumunia i Słowacja przystąpiły do Osi. Franco spotkał się z Hitlerem w San Sebastian i z Mussolinim w Bordighera. Wreszcie rząd Vichy, nie będąc w stanie utrzymać nawet pozorów niepodległości przyznanej mu przez zawieszenie broni, nawiązał efektywną współpracę z najeżdżcą.

Jeżeli na zewnątrz horyzont był zasłonięty chmurami, to i w samej Anglii naród ugiął się pod brzemieniem wielu ciężarów. W wyniku mobilizacji dwadzieścia milionów mężczyzn i kobiet zostało skierowanych do armii, do fabryk, do rolnictwa, do służb publicznych i do obrony przeciwlotniczej. Normy spożycia były dla wszystkich bez wyjątku ściśle ograniczone, a sądy stosowały najostrzejsze sankcje wobec czarnego rynku. Z drugiej strony lotnictwo nieprzyjacielskie, chociaż działalność jego nie zmierzała już do rozstrzygających rezultatów, kontynuowało jednak naloty, dezorganizując porty, przemysł, linie kolejowe. Burzyło nagle miasta, jak Coventry, londyńskie *city*, Portsmouth, Southampton, Liverpool, Glasgow, Swansea, Hull itd. Trzymało ludność przez

długie noce w stanie ciągłego napięcia wycieńczając personel obrony przeciwlotniczej i zmuszając ogromne masy godnych pożałowania ludzi do opuszczania swych łóżek i ukrywania się w piwnicach i schronach, w samym Londynie zaś w stacjach metra. W końcu 1940 roku Anglicy, oblężeni na swej wyspie, czuli się jak gdyby zamknięci w czarnych czeluściach tunelu.

Wszystkie te udręczenia przeżywane przez Anglików nie ułatwiały naszych stosunków z nimi. Zajęci swymi troskami uważali, że przychodzimy nie w porę z naszymi własnymi sprawami. Przy tym im bardziej komplikowaliśmy ich zadania, tym większą przejawiali tendencję do tego, by po prostu wcielić nas do własnych szeregów. Istotnie, byłoby dla nich rzeczą znacznie dogodniejszą, gdyby mogli z punktu widzenia zarówno administracyjnego, jak i politycznego traktować Wolnych Francuzów jako część składową angielskich sił zbrojnych i służb, a nie jako ambitnego sojusznika wysuwającego coraz to nowe żądania. Ponadto w tym okresie, kiedy wojna przybierała charakter przewlekły i gdy z drugiej strony dawał się dotkliwie we znaki brak środków, koła rządzące w Londynie wykazywały mało skłonności do wprowadzania jakichkolwiek innowacji oraz podejmowania stanowczych decyzji. W obliczu całego szeregu pilnych, a nawet nierozwiązalnych spraw sztaby i ministerstwa naturalnym biegiem rzeczy stosowały metodę zwlekania oraz wątpliwości kompetencyjnych, podczas gdy rząd w ogniu krytyki parlamentarnej i prasowej tylko z trudem dochodził do jednomyślnych decyzji. „Wie pan przecież — powiedział do minie kiedyś Churchill — czym jest koalicja. Otóż gabinet angielski jest właśnie koalicją.”

Tymczasem Wolna Francja pilnie potrzebowała wszystkiego. Po improwizacjach lata i jesieni i przed nowymi operacjami, które byłem zdecydowany rozpocząć na wiosnę, musieliśmy bezwarunkowo uzyskać od Anglików to, co nam było potrzebne, zachowując jednocześnie wobec nich naszą niezależność. Na tym tle siłą rzeczy musiały niejednokrotnie wynikać tarcia.

Dochodziło do nich tym bardziej, że płynny i złożony charakter naszej organizacji usprawiedliwiał w pewnym stopniu oględność Anglików, a zarazem ułatwiał ich ingerencje. Było rzeczą nieuniknioną, że Wolna Francja rekrutująca swych zwolenników w pośpiechu, jednego po drugim, nie od razu mogła znaleźć wewnętrzną równowagę. W Londynie każdy z jej działów — wojska lądowe, marynarka, lotnictwo, finanse, sprawy zagraniczne, administracja kolonialna, łączność z Francją — formował się i funkcjonował ożywiony dążeniem, by jak najlepiej spełnić swe zadanie. Jednocześnie jednak dotkliwie dawał się odczuwać brak doświadczenia i zwartości. Poza tym duch awanturnictwa niektórych lu-

dzi albo po prostu ich niezdolność przystosowania się do reguł i obowiązków administracji sprawiały, że aparat pracował bardzo nierówno. Tak np. podczas mego pobytu w Afryce André Labarthe opuścił naszą administrację, a admirał Muselier miał zatargi z innymi działami. W Carlton Gardens dochodziło do ostrych konfliktów osobistych i do tragikomicznych sporów między poszczególnymi działami. Wszystko to oburzało naszych ochotników i niepokoiło sprzymierzeńców.

Natychmiast po moim powrocie w końcu listopada przystąpiłem do tego, by wnieść znowu ład i porządek we wszystkie te sprawy. Ledwie jednak rozpocząłem tę reorganizację, jak znalazłem się w obliczu grubej pomyłki popełnionej przez rząd brytyjski, który sam zresztą został wprowadzony w błąd przez swą służbę wywiadowczą — *Intelligence Service*.

Na skutek manii szpiegowskiej, która ogarnęła wtedy Anglię, organy wywiadu i bezpieczeństwa rozpuszczały macki na wszystkie strony. *Intelligence Service*, który dla Anglików jest nie tylko działem służby państwowej, lecz zarazem pasją narodową, oczywiście nie omieszkiał wysunąć ich także w kierunku Wolnej Francji. Posługiwał się w tym celu zarówno ludźmi, działającymi w najlepszych zamiarach, jak i ludźmi, o których tego nie można było powiedzieć. Słowem, za poduszczeniem kilku nieodpowiedzialnych agentów gabinet angielski nagle zadał Wolnej Francji cios, który łatwo doprowadzić mógł do fatalnych następstw.

Gdy wieczorem 1 stycznia 1941 roku znajdowałem się w gronie mej rodziny w Shropshire, zostałem powiadomiony, że Eden prosi mnie, abym go jak najprędzej odwiedził w *Foreign Office*, gdzie niedawno został następcą lorda Halifaxa mianowanego ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. Udałem się do niego od razu następnego rana. Eden witając mnie był wyraźnie wzburzony.

— Zdarzyła się — powiedział do mnie — rzecz godna pożałowania. Mamy w ręku dowody, że admirał Muselier pozostaje w potajemnym kontakcie z Vichy, że próbował przekazać Darlanowi plan ekspedycji do Dakaru w okresie prowadzonych do niej przygotowań i zamierza wydać mu okręt podwodny „Surcouf”. Premier natychmiast poinformowany o tym kazał aresztować admirała. Gabinet brytyjski zaaprobował tę decyzję. Muselier znajduje się zatem w więzieniu. Zdajemy sobie jasno sprawę, jakie wrażenie sprawi ta okropna historia i u was, i u nas. Było jednak rzeczą niemożliwą nie działać od razu.

Po tych słowach Eden pokazał mi dokumenty, na których opierało się oskarżenie. Chodziło o pisane na maszynie notatki służbowe na blankietach konsulatu Francji w Londynie, gdzie wciąż jeszcze rezydował vichystowski urzędnik, i podpisane przez ge-

nerała Rozoy, byłego szefa francuskiej misji lotniczej, który ostatnio powrócił do Francji. Zapiski te zawierały informacje dostarczone generałowi Rozoy rzekomo przez admirała Museliera. Generał Rozoy jakoby przekazał je poselstwu jednego z państw południowoamerykańskich w Londynie, które miało je przesłać dalej do Vichy. W drodze jednak, według słów Edena, zręczni agenci *Intelligence Service* przechwycili te dokumenty.

— Po drobiazgowym śledztwie — dodał Eden — władze brytyjskie niestety przekonały się o ich autentyczności.

Jakkolwiek początkowo byłem zupełnie oszołomiony całą tą sprawą, to jednak od razu miałem uczucie, że tym razem doprawdy przebrano miarę i że mogło chodzić tylko o niesłychaną pomyłkę spowodowaną przez czyjeś machinacje. Oświadczyłem to bez ogródek Edenowi i dodałem, iż sam zbadam, o co tu chodzi, na razie zaś zastrzegam sobie zajęcie stanowiska wobec tej nieprawdopodobnej historii.

Jednakże początkowo nie dopuszczałem nawet myśli, żeby sprawa mogła być zainscenizowana przez jakieś władze brytyjskie; raczej dopatrywałem się w niej ręki Vichy. Może to któryś z jego adherentów sfabrykował i pozostawił w Anglii tę „bombę zegarową”? Po czterdziestu ośmiu godzinach dochodzeń i rozmyślań udałem się znowu do Edena i oświadczyłem mu, co następuje:

— Dokumenty są w najwyższym stopniu podejrzanе zarówno z punktu widzenia ich treści, jak i domniemanego źródła. W każdym razie nie są to żadne dowody. Nic nie usprawiedliwia ubliżającego aresztowania francuskiego wiceadmirala. Museliera zresztą nawet nie wysłuchano, a ja sam nie miałem możności się z nim widzieć. Wszystko to nie daje się usprawiedliwić. Na razie admirał Muselier musi co najmniej opuścić więzienie i być traktowany z całym należnym mu szacunkiem aż do wyjaśnienia całej tej podejrzanej historii.

Eden był bardzo zmieszany, nie zgodził się jednak uczynić zadość moim żądaniom powołując się na to, że organy angielskie przeprowadziły śledztwo w sposób najbardziej drobiazgowy i z całą skrupulatnością. Potwierdziłem więc mój protest na piśmie, najpierw listem, potem zaś memoriałem. Odwiedziłem admirała sir Dudley Pounda, pierwszego lorda morza, i powołując się na koleżeńską solidarność oficerów marynarki prosiłem go o interwencję w tej uwłaczającej sprawie wytoczonej jego przecież koledze admirałowi. Na skutek moich kroków stanowisko władz brytyjskich stało się nieco bardziej ustępliwe. Umożliwiono mi, tak jak od początku tego żądałem, widzenie z Muselierem w *Scotland Yard*, i to nie w celi, lecz w biurze, bez obecności strażnika i jakichkolwiek innych świadków, chciałem bowiem za-

dokumentować wobec wszystkich i powiedzieć jemu, że odrzucam oszczerstwo, którego padł ofiarą. Wreszcie szereg poszlak nasunął mi podejrzenie, że w sprawie tej maczały palce dwa indywidua noszące mundur francuski, które podczas mego pobytu w Afryce na skutek nalegań Anglików przyjęto do naszej „służby bezpieczeństwa”. Kazałem ich sprowadzić do siebie i już na sam widok ich zmieszania upewniłem się w przeświadczeniu, że chodzi niewątpliwie o „historię” zmontowana przez *Intelligence Service*.

8 stycznia poprosiłem do siebie generała Spearsa i formalnie zakomunikowałem mu to przekonanie. Oświadczyłem, że daję rządowi angielskiemu dwadzieścia cztery godziny czasu na zwolnienie admirała i udzielenie mu zadośćuczynienia z tym, że w przeciwnym razie stosunki między Wolną Francją a Wielką Brytanią zostaną zerwane, jakiegokolwiek by to miało pociągnąć za sobą następstwa. Jeszcze tego samego dnia Spears ze zmieszaną miną przyszedł mi powiedzieć, że istotnie zaszła pomyłka, że „dokumenty” były sfalszowane, że sprawcy przyznali się do winy i że Muselier opuszcza więzienie. Następnego dnia odwiedził mnie generalny prokurator oświadczając, że wszczęte zostało postępowanie przeciwko sprawcom tej machinacji, w szczególności przeciwko kilku brytyjskim oficerom, i prosząc mnie o wyznaczenie obserwatora, który by z ramienia Wolnej Francji śledził przebieg dochodzeń i procesu, co też uczyniłem. Po południu na *Downing Street* Churchill i Eden, obaj wyraźnie zmieszani, wyrazili mi ubolewanie rządu brytyjskiego i złożyli w jego imieniu przyrzeczenie, że admirałowi Muselier udzielona zostanie należąca mu satysfakcja za wyrządzoną obelgę. Muszę powiedzieć, że przyrzeczenie to zostało dotrzymane, przy czym zmiana wzajemnych stosunków między Anglikami i admirałem okazała się tak kompletna, że nawet przeszła miarę, o czym się dalej przekonamy.

Nie ukrywam, że ten godny pożałowania incydent, uwypuklając jaskrawo naszą od początku dosyć niewyraźną sytuację wobec angielskich sojuszników, wpłynął także na moje poglądy co do tego, jak ostatecznie winny się ułożyć stosunki z państwem brytyjskim. Jednakże na razie następstwa tej przykrej sprawy nie były tylko ujemne, Anglicy bowiem chcąc niewątpliwie naprawić swój błąd, okazali się bardziej skłonni do pertraktowania z nami w sprawach pozostających w zawieszeniu.

Toteż 15 stycznia mogłem już podpisać z Edenem układ o „jurysdykcji” dotyczący Wolnych Francuzów na terytorium brytyjskim, a przede wszystkim uprawnień naszych własnych sądów, które miały orzekać „zgodnie z francuskim ustawodawstwem wojskowym”. Z drugiej strony mogliśmy rozpocząć rokowania ze

skarbem angielskim w sprawie układu finansowego, gospodarczego i monetarnego. 19 marca delegaci nasi Pleven, Cassin i Denis zakończyli pomyślnie te rokowania.

Problemy, które musieliśmy rozwiązać w tej dziedzinie, były tego rodzaju, że nie można było dłużej ograniczać się do doraźnych środków tymczasowych. W jaki sposób nie mając jeszcze ani banku, ani pieniędzy, ani środków transportu i łączności, ani uznanego przedstawicielstwa handlowego za granicą mieliśmy zapewnić możliwość egzystencji połączonym w jedną całość terytoriom, które przystąpiły do nas w Afryce i Oceanii? Jak utrzymać siły zbrojne Wolnej Francji rozsiane po wszystkich kątach kuli ziemskiej? Jak rozliczać wartość materiałów i usług, dostarczanych nam przez sojuszników, i tych, które my im dostarczaliśmy? W myśl układu zostało ustalone, że wszystkie rozliczenia, czegokolwiek by dotyczyły, będą dokonywane w Londynie między rządem angielskim a generałem de Gaulle'em, a nie od przypadku do przypadku z lokalnymi władzami francuskimi. Kurs pieniądza ustalono na 176 franków za jeden funt, to znaczy tyleż, ile wynosił on przed zawieszeniem broni zawartym przez Vichy.

Kontynuując tę samą politykę założyliśmy nieco później „Centralną Kasę Wolnej Francji”. Dokonywała ona wszelkich wypłat — żołdu, pensji, należności za zakupy itd., i przyjmowała wszelkie wpłaty: podatki od naszych terytoriów, zaliczki angielskiego ministerstwa finansów, ofiary składane przez Francuzów mieszkających za granicą itd. Z drugiej strony instytucja ta miała stać się jedynym bankiem emisyjnym Wolnej Francji na całym świecie. Jeżeli więc przystąpienie do generała de Gaulle'a łączyło moralnie wszystkich naszych stronników, to teraz również administracja została silnie scentralizowana. Ponieważ nie było między nami żadnych stosunków zależności budżetowo-finansowej ani polityczno-militarnej, a Anglia jednocześnie zobowiązała się powstrzymać od jakiegokolwiek ingerencji lokalnej przy pomocy środków finansowych, nasze wiec rozsiane po całym świecie terytoria scalały się, w sposób co prawda improwizowany, w jedną organizacyjną całość.

Jednakowoż umacniając w ten sposób naszą bazę zamorską myśleliśmy przede wszystkim o metropolii. Co mogliśmy tam uczynić? W jaki sposób i jakimi środkami? Nie posiadając żadnych środków dla rozwinięcia akcji we Francji i nie wiedząc nawet, jak podejść do tego problemu, snuliśmy jednak rozległe projekty w nadziei, że znajdą one w kraju masowe poparcie. Chodziło nam zaś ni mniej, ni więcej tylko o stworzenie organizacji, która by nam z jednej strony umożliwiła udzielenie pomocy działaniom sojuszników przez wykorzystanie naszych wiadomości o przeciwni-

ku, z drugiej zaś rozwinięcie we Francji powszechnego ruchu oporu, wyposażenie tam naszych sił, aby w odpowiedniej chwili mogły one wziąć udział na tyłach wojsk niemieckich w bitwie o wyzwolenie, wreszcie pragnęliśmy przygotować przegrupowanie sił narodowych, które po zwycięstwie postawiłyby znowu kraj na nogi. Byliśmy przy tym mocno zdecydowani, by ten wieloraki wkład Francuzów do wspólnego wysiłku wojennego był wykorzystany w interesie Francji, a nie sprowadzał się tylko do pojedynczych usług świadczonych bezpośrednio sojusznikom.

Ale teren akcji podziemnej był dla nas wszystkich zupełnie nowy. Pod tym względem Francja była zupełnie nie przygotowana do sytuacji, w którą nagle została wtrącona. Wiedzieliśmy, że francuska służba wywiadowcza rozwija w Vichy pewną aktywność. Nie było dla nas także tajemnicą, że sztab generalny armii usiłuje ukryć przed komisją do spraw zawieszenia broni niektóre zapasy materiałów. Nie wątpiliśmy, że poszczególni wojskowi starają się wydawać dyspozycje w przewidywaniu ponownego udziału Francji w działaniach wojennych. Ale te fragmentaryczne przygotowania przedsiębrano bez naszego udziału — na rachunek rządu, którego cała racja bytu na tym właśnie polegała, by nie zrobić z nich żadnego użytku, i którego kierownictwo wojskowe ani nie szukało, ani nie zgadzało się na nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu z Wolną Francją. Słowem, nie istniało nic, na czym moglibyśmy się oprzeć w zamierzonej akcji. Całą organizację, która miała działać na głównym teatrze wojny, musieliśmy tworzyć z niczego.

Kandydatów do podjęcia się tego zadania oczywiście nie brakowało. Jakieś niezbadane drogi przeznaczenia sprawiły, że w 1940 roku część dorosłej ludności francuskiej była wewnętrznie nastawiona na działalność podziemną. W okresie między pierwszą a drugą wojną światową nasza młodzież zdradzała duże zainteresowanie działalnością „dwójki”, służbą tajną, policją, zamachami i spiskami. Książki, dzienniki, teatr, kino zajmowały się przygodami mniej lub bardziej urojonych bohaterów, którzy osłonięci tajemnicą dokonywali heroicznych czynów w interesie swego kraju. Te psychologiczne przesłanki miały nam ułatwić werbunek grup przeznaczonych do zadań konspiracyjnych. Jednocześnie jednak groziły one wprowadzeniem do tej działalności elementów romantyzmu, lekkomyślności, a niekiedy nawet oszustwa, które mogły stać się dla niej niebezpiecznymi rafami podwodnymi. Nie było dziedziny, w której istniałaby większa podaż rąk, ale która od ludzi podejmujących się zadań wymagała większego poczucia odpowiedzialności, jak również odwagi.

Na szczęście znalazły się znakomite kadry. Na ich czele sta-

nał major Dewavrin używający pseudonimu Passy. Nic go nie przygotowało do tego zadania bez precedensu. Ale moim zdaniem tak nawet było lepiej. Zresztą z chwilą powierzenia mu tej misji zapalał do niej swego rodzaju zimną pasją, która miała być mu pomocą na mrocznej drodze, gdzie miał do czynienia i z najlepszymi, i z najgorszymi elementami. W codziennym dramacie, którym była akcja konspiracyjna we Francji, Passy, a wraz z nim jego współpracownicy, jak Manuel, później Vallon, Wybot, Pierre Bloch i inni, trzymał swój stateczek na powierzchni wbrew niepokojom, intrygom, rozczarowaniom. Sam zaś potrafił zwalczyć w sobie zarówno odrazę, jak samochwalstwo, najgroźniejszych wrogów tego rodzaju działalności. „Toteż mimo wszelkich zmian, które w miarę nabywanych doświadczeń przechodził skład „Centralnego Biura Informacji i Akcji”, utrzymywałem Passy'ego przez wszystkie złe i dobre chwile na powierzonym mu stanowisku.

Najpilniejszą sprawą było stworzenie na terytorium francuskim zaczątku organizacji. Anglicy woleliby, gdybyśmy po prostu wysłali do Francji agentów mających indywidualnie, każdy z osobna, zbierać informacje dotyczące określonych obiektów przeciwnika; była to zwykła metoda stosowana przy szpiegostwie. My jednak chcieliśmy zrobić więcej. Ponieważ akcja miała się rozwijać we Francji wśród ludności, gdzie, jak wierzyliśmy, nie brak było dobrej woli, więc chcieliśmy utworzyć całą sieć organizacji. Poszczególne jej części miały ustanawiać łączność między wyznaczonymi do tego osobami i komunikować się z nami przez komórkę centralną; tą drogą spodziewaliśmy się uzyskać najlepsze rezultaty. D'Estienne d'Orves i Duclos, wysadzeni na wybrzeżu nad kanałem La Manche, Fourcault, który przedostał się do kraju przez terytorium Hiszpanii, Robert i Monnier, którzy przybyli z Tunisu na Maltę i zostali ponownie wysłani do Afryki Północnej, zrobili pierwsze kroki w tym kierunku. Wkrótce potem karierę tajnego agenta rozpoczął z kolei Rémy; miał on okazać się w tej dziedzinie swego rodzaju geniuszem.

Podjęliśmy więc walkę na tym dotąd nie znanym nam polu. Dzień po dniu, a raczej noc po nocy, gdyż większa część naszych działań rozgrywała się w ciemnościach, „Centralne Biuro Informacji i Akcji” (BCRA) rozpoczęło swą działalność; werbowало ludzi do walki konspiracyjnej, wyznaczało zadania swym agentom, opracowywało meldunki, zajmowało się sprawami transportu łodziami rybackimi, okrętami podwodnymi i samolotami, przerzucało agentów przez terytorium Portugalii i Hiszpanii, zrzucało ludzi i ładunki na spadochronach, nawiązywało kontakt z sympatyzującymi z nami ludźmi we Francji, organizowało pod-

róże w celach inspekcji i łączności, przekazywało wiadomości za pomocą radia, kurierów i umownych sygnałów, współpracowało ze służbami alianckimi, które formułowały życzenia swych sztabów, stawiały do dyspozycji potrzebne materiały i w zależności od konkretnych warunków ułatwiały lub utrudniały wykonanie poszczególnych zadań. Później akcja BCRA, w miarę jak rozszerzał się jej zasięg, objęła także uzbrojone grupy działające na terytorium Francji i różnorodne organizacje Ruchu Oporu. Ale do tego w ciągu owej ponurej zimy było nam jeszcze daleko.

Na razie należało uzgodnić z Anglikami *modus vivendi*, dzięki któremu BCRA mogłaby rozwijać działalność zachowując swój charakter narodowy. Nastręczało to nie lada trudności. Zapewne, Anglicy rozumieli, jakie korzyści mogła im zapewnić z punktu widzenia informacji — a na razie tylko to ich interesowało — pomoc udzielana przez Francuzów. Przede wszystkim jednak organa wywiadu angielskiego usiłowały pozyskać bezpośrednich współpracowników. Toteż od razu wywiązała się istna rywalizacja. Podczas gdy my przypominaliśmy Francuzom o moralnym i ustawowym obowiązku niewstępowania na służbę obcego państwa, Anglicy uruchamiali wszystkie będące w ich dyspozycji środki, aby werbować agentów i tworzyć własne siatki wywiadowcze.

Skoro tylko jakiś Francuz przybywał do Anglii, od razu, o ile nie był to człowiek znany, *Intelligence Service* umieszczało go w tzw. „Patriotic School” („Szkoła Patriotyczna”), gdzie proponowano mu wstąpienie na służbę angielskiego wywiadu. Dopiero po wielu prośbach i naciskach z naszej strony pozwalano mu udać się do nas. Jeżeli natomiast ulegał namowom, wówczas izolowano go od nas i nigdy nie widzieliśmy go na oczy. Anglicy nawet we Francji werbowali swych pomocników używając dwuznacznych środków. „De Gaulle czy Wielka Brytania — to jedno i to samo” — twierdzili. Jeżeli chodzi o środki materialne, to zależeliśmy niemal wyłącznie od naszych sojuszników i otrzymywaliśmy je niekiedy dopiero po zażartych targach. Łatwo zrozumieć, do ilu tarć prowadziła tego rodzaju taktyka. Trzeba jednak powiedzieć, że chociaż Anglicy często posuwali się do granic tego, co dopuszczalne, to jednak nigdy ich nie przekraczali. W odpowiednim momencie ustępowali przyjmując, przynajmniej częściowo, nasze żądania. Wtedy rozpoczynał się okres owocnej współpracy, dopóki pewnego dnia raptem nie wybuchała nowa burza.

Wszystko, co usiłowaliśmy zrobić, mogło jednak mieć prawdziwą wartość jedynie pod warunkiem, że francuska opinia publiczna będzie po naszej stronie. Gdy 18 czerwca po raz pierwszy

w życiu przemawiałem przez radio i nie bez wzruszenia myślałem o tym, ilu mężczyzn i kobiet słucha w tej chwili mego głosu, zrozumiałem, jaką rolę w naszym ruchu odgrywa propaganda radiowa.

Anglicy obok wielu innych zasług mieli i tę, że od razu zrozumieli i szeroko wykorzystali oddziaływanie radia na podbite narody. Niezwłocznie też przystąpili do zorganizowania propagandy na Francję. Ale i na tym polu, podobnie jak na każdym innym, byli wprawdzie szczerze gotowi przyczynić się do zwiększenia oddźwięku, który de Gaulle i Wolna Francja znajdowali wśród mas narodu francuskiego, jednocześnie jednak pragnęli sami z tego korzystać i pozostać panami sytuacji. My natomiast chcieliśmy występować jako rzecznicy tylko naszej własnej sprawy. Ze swej strony, rzecz jasna, nigdy nie dopuszczałem do żadnego nadzoru ani nawet nie przyjmowałem żadnych rad cudzoziemców co do tego, z czym zwracałem się do Francji.

W końcu osiągnięto kompromis, w myśl którego Wolna Francja miała do dyspozycji radio brytyjskie dwa razy dziennie po pięć minut. Prócz tego i niezależnie od nas funkcjonował pod kierownictwem dziennikarza Jacques Duchesne, zatrudnionego w BBC, słynny zespół „Francuzi mówią do Francuzów”. Kilku Francuzów należących do Wolnej Francji, jak np. Jean Marin i Jean Oberlé, wchodziło w jego skład za moją zgodą. Porozumieliśmy się zresztą, że zespół ten będzie utrzymywał ścisły kontakt z nami, co też istotnie przez długi czas miało miejsce. Muszę powiedzieć, że biorąc pod uwagę talenty uczestników i skuteczność wystąpień tej grupy, udzielaliśmy jej wszelkiego możliwego poparcia. Tak samo zresztą postępowaliśmy również w stosunku do czasopisma *France Libre* założonego przez Labarthe'a i Raymonda Arona. Równie dobre stosunki łączyły nas z agencją *Agence française indépendante* i gazetą *France*, pierwszą kierował Maillaud, pseudo Bourdan, drugą Comert. Korzystały one z bezpośredniej pomocy angielskiego ministerstwa informacji, lecz organizacyjnie nie były związane z naszym ruchem.

Dopóki interesy i polityka Anglii i Wolnej Francji przebiegały równolegle, dopóty sprawy — pomijając sporadyczne incydenty — układały się pomyślnie. Później jednak zdarzały się kryzysy, w których propagandiści grupy „Francuzi mówią do Francuzów” oraz *Agence française indépendante* i dziennik *France* nie stawali po naszej stronie. Mogliśmy co prawda ogłaszać wszystko, co uważaliśmy za wskazane, przez radio Brazzaville. Istotnie, nasza skromna rozgłośnia afrykańska była od samego początku bardzo aktywna i sam z niej często korzystałem. Chcieliśmy ją jednak rozbudować i powiększyć jej zasięg. Po-

trzebne urządzenia zamówiliśmy w Ameryce. Ale po to, aby je otrzymać, musieliśmy się uzbroić w cierpliwość, zapłacić poważną sumę w dolarach, a w dodatku udaremnić w Stanach Zjednoczonych różnego rodzaju intrygi i próby podbicia ceny. Wreszcie na wiosnę 1943 roku mała rozgłośnia z okresu naszych bohaterskich początków została zastąpiona nad brzegiem Konga przez wielką radiostację Francji Walczącej.

Łatwo zrozumieć, jak wielką wagę przywiązywaliśmy do naszych krótkich audycji z Londynu. Ten, kto w danym dniu miał przemawiać w naszym imieniu, zawsze wchodził do studia BBC przeniknięty poczuciem odpowiedzialności. Wiadomo, że najczęściej przemawiał Maurice Schumann. Wiadomo także, z jakim to czynił talentem. Ja sam przemawiałem mniej więcej raz na tydzień, mając za każdym razem wrażenie, że wobec milionów słuchaczy łowiących wśród wielu przeszkód i zagłuszeń audycję londyńską spełniam jak gdyby obrządek kapłański. Przemówienia swe za każdym razem rozwijałem na kanwie rzeczy najprostszych. Mówiłem o przebiegu wojny wykazującym błąd kapitulacji, o dumie narodowej, która głęboko porusza umysły i serca Francuzów przy zetknięciu się z wrogiem, wreszcie o nadziei zwycięstwa i nowej wielkości naszej ojczyzny — *notre dame la France*.

Jednakże mimo pozytywnego oddziaływania naszych audycji należało sobie jasno powiedzieć, że zarówno w okupowanej, jak i nie okupowanej strefie Francji opinia publiczna trwała w bierności. Niewątpliwie, wszędzie z zadowoleniem, a często nawet i z zapalem, słuchano „radia londyńskiego”. Spotkanie w Montoire było surowo potępiane. Manifestacja studentów paryskich, którzy 11 listopada na czele pochodu ponieśli „dwa drągi”* pod Łuk Triumfalny i zostali rozproszeni przez Wehrmacht strzałami z karabinów maszynowych, wносиła wzruszającą nutę i pokrzepiała na duchu. Czasowe zwolnienie Laval’a zdawało się wskazywać, że koła oficjalne chciałyby naprawić popełnione błędy. 1 stycznia zgodnie z moim wezwaniem wielka część ludności, zwłaszcza w strefie okupowanej, pozostała przez godzinę w domu, tak że place i ulice opustoszały: była to „godzina nadziei”. Nic jednak nie wskazywało na to, że jakaś większa liczba Francuzów gotowa jest przystąpić do akcji. We Francji przeciwnik, gdziekolwiek by się znajdował, nie był wystawiony na żadne ryzyko. Nieliczni byli ludzie, którzy nie uznawali rządu Vichy, a sam marszałek Pétain nadal cieszył się wielką popularnością.

* Nieprzetłumaczalna gra słów: „deux gaules” — dwa drągi, w fonetycznym brzmieniu niemal identyczne z „de Gaulle” (przyp. tłum.).

Otrzymany przez nas film z podróży Pétaina po dużych miastach środkowej i południowej Francji był tego jaskrawym dowodem. W gruncie rzeczy ogromna większość Francuzów wierzyła, że Pétain prowadzi podwójną grę i że nastąpi dzień, gdy znowu chwyci za broń. Szeroko rozpowszechniona była wersja, że między nim i mną istnieje tajemne porozumienie. W końcowym efekcie propaganda jak zawsze, tak i w tym przypadku, sama przez się nie miała wielkiego znaczenia. Wszystko zależało od wydarzeń.

W omawianym okresie w centrum zainteresowania stała bitwa o Afrykę, w której Wolna Francja miała wziąć udział. 14 lipca nawiązałem bezpośrednią łączność z naczelnym dowódcą wojsk brytyjskich na Środkowym Wschodzie, generałem Wavellem, prosząc go, by połączył w regularne oddziały poszczególne grupy Francuzów znajdujących się w strefie jego działań wojennych i wysłał je jako posiłki generałowi Legentilhomme w Dżibuti. Później, gdy stało się wiadome, że francuskie Somali podporządkowało się warunkom zawieszenia broni, uzyskałem zgodę Wavella, żeby batalion piechoty morskiej, który w czerwcu przyłączył się do Wolnej Francji na Cyprze i został uzupełniony Francuzami z Egiptu, wziął udział w pierwszym natarciu Anglików w Cyrenajce na Tobruk i Darnę. We Francji i poza jej granicami radośniej zabiły serca wielu Francuzów, gdy dowiedziano się, że już 11 grudnia waleczny batalion majora Folliot odznaczył się w walkach pod Sidi-Barrani. Teraz jednak chodziło o to, by nad brzegi Morza Czerwonego sprowadzić całą, niestety tylko lekką, dywizję z Afryki Równikowej dla udziału w działaniach wojennych.

Dowództwo angielskie chciało na wiosnę rozpocząć działania przede wszystkim w Erytrei i Etiopii, aby zniszczyć armię księcia d'Aosty jeszcze przed rozpoczęciem innych operacji na wybrzeżach Morza Śródziemnego. Pragnąłem, by nie zważając na żadne odległości pierwszy oddział wojsk francuskich wziął udział w tej akcji. 11 i 18 grudnia udzieliłem generałom Larminat i Catroux odpowiednich instrukcji. Chodziło o półbrygadę Legii Cudzoziemskiej, batalion Senegalczyków z Czadu, kompanię piechoty morskiej, kompanię czołgów, baterię artylerii i służby pomocnicze. Dowództwo nad całością tych wojsk sprawować miał pułkownik Monclar. Już teraz walczył u boku Anglików szwadron spahisów, sprowadzony z Syrii w czerwcu 1940 roku przez majora Jourdier, i kilku lotników, z których jedni przybyli z Rayaku pod dowództwem kapitana Dodelier, inni zaś z Tunisu pod dowództwem porucznika de Maismont. Za zgodą Wavella zarządziłem zaokrętowanie Legii Cudzoziemskiej i wysłanie jej do Port-

Sudan; czołgi i artyleria miały przybyć później, również drogą morską. Batalion Senegalczyków z Czadu wyruszył do Chartumu po prostu na lekkich wozach ciężarowych. Przybył tam zresztą bez większych trudności mimo pesymistycznych przepowiedni doświadczonych Afrykanów i już 20 lutego pod dowództwem majora Garbay wziął udział w walkach pod Kub-Kub, gdzie odniósł poważny sukces. Później cztery inne bataliony Senegalczyków przyłączyły się do tego pierwszego batalionu tworząc wraz z nim pokaźną jednostkę bojową. Z drugiej strony grupa francuskiego lotnictwa bombowego wyposażona w sprowadzone przez nas z Anglii samoloty „Blenheim” została wysłana do Chartumu. Wreszcie dzielne awiza „Savorgnan de Brazza” i „Commandant Duboc” znajdowały się w drodze na Morze Czerwone.

O ileż większy mógłby być udział Francuzów w bitwie o Abisynię, gdyby francuskie Somali ze swym garnizonem liczącym 10 000 dobrze uzbrojonych ludzi i swym portem Dżibuti, stacją końcową linii kolejowej z Addis-Abeby przyłączyło się do nas i znowu brało udział w wojnie! Toteż niezależnie od nalegań o przyspieszenie wysyłki wojsk do Etiopii chciałem podjąć próbę przyłączenia tej kolonii francuskiej do Wolnej Francji. Trzeba zaznaczyć, że w Dżibuti po kilku nieśmiałych próbach odrzucenia zawieszenia broni poddano się w końcu rozkazom Vichy. Ale czy teraz fakt, że bezpośrednio w tym rejonie rozpoczynały się walki przeciwko wrogowi i że przybywali tu Francuzi, by wziąć w nich udział, nie wpłynie, być może, na zmianę tego stanowiska? Gdyby to nastąpiło, wojska Wolnej Francji należałoby wysadzić na brzeg w Dżibuti, by połączyć je tu z miejscowym garnizonem. Wtedy rzeczywiście poważne siły francuskie wzięłyby udział w ofensywie, współdziałając z Anglikami. Gdyby natomiast francuskie Somali odmówiło przyłączenia się do nas, oddziały ekspedycyjne Wolnej Francji musiałyby walczyć po stronie Anglików licząc tylko na własne siły.

W Londynie nasi sojusznicy wyrazili zgodę na ten plan. Polecilem generałowi Legentilhomme, by spróbował wprowadzić do akcji wojska, którymi przedtem dowodził w Dżibuti, a w każdym razie objął dowództwo nad wojskami, które już zostały lub miały być wysłane na Morze Czerwone z Francuskiej Afryki Równikowej. Legentilhomme natychmiast wyjechał do Chartumu. Generałowi Catroux i generałowi Wavellowi zakomunikowałem warunki, na jakich działać będą Legentilhomme i wojska znajdujące się pod jego rozkazami. Jednocześnie poprosiłem Churchilla, aby zaaprobował naszą inicjatywę, do której początkowo zdawał się odnosić raczej niechętnie.

W czasie gdy usiłowaliśmy wzmocnić akcję wojsk brytyjskich

na Wschodzie, stworzyliśmy na granicy Czadu i Libii front wyłącznie francuski. Wprawdzie siły nasze były tu bardzo nieznaczne, a rozciągłość frontu ogromna, za to wszystko tutaj zależało od nas samych, do tego zaś przywiązywałem istotną wagę.

Przybywszy na terytorium Czadu Leclerc pozostając pod rozkazami wysokiego komisarza de Larminat, który udzielał mu wszelkiego poparcia, przygotował w sposób niezwykle aktywny pierwsze operacje na pustyni. W styczniu wspólnie z podpułkownikiem d'Ornano, który poległ w tych walkach, przeprowadził rozpoznanie posuwając się aż do placówki włoskiej Murzuk. W rozpoznaniu tym wziął udział patrol angielski przybyły znad Nilu. W końcu stycznia Leclerc na czele starannie przygotowanej kolumny, wspieranej przez nasze lotnictwo, osiągnął oazy Kufra odległe o 1000 kilometrów od jego baz. W ciągu kilku tygodni manewrów i walk atakował placówki Włochów, odpierał skutecznie ich wojska szybkie i 1 marca zmusił przeciwnika do kapitulacji.

W tym samym czasie szybkie posuwanie się naprzód Anglików w Libii zdawało się otwierać przed nami jeszcze szersze perspektywy. Dlatego też 17 lutego poleciłem generałowi de Larminat przygotować zdobycie Fezzanu. Dalszy rozwój wydarzeń w Libii przeszkodził nam wtedy w przeprowadzeniu tej operacji, która jednak nadal pozostawała głównym celem Leclerca i jego wojsk. W międzyczasie musiałem określić stanowisko Francji wobec Anglików odnośnie do Kufry i Fezzanu. Zamierzaliśmy pozostać w Kufrze, jakkolwiek te oazy należały niegdyś do anglo-egipskiego Sudanu. Gdybyśmy natomiast zdobyli później Fezzan, a Anglia uznałaby nasze prawo do tego terytorium, wówczas moglibyśmy ewakuować Kufę.

Jednakże cokolwiek czyniliby Anglicy, a wraz z nimi i Wolni Francuzi, inicjatywa strategiczna wciąż jeszcze była w ręku przeciwnika. Od niego zależał kierunek działań wojennych. Zachodziło pytanie, czy wobec niemożności inwazji na Anglię rzuci się on przez Suez i Gibraltar na Afrykę Północną, czy też zechce załatwić swe porachunki ze Związkiem Radzieckim. W każdym razie różne oznaki wskazywały na to, że rozpęta jedną lub drugą z tych operacji. Uważaliśmy, że w obydwu wypadkach poczynione przez nas przygotowania umożliwią Wolnej Francji skuteczne użycie swych sił. Mimo że byliśmy wtedy tak straszliwie słabi, byłem zdecydowany zabrać głos w imieniu Francji w każdym problemie, który by nowa ofensywa Niemców i ich sojuszników postawiła przed światem, i to zabrać go zgodnie z jej interesami.

W listopadzie 1940 roku Włochy napadły na Grecję, 1 marca

1941 roku Rzesza zmusiła Bułgarię do przystąpienia do Osi. Na początku kwietnia wojska niemieckie wtargnęły do Grecji i Jugosławii. Uchwyciwszy Bałkany przeciwnik mógłby zagrażać krajom Wschodu i uniemożliwić Anglikom utworzenie jakiegokolwiek przyczółka na tyłach wojsk niemieckich w razie wtargnięcia Wehrmachtu do Rosji. Na początku ofensywy włoskiej w Grecji telegrafowałem do greckiego premiera generała Metaxasa; chciałem, by było powszechnie wiadome, po której stronie znajduje się Francja, wierna swym zobowiązaniom. Z odpowiedzi Metaxasa można było wywnioskować, że mnie zrozumiał. Nie udało mi się jednak uzyskać od Anglików przetransportowania do Grecji małego oddziału, który pragnąłem tam symbolicznie wysłać. Trzeba powiedzieć, że i generał Wavell, zaabsorbowany swymi operacjami w Libii i Erytrei, nie wysłał wtedy do Grecji ani jednego żołnierza.

W pierwszych dniach lutego dowiedzieliśmy się o przybyciu do Syrii misji niemieckiej von Hintiga i Rosera. Podniecenie wywołane w krajach arabskich jej przybyciem mogło służyć bądź do przygotowania inwazji sił Osi na te kraje, bądź też do dywersji w razie ataku niemieckiego w kierunku Kijowa i Odessy.

Jednocześnie na Dalekim Wschodzie coraz wyraźniej zarysowywała się groźba japońska. Co prawda nie można się jeszcze było zorientować, czy Japończycy definitywnie postanowili przystąpić w najbliższym czasie do wojny, czy też chcą po prostu wywrzeć nacisk, aby związać jak największą liczbę wojsk angielskich w Azji południowo-wschodniej, Amerykanów zaś zmusić do prowadzenia intensywnych przygotowań w tym rejonie, podczas gdy Niemcy i Włochy rozwijać będą działania przeciw Moskwie lub po drugiej stronie Morza Śródziemnego. W każdym razie Japończycy chcieli natychmiast zapewnić sobie kontrolę Indochin. Prócz tego, gdyby przystąpili do wojny, zagrożona zostałaby Nowa Kaledonia, nasze wyspy na Pacyfiku, posiadłości francuskie w Indiach, a nawet i Madagaskar.

W Indochinach interwencja japońska rozpoczęła się w chwili, gdy stało się jasne, że Francja przegrywa bitwę w Europie. W czerwcu 1940 roku gubernator generalny generał Catroux uważał, że nie pozostaje mu nic innego, jak spełnić żądania Japończyków. Zanim się na to zdecydował, próbował wysondować stanowisko Anglików i Amerykanów; przekonał się, że nie ma co liczyć na pomoc z zewnątrz. Na to Vichy odwołało Catroux i mianowało na jego miejsce Decoux. Ponieważ nie byłem w stanie rozwinąć w Indochinach ruchu, zdolnego uchwycić tu władzę i dać odpór japońskiej interwencji, którą by tego rodzaju ruch nieuchronnie spowodował, i nie mogłem także zmusić aliantów

do przeciwstawienia się zaborczym zakusom Japonii, musiałem na razie zająć stanowisko wyczekujące. Łatwo sobie wyobrazić, z jakim uczuciem 8 października z Duali powiadomiłem o tym telegraficznie inspektora generalnego kolonii Cazaux, dyrektora finansów w Sajgonie, odpowiadając na jego depeszę, w której we wzruszających słowach informował mnie o sympatii większości ludności dla Wolnej Francji, ale jednocześnie także i o tym, że w powstałej sytuacji Indochiny nie mogą działać tak, jak by tego pragnęły. Mnie, prowadzącemu małą łódź na rozszalałym oceanie wojny, Indochiny wydawały się wtedy ogromnym, pozbawionym sternika okrętem, któremu nie mogłem przyjść z pomocą, dopóki nie nagromadziłem potrzebnych ku temu środków ratunkowych. Widząc, jak okręt ten ginie we mgle, ślubowałem sobie, że pewnego dnia znowu go odzyskam.

Na początku 1941 roku Japończycy nakłonili Syjam do zajęcia obszarów na obu brzegach rzeki Mékong, a nawet Kambodży i Laosu. Jednocześnie wzmogli własne żądania domagając się dla siebie najpierw swego rodzaju hegemonii gospodarczej w Indochinach, a potem okupacji wojskowej najważniejszych punktów. O wszystkich tych ważnych wydarzeniach informowali mnie w Londynie nie tylko Anglicy i Holendrzy, lecz także przedstawiciele Wolnej Francji, rozsiani po wszystkich węzłowych punktach świata: Schompré, a potem Baron i Langlade w Singapurze, Garreau-Dombasle w Waszyngtonie, Egal w Szanghaju, Vignes w Tokio, Brénac w Sydney, André Guibaut, a potem Béchamp w Czungkingu i Victor w New Delhi. Było dla mnie jasne, że wiele państw prowadziło w danym wypadku skomplikowaną i uzależnioną od wielu okoliczności politykę i że w żadnym razie nikt nie pomoże francuskim Indochinom do odparcia japońskiego ataku. Sama zaś Wolna Francja nie miała, rzecz jasna, wystarczających środków ku temu. Vichy je posiadało, ale było całkowicie zawisłe od Niemców, którzy nie pozwalali ich użyć. Anglicy zaś, chociaż rozumieli, że pewnego dnia burza dosięgnie również Singapuru, chcieli na razie tylko zyskać na czasie, a ich przedstawiciel w Bangkoku dbał przede wszystkim o to, aby niezależnie od losu obszarów nad Mekongiem utrzymać przyjazne stosunki z Syjmem. Wreszcie Amerykanie, którzy ani materialnie, ani moralnie nie byli przygotowani do wzięcia udziału w konflikcie, stali na stanowisku nieinterwencji.

W tych warunkach wszystko, co mogliśmy uczynić i co też uczyniliśmy, polegało na tym, aby przede wszystkim zakomunikować zainteresowanym rządów, że Wolna Francja nie uzna żadnych ustępstw, które by rząd Vichy poczynił w Indochinach. Prócz tego staraliśmy się, aby nasi zwolennicy w Indochinach —

nie rezygnując oczywiście z negatywnego stosunku do polityki i doktryny Vichy — nie wszczynali żadnych akcji wewnętrznych, które mogłyby stać się przeszkodą dla ewentualnego oporu władz lokalnych wobec Japończyków i Syjamczyków. Ponadto uzgodniliśmy nasze postępowanie w basenie Pacyfiku z innymi zagrożonymi państwami i staraliśmy się — niestety bez rezultatu — spowodować wspólną mediację Anglii, Stanów Zjednoczonych i Holandii na rzecz Indochin. Wreszcie zorganizowaliśmy wspólnie z Australią i Nową Zelandią obronę Nowej Kaledonii i Tahiti.

W związku z tą ostatnią sprawą spotkałem się w marcu z australijskim premierem Menziesem, przebywającym wtedy w Londynie, i uzgodniłem z tym nadzwyczaj rozumnym człowiekiem sprawy najistotniejsze. Potem gubernator Sautot przeprowadził rokowania z Australijczykami i zawarł z nimi w moim imieniu szczegółowy układ zachowując wszelkie środki ostrożności przeciw ewentualnym próbom naruszenia suwerennych praw Francji.

Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że Syjamczycy przeszli nad Mekongiem do działań zaczepnych i mimo poważnych porażek na lądzie i na morzu zdołali zająć terytoria, o które im chodziło, dzięki brutalnemu naciskowi japońskiemu w Sajgonie i Vichy wywartemu pod płaszczykiem „mediacji”. Później Japonia sama przejęła kontrolę nad Indochinami. Żadne z mocarstw zainteresowanych w basenie Pacyfiku nie wystąpiło przeciw temu ani nawet nie założyło protestu. Od tej chwili nie mogło ulegać wątpliwości, że przystąpienie Japonii do wojny światowej jest już tylko kwestią czasu.

W miarę tego, jak coraz wyraźniej zarysowywały się powody uzasadniające naszą wspólną akcję, stosunki między Francuzami a Anglikami rozciągały się na coraz to nowe dziedziny. Z czasem zresztą coraz lepiej wzajemnie się poznawaliśmy. Uważam za swój obowiązek powiedzieć, że kierownicy Anglii zyskali sobie cały mój szacunek; zdawało mi się, że tak samo i oni odnosili się do mnie. Przede wszystkim król, który świecił przykładem i był zawsze o wszystkim dobrze poinformowany, oraz królowa i wszyscy członkowie rodziny królewskiej korzystali z każdej nadarzającej się sposobności, aby dać mi tego dowody. Spośród ministrów najbliższe stosunki oficjalne i nieoficjalne łączyły mnie rzecz jasna z Churchillem. Ale w okresie tym widywałem się bądź w sprawach urzędowych, bądź w toku przyjacielskich spotkań z wieloma innymi osobistościami, jak Eden, sir John Anderson, Amery, sir Edward Grigg, Alexander, sir Archibald Sinclair, lord Lloyd, lord Granborne, lord Hankey, sir Stafford Cripps,

Attlee, Duff Cooper, Dalton, Bevin, Morrison, Bevan, Butler, Brendan-Bracken. Najwyższymi urzędnikami państwowymi, cywilnymi czy wojskowymi, których najczęściej widywałem, byli: sir Robert Vansittart, sir Alexander Cadogan, Strang, Morton, generałowie sir John Dill i Ismay, admirał sir Dudley Pound i marszałek lotnictwa Portal. Niezależnie od tego, czy chodziło o członków rządu, przywódców politycznych, wysokich urzędników czy o osobistości z kół parlamentarnych, prasowych, gospodarczych itp., wszyscy oni bronili interesów swego kraju z lojalnością i przekonaniem budzącymi uczucie podziwu i szacunku. Ludzie ci oczywiście nie byli pozbawieni zmysłu krytycznego, a nawet i fantazji. Ileż razy sam delektowałem się humorem, z jakim mimo przemęczenia oceniali ludzi i wydarzenia w owym straszliwym okresie, kiedy wzburzone fale wojny rzucały nami niby drobnymi kamyczkami na brzegu morskim. Ale każdy z nich był całkowicie oddany swej służbie, wszyscy zaś byli przeniknięci świadomością wspólnych celów, która ich łączyła ze sobą. W sumie wszystko to świadczyło o zwartości kierowniczych kół kraju, która często budziła we mnie uczucie zazdrości i podziwu.

Ale często też sam doświadczałem na sobie skutków wynikającego stąd nacisku. Trudno bowiem było oprzeć się machinie brytyjskiej z chwilą, gdy puszczano ją w ruch, aby narzucić partnerowi swoją wolę. Kto sam tego nie doświadczył, ten nie może sobie wyobrazić, jaką koncentrację wysiłków, jaką różnorodność metod, jaką uporczywość, wyrażającą się najpierw w uprzejmych naleganiach, a potem przybierającą formę żądań i gróźb, umieli rozwijać Anglicy, by dopiąć swego celu.

Rozpocynało się od aluzji, które padały to tu, to tam, ale zdumiewały swą zgodnością i miały działać na nas jako ostrzeżenie i stopniowo nas przygotować. Potem w przebiegu jednej ze zwykłych konferencji powołana do tego osobistość nieoczekiwanie występowała z prośbą lub żądaniem Anglii. Gdy nie zgadzaliśmy się na to, by po prostu przyjąć angielskie propozycje — a muszę przyznać, że zdarzało się to często — rozpoczynała się faza „nacisku”. Wszyscy dookoła, niezależnie od rangi i szczebla, starali się go wyrzucić wszelkimi sposobami. W czasie oficjalnych i nieoficjalnych rozmów w najróżniejszych kołach zapewniano nas zależnie od warunków o przyjaźni, wyrażano uczucia sympatii lub obawy. Brała w tym również udział prasa, która umiejętnie prześlizgując się obok samego przedmiotu sporu stwarzała dokoła nas atmosferę zarzutów i smutku. Ludzie, z którymi pozostawaliśmy w kontaktach osobistych, jak gdyby za jakimś instynktownym porozumieniem starali się nas przeko-

nać. Zawszą spadały na nas wymówki, skargi, obietnice i słowa oburzenia.

Naszym angielskim partnerom pomagała w tym wszystkim właściwa Francuzom skłonność i do sporów wewnętrznych, i do ustępowania cudzoziemcom. Dla tych spośród nas, którzy w ciągu swej kariery z tego lub innego tytułu stykali się z zagadnieniami polityki zagranicznej, ustępstwa tak dalece stały się przyzwyczajeniem, że aż niemal zasadą. Wielu z nich, wskutek długich lat życia w warunkach reżimu pozbawionego wszelkiej stałości, przywykło uważać, że Francja nigdy nie mówi „nie”. Toteż za każdym razem, gdy sprzeciwiałem się żądaniom Anglików, widziałem nawet w moim najbliższym otoczeniu zdziwienie, niepokój i obawy. Słyszałem wymieniane po kryjomu szepty i czytałem w oczach pytanie: „Do czegoż on właściwie zmierza?” Jak gdyby było rzeczą nie do pojęcia, że można w czymś nie ustąpić. Jeżeli zaś chodzi o emigrantów francuskich, którzy nie przystąpili do naszego ruchu, to przy każdej takiej okazji zawsze, niemal automatycznie, występowali przeciwko nam. Większość, zgodnie z doktryną polityczną, w której się wychowywali, uważała, że Francja nigdy nie ma racji, gdy twardo stoi przy swoim, wszyscy zaś potępiali de Gaulle'a za jego stanowczość, określając ją jako dyktaturę i uważali za podejrzaną w zestawieniu z duchem rezygnacji, utożsamianym przez nich z duchem republiki.

Po wyczerpaniu tych wszystkich różnorodnych form nacisku nagle dokoła nas zalegała cisza. Anglicy stwarzali wtedy wokół nas coś w rodzaju próżni. Żadnych rozmów i korespondencji, żadnych wizyt ani zaproszeń. Sprawy wymagające załatwienia pozostawały w zawieszeniu. Telefony milczały. Anglicy, których mimo to zdarzało się nam spotykać, byli posepni i nieprzenikliwi. Ignorowano nas, jak gdyby nie tylko skończyła się nasza współpraca, ale jak gdybyśmy w ogóle przestali istnieć. W samym sercu Anglii, skupionej w zdecydowanym wysiłku, otaczał nas lodowaty chłód.

Wtedy następował rozstrzygający atak. Nieoczekiwanie zwoływano jakieś uroczyste spotkanie francusko-angielskie. Uruchamiano na nim wszystkie środki, wysuwano wszystkie argumenty, wytaczano wszystkie żale, uderzano we wszystkie nuty. Jakkolwiek nie wszyscy Anglicy na odpowiedzialnych stanowiskach w jednakowej mierze opanowali sztukę aktorską, to jednak każdy z nich pierwszorzędnie grał swoją rolę; całymi godzinami przeplatały się ze sobą patetyczne i alarmujące sceny. Gdy zaś mimo to nie ustępowaliśmy, rozstawano się w napiętym nastroju.

Po jakimś czasie następował epilog. Ze strony różnych czynników angielskich dochodziły nas oznaki odprężenia. Przychodzili

pośrednicy, by nam powiedzieć, że zaszło widocznie jakieś nieporozumienie. Wysoko postawione osobistości dowiadywały się o moje zdrowie. W dziennikach tu i ówdzie ukazywała się jakaś życzliwa notatka. Wreszcie Anglicy wysuwali projekt porozumienia w spornej kwestii, bardzo podobny do tego, co przedtem sami proponowaliśmy. Wobec tego, że warunki teraz były już do przyjęcia, sprawa — przynajmniej na pozór — była szybko załatwiana. Zakończenie następowało w ciągu przyjacielskiego spotkania, przy czym nasi angielscy partnerzy, korzystając z pomyślnego nastroju z racji przywróconej zgody, szybko próbowali jeszcze uzyskać jakąś dodatkową korzyść dla siebie. Potem stosunki układały się znowu jak dawniej; sedno zagadnienia jednak było nadal nie rozstrzygnięte. Dla Anglii bowiem żadna sprawa nigdy nie była rozstrzygnięta ostatecznie i całkowicie.

W pierwszych dniach marca 1941 roku nie miałem żadnych wątpliwości, że w najbliższym czasie na Wschodzie i w Afryce czekają nas ciężkie próby — starcia z przeciwnikiem, nieustępliwa wrogość Vichy i poważne różnice zdań z naszymi sojusznikami. Niezbędne decyzje należało powziąć na miejscu. Toteż postanowiłem udać się w drogę.

Przed odjazdem spędziłem weekend w Chequers u premiera, który żegnając się ze mną zakomunikował mi dwie wiadomości: 9 marca przebudził mnie wczesnym rankiem, by dosłownie tańcząc z radości powiedzieć mi, że Kongres Amerykański uchwalił dyskutowaną od kilku tygodni ustawę „lend-lease”. Było istotnie z czego się cieszyć. Nie tylko dlatego, że dzięki temu państwa wojujące miały odtąd zapewnioną dostawę materiałów wojennych ze Stanów Zjednoczonych, ale i dlatego, że Ameryka, stając się według słów Roosevelta „arsenałem demokracji”, zrobiła tym samym olbrzymi krok naprzód na drodze do przystąpienia do wojny. Churchill chcąc niewątpliwie wykorzystać mój dobry humor przeszedł z kolei do drugiej sprawy: „Wiem — powiedział — że ma pan zastrzeżenia co do Spearsa jako szefa grupy łącznikowej przy panu. Niemniej jednak proszę pana usilnie, by go pan jeszcze zatrzymał i zabrał ze sobą na Wschód. Wyświadczy mi pan tym osobistą przysługę”. Nie mogłem odmówić i na tym rozstaliśmy się.

14 marca lecąc w kierunku równika miałem tym razem uczucie, że Wolna Francja opiera się już na mocnych podstawach. Nasza Rada Obrony Imperium — zresztą już 24 grudnia 1940 roku uznana przez rząd brytyjski — mimo że jej członkowie byli rozproszeni po całym świecie, stanowiła wartościową i zwartą całość. W Londynie nasza administracja centralna okrzepła. Kościec jej stanowili wartościowi ludzie, jak Cassin, Pleven, Palewski,

Antoine, Tissier, Dejean, Alphand, Dennery, Boris, Antier i inni. Z drugiej strony kierownictwo spraw wojskowych mieli w rękach wytrawni oficerowie: pułkownicy Petit, Angenot, Dassonville, Brosset, którzy przybyli do nas z Ameryki Południowej, gdzie znajdowali się z sprawach służbowych, pułkownik Bureau, przeniesiony z Kamerunu, i pułkownik lotnictwa Valin, przybyły z Brazylii. Na Wschodzie Catroux, a w Afryce Larminat mocno trzymali wodze w rękę. W Ameryce wszędzie powstały nasze przedstawicielstwa, do czego wydatnie przyczynili się w Stanach Zjednoczonych Garreau-Dombasle, w Ameryce Południowej Ledoux, w Ameryce Środkowej de Soustelle, w Kanadzie d'Argenlieu i de Martin-Prevel. Nasze komitety za granicą stale się rozwijały mimo przeciwdziałania miejscowych przedstawicieli Vichy, wrogości większości czołowych Francuzów oraz zwykłych u naszych rodaków kłótni. Ustanowiony przeze mnie w Brazzaville 16 listopada 1940 roku order Wyzwolenia ze Statutem nadanym mu w Londynie 29 stycznia 1941 roku wzbudził wśród Wolnych Francuzów szlachetną rywalizację. Wreszcie czuliśmy, jak z tamtej strony morza spogląda na nas Francja.

W toku mej podróży te postępy Wolnej Francji, zdobywającej coraz więcej środków i coraz bardziej skonsolidowanej, odzwierciedlały się już w stanowisku angielskich gubernatorów, u których zatrzymałem się w Gibraltarze, Bathurst, Freetown i Lagos. O ile przedtem byli pełni serdeczności, o tyle teraz okazywali mi prawdziwy szacunek. Odwiedzając potem terytoria Francuskiej Afryki Równikowej nie dostrzegłem nigdzie żadnych śladów niepewności ani niepokoju. Wszyscy byli pełni wiary i nadziei, wszyscy kierowali swe spojrzenia na zewnątrz pragnąc doczekać się chwili, kiedy nasze siły wyjdą ze swej dalekiej kolebki, rozwiną się dzięki przyłączeniu dalszych terytoriów, uderzą na wroga i zbliżą się do Francji.

WSCHÓD

Na Wschód, pełen skomplikowanych problemów, leciałem z prostymi myślami. Wiedziałem, że w zawiłych warunkach rozegrają się tu niezmiernie doniosłe wydarzenia i że należy w nich wziąć udział. Wiedziałem, że dla aliantów kluczem wszystkich działań był Kanał Sueski, którego utrata otworzyłaby państwom Osi drogę do Azji Mniejszej i Egiptu, podczas gdy posiadanie go umożliwiało podjęcie pewnego dnia akcji ze Wschodu na Zachód — na Tunis, Włochy i południową Francję. Wszystko więc wprost nakazywało nam uczestniczyć w bitwach, których stawką był Kanał Sueski. Wiedziałem, że między Trypolisem i Bagdadem poprzez Kair, Jerozolimę i Damaszek, zarówno jak między Aleksandrią i Nairobi poprzez Dżedda, Chartum i Dżibuti, wojna rozpałała namiętności i ambicje polityczne, rasowe i religijne, że w obszarach tych pozycje Francji są wszędzie zagrożone stanowiąc przedmiot obcych apetytów i że Francja w żadnym razie ani jednej z nich nie utrzyma, jeżeli po raz pierwszy w dziejach pozostanie pasywna wówczas, gdy chodzi o wszystko, co posiada. I tutaj więc, tak jak gdzie indziej, obowiązkiem naszym było działać — działać zamiast tych, którzy trwali w bierności.

Jeżeli chodzi o środki Francji w tych rejonach świata, to składały się na nie przede wszystkim te, które miałem już w ręku: walczące wojska i formujące się rezerwy, jak również terytorium Czadu, dające nam możliwość działania w Libii od południa, a ponadto pozwalające lotnictwu alianckiemu przerzucać swe samoloty drogą powietrzną bezpośrednio znad Atlantyku nad Nil, zamiast transportować je morzem dookoła Przylądka Dobrej Nadziei. Z drugiej strony Vichy traciło niektóre atuty: obecność Francji w państwach Lewantu, gdzie posiadała armię i gdzie kończyły się rurociągi naftowe, kolonię Dżibuti oraz eskadrę w Aleksandrii. Chociaż ze względów taktycznych lub z konieczności gotów byłem pogodzić się z tym, że niektóre z tych czynników na razie nie wezmą udziału w wojnie, i chociaż nawet brałem

pod uwagę, że wyczekująca pozycja władz lokalnych dawała się niekiedy wytłumaczyć, a ich ślepe posłuszeństwo usprawiedliwić, niemniej jednak byłem zdecydowany jak najprędzej je sobie podporządkować. Przed odjazdem z Londynu zasięgnąłem zresztą opinii członków Rady Obrony, co należałoby uczynić, gdyby Anglia i Turcja w obliczu bezpośredniej groźby niemieckiej zdecydowały się zająć terytoria Syrii i Libanu. Słowem, przybywając na Wschód byłem zdecydowany nie szczędzić żadnych wysiłków, aby z jednej strony rozszerzyć zasięg naszej akcji, z drugiej zaś zachować w miarę możliwości wszystko, co można było uratować z pozycji posiadanych tu przez Francję.

Wylądowałem najpierw w Chartumie, bazie bitwy o Erytreę i Sudan, prowadzonej z dużą zręcznością przez generała Platta, rzutkiego i dynamicznego dowódcę, który dopiero co wyparł Włochów z pozycji zajmowanych przez nich na wzgórzach Keren. Brygada pułkownika Monclara i grupa lotnictwa majora Estier de Villatte wyróżniły się w toku tej operacji. Natomiast wojska w Dżibuti, jakkolwiek generał Legentilhomme nawiązał z nimi pewne kontakty, nie zdecydowały się na wystąpienie, a gubernator Noailhetas najsurowszymi środkami, aż do kary śmierci włącznie, dławił każde dążenie do przyłączenia się do Wolnej Francji.

Chcąc więc, aby Dżibuti wzięło znowu udział w wojnie, nie można było liczyć na to, iż przystąpi ono spontanicznie do Wolnej Francji. Z drugiej strony nie chciałem miasta zdobywać przemocą. Pozostawała więc tylko możliwość blokady, która niewątpliwie mogłaby przemówić do rozumu kolonii zaopatrywanej wyłącznie drogą morską z Adenu, Arabii i Madagaskaru. Nigdy jednak nie udało nam się uzyskać od Anglików, by przedsięwzięli potrzebne ku temu kroki.

Niewątpliwie, angielskie dowództwo wojskowe było w zasadzie przychylne koncepcji przyłączenia Dżibuti do Wolnej Francji, co wzmocniłoby nasze siły. Ale inne instancje angielskie mniej się do tego kwapiły. „Jeżeli — tak prawdopodobnie rozumowały — rywalizacja tocząca się od sześćdziesięciu lat u źródeł Nilu między Anglią, Wiochami i Francją zakończy się stanowczym zwycięstwem Anglików i po ostatecznym rozbiciu Włochów okaże się, że Francuzi byli w tej sprawie bezsilni i bierni, to jakaż wyjątkowa sytuacja powstanie wtedy dla Anglików w stosunku do Abisynii, Erytrei, Somali i Sudanu! Czyż warto za cenę pozyskania kilku dalszych batalionów dla bitwy, która w rzeczywistości jest już wygrana, zrezygnować z tego rodzaju widoków?” Ten pogląd, dość szeroko rozpowszechniony wśród Anglików, tłuma-

czy moim zdaniem, dlaczego władzom vichystowskim udawało się przez dwa lata zaopatrywać Somali w żywność i dzięki temu trzymać je w zgubnym w swych następstwach posłuszeństwie. To uchylenie się Dżibuti od udziału w wojnie jeszcze bardziej uwypukla zasługę wojsk francuskich, które walczyły w Erytrei. Spędziłem wśród nich dwa dni — 29 i 30 marca. Przybywszy francuskim samolotem na lotnisko Agordat, udałem się do rejonu na wschód od Keren, gdzie nasza brygada wspólnie z dywizją indyjską tworzyła lewe skrzydło ugrupowania alianckiego. Nasze wojska walczyły wspaniale. Po zajęciu Kub-Kub przełamały one i okrążyły prawe skrzydło Włochów, przyczyniając się tym w znacznej mierze do zwycięstwa pod Keren. Przedstawiono mi podpułkownika Génin, który wyróżnił się w tych walkach. Aby przyłączyć się do nas, przybył on tutaj z Algieru poprzez całą Afrykę i ledwo znalazł się na miejscu, od razu ruszył do boju.

— Widział pan teraz, Génin, jak tu stoją sprawy. Co pan o tym sądzi?

— Gdyby wszyscy po tamtej stronie mogli to widzieć, wszystko byłoby w porządku!

Nazajutrz po mojej wizycie, gdy generał Platt rozpoczął natarcie, dowódca francuskiej brygady poprowadził swe wojska na Masaue, stolicę i bastion Erytrei. Po zajęciu przez nasze wojska Montecullo i Fortu Umberto Legia Cudzoziemska 7 kwietnia wdarła się w gwałtownym ataku do Massau, zmieszawszy się z tłumem cofających się w nieładzie Włochów wtargnęła do portu, zawładnęła admiralicją i pułkownik Monclar dostąpił zaszczytu przyjęcia kapitulacji dowódcy nieprzyjacielskiej floty na Morzu Czerwonym. Ogółem wojska francuskie wzięły w tych walkach 4 tysiące jeńców. Ponadto 10 tysięcy Włochów oddało się do niewoli w Massau.

Odtąd resztki wojsk włoskich odrzucone do Abisynii prowadziły już tylko nie skoordynowane walki. Jednakże fakt, że francuskie Somali nie wzięło udziału w tych działaniach, pozbawiło Francję decydującej roli, którą mogłyby odegrać jej wojska maszerując wprost wzdłuż linii kolejowej, z Dżibuti na Addis-Abebę, gdzie oczekiwano powrotu Negusa. Musiało mnie to doprowadzić do nader smutnych wniosków. Teraz zresztą należało przerzucić wojska Wolnej Francji na inny teatr działań wojennych — zarówno te, które dopiero co ukończyły walki, jak i te, które znajdowały się w drodze. Palewski miał pozostać na miejscu jako nasz delegat polityczny i wojskowy, mając do dyspozycji batalion piechoty i kilka samolotów.

Serce wojny biło w Kairze, gdzie wylądowałem 1 kwietnia, lecz biło nierówno. Położenie Anglików i ich sojuszników wyda-

wało się tu raczej niepewne, nie tylko z powodu wydarzeń militarnych, ale i dlatego, że znajdowali się tu na gruncie podminowanym prądami politycznymi, wśród ludności obojętnej na wyniki walki między mocarstwami zachodnimi i zawsze gotowej wyciągnąć korzyści z porażki tej lub innej strony.

Te warunki nadawały wojnie na Wschodzie bardzo skomplikowany charakter. Generał Wavell, naczelny dowódca angielskich sił zbrojnych, na szczęście bardzo rozsądny i opanowany człowiek, miał do czynienia z mnóstwem okoliczności pozostających tylko w pośrednim stosunku do strategu. Przy tym już i sama strategia była tu sprawą wielce zawiłą. Na początku kwietnia Wavell toczył walki na trzech frontach, które tylko z wielkim trudem mogły być zaopatrywane z powodu niezmiernie dalekich dróg komunikacyjnych.

W Libii Anglicy po świetnych sukcesach, dzięki którym podeszli aż do samej granicy Trypolisu, musieli znowu się cofnąć. Cyrenajka, z wyjątkiem Tobruku, została utracona. Mimo wysokich walorów dowództwa i mimo odwagi wojska nie otrzaskano się jeszcze z warunkami tak wyczerpujących walk na pustyni, wymagających szybkich ruchów na ogromnych otwartych przestrzeniach, przy stałym braku wody i chronicznej febrze, pod prażącym słońcem, wśród piasków, plagi moskitów i much. Rommlowi fortuna uśmiechnęła się w momencie, gdy rząd londyński polecił Wavellowi znaczną część swych wojsk wycofać z frontu i skierować do Grecji. Tymczasem na froncie greckim sprawy również nie przedstawiały się różowo. W tych warunkach zwycięstwa odniesione w Erytrei i Abisynii stanowiły pewne pocieszenie. Natomiast z krajów arabskich nadchodziły alarmujące wiadomości. W Iraku panowało wrzenie. Egipt trwał w zagadkowym milczeniu. W sprawie Syrii Niemcy rozpoczęli z Vichy niepokojące pertraktacje. W Palestynie utajony konflikt między Arabami a Żydami nakazywał różne środki ostrożności.

Do wszystkich tych trudności, z którymi borykał się Wavell, dochodziły jeszcze i ingerencje z zewnątrz. Z Londynu nadchodziły depesze. Churchill, niecierpliwy i znający się na rzeczy, ustawicznie domagał się wyjaśnień i udzielał dyrektyw. Niezależnie od wizyt Edena, najpierw jako ministra wojny, a potem, w kwietniu 1941 roku — kiedy spotkałem się z nim w Kairze — jako sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, powtarzały się ingerencje ambasadora Miles Lampsona, który z tytułu swego znaczenia, jak i z samej natury rzeczy, spełniał niejako stałą misję w zakresie koordynacji. Przy tym armia Wschodu składała się w znacznej części z jednostek pochodzących z dominiów: Australii, Nowej Zelandii i Afryki Południo-

wej, których rządy zazdrośnie strzegły sposobu użycia swych wojsk, oraz z oddziałów indyjskich, których należało używać tak, aby nie wywoływać wrażenia, że to one ponoszą główny ciężar. Słowem, Wavell sprawował naczelne dowództwo wśród wszelakiego rodzaju trudności politycznych.

Muszę powiedzieć, że znosił je z niezmaconym spokojem i nawet nie przeniósł swej kwatery głównej z Kairu, gdzie trudności te osaczały go ze wszystkich stron. Wśród zgiełku i kurzu tego rojącego się od ludzi miasta, w czterech ścianach małego i dusznego gabinetu, nieustannie docierały do niego interwencje Z zewnątrz nie mające nic wspólnego z jego normalną działalnością wojskową. A teraz na domiar pojąłem się jeszcze i ja, niewygodny i niecierpliwy partner, zdecydowany rozstrzygnąć w interesie Francji problemy zahaczające o Anglików, przede wszystkim zaś o Wavella jako naczelnego dowódcę.

Omówiłem z generałem Catroux zarysowujące się przed nami perspektywy. Najistotniejsze dla nas było to, co stać się miało w Syrii i Libanie. Wcześniej czy później będziemy musieli tam wkroczyć. Z chwilą gdy znajdziemy się w tych krajach, Francja będzie mogła wnieść poważny wkład do wspólnego wysiłku aliantów. Gdybyśmy natomiast utracili tę szansę, utracona byłaby także pozycja Francji. Jeżeli bowiem zwycięstwo odniosłyby państwa Osi, ustanowiłyby one tu swe panowanie tak jak gdzie indziej. W przeciwnym razie nasze miejsce zajęliby Anglicy. Toteż konieczne było, aby Wolna Francja przy pierwszej nadarzającej się sposobności rozciągnęła swe wpływy na Damaszek i Bejrut.

Jednakże w chwili mego przybycia do Kairu sposobności takiej jeszcze nie było. Nie można też było się spodziewać, że nasze władze i armia w Syrii i Libanie same przez się wydobędą się z zaczarowanego koła pozbawiającego je wszelkiej swobody działania. Ruch, który w końcu czerwca 1940 roku pchał całe kolumny ku granicom Palestyny, ustąpił miejsca nastrojom wyczekiwania. Na skutek demobilizacji zarządzanej przez Vichy po zawieszeniu broni wielu oficerów i żołnierzy powróciło do Francji. Prócz tego spośród wojskowych i urzędników pozostających nadal na służbie władze vichystowskie odesłały do kraju lub nawet aresztowały znaczną liczbę „degauillistów”. Słowem, nasze przewidywania co do tego ruchu, na którym budowaliśmy nadzieje w momencie przybycia generała Catroux do Kairu, okazały się płonne, a informacje otrzymywane przez nas z Bejrutu i Damaszku nie wskazywały na to, by miały się one w najbliższym czasie potwierdzić.

Ten sam duch rezygnacji paraliżował także eskadrę francuską

w Aleksandrii. Odkąd admirał Godfroy zawarł z Andrew Cunninghamem układ, który ją zneutralizował, jego okręty — pancernik „Lorraine”, krążowniki „Duguay-Trouin”, „Duquesne”, „Suffren”, „Tourville”, niszczyciele „Basque”, „Forbin” i „Fortuné” oraz okręt podwodny „Protée” — stały na kotwicy w porcie. Od czasu do czasu pojedynczy oficerowie i marynarze przechodzili na naszą stronę. Reszta natomiast, posłuszna rozkazom Vichy, spędzała wolny czas na tym, aby się wzajemnie przekonywać, iż najlepiej służy się Francji, jeżeli się w ogóle nie walczy. Gdy w kwietniu pewnego dnia płynąłem przez redę portu aleksandryjskiego, aby odwiedzić admirała Cunninghama na pokładzie jego okrętu, patrzyłem z bólem w sercu na te wspaniałe francuskie okręty drzemające beczynnym w porcie, podczas gdy tuż obok flota angielska przygotowywała się do walki.

Ponieważ jednak nie chciało się wprost wierzyć, żeby przebieg walk na Morzu Śródziemnym nie odbił się na mentalności francuskich dowódców w Afryce i na Bliskim Wschodzie, spróbowaliśmy nawiązać z nimi kontakt. W listopadzie Catroux wystosował list do Weyganda z racji łączącego ich sąsiedztwa. Zaaprobowałem ten krok, chociaż nie łudziłem się co do jego możliwych skutków. Sam niejednokrotnie w przemówieniach radiowych kierowałem do vichystowskich dowódców konkretne wezwania, w szczególności 28 grudnia 1940 roku, kiedy oświadczyłem: „Wszyscy francuscy dowódcy, jakiegokolwiek przedtem popełniliby błędy, którzy zdecydują się dobyć znowu miecza włożonego do pochwy, mogą liczyć na to, że stanimy u ich boku bez żadnych zastrzeżeń i nie pretendując do żadnych przywilejów. Jeżeli Afryka Północna zdobędzie się wreszcie na przystąpienie do wojny, to wraz z częścią imperium znajdującą się w naszych rękach połączymy się z nią w jedną całość”.

Gdy w styczniu 1941 roku naradzałem się z członkami Rady Obrony nad tym, jak powinniśmy się zachować, gdyby Vichy mimo wszystko znowu przystąpiło do walki, wszyscy jednomyślnie byliśmy zdania, że należałoby się znowu zjednoczyć. 24 lutego napisałem w tym duchu do generała Weyganda nie zważając na to, jaki los niedawno chciał mi zgotować, ani na wysoce nieuprzejmy sposób, w jaki przyjął me poprzednie pismo. Zaklinałem go, by skorzystał z tej ostatniej okazji włączenia się znowu do walki. Proponowałem, byśmy się połączyli, dając do zrozumienia, że w razie wyrażenia zgody na to może liczyć na mój szacunek i współpracę. Z drugiej strony Catroux nie pomijał żadnej okazji, by zwracać się do admirała Godfroy zachęcając go do współpracy. Wreszcie w listopadzie Catroux napisał do Puaux, wysokiego komisarza w krajach Lewantu, jak również do dowódcy

wojsk generała Fougère'a i do jego zastępcy generała Arlabosse'a, aby przynajmniej zapoczątkować jakiś pierwszy z nimi kontakt.

Jednakże te rozliczne próby nie dały żadnego rezultatu. Naszym emisariuszom Weygand bądź odpowiadał, że „generała de Gaulle'a należy rozstrzelać”, bądź: „jestem za stary, by występować w roli buntownika”, bądź wreszcie, że „dwie trzecie Francji są okupowane przez przeciwnika, a pozostała trzecia przez marynarkę wojenną, co jest jeszcze gorsze, i że będąc stale szpiegowany przez Darlana, nawet gdyby chciał, nie mógłby niczego przedsięwziąć”. Jeżeli zaś chodzi o admirała Godfroy, to przyjmował on pisma Catroux z zachowaniem form przyzwoitości, ale na tym się też kończyło. Wreszcie z Bejrutu generał Arlabosse skierował do Catroux odpowiedź utrzymaną w poprawnym, ale chłodnym tonie. W dodatku w końcu grudnia po katastrofie samolotowej, której uległ Chiappe, ambasador Puaux został zastąpiony przez generała Dentza, skrajnego ugodowca, gotowego bezapelacyjnie spełnić każdy rozkaz Darlana. Wkrótce potem również generał Fougère został pozbawiony dowództwa; jego miejsce zajął generał de Verdilhac.

W tych warunkach mogliśmy tylko wówczas wkroczyć do Syrii, gdyby uprzednio wkroczyły tam siły przeciwnika. Na razie nie pozostało nic innego, jak zebrać wojska Legentilhomme'a i oddać je do dyspozycji Wavella celem użycia ich w Libii. Porozumiałem się co do tego z angielskim naczelnym dowódcą. Jednocześnie uzgodniłem z marszałkiem lotnictwa Longmore sprawy związane z organizacją i użyciem naszych skromnych sił lotniczych.

Muszę powiedzieć, że nasze wojska, w miarę jak przybywały, robiły wręcz znakomite wrażenie. Tu na kotłującym się Wschodzie, gdzie żywa jeszcze była wiekowa sława Francji, nasi żołnierze czuli się jako obrońcy. Egipcjanie zresztą witali ich ze szczególną serdecznością, chcąc może przez to zarazem zaakcentować kontrast między ich życzliwością wobec Francuzów a chłodem, który okazywali Anglikom. Osobiście nawiązałem wtedy sympatyczne stosunki z księciem Mohamedem Ali, wujem króla i następcą tronu, jak również z premierem Sirry-paszą i niektórymi ministrami. Jeżeli zaś chodzi o Francuzów zamieszkałych w Egipcie — uczonych, pedagogów, archeologów, duchownych, przedsiębiorców, kupców, inżynierów i urzędników administracji Kanału Sueskiego — to większość ich rozwinęła żywą działalność dla udzielenia pomocy naszym wojskom. Już 18 czerwca 1940 roku z inicjatywy barona de Benoist, profesora Jouguet, Minosta i Boniteau powołana została do życia organizacja, która stała się później jednym z filarów Wolnej Francji. Jednakże niektórzy

nasi rodacy trzymali się z dala od tego ruchu. Niekiedy wychodząc wieczorem na krótką przechadzkę do ogrodu zoologicznego i mijając gmach poselstwa francuskiego, leżącego naprzeciwko ogrodu, widziałem pełne napięcia twarze tych, którzy nie przyłączyli się do mnie, lecz mimo to z dala śledzili każdy krok generała de Gaulle'a.

W ciągu dwóch tygodni mego pobytu w Sudanie, Egipcie i Palestynie niejedna więc sprawa została wyjaśniona. Główna jednak część zadania pozostawała do spełnienia, ja zaś na razie nie mogłem nic zrobić w tym kierunku. Powróciłem zatem do Brazzaville. Tak czy owak konieczne było umacniać organizację Francuskiej Afryki Równikowej. W razie utraty Wschodu stałaby się ona bastionem oporu aliantów, w przeciwnym razie mielibyśmy tutaj bazę dla przyszłej ofensywy.

W toku mej podróży inspekcyjnej odwiedziłem raz jeszcze Dualę, Jaundę, Marwę, Libreville, Port Gentil, Fort Lamy, Mussoro, Fayę, Fadę, Abéché, Fort Archambault, Bangi, Pointe Noire. Brakowało tu wielu rzeczy, ale nie brakowało porządku ani dobrej woli. Gubernatorzy — Cournaire w Kamerunie, Łapie na terytorium Czadu, Saint-Mart w Ubangi, Fortuné w środkowym Kongu i Valentin-Smith w Gabonie (zastąpił on Paranta, który w czasie podróży służbowej zginął w katastrofie lotniczej) — sprawowali dowództwo i władzę administracyjną w owej atmosferze bezwarunkowej ufności, która powstaje wśród Francuzów, gdy przypadkowo są zgodni między sobą służąc wielkiej sprawie. Pod względem wojskowym uważałem za rzecz najpilniejszą doprowadzenie do stanu gotowości bojowej kolumny na Saharze, którą dowodził Leclerc. Poleciałem wysłać mu z Anglii wszystkie będące tam w dyspozycji kadry, jak również przystosowany do warunków walki w pustyni sprzęt bojowy, który Anglicy zgodzili się nam przekazać. Ale już w końcu kwietnia uważałem za pewne, że lada dzień wypadnie nam rozpocząć działania w krajach Lewantu — Syrii i Libanie.

Niemcy w rzeczy samej wychodzili nad Morze Śródziemne. 24 kwietnia załamał się opór Anglików i Greków, na krótko przedtem padła Jugosławia. Można było przewidywać, że Anglicy spróbują umocnić się na Krecie. Ale czy zdołają się tam utrzymać? Byłem przekonany, że przeciwnik już w najbliższym czasie skieruje z Grecji do Syrii co najmniej kilka eskadr lotniczych. Ich pojawienie się w krajach arabskich wywołałoby tam wrzenie, które można by uważać za preludium do wkroczenia Wehrmachtu. Z drugiej strony, z lotnisk Damaszku, Rayaku i Bejrutu, odległych o 500 kilometrów od Suez i Port Saidu, samoloty nie-

mieckie z łatwością mogłyby bombardować kanał i wiodące ku niemu podejścia.

Darlan nie był w stanie sprzeciwić się tego rodzaju żądaniom Hitlera. Oddawałem się jednak nadziei, że wielu francuskich żołnierzy i oficerów armii Lewantu na widok niemieckich samolotów lądujących na ich bazach nie ścierpi tego i nie zechce ich osłaniać. Trzeba było być gotowym, aby móc wtedy niezwłocznie wyciągnąć im pomocną rękę. Opracowałem więc wytyczne ewentualnych operacji. Należało pchnąć bezpośrednio na Damaszek niewielką dywizję generała Legentilhomme'a, skoro tylko pojawienie się Niemców wywoła wśród naszych rodaków reakcję, na którą liczyliśmy. Catroux ze swej strony miał wtedy nawiązać wszelkie możliwe kontakty, w razie potrzeby również i z samym Dentzem, aby przeciwstawić najeźdźcom Francji i Syrii jednolity front Francuzów.

Plany te jednak nie znajdowały aprobaty Anglików. Generał Wavell całkowicie zaabsorbowany trzema frontami, na których toczyły się walki, nie chciał żadną miarą dopuścić do powstania jeszcze czwartego frontu. Nie wierzył zresztą w najgorszą ewentualność i twierdził, iż jest przekonany, opierając się na raportach angielskiego konsula generalnego w Bejrucie, że Dentz w razie konieczności będzie stawiał opór Niemcom. Jednocześnie rząd londyński usiłował zjednać sobie Vichy. Tak na przykład w lutym mimo moich ostrzeżeń admiralicja angielska zgodziła się na swobodny przejazd vichystowskiego statku „Providence”, na którego pokładzie znajdowali się „degaulliści” przymusowo repatriowani z Bejrutu do Marsylii. W końcu kwietnia zaś Anglicy zawarli z Dentzem układ handlowy, który zapewniał zaopatrzenie krajów Lewantu, w tym samym celu gubernator Noailhetas prowadził w Adenie rokowania w sprawie zaopatrzenia Dżibuti.

Informacje otrzymywane z Francji wzbudziły we mnie przypuszczenie, że w tych próbach „pacyfikacji” odgrywały pewną rolę wpływy amerykańskie. Donoszono mi, że Pétain i Darlan zabiegali o względy ambasadora amerykańskiego w Vichy, admirała Leahy, a jednocześnie po kryjomu spełniali żądania Hitlera. Roosevelt pod wpływem telegramów Leahy'ego nakłaniał Anglików do pobłażliwości. Im bardziej uważałem za konieczne przygotowywać się do działań w Syrii i Libanie, tym mniej nasi sojusznicy byli gotowi się ku temu przychylić. 9 maja Spears zawiadomił mnie z Kairu, że „w chwili obecnej nie przewiduje się żadnej akcji z udziałem Wolnych Francuzów, że powrót do Egiptu nie leży w moim interesie i najlepiej uczynię, jeżeli udam się z powrotem do Londynu”.

W przekonaniu, że każda zwłoka może nas drogo kosztować, uważałem za stosowne ze swej strony wyrzucić pewne wrażenie na Anglikach. 10 maja zatelegrafowałem do brytyjskiego ambasadora i do naczelnego dowódcy w Kairze, protestując z jednej strony przeciwko „jednostronnym decyzjom powziętym w sprawie zaopatrzenia krajów Lewantu i Dżibuti”, z drugiej zaś przeciwko „zwlekaniu z koncentracją dywizji Legentilhomme'a na granicy Syrii, gdzie wkroczenie Niemców z każdym dniem staje się coraz bardziej prawdopodobne”. Zaznaczyłem, że w tych warunkach nie zamierzam w najbliższym czasie udać się do Kairu, pozostawiając sprawy ich naturalnemu biegowi, i że skoncentruję wysiłki Wolnej Francji w rejonie terytorium Czadu. Następnie zawiadomiłem Londyn, że odwołuję z Kairu Catroux, ponieważ jego obecność staje się tam niepotrzebna. Gdy zaś wreszcie usłużny konsul generalny Anglii w Brazzaville, Parr, przekazał mi wiadomość od Edena mającą usprawiedliwić jego politykę ugłaskiwania Vichy, przesłałem za jego pośrednictwem odpowiedź potępiającą tę politykę z tym większą stanowczością, że w międzyczasie dowiedziałem się o spotkaniu Darlana z Hitlerem w Berchtesgaden, o zawarciu między nimi porozumienia i o wylądowaniu niemieckich samolotów w Damaszku i Alep (Aleppo).

Trzeba bowiem stwierdzić, że i przeciwnik prowadził ryzykowną grę. Za jego namową premier Iraku Raszyd Ali Kilani rozpoczął w pierwszych dniach maja kroki nieprzyjacielskie. Anglicy byli oblężeni na swych lotniskach. 12 maja samoloty Luftwaffe przybyły do Syrii i poleciały dalej do Bagdadu. Poprzedniego dnia władze Vichy wysłały do Tel Koczek, na granicy Iraku, materiały wojenne, które swego czasu włoska komisja do spraw zawieszenia broni oddała im na przechowanie; były one rzeczywiście przeznaczone dla Raszyda Ali. Dentz, wezwany przez Anglików do udzielenia wyjaśnień, odpowiedział wymijająco nie zaprzeczając jednak samym faktom. Dodał przy tym, że gdyby otrzymał rozkaz Vichy, aby nie przeszkadzać Niemcom w lądowaniu, zastosowałby się do tego, co niewątpliwie oznaczało, że już taki rozkaz otrzymał. Faktycznie stało się wiadome, że odcinki wybrzeża, gdzie miało nastąpić lądowanie przeciwnika, były z góry wyznaczone.

Rząd angielski uznał, że w tych warunkach lepiej będzie przyjąć mój punkt widzenia. Zwrot był równie nieoczekiwany, jak całkowity. Już 14 maja zarówno Eden, jak Spears, znajdujący się wciąż jeszcze w Egipcie, donieśli mi o tym bez ogródek. Wreszcie Churchill w swym telegramie prosił mnie, abym udał się do Kairu i nie odwoływał Catroux, gdyż działania rozpoczną się niebawem. Niezmiernie zadowolony z tego, że premier angielski zajął

takie stanowisko, odpowiedziałem mu w serdecznych słowach i ten jeden jedyny raz — po angielsku. Z zachowania się naszych sojuszników w tej sprawie nie mogłem jednak nie wyciągnąć wniosków, które się same przez się narzucały. Jeżeli zaś chodzi o generała Wavella, to otrzymał on od rządu polecenie, aby przedsięwziął działania przewidziane przez nas w Syrii. Gdy 25 maja przybyłem do Kairu, Wavell pogodził się już z tym rozkazem. Prawda, że utrata Krety i likwidacja frontu w Grecji zdjęła wtedy z naczelnego dowódcy, przynajmniej na razie, część ciężarów.

Tymczasem w samej Syrii wydarzenia potoczyły się nie tak, jak przewidywaliśmy. Catroux przez pewien czas spodziewał się, że będzie mógł urzeczywistnić nasz plan maszerując na Damaszek wyłącznie siłami Wolnej Francji. Wkrótce jednak okazało się, że zmowa między Vichy i przeciwnikiem nie wywołała żadnego masowego protestu wśród wojsk Lewantu. Przeciwnie, zajęły one pozycje na granicy, by stawić opór Wolnym Francuzom i ich sojusznikom, podczas gdy za tą linią Niemcy robili, co chcieli. Ponieważ Dentz rozporządzał armią liczącą ponad 30 000 ludzi i dobrze wyposażoną w artylerię, lotnictwo i czołgi, nie licząc wojsk syryjskich i libańskich, nasz pierwotny projekt marszu bezpośrednio na Damaszek z naszymi 6000 piechurów, 8 działami i 10 czołgami, wspieranymi przez dwadzieścia kilka samolotów, w nadziei na czekający nas na miejscu dopływ nowych sił, nie mógł być urzeczywistniony w dotychczasowej postaci. W operacji tej musieli wziąć udział Anglicy. Zanosilo się na regularną bitwę.

Chcieliśmy, by była ona jak najmniej zacięta i trwała jak najkrócej. To zaś zależało od ilości środków. Nasi informatorzy w Bejrucie i Damaszku donosili nam: „Jeżeli alianci wkroczą do Syrii ze wszystkich stron i znacznymi siłami, to wszystko sprowadzi się do niewielkich operacji dla zachowania honoru. Jeżeli natomiast wojska Lewantu znajdą się w obliczu sił nie posiadających przewagi i tylko średnio wyposażonych, obudzi to ich ambicję i doprowadzi do ciężkich walk”. Wespół z generałem Catroux odbyłem na ten temat szereg rozmów z Wavellem. Nalegaliśmy, by wkroczone do Syrii i Libanu nie tylko od południa, z Palestyny, lecz także od wschodu, z Iraku, gdzie Anglicy byli właśnie bliscy ostatecznego rozbicia Raszyda Ali. Prosiliśmy angielskiego naczelnego dowódcę, by do działań w Syrii wyznaczył cztery dywizje, w tym jedną dywizję pancerną, i znaczną część angielskiego lotnictwa. Nalegaliśmy, by wyposażył wojska Legentilhomme'a w to, co im najbardziej brakowało, a mianowicie w środki transportu i artylerię.

Generał Wavell nie był oczywiście człowiekiem pozbawionym

szerokich horyzontów strategicznych. Ponadto zależało mu na tym, aby pójść nam na rękę. Ale zaabsorbowany całkowicie operacjami w Libii i prawdopodobnie zirytowany groźnymi telegramami Churchilla, które przypisywał naszym naleganiom, odpowiadał na nasze natarczywe żądania uprzejmą, ale formalną odmową. Nic nie mogło go nakłonić do tego, by skierował na front syryjski więcej niż najniezbędniejsze minimum sił. Wavell zamierzał wprowadzić do akcji pod dowództwem generała Wilsona tylko jedną dywizję australijską i jedną brygadę kawalerii, które miały posuwać się wzdłuż wybrzeża drogą Tyr — Saida, jedną brygadę piechoty skierowaną na Kuneitrę i Merdżajun i jedną brygadę indyjską oddaną pod rozkazy Legentilhomme'a, który miał maszerować na Damaszek przez Deraa. Do tych sił Wavell dodał potem dwa bataliony australijskie. Wreszcie jeden indyjski oddział wydzielony miał podjąć działania od strony Iraku. Całość wspierana była przez około 60 samolotów; kilka okrętów wojennych towarzyszyło wojskom lądowym wzdłuż wybrzeża. W sumie sojusznicy wprowadzali do akcji mniejsze siły niż przeciwnik. Niemniej jednak należało oprzeć się na tych nie wystarczających podstawach, działać i osiągnąć zamierzony cel. Powzięta została ostateczna decyzja. Tragedia miała się rozpocząć.

26 maja udałem się do miejscowości Kistina, aby przeprowadzić inspekcję wojsk Wolnej Francji, które wreszcie były już skoncentrowane, lecz w dalszym ciągu źle wyposażone. Legentilhomme zaprezentował mi siedem batalionów, jedną kompanię czołgów, jedną baterię artylerii, szwadron spahisów, kompanię rozpoznawczą i służby pomocnicze. Przy tej sposobności udekorowałem pewną liczbę żołnierzy i oficerów za zasługi położone w Libii i Erytrei pierwszymi krzyżami Wyzwolenia — *Croix de la Libération*. W rozmowach z oficerami i żołnierzami stwierdziłem, że znajdują się w tym samym stanie ducha co ja: tak samo dręczyła ich i napełniała odrazą myśl, że będą musieli walczyć przeciwko Francuzom, byli tak samo oburzeni polityką Vichy nadużywającą dyscypliny wojsk i tak samo przekonani, że trzeba się bić, zając kraje Lewantu i włączyć je do walki przeciwko wrogowi. 21 maja pułkownik Collet, doświadczony oficer, znany z legendarnej odwagi dowódca grupy szwadronów czerkieskich, przeszedł granicę i przyłączył się do nas z częścią swych oddziałów. 8 czerwca Wolni Francuzi i Anglicy ruszyli naprzód z rozwiniętymi chorągwiami alianckimi, utrzymawszy wspólny rozkaz Wavella i Catroux, by robić użytek z broni tylko wówczas, gdy przeciwnik pierwszy otworzy do nich ogień. W ciągu ostatnich tygodni radiostacja zainstalowana w Palestynie nadawała przemówienia kapitanów Schmittleina, Couleta i Repitona zwracających się

z przyjacielskimi napomnieniami do naszych rodaków, w których żadną miarą nie chcieliśmy widzieć przeciwników. Ale musieliśmy iść naprzód. W publicznym przemówieniu dałem temu niedwuznacznie wyraz.

Byłem zresztą tym bardziej zdecydowany przeprowadzić tę operację szybko i gruntownie, że wiele oznak pozwalało przewidywać ofensywę Vichy, a być może również i Osi, przeciwko francuskiej wolnej Afryce. Według posiadanych przez nas informacji Hitler w rozmowach przeprowadzonych 11 i 12 maja w Berchtesgaden zażądał od Darlana oddania do dyspozycji Niemiec lotnisk i portów syryjskich, umożliwienia wojskom, samolotom i okrętom niemieckim wykorzystania Tunisu, Sfaxu i Gabesu oraz odzyskania przez wojska Vichy terytoriów Francuskiej Afryki Równikowej. Wprawdzie nasi informatorzy dodawali, że Weygand odmówił Niemcom otwarcia dostępu do Tunisu i wszczęcia ofensywy przeciwko wolnym obszarom francuskim zasłaniając się tym, że jego podwładni odmówią mu posłuszeństwa. Jeżeli jednak Hitler był na to ostatecznie zdecydowany, to jakąż wagę miał protest Weyganda, który nie chcąc walczyć mógł rzucić na szalę tylko prośbę o dymisję zgłoszoną na ręce gabinetu marszałka Pétaina?

Toteż trzymaliśmy się w pogotowiu, by móc odeprzeć ewentualny atak. Larminat korzystając z wrażenia, jakie wiadomość o przybyciu samolotów niemieckich do Syrii wywarła w pewnych kołach Wybrzeża Kości Słoniowej, Dahomeju, Togo i Nigerii, przygotowywał się do wkroczenia na te terytoria przy pierwszej okazji. Sam udzieliłem mu instrukcji, jak ma w tej sprawie postępować. Z drugiej strony rząd brytyjski na moje pytanie, co by uczynił, gdyby Vichy przy bezpośrednim udziale lub bez udziału Niemców próbowało zaatakować terytorium Czadu, odpowiedział mi depeszą Edena, że pomógłby nam wtedy odeprzeć napaść wszystkimi będącymi w jego dyspozycji środkami. Wreszcie przedsięwzięliśmy wszystkie kroki, aby bezpośrednio zainteresować Amerykanów w zapewnieniu bezpieczeństwa francuskiej wolnej Afryki. 5 czerwca wręczyłem ministrowi pełnomocnemu Stanów Zjednoczonych w Kairze memorandum, w którym podkreślałem, że Afryka pewnego dnia stanie się amerykańską bazą wyjściową dla wyzwolenia Europy, i proponowałem Waszyngtonowi, by niezwłocznie rozmieścić swe siły lotnicze w Kamerunie, na terytorium Czadu i w Kongu. W cztery dni potem konsul Stanów Zjednoczonych w Léopoldville odwiedził generała Larminat pytając go w imieniu swego rządu, czy uważa, że Francuska Afryka Równikowa jest zagrożona przez Niemcy, a gdy wysoki komisarz odpowiedział mu twierdząco, poprosił go, aby mu powiedział, jaką

bezpośrednią pomoc pragnąłby otrzymać od Ameryki, w szczególności w dziedzinie uzbrojenia. Mimo wszystko i niezależnie od wszelkich środków ostrożności, jakie przedsięwzięliśmy dla ewentualnej obrony naszego bastionu na równiku, a także przewidując ogromne wysiłki, które państwa Osi i współpracujące z nimi czynniki przedsięwzēmą w Afryce, pragnąłem, aby kraje Lewantu były zamknięte dla Niemców i odcięte od Vichy.

Podczas gdy Anglicy i Wolni Francuzi szykowali się do wspólnego działania w tych krajach na polu wojskowym, za kulisami coraz wyraźniej zarysowywała się ich rywalizacja na polu politycznym. W sztabach generalnych naszych sojuszników, w kołach zbliżonych do ambasady w Kairze, u brytyjskiego wysokiego komisarza w Jerozolimie, w wiadomościach przekazywanych przez *Foreign Office* Cassinowi, Plevenowi i Dejeanowi, a które ci przysyłali mi z Londynu, w wypowiedziach inspirowanej prasy, przede wszystkim dziennika „Palestine Post”, wyczuwaliśmy gorączkową niecierpliwość ludzi, przed którymi nareszcie otwierała się perspektywa urzeczywistnienia w Syrii dawno opracowanego planu działania. Rozwój wydarzeń rokował Anglii tyle atutów politycznych, wojskowych i gospodarczych, że nie mogło ulegać wątpliwości, iż pośpieszyłaby ona wykorzystać je w swoim interesie.

Było to tym bardziej prawdopodobne, że wkroczywszy do Damaszku i Bejrutu nie moglibyśmy utrzymać tam *status quo ante*. Wstrząsy spowodowane katastrofą 1940 roku, kapitulacja Vichy i działania Osi nakazywały Wolnej Francji zająć wobec państw Lewantu nowe stanowisko, odpowiadające ewolucji wydarzeń i nowym okolicznościom. Wydawało nam się zresztą, że po zakończeniu wojny Francja nie zachowa mandatu. Nawet gdyby pragnęła go zachować, niewątpliwie przeszkodziłby temu ruch w krajach arabskich i wymagania sytuacji międzynarodowej. Otóż jedno tylko mogło *de jure i de facto* zastąpić rządy mandatowe: niepodległość, oczywiście przy zabezpieczeniu szczególnych interesów Francji i jej prerogatyw historycznych. Do tego zmierzały zresztą układy, zawarte w 1936 roku w Paryżu z Libanem i Syrią. Mimo że ich ratyfikacja została odroczone, układy te były faktem, którego, kierując się zdrowym rozsądkiem i biorąc pod uwagę istniejące okoliczności, nie wolno nam było ignorować.

Dlatego też postanowiliśmy, że Wolna Francja wkraczając na terytorium Syrii i Libanu obwieści, iż jest zdecydowana położyć kres rządów mandatowym i zawrzeć traktaty z tymi państwami po uzyskaniu przez nie suwerenności. Dopóki na Wschodzie toczyć się będzie wojna, zachowamy oczywiście w krajach Lewantu zwierzchnią władzę, a zarazem i obowiązki państwa sprawujące-

go mandat. Wreszcie biorąc pod uwagę, że terytoria Syrii i Libanu stanowią integralną część teatru wojny na Środkowym Wschodzie, gdzie Anglicy w porównaniu z nami rozporządzają ogromną przewagą sił i środków, zgodzimy się na to, by ich dowództwo wojskowe sprawowało strategiczne kierownictwo nad całością działań wojennych przeciwko wspólnym przeciwnikom.

Wkrótce jednak stało się jasne, że Anglicy się tym nie zadowolą. Ich działania, kierowane z Londynu przez czynniki niezmiernie wpływowe, i wykonywane na miejscu przez grupę ludzi pozbawioną wszelkich skrupułów, ale za to nie pozbawioną środków, były akceptowane przez *Foreign Office*, które niekiedy pomstowało na nie, lecz nigdy ich nie dezawuowało, i znajdowały poparcie premiera, którego dwuznaczne obietnice i obliczone na efekt gesty maskowały jego istotne intencje. Wszystko to zmierzało do tego, by wszędzie na Wschodzie zapewnić Anglii kierowniczą pozycję. Przeprowadzając swą politykę niekiedy dyskretnie, to znów nie przebiegając w środkach Anglia dążyła do tego, aby zająć miejsce Francji w Damaszku i Bejrucie.

Metodą tej polityki było przelicytowywanie partnera, wywoływanie wrażeń, jakoby każde ustępstwo przyznawane przez nas Syrii i Libanowi było konsekwencją „dobrych usług” angielskich, co miało skłonić miejscowe rządy do formułowania coraz dalej idących żądań i przyczyniać się do nieuniknionych prowokacji. Jednocześnie starano się postawić przez to Francuzów w niekorzystnym świetle, mobilizując przeciwko nim zarówno miejscową, jak i międzynarodową opinię publiczną, a tym samym odwracając uwagę mas ludowych od roszczeń angielskich w innych krajach arabskich.

Ledwie powzięliśmy wspólnie decyzję wkroczenia do Syrii, jak już na jaw wychodzić zaczęły intencje Anglików. Gdy Catroux przygotowywał swój projekt deklaracji o niepodległości, sir Miles Lampson zażądał, by była ona ogłoszona jednocześnie w imieniu Anglii i Wolnej Francji. Rzecz jasna, że się na to nie zgodziłem. Wówczas ambasador angielski zaczął nalegać, by tekst deklaracji wskazywał na to, że nasze przyrzeczenie jest zagwarantowane przez Anglię. Odrzuciłem i to żądanie, podkreślając, że słowo Francji nie wymaga obcej gwarancji. 6 czerwca, w przeddzień wyruszenia naszych wojsk, Churchill wystosował do mnie telegram, w którym przesyłając mi najlepsze życzenia sukcesu podkreślał ogromne znaczenie, jakie miałyby ta osławiona gwarancja. Podziękowałem mu za życzenia, lecz nie spełniłem jego żądania. Nasi partnerzy, jak łatwo było zauważyć, chcieli naj-

pierw wywołać wrażenie, że jeżeli Syryjczycy i Libańczycy otrzymują niepodległość, to zawdzięczają to Anglii, a potem występować w roli arbitra między nami a krajami Lewantu. W końcu deklaracja Catroux wypadła tak, jak powinna była wypaść. Ledwo ją jednak ogłosił, gdy rząd londyński opublikował oddzielnie i we własnym imieniu inną deklarację.

Ta kampania wojenna wywołuje we mnie wiele gorzkich wspomnień. Mam jeszcze w świeżej pamięci ciągle podróże między Jerozolimą, gdzie znajdował się mój sztab, a naszymi walecznymi wojskami, posuwającymi się w kierunku Damaszku. Przypominam sobie, jak odwiedzałem rannych we francusko-brytyjskim szpitalu polowym pani Spears i doktora Fruchaut. W miarę jak dowiadywałem się, że wielu naszych najlepszych żołnierzy ginie na polu bitwy, że generał Legentilhomme jest ciężko ranny, a pułkownik Génin i komandor podporucznik Détroyst zabici, że majorzy de Chevigné, de Boissoudy i de Villoutreys odnieśli poważne rany, że i po tamtej stronie wielu dobrych oficerów i żołnierzy ginie pod naszym ogniem, że 9 i 10 czerwca nad rzeką Litani, 12 czerwca pod Kiswą i 15 oraz 16 czerwca pod Kuneitrą i Esraą na polu bitwy pozostały pomieszane trupy Francuzów z obydwu obozów i trupy naszych angielskich sojuszników, odczuwałem wobec tych, co walczyli przeciw nam kierując się względami honoru, szacunek połączony ze współczuciem. W okresie gdy przeciwnik trzymał Paryż pod swoim butem, prowadził natarcie w Afryce i przenikał do krajów Lewantu, męstwo przejawiane i straty ponoszone przez Francję w bratobójczej walce narzuconej przez Hitlera dowódcom, którzy znaleźli się pod jego jarzmem, wydawały mi się potwornym marnotrawstwem naszych sił.

Ale im boleśniej ścisnęło mi się serce, tym bardziej byłem zdecydowany doprowadzić tę walkę do końca. To samo działało się zresztą ze wszystkimi żołnierzami Wolnej Francji, z których, rzecz można, ani jeden się nie załamał. To samo daje się również powiedzieć o naszych rodakach w Egipcie, którzy na zgromadzeniu w Kairze z racji pierwszej rocznicy mego apelu z dnia 18 czerwca przyjęli moje przemówienie z jednomyślną aprobatą.

Tego dnia wydawało się, że Dentz zamierza już położyć kres tej potwornej walce. Nie miał on już zresztą żadnych nadziei na pomyślny jej wynik. Benoist-Méchin, wysłany przez Vichy do Ankary, aby uzyskać zezwolenie na przemarsz przez Turcję posiłków dla armii Bliskiego Wschodu, spotkał się z odmową. Z drugiej strony klęska Raszyda Ali w Iraku i jego ucieczka 31 maja do Niemiec otwierały aliantom wrota Syrii od strony pustyni i Eufratu. Odtąd Niemcy już nie kwapili się z wysyłaniem posił-

ków do krajów arabskich. Przeciwnie, wycofali nawet z powrotem do Grecji wysiane poprzednio do tych krajów samoloty. Jedynymi posiłkami, które od czasu rozpoczęcia się walk przybyły do Syrii i Libanu, były dwie vichystowskie eskadry lotnicze przerzucone z Afryki Północnej przez Ateny, gdzie Niemcy je przyjęli i zaopatrzyli. Tymczasem otrzymaliśmy wiadomość z Waszyngtonu, że 18 czerwca dyrektor polityczny w urzędzie wysokiego komisarza w krajach Lewantu, Conty, zwrócił się do amerykańskiego konsula generalnego w Bejrucie z prośbą, by jak najprędzej dowiedział się od Anglików, jakie warunki oni i „degaulliści” postawiliby dla zaprzestania działań wojennych.

Ponieważ przewidziałem ten rozwój wydarzeń, więc z ostrożności już 13 czerwca zakomunikowałem Churchillowi, na jakich zasadach, zdaniem moim, można by zawrzeć zawieszenie broni. W czasie spotkania u sir Milesa Lampsona w dniu 19 czerwca, z udziałem Wavella i Catroux, ująłem na piśmie te warunki, które wydawałyby się dla nas do przyjęcia, a dla walczących przeciwko nam — znośne. „Układ w sprawie zawieszenia broni — pisałem — musi się opierać na następujących zasadach: honorowe warunki dla wszystkich wojskowych i urzędników cywilnych; zagwarantowanie przez Wielką Brytanię praw i interesów Francji w krajach Lewantu; reprezentowanie Francji w krajach Lewantu przez władze Wolnej Francji.” Podkreśliłem wyraźnie, że „wszyscy wojskowi, jak również urzędnicy cywilni wraz z rodzinami, którzy tego zażądata, będą mogli pozostać na miejscu, reszta zaś będzie repatriowana”. Jednocześnie jednak dodawałem, że „sojusznicy

zastrzegają sobie prawo przedsięwzięcia środków, aby zapewnić każdemu z nich prawo swobodnego wyboru”. Wreszcie, aby obalić pogłoski szerzone przez Vichy, stwierdzałem, że „nigdy nie oddałem pod sąd żadnego z moich towarzyszy broni, którzy walczyli przeciwko mnie wykonując otrzymane rozkazy, i że w tym wypadku nie zamierzam również tego uczynić”. Tak przedstawiały się warunki, które, na miejscu zaakceptowane przez Anglików, natychmiast przetelegrafowano do Londynu celem przekazania ich do Waszyngtonu, a stamtąd do Bejrutu.

Z przykrością więc nazajutrz zapoznałem się z dokładnym tekstem przekazanym przez rząd brytyjski, tekstem zupełnie niepodobnym do tego, pod którym położyłem swój podpis. W tym ostatecznym tekście nie było nawet wzmianki o Wolnej Francji, tak jak gdyby proponowano Dentzowi przekazanie Syrii Anglikom! Prócz tego tekst nie wspominał o środkach ostrożności, które ze swej strony uważałem za niezbędne, aby zapobiec masowej i przymusowej repatriacji wojskowych i urzędników wówczas,

gdy potrzebowałem ich jak najwięcej. Wystosowałem tedy do Edena formalny protest uprzedzając go, że co do mnie trzymać się będę wyłącznie warunków ustalonych 19 czerwca i nie uznaję żadnych innych. Ostrzeżenie to, jak się dalej przekonamy, odegrało potem swą rolę.

Co skłoniło władze Vichy do tego, aby zwlekać przeszło trzy tygodnie z podjęciem pertraktacji o zawieszenie broni, o które sami zabiegali? Dlaczego musiano wskutek tego kontynuować walki, które nie mogły już niczego zmienić z wyjątkiem globalnej liczby strat? Znajduję na to tylko jedno wytłumaczenie: fakt rozpoczęcia niemieckiej ofensywy przeciw Rosji. 22 czerwca, a więc nazajutrz po doręczeniu przez konsula Stanów Zjednoczonych w Bejrucie wysokiemu komisarzowi odpowiedzi Wielkiej Brytanii, Hitler pchnął swe armie na Moskwę. Hitler był oczywiście zainteresowany w tym, aby możliwie jak najwięcej sił przeciwnika było związanych w Afryce i w Syrii. Rommel spełniał to zadanie na jednym teatrze działań wojennych; na drugim przypadło ono nieszczęsnym wojskom francuskim Lewantu.

Jednakże 21 czerwca, po zaciętych walkach pod Kiswą, wojska nasze wkroczyły do Damaszku. Catroux natychmiast się tam udał. Ja sam przybyłem do Damaszku 23 czerwca. W ciągu następnej nocy niemieckie samoloty, otwarcie manifestując swą współpracę z Vichy, bombardowały miasto, przy czym w chrześcijańskich dzielnicach zginęły setki osób. Ledwo jednak zdążyliśmy przybyć do Damaszku, jak ze wszystkich stron — z Hauranu, z Dżebel Druzu, z Palmiry, z Dżezireh — napływać zaczęły niepokojące wiadomości o zachowaniu się Anglików. Należało bez żadnej straty czasu wykazać, że klęska Vichy nie jest bynajmniej równoznaczna z ustąpieniem Francji z tych terytoriów, i natychmiast wzmocnić tu naszą władzę.

24 czerwca mianowałem generała Catroux generalnym delegatem i pełnomocnikiem Wolnej Francji w krajach Lewantu, a jednocześnie w skierowanym do niego piśmie w następujący sposób określiłem jego zadanie: „Przywrócenie normalnej wewnątrzno-politycznej i gospodarczej sytuacji kraju w granicach, w jakich na to pozwolą warunki wojenne; przeprowadzenie rokowań z powołanymi przedstawicielami ludności w celu zawarcia układów ustanawiających niepodległość i suwerenność Syrii i Libanu, jak również ich sojusz z Francją; zapewnienie obrony tych terytoriów przeciwko wrogowi; współpraca z sojusznikami w działaniach wojennych na Wschodzie". Do czasu wejścia w życie przewidywanych układów generał Catroux obejmował „wszystkie pełnomocnictwa i całą odpowiedzialność wysokiego komisarza Francji w krajach Lewantu". Jeżeli zaś chodzi o pertraktacje, to miały one

być prowadzone „z rządami zatwierdzonymi przez zgromadzenia narodowe, reprezentujące rzeczywiście całą ludność i zwołane, skoro to tylko będzie możliwe; punktem wyjścia pertraktacji mają być układy z 1936 roku”. W ten sposób „mandat powierzony Francji w krajach Lewantu byłby doprowadzony do końca, a jej dzieło nadal kontynuowane”.

Podczas mego pobytu w Damaszku przyjąłem wszystkich bez wyjątku miejscowych notabli politycznych, religijnych i administracyjnych, a było ich zaprawdę niemało. Mimo zwykłej u Lewantyńczyków ostrożności było widoczne, że autorytet Wolnej Francji uznawano bez zastrzeżeń, że niepowodzenie planu niemieckiego zmierzającego do ugruntowania się w Syrii przypisywano w znacznej części naszym zasługom i że wszyscy tylko od nas oczekiwali wznowienia działalności organów państwowych i utworzenia nowego rządu. Generał Catroux znając znakomicie kraj i jego mieszkańców przedsięwziął środki celem zapewnienia spokoju, zaopatrzenia ludności i służby zdrowia, ale nie spieszył się z mianowaniem ministrów.

Dramat zresztą dobiegał końca. 26 czerwca Legentilhomme, który mimo ciężkich ran nadal dowodził wojskami, zajął Nebek i 30 czerwca odparł tu ostatni zacięty kontratak. Przybyła z Iraku kolumna indyjska przeprawiła się 3 lipca w Deirez-Zor przez most na Eufracie ocalały dzięki przypadkowi, który, zdaniem moim, z pewnością nie był przypadkiem, i posuwała się naprzód w kierunku Alepu i Homs. 9 lipca Anglicy posuwając się drogą nadbrzeżną osiągnęli Damur i dalej na wschód Jezzin. 10 lipca Dentz wysłał swe okręty wojenne i samoloty do Turcji, gdzie je internowano. Następnie zwrócił się z prośbą o zaprzestanie ognia, której natychmiast uczyniono zadość. Uzgodniono, że pełnomocnicy obu stron spotkają się w trzy dni później w Saint-Jean d'Acre.

Wiele oznak budziło we mnie obawy, że wynik tego spotkania nie będzie zgodny z interesem Francji. Już 28 czerwca zwróciłem uwagę Churchilla na to, „jakie ogromne znaczenie mieć będzie, z punktu widzenia naszego sojuszu, sposób zachowania się Anglii wobec nas w krajach Lewantu”. Wprawdzie uzyskałem, że generał Catroux będzie brał udział w rokowaniach, a nasi delegaci w Londynie otrzymali ode mnie wyraźne wskazówki, w jaki sposób ma być ustanowiona nasza władza na Bliskim Wschodzie, tak aby mogli posługiwać się nimi w swych wystąpieniach. Ale warunki zawieszenia broni z Dentzem sformułowane niedawno przez Edena, atmosfera panująca w urzędowych kołach brytyjskich i fakt, że lojalny Wavell, mianowany wicekrólem Indii, opuścił Kair, a jego następca generał Auchinleck jeszcze tam nie przybył, co dawało swobodne pole działania czynnikom „proarab-

skim" — wszystko to nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że układ z punktu widzenia interesów Francji pozostawiać będzie wiele do życzenia. Skończyło się na tym, że zawieszenie broni zostało zawarte; podpisali je Wilson i Verdilhac. Aby ograniczyć wynikłe zeń szkody, nie pozostało mi nic innego, jak wyjechać, zając gdzieś dogodną pozycję i stamtąd przeciwdziałać układowi, który mnie do niczego nie zobowiązywał i który w miarę możliwości zamierzałem obalić.

Tą dogodną pozycją było Brazzaville. Pozostawałem tam, podczas gdy w Saint-Jean d'Acre redagowano dokument, który pod względem treści i formy przeszedł moje najgorsze obawy.

W rzeczy samej, tekst porozumienia był równoznaczny ze zwykłym przekazaniem Syrii i Libanu Anglikom. Ani słowa o prawach Francji, ani obecnie, ani w przyszłości. Żadnej najmniejszej nawet wzmianki o państwach Lewantu. Vichy pozostawiało to wszystko do uznania obcego mocarstwa starając się osiągnąć jedno: repatriację wszystkich swych wojsk i możliwie jak największej liczby francuskich urzędników i obywateli. Wszystko po to, aby przeszkodzić de Gaulle'owi w zwiększeniu swych sił i w zachowaniu pozycji Francji w Syrii i Libanie.

Podpisując tę kapitulację Vichy pozostało wierne swemu smutnemu powołaniu. Natomiast Anglicy zdawali się zmierzać przy tym ku różnym ukrytym celom. Ignorując nawet w samym tekście układu swych sojuszników — Wolnych Francuzów, których inicjatywa i współdziałanie dopomogły im w znacznej mierze do osiągnięcia celu strategicznego, wyraźnie dążyli do tego, by wykorzystując rezygnację Vichy skupić w rękach swego dowództwa wojskowego władzę przekazaną im przez Dentza w Bejrucie i Damaszku. Godzili się ponadto na jak najszybszą ewakuację vichystowskich wojsk Lewantu. W myśl postanowień układu o zawieszeniu broni miały one być skoncentrowane pod rozkazami swych dowódców i zaokrętowne, skoro tylko przybędą statki przysłane przez Darlana. Mało tego, Wolnym Francuzom nie wolno było nawiązać z nimi kontaktu i próbować je nakłonić do przejścia na naszą stronę. Pozostawione przez nie materiały wojenne przechodziły wyłącznie w ręce Anglików. Wreszcie tzw. „wojska specjalne", czyli oddziały syryjskie i libańskie, które zawsze były wierne Francji, tak że Vichy nie odważyło się ich użyć przeciwko nam w niedawnych walkach, miały przejść w całości pod dowództwo brytyjskie.

Zanim jeszcze miałem możliwość zapoznania się ze szczegółami i zdany byłem tylko na upiększone oczywiście wiadomości nadawane przez radio londyńskie, oznajmiłem, że konwencji zawartej w Saint-Jean d'Acre nie uznaję. Następnie wyjechałem do Kairu,

przy czym na każdym etapie mej podróży dawałem do zrozumienia angielskim gubernatorom i dowódcom wojskowym, jak bardzo sprawa jest poważna. Uczyniłem to w Chartumie wobec generała sir Arthura Huddlestona, znakomitego i przyjaźnie do nas usposobionego gubernatora generalnego Sudanu, potem zaś wobec gubernatora w Kampali i wreszcie wobec administratora okręgu Uadi Halfa, tak że na całej trasie mej podróży poprzedzały mnie alarmujące telegramy. 21 lipca nawiązałem kontakt z Oliverem Lytteltonem, ministrem stanu w gabinecie angielskim, delegowanym ostatnio do Kairu celem skupienia pod swą władzą wszystkich spraw polityki brytyjskiej na Wschodzie.

„Captain” Lyttelton, uprzejmy i opanowany człowiek o żywym i otwartym umyśle, najwidoczniej nie chciał rozpoczynać swej misji od katastrofy. Przyjął mnie z pewnym zakłopotaniem. Usiłowałem uniknąć gwałtownych wybuchów i zachowując lodowaty spokój oświadczyłem mu mniej więcej, co następuje:

— Dzięki kampanii dopiero co wspólnie przeprowadzonej, zdołaliśmy zapewnić sobie poważne korzyści strategiczne. W krajach Lewantu zlikwidowana została hipoteka, która na skutek podporządkowania się Vichy państwowi Osi ciążyła na teatrze wojny na Wschodzie. Muszę panu jednak powiedzieć, że układ zawarty przez was z Dentzem jest dla nas nie do przyjęcia. Władza w Syrii i Libanie w żadnym razie nie może przejść od Francji do Anglii. Tylko Wolna Francja, i nikt poza nią, powołana jest do tego, by ją sprawować. Będzie ona musiała zdać z tego sprawę Francji. Z drugiej strony potrzebuję jak najwięcej tych wojsk, które dopiero co walczyły przeciw nam. Ich szybka i masowa repatriacja, jak również fakt, że trzymane są razem w kompletnej izolacji, pozbawia mnie wszelkiej możliwości oddziaływania na nie. Słowem, Wolni Francuzi nie mogą zgodzić się z odcięciem ich od francuskich źródeł posiłków, a przede wszystkim nie zamierzają dopuścić do tego, by nasz wspólny wysiłek skończył się ustanowieniem waszego panowania w Damaszku i Bejrucie.

— Nie mamy wcale tego zamiaru — odpowiedział Lyttelton. — Wielka Brytania nie zmierza w Syrii i Libanie do żadnego innego celu poza tym jednym, żeby wygrać wojnę. To jednak wymaga, żeby w krajach tych spokój wewnętrzny nie uległ zakłóceniu. Dlatego też wydaje nam się konieczne, by państwa Lewantu otrzymały niepodległość, którą im Anglia zagwarantowała. Z drugiej strony, dopóki trwa wojna, dowództwo wojskowe ma szczególne prawa w dziedzinie utrzymania porządku publicznego. Do niego więc w ostatecznej instancji należy podejmowanie decyzji na miejscu. Jeżeli chodzi o warunki techniczne, które generałowie

Wilson i Verdilhac uzgodnili co do ewakuacji i zaokrętownia wojsk francuskich, to i one wypływają z troski, aby wszystko odbyło się w najlepszym porządku. Wreszcie nie bardzo możemy zrozumieć, dlaczego nam nie dowierzacie. Przecież koniec końców walczymy o wspólną sprawę.

— Tak jest — odpowiedziałem — sprawa nasza jest wspólna. Ale nasza sytuacja nie jest jednakowa i nasze działania mogą przestać być wspólnymi. Francja, a nie Wielka Brytania, sprawuje mandat w krajach Lewantu. Mówi pan o niepodległości Syrii i Libanu. Ale tylko my jesteśmy powołani do tego, by im ją nadać, i faktycznie nadajemy ją im z powodów i na warunkach, których ocena tylko do nas należy i za które tylko my jesteśmy odpowiedzialni. Oczywiście, możecie udzielić nam swej aprobaty od zewnątrz, ale nie możecie mieszać się do tej sprawy od wewnątrz. Jeżeli zaś chodzi o utrzymanie porządku publicznego w Syrii i Libanie, jest to również nasza, a nie wasza sprawa.

— Niemniej jednak — odparł Lyttelton — układem z 7 sierpnia 1940 roku uznaliście kierowniczą rolę dowództwa angielskiego?

— Istotnie — odpowiedziałem — przyznałem temu dowództwu prawo do udzielania dyrektyw siłom Wolnej Francji, ale tylko w dziedzinie strategicznej i w działaniach przeciwko wspólnemu wrogowi. Nigdy nie rozumiałem przez to, że to uprawnienie rozciągać się ma na suwerenność, politykę i administrację obszarów, za które Francja jest odpowiedzialna. Czyż w dniu, kiedy wylądujemy w samej Francji, również powołacie się na uprawnienia dowództwa i będziecie pretendować do tego, by rządzić Francją? Z drugiej strony muszę panu powtórzyć, że zależy mi na nawiązaniu kontaktu z Francuzami, którzy dotąd pozostawali pod rozkazami Vichy. Leży to zresztą i w waszym interesie. Byłoby po prostu absurdem ewakuować te zahartowane w boju wojska, które pewnego dnia znajdą się naprzeciw nas w Afryce lub gdzie indziej. Wreszcie całe mienie wojskowe pozostawione przez wojska vichystowskie, jak również dowództwo nad „wojskami specjalnymi”, powinny być przekazane Wolnej Francji.

— Przedstawił mi pan swój punkt widzenia — odrzekł Lyttelton. — Jeżeli chodzi o nasze wzajemne stosunki w Syrii i Libanie, możemy o tym dyskutować. Ale zawieszenie broni jest podpisane i musimy go się trzymać.

— To zawieszenie broni nie obowiązuje Wolnej Francji. Ja go nie ratyfikowałem.

— Cóż pan więc ma zamiar uczynić?

— Mam zamiar uczynić, co następuje: aby zapobiec wszelkim dwuznacznym sytuacjom co do praw, które angielskie dowództwo

widocznie zamierza wykonywać w Syrii i Libanie, mam zaszczyt zawiadomić pana, że począwszy od 24 lipca, czyli za trzy dni, siły Wolnej Francji przestaną podlegać angielskiemu dowództwu. Ponadto polecam generałowi Catroux przejąć natychmiast władzę na całym terytorium Syrii i Libanu nie zważając na żaden opór, jaki by napotkał z czyjejkolwiek bądź strony. Wydaję siłom zbrojnym Wolnej Francji rozkaz nawiązania kontaktu w miarę możliwości z wszystkimi innymi wojskami francuskimi i przejęcia ich materiałów wojennych. Wreszcie reorganizacja wojsk syryjskich i libańskich, którą już rozpoczęliśmy, będzie kontynuowana z całą energią.

Wręczyłem kapitanowi Lytteltonowi przygotowaną z góry notę, w której te punkty były ściślej sformułowane. Przy pożegnaniu powiedziałem mu:

— Wie pan, ile ja osobiście i moi zwolennicy zrobiliśmy i nadal robimy dla naszego sojuszu. Dlatego też może pan sobie wyobrazić, jak bardzo żałowalibyśmy, gdyby w tym względzie miało się coś zmienić. Ale ani my, ani ci, którzy w naszym kraju pokładają w nas swoje nadzieje, nie mogliby zgodzić się na to, aby sojusz ten pozostawał w mocy z uszczerbkiem dla Francji. Gdyby to na nieszczęście miało nastąpić, wolelibyśmy wycofać się z naszych zobowiązań wobec Anglii. W każdym zresztą razie będziemy kontynuować walkę przeciwko wrogowi wszelkimi środkami, którymi dysponujemy. Zamierzam za trzy dni udać się do Bejrutu. Do tego czasu gotów jestem do wszelkich pertraktacji, które by pan uważał za wskazane.

Opuściłem Lytteltona, który mimo okazywanego na zewnątrz spokoju wydawał mi się poruszony i zaniepokojony. Zresztą i ja byłem tym wszystkim dosyć wzburzony. Po południu potwierdziłem mu na piśmie, że 24 lipca w południe siły zbrojne Wolnej Francji przestają podlegać dowództwu brytyjskiemu, ale że jestem gotów uzgodnić z nim nowe warunki współpracy wojskowej. Wreszcie wysłałem do Churchilla następujący telegram: „Uważamy treść układu z Saint-Jean d'Acre za sprzeczną z wojskowymi i politycznymi interesami Wolnej Francji, tzn. Francji, a jego formę za uwłaczającą naszej godności... Pragnąłbym, aby pan osobiście zdał sobie sprawę, że tego rodzaju stanowisko angielskie w żywotnej dla nas sprawie poważnie zwiększa nasze trudności i pociągnie za sobą konsekwencje, które z punktu widzenia podjętego przeze mnie zadania uważam za godne ubolewania”.

Teraz głos miała Anglia. Zabrała go w duchu ustępstw. Lyttelton tego samego wieczora poprosił mnie o nowe spotkanie i zwrócił się do mnie z następującymi słowami:

— Przyznaję, że niektóre pozory mogły panu nasunąć myśl, jakobyśmy chcieli zająć w krajach Lewantu miejsce Francji. Zapewniam pana, że tak nie jest. Aby rozwiać to nieporozumienie, gotów jestem wystosować do pana pismo potwierdzające nasze całkowite *désintéressement* w dziedzinie politycznej i administracyjnej.

— Byłoby to znakomitym potwierdzeniem zasady. Pozostaje jednak układ z Saint-Jean d'Acre, który niestety jest z nią sprzeczny, a ponadto grozi incydentami między waszymi przedstawicielami, którzy go wykonują, a naszymi, którzy go nie uznają. Pozostaje także w mocy zamierzone przez was rozszerzenie uprawnień waszego dowództwa wojskowego na Bliskim Wschodzie nie dające się pogodzić z naszym stanowiskiem w tej sprawie.

— Czy miałby pan w tych dwóch sprawach jakieś propozycje?

— W pierwszej sprawie nie widzą innego wyjścia, jak tylko natychmiastowe zawarcie między nami układu w sprawie „zastosowania” konwencji o zawieszeniu broni, naprawiającego w praktyce to, co jest błędne w tekście. Jeżeli chodzi o drugą sprawę, to jest rzeczą konieczną i pilną, aby się pan zobowiązał ograniczyć uprawnienia waszego dowództwa na terytorium syryjskim i libańskim do operacji militarnych przeciwko wspólnemu wrogowi.

— Pozwoli pan, że się nad tym zastanowię.

Atmosfera się poprawiała. Po różnych perypetiach doszliśmy najpierw 24 lipca do zawarcia układu „interpretującego” konwencję z Saint-Jean d'Acre; pertraktacje w tej sprawie prowadzili z naszej strony generał de Larminat i pułkownik Valin. W układzie tym Anglicy wyrażali gotowość przyznania nam prawa do nawiązania kontaktów z wojskami Lewantu celem pozyskania ich dla naszej sprawy, uznawali, że materiał wojenny winien być przekazany siłom zbrojnym Wolnej Francji i rezygnowali z objęcia dowództwa nad wojskami syryjskimi i libańskimi. Ponadto zostało uzgodnione, że „w razie stwierdzenia istotnego naruszenia warunków zawieszenia broni przez władze Vichy siły zbrojne Wielkiej Brytanii i wojska Wolnej Francji przedsięwzją wszystkie środki, które uznają za stosowne, aby przyłączyć wojska Vichy do Wolnej Francji”. Ponieważ zaś stwierdzono już wiele wypadków takiego „istotnego naruszenia” warunków zawieszenia broni, więc można było się spodziewać — Lyttelton sam mnie o tym zapewniał — że cały problem dalszych losów wojsk vichystowskich będzie w najbliższym czasie poddany rewizji.

Nie wątpię o dobrej woli angielskiego ministra. Ale co przedsięwzięcie, mimo zawartego układu, generał Wilson i jego grupa „proarabska”? Aby uzyskać z ich strony należyte zachowanie

się, zatelegraowałem znowu do Churchilla, zaklinając go, by „nie dopuścić do oddania całej armii składającej się ze zorganizowanych jednostek do dyspozycji Vichy”. „Muszę panu powtórzyć — dodałem — że pod kątem widzenia elementarnego bezpieczeństwa uważam za niezbędne wstrzymanie repatriacji armii Dentza i pozostawienie nam wolnej ręki, aby pomóc tym nieszczęsnym wojskom, wprowadzonym w błąd przez propagandę przeciwnika, do spełnienia swego obowiązku.”

Następnego dnia, 25 lipca, Oliver Lyttelton, minister stanu w gabinecie angielskim, pisał do mnie w imieniu swego kraju:

„Uznajemy historyczne interesy Francji w krajach Lewantu. Wielka Brytania nie ma żadnych interesów w Syrii i Libanie, z wyjątkiem dążenia, żeby wygrać wojnę. Nie zamierzamy w jakiejkolwiek bądź formie zagrażać pozycji Francji. Wolna Francja i Wielka Brytania przyrzekły niepodległość Syrii i Libanowi. Chętnie uznajemy, że po powzięciu tej decyzji, którą uważać należy za ostateczną, Francja winna zająć w krajach Lewantu dominujące i uprzywilejowane stanowisko w porównaniu z wszystkimi innymi krajami europejskimi... Miał Pan możność zaznajomić się z niedawnymi zapewnieniami premiera w tym duchu. Jestem szczęśliwy, że mogę je dzisiaj potwierdzić.”

W tym samym piśmie Lyttelton wyrażał zgodę z treścią układu, który mu poprzednio doręczyłem, a który dotyczył współpracy brytyjskich i francuskich władz wojskowych na Wschodzie. W myśl tego tekstu Anglicy mieli nie mieszać się do spraw politycznych i administracyjnych w Lewancie, my zaś ze swej strony zgadzaliśmy się na sprawowanie przez nich kierownictwa strategicznego na ściśle zresztą określonych warunkach.

Tego samego dnia wyjechałem do Damaszku i Bejrutu.

Po tym, jak odbył się uroczysty wjazd szefa Wolnej Francji do syryjskiej stolicy, można się było przekonać o entuzjazmie ludności tego starego miasta, która przedtem przy każdej sposobności podkreślała swój chłodny stosunek do władz francuskich. Gdy w kilka dni później w murach uniwersytetu przemawiałem do czołowych osobistości kraju skupionych wokół rządu syryjskiego i sprecyzowałem cele, które Francja wytknęła sobie na Bliskim Wschodzie, znalazłem pełne zrozumienie.

27 lipca przybyłem do Bejrutu. Wojska francuskie i libańskie utworzyły szpaler, podczas gdy ludność zgromadzona na trasie przejazdu witała mnie oklaskami. Przez wypełniony rozentuzjzmowanym tłumem *Place des Canons* (Plac Armat) udałem się do Małego Seraju, gdzie wymieniliśmy z szefem rządu libańskiego Alfredem Nakkaszem uroczyste i pełne optymizmu przemówienia. Następnie skierowałem się do Wielkiego Seraju, gdzie

spotkałem się z miejscowymi Francuzami. Wielu z nich współpracowało poprzednio z reżimem wprowadzonym tu przez Vichy, a nawet darzyło go zaufaniem. Ale nawiązując teraz kontakt z nimi raz jeszcze zdałem sobie sprawę, jak bardzo fakty dokonane — kiedy dokonane są w imię słusznej sprawy — wpływają na postawę i przekonania ludzi. Urzędnicy, miejscowi notable i duchowni zapewniali mnie o swej lojalności i przyrzekali poświęcić się z największym oddaniem służbie krajowi pod nową władzą. Muszą powiedzieć, że przyrzeczenie to z bardzo nielicznymi wyjątkami zostało dotrzymane. Prawie wszyscy Francuzi, którzy pozostali w Libanie i Syrii, okazali się w najtrudniejszych warunkach wiernymi zwolennikami Wolnej Francji, walczącej o wyzwolenie kraju, a jednocześnie reprezentującej tu na miejscu prawa i obowiązki Francji.

A był najwyższy czas, aby właśnie tym prawom i obowiązkowi zapewnić posłuch i szacunek. Zaraz po przybyciu do Bejrutu stwierdziłem, wcale tym zresztą nie zaskoczony, jak mało generał Wilson i jego polityczni współpracownicy w mundurach wojskowych respektowali układy zawarte przeze mnie z Lytteltonem. Zarówno w sposobie wykonywania warunków zawieszenia broni, jak i w całym zachowaniu się Anglików w Syrii i Libanie wszystko odbywało się tak, jak gdyby nikt nie miał wobec nas żadnych zobowiązań.

Dentz w pełnym porozumieniu z Anglikami skoncentrował swe wojska w rejonie Trypolisu i w dalszym ciągu sprawował nad nimi dowództwo. Poszczególne oddziały wraz ze swymi dowódcami, bronią, sztandarami obozowały jedno obok drugich. Zasypywane przez Vichy odznaczeniami i chlubnymi wzmiankami w rozkazach dziennych, nie otrzymywały one żadnych informacji prócz tych, które dochodziły do nich drogą służbową, i były przejęte błogą myślą o czekającym je powrocie do ojczyzny. Z Marsylii awizowane już były statki, które miały wszystkich tych ludzi przewieźć do Francji. Darlan nie tracił ani jednego dnia, a Niemcy również chcieli jak najbardziej przyspieszyć ich powrót. Na razie zgodnie z rozkazami Dentza, w pełni respektowanymi przez angielską komisję do spraw zawieszenia broni i angielskie posterunki policyjne, oficerów i żołnierzy obowiązywał zakaz utrzymywania jakichkolwiek stosunków z żołnierzami i oficerami Wolnej Francji, którzy nie mieli zresztą możliwości zbliżyć się do nich. W tych warunkach wypadki przejścia na naszą stronę były oczywiście rzadkie. Zamiast zamierzonej przez nas lojalnej akcji oddziaływania na świadomość i sumienie tych ludzi, z którymi chcieliśmy mówić indywidualnie, tak by mogli dokonać wyboru, mieliśmy być świadkami masowego zaokręto-

wania zorganizowanej armii, utrzymywanej w atmosferze rozjątrzenia i poniżenia i mającej tylko jedno pragnienie: opuścić możliwie jak najprędzej teatr działań wojennych, gdzie ponieśli tyle daremnych ofiar i tyle gorzkich wysiłków.

Jeżeli więc zobowiązania zaciągnięte wobec nas przez rząd brytyjski w sprawie interpretacji układu o zawieszeniu broni z Saint-Jean d'Acre pozostawały martwą literą, to nie inaczej przedstawiała się sprawa z politycznym *désintéressement* Wielkiej Brytanii w Syrii i ograniczeniem uprawnień angielskiego dowództwa wojskowego. W samym Damaszku i Bejrucie naruszanie ustalonych zasad odbywało się jeszcze z zachowaniem pewnych pozorów poprawności. Natomiast w rejonach, gdzie sytuacja była najdrażliwsza i na które Anglia i jej husseińscy poplecznicy od dawna kierowali pożądliwe spojrzenia, przejawiały się one zupełnie otwarcie.

W Dżezireh delegowany przez generała Catroux major Reyniers traktowany był jako osoba podejrzana przez miejscowe brytyjskie władze wojskowe, które przeszkadzały mu w ponownym sformowaniu czasowo rozpuszczonych batalionów asyro-chaldejskich i szwadronów syryjskich. W Palmirze i pustyni grasował Anglik Glubb, znany pod imieniem „Glubb pasza”, dowodzący tzw. siłami zbrojnymi Transjordanii, który usiłował przeciągnąć szczepy Beduinów na stronę Emira Abdullaha. W Hauranie agenci angielscy wywierali nacisk na miejscowych przywódców, aby również i ich nakłonić do uznania władzy Abdullaha i płacenia mu podatków. Niepokojące wiadomości nadchodziły także z Alepu i z obszarów zamieszkałych przez Alauitów.

Jednakże w sposób szczególnie otwarty Brytyjczycy przejawiali swe zamiary w Dżebel Druzie. Przy tym nigdy nie toczyły się tu żadne walki i generałowie Wilson i Catroux doszli do porozumienia, że wojska sojusznicze nie wkroczą do tego rejonu, dopóki nie będzie co do tego powzięta wspólna decyzja. Można sobie wyobrazić nasze zdziwienie, gdy dowiedzieliśmy się, że brygada angielska weszła na te tereny, że szwadrony druzyjskie zostały oficjalnie przejęte przez Anglików, że niektórzy przywódcy miejscowych szczepów zwołani i opłacani przez Bassa, zwanego „commodore Bass”, oświadczyli, iż nie uznają władzy francuskiej, że w Sueidzie dom francuski „Maison de France”, siedziba naszego delegata, został przemocą zajęty przez dowództwo brytyjskie i że wreszcie Anglicy w obecności wojsk i ludności opuścili z tego budynku trójbarwną flagę francuską i podnieśli na maszt angielską flagę *Union Jack*.

Na wszystko to należało natychmiast zareagować. Generał Catroux w porozumieniu ze mną rozkazał pułkownikowi Mon-

darowi udać się natychmiast z silną kolumną wojsk francuskich do Sueidy, odebrać „Maison de France” i objąć z powrotem dowództwo nad szwadronami drużyjskimi. Wilson, w należytej formie uprzedzony o tym, od razu przesłał mi pismo żądając, nie bez gróźb, abym natychmiast zatrzymał tę kolumnę. Odpowiedziałem mu, że „kolumna przybyła już na miejsce przeznaczenia, ...że sprawę zakwaterowania wojsk angielskich i francuskich on sam, Wilson, może uregulować z generałem Catroux, który mu to proponował, ...że muszę wyrazić ubolewanie z powodu jego aluzji zawierających groźby pod naszym adresem ...i że chociaż ze swej strony nadal skłonny jestem do szczerzej współpracy wojskowej, suwerenne prawa Francji w Syrii i Libanie i godność armii francuskiej nie mogą w żadnym razie być naruszone”.

W tym samym czasie dowódca brygady brytyjskiej oświadczył Monclarowi przybyłemu do Sueidy, że „jeżeli trzeba się będzie bić, to będziemy się bić”, na co Monclar odpowiedział mu tym samym. Do tego jednak nie doszło. 31 lipca Monclar umieścił swą kwaterę w „Maison de France”, uroczyście podniósł znowu na maszt trójbarwną flagę francuską, zakwaterował swe wojska w mieście i zreorganizował szwadrony drużyjskie pod dowództwem francuskiego oficera. Wkrótce potem Anglicy wycofali się z tego obszaru.

Ale skoro tylko udawało się zlikwidować jeden incydent, od razu wybuchało wiele innych. Wilson zresztą odgrażał się, że wprowadzi, jak to określał, „prawo wojenne” i uchwyci całą władzę w swoje ręce. Ostrzegaliśmy go, że w takim razie przeciwstawimy jego władzy naszą władzę i że to doprowadzi do zerwania. Lyttelton, chociaż był o tym wszystkim informowany, powstrzymywał się od interwencji. Co więcej, gdy się dowiedział, że Catroux rozpocznie niebawem rokowania w Bejrucie i Damaszku w sprawie przyszłych traktatów z Libanem i Syrią, napisał wprost do niego, prosząc jako o rzecz samo przez się zrozumiałą, by Spears był obecny przy rokowaniach. To ustawiczne dążenie do mieszania się do naszych spraw, jak również coraz częstsze zamachy na nasze prawa osiągnęły granice tego, co mogliśmy znieść. 1 sierpnia zatelegraowałem do Cassina, by odwiedził Edena i oświadczył mu w moim imieniu, „że ingerencja Anglii prowadzi do poważnych komplikacji i wątpliwe korzyści, które polityka angielska może wyciągnąć na Bliskim Wschodzie z tego pomijania praw Francji, nie pozostają w żadnym stosunku do nieporównanie większych szkód, które wynikłyby z zatargu między Wolną Francją a Anglią”.

Zatarg? O tym Londyn nie chciał słyszeć. 7 sierpnia Lyttelton

odwiedził mnie w Bejrucie i spędził u mnie cały dzień. Dało to nam sposobność do odbycia konferencji, która mogłaby oznaczać ostateczne załatwienie sprawy, o ile w ogóle dla Anglików jakakolwiek sprawa na Wschodzie mogła być załatwiona „ostatecznie”. Brytyjski minister przyznał szczerze, że angielskie władze wojskowe nie wykonują naszych układów z 24 i 25 lipca. „Przyczyną tego — twierdził — jest tylko opóźnienie tłumaczące się złym funkcjonowaniem naszej służby łączności, a być może ponadto także pewien brak zrozumienia. Bardzo tego żałuję i zamierzam położyć temu kres.” Wydawał się zdziwiony i niezadowolony usłyszawszy o incydentach wywołanych przez agentów angielskich, o czym opowiadał mu Catroux. Oświadczył, że Vichy narusza układ o zawieszeniu broni; tak na przykład 52 brytyjskich oficerów wziętych do niewoli w czasie ostatnich walk, mimo zobowiązania do ich natychmiastowego uwolnienia, jeszcze nie powróciło i nawet nie wiadomo, gdzie ich umieszczono. Lyttelton dodał, że Dentz będzie wskutek tego przeniesiony do Palestyny i że odtąd będziemy mieli niczym nie skrupowaną możność werbowania ochotników wśród wojsk vichystowskich. Nie ukrywałem przed Lytteltonem, że jesteśmy doprowadzeni do ostatnich granic cierpliwości sposobem, w jaki nasi sojusznicy realizują współpracę. „Zamiast dalej to kontynuować — powiedziałem — lepiej będzie, jeżeli my pójdziemy swoją, a wy swoją drogą.” Gdy zaś ze swej strony począł się skarżyć na trudności sprawiane przez nas dowództwu brytyjskiemu, odpowiedziałem mu słowami, które niegdyś powiedział do mnie Foch, że dowództwo sojusznicze tylko wtedy może być skuteczne, gdy nie reprezentuje żadnych poszczególnych interesów, i dodałem, że tych słów Focha, cokolwiek by on, Lyttelton, w najlepszej wierze mówił mi lub pisał, nie można zastosować do Anglików. Jeżeli Wilson celem uzasadnienia samowolnego uchwycenia władzy w Dżezire, Palmirze i Dżebel Druz powołuje się na konieczność obrony Bliskiego Wschodu, to jest to kiepski pretekst. Przeciwnik jest obecnie daleko od Dżebel Druz, Palmiry i Dżezire. Jest oczywiście rzeczą roztropną brać pod uwagę możliwość ponownego zagrożenia Syrii i Libanu przez państwa Osi, ale dla zapobieżenia tej groźbie należałoby opracować wspólny anglo-francuski plan obrony, zamiast prowadzić angielską politykę zmierzającą do podkopania naszych pozycji.

Lyttelton pragnąc widocznie zakończyć swą wizytę jakimś porozumieniem natychmiast podchwycił tę sposobność, jaką dawał mu wspomniany przeze mnie „plan obrony”. Zaproponował mi, by dla omówienia tego projektu zaprosić do udziału w naszych rozmowach generała Wilsona. Odpowiedziałem odmownie,

natomiast zgodziłem się, aby Wilson spotkał się z Catroux poza Bejrutem dla opracowania projektu takiego planu. Spotkanie to odbyło się nazajutrz. Nie dało ono praktycznie biorąc żadnego rezultatu, co było jeszcze jednym dowodem, że Anglicy myśleli o wszystkim, tylko nie o obronie Lewantu przed Niemcami. Jednakże dla zadokumentowania swej dobrej woli brytyjski minister wręczył mi przy pożegnaniu list, w którym powtarzał udzielone już przedtem zapewnienia w sprawie politycznego *désintéressement* Wielkiej Brytanii. Ponadto ustnie oświadczył mi, że będę zadowolony z praktycznych następstw naszej rozmowy.

Ponieważ tyle wstrząsów nie zachwiało Wolną Francją, gotów byłem uwierzyć, że istotnie tym razem możemy liczyć na pewien okres wytchnienia. Dostyc już jednak widziałem, aby być pewnym, że wcześniej czy później kryzys znowu wybuchnie. Ale po co z góry się martwić. Podsumowując wnioski z tych na razie przezwyciężonych trudności, skierowałem do Londynu do naszej delegacji, zastraszonej zajęą przeze mnie postawą, pismo, w którym po zobrazowaniu perypetii ostatnich tygodni ujmowałem, jak następuje, „morał” wynikający z całej tej historii: „Nasza wielkość i nasza siła polega wyłącznie na nieustępliwości we wszystkim, co dotyczy praw Francji. Ta nieustępliwość będzie nam potrzebna aż do momentu, kiedy staniemy nad Renem”.

W każdym bądź razie sprawy przybrały odtąd inny obrót. Larminat mógł wraz ze swymi współpracownikami udać się do wojsk vichystowskich, które jeszcze nie były zaokrętowane, i w ostatniej chwili w pośpiechu przemówić do oficerów i żołnierzy wzywając ich do przejścia na naszą stronę. Miał też możliwość spotkać się z niektórymi urzędnikami, których osobiście pragnąłby zatrzymać. Sam również przyjąłem wiele wizyt. W rezultacie 127 oficerów i około 6 tysięcy podoficerów i szeregowców, jedna piąta armii Lewantu, zgłosiło akces do Wolnej Francji. Ponadto zreorganizowano natychmiast oddziały syryjskie i libańskie obejmujące 290 oficerów i 14 tysięcy podoficerów i szeregowców. Ale 25 tysięcy oficerów, podoficerów i szeregowców francuskich wojsk lądowych i lotnictwa, z których niewątpliwie większość zdecydowałaby się na przystąpienie do nas, gdybyśmy mieli czas i możliwość wyjaśnienia im istotnego stanu rzeczy, było dla nas ostatecznie straconych. Wszyscy bowiem Francuzi, którzy powracali do Francji za pozwoleniem wroga rezygnując z możliwości powrotu tam z bronią w ręku, byli — byłem tego pewien — pełni wątpliwości i smutku. Z bólem w sercu patrzyłem na stojące na redzie statki przysłane przez Vichy i na to, jak załadowane żołnierzami wypływały na morze unosząc ze sobą jeszcze jedną szansę ojczyzny.

W każdym razie mogłem teraz przystąpić do wykorzystania możliwości, które pozostały mi w ręku. Generał Catroux zabrał się do tego z całą energią. Działając w poczuciu wielkości swego kraju i swego autorytetu, zręczny w obchodzeniu się z ludźmi, zwłaszcza z Lewantyńczykami, w których subtelnej i namiętnej grze znakomicie się orientował, pewny siebie, oddany naszej wielkiej sprawie i temu, który nią kierował, generał Catroux z wielką godnością i umiejętnością bronił interesów Francji na Bliskim Wschodzie. Położył na tym polu wielkie zasługi. Jeżeli nawet niekiedy przychodziła mi myśl, że jego chęć ujmowania sobie ludzi i pojednawczość nie zawsze dawały się pogodzić z charakterem swego rodzaju szermierki, której wymagało powierzone mu zadanie, i jeżeli w szczególności za późno umiał w pełni rozpoznać nieżyczliwe plany Anglików, to jednak zawsze uznawałem jego wielkie zasługi i wysokie zalety osobiste. W sytuacji, kiedy w okropnych warunkach początkowych napotykałe zewsząd trudności i brak środków stawiały nas przed szczególnie niewdzięcznym zadaniem, generał Catroux dobrze zasłużył się Francji.

Przede wszystkim musiał zorganizować od góry do dołu przedstawicielstwo francuskie, które w wyniku odjazdu większości urzędników administracji i oficerów wywiadu z dziś na jutro niemal całkowicie przestało istnieć. Catroux powołał na swego sekretarza generalnego Paula Lepissię przybyłego z Bangkoku, gdzie był ministrem pełnomocnym Francji. Generała Collet mianował delegatem przy rządzie syryjskim, a Pierre Barta delegatem przy rządzie libańskim. Jednocześnie David, a potem Fauquenot zostali wysłani do Alepu, de Montjou do Trypolis, Dumarcay do Saidy, gubernator Schoeffler, a potem generał Montclar do Alautów, pułkownik Brosset do Dżezire, pułkownik des Essars do Homs i pułkownik Oliva-Roget do Dżebel Druz, gdzie każdy w swoim rejonie miał reprezentować Francję i zapewnić nasze wpływy.

Muszę powiedzieć, że ludność okazywała nam gorącą życzliwość. Widziała ona w Wolnej Francji godne podziwu wcielenie męstwa i rycerskości, które zdawały się odpowiadać temu, co w jej oczach było idealnym obrazem Francji. Ponadto czuła, że nasza obecność oddala od tych ziem groźbę niemieckiej inwazji, zapewnia przyszłość w dziedzinie gospodarczej i ogranicza nadużycia feudalów. Wreszcie nie mogła na nią nie podziałać nasza wielkoduszna deklaracja o przyznaniu jej niepodległości. Takie same manifestacje, jakie odbyły się przy moim wjeździe do Damaszku i Bejrutu, ponowiły się w kilka dni później w Alepie, Lattakie, Trypolisie i wielu innych miastach i miasteczkach tego

pięknego kraju, gdzie każdy krajobraz i każda miejscowość, owiane dramatyczną poezją, są jak gdyby świadkami historii.

Jeżeli jednak uczucia mas ludowych były zdecydowanie przychylne, to politycy byli bardziej powściągliwi. Należało zaś i w jednym, i w drugim państwie jak najprędzej powołać rząd zdolny wziąć na siebie nowe obowiązki, przekazane mu przez nas, w szczególności w dziedzinie finansów, gospodarki i porządku publicznego. Jako państwo mandatowe zamierzaliśmy bowiem zachować w naszych rękach tylko obronę, sprawy zagraniczne i „interesy wspólne obu krajom”, jak pieniądź, cła, zaopatrzenie, czyli dziedziny, w których nie można było od razu przekazać władzy miejscowym rządcom ani z dziś na jutro oddzielić Syrii od Libanu. Później, jeżeli rozwój wydarzeń wojennych na to pozwoli, odbyć się miały wybory, w których wyniku utworzone zostałyby wszystkie nowe władze narodowe. Ale już teraz utworzenie rządu o rozszerzonych kompetencjach rozpało namiętności rozmaitych grup i wywołało rywalizację między poszczególnymi działaczami.

W Syrii sytuacja była pod tym względem szczególnie skomplikowana. W lipcu 1939 roku, gdy Paryż definitywnie odmówił ratyfikowania układu z 1936 roku, wysoki komisarz Francji zmuszony był usunąć prezydenta republiki Haszem-beja el Atassi i rozwiązać parlament. Obecnie zastaliśmy w Damaszku rząd, który pod kierownictwem Chaleda-beja Azema, zdolnego i powszechnie szanowanego człowieka, ograniczał się do załatwiania bieżących spraw nie przybierając charakteru rządu narodowego. Początkowo miałem nadzieję, że można będzie w Syrii przywrócić dawny stan rzeczy. Prezydent Haszem-bej, jak również szef jego ostatniego rządu Dżemil Mardam-bej i przewodniczący rozwiązanego parlamentu Fares El Chury w toku rozmów, które przeprowadziłem z każdym z nich w obecności generała Catroux, w zasadzie gotowi byli się na to zgodzić. Ale jakkolwiek wszyscy trzej byli doświadczonymi politykami, oddanymi swemu krajowi patriotami i ludźmi szanującymi przyjaźń Francji, widocznie nie umieli jeszcze w całej rozciągłości ocenić historycznej szansy, polegającej na tym, aby — przewyciężając w szlachetnym porywie serc wszystkie uprzedzenia i żale — wyprowadzić Syrię na drogę niepodległości w pełnym porozumieniu z Francją. Według mnie przywiązywali zbyt wielką wagę do finezji prawnych i byli nazbyt wrażliwi na podszepty przeczulonego nacjonalizmu. Niemniej prosiłem generała Catroux, by kontynuował z nimi rozmowy i tylko, w razie gdyby ich zastrzeżenia definitywnie uniemożliwiły dojście do porozumienia, szukał innego rozwiązania.

W Libanie mogliśmy działać szybciej, jakkolwiek i tu nie

osiągnęliśmy ideału. Prezydent republiki Emil Eddé, niewzruszony przyjaciel Francji i wytrawny mąż stanu, dobrowolnie ustąpił ze swego stanowiska na trzy miesiące przed kampanią, która nas przywiodła do Bejrutu. Nie mianowano jego następcy. Z drugiej strony kadencja parlamentu dawno wygasła. Z zasadniczego i konstytucyjnego punktu widzenia sytuacja przedstawiała się tu jako *tabula rasa*. Ale pod względem walk między poszczególnymi klanami politycznymi sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Zażartym rywalem Emila Eddé był inny maronita* Bechara El Chury. Znając na wylot wszystkie arkana i tajniki polityki libańskiej zgrupował on wokół siebie wielu zwolenników i związał ze sobą interesy wielu kół. „Eddé był już prezydentem — powiedział w rozmowie ze mną — teraz na mnie kolej.” Wreszcie Riad Solh, fanatyczny przywódca sunnickich muzułmanów potrząsający jednocześnie sztandarem arabskiego nacjonalizmu, sprawiał obu zwalczającym się pretendentom do stanowiska prezydenta poważne kłopoty, co tamtych jednak nie skłoniło do porozumienia się między sobą.

W tych warunkach wydawało nam się, że najlepiej będzie powierzyć najwyższą władzę człowiekowi, który w momencie naszego przybycia stał na czele rządu. Człowiekiem tym był Nakkasz. Chociaż może mniej imponujący niż pozostali trzej kandydaci, był jednak dzielny i poważnym człowiekiem i, naszym zdaniem, nie powinien był w tym okresie przejściowym jako głowa państwa wywołać większej opozycji. Ocena ta zresztą tylko w części się potwierdziła. O ile bowiem Emil Eddé wielkodusznie pogodził się z naszą chwilową decyzją, a Riad Solh starał się nie sprawiać trudności nowemu prezydentowi, który wziął na siebie brzemień władzy, o tyle Bechara El Chury począł knuć przeciw niemu wszelkiego rodzaju intrygi i zмовy.

W oczekiwaniu swobodnego wypowiedzenia się ludności ta sytuacja polityczna w Damaszku i Bejrucie sama przez się nie miała w sobie nic niepokojącego. Porządek publiczny nie był zagrożony, administracja wywiązywała się ze swoich obowiązków. Opinia publiczna od razu pogodziła się z odroczeniem terminu wyborów spowodowanym przez nadzwyczajne warunki czasów wojny. Krótko mówiąc, gdyby nie wmieszanie się Anglików, którzy systematycznie szukali pretekstów i okazji do ustawicznych ingerencji, okres przejściowy między reżimem mandatowym a pełną niepodległością niewątpliwie mógł i powinien był minąć bez żadnych komplikacji.

* Maronici — sekta chrześcijańska w Libanie, wywodząca swą nazwę od Jana Maro, który żył na początku V w. Pierwotnie monotełeci, złączyli się następnie unią z kościołem rzymskokat. (*przyp. red.*).

Podczas gdy w Kairze Lyttelton pogrążył się całkowicie w problemach zaopatrzenia Wschodu, a generał Wilson ze swym „prawem wojennym” i ciągłymi interwencjami stopniowo schodził na drugi plan, Spears usadowił się w Bejrucie jako szef angielskiej misji łączności, po czym w styczniu został ministrem pełnomocnym Wielkiej Brytanii przy rządzie syryjskim i libańskim. W jego rękach znajdowały się wręcz nadzwyczajne atuty: obecność armii angielskiej, różnorodna działalność agentów *Intelligence Service*, kontrola nad stosunkami ekonomicznymi obydwu krajów, które żyły z handlu, poparcie we wszystkich stolicach przez pierwszą w świecie dyplomację, duże fundusze na propagandę, oficjalne współdziałanie sąsiednich państw arabskich, Iraku i Transjordanii, gdzie panowali królowie z domu Husseina, a także Palestyny, gdzie angielski wysoki komisarz ciągle podnosił obłudne alarmy co do reakcji, jaką wśród Arabów na powierzonych jego pieczy terytoriach wywołują rzekome „prześladowania” ich syryjskich i libańskich braci. Dalszym wreszcie atutem był Egipt, gdzie trwałość stanowisk ministrów i zaspokojenie ambicji pretendentów do tek ministerialnych zależały wyłącznie od Anglików.

W tym środowisku ulegającym wpływom zewnętrznym, w atmosferze intryg i wybujałych ambicji Anglicy dysponując takimi atutami łatwo mogli ulec pokusie zrealizowania swych projektów w Lewancie. Tylko groźba zerwania z nami i konieczność liczenia się z uczuciami Francji mogły narzucać Londynowi pewien umiar. Ta sama jednak groźba i ta sama konieczność stawiały również i nam granice w odparowywaniu ciosów i obronie naszych pozycji. Moralna i materialna szkoda, jaką stanowiłoby dla nas zerwanie z Anglią, była oczywiście wystarczającą przyczyną, aby nas powstrzymywać. I czyż poza tym Wolna Francja, w miarę jak rozszerzała swój zasięg działania, nie traciła do pewnego stopnia owej skoncentrowanej na jednym problemie stanowczości, dzięki której tym razem stawiając wszystko na kartę zdołała wziąć górę nad Anglią? I jak wreszcie ujawnić narodowi francuskiemu, wtrąconemu na samo dno przepaści, postępowanie jego sojuszników, skoro chodziło przede wszystkim o podtrzymanie w nim zaufania i nadziei, aby go wciągnąć do walki przeciwko wrogowi?

Niemniej jednak sam fakt ustanowienia naszej władzy w Syrii i Libanie oznaczał mimo wszystko poważne wzmocnienie obozu wolności. Odtąd tyły sojuszników na Wschodzie były solidnie zabezpieczone. Niemcy nie mieli już możliwości przeniknięcia do krajów arabskich bez podjęcia szeroko zakrojonej i niebezpiecznej ekspedycji. Turcja, którą Hitler spodziewał się drogą nacisku

zmusić do przystąpienia do Osi, aby jej służyła za pomost między Europą i Azją, mogła już nie obawiać się osaczenia i od razu też zajęła bardziej stanowczą postawę. Wreszcie Wolna Francja była w stanie wprowadzić do akcji zwiększone siły zbrojne.

W związku z tym wzrostem naszych środków wojskowych postanowiliśmy obsadzić terytoria Lewantu wojskami syryjskimi i libańskimi i powierzyć naszej marynarce wojennej stałą obronę wybrzeży, trzymając przy tym w odwodzie brygadę francuską. Wszystkie te siły zostały oddane pod rozkazy generała Humblot. Jednocześnie zorganizowaliśmy dla walk na innych frontach dwie silne mieszane brygady i grupę pancerną z odpowiednimi służbami. Generał de Larminat, którego na stanowisku wysokiego komisarza w Brazzaville zastąpił generał-lekarz Sicé, objął dowództwo nad tą manewrową grupą wojsk, liczebnie niestety skromną, ale za to dzięki materiałom wojennym zdobytym przez nas na Wschodzie wyposażoną w wielką siłę ognia. Gdy w drodze powrotnej przejeżdżając przez Kair spotkałem się z generałem Auchinleck, nowym naczelnym dowódcą wojsk angielskich na Wschodzie, powiedziałem mu: „Skoro tylko siły nasze będą gotowe, oddamy je do pańskiej dyspozycji, ale tylko celem wykorzystania ich w walkach”. „Rommel — odpowiedział mi na to — niewątpliwie zrobi wszystko, abym znalazł do tego sposobność.”

Ale podczas gdy nad Morzem Śródziemnym wojna, tocząc się teraz w lepszych już dla nas i dla naszych sojuszników warunkach, miała się skoncentrować na granicy Egiptu i Libii, w Europie ogarnęła ona ogromne przestrzenie od Bałtyku po Morze Czarne. Ofensywa niemiecka w Rosji robiła szybkie postępy. Jednakże mimo wszelkich początkowych sukcesów armii Hitlera opór rosyjski wzrastał się z każdym dniem. Zarówno z politycznego, jak ze strategicznego punktu widzenia były to wydarzenia niezwyklej doniosłości.

Dawały one Ameryce sposobność do podjęcia rozstrzygających działań. Należało wprawdzie przewidywać, że Japonia przedsięwzięcie niebawem w obszarze Pacyfiku dywersję zakrojoną na wielką skalę, co ograniczy i opóźni wystąpienie Stanów Zjednoczonych. Ale sam fakt, że wystąpią one w Europie i Afryce, był odtąd pewny, ponieważ gigantyczna awantura wciągnęła niemieckie siły główne na niezmierzone przestrzenie Rosji, z drugiej zaś strony także dlatego, że Anglicy przy współudziale Wolnych Francuzów zdołali sobie zapewnić na Wschodzie mocne pozycje i że wreszcie obrót, jaki przybrała wojna, budził nadzieje i wolę walki wśród ujarzmionych narodów.

Moje zadanie polegało teraz na tym, aby w miarę możliwości oddziaływać na Waszyngton i Moskwę, przyczyniać się do rozwoju francuskiego Ruchu Oporu, mobilizować i wykorzystać nasze możliwości na całym świecie. Po to, aby móc oddać się temu zadaniu, musiałem powrócić do Londynu, centrum komunikacji i stolicy wojny. Przybyłem tam 1 września przeczuwając na podstawie ostatnio zebranych doświadczeń, jak trudne będą aż do ostatniego dnia nasze wysiłki, ale zarazem pełen odtąd niezachwianej pewności, że u końca tej drogi czeka nas zwycięstwo.

SOJUSZNICY

Z początkiem swej drugiej zimy wojennej Wolna Francja nie była już w oczach świata owym zdumiewającym swą nierozwagą, nieomal szaleńczym przedsięwzięciem, które początkowo przyjmowano z ironią, współczuciem lub łzami. Teraz wszędzie widziano w niej realny czynnik polityczny, wojskowy, terytorialny. Z kolei chodziło o to, aby wkroczyła ona także na szerszą arenę dyplomatyczną, zajęła należne jej miejsce wśród sojuszników, wystąpiła wobec nich w roli suwerennej i prowadzącej wojnę Francji, której prawa muszą być respektowane, a wkład w zwycięstwo należycie uwzględniony. Gotów byłem zgodzić się na to, aby ten cel osiągnąć stopniowo, ale co do samej zasady nie mogłem ani nie myślałem godzić się na żadne ustępstwa. Ponadto należało się spieszyć, jeżeli chciałem zapewnić Wolnej Francji odpowiednią pozycję, zanim decydujące uderzenie rozstrzygnie o wyniku wojny. Nie wolno więc było tracić czasu, zwłaszcza w stosunku do wielkiej trójki: Waszyngtonu, Moskwy i Londynu.

Stany Zjednoczone podchodzą do wielkich spraw z niezwykle prostymi uczuciami i z niezwykle skomplikowaną polityką. Tak w 1941 r. podeszły też do sprawy Francji. Podczas gdy w szerokich kołach opinii amerykańskiej poczynania generała de Gaulle'a spotykały się z entuzjastycznym oddźwiękiem, wszystkie czynniki oficjalne i półoficjalne uważały za stosowne traktować je z chłodem i obojętnością. Jeżeli chodzi o koła rządowe, to nadal bez żadnych zmian utrzymywały one stosunki z Vichy twierdząc, iż dzięki temu przeszkadzają Niemcom w zdobyciu wpływu na Francję, zapobiegają wydaniu floty francuskiej, a zarazem zachowują kontakt z Weygandem, Noguèsem i Boissonem, po których Roosevelt spodziewał się, że pewnego dnia otworzą mu wrota Afryki. Jednakże wskutek zdumiewającej sprzeczności swej polityki Stany Zjednoczone, które miały swych przedstawicieli przy Pétainie, trzymały się z dala od Wolnej Francji pod pretek-

stem, że nie można z góry przewidzieć, jaki rząd obierze sobie naród francuski po odzyskaniu wolności. W istocie kierownicy polityki amerykańskiej uważali za fakt bezsporny, że Francja jako wielkie mocarstwo już się nie liczy. Zadowalali się więc ułożeniem stosunków z Vichy. Jeżeli zaś w niektórych punktach świata gotowi byli ze względów wojskowych współpracować z tymi lub innymi władzami francuskimi, to dbali o to, aby ta współpraca nosiła jedynie epizodyczny i lokalny charakter.

W tych warunkach trudno nam było dojść do porozumienia z Waszyngtonem. Zresztą osobista postawa prezydenta Roosevelta poważnie utrudniała rozwiązanie tego zagadnienia. Chociaż nie miałem jeszcze sposobności spotkać się z Franklinem Rooseveltem, to jednak po wielu oznakach mogłem się domyślać, że odnosi się on do mnie z wielką rezerwą. Niemniej jednak chciałem zrobić wszystko, co leżało w mej mocy, aby Stany Zjednoczone, które niebawem miały przystąpić do wojny, i Francja, która za moją sprawą nigdy się z niej nie wycofała, nie poszły rozbieżnymi drogami.

Jeżeli chodzi o formę stosunków, które należało nawiązać i nad którą nieustrudzenie dyskutowali politycy, dyplomaci i publicyści, to muszę powiedzieć, że w okresie tym była mi ona prawie obojętna. Realny charakter i treść tych stosunków interesowały mnie znacznie bardziej niż kolejno zmieniające się formuły, w które prawnicy Waszyngtonu chcieli przyoblec akt „uznania” Wolnej Francji. Jednakże wobec ogromu amerykańskich zasobów i w obliczu ambicji Roosevelta, dążącego do narzucenia swej woli i praw całemu światu, czułem, że nasza niepodległość jest po prostu zagrożona. Krótko mówiąc, jeżeli chciałem podjąć próbę porozumienia się z Waszyngtonem, musiało to nastąpić na bazie istniejącej realnie sytuacji, ale z zachowaniem przez nas pozycji równego partnera.

W ciągu bohaterskiego okresu pierwszych miesięcy Wolnej Francji Garreau-Dombasle i Jacques de Sieyès oddali mi wielkie usługi jako rzecznicy naszej sprawy. Teraz chodziło o to, aby rozpocząć rokowania. Poleciałem Plevenowi przeprowadzenie wstępnych rozmów. Znał Amerykę, był zręczny i doskonale zorientowany w naszych sprawach. Już w maju 1941 roku z Brazzaville określiłem mu w następujących słowach jego zadanie: „Uzgodnić nawiązanie stałych i bezpośrednich stosunków z Departamentem Stanu, stosunków ekonomicznych wolnej francuskiej Afryki i Oceanii z Ameryką i sprawę naszych bezpośrednich zakupów materiałów wojennych; zorganizować w Stanach Zjednoczonych naszą informację i propagandę; powołać do życia nasze komitety i zorganizować współpracę sympatyzujących z nami kół amerykańskich”.

kańskich". Pleven wyjechał do Ameryki w pierwszych dniach czerwca; nie przybywał tam z pustymi rękami. Od razu ofiarowaliśmy Stanom Zjednoczonym możliwość zainstalowania swych sił lotniczych w Kamerunie, na terytorium Czadu i Konga, ponieważ Afryka była z góry predestynowana do tego, by służyć Amerykanom za bazę do działań na Europę z chwilą, gdy chwycą za broń. Ponadto, biorąc pod uwagę groźbę japońską, pomoc wysp na Pacyfiku, nad którymi powiewała flaga z Krzyżem Lotaryngii, miała dla nich poważne znaczenie.

Faktycznie też rząd amerykański zwrócił się do nas z prośbą o przyznanie jego samolotom prawa do korzystania z niektórych naszych baz afrykańskich, a potem także baz na Nowych Hebrydach i w Nowej Kaledonii. Ponieważ Stany Zjednoczone nie brały wtedy jeszcze udziału w wojnie, prośba ta formalnie została skierowana do nas przez „Pan American Airways”, nikt jednak nie mógł mieć wątpliwości co do właściwego jej znaczenia.

W miarę jak Stany Zjednoczone widziały, że zbliża się chwila ich przystąpienia do wojny, Waszyngton poświęcał nam coraz większą uwagę. W sierpniu 1941 roku wysłana została na terytorium Czadu amerykańska misja łączności pod kierownictwem pułkownika Cunninghama. We wrześniu Cordell Hull oświadczył publicznie, że między rządem amerykańskim i Wolną Francją istnieje wspólnota interesów. „Nasze stosunki z tym ugrupowaniem — powiedział — są pod każdym względem jak najlepsze.” 1 października Pleven został oficjalnie przyjęty w Departamencie Stanu przez zastępcę sekretarza stanu Sumnera Wellesa. 11 listopada prezydent Roosevelt listem skierowanym do Stettiniusa rozciągnął na Wolną Francję działanie ustawy „lend-lease” z tym uzasadnieniem, że „obrona terytoriów przyłączonych do Wolnej Francji ma żywotne znaczenie dla obrony Stanów Zjednoczonych”. Gdy w końcu listopada Weygand został odwołany z Algieru, rozwiały się dotychczasowe iluzje Amerykanów i Waszyngton jeszcze nie wiedział, czym je zastąpić. Tymczasem Pleven, powołany w skład utworzonego wówczas Komitetu Narodowego, powrócił do Londynu; jego miejsce jako kierownika naszej delegacji zajął, w porozumieniu z Departamentem Stanu, dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy Adrien Tixier. Wreszcie w samym Londynie nawiązane zostały regularne stosunki między nami i ambasadorem amerykańskim przy rządach emigracyjnych w Anglii Drexel Biddle'em.

Podczas gdy w ten sposób zawiązywały się pierwsze oficjalne stosunki, zmienił się także ton amerykańskiej prasy i radia, które dotychczas odnosiły się do nas nieżyczliwie lub w ogóle nas ignorowały. Z drugiej strony wśród francuskich emigrantów, liczą-

cych w swym gronie wiele szeroko znanych osobistości, przejawiało się dążenie do przyłączenia się do naszego ruchu wysoko trzymającego sztandar Francji. Tak, na przykład, profesor Focillon zakładając w Nowym Jorku Instytut Francuski, skupiający najwybitniejszych przedstawicieli nauki francuskiej, historyków i filozofów, za zgodą swych kolegów zwrócił się do generała de Gaulle'a z prośbą o uznanie tego Instytutu dekretem.

7 grudnia napad na Pearl Harbour wtrącił Amerykę do wojny. Można by pomyśleć, że z tą chwilą polityka amerykańska traktować będzie Wolnych Francuzów, walczących z tymi samymi przeciwnikami, jako sojuszników. Tak jednak się nie stało. Zanim Waszyngton się na to zdecydował, musieliśmy przeżyć jeszcze wiele przykrych incydentów. Tak, na przykład, 13 grudnia rząd amerykański zarekwirował w swych portach transatlantyk „Normandie” i trzynaście innych francuskich statków nie zadawszy sobie trudu porozumienia się z nami, a nawet nie powiadamiając nas o ich użyciu i uzbrojeniu. Kilka tygodni potem „Normandie” spłonął w godnych pożalowania okolicznościach. W ciągu grudnia dwadzieścia siedem państw obradowało i podpisało pakt Narodów Zjednoczonych, Francji jednak wśród nich nie było. Jak dziwny, a nawet niepokojący był stosunek Stanów Zjednoczonych do nas, wykazał to wkrótce pewien sam przez się zupełnie nieznaczny incydent, któremu jednak koła oficjalne Waszyngtonu nadały poważne znaczenie. Być może, że sam go w pewnej mierze spowodowałem, aby ujawnić prawdziwy stan rzeczy, tak jak, na przykład, rzuca się kamień do stawu, aby stwierdzić jego głębokość. Chodziło o przyłączenie do nas wysp Saint-Pierre i Miquelon.

Myśleliśmy o tym już od samego początku. Było istotnie rzeczą skandaliczną, by w najbliższym sąsiedztwie Nowej Funlandii mały archipelag francuski, którego ludność pragnęła przyłączyć się do nas, pozostawał pod władzą Vichy. Anglicy byli za przyłączeniem tych wysp do Wolnej Francji, ponieważ obawiali się, że pewnego dnia niemieckie okręty podwodne grasujące na szlaku wielkich konwojów morskich mogłyby stąd otrzymać pomoc, w szczególności dzięki znajdującej się na Saint-Pierre radiostacji. Uważali jednak, że wymaga to uprzedniej zgody Waszyngtonu. Co do mnie, to uważałem tę zgodę za pożądaną, lecz nie za niezbędną, ponieważ chodziło o wewnętrzną sprawę francuska. Byłem nawet tym bardziej zdecydowany zawładnąć tym archipelagiem, że admirał Robert, wysoki komisarz Vichy na Antylach, Guanie i Saint-Pierre, prowadził rokowania z Amerykanami, co musiałoby w końcu doprowadzić do neutralizacji tych francuskich terytoriów pod gwarancją Waszyngtonu. Dowiedziawszy się w grud-

niu, że admirał Horne został przez Roosevelta wysłany do Fort-de-France dla uzgodnienia z Robertem warunków neutralizacji naszych posiadłości w Ameryce i znajdujących się tam statków, postanowiłem działać przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Nadarzyła się ona w związku z misją admirała Muselier. Wybierał się on do Kanady, aby przeprowadzić inspekcję okrętu podwodnego „Surcouf”, którego bazą był wtedy Halifax, jak również francuskich korwet eskortujących konwoje morskie. Uzgodniłem z nim w zasadzie, że przeprowadzi on tę operację. Faktycznie, zebrawszy 12 grudnia w Halifax obok „Surcouf” korwety „Mimosa”, „Aconit” i „Alysse”, Muselier szykował się już do tego, aby odpłynąć na wyspy Saint-Pierre i Miquelon. Jednakże z własnej inicjatywy postanowił uprzednio poprosić w Ottawie o zgodę Kanadyjczyków i Amerykanów. Tym samym wyprawa przestała być tajemnicą. Musiałem niezwłocznie powiadomić Anglików o naszych zamiarach, aby uniknąć wrażenia, że ukrywam przed nimi tę operację. Waszyngton polecił swemu ambasadorowi w Ottawie udzielić admirałowi Muselier odpowiedzi odmownej. Wówczas admirał oświadczył, że rezygnuje z wyprawy na wyspy. Mnie zaś rząd londyński zawiadomił, że ze swej strony nie ma żadnych zastrzeżeń co do tej operacji, lecz w związku z opozycją Amerykanów prosi, abym ją odroczył. W tych więc warunkach trzeba było z niej zrezygnować, chyba że zaszedłby jakiś nowy, nieprzewidziany fakt.

Otóż ten nieprzewidziany fakt istotnie nastąpił. W kilka godzin po przekazaniu mi swej odpowiedzi *Foreign Office* zawiadomił nas — kto wie, czy nie umyślnie — że rząd kanadyjski za zgodą Stanów Zjednoczonych, a być może nawet za ich sprawą, postanowił wysadzić na ląd w Saint-Pierre, w razie potrzeby przy użyciu siły, odpowiedni personel dla obsadzenia tamtejszej radiostacji. Założyliśmy niezwłocznie protest w Londynie i Waszyngtonie. Z chwilą jednak, gdy chodziło o obcą interwencję na terytorium francuskim, uważałem, że nie można się wahać. Wydałem admirałowi Muselier rozkaz natychmiastowego przyłączenia wysp Saint-Pierre i Miquelon. Muselier dokonał tego w wigilię Bożego Narodzenia wśród ogromnego entuzjazmu mieszkańców i bez jednego wystrzału. Przeprowadzony plebiscyt dał przytłaczającą większość Wolnej Francji. Młodzi ludzie natychmiast zgłosili się do szeregów. Starsi stworzyli oddział dla obrony wysp. Savary, mianowany administratorem, zajął miejsce dotychczasowego vichystowskiego gubernatora.

Można byłoby przypuścić, że rząd amerykański przejdzie do porządku nad tą nieznaczną, tak pomyślnie przeprowadzoną operacją. Najwyżej należało być przygotowanym na pewne objawy

niezadowolenia w biurach Departamentu Stanu. Tymczasem, wręcz przeciwnie, w Stanach Zjednoczonych sprawa ta wywołała istną burzę. Rozpętał ją sam Cordell Hull komunikatem, że przerywa swój urlop świąteczny i natychmiast powraca do Waszyngtonu. „Akcja przedsięwzięta w Saint-Pierre i Miquelon przez okręty tzw. Wolnej Francji — dodawał sekretarz stanu — nastąpiła bez uprzedniego poinformowania rządu Stanów Zjednoczonych i bez jego zgody.” Na zakończenie Cordell Hull oświadczył, że jego rząd „zwrócił się do rządu kanadyjskiego z zapytaniem, jakie środki zamierza przedsięwziąć, aby przywrócić na wyspach *status quo ante*”.

W ciągu trzech tygodni w Stanach Zjednoczonych hałas podniesiony dokoła tej sprawy przez prasę oraz wzburzenie opinii publicznej przechodziły wszelkie wyobrażenia. Publiczności amerykańskiej incydent ten dał nieoczekiwane sposobność do wypowiedzenia się, czy skłania się ona do oficjalnej polityki wciąż jeszcze stawiającej na Pétaina, czy też solidaryzuje się raczej z uczuciami dużego odłamu Amerykanów, przejawiających sympatie dla de Gaulle'a. Dla nas, z chwilą gdy dopiełniliśmy swego, chodziło teraz o to, aby nakłonić Waszyngton do rozsądniejszego traktowania sprawy.

Ponieważ Churchill znajdował się wtedy w Quebec na konferencji z Rooseveltem, wysłałem do niego telegram, aby go poinformować o niekorzystnym wrażeniu, które postawa Departamentu Stanu wywarła na opinii francuskiej. Churchill odpowiedział, że zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, aby zlikwidować incydent napomykając przy tym, że zaszkodził on pewnym zarysowującym się korzystnym perspektywom. Jednocześnie Tixier udzielił w moim imieniu Cordell Hullowi uspokajających wyjaśnień, podczas gdy Roussy de Sales wykorzystywał w tym samym duchu swe wpływy w prasie amerykańskiej, a my usiłowaliśmy zapewnić sobie poparcie W. Bullitta, ostatniego ambasadora Stanów Zjednoczonych przy Republice Francuskiej, który przebywał w tym czasie w Kairze.

Rząd waszyngtoński, mocno krytykowany w swym kraju, a milcząco potępiany przez Anglię i Kanadę, musiał w końcu pogodzić się z faktem dokonanym. Zanim się jednak na to zdecydował, próbował jeszcze za pośrednictwem rządu angielskiego nas zastraszyć. Ale i sam pośrednik nie bardzo był przekonany o słuszności swego zadania. 14 stycznia Eden przyjął mnie kilkakrotnie i udawał, że nalega na to, abyśmy zgodzili się na neutralizację wysp, na niezależność ich administracji od naszego Komitetu Narodowego i na kontrolę, którą sprawowałiby na miejscu urzędnicy alianccy. Ponieważ odmawiałem zgody na to rozwiązanie,

Eden oznajmił mi, że Stany Zjednoczone zamierzają wysłać do Saint-Pierre krążownik i dwa niszczyciele.

— Co uczynicie, jeżeli to nastąpi? — zapytał mnie.

— Alianckie okręty — odpowiedziałem — zatrzymają się na granicy francuskich wód terytorialnych i amerykański admirał uda się na śniadanie do admirała Muselier, który niewątpliwie będzie bardzo rad jego wizycie.

— A jeżeli krążownik przekroczy tę granicę?

— Wtedy nasi ludzie wystosują do niego przyjęte zwyczajowo w podobnych wypadkach ostrzeżenie.

— A jeżeli krążownik się nie zatrzyma?

— Byłoby to wielkie nieszczęście, wtedy bowiem nasi będą strzelać.

Eden podniósł rękę ku niebu.

— Rozumiem pańskie zaniepokojenie — zakończyłem z uśmiechem — ale mam zaufanie do państw demokratycznych.

Amerykanom nie pozostało nic innego, jak przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. 19 stycznia Cordell Hull przyjął Tixiera i bez żadnych oznak niezadowolenia począł rozwijać przed nim podstawy polityki, którą dotychczas stosował. Wkrótce potem przyjął do wiadomości przesłaną mu przeze mnie odpowiedź. 22 stycznia Churchill powróciwszy do Anglii poprosił mnie do siebie. Poszedłem zabierając ze sobą Plevana. Premier, mając przy sobie Edena, zaproponował nam w imieniu Waszyngtonu, Londynu i Ottawy, aby w Saint-Pierre i Miquelon utrzymana była sytuacja stworzona przez nas po przyłączeniu tych wysp, w zamian za co my mieliśmy się zgodzić na opublikowanie przez trzy rządy komunikatu, który by jako tako ocalił prestiż Departamentu Stanu. „Potem — oświadczyli nam brytyjscy ministrowie — nikt już nie będzie wtrącał się do tej sprawy.” Zgodziliśmy się. Żadnego komunikatu zresztą nie opublikowano. Wyspy Saint-Pierre i Miquelon pozostały pod naszą władzą i ze strony aliantów nikt więcej do tej sprawy nie powracał.

Zresztą, niezależnie od argumentów prawnych i nastawienia Waszyngtonu wobec nas, przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny zmuszało je do współpracy z Wolną Francją. W danym momencie zaznaczyło się to przede wszystkim na Pacyfiku, gdzie w związku z błyskawicznym posuwaniem się naprzód Japończyków nasze posiadłości w Nowej Kaledonii, jak również Markizy, wyspy Tuamotu, Wyspy Towarzystwa, a nawet Tahiti mogły z dnia na dzień nabrać istotnego znaczenia dla strategii aliantów. Niektóre z tych wysp służyły im już za bazy lotnicze i morskie. Prócz tego sojuszników bardzo interesował nikiel kaledoński mający ogromne znaczenie dla produkcji zbrojeniowej. Wkrótce

Amerykanie zrozumieli korzyści, jakie im dawało porozumienie z nami. Korzyści te zresztą były obopólne, gdyż w razie niebezpieczeństwa sami nie zdołalibyśmy obronić naszych wysp. Dlatego też Komitet Narodowy z własnej inicjatywy postanowił zawczasu uczynić zadość wszystkim prośbom Amerykanów dotyczącym naszych posiadłości na Pacyfiku pod jednym tylko warunkiem, że będą tam respektować suwerenność francuską i naszą władzę.

Przed wszystkim jednak trzeba było, aby ta władza była na miejscu sprawowana w należyty sposób. Nie było to rzeczą łatwą wobec ogromnej odległości tych wysp i ich rozproszenia, braku środków oraz charakteru ludności, wprawdzie bardzo przywiązanej do Francji, czego dowiodła zgłaszając akces do naszego ruchu, ale zarazem podlegającej zmiennym nastrojom i dostępnej dla intryg wzniecanych przez lokalne lub zewnętrzne czynniki. W dodatku wielu dzielnych ludzi wcielonych do wojska opuściło na mój rozkaz Oceanie, aby walczyć w Afryce w szeregach Wolnych Francuzów. Znakomity i odważny batalion pod rozkazami podpułkownika Broche'a i kilka innych jednostek wysłanych zostało na Bliski Wschód. Ten udział naszych posiadłości w Oceanii w walkach o wyzwolenie Francji nabierał wielkiego znaczenia. Ale bezpośrednia obrona naszych wysp na Pacyfiku na tym ucierpiała. Wreszcie stan wojny dezorganizował życie gospodarcze tych odległych posiadłości. Wszystko to razem wzięte nakazywało stworzenie w Oceanii silnej i scentralizowanej władzy.

Już wiosną 1941 roku wysłałem tam w podróż inspekcyjną gubernatora generalnego Brunot, który po przyłączeniu przez Leclerca Kamerunu znalazł się bez stanowiska. Ale Brunot miał tu niekiedy gwałtowne starcia z miejscowymi urzędnikami, którzy zarzucali mu, nie bez powodu, że zamierza wraz ze swymi przyjaciółmi zająć ich miejsca. Papeete stało się widownią tragikomicznych incydentów. Doszło, na przykład, do tego, że gubernator, sekretarz generalny i konsul angielski zostali na rozkaz Brunota zaaresztowani, podczas gdy w Numei gubernator Sautot otwarcie manifestował swój brak zaufania do inspektora. Należało sięgnąć do nadzwyczajnych środków. W lipcu 1941 roku mianowałem komandora — późniejszego admirała — Thierry d'Argenlieu wysokim komisarzem na Pacyfiku wyposażonym w pełnię władzy cywilnej i wojskowej. Jego zadanie określiłem w następujących słowach: „Przywrócić definitywnie i bez półśrodków władzę Wolnej Francji, spożytkować dla celów wojennych wszystkie znajdujące się tam zasoby i zapewnić w ścisłym porozumieniu z naszymi sojusznikami obronę francuskich terytoriów przed wszystkimi możliwymi, a być może nawet bliskimi niebezpieczeństwami”.

Miałem pełne zaufanie do d'Argenlieu. Jego szlachetny charakter i stanowczość czyniły go moralnie zdolnym do opanowania intryg. Jego zdolności jako dowódcy dawały mi gwarancję, że nasze środki będą użyte energicznie, ale zarazem z całą rozwagą. Miał teraz także okazję do rozwinięcia swych talentów dyplomatycznych. Jeżeli bowiem już z samego swego charakteru i, że się tak wyrażę, z wewnętrznego powołania rozumiał walkę Wolnej Francji jako swego rodzaju wyprawę krzyżową, to zarazem słusznie uważał, że prowadzić ją należy z całą zręcznością. Oddałem do jego dyspozycji lekki krążownik „Triomphant” i awizo „Chevreuil”. Jako wysoki komisarz na Pacyfiku d'Argenlieu zajął się najpierw uporządkowaniem spraw na Tahiti. Orselli został mianowany gubernatorem, podczas gdy Brunot i jego „ofiary” udali się do Londynu dla udzielenia wyjaśnień. Z drugiej strony, wobec ustawicznie pogarszającej się sytuacji na Dalekim Wschodzie, d'Argenlieu otrzymał jeszcze dodatkowe zadanie koordynowania działalności naszych przedstawicieli w Australii, Nowej Zelandii, Chinach, Hongkongu, Singapurze, Manili i Batawii. Jednocześnie Escarra, znany już Chińczykom jako specjalista prawa międzynarodowego, udał się do Czungkingu, aby nawiązać znowu kontakt z Czang Kai-szekiem i przygotować nawiązanie oficjalnych stosunków.

Nagle w pierwszych dniach grudnia pożoga wojenna ogarnęła także Ocean Spokojny. Po niespodziewanej napaści na Pearl Harbour Japończycy wylądowali na brytyjskich Malajach, w Indiach Holenderskich, na Filipinach i zajęli Guam, Wake i Hongkong. Na początku stycznia obiegli w Singapurze armię brytyjską, która wkrótce potem skapitulowała. Jednocześnie zajęli Manilę. Mac Arthur był obleżony na półwyspie Bataan. To, co słyszałem o tym generale, napełniało mnie wielkim szacunkiem dla niego. Pewnego dnia udałem się do ambasadora Stanów Zjednoczonych w Londynie, Johna Winant, zdolnego dyplomaty i szlachetnego człowieka, i oświadczyłem mu, co następuje: „Jako żołnierz i jako sojusznik muszę panu powiedzieć, że utrata Mac Arthura byłaby wielkim nieszczęściem. Nie mamy w naszym obozie zbyt wielu wybitnych dowódców. Mac Arthur należy do ich grona. Nie wolno go nam stracić. Otóż stracimy go, jeżeli jego rząd nie nakaze mu opuścić Bataan na przykład szybką łodzią motorową i wodnopłatowcem. Uważam, że należy wydać mu ten rozkaz, i proszę pana zakomunikować prezydentowi Rooseveltowi, iż takie jest w tej materii zdanie generała de Gaulle'a”. Nie wiem, czy mój krok wpłynął na powziętą potem decyzję. W każdym razie z wielkim zadowoleniem dowiedziałem się po jakimś czasie, że generał Mac Arthur przybył do Melburn.

Już od końca grudnia Nowa Kaledonia była zatem zagrożona, i to tym bardziej, że stanowiła boczną osłonę Australii, głównego celu przeciwnika. Tymczasem 22 grudnia Vichy, przewidując okupację przez Japończyków naszych wysp w Oceanii i chcąc niewątpliwie pod osłoną najeźdźcy podjąć próbę przywrócenia tam swojej władzy, mianowało admirała Decoux wysokim komisarzem w basenie Pacyfiku. Decoux przez radiostację w Sajgonie nieustannie podżegał ludność Nowej Kaledonii do rewolty przeciw Wolnej Francji. Jednocześnie d'Argenlieu, borykając się z wszelkiego rodzaju kłopotami i trudnościami, nadsyłał mi raporty tryskające energią, ale wolne od jakichkolwiek iluzji. Ze swej strony, zapewniając go o moim przekonaniu, iż zdoła przynajmniej uratować honor Francji, zarządziłem, aby wysłano mu do Numei jakieś posiłki, którymi dysponowaliśmy: kadry, artylerię morską, krążownik pomocniczy „Cap des Palmes” i wreszcie okręt podwodny „Surcouf”, po którym można było się spodziewać, że dzięki swej mocy i zasięgowi będzie mógł skutecznie działać na Pacyfiku. Niestety, w noc na 19 lutego w pobliżu wejścia do Kanału Panamskiego ten okręt podwodny — największy na świecie — zderzył się ze statkiem handlowym i zatonął wraz ze swym dowódcą komandorem porucznikiem Blaisinem i 130 ludźmi załogi.

Tymczasem pod wpływem wydarzeń współpraca z naszymi sojusznikami zaczynała przybierać bardziej zorganizowane formy. 15 stycznia Departament Stanu doręczył naszej delegacji w Waszyngtonie memorandum, w którym określał zobowiązania Stanów Zjednoczonych odnośnie do „poszanowania naszej suwerenności na wyspach francuskich na Pacyfiku”, a ponadto stwierdzał, że „bazy i urządzenia, które wolno im będzie zainstalować na tych wyspach, pozostaną własnością Francji; w razie utrzymania tych baz w okresie powojennym Francji przyznane zostanie prawo wzajemności na terytorium amerykańskim”. 23 stycznia Cordell Hull zatelegrafował mi, że „szefowie amerykańskiego i angielskiego sztabu generalnego doceniają znaczenie Nowej Kaledonii i zgodnie z warunkami przewidzianymi w memorandum z 15 stycznia przedsięwiorą środki, aby zapewnić jej obronę”. Sekretarz stanu uprzejmie wyrażał „nadzieję, że wspinała pomoc i współpraca okazywana dotychczas przez wysokiego komisarza Francji będzie trwała także i nadal”.

Po tych uprzejmościach nastąpiły niebawem praktyczne kroki. 25 lutego mogłem już zawiadomić d'Argenlieu, że generał Patch, mianowany dowódcą amerykańskich sił lądowych na Pacyfiku, otrzymał od swego rządu rozkaz udania się do Numei, aby porozumieć się z nim „bezpośrednio i w jak najbardziej przyjaciół-

skim duchu" w sprawach organizacji dowództwa. 6 marca zwrócono się do Francuskiego Komitetu Narodowego o wyznaczenie delegata do utworzonego w Londynie „Komitetu do Spraw Wojny na Pacyfiku”, w którego skład w celach wymiany informacji i propozycji wchodził delegaci Wielkiej Brytanii, Nowej Zelandii, Australii i Stanów Zjednoczonych. 7 marca rząd amerykański zwrócił się do nas z prośbą o zezwolenie na urządzenie baz na archipelagu Tuamotu i na Wyspach Towarzystwa, na co wyraziliśmy zgodę. Wreszcie 9 marca generał Patch na czele znacznych sił przybył do Numei.

Posiadłości francuskie na Pacyfiku miały więc odtąd szansę uniknięcia nieprzyjacielskiej inwazji. Jednakże zanim współpraca między naszymi sojusznikami a nami zaczęła funkcjonować w należyty sposób, musieliśmy jeszcze przezwyciężyć poważny kryzys. Między Patchem i d'Argenlieu początkowo panowała zgoda. Wkrótce jednak obecność amerykańskich wojsk, oddziaływanie dolarów i poczynania amerykańskich tajnych agentów zaczęły wśród ludności — opanowanej swoistym podnieceniem, jakie wytwarza oczekiwanie lada chwila nieprzyjacielskiego ataku — zaogniać utajone dotąd przyczyny wrzenia. Część milicji, ulegając lokalnym ambicjom, odmówiła posłuszeństwa wysokiemu komisarzowi i przeszła pod rozkazy Patcha, który popełnił ten błąd, iż osłonił ten akt niesubordynacji. Z drugiej strony gubernator Sautot, niechętnie znosząc zależność służbową od d'Argenlieu, usiłował wszelkimi sposobami zyskać sobie osobistą popularność, aby ją potem wykorzystać we własnych celach. Przez pewien czas tolerowałem jeszcze ten stan rzeczy, w końcu jednak wezwałem gubernatora Sautot do powrotu do Londynu, aby wyznaczyć mu inne stanowisko, odpowiadające zresztą jego zasługom. Sautot początkowo postanowił zastosować się do tego wezwania, lecz później, powołując się na „niezadowolenie, które otrzymany przez niego rozkaz wywołał wśród ludności”, zdecydował się samowolnie „odroczyć swój odjazd”.

Z zachowaniem należnych form, ale i z potrzebną stanowczością gubernator Sautot został mimo to doprowadzony na okręt, by zgodnie z moim wezwaniem udać się do Londynu; Montchamp wysłany został z Czadu jako jego następca, a pułkownik de Conchard z Londynu jako dowódca wojsk. Jednakże w Numei i w głębi wyspy wybuchły na tym tle gwałtowne zamieszki otwarcie podsycane przez Amerykanów. Przeczuwając, że mogą stąd wyniknąć nieprzyjemności, uprzedziłem o tym Waszyngton i jednocześnie dałem znać Patchowi, że „nie moglibyśmy tolerować jego ingerencji w wewnętrzne sprawy francuskie”. Jednocześnie jednak wezwałem d'Argenlieu, aby dołożył wszelkich starań

celem przywrócenia osobistych stosunków z Patchem opartych na zaufaniu i w miarę możliwości odniósł się z pewną życzliwością do ludności znajdującej się widocznie w stanie wielkiego podniecenia. Po trzech dniach zamieszek zdrowy rozsądek zwyciężył i d'Argenlieu znowu mocno trzymał w ręku ster władzy. Był na to zresztą najwyższy czas, gdyż 6 maja w Corregidor i 10 maja w Mindanao skapitulowały ostatnie siły amerykańskie na Filipinach, a na Morzu Koralowym, omywającym północno-wschodnie wybrzeża Australii, między flotą japońską i amerykańską zawiązała się bitwa morska, od której wyników wszystko zależało. Numea z godziny na godzinę mogła stać się przedmiotem ataku.

Wobec grożącego bezpośrednio niebezpieczeństwa ludność potępiając niedawne zaburzenia skupiła się wokół władz francuskich. Pewne wichrzycielskie elementy wysłano do szeregów wojska do Syrii. Z drugiej strony Patch odwiedził d'Argenlieu, aby go przeprosić za „nieporozumienie”, w które był wmieszany. Zatelegrafowałem do amerykańskiego generała zapewniając go, że cieszy się on moim zaufaniem i zaufaniem Wolnej Francji pod warunkiem, że będzie szedł ręką w rękę z wysokim komisarzem Francji. Potem Amerykanie i Francuzi zgodnie i ze zdecydowaniem zajęli swe stanowiska bojowe. Zresztą nie doszło do tego, by musieli ich bronić, gdyż Japończycy, pokonani na Morzu Koralowym, musieli zrezygnować z uderzenia na Australię i Nową Kaledonię.

Tak więc wojna zmuszała Stany Zjednoczone do utrzymywania z nami coraz ściślejszych stosunków. Trzeba powiedzieć, że nastroje w samej Ameryce bardzo temu sprzyjały. Wśród entuzjazmu wyprawy krzyżowej, do której pchnął naród amerykański jego wrodzony idealizm, i wśród olbrzymiego i wspaniałego wysiłku zbrojeniowego i mobilizacyjnego, który on sam postanowił sobie narzucić, bojownicy Wolnej Francji byli przez cały czas wysoce popularni. Odbijało się to na polityce. W lutym 1942 roku mogliśmy uzupełnić naszą delegację w Waszyngtonie misją wojskową, której kierownictwo powierzyłem pułkownikowi de Chevigné. 1 marca w deklaracji publicznej Ameryka uznała, że „wyspy francuskie na Pacyfiku znajdują się pod faktyczną kontrolą Francuskiego Komitetu Narodowego i rząd Stanów Zjednoczonych utrzymuje i nadal będzie utrzymywał stosunki z władzami sprawującymi tę kontrolę”. Jeżeli chodzi o Francuską Afrykę Równikową, to Departament Stanu oświadczył w komunikacie z 4 kwietnia, że i tutaj uznaje władzę Wolnej Francji, jednocześnie zaś mianował konsula generalnego Stanów Zjednoczonych w Brazzaville poprosiwszy nas uprzednio o udzielenie mu

exequatur. Gdy Stany Zjednoczone zwróciły się do nas o przyznanie im prawa użycia dla ich ciężkich bombowców lotniska w Pointe Noire, zgodziliśmy się na to pod warunkiem dostarczenia nam uprzednio ośmiu samolotów „Lockheed” niezbędnych dla naszych własnych komunikacji. Po trudnych pertraktacjach otrzymaliśmy te samoloty, dzięki czemu pułkownik de Marnier mógł zorganizować francuską linię lotniczą między Brazzaville a Damaszkim, a samoloty amerykańskie mogły korzystać z Pointe Noire jako lotniska pośredniego. Między Ameryką a nami atmosfera się przejaśniała, mimo że w żadnym momencie nie tylko nie zrzekliśmy się jakichkolwiek bądź interesów Francji, lecz przeciwnie, niezmiennie i z całą stanowczością stawaliśmy w ich obronie.

Podczas gdy krok za krokiem i nie bez trudu przewyżaliśmy dystans dyplomatyczny dzielący Waszyngton od Wolnej Francji, stosunki sojusznicze z Moskwą udało się nam nawiązać za jednym zamachem. Trzeba powiedzieć, że atak rozpętany przez Hitlera, stawiając Rosję w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, w znacznej mierze to ułatwił.

Kierownicy Kremla, których agresja hitlerowska wtrąciła w skrajne zamieszanie, niezwłocznie i bez zastrzeżeń zmienili swe stanowisko. I jeżeli radio moskiewskie jeszcze w momencie, gdy niemieckie czołgi przekraczały rosyjską granicę, nie przestawało pomstować na „angielskich imperialistów” i ich „degauillistowskich najemników”, to dosłownie już w godzinę później wychwalało Churchilla i de Gaulle'a.

W każdym razie dla rozgromionej Francji fakt, że Rosja została wciągnięta do wojny, otwierał daleko idące nadzieje. Było jasne, że jeżeli Niemcy nie zdołają szybko zlikwidować Armii Radzieckiej, będzie im ona stale zadawać straszliwe straty. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że ze zwycięstwa odniesionego przy kapitalnym udziale Rosji Radzieckiej powstać mogą dla świata nowe niebezpieczeństwa. Nie wolno było o tym zapominać walcząc przy jej boku. Uważałem jednak, że na razie nie czas na filozofię, przede wszystkim trzeba żyć, a żyć znaczy zwyciężyć. Rosja zaś stwarzała możliwości zwycięstwa. Z drugiej strony jej obecność w obozie aliantów dawała Francji Walczącej pewną przeciwwagę w stosunku do Anglosasów, z czego miałem zamiar skorzystać.

O rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich między Rosjanami i Niemcami dowiedziałem się 23 czerwca 1941 roku w Damaszk, dokąd udałem się po wkroczeniu naszych wojsk do tego miasta. Od razu powziąłem decyzję. Już 24 czerwca przekazałem delegacji w Londynie następujące telegraficzne instrukcje: „Nie

wdając się w chwili obecnej w dyskusje na temat błędów, a nawet przestępstw reżimu sowieckiego, powinniśmy proklamować — tak jak Churchill — że jesteśmy szczerze po stronie Rosjan, ponieważ walczą oni przeciw Niemcom... To nie Rosjanie uciskają Francję, nie oni okupują Paryż, Reims, Bordeaux, Strasburg... Zniszczone przez Rosjan samoloty, czołgi oraz zabici żołnierze niemieccy — nie przeszkadzają nam już ani teraz, ani w przyszłości w wyzwoleniu Francji". Taki ton zalecałem nadać naszej propagandzie. Jednocześnie poleciłem naszej delegacji, aby w moim imieniu złożyła Majskiemu, ambasadorowi radzieckiemu w Londynie, następujące oświadczenie: „Naród francuski solidaryzuje się z narodem rosyjskim w walce przeciw Niemcom. Wskutek tego pragniemy nawiązać współpracę militarną z Rosją".

Cassin i Dejean odbyli rozmowę z Majskim, który od razu zajął jak najbardziej pozytywne stanowisko. Jeżeli chodzi o dalsze praktyczne następstwa tego, to zerwanie stosunków między Vichy a Moskwą, którego Hitler zażądał od Laval'a, znacznie je ułatwiło. Toteż 2 sierpnia depeszą z Bejrutu poleciłem Cassinowi i Dejeanowi zapytać Majskiego, „czy Rosja byłaby skłonna nawiązać z nami bezpośrednie stosunki... i czy byłaby gotowa wystosować do nas deklarację, wyrażając zamiar przywrócenia niepodległości i wielkości Francji, obejmując tym zapewnieniem w miarę możliwości także integralność terytorialną".

Rokowania doprowadziły 26 września do wymiany listów między mną a Majskim. Ambasador ZSRR oświadczył w imieniu swego rządu, iż ten „uznaje mnie jako szefa wszystkich Wolnych Francuzów..., że jest gotów nawiązać stosunki z Radą Obrony Imperium Francuskiego we wszystkich sprawach dotyczących współpracy z terytoriami zamorskimi znajdującymi się pod moją władzą..., że gotów jest udzielić Wolnym Francuzom wszelkiej pomocy i poparcia we wspólnej walce... i jest zdecydowany zapewnić całkowite przywrócenie niepodległości i wielkości Francji..." Jednakże podobnie jak Wielka Brytania w układzie 7 sierpnia 1940 roku Związek Radziecki nie wspomniał o integralności naszego terytorium.

Wkrótce potem rząd radziecki akredytował Bogomołowa jako swego reprezentanta przy naszym Komitecie Narodowym. Bogomołow przybywał z Vichy, gdzie od roku był ambasadorem przy Pétainie. Przystosował się on bez żadnych trudności do — co najmniej nowych w porównaniu z Vichy — warunków, w których miał teraz pełnić swe funkcje. Nigdy jednak nie usłyszałem z jego ust nieżyczliwej uwagi pod adresem Pétaina czy jego ministrów, przy których dotąd reprezentował swój rząd. W jednej z naszych rozmów opowiedział mi nawet, co następuje:

„W Vichy miałem dużo wolnego czasu; spędzałem go spacerując incognito za miastem i rozmawiając z prostymi ludźmi. Któregoś dnia pewien chłop idący za swym pługiem powiedział mi: «Bardzo to smutne, że Francuzi zostali pobici. Ale spójrz pan na to pole. Mogę je uprawiać, ponieważ umieliśmy się tak porozumieć, żeby Niemcy mi je pozostawili. Zobacz pan, że niedługo potrwa, a potrafimy się też porozumieć, żeby się wynieśli z Francji»".

Pomyślałem, że tym opowiadaniem ilustrującym teorię „tarczy i miecza" Bogomołow chciał mi pokazać, że dobrze rozumiał sytuację Francji, a jednocześnie wyjaśnić powody kolejnych zmian w stanowisku Rosji Radzieckiej.

Od tego czasu często widywałem się z Bogomołowem. W granicach, w jakich nakazana linia postępowania pozwalała mu przejawiać ludzkie uczucia, wykazywał je w każdym swym kroku i każdej wypowiedzi. Sztwywny, zawsze czujny i cały jakby z jednej bryły, gdy doręczał lub przyjmował urzędowe deklaracje, ten człowiek wielkiej kultury był w innych warunkach ujmująco uprzejmy i wolny od wszelkiego przymusu. O ludziach i sprawach mówił z humorem, niekiedy nawet uśmiechał się.

Przebywając w jego towarzystwie przekonałem się, że jeżeli radziecka reguła nakłada na swych podwładnych pancierz, w którym nie ma najmniejszej szczeliny, to jednak nie może przeszkodzić temu, iż pod tym pancierzem bije serce żywego człowieka.

Z naszej strony dla celów łączności wojskowej wysłaliśmy do Moskwy generała Petit. Rząd radziecki od razu odniósł się do niego życzliwie i z szacunkiem. Zapraszano go na konferencje w sztabie generalnym, organizowano mu wyjazdy na front, został nawet przyjęty osobiście przez Stalina. Zastanawiałem się, czy wszystkie te dowody kurtuazji wobec generała Petit wypływają tylko z pobudek zawodowych. W każdym razie raporty nadchodzące z różnych źródeł wywoływały wrażenie, że armie rosyjskie, odrzucone w pierwszej fazie ofensywy niemieckiej, stopniowo przychodziły do siebie, że wzmagał się opór szerokich mas narodu, że w obliczu niebezpieczeństwa narodowego Stalin, mianowawszy sam siebie marszałkiem, nigdy więcej nie rozstawał się z mundurem i starał się występować już nie tyle jako przedstawiciel panującego reżimu, ile jako wódz odwiecznej Rosji.

Na ścianach naszych gabinetów wisiały mapy, na których śledziliśmy olbrzymią bitwę i obserwowaliśmy rozwój gigantycznych wysiłków Niemców. Ich trzy grupy armii — von Loeba, von Bocka i von Rundstedta — w ciągu czterech miesięcy wdarły się daleko w głąb terytoriów rosyjskich, wzięły kilkaset tysięcy jeńców i zagarnęły ogromną zdobycz wojenną. Ale w grudniu na przedpolach Moskwy zdecydowana akcja Żukowa, której przy-

szła z ogromną pomocą surowa i wczesna zima, zatrzymała, a następnie odrzuciła najeźdźcę. Leningrad nie padł. Sewastopol jeszcze się trzymał. Stawało się widoczne, że Hitler nie zdołał narzucić dowództwu niemieckiemu jedynej strategii, która mogła przynieść decydujący sukces, a mianowicie skoncentrowania wszystkich sił zmechanizowanych na kierunku stolicy radzieckiej, aby uderzyć przeciwnika w samo serce. Mimo bezprzykładnych zwycięstw w kampaniach polskiej, francuskiej i bałkańskiej fuhrer uległ tym razem dawnym błędom dzieląc środki uderzeniowe pomiędzy trzech marszałków i rozwijając front zamiast działać metodą taranu. Rosjanie otrząsnąwszy się z pierwszego zaskoczenia i walcząc na ogromnych przestrzeniach kazali mu drogo za to zapłacić.

Na razie usiłowaliśmy udzielić frontowi wschodniemu pewnej, choćby bardzo skromnej pomocy. Nasze korwety i statki towarowe brały udział w konwojach alianckich, w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach dostarczających przez Ocean Lodowaty materiały do Murmańska. Ponieważ początkowo nie udało mi się uzyskać od Anglików zgody na to, aby dwie lekkie dywizje sformowane na Bliskim Wschodzie przez generała Larminat zostały wprowadzone do akcji w Libii, wydałem w lutym generałowi Catroux rozkaz, by przygotował przerzucenie jednej z tych dywizji przez Iran na Kaukaz, co wzbudziło zachwyt Rosjan, a zaniepokoiło Anglików. Później, gdy wojska generała Larminat ostatecznie zostały użyte w walce przeciwko Rommlowi, wysłałem do Rosji lotniczą grupę myśliwców „Normandie”, nazwaną później pułkiem „Normandie-Niemen”, która dała w Rosji wspaniałe dowody męstwa i odwagi i była jedyną jednostką wojskową zachodnich aliantów walczącą na froncie wschodnim. I odwrotnie, do Londynu pod dowództwem kapitana Billotte przybyło kilkunastu francuskich oficerów i około 200 żołnierzy, którym udało się zbiec z niemieckiej niewoli i przedostać się do Rosji, gdzie zresztą zostali internowani. Teraz, po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej, zostali oni zwolnieni i powrócili do nas konwojem wracającym z Archangielska przez Szpicbergen.

20 stycznia 1942 roku przemawiając przez radio witałem przywrócenie militarnej potęgi Rosji i potwierdziłem ponownie sojusz łączący nasze dwa kraje, zarówno obecnie, jak i na przyszłość. W lutym dotychczasowy poseł francuski w Bangkoku, Roger Garreau, który przystąpił do Wolnej Francji, został wysłany do Moskwy jako delegat Komitetu Narodowego. W ciągu następnych trzech lat bardzo rozumnie i skutecznie reprezentował on Francję w Rosji, nawiązał rozległe kontakty w granicach, w jakich to było możliwe w warunkach tamtejszego reżimu, i do-

starczał nam cennych informacji. Od razu po objęciu swego stanowiska spotkał się z komisarzem ludowym spraw zagranicznych Mołotowem i jego zastępcami Wyszyńskim i Łozowskim. Wszyscy trzej z naciskiem podkreślali pragnienie swego rządu nawiązania z Francją Walczącą jak najściślejszych stosunków.

W maju Mołotow przybył do Londynu. 24 maja miałem z nim wyczerpującą rozmowę, w której jemu towarzyszył Bogomołow, mnie zaś Dejean. Zarówno tego dnia, jak i później miałem wrażenie, że Mołotow zarówno fizycznie, jak i umysłowo był jakby stworzony do pełnienia wykonywanych przez siebie funkcji. Niezmiernie poważny, bardzo powściągliwy w ruchach, przejawiający uprzejmą, ale powściągliwą poprawność, radziecki minister spraw zagranicznych, kontrolując każde swoje słowo, mówił z rozwagą to, co miał do powiedzenia, i uważnie słuchał innych. Z ust jego nigdy nie padło ani jedno spontaniczne słowo. Nie można go było wzruszyć, rozśmieszyć czy rozgniewać. Niezależnie od tego, jakie zagadnienie poruszano, dawało się odczuć, że znakomicie je znał, że bezbłędnie chwycił wszystkie nowe dane, które można było zaczerpnąć z rozmowy, i że precyzyjnie formułując oficjalne stanowisko nie wyjdzie poza granice z góry ustalonych instrukcji. Niewątpliwie swego czasu zawarł z Ribbentropem układ niemiecko-radziecki z tą samą pewnością, z jaką obecnie pertraktował o zawarcie układu z państwami zachodnimi. Myślę, że p. Mołotow, który nie był i nie chciał być niczym innym, niż doskonale wmontowanym elementem nieubłaganego mechanizmu, przedstawiał sobą arcydzieło ich systemu. Złożyłem hołd jego wielkości, lecz pomijając to wszystko, co ukrywano przede mną z istotnego stanu rzeczy, nie mogłem się pozbyć pewnej melancholii.

W toku naszej rozmowy w Londynie radziecki minister spraw zagranicznych uzgodnił ze mną to, co w bezpośredniej przyszłości jego rząd i Francuski Komitet Narodowy mogły wzajemnie uczynić dla siebie. Wolna Francja miała nakłaniać amerykańskich i brytyjskich sojuszników do jak najszybszego otwarcia drugiego frontu w Europie. Miała ponadto przez swą postawę dyplomatyczną i publiczną przyczynić się do zlikwidowania izolacji, w jakiej Rosja Radziecka od dawna się znajdowała. Ze swej strony Rosjanie mieli w Waszyngtonie i Londynie popierać nasze wysiłki zmierzające do przywrócenia drogą walki jedności Imperium Francuskiego i jedności naszego narodu. Odnosiło się to do administracji naszych terytoriów zamorskich, na przykład Madagaskaru, różnych tzw. akcji równoległych, lecz w rzeczywistości odśrodkowych, które Anglicy popierali z uszczerbkiem dla naszej sprawy, i wreszcie różnych grup Ruchu Oporu we Francji, przy czym Moskwa uznawała, że żaden obcy rząd, nie wyłą-

czając rządu radzieckiego, nie ma prawa nakłaniać żadnej z tych grup do nieposłuszeństwa wobec generała de Gaulle'a. Jeżeli chodzi o przyszłość, byliśmy zgodni co do tego, że Francja i Rosja porozumieją się ze sobą w sprawie przyszłych problemów pokoju. „Mój rząd — powiedział mi Mołotow — jest sojusznikiem rządu londyńskiego i waszyngtońskiego. W interesie wojny powinniśmy ściśle współpracować z nimi. Ale z Francją Rosja pragnie mieć niezależny od tego sojusz.”

Wysiłki Wolnej Francji zmierzające do rozszerzenia swych stosunków dyplomatycznych na Waszyngton i Moskwę nie zmieniły faktu, że jej centralny ośrodek funkcjonował nadal w Londynie. Cała nasza działalność: działania wojskowe, łączność z metropolią, propaganda, informacja, finanse, gospodarka terytoriów zamorskich, była siłą rzeczy nierozzerwalnie związana z działalnością Anglików. Wynikała stąd dla nas konieczność utrzymywania z nimi ściślejszych stosunków niż kiedykolwiek przedtem. Ale w miarę tego, jak sami rośliśmy w siłę, ich mieszanie się do naszych spraw stawało się dla nas coraz dokuczliwsze. A przecież przystąpienie Rosji i Ameryki do wojny, pociągające za sobą dla Anglii uciążliwe serwituty związane z sojuszem z tymi dwoma kolosami, powinno by było skłonić ją do tego, aby zbliżyła swą politykę do naszej i działania w Europie, na Wschodzie, w Afryce i na Pacyfiku prowadziła z nami solidarnie. Chętnie powitalibyśmy tego rodzaju zmianę i mieliśmy niekiedy wrażenie, że i niektórzy czołowi działacze angielscy również się ku temu skłaniali.

Skłaniał się do tego na przykład Anthony Eden. Ten angielski polityk, chociaż w każdym calu Anglik i minister, przejawiał szerokość poglądów i wrażliwość umysłu właściwe raczej kontynentalnym Europejczykom niż synom Albionu i raczej zwykłym śmiertelnikom niż osobom urzędowym. Wychowany w duchu brytyjskich tradycji — Eton, Oksford, partia konserwatywna, *Foreign Office* — był niemniej jednak dostępny dla wszystkiego, co spontaniczne i nowatorskie. Ten całkowicie oddany interesom swego kraju dyplomata nie lekcewał interesów innych narodów i wśród cynizmu i brutalności swoich czasów starał się pozostać wierny zasadom moralności międzynarodowej. Często miałem z nim do czynienia. Wiele spraw, o których wypadło nam traktować, było nader nieprzyjemnych. W większości wypadków nie tylko podziwiałem jego błyskotliwą inteligencję, jego znajomość spraw i osobisty urok, ale także sztukę, z jaką umiał stwarzać i utrzymywać podczas pertraktacji atmosferę przyjaźni, co ułatwiało osiągnięcie porozumienia, gdy ono było możliwe, i nie powodowało zadrażnień, gdy okazywało się nieosiągalne. Przy

tym jestem przekonany, że Anthony Eden odnosił się do Francji z uczuciem szczególnej miłości. To z Francji zaczerpnął on dużą część swej osobistej kultury. Jego rozum polityczny mówił mu, że Francja jest niezbędna dla utrzymania równowagi świata atakowanego przez najróżniejszego rodzaju barbarzyństwo. Wreszcie ten człowiek gorącego serca nie mógł pozostać obojętny wobec nieszczęścia, które spotkało wielki naród.

Jednakże dobre chęci Edena nie mogły uczynić z naszego sojuszu róży bez kolców. Przyznaję, że niejednokrotnie miał on prawo odczuwać żal spotykając się w naszym środowisku z pewną nieufnością i podejrzliwością. Trudności jednak powstawały głównie po stronie angielskiej: podejrzliwość *Foreign Office*, roszczenia kolonialistów, uprzedzenia kół wojskowych, intrygi *Intelligence Service*. Przy tym koła polityczne Londynu, chociaż na ogół życzliwe dla Wolnej Francji, ulegały niekiedy wpływom nie zawsze dla niej życzliwym. Niektóre koła konserwatywne patrzyły spode łba na tych Francuzów spod znaku Krzyża Lotaryngii, którzy mówili o rewolucji. Różne ugrupowania labourzystowskie, przeciwnie, pytały, czy de Gaulle czasem nie zmierza do faszyzmu. Jeszcze dzisiaj pamiętam, jak kiedyś po cichu wszedł do mego gabinetu Attlee prosząc mnie o zapewnienia, które mogłyby uspokoić jego sumienie demokracji, i jak po naszej rozmowie opuścił gabinet z uśmiechem na twarzy.

W ostatecznej instancji wszystko zależało od premiera. On zaś w głębi duszy nie mógł zdobyć się na to, aby uznać niezawisłość Wolnej Francji. Poza tym Churchill, gdy ścieraliśmy się ze sobą z racji interesów, które każdy z nas reprezentował, uważał każde takie nieporozumienie jak gdyby za sprawę osobistą. Martwiło go to tym bardziej, im bliższa była łącząca nas przyjaźń. Tego rodzaju nastroje i uczucia w połączeniu z jego metodami taktyki politycznej powodowały u niego częste wybuchy gniewu, które poważnie komplikowały nasze stosunki.

Były zresztą i inne powody, które przyczyniały się do popędliwości tego wielkiego człowieka. Chociaż Anglicy prześcigali się wtedy w godnych podziwu wysiłkach, szczególnie w walce przeciwko okrętom podwodnym, to jednak ponosili niekiedy porażki tym dotkliwsze, że zadawane przez przeciwnika nie zawsze posiadającego przewagę materialną. 10 grudnia 1941 roku u wybrzeży Malajów wspaniały pancernik „Prince of Wales” i wielki krążownik „Repulse” zostały zatopione przez japońskie samoloty nie zdążwszy wystrzelić ani jednego pocisku ze swych dział. 15 lutego 1942 roku 73 000 brytyjskich żołnierzy skapitulowało w Singapurze po krótkim oporze. W czerwcu mimo poważnych

środków nagromadzonych przez Anglików na Wschodzie Rommel przełamał front 8 armii i odrzucił ją aż pod bramy Aleksandrii, a 33 000 ludzi mających bronić Tobruku poddało się Niemcom z trudnym do usprawiedliwienia pośpiechem. Churchill lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał ujemne następstwa tych niepowodzeń dla przebiegu wojny. Przede wszystkim jednak cierpiał wskutek nich jako Anglik i jako żołnierz.

Trzeba dodać, że w kierowniczych kołach angielskich byli ludzie, którzy działając z za węgła zrzucaли na niego odpowiedzialność za to lub inne niepowodzenie. Chociaż cała Anglia strzegła Winstona Churchilla jak żrenicy oka, to jednak padały pod jego adresem nieżyczliwe uwagi. Można je było czytać w prasie i słyszeć w parlamencie, szeptano je sobie na ucho w komisjach, podawano z ust do ust w klubach. W tych warunkach Churchill w ciągu pierwszych miesięcy 1942 roku nie miał powodu okazywać uprzejmości lub uступliwości wobec kogokolwiek, a już najmniej wobec mnie.

Wreszcie, a może i przede wszystkim, premier przyjął za zasadę nie robić żadnego ważniejszego kroku bez porozumienia z Rooseveltem. Chociaż bardziej niż jakikolwiek inny Anglik odczuwał niewłaściwość metod Waszyngtonu i z trudem znosił stan zależności, w który Stany Zjednoczone stawiały Imperium Brytyjskie, a także gorzko odczuwał ton wyższości, stosowany wobec niego przez prezydenta, to jednak postanowił niezłomnie znieść to wszystko w imię wyższej konieczności sojuszu z Ameryką. Toteż nie zamierzał zajmować wobec Wolnej Francji stanowiska różniącego się od stanowiska Białego Domu. Ponieważ Roosevelt nie miał zaufania do de Gaulle'a, więc i Churchill musiał być powściągliwy.

Gdy we wrześniu 1941 roku powróciłem do Londynu, Churchill był w szczególnie złym humorze. Trudno mu było pogodzić się z tym, co zaszło między nami i Anglią w Syrii i Libanie. 2 września posunął się nawet do tego, że napisał mi, iż wobec zajętego przeze mnie stanowiska nie uważa za stosowne na razie spotkać się ze mną. W Izbie Gmin złożył 9 września niepokojącą deklarację. Wprawdzie stwierdzał w niej, że „spośród wszystkich państw europejskich Francja korzysta na Bliskim Wschodzie z najbardziej uprzywilejowanej sytuacji”, ale ośmielił się dodać, że „nie ma mowy o tym, żeby Francja zachowała w Syrii tę samą pozycję, jaką tam posiadała przed wojną... i że nawet w okresie wojny nie wchodzi w rachubę, aby wpływy Wolnych Francuzów miały po prostu zastąpić wpływy Vichy”. Jak zwykle, tak i tym razem niezadowoleniu Churchilla towarzyszyło systematyczne napięcie w stosunkach francusko-brytyjskich.

Rząd londyński przez szereg dni zachowywał się tak, jak gdyby nie miał z nami żadnych spraw, i zamykał przed nami wszystkie drzwi. Skłoniło mnie to do tego, by ze swej strony zaprzestać na razie wszelkiej współpracy Wolnych Francuzów w radio londyńskim. Jednakowoż jak zawsze, tak i tym razem wahało przesunęło się znowu na drugą stronę i po wszystkich tych nieprzyjemnościach stosunki znów zostały wznowione. 15 września miałem z Churchillem rozmowę, która, chociaż źle się zaczęła, dobrze się skończyła. Ostatecznie Churchill zapewnił mnie, że polityka jego rządu w sprawach Bliskiego Wschodu trzymać się nadal będzie tego, co zostało ustalone w naszych układach kairskich.

Chcąc tę sprawę wyjaśnić bez reszty odbyłem w październiku i w listopadzie szereg rozmów z Edenem. Doszliśmy w końcu do porozumienia ściśle określającego najistotniejsze zagadnienia. Anglia uznawała, że mandat francuski zachowuje moc i jest sprawowany przez generała de Gaulle'a, dopóki nie zostanie zastąpiony traktatami należycie ratyfikowanymi zgodnie z przepisami ustawodawstwa Republiki Francuskiej, to znaczy praktycznie biorąc — po wojnie. Uznawała, że proklamowanie niepodległości Syrii i Libanu przez Wolną Francję nie zmienia tego stanu prawnego. Ponadto zostało stwierdzone, że układy Lyttelton — de Gaulle pozostają podstawą prawną stosunków francusko-angielskich na Wschodzie.

I rzeczywiście, gdy generał Catroux 27 września proklamował niepodległość i suwerenność republiki syryjskiej z prezydentem Szeikiem Tadžedinem na czele, a 26 listopada — republiki libańskiej z Alfredem Nakkaszem jako prezydentem, Anglia, chociaż poprzednio sprzeciwiała się tym decyzjom, teraz, po ich powzięciu, pogodziła się z nimi i od razu uznała obie republiki i ich prezydentów. Z drugiej strony powiadomiłem 28 listopada sekretarza generalnego Ligi Narodów, a 29 listopada rząd amerykański i wszystkie inne państwa sprzymierzone, jak również Turcję o aktach dokonanych w moim imieniu w Syrii i Libanie. „Akta te — stwierdzały noty — nie naruszają sytuacji prawnej wynikającej z mandatu, która powinna zachować moc aż do zawarcia nowych aktów międzynarodowych.” Rząd brytyjski nie podniósł żadnych zastrzeżeń przeciwko tym oświadczeniom, a nawet sam je zasugerował.

Można więc było myśleć, że sprawa została załatwiona, przynajmniej aż do zawarcia pokoju. Przy całej mej ostrożności napisałem osobiście do naszej generalnej delegatury na Bliskim Wschodzie, że, moim zdaniem, „Anglia wobec trudności, które napotyka w krajach arabskich, jest równie jak my ożywiona

pragnieniem, aby małostkowe nieporozumienia przeszłości ustąpiły miejsca solidarności dwóch największych mocarstw muzułmańskich". Polecałem więc naszej delegacji, „aby unikała wszystkiego, co mogłoby zwiększyć trudności naszych sojuszników, i nie zaniedbywała niczego, co mogłoby ułatwić ich zadanie, nie dopuszczając jednakże do żadnych zamachów na prawa i pozycję Francji". Okazało się niestety, że moje rachuby opierały się na nierealnych podstawach. W rzeczywistości polityka brytyjska, choć teoretycznie nie kwestionowała naszych praw, w praktyce je ignorowała.

Nieustanne incydenty: bezprawna rekrutacja przez Anglików kawalerii druzyskiej, odrzucona oczywiście przez nas próba ogłoszenia na własną rękę stanu oblężenia, to znaczy próba uchwycenia władzy w swe ręce w Dżezire, gdzie wybuchły zamieszki w związku z rewoltą w Iraku, niedopuszczalna ingerencja w działalność utworzonego przez nas w krajach Lewantu urzędu zbożowego, do którego Anglicy chcieli należeć, aby móc się mieszać do spraw administracji lokalnej, groźba, zresztą bezskuteczna, generała Wilsona wysiedlenia pewnych funkcjonariuszy francuskich, którzy mu byli nie na rękę, stanowisko Spearsa wygłaszającego pod naszym adresem nieżyczliwe uwagi lub pogróżki i stale mieszanego się do stosunków między naszą generalną delegaturą a rządami w Damaszku i Bejrucie — wszystko to podtrzymywało na Wschodzie stan ciągłych nieporozumień francusko-angielskich.

Generał Catroux prowadził swą łódź poprzez wszystkie te rafy podwodne. Chociaż był skłonny do porozumienia i czynił Anglikom więcej ustępstw, niż bym sam tego pragnął, stawał coraz to w obliczu nowych żądań. Stąd wieczne naprężenie na Bliskim Wschodzie i toczące się w atmosferze zażartych sporów pertraktacje w Londynie.

W maju 1942 roku Anglicy zaczęli naciskać, aby wybory w Syrii i Libanie odbyły się niezwłocznie. Nasz Komitet Narodowy, oczywiście, nie był przeciwny przeprowadzeniu konsultacji ludowej, która wyłoniłaby prawdziwie reprezentatywne rządy. Rządy powołane przez nas nosiły charakter tymczasowy. Dotyczyło to przede wszystkim Damaszku. Ze swej strony żałowałem, że prezydent Haszem-bej nie objął znowu swego stanowiska. Uważaliśmy jednak, że z przeprowadzeniem powszechnych wyborów w Syrii i Libanie należy poczekać do końca wojny, to znaczy do chwili, kiedy obydwa państwa znajdą się znowu w sytuacji normalnej, gdy nasza odpowiedzialność jako państwa sprawującego mandat i odpowiedzialnego za ich obronę będzie łatwiejsza i gdy Anglicy, już nieobecni na terytorium tych krajów, nie będą mogli

wywierać wpływu na wynik wyborów. Jednakże generał Ca-troux ulegając naciskom Caseya, następcy Lytteltona w Kairze, przyrzekł mu przeprowadzić wkrótce wybory, co prasa od razu podała do wiadomości. Musiałem pogodzić się z tym porozumieniem, chociaż dałem polecenie, aby nieco odroczyć termin wyborów. Łatwo jednak było przewidzieć, że sprawa ta stanie się odtąd nie wysychającym źródłem tarć między Francją a Anglią. Nie brakło ich także gdzie indziej. W sprawie Dżibuti nasi sojusznicy prowadzili podwójną grę. Podczas gdy nasze nieznaczące siły — batalion pod dowództwem majora Bouillona i mecharyści — kontynuowały blokadę od strony lądu, Anglicy zaniechali jej od strony morza. Z Adenu na arabskich żaglówkach i z Madagaskaru na okrętach podwodnych i statku „d'Iberville” nadchodziło do Dżibuti zaopatrzenie, co miało na celu podtrzymywać w tej kolonii politykę wyczekiwania. Tymczasem Anglicy prowadzili pertraktacje z Negusem co do zawarcia traktatu ustanawiającego ich protektorat nad Etiopią. Akcja prowadzona przez Anglię w Addis-Abebie tłumaczyła jej bezczynność w sprawie Dżibuti. Gdyby bowiem Wolna Francja dzięki angielskiej pomocy mogła szybko przyłączyć francuskie Somali i w wyniku tego uzyskać port, linię kolejową i znaczne siły wojskowe, wówczas sama mogłaby zaofiarować Abisyńczykom dostęp do morza i bezpieczeństwo, o które im chodziło. Natomiast dopóki w Dżibuti siedzieli vichyści, Anglicy trzymali los cesarza Abisynii i jego kraju wyłącznie we własnych rękach. To było powodem, że Gastonowi Palewskiemu nie udawała się skuteczna blokada Dżibuti. Tak samo nie zdołał on nakłonić Anglików i Abisyńczyków, by zamiast układu dwustronnego zawarli układ trzystronny. Niemniej jednak działalność Palewskiego i jego pomocników, podpułkownika Apperta, dowódcy naszego oddziału, i Chancela, młodego dyplomaty w Nairobi, doprowadziła później do pomyślnych rezultatów. Kontakty nawiązane stopniowo z różnymi kołami francuskimi w Dżibuti, jak również propaganda prowadzona przez nich za pomocą ulotek i radia oraz ich stosunki z generałem Platem doprowadziły do tego, że w odpowiedniej chwili przyłączenie Somali do Wolnej Francji byłoby już tylko formalnością. Z drugiej strony przywrócili oni reprezentację Francji w Addis-Abebie. Nasze prawa do linii kolejowej były zachowane, nasze organizacje świeckie i religijne, zawieszone podczas okupacji włoskiej, podjęły znowu działalność, a poselstwo francuskie znów otworzyło swe wrota. Chociaż żałowałem straconego czasu, to jednak widziałem, jak nasze wysiłki nad brzegami Morza Czerwonego zaczynają przynosić owoce.

Nagle jednak interwencja Anglików w innej części naszego imperium spotęgowała do maksimum mój niepokój i oburzenie. 5 maja 1940 roku pewna agencja prasowa powiadomiła mnie o godzinie trzeciej nad ranem, że eskadra brytyjska wysadza na ląd wojska w zatoce Diego-Suarez, na północnym wybrzeżu Madagaskaru. Nasi sojusznicy przemocą zajęli francuską posiadłość nie zasięgnąwszy nawet naszej opinii!

Od czasu wydarzeń w Pearl Harbour wielokrotnie podejmowałem kroki, aby uzgodnić z rządem londyńskim przyłączenie Madagaskaru do Wolnej Francji: 10 grudnia konferowałem z generałem Brooke, szefem imperialnego sztabu generalnego; 16 grudnia wystosowałem list do Churchilla; 11 lutego doręczyłem projekt operacji premierowi, generałowi Brooke i wysokiemu komisarzowi Unii Południowoafrykańskiej; 19 lutego pisałem ponownie do Churchilla; wreszcie 9 kwietnia wystosowałem pilną notę do Edena. We wszystkich tych dokumentach proponowałem szybkie przeprowadzenie akcji przez brygadę Wolnych Francuzów, która po wylądowaniu w Majounga pomaszerowałaby do stolicy Madagaskaru Tananarive, w razie potrzeby przy wsparciu lotnictwa brytyjskiego, podczas gdy nasi sojusznicy przeprowadziliby dywersję blokując Diego od strony morza. Jednocześnie żądałem, aby Komitet Narodowy przejął administrację wyspy.

Tymczasem uważając, że Unia Południowoafrykańska jest bezpośrednio zainteresowana w tej sprawie, informowałem się co do ewentualnych projektów rządu w Pretorii. Już w końcu 1941 roku wysłałem tam pułkownika Pechkoffa jako delegata Wolnej Francji. Zdobył on sobie taką osobistą sympatię generała Smutsa, że liczyłem na to, iż gdyby Unia miała przedsięwziąć jakieś działania, jej premier nie ukrywałby tego przed moim zręcznym i wiernym przedstawicielem. Wreszcie w marcu 1942 roku generał-lekarz Sicé, wysoki komisarz w Brazzaville, odwiedził Afrykę Południową. Z rozmów przeprowadzonych ze Smutsem i ministrami odniósł wrażenie, że Unia sama nie przedsięwzięmie żadnych kroków na Madagaskarze. Wszystkie więc swoje wysiłki rozwinąłem w Londynie, przekonany, że nie ma się co bawić w żadne skrupuły.

Istotnie, od czasu przystąpienia Japonii do wojny Madagaskar był zagrożony. Należało przewidywać, że Niemcy wcześniej lub później zmuszą rząd Vichy, aby co najmniej pozwolił grasującym po morzach japońskim krążownikom i okrętom podwodnym korzystać z baz na Madagaskarze celem paraliżowania żeglugi alianckiej na wodach Afryki Południowej.

Dzięki ochotnikom, którym od czasu do czasu udawało się zbiec z Madagaskaru, oraz załogom statków zarzucających kotwicę w je-

go portach, byliśmy dość dobrze poinformowani o nastrojach panujących na wyspie. Zawieszenie broni 1940 roku początkowo przyjęto tu bardzo niechętnie. Gubernator generalny de Coppet mógłby być wtedy bez trudu przeprowadzić przyłączenie Madagaskaru do Wolnej Francji, gdyby pozostał wierny swym własnym deklaracjom, na co się jednak nie zdecydował. Zresztą Vichy niebawem odwołało go z tego stanowiska, a jego następcą Cayla, mając przy swym boku generała lotnictwa Jeanaud, starał się uścić wolę oporu. Z kolei i on ustąpił miejsca nowemu generalnemu gubernatorowi Anetowi. Gdyby Pétain polecił pozostawić Japończykom swobodę działania na Madagaskarze, rozkaz ten niechybnie zostałby wykonany. Tak samo wykonano by jego rozkaz stawienia oporu desantowi alianckiemu. Otóż było jasne, że Anglosasi wcześniej czy później będą chcieli zapewnić sobie posiadanie tej wyspy. Wtedy jednak, zważywszy tradycyjne dążenia polityki brytyjskiej, wszystko nakazywało Francji wziąć udział w tej operacji.

Łatwo więc zrozumieć, jak bardzo zaniepokoiły mnie działania i metody Anglików. Tym bardziej, że właśnie w dniu ataku na Diego-Suarez rząd waszyngtoński ogłosił komunikat stwierdzający, że „Stany Zjednoczone i Wielka Brytania są zgodne co do tego, że Madagaskar zostanie zwrócony Francji z chwilą, gdy okupacja tej wyspy nie będzie już miała istotnego znaczenia dla wspólnej sprawy Narodów Zjednoczonych”. A zatem na razie Madagaskar miał być Francji zabrany? I jakiemuż państwu, jeżeli nie jednemu z dwóch mocarstw anglosaskich, miałby wówczas być przekazany? W czym wtedy wyrazi się na wyspie udział Francji w wojnie? I co w przyszłości pozostanie tu z prestiżu Francji?

Musieliśmy działać oględnie. Umyślnie czekałem sześć dni, zanim udałem się do Edena na rozmowę, o którą mnie prosił. Odbyła się ona 11 maja. Minister brytyjski przejawiał w niej pewne zakłopotanie.

— Zapewniam pana — oświadczył mi — że nie mamy żadnych zamiarów co do Madagaskaru. Pragniemy, aby władze francuskie nadal sprawowały tam administrację.

— Które władze francuskie? — zapytałem.

Z wypowiedzi Edena wywnioskowałem, że Anglicy zamierzają nawiązać pertraktacje z gubernatorem generalnym Anetem, aby znaleźć *modus vivendi*, pozostawiając wszystko na Madagaskarze w dotychczasowym stanie, w zamian za co alianci pozostaliby w Diego-Suarez roztaczając stąd nadzór nad resztą wyspy.

Oświadczyłem Edenowi, że jesteśmy temu przeciwni.

— Albo ten plan się uda — powiedziałem — a wtedy wynik-

nie z tego neutralizacja terytorium francuskiego pod gwarancją aliantów, na co się nigdy nie zgodzimy, albo się nie uda, a wtedy będziecie za kilka tygodni musieli sami podjąć ekspedycję w głąb wyspy, co będzie wyglądało na podbój. Wydaje mi się zresztą bardzo prawdopodobne, że nastąpi właśnie ta druga ewentualność, gdyż Niemcy potrafią zmusić Vichy do tego, aby przeciwstawić się wam z bronią w ręku.

— Istotnie — przyznał Eden — wszczynamy akcję grożącą wieloma komplikacjami. Ale mogę zapewnić pana, iż rząd mój pragnie i liczy na to, że ostatecznie pan obejmie władzę na Madagaskarze. Jesteśmy gotowi oświadczyć to publicznie.

Uzgodniliśmy, że gabinet londyński ogłosi utrzymany w tym duchu komunikat, co też uczynił składając 14 maja następującą deklarację: „Co się tyczy Madagaskaru, to jest zamiarem rządu Jego Królewskiej Mości, aby Francuski Komitet Narodowy jako przedstawiciel Francji Walczącej i z uwagi na fakt, że współpracuje ze Zjednoczonymi Narodami, odegrał należną mu rolę w administrowaniu wyzwolonym terytorium”.

Było to ze strony Anglii poważne zobowiązanie. Stwierdziłem to nazajutrz w moim przemówieniu radiowym. Ze swej strony dałem wyraz naszemu zaufaniu do lojalności aliantów. Odrzucałem jednak publicznie możliwość jakiegokolwiek kompromisu w sprawie Madagaskaru oświadczając, że jest wolą Francji nie dopuścić ani do rozbioru, ani do neutralizacji swego imperium. „Francja — dodałem — pragnie, by w jej imieniu Francja Walcząca kierowała i organizowała wysiłek francuski w wojnie w każdej postaci i we wszystkich dziedzinach, reprezentowała jej prawa wobec sojuszników, tak jak zapewnia jej obronę przeciwko wrogowi, oraz zachowała i wykonywała suwerenne prawa Francji na terytoriach francuskich, które już zostały lub zostaną w przyszłości wyzwolone.” Tego samego dnia poleciłem dowódcy wojsk w Afryce Równikowej przygotowanie brygady mieszanej przeznaczonej do działań na Madagaskarze.

Ale obietnice rządu brytyjskiego i moje własne oświadczenie co do przyszłej roli Francuskiego Komitetu Narodowego wychodziły z założenia, że problem jest rozstrzygnięty, podczas gdy faktycznie wcale tak nie było. W rzeczywistości Vichy nadal pozostawało panem niemal całej wyspy. Wkrótce stało się wiadome, że Anglicy ograniczywszy się tylko do zajęcia Diego-Suarez nawiązali rokowania z gubernatorem generalnym Anetem. Jednocześnie wschodnioafrykański *Intelligence Service* wysłał na Madagaskar grupę swych agentów pod kierownictwem Lusha. Kroki te pozostawały w sprzeczności z tym, do czego dążyła Wolna Francja. Opóźniały one powrót Madagaskaru do udziału

w wojnie, wzmacniały autorytet gubernatora Aneta i przedłużały podział imperium. Ponadto obawy budziła we mnie ewentualna działalność tej samej angielskiej grupy politycznej, którą mieliśmy sposobność widzieć przy pracy na Wschodzie, w Dżibuti i Abisynii. Pierwsza niepokojąca zapowiedź tego nie dała na siebie czekać: Pechkoff, którego chciałem wysłać do Diego-Suarez aby informował mnie o przebiegu wydarzeń, nie mógł się tam udać, gdyż uniemożliwiono mu wyjazd z Afryki Południowej.

Tak więc z początkiem czerwca 1942 roku nad stosunkami francusko-brytyjskimi zawisły ciężkie chmury. Do wszystkich coraz częstszych niepokojących lub nieprzyjaznych poczynąń Anglików w Syrii, Somali i na Madagaskarze doszły jeszcze inne kroki, które potwierdziły słuszność naszych zarzutów. Na Złotym Wybrzeżu misja angielska pod kierownictwem Franka nawiązała jakieś tajemnicze kontakty z ludnością terytoriów francuskich w łuku rzeki Niger. Jednocześnie generał Giffard, naczelny dowódca sił brytyjskich w Afryce Zachodniej, wezwał misje Wolnej Francji w Bathurst i Freetown do opuszczenia tych miejscowości. Gdy sam przygotowywałem się wtedy do wyjazdu do Libii celem przeprowadzenia inspekcji naszych wojsk, rząd angielski zwrócił się do mnie z usilną prośbą, bym odroczył tę podróż, co oznaczało, że nie udzieli mi środków potrzebnych do jej odbycia. W Londynie koła rządzące, urzędy i sztaby angielskie otoczyły się nieprzeniknioną atmosferą tajemnicy graniczącej z nieufnością.

Było jasne, że Anglosasi są w toku opracowywania planu jakiejś szeroko zakrojonej akcji na zachodnim teatrze wojny. Generał Marshall, szef sztabu generalnego armii amerykańskiej, i admirał King, dowódca floty na Atlantyku, przebywali w maju w Londynie unikając spotkania ze mną. Tymczasem w tym, co alianci widocznie zamierzali przedsięwziąć, Francja była z tytułu swych posiadłości, ludności i sił zbrojnych bezpośrednio zainteresowana. Niemniej jednak nie ulegało wątpliwości, że zamierzono aktywną jej część, czyli Wolną Francję, odsunąć w miarę możliwości od udziału w planowanej akcji, dysponować z osobna poszczególnymi jej terytoriami i zasobami, a być może nawet skorzystać z tego rozproszenia, aby przywłaszczyć sobie te lub inne części jej posiadłości. Czas było na to zareagować. Należało dać do zrozumienia sojusznikom, że Wolna Francja znajduje się w ich obozie po to, by włączyć do niego całą Francję, a nie po to, by osłaniać wobec narodu francuskiego nadużycia lub zamachy na jej prawa i interesy. Komitet Narodowy po wszechstronnym i dogłębnym rozpatrzeniu sprawy jednomyślnie zajął to stanowisko.

6 czerwca poprosiłem Charles Peake'a, wybitnego dyplomate, którego *Foreign Office* delegował jako swego przedstawiciela przy Francuskim Komitecie Narodowym, aby zakomunikował nasze stanowisko Churchillowi i Edenowi. „Gdyby miało się zdarzyć — powiedziałem — że na Madagaskarze, w Syrii lub gdzie indziej Francja z winy swych sojuszników straciłaby cokolwiek z tego, co do niej należy, nasza bezpośrednia współpraca z Wielką Brytanią, a ewentualnie także ze Stanami Zjednoczonymi, straciłaby rację bytu. Musielibyśmy jej wtedy położyć kres. Praktycznie biorąc oznaczałoby to, iż skoncentrowalibyśmy się na terytoriach już wyzwolonych i na tych, które by nam później udało się wyzwolić, i kontynuowalibyśmy ze wszystkich sił walkę przeciwko wrogowi, ale sami i na własną rękę.” Tego samego dnia zatelegraowałem do Éboué i Leclerca, a także do Catroux i Larminata zawiadamiając ich o tej decyzji i wzywając do przygotowania się do jej wykonania. Poleciałem im także zakomunikować naszą decyzję znajdującym się przy nich przedstawicielom alianckim.

Skutki nie dały długo na siebie czekać. 10 czerwca Churchill poprosił mnie do siebie. Odbiliśmy dobrze wypełnioną godzinną rozmowę. Po gorących słowach uznania pod adresem wojsk francuskich, które odznaczyły się pod Bir-Hakeim, premier przeszedł do sprawy Madagaskaru. Przyznał otwarcie, że Francja Walcząca miała wszelkie powody, aby poczuć się dotkniętą warunkami, w jakich przedsięwzięto tę operację.

— Nie mamy jednak — stwierdził Churchill — żadnej ukrytej myśli w sprawie Madagaskaru. Sami jeszcze nie wiemy, co tam uczynimy. Wyspa jest bardzo wielka. Chcielibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia, żeby się tam nie zgubić.

— Jeżeli chodzi o nas — odpowiedziałem — to chcemy, aby Madagaskar przyłączył się do Wolnej Francji i ponownie wziął udział w wojnie. Aby osiągnąć ten cel, jesteśmy gotowi choćby dzisiaj, tak jak to panu wczoraj zaproponowałem, posłać tam nasze wojska.

— Nie jest pan moim jedynym sojusznikiem — odpowiedział na to premier, dając mi do zrozumienia, że Waszyngton sprzeciwia się naszemu udziałowi. Nie miałem zresztą co do tego żadnych wątpliwości.

Zwróciłem z naciskiem uwagę Churchillowi na niebezpieczeństwo, które stanowi dla naszego sojuszu pewien sposób postępowania wobec Imperium Francuskiego, a jutro być może wobec samej Francji. Churchill zaklinał się, iż ma jak najlepsze zamiary, po czym nagle poderwał się z miejsca i zawołał:

— Jestem przyjacielem Francji! Zawsze chciałem i chcę, aby Francja była wielka i posiadała wielką armię. Jest to potrzebne

dla pokoju, dla ładu i bezpieczeństwa w Europie. Nigdy nie miałem innej polityki.

— To prawda — odpowiedziałem. — Miał pan tę wielką zasługę, że po zawieszeniu broni, zawartym przez Vichy, nie zrezygnował pan z francuskiej karty. Karty tej, która nazywa się de Gaulle, nie powinien pan tracić. Byłoby to tym bardziej absurdalne w momencie, gdy pańska polityka zaczyna przynosić owoce, a Wolna Francja stała się duszą i siłą francuskiego Ruchu Oporu.

Mówiliśmy potem o Rooseveltcie i o jego stosunku do mnie.

— Niech pan niczego nie forsuje — powiedział Churchill — patrz pan, jak ja to robię, jak się kolejno uginam i prostuję.

— Panu to łatwo, opiera się pan o mocne państwo, o zwarty naród, o zjednoczone imperium, o silną armię. A ja? Jakież ja mam środki? A jednak, jak pan wie, ponoszę odpowiedzialność za interesy i za losy Francji. Brzemie to jest zbyt ciężkie, a ja sam zbyt biedny, bym mógł sobie pozwolić na to, żeby się naginać.

Churchill zakończył naszą rozmowę przejawiając wzruszenie i przyjaźń:

— Mamy jeszcze trudne przeszkody do przezwyciężenia. Ale pewnego dnia będziemy we Francji — być może już w przyszłym roku. W każdym razie będziemy tam razem!

Odprowadził mnie aż na ulicę powtarzając:

— Nie opuszczę pana. Może pan liczyć na mnie.

W trzy dni później z kolei Eden ponowił w rozmowie ze mną zadowalające zapewnienia o *désintéressement* Anglii wobec Imperium Francuskiego w ogóle, a wobec Madagaskaru w szczególności. Zakomunikował mi, że „brygadier” Lush został odwołany i Pechkoff może udać się w drogę.

— Niech mi pan wierzy — dodał w serdecznym tonie — pragniemy kroczyć ręką w rękę z panem, aby przygotować front zachodni.

Sprawy pozostały więc tymczasem w zawieszeniu. Niemniej jednak ostrzeżenie nasze zostało dosłyszane. Odtąd było bardzo mało prawdopodobne, aby arbitralne postępowanie Anglików w stosunku do naszego imperium przekroczyło określone granice. Istniały widoki, że w Syrii nastąpi pewien okres wytchnienia, że będziemy mogli przyspieszyć przyłączenie Somali i że pewnego dnia nad Madagaskarem załopoce flaga z Krzyżem Lotaryngii. Czułem zresztą bardziej niż kiedykolwiek, że koniec końców Anglia nie zechce zrezygnować z sojuszu z nami.

Najbardziej zainteresowanymi widzami dramatu, w którym Wolna Francja w stu zmieniających się scenach stopniowo zajmowała miejsce Francji, były rządy emigracyjne w Londynie.

W 1941 roku krąg ich powiększył się o króla i ministrów greckich, a potem o króla i ministrów Jugosławii. I jednych, i drugich wszystko, co się działo z Francją, przejmowało głęboką troską. Zdradzone i szkalowane w swych krajach przez kwislingów uzurpujących sobie ich miejsce, żywiły zdecydowaną wrogość wobec rządu Vichy, którego stanowisko służyło za argument kolaboracjonistom w ich własnych krajach. Z drugiej strony, chociaż wielkie mocarstwa sojusznicze nie kwestionowały ich suwerenności, znosiły przykry los, który jest udziałem słabych, zdanych na łaskę silnych. Wreszcie, nie wątpiły, że odrodzenie Francji jest warunkiem równowagi w Europie i ich własnej przyszłości. Toteż z ukrytym zadowoleniem przyglądały się temu, jak działalność prowadzona przez Wolną Francję dla ugruntowania swej niezawisłości przynosiła owoce. Z ich strony zawsze spotykaliśmy się z dowodami szczerej sympatii.

My ze swej strony również nie zaniedbywaliśmy niczego, by utrzymywać jak najlepsze stosunki z tymi rządami, pozbawionymi wprawdzie swych terytoriów, lecz rozporządzającymi wszędzie w wolnym świecie oficjalnymi przedstawicielami i znacznymi wpływami. Dejean i jego koledzy z Komitetu Narodowego utrzymywali kontakty z ich ministrami i urzędnikami. Tak samo postępowały nasze sztaby i inne urzędy. Ja sam widywałem głowy państw i głównych kierowników.

Z tych wzajemnych odwiedzin i rozmów odnosiliśmy niemało pożytku, mieliśmy bowiem do czynienia z wartościowymi ludźmi. Jednakże pod zasłoną etykiety dostrzegaliśmy dramaty rozgrywające się w ich duszach wskutek klęski i wygnania. Zapewne, rządy te zachowując zewnętrzne atrybuty władzy starały się na zewnątrz okazywać spokój. Ale każdy z nich pogrążony w troskach i obawach żył w cieniu swej własnej wstrząsającej tragedii.

Co prawda od czasu przystąpienia Rosji i Stanów Zjednoczonych do wojny rządy okupowanych państw zachodnich nie wątpiły już, że ich kraje zostaną wyzwolone. Ale w jakim znajdą je stanie? To pytanie najbardziej dręczyło moich holenderskich, belgijskich, luksemburskich i norweskich rozmówców. Szlachetna królowa Wilhelmina, jej premier profesor Geerbrandy, rzutki minister spraw zagranicznych van Kleffens i książę Bernhardt Holenderski byli zrozpaczeni widząc, jak mimo wspaniałych wysiłków floty admirała Helfricha i oporu kontynuowanego w dżungli przez generała Ter Porten ginie ich imperium w Indiach Holenderskich. Jeżeli chodzi o Belgię, to Pierlot, Gutt i Spaak, tworzący w służbie swego kraju zespół pełen rozsądku, zapału i zręczności, przeżywali z goryczą problem władzy królewskiej. Wielka księżna Charlotte, jej małżonek Feliks książę Burbon-

Parma oraz ich — na szczęście wieczny — minister Bech nie przestawali obliczać materialnych i moralnych szkód, które pociągnie za sobą panowanie hitlerowców w Luksemburgu. Wreszcie król Haakon VII, wzór opanowania i stanowczości, oraz Trigve Lie, rozwijający we wszystkich dziedzinach niestrudzoną działalność, byli niepokieszeni z powodu zatapiania statków norweskich. „To tonie nasze bogactwo narodowe” — powtarzali Norwegowie.

Znacznie tragiczniejsza jeszcze była sytuacja Grecji, Jugosławii, Czechosłowacji i Polski. Jeżeli bowiem przystąpienie Moskwy do wojny dawało im gwarancję, że Niemcy będą pokonane, to jednocześnie stwarzało ono dla nich nowe groźby. Ich głowy państw i ministrowie mówili o tym otwarcie. Król Grecji Jerzy II i szef jego rządu Tsuderos opisywali straszliwą nędzę, w jaką inwazja wtrąciła naród grecki, stawiany mimo wszystko opór, ale także agitację prowadzoną przez partię komunistyczną wśród głodującej i walczącej ludności. Jednocześnie widziałem w otoczeniu młodego króla Jugosławii Piotra II i w samym łonie gabinetu, na którego czele stali kolejno generał Simonowicz, Jovanowicz i Trifunowicz, wstrząsy wynikające z wydarzeń rozdzierających ich kraj: stworzenie osobnego królestwa Chorwacji, którego królem proklamowany został książę Spoleto, aneksja Słowenii wraz z Lubianą oraz Dalmacji przez Włochy, rywalizacja, a niebawem otwarta wrogość Tito w stosunku do generała Michajłowicza, chociaż ten prowadził w Serbii walkę z najeźdźcą.

Natomiast prezydent Benesz i jego ministrowie Szramek, Masaryk, Ripka i generał Ingr zdawali się odnosić z zaufaniem do przyszłej polityki Związku Radzieckiego. Za pośrednictwem Bogomołowa utrzymywali oni widocznie dobre stosunki z Kremlem. Ich przedstawiciel w Moskwie Fierlinger zdawał się cieszyć tam szczególnymi względami. Dowództwo radzieckie stworzyło korpus czechosłowacki, zwerbowany z Czechów z Wehrmachtu wziętych do niewoli przez Rosjan. Widać było, że Benesz, dążąc do odzyskania swej pozycji w Pradze i do odbudowy państwa czechosłowackiego, liczy przede wszystkim na Rosję.

Rozmowy z Beneszem przekształcały się za każdym razem w wysokiej klasy wykłady historyczne i polityczne, które, choć ciągnęły się długo, nigdy nie nużyły ani słuchacza, ani prelegenta. Słyszę go jeszcze, jak w naszych rozmowach wspomina losy państwa, którym kierował przez dwadzieścia lat. „Państwo to — mówił — nie może istnieć bez bezpośredniego poparcia Moskwy, ponieważ musi ono obejmować Sudety zamieszkałe przez Niemców, Słowację, z której utratą Węgrzy nie mogą się pogodzić, i Śląsk Cieszyński, którego domagają się Polacy. Francja jest

zbyt niepewna, abyśmy mogli polegać wyłącznie na jej dobrych chęciach." „W przyszłości — konkludował prezydent — moglibyśmy uniknąć ryzyka związanego z wyłącznym sojuszem z Kremlem, jednakże tylko pod warunkiem, że Francja odzyska należną jej pozycję i rolę w Europie. Ale na razie, cóż mam do wyboru?" Tak rozumował Benesz, czułem jednak, że w głębi duszy dręczy go niepokój.

Co do Polaków to nie mieli oni żadnych wątpliwości. I dla Prezydenta Republiki, i dla generała Sikorskiego, dla ministrów p. Zaleskiego, Raczyńskiego, generała Kukiela było pewne, że niezwłocznie po klęsce Niemiec Rosjanie zajmą kraj. Co się zaś tyczy powstrzymania ambicji Moskwy po zwycięstwie nad Berlinem, zwalczały się dwie tendencje. To brała górę rozpacz, z której czerpali oszałamiające iluzje, tak jak w muzyce Chopina z cierpienia rodzi się marzenie. To znów oddawali się nadziei na rozwiązanie przy którym Polska rozszerzy swoje granice na zachód, ustępując część ziem małopolskich i litewskich Rosji, w zamian za co Rosjanie zaniechaliby ujęcia urzędowania w Warszawie instalując tam władze komunistyczne.

Lecz skoro tylko zaczęli mówić o zawarciu porozumienia z Rosją, rozpałało to tak dalece ich namiętności, że wzajemnie przelicytowywali się w swych żądaniach niepokojąc tym aliantów i drażniąc Rosję.

Jednakże mimo wszystkich wątpliwości, które budziła możliwość porozumienia, generał Sikorski był zdecydowany spróbować je osiągnąć. Ten człowiek wielkiego charakteru ponosił osobiście odpowiedzialność za losy swego kraju. Wystąpiwszy niegdyś przeciwko polityce marszałka Piłsudskiego, a potem także przeciw zarozumiałej pewności siebie Becka i Rydza Śmigłego, został po klęsce wyposażony w całą pełnię władzy, jaką może dysponować państwo na wygnaniu.

Skoro tylko armie hitlerowskie wtargnęły do Rosji, Sikorski bez wahania wznowił stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Radzieckim. Już w lipcu 1941 roku podpisał on z ZSRR układ. W grudniu udał się osobiście do Moskwy, aby przeprowadzić rokowania w sprawie zwolnienia jeńców polskich i skierowania ich na Kaukaz, skąd pod dowództwem generała Andersa mogliby być przerzuceni nad Morze Śródziemne. Sikorski długo rozmawiał ze Stalinem. Po powrocie opowiadając mi o swych rozmowach kreślił obraz władcy Kremla, który, choć pogrążony w niepokoju, zachował całą swą jasność umysłu, surowość i chytrość. „Stalin — powiedział mi Sikorski — w zasadzie zadeklarował się za porozumieniem. Jaką jednak zechce wypełnić go treścią, zależeć to będzie od układu sił, inaczej mówiąc od poparcia, które znajdziemy lub

którego nie znajdziemy na Zachodzie. Któż w krytycznym momencie pomoże Polsce? Tylko Francja — albo nikt."

Tak przy przytłumionym akompaniamencie niespokojnych głosów rządów emigranckich Wolna Francja osiągała kolejne postępy. Wszystkie one, tak jak Anglia, uznały Komitet Narodowy w powściągliwej formie. Ale wszystkie w osobie generała de Gaulle'a widziały Francuza mającego wszelkie podstawy ku temu, by przemawiać w imieniu Francji. Dały temu wyraz podpisując, na przykład, ze mną 12 stycznia 1942 roku na konferencji szefów rządów wspólną deklarację o zbrodniach wojennych. W sumie nasze stosunki z rządami emigracyjnymi i szacunek, z jakim one odnosiły się do nas, pomagały nam w dziedzinie dyplomatycznej i stworzyły w opinii publicznej mnóstwo korzystnych dla nas imponderabiliów.

Jeżeli w rozgrywającym się dramacie światowym wielcy ludzie pociągali za sobą anglosaską opinię publiczną, to i odwrotnie, również opinia publiczna mimo cenzury wojennej nadawała kierunek swym rządów. Dlatego też staraliśmy się ją wykorzystać. Ja sam dążyłem do tego korzystając z sympatii i zainteresowania, jaką budziły nasze poczynania. Zwracałem się regularnie do publiczności amerykańskiej i angielskiej. Zgodnie z klasyczną zasadą wybierałem wśród stowarzyszeń, które mnie zapraszały, takie audytorium, które najbardziej odpowiadało danej chwili i tematowi. Jako honorowy gość na śniadaniu lub obiedzie organizowanym zazwyczaj przy tego rodzaju okazjach widziałem, jak pod koniec przyjęcia wchodzili dyskretnie na salę i przyłączali się do gości przedstawiciele prasy i inne wpływowe osobistości przybywające dla wysłuchania przemówienia. Wtedy, gdy zgodnie ze zwyczajem angielskim prezydujący przy stole *chairman* skierował już do mnie słowa powitania, mówiłem, co miałem do powiedzenia.

Nie władając, niestety, dostatecznie dobrze językiem angielskim, przemawiałem przeważnie po francusku. Potem de Soustelle obejmował swą rolę. Przemówienie, już z góry przetłumaczone, rozdawano wszystkim obecnym. Prasa i radio angielskie i amerykańskie ogłaszały najistotniejsze fragmenty. Jeżeli zaś chodzi o obiektywność, to ośmielałem się powiedzieć, że w gazetach amerykańskich była ona względna; uwydatniały one w nagłówkach poszczególne miejsca wyrwane z kontekstu. Niemniej jednak dochodziły one do wiadomości publicznej. Natomiast pisma angielskie, choć często nie szczędziły mi słów krytyki, nigdy nie zniekształcały tekstu. Trzeba dodać, że prasa Ameryki Łacińskiej, z przyjaźni dla Francji, z szacunku dla „degaulizmu”, a być może i z chęci zaakcentowania odmiennej od stanowiska Stanów

Zjednoczonych postawy, poświęcała moim wypowiedziom wiele uwagi. Ogólnie biorąc, z wyjątkiem kilku poszczególnych wypadków, kiedy w związku z przeżywanym kryzysem w naszych wzajemnych stosunkach powoływano się na „konieczności wojskowe” dla stłumienia mego głosu, sojusznicze demokracje zawsze respektowały wolność słowa.

Przed udaniem się wiosną 1941 roku na Bliski Wschód miałem już za sobą wiele wystąpień przed audytorium brytyjskim, w szczególności w „Foyles literary luncheon Club” i przed francusko-angielską grupą parlamentarną. Po powrocie do Londynu, od września do czerwca następnego roku, przemawiałem w stowarzyszeniu „Prasa Międzynarodowa”, przed robotnikami, a następnie przed kierownikami i urzędnikami fabryki czołgów „English Electric” w Stafford, w szeregu organizacji, jak „Royal African Society”, „Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej”, „Klub Francuski uniwersytetu oksfordzkiego”, „English Speaking Union”, „City Livery Club”, „Nationale Defense Public Interest Committee”, przed władzami miejskimi i wybitnymi przedstawicielami ludności Edynburga i na zebraniu zorganizowanym w parlamencie dla członków Izby Gmin. W maju 1942 roku odbyłem po raz pierwszy konferencję prasową. 14 lipca 1941 roku, gdy znajdowałem się w Brazzaville, wszystkie rozgłośnie amerykańskiego koncernu radiowego „National Broadcasting Corporation” transmitowały mój apel skierowany do Stanów Zjednoczonych. 8 lipca 1942 roku towarzystwo radiowe „Columbia” nadało w Stanach Zjednoczonych wygłoszone w języku angielskim przemówienie „naszego przyjaciela i sojusznika generała de Gaulle’a”; w parku centralnym w Nowym Jorku słuchał go ogromny tłum na zgromadzeniu zorganizowanym przez burmistrza La Guardia. 14 lipca, w dniu francuskiego święta narodowego — nowe przemówienie do Amerykanów. Prócz tych ważniejszych przemówień było także wiele innych, wygłaszanych niekiedy bez przygotowania, a znajdujących sympatyczny oddźwięk u słuchaczy, jak np. na przyjęciach wydanych dla mnie przez władze miejskie Birminghamu, Leeds, Liverpoolu, Glasgow, Hullu, Oksfordu, przez uniwersytet edynburski, admiralicję w Portsmouth, stocznię w Brigham i Cowan. fabryki Talbota, zakłady Harmelina, przez dziennik „Times” i wreszcie przez wiele niezmiernie uprzejmych i życzliwych klubów.

Jeżeli niekiedy zmieniałem ton moich przemówień, to jednak idee i uczucia, z jakimi zwracałem się do zagranicznych słuchaczy, pozostawały zawsze jednakowe. Klęskę Francji tłumaczyłem przestarzałym systemem militarnym istniejącym na początku wojny we wszystkich demokracjach, a którego mój kraj padł

ofiara, ponieważ nie był jak inne chroniony barierą oceanu i ponieważ pozostawiono go w osamotnieniu na wysuniętej placówce. Stwierdzałem, że naród francuski pod uciskiem okupanta żyje nadal intensywnym i mocno pulsującym życiem i że znowu pojawi się na widowni ożywiony pragnieniem walki i odnowy. Na poparcie tego twierdzenia wskazywałem na Ruch Oporu rosnący zarówno w samej Francji, jak i poza jej granicami. Naród francuski — wskazywałem jednak dalej — tym wrażliwiej reaguje na sposób zachowania się wobec niego sojuszników, że jest pogrążony w nieszczęściu, że propaganda hitlerowska mami go ułudą odrodzenia, jeżeli przejdzie do obozu totalitarnego, i że zdrada Vichy tylko póty jest zdradą — czyż wolno mi było pominąć jakikolwiek argument? — póki kraje demokratyczne respektują prawa Francji.

1 kwietnia 1942 roku wygłosiłem przemówienie, które pod tym względem stawiało wszystkie kropki nad i, wzbudzając tym gwałtowne sprzeciwy. „Niechaj nikt nie myśli — oświadczyłem — że ten cud swego rodzaju, jakim jest Francja Walcząca, trwać będzie zawsze w niezmienionej postaci... Cała kwestia polega na tym: Francja Walcząca będzie kroczyć razem ze swymi sojusznikami pod tym absolutnym warunkiem, że jej sojusznicy kroczyć będą z nią.” Wskazując wprost na stosunki, które Stany Zjednoczone wciąż jeszcze utrzymywały z Vichy, i konszachty uprawiane z jego prokonsulami, ciągnąłem dalej: „Jeżeli kraje demokratyczne wdają się z ludźmi, którzy zniszczyli wolność Francji i usiłują narzucić jej reżim wzorowany na faszyzmie lub jego karykaturę, oznacza to wprowadzenie do polityki zasad biednego Gribouille'a, który z obawy przed deszczem rzucił się do morza...” Po czym dodałem już z intonacją groźby: „Wszystko to świadczy o niezrozumieniu faktu, który dominuje nad całą sprawą francuską, a któremu na imię: rewolucja. Albowiem Francja, zdradzona przez rządzącą elitę i swe koła uprzywilejowane, przeżywa największą w swej historii rewolucję”. Zakończyłem wołaniem: „Nie można dopuścić do tego, by tak zwany realizm, który od Monachium do Monachium doprowadził wolność na sam skraj przepaści, w dalszym ciągu marnował wysiłki i przekreślał ofiary narodów...”

Pozycje więc zostały zajęte. Wolna Francja zdołała dopiąć tego, że opinia publiczna i rządy uznawały, iż jest ona nie tylko mieczem Francji, ale i nieugiętym obrońcą. Rezultat ten osiągnięty został we właściwej chwili, na początku bowiem lata 1942 roku istniały już wszystkie przesłanki dla decydującego zwrotu w przebiegu wojny. Rosja, która nie zachwiała się pod ciosami wroga, przeszła do ofensywy. Anglia wysyłając znaczne posiłki na Wschód jednocześnie gromadziła poważne siły na Wyspach Brytyjskich.

Stany Zjednoczone były gotowe rzucić na front zachodni swe zupełnie świeże wojska i ogromne ilości materiałów wojennych. Wreszcie i Francja, chociaż zwyciężona i ujarzmiona w metropolii, a bierna w znacznej części swych terytoriów zamorskich, była jednak w stanie wprowadzić do akcji w decydującym etapie znaczne siły zbrojne, zasoby swego imperium i siły Ruchu Oporu. Podobnie jak na polu bitwy rozwija się szeroko sztandar bojowy, tak wiosną 1942 roku przemianowałem „Wolną Francję” na „Francję Walczącą” i powiadomiłem aliantów o tej nowej jej nazwie.

Zbliżająca się bitwa miała rozstrzygnąć o losie Francji. Jej właśnie terytorium — Francuska Afryka Północna lub sama metropolia — miało być teatrem działań wojennych. Od tego, co ona uczyni lub czego nie uczyni w obliczu wroga, zależeć miał jej udział w zwycięstwie. Ale jej stanowisko w świecie, jej jedność narodowa, integralność jej imperium zależały od postawy aliantów. Nie wątpiłem, że byli ludzie, i to ludzie nie pozbawieni wpływów i znaczenia, którzy pragnęli, aby w decydującej godzinie organ kierujący walką Francji był możliwie jak najbardziej uzależniony i jak najmniej trwały i by Francja Walcząca, jeżeli już nie można jej całkowicie odsunąć, była przynajmniej pozbawiona swej samodzielności. Ale pozycja, którą już zdobyła sobie na świecie, była zbyt silna, by można ją było zachwiać od zewnątrz.

Wymagało to jednak, aby sama trzymała się mocno i miała poparcie narodu w miarę jego powrotu na widownię wydarzeń. Prowadząc naszą walkę nie myślałem o niczym innym. Czy w oczekującej nas próbie Francja Walcząca wykaże dosyć zapału, energii i tężyzny, by się nie zachwiać od wewnątrz? Czy naród francuski, osłabiony, sprowadzony ze swej drogi i rozdarty, usłucha mego głosu i zechce pójść za mną? Czy zdołam zespolić całą Francję?

FRANCJA WALCZĄCA

Od lata 1941 do lata 1942 roku Francja Walcząca z jednej strony prowadziła w coraz szerszej skali swą kampanię dyplomatyczną, z drugiej zaś sama nieustannie się powiększała. Jeżeli w tych wspomnieniach przedstawiam kolejno rozwój naszych wysiłków w każdym z tych dwóch kierunków, to jednak w rzeczywistości wysiłki te przebiegały jednocześnie i we wzajemnym powiązaniu.

Odkąd wszakże zasięg naszej działalności coraz bardziej się rozszerzał, musiałem postawić na czele naszego ruchu organ odpowiadający zwiększonym zadaniom. Sam de Gaulle nie był już w stanie wszystkiemu podołać. Liczba i waga stojących przed nami problemów wymagała, aby przed powzięciem decyzji skonfrontować różne punkty widzenia i rozgranaczyć kompetencje. Organy wykonawcze należało zdecentralizować. Zważywszy wreszcie, że we wszystkich państwach stosuje się kolegialną formę rządów, wprowadzenie jej również u nas mogło ułatwić uznanie nas przez innych. Dekretem więc z 24 września 1941 roku powołałem do życia Komitet Narodowy.

Z myślą tą właściwie nosiłem się od samego początku. Jednakowoż fakt, że w ciągu jednego roku spędziłem osiem miesięcy w Afryce i na Wschodzie, a przede wszystkim brak ludzi „reprezentatywnych” zmusiły mnie do odłożenia tego kroku na później. Natomiast powróciwszy do Londynu po wydarzeniach w Syrii, liczyłem na to, że teraz będę mógł przez dłuższy czas poświęcić się sprawom organizacyjnym. Zresztą, jeżeli większość osób, które niegdyś do mnie przystąpiły, była początkowo mało znana, to niektóre z nich tymczasem zdobyły sobie nazwisko i uznanie. Mogłem więc Komitetowi nadać skład cieszący się należytą powagą. Dla Francji Walczącej Komitet Narodowy miał być organem kierowniczym skupionym dokoła mnie. „Komisarze” mieli wspólnie rozpatrywać wszystkie nasze sprawy. Każdy z nich miał kierować jednym z „departamentów” odpowiadających poszcze-

gólnym dziedzinom naszej działalności. Wszyscy mieli ponosić solidarną odpowiedzialność za powzięte decyzje. W sumie miał więc Komitet być rządem wyposażonym w jego uprawnienia i strukturę. Nie miał jednak nosić tej nazwy, którą chciałem mu nadać dopiero w dniu, jakże na razie jeszcze dalekim, kiedy możliwe będzie powołanie rządu reprezentującego już całą Francję. Kierując się tymi samymi względami przewidywałem w dekrete utworzenie w późniejszym terminie Zgromadzenia Konsultatywnego „mającego możliwie w jak najszerszych rozmiarach odzwierciedlać wobec Komitetu Narodowego opinię publiczną Francji”. Wiele jednak upłynęło czasu, nim to zgromadzenie zostało powołane do życia.

Decyzja moja, jak było do przewidzenia, wywołała poważny niepokój w łonie małych grup francuskich, które pretendując do charakteru „grup politycznych” przejawiały większą lub mniejszą aktywność w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Ludzie ci godzili się z tym, by de Gaulle działał jako żołnierz i dostarczał aliantom posiłków wojskowych, ale nie chcieli słyszeć o tym, aby szef Wolnych Francuzów brał na siebie odpowiedzialność za państwo. Nie przyłączywszy się do mnie, kwestionowali moje pełnomocnictwa i woleli co do przyszłości polegać na cudzoziemcach, to znaczy na Rooseveltcie, Churchillu i Stalinie.

Przyznaję, że między koncepcjami tych środowisk a moimi istniała nieprzejeżdżalna sprzeczność. Dla mnie w rozgrywającej się tragedii narodowej polityka powinna być działalnością w służbie wielkiej i prostej idei. One natomiast, goniąc za tymi samymi chimerymi, które zawsze były im drogie, nie dopuszczały możliwości, by polityka była czymś innym niż jakimś choreograficznym układem pód i kombinacji granym przez balet zawodowych statystów; wszystko miałoby się kończyć tylko na artykułach, przemówieniach, popisach z trybuny i podziale stanowisk urzędowych. Chociaż reżim ten został zmieciony przez wydarzenia, chociaż ściągnął na Francję klęskę, z której kraj nasz, być może, już nigdy nie miał się podźwignąć, i chociaż ci zarażeni jego duchem nałogowcy byli pozbawieni swych zwykłych środków propagandy — parlamentu, kongresów, gabinetów, sal redakcyjnych — to jednak kontynuowali oni swą grę w Nowym Jorku i Londynie, starając się z braku innych możliwości wciągnąć do niej sfery rządowe, deputowanych i dziennikarzy krajów anglosaskich. U źródeł wielu przykrości sprawianych Wolnej Francji przez jej własnych sojuszników i wielu kampanii prowadzonych przeciw niej przez ich prasę i radio leżały wpływy pewnych kół francuskiej emigracji. Toteż koła te siłą rzeczy musiały odnieść się negatywnie do swego rodzaju awansu politycznego, jakim było

dla Francji Walczącej utworzenie Komitetu Narodowego, i zamierzały przeszkodzić jego urzeczywistnieniu.

Za narzędzie posłużył im admirał Muselier. W admirale żyli jak gdyby dwaj ludzie. Jako marynarz odznaczał się on wielkimi zaletami zasługującymi na uznanie; zorganizowanie naszych skromnych sił morskich było w znacznej mierze jego zasługą. Ale od czasu do czasu ogarniał go jakiś swoisty niepokój, a wtedy skłaniał się ku intrygom. Kiedy dowiedział się o moim zamiarze powołania do życia Komitetu Narodowego, napisał do mnie list, w którym występował jako obrońca porozumienia z aliantami i szermierz demokracji, zagrożonych jego zdaniem przez moją politykę. Aby je na przyszłość uchronić przed tym niebezpieczeństwem, proponował mi, abym zadowolili się stanowiskiem honorowym, a jemu przekazał realną władzę. Środkiem nacisku, mającym wymóc na mnie zgodę, była ni mniej, ni więcej groźba odłączenia się marynarki wojennej, która, jak mi powiedział przez telefon, „stanie się samodzielną i będzie kontynuować wojnę”.

Odpowiedź moja była jasna, a nasza dyskusja krótka. Admirał uspokoił się, tłumacząc wszystko jakimś nieporozumieniem. Kierując się pobudkami uczuciowymi i względami celowości udawałem, że dałem się przekonać, przyjąłem do wiadomości jego zobowiązania i mianowałem go komisarzem marynarki wojennej i handlowej w Komitecie Narodowym.

Funkcje w Komitecie Narodowym były podzielone, jak następuje: gospodarka, finanse i kolonie — Pleven; sprawiedliwość i oświata publiczna — Cassin; sprawy zagraniczne — Dejean; wojna — Legentilhomme; lotnictwo — Valin; działalność w metropolii, prasa i informacja — Diethelm, który dopiero co przybył z Francji. Catroux i d'Argenlieu, pełniący wówczas inne obowiązki, zostali komisarzami bez teki. Plevenowi powierzyłem zadanie skoordynowania pod kątem administracyjnym działalności departamentów cywilnych, sprawę „statutów, uposażeń służbowych, obsady personelu, przydziału pomieszczeń itd...” Początkowo miałem zamiar — który później kilkakrotnie próbowałem wcielić w życie — rozszerzyć skład Komitetu przez powołanie do niego pewnych osobistości francuskich znajdujących się w Ameryce. Zwróciłem się, na przykład, z propozycją wzięcia udziału w naszych pracach do Maritaina i Alexisa Léger. Odpowiedź ich była uprzejma, ale odmowna.

Komitet Narodowy funkcjonował sprawnie, gdy nagle Muselier sprowokował nowy kryzys. Powróciwszy do Londynu po ekspedycji na Saint-Pierre, której sukcesu mu wszyscy jednomyślnie gratulowaliśmy, oświadczył 3 marca na posiedzeniu Komitetu, że sprawy w Wolnej Francji toczą się nie tak, jak by sobie tego

zyczył, zgłosił swą dymisję ze stanowiska komisarza narodowego i potwierdził mi to potem na piśmie. Dymisję przyjąłem, przeniosłem admirała do rezerwy, a na jego miejsce mianowałem odwołanego z Pacyfiku Auboyneau. Wtedy jednak Muselier oświadczył, że jakkolwiek przestaje być członkiem Komitetu Narodowego, to jednak zachowuje stanowisko naczelnego dowódcy sił morskich, jak gdyby stanowiły one jego lenno i mógł nimi dysponować według swego uznania. Było to oczywiście niedopuszczalne i sprawę można byłoby uważać z góry za załatwioną, gdyby nagle nie nastąpiła interwencja rządu brytyjskiego.

Interwencja ta była przygotowywana od dawna. Jej inspiratorami było kilku warcholów francuskiej emigracji, jak również niektórzy przedstawiciele Izby Gmin i marynarki angielskiej. Spiskowcy zapewnili sobie poparcie pierwszego lorda admiralicji Alexandra. Jako ministrowi przedstawili mu sprawę w ten sposób, że w razie odejścia admirała Muselier flota Wolnej Francji rozpadnie się pozbawiając królewską marynarkę wojenną — *Royal Navy* — sił pomocniczych, które były nie do pogardzenia. Jednocześnie jako członka Labour Party starali się go przekonać, że de Gaulle i jego Komitet skłaniają się ku faszyzmowi i że należy francuskie siły morskie uwolnić od ich wpływu. Gabinet angielski z przyczyn związanych z jego konstelacją wewnętrzną, a prawdopodobnie także w intencji, aby osłabić de Gaulle'a i przez to uczynić go bardziej pojednawczym, podzielił punkt widzenia Alexandra. Postanowił zażądać ode mnie utrzymania admirała Muselier na stanowisku naczelnego dowódcy marynarki wojennej Wolnej Francji.

5 i 6 marca Eden i Alexander zakomunikowali mi to żądanie. Dla mnie z tą chwilą sprawa była tym bardziej zdecydowana. Należało za wszelką cenę wykonać decyzję Komitetu Narodowego bez jakichkolwiek zmian i zmusić Anglię, by przestała się mieszać do tej wewnętrznej sprawy francuskiej. 8 marca napisałem do Edena, że zarówno ja osobiście, jak i Komitet Narodowy postanowiliśmy odwołać admirała Muselier ze stanowiska naczelnego dowódcy francuskiej marynarki wojennej i że odrzucamy jakąkolwiek interwencję rządu angielskiego w tej sprawie. „Wolni Francuzi — pisałem dalej — uważają, że to, co uczynili u boku Anglików dla wspólnej sprawy, uprawnia ich do tego, aby byli traktowani jako alianci, i że poparcie udzielane im przez Anglików nie może być uzależnione od warunków nie dających się pogodzić z ich własną racją bytu... Gdyby miało być inaczej, generał de Gaulle i Komitet Narodowy nie upieraliby się dłużej przy kontynuowaniu zadania, które stałoby się dla nich niemożliwe. Uważają bowiem za rzecz najistotniejszą, aby zarówno z punktu

widzenia przyszłości, jak i teraźniejszości Francji pozostać wierni celowi, który sobie wytknęli. Cel ten polega na odrodzeniu Francji i przywróceniu jej jedności narodowej w wojnie u boku aliantów, jednakże bez żadnego uszczerbku dla jej niepodległości, suwerenności i instytucji państwowych."

Odpowiedź otrzymałem nie od razu. Anglicy widocznie przed powzięciem dalszych kroków chcieli się przekonać, jak zareaguje na tę sprawę sama marynarka francuska. Otóż nie było ani jednego okrętu, ani jednej bazy marynarki wojennej, gdzie by doszło do jakichkolwiek protestów. Przeciwnie, im większe trudności sprawiano de Gaulle'owi, tym ściślej wszystkie elementy naszych sił morskich skupiały się wokół niego. Jedynie kilku oficerów z otoczenia admirała Muselier zorganizowało karygodną demonstrację w gmachu sztabu marynarki wojennej, dokąd przybyłem, aby osobiście z nimi pomówić. Wyzaczyłem tedy admirałowi Muselier miejsce pobytu, aby go na przeciąg jednego miesiąca odciąć od wszelkich kontaktów z naszą marynarką wojenną. Ponieważ zaś chodziło o decyzję powziętą na terytorium brytyjskim, zwróciłem się do rządu angielskiego, aby zgodnie z układem o jurysdykcji z 15 stycznia 1941 roku zapewnił jej wykonanie. Następnie, ponieważ nie otrzymałem należytych w tej mierze zapewnień, wycofałem się na wieś, gotów na wszystko i na wszystko przygotowany; pozostawiłem Plevenowi, Diethelmowi i Couletowi coś w rodzaju tajnego testamentu polecając im, aby w razie gdybym musiał zrezygnować z kontynuowania podjętego przeze mnie dzieła lub nie był w stanie sam się wytłumaczyć, poinformowali naród francuski o wszystkim, co powinien był wiedzieć. Jednocześnie zakomunikowałem naszym angielskim sojusznikom, że ku memu wielkiemu ubolewaniu nie będę mógł wznowić stosunków z nimi, dopóki oni sami nie wykonają zobowiązań zaciągniętych w zawartym z nami układzie.

Nastąpiło to 23 marca. Wówczas odwiedził mnie Peake, który doręczył mi notę zawiadamiającą, że jego rząd nie nalega na to, aby Muselier pozostał nadal naczelnym dowódcą marynarki wojennej i przedsięwziąć odpowiednie kroki, by admirał w ciągu jednego miesiąca nie mógł komunikować się z żadnymi przedstawicielami francuskich sił morskich. Przy tym rząd brytyjski prosił mnie jednak o życzliwe potraktowanie osoby admirała i powierzenie mu nowego stanowiska odpowiadającego położonym przez niego zasługom. Tymczasem Auboyneau, który przybył z Pacyfiku, objął dowództwo marynarki wojennej. W maju chcąc umożliwić admirałowi Muselier powrót do czynnej służby, zaprosiłem go do siebie, aby omówić z nim warunki podróży inspekcyjnej, którą chciałem mu zlecić. Muselier nie przybył. W kilka dni

później ten wysoki oficer, który wiele zrobił dla naszej floty, zawiadomił mnie, że uważa swą współpracę z Wolną Francją za skończoną. Żałowałem tego — za niego.

Po tym przykrym incydencie nic już nie zakłócało normalnej działalności „komitetu londyńskiego”, który wroga propaganda — pochodząca nie tylko od nieprzyjaciela i rządu Vichy — przedstawiała bądź jako grupę chciwych władzy polityków, bądź jako garstkę faszystowskich awanturników, bądź jako zbieraninę komunizujących fanatyków, podczas gdy w rzeczywistości — stwierdzam to z całym naciskiem — Komitet Narodowy nie znał innego celu, jak tylko dobro narodu i państwa. Komitet zbierał się co najmniej raz na tydzień, nie bez pewnej uroczystej oprawy, w naszej siedzibie „Carlton Gardens” w wielkiej sali, nazwanej przez nas „salą zegarową”. Zgodnie z porządkiem dziennym wysłuchiowano raportu każdego z komisarzy o sprawach jego departamentu względnie o jakiegokolwiek innej sprawie, którą uważał za stosowne podnieść. Zaznajamiano się z dokumentami i informacjami, przeprowadzano wyczerpujące dyskusje i podejmowano decyzje, które — ujęte natychmiast w postaci protokołu — komunikowano następnie naszym urządzeniom administracyjnym i wojskom. Nigdy nie została powzięta żadna ważna decyzja bez uprzedniego rozpatrzenia jej na posiedzeniu Komitetu.

W Komitecie Narodowym jako organie kolektywnym, a także u każdego z jego członków, zawsze znajdowałem cenną pomoc i lojalną współpracę. Oczywiście wszystkimi ważniejszymi sprawami musiałem zajmować się osobiście. Ale zadanie to ułatwiał mi fakt, że otaczali mnie i pomagali mi dzielni i kompetentni ludzie. Niewątpliwie tym ministrom, z których żaden przedtem nie działał na arenie publicznej, brak było w pewnej mierze autorytetu i popularności, z czasem wszakże zdołali je sobie zdobyć. Wszyscy zresztą mieli doświadczenie i każdy przedstawiał indywidualność. Tworzony przez nich zespół otwierał wpływom Francji Walczącej niejedną drogę, która w innym wypadku pozostałaby dla niej zamknięta. Często spotykałem się ze strony mych współpracowników wprawdzie nie z opozycją, ale z niejedną obiekcją, a nawet i krytyką mych planów i pociągnięć. W momentach kryzysów, kiedy ja osobiście skłaniałem się przeważnie do zdecydowanych środków, wielu członków Komitetu opowiadało się raczej za kompromisem. W sumie jednak wszystko to było pożyteczne. Zresztą w końcowym efekcie żaden komisarz narodowy, po wyczerpaniu swych argumentów, nie kwestionował mego prawa do ostatecznej decyzji.

Chociaż niekiedy zdania były podzielone, cała odpowiedzialność spoczywała na mnie. W walce o wyzwolenie zawsze w końcu

tylko ja, biedny i zdany tylko na siebie człowiek, musiałem za wszystko odpowiadać. Przede wszystkim w samej Francji wszyscy ci, którzy w coraz większej liczbie przechodzili do aktywnego oporu, kierowali swój wzrok na de Gaulle'a. Kraj coraz wyraźniej reagował na moje apele. Przejawiała się w tym zgodność uczuć, która wydawała mi się równie potrzebna, jak wzruszająca. Widząc bowiem, że zarówno właściwa Francuzom skłonność do niesnasek, jak i rozproszenie, które narzucał im reżim ucisku, groziły nadaniem ich rewolcie charakteru działań w najwyższym stopniu nie skoordynowanych, przejęty byłem przede wszystkim troską o zapewnienie jedności Ruchu Oporu. Istotnie, był to warunek jego skuteczności bojowej, jego wartości narodowej i jego znaczenia w obliczu świata.

Począwszy od lata 1941 roku byliśmy dość dobrze informowani o wszystkim, co działo się w metropolii. Niezależnie od tego, co można było wyczytać między wierszami w prasie lub na co wskazywały półsłówka w audycjach radiowych obydwu stref, otrzymywaliśmy ciągle wyczerpujące informacje, na które składały się: meldunki naszej sieci informacyjnej, sprawozdania ludzi, którzy na miejscu rozpoczynali już akcję, wypowiedzi ochotników codziennie przybywających do nas z Francji, wiadomości dostarczane przez placówki dyplomatyczne, deklaracje emigrantów przejeżdżających przez Madryt, Lizbonę, Tanger czy Nowy Jork, listy dochodzące dzięki niezliczonym podstępom do Wolnych Francuzów od rodzin i przyjaciół. Wszystko to dzień po dniu dawało mi pełny obraz sytuacji. Ileż to razy rozmawiając z rodakami, którzy dopiero co opuścili kraj, gdzie jednak w większej lub mniejszej mierze byli zaabsorbowani swymi codziennymi zajęciami i znali tylko sprawy swego najbliższego otoczenia, przekonywałem się, że dzięki tym wielorakim źródłom informacji otrzymywanych od całej armii oddanych nam ludzi lepiej niż ktokolwiek inny znałem prawdziwą sytuację we Francji.

Z wszystkich tych informacji można było wnioskować o postępującym rozkładzie Vichy. Rozwiewały się ostatnie iluzje łączone z tym reżimem. Przede wszystkim zwycięstwo Niemiec, które głoszone jako przesądzone, aby tym usprawiedliwić kapitulację, stawało się nieprawdopodobne, odkąd Rosja, a potem i Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, a Anglia i Wolna Francja trzymały się mocno. Twierdzenie, że trzeba było poddać się jarzmu najeźdźcy, aby przynajmniej „uratować inwentarz”, stawało się śmieszne, skoro 1 500 000 naszych jeńców nie powracało, skoro Niemcy faktycznie anektowały Alzację i Lotaryngię i trzymały północną część kraju administracyjnie odciętą od reszty terytorium francuskiego, skoro kontrybucje pobierane przez okupanta

w pieniądzech, surowcach, produktach rolnych i przemysłowych wyczerpywały naszą gospodarkę narodową i skoro Rzesza zmuszała coraz większą liczbę Francuzów do pracy na jej potrzeby. Twierdzenie, że broniono imperium przeciwko „każdemu wrogowi”, nie mogło już nikogo oszukać, skoro zmuszano armię i marynarkę do zwalczania sojuszników i „degauillistów” w Dakarze, Gabonie, Syrii, na Madagaskarze, skoro Niemcy i Włosi z komisji do spraw zawieszenia broni panoszyli się w Algierze, Tunisie, Casablance i Bejrucie, skoro samoloty niemieckie lądowały w Alepie i Damaszku, a Japończycy zajmowali Tonkin i Kochinchinę. Odtąd w oczach wszystkich jedyną szansą odzyskania pewnego dnia naszych terytoriów zamorskich była Francja Walcząca, która stopniowo umacniała się w Afryce Równikowej, na wyspach Oceanii, w Pondichéry, na Bliskim Wschodzie, na Saint-Pierre, na Madagaskarze, we francuskim Somali i już teraz bezkompromisowo proklamowała swe prawa do Afryki Północnej i Zachodniej, do Antyli i Indochin.

Jeżeli zaś chodzi o „rewolucję narodową”, nią bowiem reżim vichystowski próbował skompensować swą kapitulację, to sprawiała ona wrażenie marnotrawienia reform, które — choć niejedna z nich była wartościowa — zostały skompromitowane i zdyskredytowane przez sam fakt, że łączyły się z klęską i niewolą. Głoszona przez Vichy odnowa moralna i podniesienie autorytetu władzy, a nawet bezsporny wysiłek organizacyjny w dziedzinie ekonomicznej i społecznej, przejawiając się na zewnątrz tylko w defiladach legionistów, w gloryfikowaniu marszałka Pétaina, w tworzeniu niezliczonych komitetów, prowadziły w istocie do nikczemnych prześladowań i do panowania policji i cenzury, rodziły przywileje i czarny rynek.

Toteż nawet w łonie samego reżimu pojawiały się oznaki rozprężenia i chaosu, o czym w okresie od lata 1940 do lata 1942 roku świadczyły kolejno takie fakty jak: odwołanie Laval’a; utworzenie z pomocą Niemców w Paryżu przez Déata, Deloncle’a, Luchaire’a, Marqueta, Suareza i innych „Narodowego Zjednoczenia Ludowego”, gwałtownie atakującego rząd i prowadzącego krzykliwą propagandę na rzecz kolaboracji; nie kończące się zmiany pełnomocnictw Darlana; fakt, iż z gabinetu ustąpili tacy członkowie jak: Ybarnegaray, Baudouin, Alibert, Flandin, Peyrouton, Chevalier, Achard i inni, którzy oświadczali, jeden po drugim, że zadanie jest niemożliwe do wykonania; dziwne i nagłe przerwanie procesu w Riom; przeniesienie w stan spoczynku Weyganda; zamach Colette’a na Laval’a i wreszcie mianowanie Laval’a szefem rządu. Sam marszałek Pétain otwarcie przyznawał, w jak rozpaczliwej znajduje się sytuacji. „Z wielu rejonów Fran-

cji — mówił przez radio w sierpniu 1941 roku — wieje zły wiatr. Niepokój ogarnia umysły. Wątpliwości wkradają się w serca. Autorytet władzy jest kwestionowany. Rozkazy są źle wykonywane. Choroba toczy naród francuski." W czerwcu następnego roku, w dniu drugiej rocznicy jego prośby o zawieszenie broni, mówił przez radio: „Nie ukrywam, że moje apele spotkały się ze słabym oddźwiękiem".

W miarę jak rozwiewał się splendor, którym Vichy próbowało się otoczyć, i kurczyły się akcje podejmowane przez rząd Pétaina, w metropolii to tu, to tam powstawać zaczęły ogniska oporu. Chodziło oczywiście o bardzo różnorodną działalność, często nie dość jasno określoną, ale wypływającą z jednakowych pobudek. Tu redagowano, drukowano, kolportowano jakąś ulotkę konspiracyjną. Ówdzie śledzono wroga, by dostarczyć informacji sieci wywiadowczej. Kilku zdecydowanych ludzi tworzyło grupy bojowe do najróżniejszych celów jak: zamachy, niszczenie obiektów, odbiór i rozdział broni zrzuconej na spadochronach lub dostarczonej innymi drogami, przyjmowanie lub wysyłanie emisariuszy, przechodzenie z jednej strefy do drugiej, przekraczanie granicy państwowej itd. W wielu miejscach powstawały zaczątki organizacji Ruchu Oporu, których członkowie łączyli się ze sobą bądź według wskazówek wyższych instancji, bądź samorzutnie na gruncie wspólnych poglądów. Słowem, pod pozorami bierności i bezczynności, które zdawały się panować w metropolii, pulsować, poczęło żarliwe tajne życie Ruchu Oporu. Jego bojownicy szykowali się już teraz do zadawania wrogowi uderzeń mimo gęstej sieci policji i konfidentów.

We wrześniu 1941 roku rozpoczęła się seria pojedynczych ataków przeciwko niemieckim wojskowym. Dowódca garnizonu w Nantes, oficer w Bordeaux, dwaj żołnierze w Paryżu na ulicy Championnet pierwsi zostali zabici. Potem nastąpiły dalsze zamachy. Przeciwnik stosując represje rozstrzeliwał setkami zakładników, wtrącał do więzień tysiące patriotów, aby ich potem deportować z Francji, nakładał ogromne kontrybucje i kary na miasta, gdzie dokonywano zamachów. Z uczuciem posępnej dumy dowiadywaliśmy się o tych indywidualnych aktach bojowych dokonywanych przeciwko okupantowi wśród ogromnych niebezpieczeństw. Z drugiej strony śmierć Francuzów, którzy padali ofiarą germańskiej zemsty, okrywała nas żałobą, ale nie budziła rozpacz, gdyż była równoznaczna ze śmiercią żołnierza na polu bitwy. Jednakże kierując się elementarnymi względami taktyki wojennej uważaliśmy, że walka ta musi być kierowana i że ponadto nie nastąpił jeszcze moment do rozpoczęcia otwartych działań bojowych w metropolii. Nękanie wroga, aby mu nie dać ani

chwili spokoju, potem działania bojowe sił zbrojnych krajowego Ruchu Oporu w dobrze wybranych miejscach i wreszcie powstanie narodowe, które pewnego dnia chcieliśmy wzniecić w całym kraju, mogły osiągnąć ogromny skutek pod warunkiem, że będą ujednolicone i skoordynowane z działaniami armii niosących Francji wyzwolenie. Tymczasem w 1941 roku Ruch Oporu dopiero się rodził, a z drugiej strony wiedzieliśmy, że upłyną dosłownie jeszcze lata, zanim nasi sojusznicy będą gotowi do wylądowania we Francji.

Toteż 23 października przemawiając przez radio oświadczyłem: „Jest rzeczą zupełnie normalną i absolutnie słuszną, że Niemcy są zabijani przez Francuzów. Jeżeli Niemcy nie chcieli ginąć z naszych rąk, powinni byli pozostać u siebie w domu... Z chwilą gdy nie zdołali ujarzmić świata, każdy z nich wie, że będzie albo trupem, albo jeńcem... Ale wojna kieruje się taktyką. Wojnę powinni prowadzić ci, którzy są do tego powołani... Rozkaz, który wydaję obecnie dla okupowanych obszarów, brzmi: Niemców otwarcie nie zabijać. A to tylko z tego jednego powodu, że w obecnej sytuacji wróg zbyt łatwo jeszcze może odpowiedzieć masakrą naszych na razie jeszcze bezbronnych bojowników. Natomiast skoro tylko będziemy mogli przejść do ataku, wydane będą odpowiednie rozkazy”.

Usiłując ograniczyć nasze straty, które w danych warunkach były nadmierne w porównaniu z bardzo nieznacznymi rezultatami, należało jednak wykorzystać reakcję mas na represje okupanta celem wzmożenia energii i solidarności narodu. 25 października, nazajutrz po straceniu zakładników — 50 w Nantes i Chateaubriant oraz 50 innych w Bordeaux — oświadczyłem przez radio, co następuje: „Rozstrzeliwując naszych męczenników wróg myślał, że zdoła tym zastraszyć Francję. Francja mu pokaże, że go się nie boi... Wzywam wszystkich Francuzów i wszystkie Francuzki, aby w piątek 31 października od godziny 4 do 4.05 zaprzestali wszelkich czynności i pozostali bez ruchu, każdy w miejscu gdzie się będzie znajdował... To gigantyczne ostrzeżenie, ten ogromny strajk narodowy powinny pokazać wrogowi niebezpieczeństwo, które go otacza, i dowieść braterstwa wszystkich Francuzów”. W wigilię wyznaczonego dnia ponowiłem mój apel. Istotnie manifestacja przybrała w wielu miejscowościach, zwłaszcza w fabrykach, imponujący charakter. Umocniło mnie to w decyzji, by nie dopuścić do przeobrażenia się Ruchu Oporu w anarchię, lecz, przeciwnie, stworzyć zeń zorganizowaną całość nie tłumiąc jednak inicjatywy stanowiącej jego sprężynę, ani nie likwidując izolacji poszczególnych komórek, bez której całość mogłaby za jednym zamachem być zlikwidowana.

W każdym razie istniały już teraz elementy Ruchu Oporu — grupy miejscowe, działające pod wieloma względami z dużą stanowczością, lecz dotkliwie odczuwające brak kadr wojskowych. Tam gdzie mogli i powinni je byli znaleźć, to znaczy w resztkach naszej armii, Vichy zagradzało im drogę. A jednak pierwsze akty oporu dokonane zostały przez wojskowych. Oficerowie należący do sztabów armii i okręgów wojskowych chowali broń przed komisją do spraw zawieszenia broni. Służba informacyjna kontynuowała w mrokach konspiracji działalność kontrwywiadowczą i od czasu do czasu przekazywała Anglikom informacje. Generałowie Frère, Delestraint, Verneau, Bloch-Dassault i Durrmeyer powzięli inicjatywę przygotowania przyszłej mobilizacji, w czym pomagały im związki kombatanckie poszczególnych okręgów wojskowych. Generał Cochet zainicjował aktywną propagandę przeciwko nastrojom kapitulankim. Wśród kierowników „Chantiers de Jeunesse”, organizacji liczącej w swych szeregach sporo byłych wojskowych, wielu odbywało ćwiczenia i szkoliło innych, aby w odpowiedniej chwili chwycić za broń. W nie rozwiązanych po kapitulacji jednostkach wojskowych niemal wszyscy oficerowie, podoficerowie i szeregowcy nie ukrywali nadziei, że będą mogli znowu wziąć udział w walkach.

Ludność odnosiła się do tego wszystkiego bardzo pozytywnie. Jedna z kronik filmowych otrzymana przez nas z Francji, a którą wyświetlono mi w Londynie, była wymownym tego dowodem. Na filmie uwidocznił się między innymi moment, kiedy Pétain podczas wizyty w Marsylii zjawił się na balkonie ratusza przed wojskami i tłumem manifestującym gorące uczucia patriotyczne. Ulegając olbrzymiej sugestywnej sile, która szła od tej masy, marszałek nagle wykrzyknął: „Nie zapominajcie, że wszyscy jesteście wciąż jeszcze zmobilizowani!” Słowa te wywołały burzę entuzjazmu wszystkich zebranych na placu, cywilów i wojskowych, którzy śmieli się i płakali ze wzruszenia.

Tak więc armia, mimo że większość jej — i to często najlepsi — poległa lub dostała się do niewoli, spontanicznie przejawiała pragnienie objęcia dowództwa nad narodowym Ruchem Oporu. Ale właśnie tego nie chciał „rząd”, któremu armia przestrzegając zasad posłuszeństwa podlegała. Rząd Vichy, stwarzając najpierw fikcję neutralności, a potem uprawiając otwartą kolaborację z wrogiem, przeszkodził jej w spełnieniu swego posłannictwa, wskutek czego znalazła się ona w moralnym impasie, z którego nie było wyjścia bez złamania formalnej dyscypliny. Jakkolwiek wielu wojskowych przekroczyło tę barierę, w szczególności ci, którzy należeli do organizacji podziemnych, ci, co wstąpili do armii konspiracyjnej, i wreszcie ci, którzy później stworzyli „Woj-

skowy Ruch Oporu" (*Organisation de résistance de l'armée*), to jednak pozostaje faktem, że na początku Ruch Oporu musiał sam tworzyć z niczego swe kadry dowódcze.

W tzw. wolnej strefie takie organizacje jak „Combat” na czele z kapitanem Franay, „Libération”, gdzie główną rolę odgrywał Emmanuel d'Astier de la Vigerie, „Franc-Tireur”, której przewodniczył Jean-Pierre Lévy, rozwijały poważną działalność propagandową i tworzyły także jednostki o charakterze wojskowym. Jednocześnie resztki byłych organizacji związków zawodowych „Confédération generale du Travail” i „Confédération française des Travailleurs chrétiens” podtrzymywały nastroje przychylne dla Ruchu Oporu. To samo dotyczy kilku ugrupowań powstałych z dawnych partii politycznych, w szczególności partii socjalistycznej, demokratów ludowych i federacji republikańskiej. Ponieważ strefa ta nie była okupowana, więc opozycja z natury rzeczy kierowała się przeciwko rządowi Vichy i przeprowadzała swe porachunki z jego policją i sądami. Zresztą przywódcy ruchu, chociaż przygotowywali siły, które by w razie potrzeby mogły być użyte przeciwko wrogowi, myśleli o uchwyceniu władzy i widzieli w Ruchu Oporu nie tylko narzędzie wojny, lecz także środek do zmiany reżimu.

Polityczny charakter poszczególnych organizacji Ruchu Oporu w południowej strefie Francji przyczyniał się niewątpliwie do tego, by podtrzymywać ich aktywność, wciągać do ich szeregów wpływowych ludzi i nadawać ich propagandzie aktualność i atrakcyjność, która budziła umysły. Z drugiej jednak strony było nieuniknione, że cierpiała na tym zgodna współpraca kierowniczych komitetów, a tym samym również ich wspólna akcja. Wielka masa członków i sympatyków nie interesowała się przyszłym programem Ruchu Oporu ani warunkami, w jakich pewnego dnia obejmie on władzę, ani tym, kto wtedy będzie rządził. Powszechnie interesowano się tylko walką lub przynajmniej przygotowaniem do walki. Zdobywać i ukrywać broń, planować, a niekiedy i wykonywać zamachy — oto co było najważniejsze! W tym celu należało organizować grupy z dobrze znających się ludzi, zdobywać środki i trzymać język za zębami. Krótko mówiąc, o ile w łonie Ruchu Oporu wytyczne walki były względnie jednolite, o tyle faktyczna walka, przeciwnie, prowadzona była przez pojedyncze grupy, które posiadały własnych kierowników, działały samodzielnie i spierały się wzajemnie o więcej niż skromne zapasy broni i pieniędzy.

W strefie okupowanej, w warunkach bezpośredniego niebezpieczeństwa, konkurencja ta nie istniała, natomiast rozproszenie ludzi i wysiłków było tym bardziej nieodzowne. Tu wróg był

w bezpośrednim i groźnym sąsiedztwie, tu grasowało gestapo. Nie można było się poruszać, korespondować, wybierać miejsca pobytu bez surowej kontroli. Każdy podejrzany trafiał do więzienia, a potem był wywożony z Francji. Za aktywny opór bojowników czekały niemiłosierne tortury i śmierć. W tych warunkach działalność organizacji konspiracyjnych była rozproszona do ostatnich granic. Jednocześnie obecność Niemców stwarzała atmosferę, która wprost pchała ludzi do walki i do tworzenia organizacji podziemnych. Toteż działalność poszczególnych organizacji Ruchu Oporu w tej strefie przybierała zacięty charakter wojny i spisku. „Organizacja cywilna i wojskowa” („Organisation civile et militaire”) założona przez pułkownika Touny, „Ceux de la Libération” („Ludzie Wyzwolenia”), której przywódcą był Ripoché, „Ceux de la Résistance” („Ludzie Oporu”), sformowana przez Lecompte-Boinet, „Libération-Nord”, której twórcą był Cavaillès, i wreszcie działająca w Hainaud, we Flandrii i w zagłębiu górniczym „La Voix du Nord” („Głos Północy”), kierowana przez Houcke’a, kategorycznie odrzucały nadanie ruchowi jakiegokolwiek zabarwienia politycznego, prowadziły tylko walkę zbrojną i działały niewielkimi, izolowanymi od siebie grupami podziemnymi.

W końcu 1941 roku do akcji przystąpili z kolei komuniści. Do tego czasu ich kierownicy zajmowali wobec okupantów stanowisko ugodowe, gwałtownie natomiast atakując kapitalizm anglosaski i jego lokajów, „degauillistów”. Ale stanowisko ich zmieniło się w mgnieniu oka, gdy Hitler napadł na Rosję, a oni sami z trudem zdołali jeszcze zejść w podziemie i nawiązać łączność niezbędną dla walki konspiracyjnej. Byli zresztą do tego rodzaju walki przygotowani dzięki swemu systemowi komórek partyjnych, tajności hierarchii i oddaniu kadr. Do wojny narodowej włączyli się odważnie i umiejętnie, wrażliwi niewątpliwie — zwłaszcza jeśli chodzi o szeregowych członków partii — na apel ojczyzny, ale jako armia rewolucji nigdy nie tracąc z oczu celu, który polegał na ustanowieniu ich dyktatury przy wykorzystaniu tragedii, którą przeżywała Francja. Zawsze też starali się zachować swobodę działania. Jednocześnie jednak, korzystając z nastrojów panujących wśród bojowników Oporu, z bojownikami komunistycznymi włącznie — którzy chcieli tylko walczyć — dążyli uporczywie do opanowania całego Ruchu Oporu, aby w miarę możliwości uczynić zeń narzędzie swych ambitnych planów.

W strefie okupowanej komuniści stworzyli „Front Narodowy”, organizację o charakterze na wskroś patriotycznym, i organizację „Francs-Tireurs et Partisans”, która zdawała się być przeznaczona wyłącznie do walki przeciw Niemcom. W ten sposób wciąż-

gali wiele elementów niekomunistycznych, co już samo przez się przyczyniało się do maskowania ich planów. Jednocześnie wprowadzali niektórych swoich zakamuflowanych członków do kierowniczych organów innych organizacji podziemnych. Niebawem też zaproponowali mi swoją współpracę, chociaż jednocześnie nie przedstawiali po cichu pomstować na „mit de Gaulle'a”.

Ja zaś chciałem, aby służyli sprawie Francji. Chcąc pokonać wroga nie wolno było rezygnować z żadnych sił mogących wziąć udział w walce. Byłem zaś przekonany, że udział komunistów będzie niezmiernie ważnym wkładem w ową swoistą wojnę, jaką narzucały warunki okupacji. Trzeba jednak było, aby działali jako część jednolitej całości i — mówię to bez ogródek — pod moim kierownictwem. Wierząc niezłomnie w siłę uczucia narodowego mas francuskich i w okazywane mi przez nie zaufanie, byłem od pierwszej chwili zdecydowany przyznać komunistom należne miejsce w Ruchu Oporu, a nawet, gdy przyjdzie na to czas, w jego kierownictwie. Również mocno jednak byłem zdecydowany nie dopuścić do tego, by w jakimkolwiek momencie mogli w nim zająć dominujące stanowisko, by mogli mnie odsunąć i uchwycić kierownictwo ruchem w swoje ręce. Tragedia, w której ważyły się losy naszej ojczyzny, dawała tym Francuzom, postawionym poza nawiasem narodu na skutek ich buntu przeciw niesprawiedliwości i w wyniku błędów, które ich sprowadziły na manowce, historyczną okazję do włączenia się z powrotem do wspólnoty narodowej, chociażby tylko na czas trwania wojny. Chciałem tak postępować, żeby ta sposobność nie została bezpowrotnie utracona. Chciałem, aby i tym razem wszyscy ci, którzy oddadzą życie za ojczyznę, niezależnie od tego, jak i gdzie polegną, mogli umierać z okrzykiem: „Vive la France” — „Niech żyje Francja”. W nieustannym ruchu świata wszystkie doktryny, wszystkie szkoły, wszystkie rewolucje trwać będą tylko jakiś czas. Komunizm przeminie. Ale Francja nie przeminie. Jestem przekonany, iż w jej losach w końcowym rachunku wielką rolę odegra fakt, że mimo wszystko w momencie wyzwolenia — w owym przemijającym, lecz jakże decydującym momencie swej historii — naród francuski będzie zwarty i zespolony.

W październiku 1941 roku dowiedziałem się, że do Lizbony przybył z Francji Jean Moulin, który pragnie dostać się do Londynu. Wiedziałem, kim jest. Wiedziałem w szczególności, że jako prefekt departamentu Eure-et-Loir w chwili wkroczenia Niemców do Chartres wykazał wiele męstwa i godności, że zmaltretowany i ranny został przez przeciwnika wtrącony do więzienia. Później Niemcy zwolnili go, przeprosili i świadczyli różne grzeczności. Vichy, odwoławszy go ze stanowiska, trzymało go odtąd

na uboczu. Wiedziałem, że chce służyć naszej sprawie. Zwróciłem się więc do władz angielskich, aby umożliwiły temu wartościowemu człowiekowi przyjazd do Anglii. Musiałem czekać dwa miesiące, nim uczyniono zadość mej prośbie. *Intelligence Service* usiłował wciągnąć Moulina na swą służbę. On jednak domagał się, aby go wysłano do mnie. Dzięki usilnej prośbie, z którą zwróciłem się listownie do Edena, uzyskałem w końcu, że ten uczciwy Francuz mógł osiągnąć właściwy cel swej podróży. Nie mniej trudu kosztowało mnie potem umożliwienie mu powrotu do Francji.

W ciągu grudnia miałem z nim długie rozmowy. Jean Moulin przed wyjazdem do Londynu nawiązał kontakt ze wszystkimi organizacjami Ruchu Oporu, a jednocześnie sondował grunt w różnych kołach politycznych, gospodarczych i administracyjnych. Znał teren, na którym od razu postanowiłem, go wykorzystać. Jego propozycje były jasne, a postulaty wyraźnie sformułowane.

Ten młody jeszcze człowiek, który zdążył jednak w toku swej kariery służbowej nagromadzić duże doświadczenie, był ulepiony z tej samej gliny co moi najlepsi towarzysze walk. Całą duszą oddany Francji, przekonany, że „degaulizm” powinien stać się nie tylko narzędziem walki, lecz również siłą napędową wielkiego ruchu odnowy, przepojony uczuciem, że Wolna Francja jest ucieleśnieniem państwa francuskiego, pragnął dokonać wielkich rzeczy. Ale zarazem pełen rozwagi, widząc sprawy i ludzi takimi, jakimi byli w rzeczywistości, kroczył ostrożnie drogą usianą pułapkami przez przeciwników i najeżoną przeszkodami wznoszonymi przez przyjaciół. Pełen wiary i zimnej rozwagi, nie wątpiąc o nikim i niczym, a zarazem nikomu i niczemu nie dowierzając, apostoł nowej wiary, a zarazem jej kapłan, miał Moulin w ciągu następnych osiemnastu miesięcy spełnić kapitalne zadanie. Dzięki niemu jedność Ruchu Oporu w metropolii, która wtedy ledwie symbolicznie się zarysowywała, stała się rzeczywistością. Później zdradzony, uwięziony, poddany straszliwym torturom przez przeciwnika wyzutego z wszelkich skrupułów, Jean Moulin umarł za Francję tak jak tylu innych dobrych żołnierzy walczących w słońcu czy w mroku, jak wszyscy ci, co w długą i bezlitosną noc niewoli i śmierci cierpieli i oddawali swe życie, aby „tym jaśniejszy wstał jutro poranek”.

Uzgodniliśmy, że najpierw rozwinie on działalność w południowej strefie Francji, aby nakłonić tamtejsze organizacje Ruchu Oporu do stworzenia pod jego przewodnictwem wspólnego organu, który byłby bezpośrednio powiązany z Komitetem Narodowym i umacniałby jedność, dawał wytyczne i likwidował wewnętrzne

nieporozumienia. Po spełnieniu tego zadania miał Moulin zająć się strefą północną i podjąć próbę utworzenia ogólnofrancuskiej Rady Ruchu Oporu związanej z Francją Walczącą. Z chwilą jednak gdy chodziło o powołanie do życia jednolitego organu kierownictwa wszystkich organizacji biorących udział w walce na całym obszarze metropolii, od razu wyłaniały się dwie kwestie: sprawa partii politycznych i wewnętrznych sił zbrojnych.

Biorąc pod uwagę przedstawicielski, a nie kierowniczy charakter, który chciałem nadać tej przyszłej Radzie i który też później istotnie przybrała — nie zamierzałem wykluczać z niej partii politycznych. Istnienie stronnictw politycznych było nieuniknione. Moim zdaniem zresztą nasze nieszczęścia spowodowane były nie tym, że te stronnictwa istniały, lecz faktem, że korzystając z rozkładu zmurszałych instytucji państwowych, uzurpowały sobie władzę. Toteż mimo iż rezerwowałem dla nich miejsce w Ruchu Oporu, nie chciałem, by znalazły się na jego czele. Ruch Oporu zresztą nie powstał ani z reprezentowanego przez nie ducha, ani z ich działań, ponieważ wszystkie bez wyjątku partie w decydującym momencie zawiodły. Jednakże, zdezorganizowane wczoraj przez katastrofę, obecnie zaczynały znowu przychodzić do siebie. Niektóre ich elementy przystępując do Ruchu Oporu jednocześnie grupowały się znowu w swych dawnych ramach organizacyjnych.

Prawda, że nic mając już klienteli, o której względy trzeba by zabiegać, i z braku możliwości kombinacji parlamentarnych i targów o teki ministerialne, same myślały i starały się wmówić to innym, że powróciły do szlachetnych źródeł, z których niegdyś wzięły początek: dążenia do sprawiedliwości społecznej, kultu tradycji narodowych, ducha laicyzmu lub gorących uczuć chrześcijańskich. Poszczególne ich organizacje, gruntownie oczyszczone, zdawały się pragnąć tylko jednego: wniesienia bezpośredniego wkładu do walki przez zmobilizowanie tego lub innego nurtu społecznego. Opinia publiczna zresztą zaczynała znowu dawać posłuch tym grupom partyjnym, do których przywykła, tym bardziej że odrzekały się od swoich błędów. Wreszcie alianci stale przywiązywali dużą wagę do stanowiska przywódców partyjnych. Dążąc do jedności narodowej należało się liczyć z faktami. Toteż udzieliłem Moulinowi instrukcji, by w odpowiedniej chwili wprowadził do projektowanej Rady obok delegatów poszczególnych organizacji Ruchu Oporu również delegatów stronnictw politycznych.

Jeżeli spodziewałem się tą drogą osiągnąć pewną jedność akcji politycznej we Francji, to do tego samego celu zmierzałem także w odniesieniu do akcji zbrojnej. Pod tym względem pierwsza

trudność wyłaniała się ze strony samych organizacji Ruchu Oporu. Stworzywszy własne oddziały bojowe pragnęły one same nadal nimi kierować. W dodatku z wyjątkiem kilku górzystych okolic lub innych trudno dostępnych terenów oddziały te mogły istnieć tylko jako nieduże grupy. Dotyczyło to przede wszystkim oddziałów maquis sformowanych przeważnie z ludzi, którzy uchylili się od wykonania nakazów pracy okupanta i z konieczności musieli ukrywać się w terenach wiejskich. Jedyną formą wojny, jakiej można się było po nich spodziewać, była partyzantka, która mogła być bardzo skuteczna, jeżeli poszczególne działania stanowiłyby część skoordynowanej całości. Pozostawiając tym różnym grupom możliwość autonomicznego działania, należało więc rozwiązać problem polegający na tym, aby je połączyć więzami wspólnej organizacji, elastycznej, lecz operatywnej i podlegającej bezpośrednio mnie. Pozwoliłoby to wyznaczać im, w postaci planów uzgodnionych z dowództwem alianckim, określone zadania, które mieliby spełniać w zależności od sytuacji, w szczególności w momencie, gdy nareszcie nastąpi lądowanie armii alianckich we Francji. Powierzyłem Moulinowi zadanie nakłonienia poszczególnych organizacji Ruchu Oporu do tej elementarnej formy współdziałania ich grup bojowych. Minęło jednak kilka miesięcy, zanim mogłem w osobie generała Delestraint powołać dowódcę armii podziemnej.

Jean Moulin został zrzucony na spadochronie w południowej strefie Francji w nocy na 1 stycznia 1942 roku. Miał przy sobie mój rozkaz mianujący go delegatem na nie okupowaną strefę Francji z zadaniem zapewnienia jedności działania różnych grup Ruchu Oporu. W zasadzie więc jego pełnomocnictwa nie mogły być kwestionowane. Chodziło jednak o to, aby je mógł efektywnie wykonywać, a to wymagało mego poparcia. W związku z tym uzgodniliśmy, że to on stanowić będzie we Francji centralne ogniwo naszych kontaktów z Francją, najpierw ze strefą południową, a potem, skoro to tylko stanie się możliwe, również ze strefą północną, że jemu będą podlegać środki łączności i do niego przydzielani będą nasi łącznicy, że będzie stale informowany o przerzucaniu naszych ludzi, materiałów i kurierów z Anglii do Francji i w kierunku odwrotnym, i wreszcie, że będzie otrzymywał i rozdzielał fundusze przesyłane przez nas dla różnych organizacji działających w metropolii. Wyposażony w te pełnomocnictwa Moulin zabrał się do dzieła.

Z jego inicjatywy, wspomaganej oddolnym poparciem, kierownicy organizacji Ruchu Oporu w strefie południowej utworzyli niebawem coś w rodzaju rady, której przewodnictwo

objął delegat Komitetu Narodowego. W marcu ogłosili pod tytułem „Jedna walka i jeden dowódca” wspólną deklarację zobowiązując się do jedności działania i oświadczając, że walczą pod kierownictwem generała de Gaulle'a. W działalności różnych organizacji zapanował pewien ład. Co się tyczy grup bojowych, to przygotowywano ich fuzję. Jednocześnie Moulin wspomagany przez nas utworzył przy swej delegaturze scentralizowane organy kierownictwa poszczególnych rodzajów służb.

Tak na przykład „kierownictwo działań powietrznych i morskich” otrzymywało bezpośrednio od pułkownika Dewavrin instrukcje dotyczące ruchu samolotów i statków. Co miesiąc w księżycowe noce samoloty „Lysander” lub bombowce prowadzone przez pilotów, wyspecjalizowanych w tego rodzaju śmiałych wyprawach, jak Laurent i Livry-Level, lądowały w wyznaczonych miejscach. Ludzie, którzy za każdym razem ryzykowali życiem, zapewniali sygnalizację, załadowanie i wyładowanie pasażerów i materiałów oraz osłonę. Często zrzucono na spadochronie zasobniki, które należało potem zabrać z miejsca zrzutu, schować, a następnie rozprowadzić ich zawartość. „Służbą radiową”, której organizację zapoczątkował Julitte, również kierował Moulin; przesyłała ona do Londynu i otrzymywała stamtąd co miesiąc setki, a w późniejszym okresie tysiące depesz, nieustannie przenosząc z miejsca na miejsce wykryte przez aparaty detekcyjne przeciwnika stacje nadawcze i w miarę możliwości uzupełniając ponoszone przy tym ciężkie straty. Moulin stworzył także „biuro informacji i prasy”, które pod kierownictwem Georges Bidault informowało nas stale o nastrojach, zwłaszcza w środowiskach inteligenckich, o akcji socjalnej i o sprawach politycznych. Działające przy delegacie biuro studiów pod nazwą „Comité général des études”, w którego skład wchodził Bastid, Lacoste, de Menthon, Parodi, Teitgen, Courtin i Debré, opracowywało projekty na przyszłość. Bloch-Lainé kierował działem finansowym i przyjmował fundusze przekazywane z Londynu. W ten sposób Moulin mając w ręku najważniejsze organy kierownictwa mógł realizować zamiary naszego rządu. Już w pierwszych miesiącach potwierdzali nam to świadkowie przybywający z Francji.

Jednym z nich był Rémy. Powrócił on z Paryża pewnej nocy w lutym 1942 roku przywożąc całe pliki dokumentów dla poszczególnych działów Komitetu Narodowego, a dla mej żony doniczkę z azalią zakupioną na ulicy Royale w Paryżu. Jego organizacja „Confrérie Notre-Dame” („Bractwo Notre-Dame”) pracowała całą parą. Nie było na przykład takiego niemieckiego nawodnego okrętu, który by przybył lub opuścił Brest, Lorient,

Nantes, Rochefort, La Rochelle lub Bordeaux, by Londyn nie był natychmiast o tym telegraficznie powiadomiony. Nie było umocnienia zbudowanego przez przeciwnika nad kanałem La Manche lub nad Atlantykiem, w szczególności w bazach floty podwodnej, którego miejsce i plan nie byłyby nam natychmiast znane. Rémy poza tym zorganizował systematyczną łączność bądź z innymi sieciami organizacji, bądź z ogniwami Ruchu Oporu w strefie okupowanej, bądź wreszcie z komunistami. Ci zresztą nawiązawszy z nim kontakt na krótko przed jego odjazdem prosili go, aby mi zakomunikował, iż są gotowi oddać się pod moje rozkazy i wysłać do Londynu swego pełnomocnika, który byłby tu stale do mej dyspozycji.

W marcu Pineau, jeden z kierowników organizacji „Libération-Nord” i mąż zaufania związków zawodowych, przybył do nas, by przez trzy miesiące skutecznie z nami pracować. W kwietniu przybył Emmanuel d'Astier, pełen projektów i przewidywań, którego przed powrotem do Francji uważałem za wskazane skierować do Stanów Zjednoczonych, aby wyjaśnił tam na miejscu szereg spraw związanych z Ruchem Oporu. Następnie przybył do nas Brossolette, tryskający koncepcjami politycznymi, wznoszący się na najwyższe szczyty myśli politycznej, do głębi przejęty ogromem nieszczęścia, które spotkało Francję; spodziewał się on odrodzenia jedynie od „degauillizmu”, podnosząc go do rangi doktryny. Był on potem w znacznej mierze inspiratorem naszych działań wewnętrznych we Francji. Później, gdy w toku wykonywania pewnego zadania wpadł w ręce wroga, sam zadał sobie śmierć w obawie, by poddany torturom nie okazał się zbyt słabym. Przyjechał także Roques przywożąc nam pisma od wielu działaczy parlamentarnych; został on później aresztowany i stracony. Przybył także Paul Simon wysłany ze strefy okupowanej przez „Organizację Cywilną i Wojskową”, aby nawiązać łączność z nami. Ten człowiek wnikliwego umysłu i nieugiętej woli miał później oddać nam jeszcze duże usługi. Poległ na polu chwały w przeddzień wyzwolenia. Wreszcie Philip, Charles Vallin, Viénot, Daniel Mayer i inni również pragnęli przyjechać do Londynu.

Moje rozmowy z tymi ludźmi, przeważnie młodymi, pełnymi zapału, zaciętymi w walce i swoich dążeniach, dowiodły mi, jak dalece zdyskredytowany był w oczach Francuzów reżim istniejący w kraju w momencie katastrofy. Ruch Oporu nie był tylko rozpaczliwym wybuchem naszej osłabionej do ostateczności obrony. Rodził także nadzieję odnowy. Można się było spodziewać, że jeżeli tylko nie rozproszy się po zwycięstwie, stanie się dźwignią głębokich przemian w całym naszym systemie pań-

stwowym i wielkich wysiłków całego narodu. Spotykając się z kierownikami Ruchu Oporu, którzy odezwali się na mój apel, myślałem, że, być może, ci spośród nich, którzy pozostaną przy życiu, stworzą wokół mnie rdzeń kierownictwa dla wielkich dokonań w imię dobra Francji i całej ludzkości. Nadzieja ta jednak była realna tylko pod warunkiem, że ludzie ci, gdy minie niebezpieczeństwo, poddadzą się tej samej dyscyplinie umysłu i uczuć, która ich tym razem zespoliła i bez której nic nie ma wartości.

W każdym razie nadszedł dla mnie czas, by w porozumieniu z całym Ruchem Oporu i w jego imieniu proklamować cel, który pragniemy osiągnąć. Celem tym było wyzwolenie w najzupełniejszym znaczeniu tego słowa, to znaczy wyzwolenie zarówno człowieka, jak ojczyzny. Program nasz ogłosiłem pod postacią manifestu uchwalonego przez Komitet Narodowy, po uprzednim zasięgnięciu we Francji opinii poszczególnych organizacji Ruchu Oporu i naszej delegatury. Oświadczyłem w nim, że wolność, godność i bezpieczeństwo, które postanowiliśmy zapewnić Francji w świecie przez zniszczenie wroga, rozumiemy w ten sposób, że każdy Francuz i każda Francuzka ma z nich korzystać w swym życiu osobistym dzięki zmianie reżimu, odmawiającego wielu z nich tej wolności, godności i bezpieczeństwa. Potępiałem więc w moim manifestie zarówno ów „reżim moralny, społeczny, polityczny i gospodarczy, który upadł w dniach klęski”, jak i „reżim wyłoniony ze zbrodniczej kapitulacji”. Dalej mówiłem: „Skupiając się dla zwycięstwa naród francuski jednoczy się dla rewolucji”. Manifest został ogłoszony 23 czerwca 1942 roku w całej prasie podziemnej w obydwu strefach Francji, jak również przez nasze rozgłoszenie w Brazzaville i Bejrucie oraz radio londyńskie.

W okresie tym przede wszystkim warunki walki w metropolii zmuszały mnie do utrzymania siedziby Komitetu Narodowego w Londynie. Jednakże często myślałem o przeniesieniu jej na terytorium francuskie, na przykład do Brazzaville. Sprawa ta stawiała szczególnie ostro za każdym razem, gdy wybuchał kolejny kryzys w naszych stosunkach z Anglią. Wtedy jednak sam zastanawiałem się: „Jak z głębi Afryki komunikować się z ojczyzną, docierać swym głosem do kraju, oddziaływać na Ruch Oporu? Natomiast w Wielkiej Brytanii znajdują się potrzebne środki łączności i informacji. Z drugiej strony wysiłek dyplomatyczny w zakresie stosunków z rządami sojusznicznymi wymaga odpowiednich kontaktów, otoczenia, które daje nam stolica angielska, a których oczywiście brak byłoby na brzegach Kongo.

Wreszcie muszę utrzymywać kontakt z tymi naszymi siłami, które bazy swe mogą mieć tylko na Wyspach Brytyjskich".

Toteż po powrocie ze Wschodu obrałem za swą siedzibę Londyn. Pozostałem tam dziesięć miesięcy.

Przypominam sobie dzisiaj życie, które tam prowadziłem. Można mi wierzyć, że mój czas był wypełniony. Mieszkalem w hotelu „Connaught”. Wynająłem prócz tego najpierw w Ellesmere (Shropshire), a potem w Berkhamsted w pobliżu stolicy domek wiejski, gdzie spędzałem weekendy z moją żoną i naszą córką Anną. Później zamieszkaliśmy w Londynie w dzielnicy Hampstead. Philippe, po skończeniu szkoły morskiej, pływał i walczył na Atlantyku na pokładzie korwety „Roselys”, następnie zaś na kanale La Manche jako drugi oficer na kutrze torpedowym 96. Elżbieta ulokowana w zakładzie „Sióstr Syjonu” przygotowywała się do wstąpienia na uniwersytet oksfordzki. Dokoła nas ludność zachowywała się z pełną sympatii dyskrecją. Tak jak burzliwe były manifestacje, gdy występowałem oficjalnie na zgromadzeniach publicznych, tak powściągliwe były dowody sympatii okazywanej mi przez Anglików, gdy spotykali mnie z członkami mojej rodziny na ulicy, na spacerze w parku lub przy wejściu do kina. Odczułem sam na sobie, jak każdy członek tego wielkiego narodu szanuje wolność innych.

Najczęściej dzień upływał mi na zajęciach w Carlton Gardens. Tu François Goulet, szef mego gabinetu, odkąd Courcel wyjechał do Libii jako dowódca szwadronu samochodów pancernych, i Billote, mianowany szefem mego sztabu po wyjeździe generała Petit do Moskwy i objęciu przez Ortoliego stanowiska dowódcy niszczyciela „Triomphant”, przedstawiali mi raporty, listy i depesze. Soustelle referował mi otrzymane w ciągu dnia informacje, Passy-Dewavrin przedkładał raporty z Francji, a Schumann otrzymywał wskazówki, co tego dnia powiedzieć przez radio. Tu również załatwiałem sprawy z poszczególnymi komisarzami narodowymi i kierownikami działów, przyjmowałem wizyty lub osoby wezwane, wydawałem rozkazy i instrukcje, podpisywałem dekrety. Często na śniadaniu, a niekiedy na obiedzie spotykałem się z osobistościami alianckimi lub z Francuzami, z którymi pragnąłem rozmawiać. Jeżeli chodzi o wielką pracę, którą było dla mnie redagowanie moich przemówień, to dokonywałem jej u siebie wieczorem lub w niedziele. W każdym razie starałem się nie zakłócać funkcjonowania biur Komitetu Narodowego przez źle uregulowany podział czasu. W zasadzie w Carlton Gardens z wyjątkiem biura szyfrów nie pracowano nocą.

Poza tym wszystkim musiałem jednak składać na zewnątrz

bardzo wiele wizyt. Niezależnie od rozmów z angielskimi ministrami, konferencji ze sztabem generalnym i uroczystości, na które zapraszał mnie rząd brytyjski albo rząd tego lub innego sojusznika, odwiedzałem od czasu do czasu niektóre ośrodki życia francuskiego w Londynie. „Instytut Francuski”, który w osobie swego dyrektora prof. Saurat przyłączył się do mnie dosłownie w pierwszych chwilach po moim apelu, zapewniał naszym rodakom cenne możliwości nauki i skupiał aktywne środowisko intelektualne. Organizacja „Alliance Française” kontynuowała swą działalność pod kierownictwem Théemoina i pani Salmon. „Dom Instytutu Francuskiego” („Maison de l'Institut de France”) dostarczał nam ze swej biblioteki potrzebnej dokumentacji aż do wieczoru, kiedy został zburzony przez niemieckie bomby, przy czym zginął jego dyrektor Robert Cru. Składająca się głównie z Anglików organizacja „Amis des volontaires français” („Przyjaciele Ochotników Francuskich”) kierowana przez lorda Tyrrella, lorda de la Varra i lorda Ivora Churchilla, jak również działający w Szkocji „Komitet Koordynacyjny Francji Walczącej” pod przewodnictwem naszego przyjaciela lorda Inverclyde'a udzielały francuskim bojownikom skutecznej i wielkodusznej pomocy. „Izba Handlu Francuskiego” współdziałała w wymianie towarowej między Wielką Brytanią a terytoriami przyłączonymi do Wolnej Francji. Ośrodek „Centre d'accueil de la France Libre” opiekował się osobami przybywającymi z Francji, a „Szpital Francuski” leczył sporą liczbę naszych rannych. Uczestnicząc w działalności tych różnych instytucji starałem się, tak jak gdzie indziej, zacieśniać w Anglii naszą solidarność narodową.

Stowarzyszenie Francuzów w Wielkiej Brytanii („Association des Français de Grande-Bretagne”) aktywnie mi w tym pomagało. Ono to przede wszystkim zorganizowało kilka wielkich zgromadzeń z udziałem osób cywilnych i wojskowych, gdzie miałem sposobność spotkać się z masą Francuzów i manifestować swe przekonania i skąd ludność we Francji dzięki transmisji radiowej mogła słuchać przemówień i reakcji sali. Już 1 marca 1941 roku w „Kingsway Hall” przed liczącym tysiące ludzi audytorium określiłem nasze zadanie i dałem wyraz naszym nadziejom. 15 listopada w wypełnionej po brzegi ogromnej sali „Albert Hall” uroczyście proklamowałem trzy podstawowe zasady — trzy fundamentalne „artykuły” naszej polityki.

„Artykuł pierwszy — powiedziałem — polega na tym, żeby walczyć, to znaczy wzmóc do maksimum wysiłek Francji w toczącej się wojnie i maksymalnie rozszerzyć jego zasięg... Ale podejmujemy go tylko na apel Francji i tylko w jej interesie.” Potem potępiając zarówno reżim przedwojenny, jak i reżim Vi-

chy oświadczyłem: „Uważamy za niezbędne, aby potężna i uzdrawiająca fala podniosła się z głębin narodu i zmiotła zarówno wszystko to, co stało się przyczyną katastrofy, jak i reżim państwa oparty na kapitulacji. Dlatego artykuł drugi naszej polityki opiewa, że głos należy oddać narodowi, skoro tylko wydarzenia pozwolą mu swobodnie wypowiedzieć się, czego pragnie, a czego nie pragnie”. Wreszcie, w trzecim artykule, nakreślałem zasady, na których naszym zdaniem winny się oprzeć odnowione instytucje państwowe Francji. „Zasady te — mówiłem — określają trzy dewizy Wolnych Francuzów. Mówimy: «Honor i Ojczyzna» rozumiejąc przez to, że naród może się odrodzić tylko w wyniku zwycięstwa i istnieć tylko strzegąc swej wielkości. Mówimy: «Wolność, Równość, Braterstwo», ponieważ chcemy pozostać wierni zasadom demokratycznym. Mówimy: «Wyzwolenie», bo jeżeli nasz wysiłek musi trwać do czasu, aż osiągniemy zwycięstwo nad wrogiem, to uwieńczeniem jego powinno być stworzenie dla każdego Francuza takich warunków, aby mógł spokojnie żyć i pracować zachowując swą godność osobistą.”

Po tych słowach zebranie porwane entuzjazmem przeobraziło się w burzliwą demonstrację, której echo rozniosło się daleko poza mury „Albert Hall.”

Tego rodzaju zgromadzenia były rzadkie. Często natomiast dokonując inspekcji wojskowej odwiedzałem naszych ochotników. Nasze siły lądowe, morskie i powietrzne, chociaż skromne, rozproszone i sformowane z części różnych jednostek, tworzyły obecnie zespoloną całość, która się coraz bardziej cementowała. Plan organizacyjny, który w 1942 roku nakreśliłem komisarzom wojny, marynarki wojennej i lotnictwa, był ściśle wykonywany. Przekonywałem się o tym odwiedzając jednostki rozmieszczone w Wielkiej Brytanii, gdy żołnierze widząc z bliska tego, którego nazywali „le grand Charles” („duży Karol”) swymi spojrzeniami, zachowaniem i zapałem w ćwiczeniach wyrażali mu swe bezgraniczne oddanie.

Z całej naszej małej armii walczącej w Afryce i na Wschodzie tylko ośrodki organizacyjne znajdowały się na Wyspach Brytyjskich. W nich szkoliła się przeważająca część jej kadr dowódczych. W obozie Camberley pułkownik Renouard przedstawił mi batalion strzelców, dywizjon artylerii, szwadron czołgów, oddział saperów, jednostkę łączności, z których co sześć miesięcy wychodzili wyszkoleni podoficerowie i specjaliści. Obejrzałem park artylerii, gdzie pod dowództwem majora Boutet doprowadzany był do porządku francuski sprzęt artyleryjski przywieziony swego czasu do Anglii przez służby bazy ekspedycji norweskiej lub przez okręty wojenne przybyłe z Francji w czasie

inwazji. Stąd wysyłano broń, amunicję i samochody dla wyposażenia nowych formacji wraz z materiałem dostarczonym bądź przez Anglików zgodnie z układem z 7 sierpnia 1940 roku, bądź przez Amerykanów w ramach dostaw „lend-lease”. Pertraktacjami i środkami wykonawczymi, których wymagało to doniosłe zadanie, zajmowała się służba uzbrojenia pod kierownictwem pułkownika Morin. Później, kiedy ten wspaniały oficer zginął strącony z samolotem w czasie wykonywania zadania służbowego, następcą jego został major Hirsch. W samym Londynie odwiedzałem niekiedy kompanię francuskich wolontariuszek, w której pod dowództwem pani Terré w stopniu kapitana, następczyni pani Mathieu, szkoliły się młode patriotyczne dziewczęta w pełnieniu funkcji kierowców, sanitariuszek i sekretarek. Od czasu do czasu jeździłem do Malvern, a następnie do Ribbersford do „kadetów Wolnej Francji”. Szkołę tę, przeznaczoną dla uczniów i studentów przybyłych do Anglii, stworzyłem w 1940 roku. Wkrótce uczyniliśmy z niej szkołę podchorążych, na której czele stanął major Baudouin. W pięciu promocjach wyszło z niej 211 dowódców drużyn i plutonów, z których 52 poległo na polu chwały. Nic tak nie podnosiło na duchu szefa Wolnych Francuzów jak kontakt z tą młodzieżą, kwiatem nadziei wróżącym nowy blask przyćmionej sławie Francji.

Podczas gdy jednostki wojsk lądowych stacjonowane w Anglii szkoliły wojska przeznaczone do walki na różnych teatrach wojny, nasze siły morskie w oparciu po większej części o porty angielskie brały udział w toczącej się na Atlantyku, kanale La Manche, Morzu Północnym i Oceanie Lodowatym bitwie o morskie drogi komunikacyjne. Aby w niej uczestniczyć, musieliśmy korzystać z baz alianckich. Istotnie, nie posiadaliśmy własnych możliwości remontu, utrzymania i zaopatrzenia naszych okrętów. Tym bardziej nie mogliśmy ich sami wyposażać w nowe środki obrony przeciwlotniczej, aparaty detekcyjne, radar itd., których wymagała techniczna ewolucja wojny morskiej. Wreszcie na rozległym teatrze działań morskich, którego centrum stanowiła Anglia, nieodzowna była jedność techniczna i taktyczna.

Dlatego też, chociaż okręty uzbrojone przez nas należały całkowicie do nas niezależnie od ich pochodzenia, chociaż pływały wyłącznie pod trójbabarwną banderą Francji, a ich oficerowie i załogi podlegali wyłącznie dyscyplinie francuskiej i wykonywali zadania bojowe jedynie na rozkaz francuskich dowódców, słowem, chociaż nasza marynarka wojenna zachowywała czysto narodowy charakter, zgodziliśmy się na to, że z wyjątkiem sporadycznych wypadków, kiedy je wykorzystywaliśmy bezpośrednio, brały one udział we wspólnych działaniach bojowych pro-

wadzonych przez Anglików. Naszej flocie wychodziło to zresztą na korzyść, gdyż dzięki temu była ona na razie włączona do systemu, który pod względem zdolności bojowej, dyscypliny i aktywności godny był najwyższego podziwu. Anglicy ze swej strony wysoko ceniąc sobie pomoc naszych sił morskich udzielali im wszechstronnej pomocy materialnej. Ich arsenały i służby robiły wszystko, aby mimo różnic w typach jednostek pływających i uzbrojeniu doprowadzać nasze okręty do stanu użyteczności i należycie je zaopatrywać. Nowy sprzęt, wprowadzany w marynarce angielskiej, był natychmiast dostarczany również naszej flocie. Nowe okręty — korwety i kutry, później zaś fregaty, niszczyciele i okręty podwodne — przekazywano nam od razu po wykończeniu ich w stocznjach. Jeżeli nasza niewielka flota mogła odegrać swą rolę i podtrzymać na morzach honor francuskiego oręża, zawdzięczała to zarówno pomocy sojuszników, jak i zasługom naszych marynarzy.

Przekonywałem się o tym za każdym razem, gdy odwiedzałem którąś z jej części w Greenock, Portsmouth, Cowes lub Dartmouth. Z uwagi na charakter walki, a także na ograniczony stan liczebny marynarzy, uzbrajaliśmy tylko małe jednostki pływające. Ale na ich pokładach marynarze Wolnej Francji dokonywali największych wysiłków, na które tylko mogli się zdobyć.

Przede wszystkim, rzecz jasna, uzbroiliśmy okręty przybyłe z Francji. Wiosną 1940 roku z naszych pierwszych pięciu okrętów podwodnych pozostały trzy: „Rubis”, „Minerve” i „Junon”, które na wodach norweskich, duńskich i francuskich atakowały statki nieprzyjacielskie, ustawiały miny, wysadzały na brzeg komandosów; „Narval” zginął w pobliżu Malty w grudniu 1940 roku, „Surcouf” zatonął wraz z całą załogą w lutym 1942 roku. Niszczyciele „Triomphant” i „Léopard” oraz torpedowce „Melpomène” i „Bouclier” przez szereg miesięcy eskortowały konwoje na oceanie i kanale La Manche. „Triomphant” został potem wysłany na Pacyfik. „Léopard”, skierowany najpierw do Afryki Południowej, brał później udział w przyłączeniu wyspy Réunion do Wolnej Francji i wreszcie zatonął w pobliżu Tobruku. Torpedowiec „Melpomène” przeszedł na Morze Północne. „Bouclier” stał się jednym z naszych statków szkolnych. Z naszych pięciu awizo trzy: „Savorgnan de Brazza”, „Commandant Duboc” i „Commandant Dominé” krążyły u brzegów Afryki. „Moqueuse” pomagała w ochronie komunikacji na Morzu Irlandzkim; „Chevreuil” patrolował w Oceanii na wodach Numei i 27 maja 1942 roku przeprowadził przyłączenie wysp Wallis i Futuna do Wolnej Francji. Dwa trałowce „Congre” i „Lucienne-Jeanne” spełniały swe trudne zadania w wejściach do portów

angielskich. Dziesięć ścigaczy brało udział w osłonie alianckich statków handlowych między Kornwalią i Pas-de-Calais. Z nich pozostało już tylko osiem, gdyż dwa zostały zatopione. Wprowadzono do służby sześć patrolowców, z których „Poulmic” został zatopiony w pobliżu Plymouth w listopadzie 1940 roku, a „Viking” na wodach Tripolisu w kwietniu 1942 roku; „Vaillant”, „Président Houdouin” i „Reine des Flots” krążyły w dalszym ciągu po morzach; „Leonille” był używany jako pływająca baza floty handlowej. Pomocniczy krążownik „Cap des Palmes” utrzymywał ruch wahałowy między Sydney i Numeą. Cztery okręty-bazy „Ouragan”, „Amiens”, „Arras” i „Diligente” uzupełniały jednostkę marynarki wojennej w Greenock i bazę załóg „Bir Hakeim” w Portsmouth, gdzie szkoleni byli nasi marynarze. Stary pancernik „Courbet” służył za ośrodek szkoleniowy dla rekrutów oraz za bazę warsztatową, skład amunicji i żywności; zakotwiczony na redzie Portsmouth wspierał swą artyleria obronę tego wielkiego portu.

W skład naszej małej floty wchodziło także wiele innych jednostek pływających dostarczonych nam przez Anglików. Były to przede wszystkim korwety zbudowane już po wybuchu wojny dla ochrony konwojów, znajdujące się bez przerwy na morzu między Anglią, Islandią, Nową Funlandią i Kanadą. Otrzymaliśmy dziewięć takich korwet. Były to: „Alysse”, zatopiona w walce w marcu 1942 roku, „Mimosa”, zatopiona w trzy miesiące później wraz ze znajdującym się na jej pokładzie dowódcą małego zespołu okrętów, komandorem-porucznikiem Birot, „Aconit”, „Lobelia”, „Roselys”, „Renoncule”, „Commandant d'Estienne d'Orves”, „Commandant Drogou” i „Commandant Détroyat”. Ponadto Anglicy przekazali nam osiem kutrów torpedowych 28 flotylli, krążących z wielką szybkością po kanale La Manche i atakujących przemyskujące się nocą wzdłuż wybrzeży Francji nieprzyjacielskie transportowce i eskortujące je okręty wojenne. Dalej otrzymaliśmy od Anglików osiem kutrów motorowych — *motorlaunches* — tworzących 20 flotyllę i działających na kanale La Manche wspólnie z naszymi ścigaczami konstrukcji francuskiej. Przygotowaliśmy się zresztą do obsadzenia zupełnie nowych okrętów. Wiele fregat, które zaczynały wychodzić ze stoczni brytyjskich, zostało nam oddanych do dyspozycji przez sojuszników od razu po spuszczeniu na wodę. Przyjęliśmy z nich cztery: „La Découverte”, „L'Aventure”, „La Surprise” i „La Croix de Lorraine”. Zarezerwowaliśmy sobie także torpedowiec „La Combattante” i okręty podwodne „Curie” i „Doris”, których budowa była na ukończeniu. Pragnęliśmy otrzymać ich znacznie więcej, aby podnieść

ogólną liczbę zatapianych przez nas okrętów podwodnych, statków handlowych i okrętów eskortujących przeciwnika, jak również liczbę strącanych samolotów. Ale na przeszkodzie stał nie brak okrętów, lecz brak personelu, który ograniczał rozmiary naszej floty, a tym samym i naszą rolę.

Już do czerwca 1942 roku 700 marynarzy Wolnej Francji poległo za Francję. Nasze siły morskie liczyły 3600 marynarzy pływających na statkach. Do tego dodać należy batalion strzelców, którym dowodził Amyot d'Inville jako następca Détroyat poległego na polu chwały, oraz kilku lotników lotnictwa marynarki wojennej, którzy nie mogąc utworzyć odrębnej jednostki służyli w lotnictwie. Wreszcie dodać do tego należy oddziały komandosów, które szkoliły się w Anglii pod dowództwem kapitana Kieffera. W maju uzgodniłem z admirałem lordem Mountbattenem, angielskim kierownikiem „operacji kombinowanych”, warunki wykorzystania tych rwących się do walki oddziałów. Wkrótce potem wzięły one udział w wypadach na francuskie wybrzeże.

Nasza marynarka wojenna składała się w połowie z marynarzy francuskich, którzy w 1940 roku znajdowali się w Anglii. Inni przyłączyli się do nas w Gabonie i na Bliskim Wschodzie walcząc poprzednio przeciw nam. Odnosi się to m. in. do załogi okrętu podwodnego „Ajax” zatopionego przed Dakarem, okrętu podwodnego „Poncelet”, zatopionego przez własną załogę przed Port-Gentil, i do awiza „Bougainville”, który musieliśmy uczynić niezdadnym do walki na redzie Libreville. Od czasu do czasu przyłączali się do nas pojedynczy zawodowi marynarze przybywający z Francji, Afryki Północnej, Aleksandrii, z Wysp Antylskich i z Dalekiego Wschodu. Nasza marynarka wojenna wcielała do swych szeregów wszystkich młodych Francuzów, których udawało jej się zwerbować w Anglii, Ameryce, na Bliskim Wschodzie, w Egipcie i na Saint-Pierre. Wreszcie wielu marynarzy rekrutowało się z naszych statków handlowych.

Najtrudniejszym zadaniem naszego komisariatu marynarki wojennej było skompletowanie kadr dowódczych naszych okrętów wojennych. Trzeba je było tworzyć z najróżniejszych, częstokroć nie przygotowanych ludzi, nie licząc się z ich specjalnością. Mieliśmy mało oficerów służby czynnej. Uzupełnialiśmy tę lukę szkoląc młodych. Pod kierownictwem komandorów-poruczników Wietzela i Gayrala, kolejnych szefów wyszkolenia, szkoła morska Wolnej Francji rozwijała aktywną działalność na pokładzie „Président Théodore Tissier” i na szkunach „Etoile” i „Belle Poule”. W czterech promocjach dała ona 80 podchorążych; ludzie ci od pierwszej chwili poświęcili francuskiej marynarce wojen-

nej całe swe życie pełne troski, walki i nadziei. Z drugiej strony znaczną część kadr naszych sił morskich stanowili oficerowie rezerwy, których znajdowaliśmy na pokładach różnych statków handlowych lub wśród personelu administracji Kanału Sueskiego. Dwustu podchorążych zaciągniętych tą drogą spędziło w sumie na pokładach fregat, korwet, ścigaczy, kutrów i trałowców ponad milion godzin wacht okrętowych.

Mimo tych redukcji stanu liczebnego załóg część francuskiej floty handlowej służąca w obozie alianckim była dla jego konwojów znaczną pomocą. Z 660 statków pasażerskich i handlowych o łącznej wyporności 2 700 000 ton, które należały do Francji na początku wojny, 170 statków o wyporności 700 000 ton nadal uczestniczyło w działaniach wojennych po zawarciu „zawieszenia broni”. Nasza „służba floty handlowej”, którą kierowali w Komitecie Narodowym Malglaive i Bingen, a później Smeyers i Andus-Fari, uzupełniała francuskimi załogami wielką liczbę statków. Ponadto uczestniczyła ona w zarządzaniu statkami francuskimi używanymi przez Anglików; w tego rodzaju wypadkach na rufie lub maszcie tych „statków-wygnańców” powiewała obok flagi angielskiej również flaga francuska. W okresie tym obsadziliśmy i uzbroiliśmy 67 statków handlowych o łącznej wyporności 200 000 ton. 20 z nich straciliśmy. Do wiosny 1942 roku z ogólnej liczby 580 oficerów i 4300 marynarzy floty handlowej więcej niż jedna czwarta zginęła na morzu.

Nasze statki pasażerskie przewoziły wojska. „Ile de France”, „Félix Roussel” i „Président Paul Doumer” przerzucały na Wschód angielskie posiłki z Australii i Indii. Statki handlowe przewożące surowce, broń i amunicję płynęły zazwyczaj w konwojach. Niekiedy zdarzało się, że ten lub ów musiał sam przepłynąć ocean. Na statku handlowym przybywało się do portu, by go od razu znowu opuścić, ale nawet w ciągu tego krótkiego postoju przeżywało się naloty nieprzyjaciela. Na pełnym morzu służba na statku była równie wyczerpująca, jak niebezpieczna. Trzeba było czuwać w dzień i w nocy, przestrzegać rygorystycznych rozkazów, stale biec na posterunki alarmowe. Często trzeba było walczyć, strzelać z dział, manewrować w momencie niebezpieczeństwa grożącego katastrofą, aby uniknąć torpedy lub bomby. Zdarzało się, że okręt tonął i marynarze znajdowali się nagle w lodowatej, oleistej wodzie, wśród tonących towarzyszy. Zdarzało się także naszym marynarzom przeżywać ogromną radość na widok straconego bombowca nieprzyjacielskiego lub plamy mazutu — nieomylnego znaku, że tonie nieprzyjacielski okręt podwodny. Czasem nawet zwykłemu statkowi towarowemu jak np.

„Fort-Binger” w maju 1942 roku udawało się zatopić niemiecki okręt podwodny.

Pewnego dnia w Liverpoolu admirał sir Percy Noble, który z tego stanowiska dowodzenia kierował nawigacją i walką na całym Atlantyku, zaprowadził mnie do sali operacyjnej urządzonej w betonowym schronie podziemnym. Zawieszone na ścianach mapy wskazywały z godziny na godzinę położenie wszystkich konwojów alianckich, wszystkich okrętów wojennych, wszystkich samolotów w powietrzu, jak również ustalone lub przypuszczalne położenie niemieckich okrętów podwodnych, samolotów i grasujących po morzach okrętów korsarskich. Centrala telefoniczna połączona z liniami zewnętrznymi, z radiostacjami, z biurami szyfrów i obsługiwana przez milczące zespoły kobiece — telefonistki, stenotypistki, łączniczki — przekazywała prawie bezgłośnie znajdującym się daleko na morzu jednostkom rozkazy, zarządzenia oraz informacje dowództwa lub odbierała napływające od nich meldunki. Wszystko to sukcesywnie notowane było na świetlnych tablicach. Sytuacja w gigantycznej bitwie o komunikację morskie ze wszystkimi jej perypetiami była w ten sposób w każdej chwili widoczna i śledzona.

Przyjrząwszy się całości spoglądałam z kolei na mapy, aby stwierdzić, gdzie są nasi. Znajduję ich na właściwym miejscu, mianowicie tam, gdzie można najwięcej dokonać. Na falach eteru ślę im pozdrowienia szefa Wolnej Francji. Ale potem — gdy uświadomiłem sobie, jak mały liczebnie był ich udział, który wskutek tego gubił się w obcej całości, a jednocześnie wyobraziłem sobie, jak tam w Tulonie, Casablance, Aleksandrii, Fort-de-France, Dakarze stoją beczynnie francuskie okręty, i uzmysłowiłem sobie, jaką historyczną szansę do odegrania roli mocarstwa morskiego wojna ta dawała Francji — poczułem głęboki smutek. Ciężkim też krokiem opuściłem ten podziemny schron wychodząc schodami na powierzchnię.

Analogiczne uczucie mieszało się z mą dumą, gdy nawiązywałem kontakty z naszymi lotnikami w tej lub innej bazie angielskiej. Widząc, ile są wari, a zarazem myśląc o tym wszystkim, czego armia powietrzna Francji mogłaby dokonać z baz Afryki Północnej, Lewantu lub Anglii, gdyby tylko pozwolono jej walczyć, czułem, że zmarnowano wielką okazję nadarżającą się narodowi francuskiemu. Tym bardziej zatem starałem się zrobić wszystko, co leżało w mej mocy, aby wysiłek lotników, którzy przyłączyli się do mnie, był zapisany na dobro Francji. Chociaż, rzecz jasna, zgodziłem się na to, żeby wszystkie nasze siły lotnicze startujące z baz angielskich na samolotach dostarczonych przez Anglików, wchodziły w skład angielskiego syste-

mu lotniczego, to jednak chciałem, aby również nasi lotnicy stanowili jedną całość narodową.

Przeprowadzić to było niełatwo. Na początku nasi sojusznicy niewiele się troszczyli o lotnictwo Wolnych Francuzów. Kierując się względami praktycznymi i pilnością zadania przyjmowali do swych jednostek niektórych naszych pilotów. Jediną jednak rzeczą, jaką mogli nam zaofiarować, było wcielenie naszych lotników do *Royal Air Force*. Z tym nie mogłem się zgodzić. Sytuacja naszych lotników pozostawała więc w ciągu całego niemal roku nie wyjaśniona. Niektórzy z nich, połączeni w eskadry francuskie, wzięli udział w walkach powietrznych w Erytrei i Libii. Inni, przyjęci tymczasowo do eskadr angielskich, uczestniczyli w bitwie o Anglię. Ale większość z powodu braku sprzętu, organizacji i treningu trawiona żądzą walki czekała daremnie w bazach lotniczych w Anglii i Egipcie.

Z kolei jednak i ta sprawa została rozwiązana. Wiosną 1941 roku zdołałem ją zasadniczo uzgodnić z angielskim ministrem lotnictwa sir Archibaldem Sinclairem. Ten człowiek wnikliwego i szlachetnego umysłu zrozumiał, że istnienie francuskich sił lotniczych nie byłoby pozbawione znaczenia. Zgodził się więc, jak to proponowałem, aby lotnicy Wolnej Francji tworzyli własne jednostki wzorowane na angielskich *squadrons*. Anglicy mieli nam użyczyć brakującego personelu naziemnego i szkolić w swych szkołach naszych ochotników. Nasi nadliczbowi piloci mogli służyć w lotnictwie angielskim, zachowując jednak charakter odkomenderowanych oficerów francuskich, podlegających francuskim regulaminom wojskowym i noszącym mundur francuski. 8 czerwca 1941 roku napisałem z Kairu do sir Archibalda, by potwierdzić porozumienie osiągnięte na tych zasadach przez pułkownika Valina, który odtąd przy wprowadzeniu go w życie korzystał niezmiennie z poparcia marszałków lotnictwa: Portalą w Londynie i Longmore'a, a potem Teddera na Wschodzie.

Tak więc w końcu 1941 roku stworzyliśmy w Anglii grupę myśliwską „Ile de France” pod dowództwem Scitivaux. Gdy został on strącony nad Francją, skąd zresztą później udało mu się powrócić, następcą jego został Dupérier. Po kampanii syryjskiej utworzyliśmy w Egipcie grupę myśliwską „Alsace”, która najpierw walczyła w Libii pod rozkazami Pouliguena, potem zaś przerzucona została do Anglii, gdzie dowództwo nad nią objął Mouchotte, w rok później poległy w walce. Grupa bombowców „Lorraine” powstała na Bliskim Wschodzie pod dowództwem Pijaud, który w kilka tygodni później strącony poza liniami przeciwnika zdołał powrócić do swoich, aby tu umrzeć; po nim dowództwo objął Corniglion-Molinier. Grupa mieszana

„Bretagne” z Saint-Péreuse'em jako dowódcą została utworzona na terytorium Czadu, by wspierać nasze działania na Saharze. Wiosną 1942 roku zgromadzono po części w Londynie, po części w Rayaku elementy, które później tworzyły w Rosji zrazu grupę, a następnie pułk „Normandie”. Dowódcami jego byli kolejno Tulasne i Littolf. Po ich śmierci dowództwo pułku objął Pouyade. Wreszcie na mój rozkaz niektórzy nasi piloci oddani zostali do dyspozycji RAF. Morlaix, Fayolle i Guedj dowodzili tam eskadrami. Dwaj ostatni zostali zabici w akcji. Sława drogo kosztuje w bitwach powietrznych. Ogółem lotnictwo Wolnej Francji straciło w zabitych dwa razy więcej ludzi, niż kiedykolwiek wynosił jego stan liczebny.

Chociaż światowy charakter wojny skłaniał mnie do tego, by starać się o udział sił francuskich w walkach na wszystkich teatrach wojny, dążyłem jednak do tego, aby główny wysiłek skoncentrować na obszarze, który najbardziej bezpośrednio interesował Francję, to jest w Afryce Północnej. Po zniszczeniu armii włoskiej w Etiopii, zagroźeniu Niemcom drogi do Syrii i stłumieniu w zarodku zamiarów Vichy podjęcia działań przeciwko wolnej Afryce francuskiej musieliśmy z kolei zacząć działać w Libii.

W listopadzie 1941 roku Anglicy znowu przeszli do natarcia. Gdyby udało się im osiągnąć granice Tunisu, było dla nas rzeczą istotną dotrzeć tam razem z nimi okazawszy im uprzednio pomoc w walce z wrogiem. Gdyby zaś, na odwrót, przeciwnikowi udało się ich odrzucić, powinniśmy byli zrobić wszystko, co leżało w naszej mocy, aby powstrzymać przeciwnika, zanim zdoła wtargnąć w granice Egiptu. Tak czy owak należało rozwinąć maksimum wysiłku, do jakiego byliśmy zdolni, ale przy tym zachować swą własną rolę, tak aby odniesiony sukces przyniósł pożytek Francji.

Mieliśmy dwie możliwości działania: rozpocząć natarcie na Fezan z terytorium Czadu, gdzie Leclerc od dawna przygotował do tego kolumnę Sahary, lub włączyć do natarcia Anglików w Libii nasze jednostki szybkie stojące w pogotowiu na Bliskim Wschodzie pod dowództwem generała Larminat. Postanowiłem zrobić i jedno, i drugie, ale zrobić w takich warunkach, by działania naszych żołnierzy przyniosły bezpośrednią korzyść Francji.

Zdobycie Fezanu, a następnie marsz na Trypolis stanowiły operację, którą zaryzykować można było tylko raz jeden. Gdyby się nie udała, wówczas ze względu na niesłychane trudności związane ze sformowaniem, wyposażeniem i zaopatrzeniem kolumny Czadu nie można by jej ponowić przed upływem długiego

czasu. Toteż kolumna ta miała tylko w tym wypadku przedsięwziąć działania wszystkimi siłami, gdyby Anglicy po odebraniu Cyrenajki wkroczyli do Trypolisu. W przeciwnym razie miała się ograniczyć do nękania Włochów przez dokonywanie dalekich i szybkich zagonów.

Z drugiej strony przywiązywałem wagę do tego, aby „front Czadu” — jeżeli można tak nazwać zespół z konieczności odosobnionych działań — pozostał frontem francuskim. Niewątpliwie, rozpoczęcie naszej operacji z obszaru Sahary powinno być uzgodnione z działaniami 8 armii brytyjskiej. Była to sprawa łączności z Kairem. Poza tym jednak Leclerc miał nadal zależeć wyłącznie ode mnie aż do chwili, kiedy połączywszy się z naszymi sojusznikami w obszarze Morza Śródziemnego, powinien był oczywiście przejść pod ich rozkazy. Na tej autonomii zależało mi tym bardziej, że zdobycie Fezanu oddawało w nasze ręce atut, który później można by wykorzystać w momencie rozstrzygnięcia losów Libii.

W ciągu listopada i grudnia Anglicy walcząc odważnie i zacięcie wkroczyli do Cyrenajki. Przewidując ich wtargnięcie do Trypolitanii Leclerc, poparty w tym przez generała Serres, ówczesnego naczelnego dowódcę wojsk w wolnej Afryce francuskiej, przygotowywał się do uderzenia na Fezan. Osobiście nie zapatrywałem się na to zbyt optymistycznie. Wiedząc, że Rommel zdołał się wymknąć z angielskich kleszczy i że po odwołaniu Weyganda z Afryki Północnej zastosowanie układu Hitler — Darlan umożliwiało przeciwnikowi zaopatrzenie z Tunisu, nie liczyłem na szybkie posuwanie się aliantów w kierunku Trypolisu. Za bardziej prawdopodobne uważałem raczej przeciwuderzenie przeciwnika. Toteż zgadzając się na przygotowanie ofensywy, zastrzegłem sobie, że sam wyznaczę czas jej rozpoczęcia. Ponieważ z drugiej strony misja łączności, którą Leclerc wysłał do Kairu, dała się nakłonić do przejścia pod dowództwo brytyjskie, zawiadomiłem generała Ismaya, że się na to nie zgadzam, a „ludziom z Czadu” wyjaśniłem, na czym polega ich właściwa rola.

Istotnie, nasi sojusznicy nie wkroczyli do Trypolisu. Pierwsze miesiące 1942 roku przyniosły obu stronom okres stabilizacji. Nasze wojska w rejonie Czadu powinny więc były wykonywać tylko zagony i błyskawiczne napady. Leclerc nie mógł doczekać się chwili, aby je rozpocząć. 4 lutego upoważniłem go do tego. W ciągu marca przemierzył Fezan swymi patrolami bojowymi wspieranymi przez samoloty. Zniszczył wiele nieprzyjacielskich placówek, wziął do niewoli wielu jeńców i zagarnął znaczną zdobycz wojenną. Potem powrócił do swej bazy z minimalnymi tylko stratami. Aby rozszerzyć zasięg i środki działania tego wy-

jątkowo zdolnego dowódcy, powierzyłem mu w kwietniu dowództwo nad wszystkimi siłami wolnej Afryki francuskiej. Musiałem i tym razem przezwyciężyć jego opory wynikające z nadmiernej skromności. Odtąd zarówno on sam, jak i jego wojska byli przekonani, że z chwilą gdy wydarzenia w Libii przyjmą zdecydowanie pomyślny obrót, zdołają zagarnąć oazy. Musieli jednak czekać jeszcze długie dziesięć miesięcy pod nieznosnym skwarem, wśród skał i piasku, zanim mogli tu odnieść zwycięstwo i zmyć z siebie kurz w Morzu Śródziemnym.

Ale jeżeli w rejonie Czadu musieliśmy odraczać decydujące uderzenie, to przeciwnie, w Cyrenajce nadarzała nam się od dawna oczekiwana sposobność, aby pokazać, do czego jesteśmy zdolni. Musieliśmy jednak przezwyciężyć jeszcze wiele trudności, zanim uzyskaliśmy zgodę aliantów, aby francuskie związki taktyczne wzięły udział w walkach na tym terenie.

W rzeczy samej dowództwo brytyjskie planując rozpoczętą w końcu października ofensywę nie przewidywało użycia w niej dwu lekkich dywizji i pułku czołgów sformowanych w Syrii pod dowództwem generała Larminat. Tymczasem te dwa związki przedstawiały poważną siłę i były dobrze uzbrojone. Każdy z nich był zmotoryzowany i obejmował pięć batalionów piechoty, pułk artylerii, kompanię przeciwpancerną, kompanię przeciwlotniczą, dywizjon rozpoznawczy, kompanię i park wojsk inżynieryjnych, kompanię łączności, kompanię transportową, kompanię sztabową i służby. Jednostki te, złożone ze wszystkich rodzajów wojsk i zdolne wskutek tego do odegrania szczególnej roli taktycznej, były w całym znaczeniu tego słowa dywizjami. Jakkolwiek były niewątpliwie „lekkie”, to jednak uważałem za stosowne nadać im nazwę, która im się należała. Larminat wykorzystując uzbrojenie pozostawione przez Dentza lub zabrane z magazynów, gdzie je przechowywały włoskie komisje do spraw zawieszenia broni, wyposażył wszystkie pododdziały tych związków w groźną broń, którą nasi pełni zapału i roztropni ochotnicy umieliby się jak najlepiej posłużyć. Tak na przykład niezależnie od artylerii dywizyjnej każdy batalion posiadał sześć własnych dział 75 mm. Bardzo pokaźna była również liczba moździerzy i broni automatycznej. W razie natarcia wojska te dla ulżenia sobie musiałyby pozostawić część broni. Ale za to w obronie dysponowały zupełnie wyjątkową siłą ognia.

Zatwierdziwszy 20 września skład tych dwóch lekkich dywizji, wystosowałem 7 października notę do Churchilla, w której informowałem go o naszych pragnieniach i środkach. Jednocześnie napisałem do generała Auchinlecka, naczelnego dowódcy na Wschodzie, przypominając mu, jak bardzo zależy nam na tym,

by nasze wojska walczyły w Libii. Wskazywałem Churchillowi i generałowi Auchinleckowi, że dla tych operacji gotów jestem oddać całą grupę generała Larminat pod dowództwo brytyjskie i że z drugiej strony Leclerc, jakkolwiek działając autonomicznie, mógłby rozpocząć natarcie na Fezan w wyznaczonym mu terminie. 9 października odwiedziłem angielskiego ministra wojny Margessona prosząc go o interwencję. Wreszcie 30 października zakomunikowałem generałowi Catroux, na jakich warunkach siły nasze miałyby być użyte, a mianowicie całymi dywizjami.

Dopiero 27 listopada otrzymałem angielską odpowiedź. Przesłał mi ją generał Ismay, szef sztabu generalnego gabinetu wojennego i sztabu Churchilla. Jego list stanowił równie uprzejmą, jak kategoryczną odmowę. Aby usprawiedliwić swe stanowisko, nasi sojusznicy zasłaniali się „rozproszeniem oddziałów francuskich w różnych punktach Syrii” oraz faktem „że nie są one zaprawione do działań w ramach dywizji lub brygad”, podnosząc zarazem „ich niedostateczne wyposażenie”. Wyrażali jednak nadzieje, że w przyszłości będzie można powrócić do tej sprawy.

Było jasne, że dowództwo angielskie pragnie zakończyć podbój Libii i uporać się z Rommlem bez udziału Francuzów. Prawdą jest, że dysponowało ono na miejscu znacznymi siłami lądowymi i lotniczymi i uważało, iż admirał Andrew Cunningham — wspaniały dowódca i marynarz — jest w stanie dokonać więcej niż cudu i przeciąć komunikację przeciwnika między Włochami i Trypolisem.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie rozczarowanie sprawiła mi ta odpowiedź Anglików. Nie mogłem dopuścić, by nasze wojska pozostawały z bronią u nogi na czas nieokreślony, podczas gdy losy świata rozstrzygały się na polach bitew. Zamiast znaleźć się w tej sytuacji, wołałem raczej pójść na ryzyko zmiany orientacji. Wezwałem do siebie Bogomołowa i prosiłem go, by powiadomił swój rząd, że Komitet Narodowy pragnie, aby siły francuskie, jeżeli teatr działań wojennych w Afryce Północnej pozostanie dla nich zamknięty, uczestniczyły bezpośrednio w działaniach sojuszniczych na froncie wschodnim. Oczywiście nie robiłem w Londynie żadnej tajemnicy z mojego kroku. Ale zanim jeszcze nadeszła odpowiedź Moskwy, Anglicy zmienili stanowisko. 7 grudnia Churchill napisał do mnie serdeczny list, w którym donosił, „iż właśnie dowiaduje się, jak bardzo generał Auchinleck pragnie, aby wolna brygada francuska uczestniczyła w operacjach w Cyrenajce”. „Wiem — dodawał premier — że to pragnienie zbiega się z pańskimi intencjami. Wiem także, jak dalece waszym ludziom śpieszy się do spotkania oko w oko z Niemcami.”

Odpowiedziałem Churchillowi, że zgadzam się z tym projektem i że wydam generałowi Catroux potrzebne rozkazy. Faktycznie Anglicy, niezależnie od przykrości, jaką mogłoby im sprawić ewentualne przerzucenie sił francuskich do Rosji, zaczęli zdawać sobie sprawę z korzyści militarnych, które przedstawiał nasz udział w bitwie w Cyrenajce. Stwierdzali bowiem, że przeciwnik ustępuje tam tylko krok za krokiem, że ich własne wojska ponoszą ciężkie straty i że będą musieli na miejscu zreorganizować dowództwo niedostatecznie przygotowane do operacji prowadzonej siłami zmechanizowanymi. Zrezygnowawszy z kontynuowania ofensywy w Trypolisie oczekiwali teraz, że Rommel niebawem weźmie inicjatywę w swe ręce, W obliczu tej perspektywy pragnęli, abyśmy im przyszli z pomocą.

W Kairze Catroux uzgodnił z Auchinleckiem sprawy związane z przerzuceniem 1 dywizji lekkiej do Libii, a Koenig, któremu polecono uzgodnienie szczegółów, uzyskał od naszych sojuszników dodatkową pomoc w postaci dział przeciwpancernych, dział przeciwlotniczych i środków transportowych. W styczniu dywizja kilkakrotnie walczyła z powodzeniem z oddziałami Rommela okrążonymi w Solum i Bardii, które niebawem się poddały. Nasze wojska widząc kolumny jeńców niemieckich wziętych przy ich udziale były do głębi wstrząśnięte. Pełne bojowego animuszu skierowały się dalej na zachód. W ciągu lutego, gdy Anglicy rozmieszczali swe siły główne w samym centrum Cyrenajki na „pozycji Gazala” składającej się z kilku pasów obrony, nasi zajęli rejon Bir Hakeim położony dalej na południe. W trakcie umacniania swych pozycji prowadzili tu aktywne potyczki i działania rozpoznawcze w głębokiej strefie niczyjej dzielącej ich od sił głównych przeciwnika.

Jeżeli jednak 1 dywizja lekka uzyskała w ten sposób szansę udziału w bojach, to zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z 2 dywizją, która nadal stała beczynnie na Bliskim Wschodzie. Chciałem jednak, aby i ona wzięła udział w operacjach. Właśnie 10 grudnia Bogomołow przyszedł mi powiedzieć, że mój projekt wysłania wojsk francuskich do Rosji spotkał się z jak najgorętszym przyjęciem jego rządu, który gotów jest na miejscu zaopatrzyć nasze siły we wszystko potrzebne. Powziąłem zatem plan wysłania na Wschód nie tylko grupy lotniczej „Normandie”, lecz także 2 dywizji lekkiej. Wyruszając z Syrii przez Bagdad miała ona przebyć Iran samochodami ciężarowymi, po czym od Tebrysu zostałaaby przetransportowana koleją na Kaukaz. Była to droga, którą z portów irańskich szły transporty materiałów wojennych, wysyłane przez aliantów do Rosji. 29 grudnia napisałem do generała Ismaya, aby go uprzedzić o moich zamiarach, i wy-

dałem generałowi Catroux odpowiednie wskazówki. 2 dywizja miała 15 marca wyruszyć na Kaukaz, jeżeli do tego terminu nie została dopuszczona do Libii.

Dowództwo angielskie podniosło przeciw temu projektowi przetrzucenia tego związku do Rosji wszelkie możliwe obiekcje. Natomiast w Moskwie rząd radziecki przywiązywał do niego wielką wagę. Mołotow w rozmowie z Garreau, a generał Panfilow z generałem Petit nalegali na jego jak najszybsze wykonanie. Wówczas również Eden, poinformowany o tym, zabrał głos zwracając się do mnie z listem, w którym popierał punkt widzenia angielskich czynników wojskowych. Ja ze swej strony trwałem jednak przy swoim. Wreszcie w końcu lutego dowództwo alianckie zgodziło się na moje żądanie użycia 2 dywizji w Libii. Zawiadomił mnie o tym Ismay. Auchinleck poprosił Catroux o oddanie mu do dyspozycji naszej 2 dywizji lekkiej. Opuściwszy Syrię przybyła ona do Libii w ostatnich dniach marca.

Larminat miał więc teraz całą swą grupę na miejscu. Koenig stał z 1 dywizją w Bir Hakeim, a 2 dywizja pod dowództwem Cazaud znajdowała się w odwodzie. Pułk czołgów dowodzony przez pułkownika Rémy otrzymywał na tyłach nowy sprzęt bojowy. Kompania spadochroniarzy, którą wysłałem tu z Anglii, odbywała ćwiczenia w Ismailii gotowa każdej chwili do działania. W sumie stanowiło to 12 000 żołnierzy, czyli około jednej piątej sił alianckich działających jednocześnie w tym rejonie. Grupa myśliwców „Alsace” i grupa bombowców „Lorraine” walczyły od października nad Cyrenajką. Kilka naszych awizo i kutrów pomagało w eskortowaniu konwojów wzdłuż wybrzeży. Tak więc poważne francuskie siły zbrojne zostały zawczasu skoncentrowane na głównym teatrze działań wojennych. Niebawem sprawiedliwy bóg wojny dał żołnierzom Wolnej Francji sposobność do stoczenia wielkiej bitwy i do zdobycia wielkiej sławy. 27 maja Rommel rozpoczął ofensywę. Bir Hakeim zostało zaatakowane.

W działaniach, stawiających wszystko na jedną kartę, następuje zazwyczaj taki moment, kiedy ten, który je prowadzi, czuje, że jego los się rozstrzyga. Dziwnym zbiegiem okoliczności tysiące trudności, z którymi się boryka, zdają się nagle ogniskować w jednym decydującym epizodzie. Jeżeli zakończy się pomyślnie, oznacza to uśmiech fortuny. Jeżeli go jednak doprowadzi do zamieszania, cała sprawa jest przegrana. Podczas gdy dokoła strefy o powierzchni 16 kilometrów kwadratowych, bronionej przez Koeniga i jego ludzi, rozgrywa się dramat Bir Hakeimu, ja sam w Londynie czytając depesze, wysłuchując komentarzy, widząc w oczach otaczających mnie ludzi na przemian niepokój i nadzieję, ważę następstwa, jakie mieć będzie to, co się tam dzieje. Je-

żeli tych 5500 żołnierzy, przybyłych dobrowolnie, każdy ze swymi troskami i swą nadzieją, z Francji, Afryki, Bliskiego Wschodu, Pacyfiku, po pokonaniu tylu trudności zebranych dzisiaj w Bir Hakeim poniesie porażkę, sprawę naszą spotka poważny cios. Jeżeli natomiast właśnie w tej chwili i na tym terenie zdołają dokonać jakiegoś wielkiego czynu bojowego, przyszłość należy do nas.

Pierwsze walki przebiegły jak najpomyślniej. Dowiaduję się, że 27 maja, podczas gdy siły główne przeciwnika przeszły na południe od Bir Hakeim, aby obejść pozycję aliancką, włoska dywizja zmechanizowana „Ariete” rzuciła na Francuzów około 100 czołgów tracąc z nich 40, których szczątki pozostały na stokach. 28 i 29 maja nasze oddziały wydzielone, wysłane we wszystkich kierunkach, niszczą jeszcze 15 dział i biorą 200 jeńców. 30 maja generał Rommel, nie mogąc za jednym zamachem rozprawić się ze związkami zmechanizowanymi Anglików, wycofuje się, aby przygotować nowy manewr. W dwa dni później kolumna francuska, którą dowodzi podpułkownik Broche, posuwa się na Rotonda Signali o 50 kilometrów na zachód i zdobywa tę pozycję, 1 czerwca Larminat przeprowadza inspekcję naszych wojsk. Jego raport jest pełen optymizmu. Świat zaczyna się interesować rozgrywającymi się tu walkami. Niektórzy przepowiadają, że mogą one przewyższyć znaczenie taktycznych wydarzeń. Radio i dzienniki zaczynają powściągliwie, dobierając słów, chwalić francuskie wojska i ich dowódców.

Nazajutrz Rommel znowu przejmuje inicjatywę. Tym razem atakuje bezpośrednio centrum pozycji generała Ritchie, którego Auchinleck mianował dowódcą frontu. Niemcy zdobywają w Gotel-Skarab pozycję brygady angielskiej, przebywają duże pola minowe osłaniające pozycje alianckie od Gazali do Bir Hakeim i dla poszerzenia wyłomu kierują przeciw naszym wojskom jedną z dywizji swego *Afrika-Korps*. Po raz pierwszy od czerwca 1940 roku Francuzi i Niemcy znowu spotykają się w dużej bitwie. Zaczyna się ona od potyczek, w których bierzemy 150 jeńców. Rychło jednak krystalizuje się front mającej się rozegrać bitwy. Dwu parlamentariuszom przeciwnika, którzy wzywają nasze wojska do poddania się, Koenig odpowiada, że nie po to tu przybył.

Tymczasem w ciągu następnych dni przeciwnik wzmacnia nacisk. Baterie ciężkie, w tym również 155 i 220 mm, otwierają ogień na nasze pozycje, który staje się coraz intensywniejszy. Trzy, cztery lub pięć razy dziennie Stukasy i Junkersy bombardują je grupami liczącymi po sto samolotów. Żywność dochodzi tylko w nieznacznych ilościach. W Bir Hakeim wyczerpują się

zapasy amunicji, zmniejszają się racje żywności i wody. Pod prażącym słońcem, wśród tumanów kurzu obrońcy w stałej gotowości bojowej żyją razem z rannymi, chowają tuż obok siebie poległych. 3 czerwca generał Rommel własnoręcznym pismem wzywa ich do złożenia broni grożąc, że w przeciwnym razie „zostaną zniszczeni tak jak brygady angielskie w Gotel-Skarab”. 5 czerwca jeden z jego oficerów ponawia to wezwanie. Odpowiada mu ogień naszej artylerii. Jednocześnie jednak w wielu krajach wydarzenia te zaczynają budzić zainteresowanie opinii publicznej. Francuzi z Bir Hakeim zwracają na siebie coraz większą uwagę radia i prasy. Opinia publiczna przygotowuje się do wydania swego sądu. Czy sława wojenna może się jeszcze uśmiechnąć do naszych żołnierzy?

7 czerwca Bir Hakeim jest całkowicie okrążone. 90 dywizja niemiecka i włoska dywizja „Trieste” wspierane przez dwadzieścia baterii i setki samolotów są gotowe do szturmów. „Trzymajcie się jeszcze sześć dni!” — brzmi rozkaz dowództwa alianckiego skierowany do generała Koeniga wieczorem 1 czerwca. Sześć dni mija. „Trzymajcie się jeszcze czterdzieści osiem godzin” — prosi generał Ritchie. Trzeba powiedzieć, że druzgocące uderzenia przeciwnika powodują w 8 armii takie straty i wnoszą do niej takie zamieszanie, że odtąd wszelkie próby złuzowania wojsk lub przyjscia im z pomocą są wykluczone. Jeżeli idzie o Rommla, to pragnie on korzystając z widocznego u Anglików zamętu jak najszybciej podążyć ku granicom Egiptu. Jest więc zniecierpliwiony tym oporem Francuzów przedłużającym się na jego tyłach i utrudniającym mu komunikację. Bir Hakeim jest teraz jego główną troską i głównym celem. Już kilka razy osobiście pojawiał się na polu walki i teraz znowu przybywa, aby przyspieszyć działania szturmujących wojsk.

8 czerwca rozpoczynają się potężne ataki. Kilkakrotnie nieprzyjacielska piechota przy silnym wsparciu artylerii i czołgów próbuje odważnie, lecz na próżno zdobyć ten lub inny odcinek naszych pozycji. Dzień ten jest bardzo ciężki dla naszych wojsk. Ciężka jest także noc, która schodzi na doprowadzeniu do porządku naszych nadszarpniętych pozycji. 9 czerwca — nowe ataki. Nieprzyjacielska artyleria została dodatkowo wzmocniona ciężkimi działami, którym nie są w stanie sprostać 75 mm działa pułkownika Laurent-Champrosay. Nasi żołnierze otrzymują już tylko niecałe dwa litry wody na dobę, co w tym klimacie jest zupełnie niewystarczające. Trzeba jednak trzymać się jeszcze, gdyż wobec zamieszania, które coraz bardziej ogarnia różne oddziały armii angielskiej, opór Koeniga nabiera teraz kapitalnego znaczenia. „Bohaterska obrona Francuzów!”, „Wspaniałe czyny bo-

jowe!", „Niemcy pobici pod Bir Hakeim!" — pod tymi głośnymi tytułami donoszą o walkach agencje informacyjne, prasa i radio Londynu, Nowego Jorku, Montrealu, Kairu, Rio de Janeiro, Buenos Aires. Zbliżamy się do celu, który wytknęliśmy sobie wyznaczając wojskom Wolnej Francji, jakże nielicznym, wielką rolę w wielkich wydarzeniach. Huk armat pod Bir Hakeim obwieszcza całemu światu początek odrodzenia Francji.

Odtąd wszakże jedna tylko myśl nie daje mi spokoju: jak ocalić obrońców. Zdaję sobie sprawę, że już niedługo będą mogli odpierać ataki wspierane potężnymi środkami. Jestem wprawdzie pewien, że dywizja francuska nie podda się, że przeciwnik nie doczeka się tej satysfakcji, aby przed Rommlem defilowała długa kolumna francuskich jeńców, i że jeżeli wojska nasze pozostaną na miejscu, to przeciwnik, aby je pokonać, będzie je musiał zniszczyć kolejno, grupę po grupie. Ale chodzi o to, aby je ocalić, a nie o to, aby pogodzić się z ich bohaterską zgubą. Te setki znakomitych oficerów i podoficerów, te tysiące świetnych żołnierzy są mi potrzebne do dalszych działań. Dokonawszy tych bohaterskich czynów, muszą teraz dokonać jeszcze jednego: przedrzeć się przez pierścień wojsk nieprzyjacielskich i pola minowe i połączyć się z siłami głównymi sojuszników.

Jakkolwiek powstrzymuję się od bezpośredniego mieszania się do kierownictwa walką, to jednak w ciągu 8 i 9 czerwca zwracam się z jak największym naciskiem do brytyjskiego imperialnego sztabu generalnego wskazując na to, jak ważne jest wydanie Koenigowi, zanim będzie za późno, rozkazu, aby spróbował wyrwać się z okrążenia. 10 czerwca powtarzam to Churchillowi omawiając z nim sprawę Madagaskaru. W każdym razie rozwiązanie zbliża się. Telegrafuję do dowódcy 1 dywizji lekkiej: „Generale Koenig, wiedz pan i powiedz pan swoim wojskom, że cała Francja patrzy na was i że jesteście jej dumą!" U schyłku tegoż dnia generał sir Alan Brooke, szef imperialnego sztabu generalnego, zawiadamia mnie, że od świtu przeciwnik nie przestaje zacięcie atakować Bir Hakeim, ale że Ritchie polecił Koenigowi zająć nową pozycję, jeżeli mu się uda tego dokonać. Działanie to ma być przeprowadzone w ciągu najbliższej nocy.

Nazajutrz rano, 11 czerwca, komentarze radia i prasy są entuzjastyczne, a zarazem żałobne. Ponieważ nikt nie wie, że Francuzi próbują przedrzeć się przez pierścień okrążenia, więc wszyscy oczywiście z minuty na minutę oczekują, że ich opór będzie złamany. Ale oto wieczorem Brooke przysłał mi wiadomość: „Generał Koenig i znaczna część jego wojsk przybyli do El Gobi i znajdują się poza zasięgiem działań przeciwnika". Dziękuję łącznikowi, który przyniósł mi tę wiadomość, odpawiam go, zamy-

kam drzwi. Jestem sam ze sobą. Serce bije mi ze wzruszenia, płaczą z dumy i z radości.

Z około 5500 ludzi, których liczyła 1 dywizja przed walką pod Bir Hakeim, Koenig po czternastu dniach walk wyprowadził stamtąd około 4000 ludzi zdalnych do boju. Jednocześnie zdołano zabrać część rannych. Nasze wojska pozostawiły na polu bitwy 1109 oficerów i żołnierzy zabitych, rannych lub zaginionych. Wśród zabitych znajduje się trzech starszych oficerów: podpułkownik Broche i majorowie Savey i Bricogne. Wśród rannych pozostałych na polu bitwy znajdują się majorowie: Puchois i Babonneau. Musiano pozostawić na miejscu część sprzętu bojowego, który uprzednio starannie zniszczono. Jednakże zadaliśmy przeciwnikowi straty trzykrotnie wyższe od tych, które sami ponieśliśmy.

12 czerwca Niemcy donieśli, że poprzedniego dnia „zdobyli szturmem” Bir Hakeim. Potem radio berlińskie opublikowało następujący komunikat: „Ponieważ biali i kolorowi Francuzi wzięci do niewoli w Bir Hakeim nie należą do regularnej armii, więc zgodnie z prawem wojennym będą rozstrzelani”. W godzinę potem kazałem nadać na falach BBC we wszystkich językach następującą notę: „Generał de Gaulle zawiadamia, że jeżeli armia niemiecka zhańbi się zabójstwem wziętych do niewoli francuskich żołnierzy, walczących za swą ojczyznę, będzie musiał ku swemu wielkiemu ubolewaniu postąpić w ten sam sposób z Niemcami wziętymi do niewoli przez jego wojska”. Tegoż wieczora radio berlińskie podało następującą wiadomość: „Jeżeli chodzi o francuskich żołnierzy i oficerów wziętych do niewoli w czasie walk o Bir Hakeim, to co do ich losu nie mogą zachodzić żadne wątpliwości. Żołnierze generała de Gaulle'a będą traktowani jako żołnierze”. I tak też faktycznie się stało.

Podczas gdy 1 dywizja lekka przegrupowała się w Sidi-Barrani, a Catroux natychmiast zajął się jej uzupełnieniem, nasza grupa lotnicza „Alsace” w dalszym ciągu brała udział we wzmożonych działaniach angielskiego lotnictwa myśliwskiego, a grupa „Lorraine” jeszcze intensywniej wraz z bombowcami RAF atakowała komunikacje przeciwnika. Jednocześnie nasi spadochroniarze wykonali kilka świetnych wypadów bojowych. Tak na przykład w nocy z 12 na 13 czerwca grupy spadochroniarzy zniszczyły 12 samolotów na lotniskach nieprzyjacielskich w Libii, a kapitan Bergè, zrzucony z kilkoma spadochroniarzami na wyspę Krete, zdołał, zanim go ujęto, podpalić 21 bombowców, 15 samochodów ciężarowych i magazyn benzyny na lotnisku w Kandii.

Tymczasem 8 armia, która nagle załamała się na duchu, opuściła Cyrenajkę, pozostawiając na miejscu znaczną ilość sprzętu

bojowego. Generał Auchinleck spodziewał się przynajmniej zachować Tobruk, silnie umocnioną twierdzę zaopatrywaną z morza. Lecz 24 czerwca załoga licząca 33 000 ludzi poddała się Niemcom. Anglicy z wielkim trudem zdołali się usadowić na wzniesieniach El Alamein. Jeden odcinek tej pozycji trzymany był przez 2 dywizję lekką generała Casaud, którą nareszcie wprowadzono do akcji. Wśród odwodów znajdowała się grupa pancerna pułkownika Rémy, która naprędce zaopatrzono w sprzęt. Sytuacja była poważna. Cały Wschód, wstrząśnięty i zaniepokojony, oczekiwał wejścia Niemców i Włochów do Kairu i Aleksandrii.

Ale ten upadek ducha naszych sojuszników, jak wykazały dalsze wydarzenia, nosił tylko przemijający charakter. Nastąpił dzień, kiedy Anglicy dzięki panowaniu na morzu, nowym posiłkom, wielkiej przewadze w powietrzu oraz zdolnościom generała Montgomery'ego ostatecznie odnieśli zwycięstwo. Zresztą Rommel, którego linie zaopatrzenia nadmiernie się wydłużyły, przerwał swój marsz naprzód. W każdym razie na tle całości wydarzeń tym bardziej uwydatniało się znaczenie naszych działań. Generał Auchinleck przyznał to wielkodusznie. 12 czerwca ogłosił on wspólny komunikat na cześć 1 dywizji lekkiej: „Narody Zjednoczone — oświadczał w nim — powinny odczuwać podziw i wdzięczność dla tych wojsk francuskich i ich walecznego dowódcy”.

W Londynie w sześć dni później 10 000 Francuzów, wojskowych i cywilnych, zebrało się, aby święcić drugą rocznicę apelu z 18 czerwca 1940 roku. Wszystkie cztery piętra Albert Hall były wypełnione po brzegi — w granicach dopuszczalnych przez przepisy bezpieczeństwa. Ogromna trójbarwna draperia z Krzyżem Lotaryngii, rozciągnięta nad trybuną, przykuwała wzrok wszystkich obecnych. Rozbrzmiały dźwięki Marsylianki i Marsza Lotaryńskiego budząc entuzjastyczny oddźwięk we wszystkich sercach. Gdy otoczony członkami Komitetu Narodowego i dopiero co przybyłymi z Francji ochotnikami zajmuję miejsce, słyszę, jak z wszystkich ust wyrывa się okrzyk, którym ten rozentuzjasmowany tłum wyraża swe nadzieje. Ale czuję, że dziś w tej nadziei przebija także i radość. Zabieram głos. Jest to niezbędne. W akcji zapal wciela się w czyn, budzi go wszakże słowo.

Cytując słowa Chamforta: „Roztropni trwali, opanowani namiętnością — żyli”, wspominam drogę przebytą przez Francję w ciągu dwu lat. „Przeżyliśmy wiele, jesteśmy bowiem opanowani namiętnością. Ale również trwaliśmy. Ach, jakże bardzo jesteśmy roztropni. Czyż nie mówiliśmy od pierwszego dnia: »Francja nie wycofała się z wojny, władza ustanowiona na pod-

stawie wyrzeczenia się interesów narodowych nie jest władzą legalną, nasze sojusze pozostają w mocy, dowodzimy tego czynem, a tym czynem jest walka zbrojna...» Zapewne, musieliśmy wierzyć w to, że Anglia się nie załamie, że Rosja i Ameryka zostaną wciągnięte do wojny, że naród francuski nigdy nie uzna klęski. I cóż, nie myliliśmy się..." Następnie pozdrawiam naszych bojowników, gdziekolwiek walczą na świecie, i Ruch Oporu we Francji. Pozdrawiam także Imperium, wierne Imperium, bazę wyjściową odrodzenia ojczyzny. Niewątpliwie, po wojnie trzeba będzie zmienić jego strukturę. Ale Francja jednomyślnie pragnie utrzymać jego jedność i integralność. „Nawet żalosna odwaga, którą w obronie tej lub innej jego części przeciwko Francji Walczącej i jej sojusznikom wykazały wojska omotane kłamstwami Vichy, jest co prawda wypaczonym, ale niewątpliwym dowodem tej woli Francuzów..." Stwierdzam, że mimo wszystko Francja Walcząca wypływa na powierzchnię oceanu. „Kiedy w Bir Hakeim odradzająca się chwała wojenna opromieniła skrwawione głowy jej żołnierzy, świat uznał Francję..."

Huragan oklasków, hymn narodowy śpiewany z nie dającym się opisać entuzjazmem — oto odpowiedź obecnych. Dźwięki jego docierają także do Francuzów, którzy u siebie w kraju za zamkniętymi drzwiami, przy spuszczonej zasłonie słuchają tego głosu przy radioodbiornikach.

Okrzyki umilkły. Zebranie się kończy. Każdy powraca do swych zajęć. Oto jestem sam, rozmawiam sam ze sobą. Teraz nie trzeba przybierać żadnej postawy, można myśleć trzeźwo, bez iluzji. Robią bilans przeszłości. Jest pozytywny, ale okrutny. Francja Walcząca, której bojownicy przystępowali do niej po jednym, „człowiek po człowieku", tak jak po jednym przyłączyły się do niej nasze terytoria, jest dziś mocna i zespółona. Ale po to, by osiągnąć ten rezultat — ileż potrzeba było strat, trosk i rozpacz. W nową fazę wступujemy z poważnymi siłami: 70 000 ludzi pod bronią, doświadczeni dowódcy, aktywna pomoc terytoriów zamorskich, wzmagający się Ruch Oporu, rząd mający posłuch i jeżeli nie wszędzie uznany, to w każdym razie znany całemu światu. Nie ulega wątpliwości, że wydarzenia rozbudzą jeszcze inne siły. Jednakże nie oddają się żadnym złudzeniom co do przeszkód, które nas jeszcze czekają: potęga wroga, nieżyczliwość państw sojuszniczych, wśród samych Francuzów wrogość czynników uprzywilejowanych i oficjalnych, intrygi pewnych kół, bierność wielu i wreszcie groźba ogólnej katastrofy. Czyż ja, słaby człowiek, będę miał dosyć przenikliwości, stanowczości, zręczności, aby aż do końca pokonać wszystkie przeszkody? A jeżeli nawet zdołam

doprowadzić do zwycięstwa zjednoczony wreszcie naród, jakąż potem będzie jego przyszłość? Ileż tymczasem przybędzie jeszcze ruin, ile nowych niesnasek? A gdy minie niebezpieczeństwo i pogasną lampiony uroczystych obchodów, ileż potoków brudu bluźnie wtedy jeszcze na Francję?

Ale dosyć wątpliwości! Stojąc nad przepaścią, na której dno stoczyła się ojczyzna, ja, jej syn, wzywam ją, oświecám jej drogę wiodącą do ocalenia. Wielu już przyłączyło się do mnie. Przyjdą jeszcze inni. Jestem tego pewien. Dziś słyszę, jak Francja mi odpowiada. Oto podnosi się z dna przepaści, idzie, kroczy w górę. O matko-ojczyzno, wszyscy jesteśmy tylko po to, aby ci służyć.

DOKUMENTY

Dokumenty ogłoszone w niniejszej pracy stanowią część zbioru depech, listów, not, sprawozdań itd. napisanych lub otrzymanych przeze mnie jako szefa Wolnej Francji i jako przewodniczącego Francuskiego Komitetu Narodowego (1940 — 1941 — 1942).

Na dalszych stronach książki czytelnik znajdzie z nich te, które wydały mi się najistotniejsze i najbardziej charakterystyczne. Cały zbiór został przeze mnie złożony w Archiwum Narodowym. Aby przypomnieć okoliczności, z którymi te dokumenty były związane, przytaczam również niektóre podpisane przeze mnie w tym samym okresie dekrety, rozporządzenia i układy międzynarodowe, które zostały już poprzednio opublikowane. Dotyczy to również szeregu publicznych deklaracji, w których mowa była o moim zasadniczym stanowisku w poszczególnych sprawach lub zobowiązaniach o charakterze ogólnym*.

* W niniejszym wydaniu polskim dokonano wyboru dokumentów, pozostawiając najważniejsze z nich, a pomijając dokumenty o mniejszym znaczeniu, dotyczące ściśle wewnętrznych spraw Francji. Objętościowo dokumenty przytoczone obejmują nieco więcej niż połowę zamieszczonych w oryginale (*przyp. red.*).

WOLNA FRANCJA

Apel generała de Gaulle'a do Francuzów

18 czerwca 1940 r.

Dowódcy od wielu lat stojący na czele armii francuskiej utworzyli rząd.

Powołując się na klęskę naszych armii rząd ten wszczął rokowania z przeciwnikiem w celu zaprzestania walki.

Niewątpliwie kraj nasz został i nadal jest zalany zmechanizowanymi siłami przeciwnika, lądowymi i powietrznymi.

W nieporównanie większym stopniu niż przewaga liczebna przeciwnika zmusiły nas do odwrotu niemieckie czołgi i samoloty oraz niemiecka taktyka. To właśnie czołgi, samoloty i taktyka Niemców tak dalece zaskoczyły naszych dowódców, że wtrąciły ich w sytuację, w której się dzisiaj znajdują.

Ale czyż ostatnie słowo zostało już powiedziane? Czyż nie ma już żadnej nadziei? Czyż klęska jest ostateczna?

Nie!

Wierzajcie mi, albowiem wiem, co mówię. A mówię wam: dla Francji nic nie jest stracone. Te same środki, które nas pokonały, mogą pewnego dnia zapewnić nam zwycięstwo.

Francja bowiem nie jest osamotniona! Nie jest sama! Nie jest sama! Za nią stoi rozległe Imperium. Może połączyć się z Imperium Brytyjskim, które panuje na morzu i kontynuuje walkę. Może tak jak Anglia korzystać z nieograniczonej pomocy ogromnego przemysłu Stanów Zjednoczonych.

Ta wojna nie ogranicza się do nieszczęsnych terytoriów naszego kraju. Ta wojna nie została rozstrzygnięta bitwą o Francję. Ta wojna jest wojną światową. Mimo wszystkich błędów, Wszystkich zaniedbań, wszystkich cierpień dosyć jest środków na

świecie, aby pewnego dnia zmiażdżyć naszych wrogów. Pokonani przez siły zmechanizowane, możemy w przyszłości odnieść zwycięstwo za pomocą jeszcze większych sił zmechanizowanych. Od tego zależeć będą losy świata.

Ja, generał de Gaulle, znajdując się obecnie w Londynie, wzywam francuskich oficerów i żołnierzy, którzy przebywają lub przybędą na terytorium brytyjskie z bronią lub bez broni, oraz inżynierów i robotników, specjalistów w dziedzinie przemysłu zbrojeniowego, którzy znajdują się lub w przyszłości znajdą się na terytorium brytyjskim, do nawiązania kontaktu ze mną.

Cokolwiek się stanie, płomień francuskiego oporu nie powinien zagasnąć i nie zagaśnie.

Jutro tak jak dzisiaj będą przemawiał przez radio londyńskie.

*Telegram ministra wojny w Bordeaux
do francuskiego attaché wojskowego w Londynie*

Bordeaux, 19 czerwca 1940 r.

Proszę zawiadomić generała de Gaulle'a, że przechodzi do dyspozycji naczelnego wodza i ma niezwłocznie powrócić.

*Telegram generała de Gaulle'a
do wszystkich ośrodków francuskich za granicą*

Londyn, 19 czerwca 1940 r.

Proszę was wyznaczyć przedstawiciela, który będzie pozostawał w bezpośrednim kontakcie ze mną. Telegrafujcie nazwisko i funkcję tego przedstawiciela. Pozdrowienia.

*Telegram generała de Gaulle'a do generała Noguèsa,
naczelnego dowódcy wojsk na teatrze działań wojennych w
Afryce Północnej, w Algierze*

Londyn, 19 czerwca 1940 r.

Znajdują się w Londynie i pozostają w oficjalnym i bezpośrednim kontakcie z rządem angielskim. Jestem do pańskiej dyspozycji bądź żeby walczyć pod pańskimi rozkazami, bądź dla wszelkich kroków, które by pan uważał za wskazane.

*List generała de Gaulle'a do generała Weyganda**

Londyn, 20 czerwca 1940 r.

Generale!

Otrzymałem Pański rozkaz powrotu do Francji. Natychmiast też poinformowałem się co do możliwości jego wykonania, nie mam bowiem, rzecz jasna, żadnych innych zamiarów prócz tego, by służyć walcząc z wrogiem.

Spodziewam się tedy zameldować się u Pana w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, jeżeli do tego czasu kapitulacja nie będzie podpisana.

Natomiast w razie podpisania kapitulacji przyłączą się do jakiegokolwiek francuskiego ruchu oporu, gdziekolwiek miałby on powstać. W szczególności w Londynie znajdują się żołnierze i oficerowie — a niewątpliwie przybędą jeszcze inni — którzy zdecydowani są walczyć niezależnie od tego, co się stanie w metropolii.

Uważam za swój obowiązek powiedzieć Panu po prostu, że pragnąłbym w interesie Francji i w Pańskim interesie, aby Pan, Generale, zdołał uniknąć katastrofy, udał się do Francji Zamorskiej i kontynuował wojnę. Obecnie niemożliwe jest zawieszenie broni dające się pogodzić z honorem.

Zaznaczam, że moje stosunki osobiste z rządem angielskim, w szczególności z p. Churchillem, dają mi możliwość być użytecznym dla Pana lub dla jakiegokolwiek innej wysokiej osobistości francuskiej, gotowej stanąć na czele dalszego oporu Francji.

Proszę Pana, Generale, przyjąć wyrazy mego głębokiego szacunku i oddania.

*Tekst deklaracji ogłoszonych przez rozgłośnie „British
Broadcasting Corporation”*

23 czerwca 1940 r.

Pierwsza deklaracja:

„Rząd Jego Królewskiej Mości uważa, że warunki zawieszenia broni, dopiero co podpisanego z pogwałceniem uroczystych

* List ten, przekazany generałowi Weygandowi przez generała Lelong, francuskiego attaché wojskowego w Londynie, został generałowi de Gaulle'owi zwrócony z Vichy we wrześniu 1940 roku z napisaną na maszynie kartką następującej treści: „Jeżeli pułkownik w stanie spoczynku de Gaulle pragnie skomunikować się z generałem Weygandem, winien to uczynić przewidzianą drogą służbową”.

układów zawartych między rządami sprzymierzonymi, stawiają rząd Bordeaux w sytuacji całkowitej zależności od wroga i pozbawiają go wszelkiej wolności i jakiegokolwiek prawa do reprezentowania wolnych obywateli francuskich.

Wobec powyższego rząd Jego Królewskiej Mości nie może traktować rządu w Bordeaux jako rządu niepodległego kraju".

Druąa deklaracja:

„Rząd Jego Królewskiej Mości przyjął do wiadomości projekt utworzenia tymczasowego Francuskiego Komitetu Narodowego, który reprezentowałby w pełni niezawisłe siły francuskie zdecydowane kontynuować wojnę w celu wykonania zaciągniętych przez Francję zobowiązań międzynarodowych.

Rząd Jego Królewskiej Mości oświadcza, że uzna tego rodzaju Francuski Komitet i będzie z nim współpracował we wszystkich sprawach dotyczących kontynuowania wojny, dopóki Komitet będzie reprezentował siły francuskie zdecydowane walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi".

*List Jean Monneta
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Londyn, 23 czerwca 1940 r.

Drogi Generale!

Po spotkaniu z Panem miałem rozmowę z sir Alexandrem Cadoganem, któremu powtórzyłem wszystko, co poprzednio powiedziałem Panu i generałowi Spearsowi.

Uważam, że byłoby poważnym błędem próbować stworzyć w Anglii organizację, która mogłaby być uważana we Francji za rząd stworzony za granicą pod protektoratem Anglii. Podzielam całkowicie Pański pogląd, że nie można dopuścić do tego, by Francja zaprzestała walki, i jestem przekonany, że rząd w Bordeaux powinien był postarać się o to, aby głowa państwa, przewodniczący obu izb i pewna liczba członków rządu znaleźli się w Afryce Północnej, z której wespół z generałem Noguèsem uczyniliby bastion francuskiego oporu.

Trwam nadal w przekonaniu, że jeszcze i dzisiaj decyzja generała Noguèsa w sprawie dalszego oporu umożliwiłaby przyłączenie się do niego wszystkich tych, którzy we Francji pragną kontynuować walkę i pozostać wierni zobowiązaniom zaciągniętym uroczyście przez Francję wobec swych sojuszników.

Gdyby opór mógł być zorganizowany w Afryce Północnej, to jest na ziemi francuskiej pod kierownictwem dowódców powołanych na swe stanowiska w normalnych warunkach, czyli przez rząd, który w czasie wykonywania swych funkcji nie znajdował się faktycznie pod kontrolą wroga, jestem przekonany, że znalazłoby to ogromny oddźwięk we Francji i we wszystkich francuskich koloniach.

Ale wysiłek zmierzający do odrodzenia kraju nie może w chwili obecnej wychodzić z Londynu. Gdyby stało się to w tej formie, Francuzi mieliby wrażenie, że chodzi o ruch patronowany przez Anglię, inspirowany jej interesami i dlatego skazany na niepowodzenie, które utrudniłoby późniejsze wysiłki zmierzające do podźwignięcia Francji z upadku.

Jak wyżej już wspomniałem, przedstawiłem ten punkt widzenia sir Alexandrowi Cadoganowi, ostatnio zaś powtórzyłem to samo sir Robertowi Vansittartowi oraz ambasadorowi Francji. Tak jak Pan mam tylko jeden cel: zbudzić żywotne siły Francji i przekonać ją, że na tym nie może poprzestać. Pragnąłem, aby Pan był w pełni poinformowany o moim stanowisku.

Proszę przyjąć, drogi Generale, zapewnienie moich najlepszych uczuć.

P.S. Rozumie się samo przez się, że stworzenie Komitetu, którego zadaniem byłoby pomóc wszystkim Francuzom pragnącym kontynuować walkę u boku Anglii w znalezieniu dla siebie miejsca w tej walce, byłoby ze wszechmiar pożyteczne. Jak Panu już powiedziałem, gotów jestem każdej chwili wspólnie z Panem i Spearsem rozważyć wszystkie te sprawy.

*List francuskiego chargé d'affaires w Londynie de Castellane'a
do generała de Gaulle'a*

Londyn, 30 czerwca 1940 r.

Generale!

Na polecenie rządu francuskiego mam zaszczyt przesłać Panu załączone zawiadomienie.

Uprzejmie proszę o potwierdzenie odbioru. Proszę przyjąć, Generale, wyrazy poważania.

Załącznik (odpis)

Zarządzeniem sędziego śledczego przy stałym Trybunale Wojskowym 17 okręgu z 27 bm. tytularny generał brygady de Gaulle (Charles, André, Joseph, Marie) oskarżony o odmowę po-

słuszeństwa w obliczu wroga i o podżeganie osób wojskowych do nieposłuszeństwa zostaje oddany pod sąd Trybunału Wojskowego 17 okręgu. Pod tą samą datą wydany został nakaz aresztowania wyżej wymienionego.

Przewodniczący Trybunału podpisał 28 czerwca rozporządzenie, w myśl którego wyżej wymieniony winien w terminie pięciu dni, licząc od 29 czerwca 1940 roku, zgłosić się do aresztu Saint-Michel w Tuluzie, w przeciwnym razie sądzone będzie zaocznie.

*Odpowiedź generała do Gaulle'a
na list francuskiego chargé d'affaires w Londynie*

Londyn, 3 lipca 1940 r.

Szanowny Panie!

Przy niniejszym zwracam przesłany mi przez Pana dokument. Uprzejmie proszę Pana powiadomić osoby, które Panu poleciły mi go przesłać, że ich zawiadomienie nie interesuje mnie zupełnie.

Proszę Pana przyjąć wyrazy poważania.

*Przemówienie generała do Gaulle'a wygłoszone przez radio
londyńskie*

8 lipca 1940 r.

W warunkach pośpiesznej likwidacji francuskich sił zbrojnych w wyniku kapitulacji zdarzył się 3 lipca niezwykle bolesny epizod. Mam na myśli, jak wszyscy łatwo zrozumieją, zbombardowanie naszej floty w Oranie.

Będę o tym mówił prosto i wyrażnie, bez żadnych ogródek, ponieważ w dramacie, w którym każdy naród walczy o swe życie, trzeba, aby śmiali ludzie mieli odwagę spojrzeć prawdzie prosto w oczy i mówili o niej otwarcie.

Powiem przede wszystkim, co następuje: nie ma ani jednego Francuza, który by nie odczuł bólu i oburzenia na wiadomość, że okręty francuskiej marynarki wojennej zostały zatopione przez naszych sojuszników. Ten ból i oburzenie płyną z głębi naszej duszy. Nie ma żadnych powodów do ukrywania tych uczuć i co do mnie wyrażam je otwarcie. Toteż zwracając się do Anglików

proszę ich, aby oszczędzili nam i sobie wszelkich prób przedstawiania tej potwornej tragedii jako sukcesu bojowego na morzu. Byłoby to niesprawiedliwe i nie na miejscu.

W rzeczywistości okręty w Oranie nie były w stanie walczyć. Były one zakotwiczone i wskutek tego pozbawione jakiejkolwiek możliwości manewru lub rozśrodkowania. Ich dowódcy i załogi mieli za sobą dwa tygodnie najcięższych przeżyć moralnych. Nasze okręty dały okrętom angielskim możność oddania pierwszych salw artyleryjskich, które w walce morskiej, jak wiadomo, mają przy tego rodzaju odległościach decydujące znaczenie. Ich zniszczenie nie było wynikiem uczciwej walki. Oto co francuski żołnierz z tym większą otwartością oświadcza angielskim sojusznikom, im większe w sprawach morskich żywi dla nich poważanie.

A teraz, zwracając się do Francuzów, proszę ich, aby rozważyli istotę sprawy z jedyne go punktu widzenia, który w ostatecznym rachunku powinien tu mieć decydujące znaczenie, to znaczy z punktu widzenia zwycięstwa i wyzwolenia. W myśl haniebnego zobowiązania rząd w Bordeaux zgodził się wydać nasze okręty na łaskę i niełaskę wroga. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wróg, tak dla zasady, jak i z konieczności, pewnego dnia użyłby ich przeciwko Anglii lub przeciw naszemu własnemu Imperium. Otóż powiem bez ogródek, że lepiej, iż zostały zniszczone!

Wolę wiedzieć, że nawet nasz pancernik „Dunkerque”, nasz piękny, drogi, potężny „Dunkerque”, został zatopiony pod Mers-el-Kebir, niż widzieć go, jak pewnego dnia, wyposażony przez Niemców, bombarduje porty angielskie albo Algier, Casablankę lub Dakar.

Wywołując tę bratobójczą kanonadę, a potem starając się zwrócić oburzenie Francuzów przeciwko zdradzonemu przez nich sojusznikom, rząd w Bordeaux wystąpił w swej właściwej roli — roli służalca.

Wyzyskując to wydarzenie, aby skłócić ze sobą naród francuski i angielski, przeciwnik występuje w swej właściwej roli — roli zaborcy.

Widząc zaś ten dramat w jego prawdziwym znaczeniu, to znaczy upatrując w nim godne pożałowania i budzące odrazę wydarzenie, ale pragnąc nie dopuścić, aby pociągnął on za sobą skłócenie moralne Anglików i Francuzów, wszyscy dalekowzroczni ludzie obu narodów występują w swej właściwej roli — roli patriotów.

Anglicy wnikając w istotę sprawy nie mogą nie zrozumieć, że zwycięstwo stałoby się dla nich niemożliwe, gdyby pewnego dnia uczucia Francji znalazły się po stronie przeciwnika.

Francuzi godni tej nazwy nie mogą nie zdawać sobie sprawy, że klęska Anglii przypieczętowałaby na zawsze ich niewolę.

Cokolwiek się stanie, nasze dwa narody, choćby jeden z nich przejściowo znalazł się pod jarzmem wspólnego wroga, pozostają nadal ze sobą związane. Albo razem zginą, albo razem zwyciężą.

Jeżeli chodzi o Francuzów, którzy mogą jeszcze swobodnie działać zgodnie z honorem i dobrem Francji, oświadczam w ich imieniu, że powzięli oni ostateczne i mocne postanowienie.

Powzięli niezłomną decyzję walczyć do ostatka.

*List Winstona Churchilla
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Londyn, 7 sierpnia 1940 r.

Drogi Generale!

Był Pan łaskaw zakomunikować mi swoje poglądy dotyczące organizacji, sposobu użycia i warunków służby ochotniczych francuskich sił zbrojnych, formowanych obecnie pod dowództwem Pana, jako uznanego przez rząd Jego Królewskiej Mości w Zjednoczonym Królestwie szefa wszystkich Wolnych Francuzów, którzy, gdziekolwiek by się znajdowali, przyłączą się do Pana, aby bronić sprawy sojuszników.

Przesyłam Panu obecnie memorandum, które, jeżeli uzyska Pańską zgodę, stanowić będzie układ między nami w sprawie organizacji, sposobu użycia i warunków służby Pańskich sił zbrojnych.

Korzystam z tej sposobności, by oświadczyć, że rząd Jego Królewskiej Mości jest zdecydowany po odniesieniu zwycięstwa przez armie sojusznicze zapewnić całkowite przywrócenie niepodległości i wielkości Francji.

Szczerze oddany.

Odpowiedź generała de Gaulle'a na list Winstona Churchilla

Londyn, 7 sierpnia 1940 r.

Panie Premierze!

Był Pan łaskaw przesłać mi memorandum dotyczące organizacji, sposobu użycia i warunków służby francuskich ochotniczych sił zbrojnych formowanych obecnie pod moim dowództwem.

Jako uznany przez Rząd Jego Królewskiej Mości w Zjednoczonym Królestwie szef wszystkich Wolnych Francuzów, którzy,

gdziekolwiek by się znajdowali, przyłączą się do mnie, aby bronić sprawy sojuszników, komunikuję Panu, że zgadzam się z treścią powyższego memorandum. Będzie ono uważane za układ zawarty między nami w wymienionych wyżej sprawach.

Jestem szczęśliwy, że przy tej sposobności rząd brytyjski uważał za stosowne stwierdzić, iż jest zdecydowany po zwycięstwie odniesionym przez armie sojusznicze zapewnić całkowite przywrócenie niepodległości i wielkości Francji.

Ze swej strony potwierdzam, że formowane przeze mnie francuskie siły zbrojne są przeznaczone do tego, aby brać udział w działaniach przeciwko wspólnym wrogom (Niemcom, Włochom lub jakimkolwiek innemu państwu nieprzyjacielskiemu) włącznie z obroną terytoriów francuskich i terytoriów znajdujących się pod mandatem Francji oraz obroną terytoriów brytyjskich, ich dróg komunikacyjnych i terytoriów znajdujących się pod mandatem brytyjskim.

Proszę przyjąć, Panie Premierze, wyrazy wysokiego poważania.

*Poufny list Winstona Churchilla
do generała de Gaulle'a w sprawie układu
z 7 sierpnia 1940 r.*

Londyn, 7 sierpnia 1940 r.

Drogi Generale de Gaulle!

Uważam za niezbędne sprecyzować, że określenie „całkowite przywrócenie niepodległości i wielkości Francji”, użyte w wymienionych między nami listach, które mają być opublikowane, nie odnosi się w ścisłym tego słowa znaczeniu do granic terytorialnych. Nie byliśmy w stanie zagwarantować granic żadnemu narodowi walczącemu u naszego boku; postaramy się jednak, rzecz jasna, zrobić wszystko, co będzie w naszej mocy.

Artykuł stanowiący, że pańskie wojska „nie zwrócą oręża przeciw Francji”, należy interpretować w tym sensie, że odnosi się on do Francji mającej swobodę wyboru swej drogi i nie podlegającej bezpośredniemu lub pośredniemu przymusowi ze strony Niemiec. Tak więc wypowiedzenie wojny Zjednoczonemu Królestwu przez rząd Vichy nie byłoby wypowiedzeniem wojny przez Francję; mogłyby zajść także inne analogiczne wypadki.

Może Pan zechce potwierdzić mi zgodę w powyższych sprawach.

Szczerze oddany.

Poufna odpowiedź generała de Gaulle'a na pismo Winstona Churchilla

Londyn, 7 sierpnia 1940 r.

Drogi Premierze!

W Pańskim liście z dnia 7 sierpnia 1940 roku był Pan łaskaw poinformować mnie, że w wymienionych między nami listach, które mają być opublikowane, rząd angielski interpretuje określenie „całkowite przywrócenie niepodległości i wielkości Francji” w tym sensie, iż nie odnosi się ono w ścisłym tego słowa znaczeniu do granic terytorialnych. Dodaje Pan: „Nie byliśmy w stanie zagwarantować granic żadnemu narodowi walczącemu u naszego boku; postaramy się jednak, rzecz jasna, zrobić wszystko, co będzie w naszej mocy”.

Z drugiej strony podkreśla Pan, że twierdzenie, iż moje wojska „nie zwrócą oręża przeciw Francji”, należy interpretować w tym sensie, że odnosi się ono „do Francji mającej swobodę wyboru swej drogi i nie podlegającej bezpośredniemu lub pośredniemu przymusowi ze strony Niemiec”.

Przyjmuję do wiadomości, Panie Premierze, że taka jest interpretacja, którą rząd angielski nadaje przytoczonym wyżej określeniom.

Mam nadzieję, że w przyszłości okoliczności pozwolą rządowi angielskiemu traktować te sprawy z mniejszą rezerwą.

Proszę przyjąć, Panie Premierze, wyrazy wysokiego poważania.

AFRYKA

List generała de Gaulle'a do generała Catroux

29 sierpnia 1940 r.

Generale!

Nie może Pan sobie wyobrazić, jaką radość sprawiła mi wiadomość o Pańskim bliskim przybyciu. Tyle jest do zrobienia, aby wydobyć Francję z przepaści, a człowiek i dowódca tego pokroju co Pan może odegrać taką rolę w dziele odrodzenia! Wie Pan, że od dawna żywię dla Pana szczególny szacunek oraz szczerą, pełną poważania przyjaźń. Postawa, jaką Pan zajął w Indochinach, jeszcze bardziej mnie umocniła w tych uczuciach. Obecnie trzeba się wziąć do twórczej pracy.

W Londynie szybko zorientuje się Pan we wszystkim, co zdarzyło się tu i gdzie indziej. Co do mnie, to wchodząc w skład rządu w ciągu ostatnich dni działań wojennych, mogłem się naocznie przekonać, z jaką niezwykłą zręcznością przeciwnik oddziaływał na koła zbliżone do rządu i na nastroje samego rządu. Nie wątpiłem ani na chwilę, że upadek naszego wspólnego przyjaciela Paula Reynaud i objęcie władzy przez biednego starego marszałka oznaczają kapitulację. Nie chcąc się z nią pogodzić udałem się do Londynu, aby stąd na nowo zorganizować Francję Walczącą. Zwróciwszy się z apelem do Francuzów zdołałem utworzyć zaczątek sił zbrojnych — lądowych, morskich i powietrznych — oraz resortów cywilnych: spraw zagranicznych i kolonialnych, finansów, informacji itd. ... Nawiązane zostały liczne kontakty z wieloma ośrodkami na świecie. We Francji i w Imperium istnieją duże potencjalne możliwości. Nowe Hebrydy, terytorium Czadu, Kamerun i północna część Wybrzeża Kości Słoniowej już się do nas przyłączyły. W chwili gdy otrzyma Pan ten list, znajdo-

wać się będą w drodze do Dakaru z wojskami, okrętami, samolotami i... poparciem Anglików.

Jeżeli to zamierzenie się uda, natychmiast stanie przed nami kapitalny problem Afryki Północnej. Tym bardziej że jej zagrożenie przez Niemcy, Włochy i Hiszpanię jest moim zdaniem kwestią najbliższego czasu. Nie wydaje mi się rzeczą możliwą, żeby ludzie zajmujący obecnie stanowiska w Afryce Północnej i zdyskwalifikowani przez poddanie się warunkom zawieszenia broni mogli kiedykolwiek stać się „ludźmi wojny”. Mam tu głównie na myśli generała Noguèsa, który od pierwszej chwili stosuje wszelkiego rodzaju żałosne manewry, aby tylko zachować swe stanowisko. Skoro tylko będziemy się mogli zająć Afryką Północną, potrzebny będzie „ktoś”, kto by wziął na siebie to zadanie. Tym kimś będzie Pan, Generale, jeżeli się Pan na to zgodzi.

Wiadomo panu, że rząd angielski po uznaniu mnie jako „szefa Wolnych Francuzów” z góry zgodził się na traktowanie wszystkich spraw dotyczących obrony i życia ekonomicznego naszego Imperium z „Radą Obrony Francji Zamorskiej”, gdybym taką Radę stworzył. Istotnie mam zamiar to uczynić i proszę Pana, Generale, o wejście w skład Rady i zajęcie w niej miejsca przewidzianego dla „Afryki Północnej”. Do czasu utworzenia Rady będzie Pan miał w Londynie dogodne warunki dla przygotowania swej akcji. Gdy okoliczności na to pozwolą, tj. praktycznie biorąc skoro tylko usadowimy się w Maroku i Algierii, może w chwili, którą Pan uzna za stosowną, uda się Pan tam, aby objąć władzę cywilną i dowództwo wojskowe nad całością Afryki Północnej: Marokiem, Algierią i Tunisem.

Admirał Muselier i Antoine (występujący pod pseudonimem Fontaine), którym przekazałem na czas mej nieobecności — pierwszemu dowództwo znajdujących się w Anglii sił lądowych, morskich i powietrznych, a drugiemu kierownictwo resortów cywilnych — poinformują Pana, co dotychczas osiągnęliśmy w dziedzinie organizacji naszych sił zbrojnych i naszej administracji. Sprawą pierwszorzędnej wagi jest w chwili obecnej przebrojenie pewnej liczby naszych okrętów wojennych.

Wyrobi Pan sobie własne zdanie o admirale Muselier. Jest on krytykowany. Ma on swoje wady, ale ma także i zalety. W gruncie rzeczy jest to uczciwy człowiek. Oczywiście wolałbym, gdyby Darlan przyłączył się do nas ze swoją flotą, ale cóż, Darlan tego nie uczynił...

Jeżeli chodzi o sprawy ogólne, to wierzę głęboko w ostateczne zwycięstwo. Anglicy, na ich i nasze szczęście, gruntownie zabrali się do rzeczy. Winston Churchill jest w całym tego słowa znaczeniu „człowiekiem wojny”. Gra toczy się między Hitlerem a nim.

W oczekiwaniu dnia, kiedy będę miał zaszczyt znowu Pana zobaczyć, proszę Pana, Generale, przyjąć wyrazy mego głębokiego szacunku i szczerego oddania.

*List generała de Gaulle'a
do gubernatora generalnego Francuskiej Afryki
Zachodniej Boissona**

Na morzu, przed Dakarem, 18 września 1940 r.

Panie Generalny Gubernatorze!

W ogarniającym nasze Imperium szerokim ruchu dla podźwignięcia Francji z upadku ma Pan wielką rolę do spełnienia. Godzina czynu dla Pana wybiła.

Proponuję Panu przyłączenie się do mnie, aby kontynuować wojnę w celu wyzwolenia Ojczyzny.

Znajduję się bardzo blisko od Pana ze znacznymi siłami lądowymi, morskimi i lotniczymi. Te siły zbrojne przybywają do Dakaru, aby wzmocnić garnizon, zabezpieczyć twierdzę przed jakimkolwiek zamachem ze strony wroga i zorganizować zaopatrzenie kolonii...

Zamierzam lada chwila wysadzić te wojska na ląd i wyładować zapasy. Nie wyobrażam sobie, abym miał się spotkać z jakimkolwiek oporem. Gdyby to jednak wbrew wszelkim przewidywaniom miało nastąpić, jestem przekonany, że uczyni Pan wszystko, aby nie dopuścić do godnych pożałowania incydentów.

Byłyby zaś one tym bardziej godne pożałowania, że pociągnęłyby za sobą interwencję towarzyszących mi sił sojusznicznych, które mają za zadanie zapobiec wszystkimi będącymi w ich dyspozycji środkami zagarnięciu bazy Dakaru przez przeciwnika.

Oczekuję z ufnością Pańskiej odpowiedzi, Panie Gubernatorze Generalny, i proszę Pana przyjąć wyrazy moich najlepszych uczuć.

Telegram Winstona Churchilla do generała de Gaulle'a

Londyn, 3 października 1940 r.

I. W dniu 1 października ambasador Francji w Madrycie wręczył ambasadorowi Jego Królewskiej Mości pismo od Baudouina z prośbą o przekazanie go rządowi JKM.

* Listu tego z wiadomych przyczyn parlamentariusze nie mogli doręczyć adresatowi.

II. Pismo to miało na celu wykazanie, że Wielka Brytania, jeżeli nie chce pchnąć ostatecznie rządu francuskiego w objęcia Niemiec, winna zezwolić na swobodny przewóz żywności z kolonii francuskich do nie okupowanej części Francji. W razie udzielenia tego zezwolenia rząd francuski jest gotów zawrzeć niezbędne porozumienie w sprawie kontroli i udzielić gwarancji, że ani ta żywność, ani odpowiadająca jej ilość żywności w samej Francji nie będzie przechwycona przez Niemców. W razie gdyby Niemcy spróbowali ją zagarnąć, rząd francuski przeniósłby się do Maroka i Francja ponownie przyłączyłaby się do Wielkiej Brytanii przeciwko Niemcom.

III. Przekazując to pismo, ambasador Francji oświadczył, że głównym jego celem jest zdusić w zarodku nastroje antyangielskie, które zaczynają znowu przejawiać się we Francji, i umożliwić Francji i Wielkiej Brytanii kroczenie wspólną drogą ku ostatecznemu zwycięstwu.

Ambasador Jego Królewskiej Mości odpowiedział mu, że i naszym jedynym celem również jest wygrać wojnę i że nie zamierza on formułować zarzutów dotyczących przeszłości. Dlatego też nie ma zamiaru wszczynać dyskusji na temat poważnego rozgoryczenia, jakie wywołał w Wielkiej Brytanii atak na Gibraltar i otwarcie ognia przeciwko parlamentariuszom występującym z białą flagą w Dakarze.

IV. Ambasador Jego Królewskiej Mości otrzymał obecnie instrukcje, aby udzielić ambasadorowi Francji następującej odpowiedzi celem przekazania jej Baudouinowi:

1. Rząd Jego Królewskiej Mości zawsze był i nadal jest gotów wszcząć rozmowy z rządem francuskim w Vichy w celu uniknięcia nieporozumień i tarć. Gdy Baudouin przesłał przez ambasadora Francji w Madrycie swą pierwszą propozycję znalezienia *modus vivendi* w sprawie francuskiego imperium kolonialnego, rząd Jego Królewskiej Mości niezwłocznie odpowiedział prosząc o bliższe sprecyzowanie tej koncepcji. Od tego czasu nie otrzymał na to żadnej odpowiedzi, w międzyczasie zaś, w momencie przybycia parlamentariuszy z propozycją wszczęcia rokowań, francuskie forty i okręty wojenne w Dakarze otworzyły ogień do brytyjskich okrętów wojennych; francuskie samoloty bez uprzedzenia bombardowały Gibraltar. Mimo tych wrogich aktów rząd Jego Królewskiej Mości jest nadal gotów wszcząć rokowania z rządem francuskim. Przedtem jednak dwie sprawy muszą być całkowicie wyjaśnione :

a) w razie nowej napaści francuskich sił zbrojnych na angielskie okręty lub na terytorium brytyjskie, np. na Gibraltar, Rząd Jego

Królewskiej Mości odpowie niezwłocznie zaatakowaniem swymi siłami zbrojnymi francuskich portów i terytoriów kolonialnych;

b) należy raz na zawsze stwierdzić, że rząd Jego Królewskiej Mości nie może cofnąć poparcia udzielonego ruchowi generała de Gaulle'a i że będzie mu udzielał wszelkiej pomocy, której generał de Gaulle zażąda dla utrzymania swej władzy w przyłączonych do niego koloniach francuskich.

2. Pod powyższymi warunkami rozmowy przewidziane przez rząd Jego Królewskiej Mości dotyczyłyby następujących trzech kwestii:

a) jak udzielić rządowi Jego Królewskiej Mości zadowalających gwarancji, że część francuskiego imperium kolonialnego, która nie jest obecnie lub nie będzie w przyszłości kontrolowana przez de Gaulle'a, nie znajdzie się pod wpływem niemieckim lub włoskim? (W tym przedmiocie może Pan ponowić wobec ambasadora Francji wielokrotnie składane przez nas zapewnienie, że pragniemy przywrócenia po wojnie wielkości i niepodległości Francji. Zapewnienie to oczywiście rozciąga się także na terytoria, które by w międzyczasie samorzutnie przyłączyły się do generała de Gaulle'a);

b) jeżeli rząd francuski może w wymienionych wyżej sprawach udzielić odpowiednich gwarancji, rząd Jego Królewskiej Mości gotów jest rozważyć wszystkie propozycje rządu francuskiego co do możliwości stosunków handlowych między koloniami francuskimi a nie okupowaną Francją;

c) jak zagwarantować, że statki francuskiej marynarki handlowej w żadnym razie nie wpadną w ręce Niemców lub Włochów?

3. Należy wyraźnie podkreślić, że rząd Jego Królewskiej Mości przywiązuje jak największą wagę do blokady i że środek ten musi być nadal stosowany przeciwko wrogowi. Rząd tylko w tym wypadku mógłby wziąć pod uwagę pewne jej złagodzenie, gdyby był absolutnie pewny, iż rząd francuski będzie mógł i chciał w sprawach dotyczących jego terytoriów zamorskich działać niezależnie od rozkazów Niemców i Włochów i że ponadto gotów będzie w stosunkach z rządem Jego Królewskiej Mości zająć stanowisko współpracy, której to gotowości dotychczas nie przejawiał.

Telegram generała de Gaulle'a do premiera angielskiego

Lagos, 3 października 1940 r.

I. Generał de Gaulle z największym zainteresowaniem zanotował fakt, że rząd Vichy po raz pierwszy w oficjalnym piśmie bie-

rze pod uwagę okoliczności, w których oficjalna Francja mogłaby wznowić wojnę u boku Wielkiej Brytanii.

II. Zważywszy fakty dokonane i politykę prowadzoną przez rząd Vichy krok ten traktować należy raczej jako oznakę graniczącego z rozpaczą zamieszania niż jako szczere przyznanie się do popełnionych niesłychanych błędów w dziedzinie polityki wewnętrznej i międzynarodowej.

III. W każdym razie należy podkreślić, co następuje: Gdyby nawet pewnego dnia rząd Vichy, w całości lub częściowo, przeniósł swą siedzibę do Afryki Północnej i proklamował, iż pragnie wznowić walkę, nie miałby on dosyć autorytetu i siły, aby pokierować wojną. Po tak całkowitym poddaniu się władzy przeciwnika i po rozbrojeniu Imperium, nie miałby on niezbędnego prestiżu, aby prowadzić i pociągnąć za sobą tych, których by powołał pod broń.

IV. Jakikolwiek by były porozumienia, które rząd angielski zdecydowałby się zawrzeć z rządem Vichy w przedmiocie stosunków ekonomicznych nie okupowanej Francji z Imperium Francuskim, nie wolno zamykać oczu na fakt, że pociągnęłyby one za sobą, przynajmniej na razie, wzmożenie zanikającego obecnie wpływu Vichy na kolonie. Bardziej wskazane wydaje się zaproponować rządowi Vichy bezpośrednią aprowizację przez organizacje charytatywne w Stanach Zjednoczonych, dokonywaną pod odpowiednią kontrolą. W tym wypadku zgodnie z dawniejszą propozycją generała de Gaulle'a byłoby celowe obwieścić, że układy w sprawie aprowizacji zostały zawarte na prośbę generała de Gaulle'a.

V. Generał de Gaulle stwierdza z zadowoleniem, że rząd angielski zakomunikował rządowi Vichy:

a) iż jest zdecydowany nadal popierać ruch generała de Gaulle'a w koloniach, które już przyłączyły się do niego lub przyłączą się w przyszłości;

b) iż trwa niezłomnie w postanowieniu współdziałania po wojnie w przywróceniu niepodległości i wielkości Francji, w szczególności w odniesieniu do wymienionych kolonii.

Telegram angielskiego ministra spraw zagranicznych do generała de Gaulle'a

Londyn, 22 października 1940 r.

Część pierwsza

Oto streszczenie odpowiedzi rządu Vichy na nasze ostatnie zawiadomienie:

„1. Rząd francuski życzliwie ustosunkował się do angielskiej propozycji w sprawie... (tu grupa znaków nie dających się odszyfrować). W sprawie podniesionej w nocy brytyjskiej rząd francuski komunikuje, co następuje:

a) Francja nigdy nie była i nigdy nie będzie agresorem. Rząd francuski nie rozumie zatem angielskich gróźb na wypadek francuskiej agresji. Przeciwwstawi się on wszystkimi swymi siłami każdemu nowemu atakowi brytyjskiemu lub każdemu poparciu działań wojennych skierowanych przeciwko jego okrętom lub terytoriom;

b) rząd francuski zgadza się, aby mające nastąpić rokowania toczyły się w ramach nakreślonych w czasie rozmowy obu ambasadorów w Madrycie w dniu 27 września;

c) rząd francuski nie uznaje żadnych uprawnień ani władzy generała de Gaulle'a. Uznanie przez Rząd angielski jakiegokolwiek innej władzy lub poparcie udzielone przezeń jakiegokolwiek próbie mającej na celu wyłączenie posiadłości francuskich spod władzy Vichy może jedynie podkopać wysiłki zmierzające ku pojednaniu obu krajów. Jeżeli Rząd Jego Królewskiej Mości podziela żywione przez rząd francuski pragnienie odprężenia, polityka jego musi być zgodna z honorem, godnością i interesami Francji.

2. Przed otrzymaniem ostatniej noty angielskiej rząd francuski publicznie i wielokrotnie dał wyraz swej woli zachowania kontroli nad Imperium i nad swą flotą.

Jest on zdecydowany zapewnić poszanowanie praw przyznanych mu w tym względzie przez zawieszenie broni.

3. Rząd francuski szczerze pragnie ustanowienia *modus vivendi* w sprawach wymiany handlowej między Francją a jej koloniami.

4. Rząd francuski nie może zrozumieć interpretacji, którą Rząd brytyjski nadaje jego stanowisku. To właśnie rząd francuski ma prawo uważać się za stronę obrażoną. Ma on nadzieję zebrać owoce swej polityki i swej cierpliwości, których dopiero niedawno i z ubolewaniem się wyrzekł."

Część druga

Ambasador Jego Królewskiej Mości w Madrycie otrzymał polecenie, aby przekazać swemu francuskiemu koledze uwaga dające się streścić, jak następuje:

„1. Rząd Jego Królewskiej Mości, jakkolwiek rozczarowany treścią odpowiedzi, gotów jest kontynuować rozmowy w kierunku wskazanym w jego poprzedniej nocy.

2. Rząd Jego Królewskiej Mości przypomina Rządowi francu-

skiemu, że zamiarem jego jest doprowadzić do pełnego przywrócenia niepodległości i wielkości Francji. Odrzucił on wszelkie sugestie dotyczące zawarcia pokoju na warunkach, które pozwoliłyby Niemcom i Włochom powiększyć swój stan posiadania kosztem terytoriów francuskich. Biorąc to pod uwagę, a także ze względu na nasze własne potrzeby wojskowe musimy zrobić wszystko, aby nie dopuścić do tego, by Imperium Francuskie i flota francuska dostały się w ręce wroga. Ponieważ Rząd francuski nie może sam zapewnić obrony francuskich posiadłości zamorskich, musimy w dalszym ciągu popierać ruch, który zrodził się na terenie tych posiadłości w celu ich obrony przed Niemcami i Włochami oraz dla współpracy z Wielką Brytanią.

3. Z wyjątkiem pewnych ustępstw, które mogłyby być zrobione w toku rokowań, rząd Jego Królewskiej Mości zmuszony jest utrzymać blokadę żywotnie konieczną dla jego wysiłków wojennych.

4. Rząd Jego Królewskiej Mości z zadowoleniem przyjął do wiadomości oświadczenie Rządu francuskiego, iż jest on zdecydowany zachować kontrolę nad swym Imperium i swą flotą. Rząd JKM rozumie to w tym sensie, że nie znajdują się one pod wpływem wroga ani nie wpadną w jego ręce. Jeżeli Rząd francuski może nas przekonać..." (dalszego ciągu nie otrzymano).

Część trzecia

Odpowiedź rządu Vichy zrobiła na nas nieprzyjemne wrażenie, chociaż nas nie zdziwiła. Ponieważ jednak rząd Vichy widocznie nie chce zerwać pertraktacji, będziemy się starali wyciągnąć z tej sytuacji wszystko, co będzie możliwe. Uważamy za wskazane kontynuować wymianę poglądów z rządem Vichy w nadziei, iż będzie on uważał, że leży w jego interesie dojść do porozumienia z nami, chociaż zdajemy sobie jednocześnie sprawę, że znajduje się on pod butem niemieckim i że cokolwiek by uczynił, nie może być uważany za wolny. W tym stanie rzeczy nie możemy spodziewać się otrzymania od niego zobowiązań na piśmie, na co Niemcy by się nie zgodzili, z drugiej zaś strony dał on nam dotąd mało podstaw do tego, by wierzyć jego ustnym zapewnieniom. Znajduje się on wszakże w takiej sytuacji, że nie możemy liczyć na to, by w toku rokowań postępował inaczej. Jedyna możliwa dla nas gwarancja polega na tym, że w razie gdyby wycofał się ze swych zobowiązań, będziemy uważali jakiegokolwiek zawarte porozumienie za niebyłe i cofniemy wszystkie awantaże, które by mu zostały przyznane.

Manifest generała de Gaulle'a wydany w Brazzaville

27 października 1940 r.

Francja przeżywa najstraszliwszy kryzys w swej historii. Jej granicom, niepodległości, a nawet samemu duchowi narodu francuskiego grozi zagłada.

Poddając się niewybaczalnej panice przygodni kierownicy naszego kraju przyjęli warunki przeciwnika i podlegają jego prawu. Tymczasem niezliczone dowody wykazują, że naród i Imperium nie zgadzają się na tę haniebną niewolę. Miliony Francuzów lub francuskich obywateli postanowiły kontynuować wojnę aż do wyzwolenia. Miliony innych czekają tylko na to, aby pójść tą samą drogą, skoro tylko znajdą przywódców godnych tego miana.

W chwili obecnej nie ma już prawdziwego rządu francuskiego. Organ mający swą siedzibę w Vichy, który pretenduje do tej nazwy, jest niekonstytucyjny i podlega najeźdźcy. W swym stanie zależności organ ten może być i istotnie jest jedynie narzędziem używanym przez wrogów Francji przeciwko honorowi i interesom naszego kraju. Trzeba więc, aby nowe władze wzięły na siebie zadanie kierowania wysiłkiem francuskim w toczącej się wojnie. Wydarzenia każą mi wziąć na siebie ten święty obowiązek. Temu obowiązkowi się nie sprzeniewierzę.

Władzę swą sprawować będę w imieniu Francji i jedynie w jej obronie. Uroczystie zobowiązuję się zdać sprawę z mych czynów przedstawicielom narodu francuskiego, skoro tylko będzie on mógł ich swobodnie wybrać.

Dla współdziałania ze mną powołuję z dniem dzisiejszym do życia Radę Obrony Imperium. Rada ta, złożona z ludzi, którzy bądź już sprawują władzę na terytoriach francuskich, bądź ucieleśniają najwyższe wartości intelektualne i moralne narodu francuskiego, reprezentuje metropolie i Imperium walczące o samo swe istnienie.

Wzywam do wojny, czyli do walki lub do poświęceń, wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety na terytoriach francuskich, które przyłączyły się do mnie. W ścisłym związku z naszymi sojusznikami, którzy proklamują swą wolę przyczynienia się do przywrócenia niepodległości i wielkości Francji, musimy bronić przeciwko wrogowi i jego pomocnikom znajdującej się w naszym ręku części dziedzictwa narodowego, atakować wroga wszędzie, gdzie to będzie możliwe, uruchomić wszystkie nasze zasoby wojskowe, ekonomiczne i moralne, utrzymać porządek publiczny i zapewnić sprawiedliwość.

Spełnimy to wielkie zadanie. Spełnimy je dla Francji świadomi tego, iż dobrze jej służymy, i pewni zwycięstwa.

*Zawiadomienie skierowane do generała de Gaulle'a przez
angielskiego ministra spraw zagranicznych*

Londyn, 28 października 1940 r.

I. Poniżej podaję Panu do wiadomości streszczenie kroków podjętych wobec francusko-niemieckich rokowań pokojowych:

II. 20 października, gdy stało się jasne, że Niemcy próbują dojść do porozumienia z Lavalem, polecieliśmy ambasadorowi Jego Królewskiej Mości w Madrycie przekazać swemu francuskiemu koledze w imieniu Premiera notę mającą na celu powiadomić rząd Vichy: a) że jesteśmy gotowi współpracować z nim w celu pokonania wspólnego wroga; b) że nic nas nie powstrzyma na drodze do zwycięstwa; c) że nie możemy zrozumieć, dlaczego żaden francuski dowódca nie wyłamuje się z solidarności z rządem i nie przenosi się do Afryki Północnej, aby działać tam wspólnie z nami. Przekazując powyższe wiadomości sir Samuel Hoare zaproponował, aby ta aluzja do współpracy z nami została przekazana w szczególności Weygandowi i Noguèsowi. Ambasador francuski odniósł się życzliwie do tej sugestii.

III. 24 października ambasador francuski powiedział sir Samuelowi Hoare, że Laval i Darlan nalegają na zawarcie układu z Niemcami, podczas gdy Pétain i Weygand występują przeciw temu. Ambasador uważał, że nota Premiera robi w Vichy duże wrażenie, i zaproponował, by ją poprzeć osobistym apelem Króla do Pétaina.

IV. Orędzie Króla zostało wysłane po południu 25 października. Po wyrażeniu naszej sympatii i ponownym stwierdzeniu, iż jesteśmy zdecydowani walczyć aż do zwycięstwa oraz przywrócić wolność i wielkość Francji, orędzie wskazuje na pogłoski, jakoby rząd niemiecki próbował obecnie doprowadzić do przyjęcia przez rząd Vichy warunków wybiegających daleko poza warunki zawieszenia broni. Orędzie przypomina stanowczą decyzję Pétaina odrzucenia jakichkolwiek hańbiących warunków i wyraża przekonanie, że Marszałek nie zaakceptuje propozycji przynoszących hańbę Francji i wyrządzających poważną szkodę Wielkiej Brytanii. Postępując w ten sposób Pétain miałby całkowite poparcie wszystkich, którzy we Francji i gdzie indziej mają zaufanie do jego żołnierskiego honoru i pokładają w zwycięstwie Anglii całą nadzieję ocalenia Francji.

V. Premier zasugerował Prezydentowi Rooseveltowi wystosowanie analogicznego orędzia do Pétaina. 25 października w wyniku tego Prezydent Roosevelt wysłał do ambasadora francuskiego w Waszyngtonie osobiste orędzie celem natychmiastowego przekazania go rządowi Vichy. Orędzie to w bardzo energicznych

słowach przestrzega rząd Vichy przed jakimkolwiek układem umożliwiającym użycie floty francuskiej przeciwko Wielkiej Brytanii.

VI. Dowiedzieliśmy się z wiarygodnego źródła, że niemieckie warunki pokojowe były początkowo tak twarde, że nawet rząd Vichy je odrzucił. Później dowiedzieliśmy się, że Hitler w czasie swego spotkania z Pétainem wysunął bardziej umiarkowane propozycje. Przewidują one, co następuje:

- Alzacja i Lotaryngia oraz pewne rejony Maroka przypadłyby Niemcom (część Maroka przypadłaby Hiszpanii);

- w Tunisie ustanowiono by kondominium francusko-włoskie;

- Nicea oraz Korsyka i inne posiadłości zamorskie pozostają przy Francji;

- bazy morskie i „artyleria przeciwlotnicza w koloniach” przypadłyby państwom Osi;

- Hitler, Mussolini, Pétain i Franco wystąpiliby do Wielkiej Brytanii ze wspólnym projektem pokoju na „wielkodusznych” warunkach, obejmujących między innymi rezygnację z Holandii i Belgii. Propozycja ta ma być zgłoszona 5 listopada, aby wpłynąć na wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych.

Ten ostatni raport nie znalazł dotąd potwierdzenia; należy się liczyć z tym, że w wyniku działań Włoch w Grecji sytuacja uległa poważnej zmianie.

Nie mamy dotąd poza wiadomościami zawartymi w komunikacie Vichy żadnych innych informacji, które by wskazywały, czy Pétain przyjął te warunki.

VII. Robimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby informować Weyganda *via* Tanger o rozwoju wydarzeń, nie wiemy jednak, czy otrzymał on nasze wiadomości. Jego stanowisko, jak również stanowisko Noguèsa mają ogromne znaczenie. Będziemy utrzymywać z Panem ścisły kontakt w dalszym rozwoju wydarzeń.

*Informacje przekazane generałowi de Gaulle'owi przez
angielskiego ministra spraw zagranicznych*

Londyn, 31 października 1940 r.

I. Wciąż jeszcze nie wiemy, jakie ustępstwa rząd Vichy poczynił w rokowaniach z Hitlerem. Otrzymaliśmy jednak wiarogodną wiadomość, z której wynika, że pogłoski wspomniane w punkcie VI naszej depeszy z 28 października (narobiły one w międzyczasie wiele szumu) są bezpodstawne. Sytuacja jest w dalszym ciągu nie wyjaśniona, zdaje się jednak, iż istnieją pewne podstawy do przypuszczenia, że rząd Vichy nie powziął dotąd żadnej ostatecz-

nej decyzji; w każdym razie rozmiary jego ustępstw wobec Niemiec nie są jeszcze ustalone.

II. Usiłując umknąć wszelkich prowokacji, które mogłyby przechylić szalę na naszą niekorzyść, w szczególności w najpoważniejszej sprawie floty oraz baz morskich i lotniczych, i wychodząc z założenia, że zdrada rządu Vichy ograniczy się do minimum, powstrzymamy się od jakiegokolwiek publicznego potępienia rządu Vichy, dopóki pogłoski, o których wyżej mowa, nie znajdą potwierdzenia. W razie gdyby to nastąpiło, odpadłaby oczywiście potrzeba zachowywania nadal tej rezerwy.

III. W tym stanie rzeczy i biorąc pod uwagę fakt, że nie mieliśmy czasu naradzić się z Panem, byliśmy zmuszeni przedsięwziąć kroki mające zapobiec temu, by Pańska organizacja zdemaskowała w radio i w prasie zdradę rządu Vichy, co byłoby aż nadto usprawiedliwione, gdyby zdrada ta była faktem stwierdzonym. Uważaliśmy, że o różnych aspektach sytuacji nie może Pan być równie, kompletnie poinformowany, jak rząd Jego Królewskiej Mości. Mamy nadzieję, że Pan zaaprobuje naszą interwencję, która miała na celu uniknąć zaznaczenia się w prasie i propagandzie niepożądanych rozbieżności w zasadniczym stanowisku rządu Jego Królewskiej Mości i organizacji Wolnej Francji.

IV. Już po zredagowaniu powyższych punktów niniejszej informacji dowiedzieliśmy się, że rząd Vichy skierował do wszystkich stolic Afryki Północnej telegram dementujący jako pozbawione podstaw wszystkie pogłoski, krążące obecnie na temat wstępnych rokowań pokojowych między Francją a Niemcami, w szczególności zaś pogłoski bądź o ustąpieniu Niemcom terytoriów lub baz strategicznych, bądź o okrojeniu terytorium francuskiego w metropolii lub w Imperium. Jednakże powyższe *dementi* nie wspomina ani słowem o wydaniu francuskiej floty i lotnictwa.

V. Analogiczne *dementi* zostało opublikowane w „Dépêche marocaine” wraz z następującym telegramem generała Weyganda do generała Noguèsa: „Generał Weygand ostrzega ludność francuskiej Afryki przed fantastycznymi i sprzecznymi pogłoskami pochodzącymi zza granicy, a dotyczącymi stanowiska i zarządzeń rządu francuskiego. Wzywa on wszystkich gubernatorów i generalnych rezydentów, aby niezwłocznie uprzedzili o tym ludność podległych im terytoriów. Rząd, na którego czele stoi marszałek Pétain, nie zaakceptował i nie zaakceptuje żadnych warunków sprzecznych z honorem i interesami Francji lub narodów, które jej zawierzyły”.

Obecnie staramy się nakłonić rząd Vichy do zakomunikowania nam faktycznych warunków swego układu z Niemcami.

Telegram generała de Gaulle'a do W. Churchilla w Londynie

Brazzaville, 2 listopada 1940 r.

I. Generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego rozumieją przyczyny skłaniające obecnie Rząd angielski do oględnego pod względem formy traktowania Vichy, dopóki nie będzie rzeczą dowiedzioną, że rząd Vichy poczynił Niemcom i Włochom nowe koncesje mogące niekorzystnie wpłynąć na sytuację militarną Imperium Brytyjskiego.

II. Ujmując sprawy bardziej ogólnie generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego rozumieją, że z tych samych powodów Rząd angielski nadal spodziewa się ze strony rządu Vichy lub niektórych jego członków pewnych aktów skruchy mogących poprawić warunki, w jakich Imperium Brytyjskie musi obecnie prowadzić wojnę tylko własnymi siłami.

III. Jednakże generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego poczuwają się do obowiązku, aby w imieniu wszystkich Wolnych Francuzów — będących jedynymi obrońcami honoru i interesów Francji, walczącymi z bronią w ręku przeciwko jej wrogom — zwrócić uwagę Rządu angielskiego, że polityka i postawa Wolnych Francuzów wobec Vichy, podyktowana specyficznymi względami francuskimi, różni się dosyć znacznie od obecnej polityki i postawy Rządu brytyjskiego.

Sam fakt istnienia rządu Vichy w warunkach, w jakich się ten rząd obecnie znajduje, stanowi w oczach Wolnych Francuzów naruszenie honoru i interesów Francji, nie dające się niczym usprawiedliwić. Charakter rokowań toczących się obecnie między rządem Vichy a wrogami Francji jeszcze bardziej pogłębia zbrodnię przeciw Ojczyźnie popełnioną przez zawarcie zawieszenia broni i przestrzeganie jego warunków. Wreszcie proklamowana oficjalnie przez Vichy zgoda na współpracę z wrogami stanowi — niezależnie od form, jakie ta współpraca miałaby przybrać — nowy i niedopuszczalny akt upodlenia, wobec którego nie wolno okazywać winowajcom żadnego pobłażania.

Wolni Francuzi uważają ponadto, że wszelka ugodowa polityka wobec Vichy byłaby fatalnym błędem. Wobec zależności Vichy od Niemców i Włochów nie mogłaby ona w końcowym efekcie doprowadzić do rzeczywiście pomyślnych wyników. Natomiast nie ulega wątpliwości, że wzmocniłaby ona autorytet Vichy przede wszystkim w Imperium Francuskim, a następnie także we francuskiej opinii publicznej, która coraz bardziej otwarcie potępia rząd Vichy, o czym świadczą mnożące się coraz bardziej aresztowania, skazujące wyroki i dymisje.

IV. Generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego nie mają nic przeciwko temu, iż Rząd angielski zwraca się ze słowami zachęty do niektórych czołowych osobistości francuskich, co do których można ewentualnie przypuścić, że mimo swej dotychczasowej uległości wobec rządu Vichy mogą pewnego dnia spróbować z nim zerwać, jak np. generałowie Weygand i Noguès. Gdyby te osobistości publicznie ogłosiły swój zamiar stawienia wrogowi oporu z bronią w rękę, krok ten niewątpliwie miałby poważny i dobroczynny wpływ, zwłaszcza w Afryce. Jednakże generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego nie żywią zbyt wielkiej nadziei, by te osobistości zajęły obecnie zupełnie odmienne od dotychczasowego stanowisko, a przede wszystkim podjęły odmienne od dotychczasowych działania, przez co same by się zdeprawowały. W każdym razie, gdyby zwrot taki miał się dokonać i spowodować nawiązanie przez te osobistości kontaktu z Rządem angielskim i zwrócenie się do niego z prośbą o pomoc, generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego uważają, że żaden układ nie może być zawarty bez bezpośredniego udziału i formalnej zgody Wolnej Francji niezależnie od wszelkich zastrzeżeń, które wymienione osobistości francuskie nie omieszkalyby zapewne przeciw temu zgłosić.

W rzeczy samej, niezależnie od zobowiązań zaciągniętych przez Rząd angielski i generała de Gaulle'a, jest faktem, że Rada Obrony Imperium Francuskiego sprawuje nie kwestionowaną władzę w znacznej części Imperium, dysponuje bynajmniej nie znikomymi siłami wojskowymi i jest w oczach społeczeństwa francuskiego oraz opinii świata kierowniczą władzą i symbolem francuskiego oporu przeciwko wrogom. Wszelki układ wojenny między Rządem brytyjskim a jakąkolwiek władzą francuską bez bezpośredniego udziału generała de Gaulle'a i Rady Obrony Imperium Francuskiego musiałby siłą rzeczy doprowadzić do poważnych rozdziewików, gdy tymczasem celem, który należy osiągnąć, jest coraz ściślejsze zespolenie się wszystkich Francuzów w wojnie u boku Imperium Brytyjskiego. Rozumie się zresztą samo przez się, że w razie powstania tego rodzaju sytuacji generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego powstrzymałyby się od wszelkich pretensji lub rekryminacji i kierowałyby się jedynie narodową koniecznością zbudzenia na nowo francuskiej woli zwycięstwa i odbudowy walczących francuskich sił zbrojnych.

V. Generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego nie wątpią, że Rząd brytyjski podziela ich punkt widzenia w poruszonych wyżej sprawach i bardzo ceniliby sobie, gdyby im to zechciał potwierdzić.

*Informacja przekazana generałowi de Gaulle'owi przez
angielskiego ministra spraw zagranicznych*

Londyn, 7 listopada 1940 r.

I. Ambasador Francji wręczył 1 listopada ambasadorowi Jego Królewskiej Mości pilny telegram z Vichy zawiadamiający, że marszałek Pétain odpowie za dwa dni na orędzie Króla, Prezydenta Stanów Zjednoczonych i Premiera i że zwłoka w udzieleniu odpowiedzi spowodowana jest nieobecnością ministra spraw zagranicznych. Odpowiedzi do Króla i Premiera nie nadeszły jeszcze do Londynu. Natomiast Prezydent Roosevelt otrzymał już odpowiedź datowaną 1 listopada i zawierającą następujące punkty:

Rząd francuski:

- 1) powstrzymuje się od odpowiedzi na niektóre punkty orędzia Prezydenta, które mogłyby go zmusić do zakwestionowania postawy Stanów Zjednoczonych;
- 2) zachowuje pełną swobodę działania;
- 3) już zobowiązał się do tego, że nie wyda nikomu floty francuskiej;
- 4) prosi Stany Zjednoczone, aby przypomniały sobie, że operacje przedsięwzięte przeciwko Anglii zostały spowodowane zajęciem nieoczekiwane wrogą postawą wobec Francji i udzieleniem buntownikom pomocy angielskiej floty i lotnictwa;
- 5) mimo wszystko rząd francuski nie przedsięwzięnie przeciwko Wielkiej Brytanii żadnego nie spowodowanego ataku.

Orędzie Pétaina do Roosevelta kończy się konkluzją, że rząd francuski będzie czuwał nad tym, aby interesy Francji były respektowane w warunkach nie naruszających jej honoru, że żywi on głębokie pragnienie utrzymania tradycyjnej przyjaźni ze Stanami Zjednoczonymi i że spodziewa się uniknąć nieporozumień i mylnej interpretacji, które skłoniły prezydenta do wystosowania swego orędzia.

II. 4 listopada ambasador brytyjski spotkał się ponownie ze swym francuskim kolegą i wręczył mu memorandum podkreślające wagę, jaką rząd brytyjski przywiązuje do tego, aby być dokładnie poinformowanym o stanowisku rządu Vichy oraz o tym, na czym polega układ zawarty przezeń ostatnio z Niemcami.

Ambasador francuski był bardzo przygnębiony. Osobiście był zdania, że Laval zamierza podpisać 11 listopada pokój i użyć, za zgodą rządu niemieckiego, floty francuskiej i niektórych oddziałów armii w celu odzyskania kolonii francuskich, które przyłączyły się do de Gaulle'a.

III. W międzyczasie za pośrednictwem sir Samuela Hoare'a zawiadomiliśmy Vichy, że według posiadanych przez nas wiadomości okręty wojenne „Richelieu” i „Jean-Bart” mają być skierowane — pierwszy z Dakaru, drugi z Casablanki — do innych francuskich portów celem remontu i wykończenia i że szczerze pragnąc uniknąć starć między angielskimi a francuskimi siłami morskimi spodziewamy się, iż rząd Vichy nie poweźmie tego rodzaju decyzji.

LONDYN

Telegram sir Jamesa Crosby, posła brytyjskiego w Syjamie, do Foreign Office w Londynie, zakomunikowany generałowi de Gaulle'owi

Bangkok, 11 października 1940 r.

I. W czasie wczorajszej wizyty posła francuskiego premier w największej tajemnicy złożył mu niepokojące oświadczenie następującej treści:

II. Niemcy i Japonia nakłaniają Syjam do zagarnięcia siłą terytoriów Indochin, które pragnie on odebrać Francji. W razie jeżeli to uczyni, Niemcy i Japonia wmieszają się w sprawę jako arbitrzy i zadecydują o niej na korzyść Syjamu. Rząd niemiecki przyrzekł nawet, że najpóźniej w dwa dni po oddaniu pierwszego wystrzału będzie interweniował w Vichy, aby narzucić rządowi francuskiemu nowy podział terytorialny oparty na zasadach rasowych i dający Syjamowi wszystko, czego pragnie, włącznie z Laosem i Kambodżą.

III. Premier oświadczył, że propozycje te stawiają go w bardzo kłopotliwej sytuacji, gdyż przyjęcie ich oznaczałoby zbliżenie się do państw Osi, co naraziłoby go wobec Londynu i Waszyngtonu. Wzdraga się on przed tego rodzaju polityką, pragnie bowiem zachować neutralność i sympatię Anglików i Amerykanów. Jednakże zdecydowane stanowisko armii zmusiłoby go do użycia siły, gdyby rząd Vichy odmówił ułagodzenia irredentów syjamskich przez zmianę granicy nad Mekongiem zrzekając się dwóch odcinków na prawym brzegu tej rzeki. Premier zażądał z naciskiem natychmiastowego zwołania mieszanej komisji francusko-syjamskiej celem zbadania sprawy toru wodnego na Mekongu i wysp. Poseł

francuski uważa, że komisja zakończy swe prace w ostatnich dniach listopada, co daje nam jeszcze pięć do sześciu tygodni czasu. Wtedy zdaniem jego nastąpi moment krytyczny i jeżeli rząd Vichy się uprze, rząd syjamski nie będzie miał innego wyboru, jak tylko użyć siły. W tym wypadku Japonia i Niemcy zrealizują swe przyrzeczenie, co doprowadzi do wyniku, którego premier bardzo się obawia.

*List generała sir Johna Dilla,
szefa brytyjskiego imperialnego sztabu generalnego,
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Londyn, 26 listopada 1940 r.

Drogi Generale!

Otrzymałem telegram od generała Wavella, który informuje mnie o Pańskim życzeniu wysłania do Grecji oddziału wojsk francuskich stacjonujących w Egipcie.

Być może, że w chwili wyrażenia tego życzenia nie był Pan poinformowany, iż żadna brytyjska jednostka bojowa nie została wysłana do Grecji, z wyjątkiem baterii przeciwlotniczych przeznaczonych do obrony lotnisk, ani też nie ma tam być wysłana ze Środkowego Wschodu.

Generał Wavell zwraca moją uwagę na fakt, że w chwili obecnej wolny jest tylko jeden batalion francuski, który doskonale spełnia swe zadanie w zachodniej części pustyni. W dodatku stanowiłby on bardzo cenny odwód w razie konieczności wysłania wojsk do Syrii.

Całkowicie zgadzam się w tym punkcie z poglądem generała Wavella i pragnąłbym wiedzieć, czy mimo wyżej przytoczonych względów nalega Pan jednak na wysłanie wojsk francuskich do Grecji.

Z przyjemnością korzystam z tej okazji, aby przesłać panu serdeczne gratulacje z racji niedawnych sukcesów operacji w Afryce Zachodniej.

Szczerze oddany.

*List generała de Gaulle'a
do generała sir Johna Dilla,
szefa brytyjskiego imperialnego sztabu generalnego*

Londyn, 27 listopada 1940 r.

Drogi Generale!

Otrzymałem Pański list z 26 listopada w sprawie wysłania do Grecji oddziału wojsk francuskich stacjonujących w Egipcie. Jakiegokolwiek by było znaczenie przytoczonych przez Pana czysto wojskowych względów przemawiających przeciwko wysłaniu tego oddziału, nie równoważą one poważnej korzyści, jaką dla Francji, zdaniem moim, przedstawiałaby z politycznego i moralnego punktu widzenia obecność walczących wojsk francuskich w Grecji.

Ponieważ Wolna Francja obecnie nie jest w stanie wysłać sił lotniczych, podtrzymuję jak najusilniej mą prośbę, aby kompania wydzielona z batalionu francuskiego na Wschodzie została jak najprędzej oddana do dyspozycji naczelnego dowództwa na terytorium Grecji.

Szczerze oddany.*

*Telegram generała de Gaulle'a
do generała Larminat,
wysokiego komisarza w Brazzaville*

Londyn, 11 grudnia 1940 r.

Wzmagający się wpływ naszego ruchu na samą Francję, jak również ogólna sytuacja wojenna nakazują nam rozwinąć w całej rozciągłości i w możliwie najkrótszym terminie działania wojenne przeciwko wrogowi.

Jestem zdecydowany nadać poważne rozmiary naszym wysiłkom na Bliskim Wschodzie wysyłając tam natychmiast:

batalion Legii Cudzoziemskiej,
oddział piechoty morskiej,
batalion strzelców senegalskich,
kompanię czołgów,
pluton artylerii 75 mm,
oddział łączności radiowej,
kompanię transportową,
odpowiednie służby.

* Na skutek tego listu generał sir John Dill oświadczył ustnie generałowi de Gaulle, że admiralicja brytyjska nie zgadza się na przewiezienie wojsk do Grecji.

Wszystkie te wojska znajdować się będą pod rozkazami pułkownika Magrin-Verneret.

Różne pertraktacje, które w związku z tym prowadziłem z rządem brytyjskim, co do transportu wojsk i materiałów, zakończyły się właśnie porozumieniem. Ale już teraz proszę Pana poczynić wszelkie kroki, aby wszystkie bez wyjątku wymienione wyżej jednostki były gotowe do zaokrętowania najpóźniej w ciągu dwudziestu dni licząc od daty dzisiejszej.

Powyższe wskazówki dotyczą również batalionu strzelców senegalskich i dlatego proszę Pana przyspieszyć jego przygotowanie. Batalion ten powinien obejmować co najmniej cztery, a w miarę możliwości sześć kompanii.

Zdaję sobie doskonale sprawę z niedogodności, jakie odejście tych wojsk może przedstawiać z punktu widzenia ewentualnej konieczności obrony Francuskiej Afryki Równikowej i Kamerunu. Rozumiem także trudności, jakie Pan może napotkać przy formowaniu w tak krótkim terminie dobrego batalionu marszowego strzelców senegalskich. Zmuszony jestem jednak przejść nad tym do porządku dziennego z uwagi na szereg wyjątkowo pilnych względów nakazujących tę operację.

Generał Legentilhomme uda się niebawem do Brazzaville i udzieli Panu bliższych wyjaśnień, których nie mogę przekazać telegraficznie.

*Telegram generała de Gaulle'a
do generała Larminat,
wysokiego komisarza w Brazzaville*

Londyn, 18 grudnia 1940 r.

Jak Panu telegrafowałem 11 grudnia, wysłanie na Środkowy Wschód naszej brygady wschodniej jest sprawą wyjątkowo pilną. Przypominam, że brygada ta powinna obejmować batalion Legii Cudzoziemskiej i piechotę morską, batalion strzelców w składzie sześciu kompanii, kompanię czołgów, pluton artylerii, kompanię transportową, oddział łączności oraz służby. Jak Panu wiadomo, Anglicy w porozumieniu ze mną poczynili odpowiednie kroki celem zapewnienia transportu i eskorty tych wojsk.

Donosi mi Pan o mającym nastąpić przesunięciu drogą lądową, na Chartum, batalionu marszowego z terytorium Czadu. Aprobuję powziętą przez Pana w tej mierze decyzję. Batalion ten będzie więc owym batalionem strzelców przewidzianym w składzie bry-

gady. Trzeba jednak wysłać jeszcze dwie kompanie strzelców ściągnięte z wybrzeża, aby podnieść skład batalionu do sześciu kompanii. Te dwie kompanie ściągnięte z wybrzeża dołączą do batalionu po przybyciu na miejsce przeznaczenia.

Należy także wysłać z wybrzeża dodatkowe uzbrojenie dla tego batalionu. Polegam na Panu i proszę złożyć mi sprawozdanie o wszystkim, co Pan uczyni, jak również powiadomić mnie o datach odjazdu poszczególnych części brygady. Całkowicie zgadzam się z Pańską koncepcją prowadzonej przez Pana działalności propagandowej oraz nieinterweniowania w sprawy kolonii uznających Vichy.

Według moich wiadomości nasze wpływy we Francji szybko rosną. Podzielam Pański pogląd, że najważniejsze są teraz działania przeciwko Włochom. W tej sprawie proszę Pana informować mnie bieżąco o pańskich projektach i przygotowaniach na granicy Czadu i Libii.

Telegram generała de Gaulle'a do generała Catroux

Londyn, 18 grudnia 1940 r.

Zgodnie z tym, co ustaliliśmy w naszej rozmowie w Fort Lamy, nasz główny wysiłek z punktu widzenia wojskowego winien być obecnie skierowany na Środkowym Wschodzie przeciwko Włochom.

Nasza I brygada wschodnia obejmująca batalion Legii Cudzoziemskiej w składzie sześciu kompanii, oddział piechoty morskiej, batalion strzelców senegalskich w składzie sześciu kompanii, kompanię czołgów Hotchkiss wzór 1939, pluton artylerii 75 mm, oddział łączności oraz służby, w szczególności szpital polowy, całość pod dowództwem pułkownika Magrin-Verneret (pseudonim Monclar) wyruszy na Środkowy Wschód. Wymarsz w ciągu bieżącego miesiąca. Większość drogą morską. Batalion Senegalczyków wyruszy z terytorium Czadu drogą lądową na Chartum. Brygada, jak panu wiadomo, jest przeznaczona zgodnie z porozumieniem z generałem Wavellem do działań w Sudanie.

Z drugiej strony Sautot organizuje obecnie mieszany pułk Pacyfiku, składający się z Europejczyków i tubylców. Zgodnie z pańskim życzeniem przeznaczam ten pułk dla Egiptu. Pierwszy batalion w sile 700 ludzi jest już gotowy w Numei; prowadzę tu rozmowy w sprawie przewiezienia go w najbliższym czasie.

Zbieram obecnie całą resztę broni francuskiej znajdującej się na terenie Anglii i niezwłocznie ją panu prześlę. Spodziewam się, że będę mógł panu dostarczyć wszystko niezbędne dla należytego uzbrojenia pułku Pacyfiku oraz 2 batalionu Egiptu, który pan zaczyna formować. Uważam więc, że nie ma co zwlekać z przyspieszeniem rekrutacji. Jednocześnie z wysłaniem broni i amunicji skieruję do pana oficerów dla uzupełnienia kadr. Wreszcie bardzo pragnę, aby nasi lotnicy na Środkowym Wschodzie znowu występowali jako lotnicy francuscy, nawet gdyby na razie musieli być użyci w eskadrach angielskich.

Oczywiście wszystkie te wojska z chwilą znalezienia się na Środkowym Wschodzie przechodzą pod pańskie dowództwo z tym, że porozumie się pan z generałem Wavellem co do sposobu ich użycia, jeżeli co do tego nie zapadnie decyzja w Londynie w drodze porozumienia między rządem brytyjskim a mną.

W najbliższych dniach oczekuję przybycia do Londynu pułkownika dyplomowanego Petit, którego pan zna; obejmie on stanowisko mego szefa sztabu.

*Telegram generała de Gaulle'a
do generała Larminat w Brazzaville*

Londyn, 23 grudnia 1940 r.

Dopiero co otrzymaliśmy bezpośrednio z Vichy — z jednej strony przez angielskie kanały dyplomatyczne, z drugiej zaś przez delegatów wysłanych przeze mnie do Vichy, którym tamtejsze władze pozwoliły wrócić — zupełnie wiarogodne wiadomości dotyczące stanowiska Vichy wobec wolnej Afryki francuskiej.

Z wiadomości tych można wnioskować, że Vichy na razie uznaje naszą władzę w Afryce Równikowej jako fakt dokonany, i, pomijając stronę propagandową, nie ma zamiaru jej zaatakować przynajmniej aż do lutego 1941 r. Prócz tego działania rozpoczęte przez nas przeciwko Włochom są nadzwyczaj popularne — nawet w Vichy. Rozwinięcie tych działań jest więc obecnie tak z narodowego, jak z międzynarodowego punktu widzenia najskuteczniejszą akcją, jaką możemy przedsięwziąć.

Proszę pana zakomunikować to panom Éboué, Sicé, d'Argenlieu i Leclerc jako członkom naszej Rady.

W związku z powyższym liczę na to, że brygada wschodnia, której skład podawałem panu w poprzednich depeszach, znajdzie się w komplecie w Sudanie, swym pierwszym miejscu przezna-

czenia, w pierwszych dniach lutego; dotyczy to zarówno składu osobowego i sprzętu wysłanych z Duali i z Pointe-Noire, jak i batalionu Senegalczyków maszerującego z Czadu drogą lądową. Trzeba wszakże już obecnie przygotować drugi rzut wojsk również przeznaczony dla Środkowego Wschodu. Winien on obejmować dwa bataliony Senegalczyków i pluton artylerii. Proszę pana przyspieszyć organizację tego drugiego rzutu, tak aby mógł on wyruszyć w drogę z końcem stycznia. We wszystkich tych sprawach proszę pozostawać w kontakcie z generałem Catroux.

Dla pańskiej informacji dodaję, że pułk Pacyfiku również przeznaczony jest dla Środkowego Wschodu i że pierwsze jego pododdziały zostaną niezwłocznie zaokrętowane w Numei. Wreszcie dalszy batalion rekrutowany jest w Egipcie.

W sumie spodziewam się, że na Środkowym Wschodzie będziemy mogli z początkiem wiosny wprowadzić do akcji dziewięć batalionów, w tym pięć europejskich, z nieznaczną ilością artylerii, i jedną kompanię czołgów. Wszystko to niezależnie od działań wojsk z terytorium Czadu w kierunku na Kufre i Murzuk, działań, które pan niewątpliwie podejmie, skoro to tylko będzie możliwe, wraz z lotnictwem i oddziałami specjalnymi. Proszę powiedzieć Leclercowi, że w działaniach tych pokładamy w nim duże nadzieje.

*List Winstona Churchilla
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Londyn, 24 grudnia 1940 r.

Drogi Generale de Gaulle!

Lord Halifax zwrócił moją uwagę na dwa dokumenty, które Pan podał mi do wiadomości 10 grudnia. Chodzi, po pierwsze, o manifest wydany w Brazzaville 27 października 1940 roku i związane z nim dwa dekrety z tejże daty wydane przez Pana jako szefa Wolnych Francuzów, a ustanawiające Radę Obrony Imperium Francuskiego i powołujące jej członków, i po drugie, o deklarację organiczną z 16 listopada stanowiącą uzupełnienie manifestu.

Jak Pan pamięta, 4 sierpnia 1940 roku oświadczyłem Panu, że rząd Jego Królewskiej Mości w Zjednoczonym Królestwie aprobuje Pański projekt stworzenia, skoro to tylko będzie możliwe, Rady składającej się — jak Pan mi powiedział — z osobistości reprezentujących francuskie kolonie, które zdecydowały się przy-

łączyć do Pana w celu kontynuowania wojny przeciwko wspólnym wrogom.

Korzystam więc ze sposobności, aby Pana poinformować, że rząd Jego Królewskiej Mości w Zjednoczonym Królestwie rad będzie współpracować z Panem — jako uznanym przezeń szefem Wolnych Francuzów — i Radą Obrony, powołaną do życia dekretem z 27 października 1940 roku, we wszystkich sprawach dotyczących jego współpracy z terytoriami Francji Zamorskiej, które uznały Pańską władzę, a to zarówno w sprawach dotyczących połączenia sił zbrojnych Wolnych Francuzów z siłami zbrojnymi Jego Królewskiej Mości dla kontynuowania wojny przeciwko wrogom, jak i w sprawach związanych z interesami politycznymi i ekonomicznymi tych terytoriów.

Donosząc Panu o powyższym pragnę zarazem wyraźnie stwierdzić, że rząd Jego Królewskiej Mości nie wyraził żadnej opinii co do rozmaitych rozważań konstytucyjnych i prawnych zawartych w manifeście i deklaracji organicznej.

Szczerze oddany.

*Telegram generała Larminat, wysokiego komisarza w
Brazzaville, do generała de Gaulle'a w Londynie*

Brazzaville, 25 grudnia 1940 r.

Program działań w południowej Libii przedstawia się, jak następuje:

1. Wypad grupy koczowniczej Tibesti na Tedżere w południowej części Fezzanu; wykonanie niezwłoczne.
2. Rozpoznanie walką, przeprowadzone przez mieszany zmotoryzowany oddział francusko-brytyjski na Uahu-el-Kebir, na wschód od Murzuku. Początek niezwłocznie po przybyciu oddziału brytyjskiego, które zostało już zapowiedziane po pewnych wahaniach spowodowanych rozwojem ofensywy na Bardię.
3. Następnie lub jednocześnie, zależnie od możliwości, rozpoznanie walką przez oddział zmotoryzowany na El Auen; data jeszcze nie ustalona.
4. W razie pomyślnego wyniku powyższych działań poważna operacja siłami zmotoryzowanymi i meharystami zostanie przeprowadzona na bazę Kufra; przygotowanie wymagać będzie dłuższego czasu.

5. Zamierzone bombardowanie Kufry przez siły lotnicze ulega zwłoce w związku z koniecznością dowiezienia benzyny i bomb na wysunięte placówki oraz na skutek częściowego unieruchomienia samochodów ciężarowych na terytorium Czadu zajętych transportem batalionu marszowego.

6. Będę panu meldował o przebiegu przygotowań i o wykonaniu tych różnych działań realizowanych w łączności z Anglikami.

*List pułkownika Leclerca,
dowódcy wojsk na terytorium Czadu,
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Fort Lamy, 31 grudnia 1940 r.

Panie Generale!

Proszę pozwolić mi spełnić tradycyjny obowiązek i złożyć Panu życzenia noworoczne. Daje mi to okazję do napisania do Pana, choć nie wiem niestety, kiedy mój list dojdzie do pańskich rąk. W tym roku, kiedy wszystko straciliśmy, łatwo składać życzenia...

Pragnę raz jeszcze zapewnić Pana, że zawsze znajdzie mnie Pan przy swoim boku w tej walce tytanów, którą Pan podjął. Wiem, że już teraz wzbudzam u wielu ludzi zawiść i niepokój... Zawsze tak bywa, gdy usiłuje się przełamać rutyniarstwo i inercję, te dwie główne podstawy francuskiej władzy cywilnej i wojskowej. Ale mało się tym przejmuję.

Spróbuję zreasumować w kilku słowach wydarzenia ostatniego miesiąca i sytuację na terytorium Czadu. Mówiono mi, że jest ono poważnie i bezpośrednio zagrożone. Sprawa przedstawia się inaczej: zajęcie Libreville wprost przeraziło vichystów. Byli przekonani, że nastąpią z kolei operacje przeciwko francuskiej Nigerii i Dahomei. Stąd dwojakiego rodzaju kroki:

1) rozmieszczenie na naszej granicy wojsk dwukrotnie silniejszych od naszych i zdecydowanych bronić się zaciekle;

2) szeroko zakrojona propaganda dla „zapobieżenia zbrodni”. W tym celu wysłano do Zinder ludzi przybyłych z terytorium Czadu... W nieustannym potoku listów i depesz przeplatają się ze sobą słodkie słówka i groźby, dobre i przede wszystkim złe wiadomości od rodzin, zapowiedzi sensacyjnych rewelacji. Ta metoda, dosyć podobna do metody stosowanej przez Niemców, zwykle działa na ludzi o słabych nerwach. Poleciłem więc Dio, ich najbliższemu sąsiadowi, przedsięwziąć wszelkie potrzebne środki: rozmawiać z tymi ludźmi, pisać do nich listy, godzić się

na spotkania i przewlekać sprawę. Prócz tego komunikuję im interesujące dokumenty, między innymi rozkaz dzienny dotyczący wyruszenia batalionu marszowego.

Jeżeli Nigeria francuska zdradzać będzie agresywne zamiary, z czym zawsze należy się liczyć, zwrócę się do batalionu Bouillona w Marua.

A teraz coś niecoś o „kresach”. Zgodnie z Pańskim poleceniem zdecydowany jestem zrobić wszystko, co tylko się da, przeciw Włochom:

1. Wydałem grupie koczowniczej Tibesti rozkaz dokonania zagonu na Tedżere między 3 a 10 stycznia (do dnia 3 stycznia przybędą na miejsce wielbłądy).

2. D'Ornano i około dziesięciu francuskich oficerów i podoficerów wezmą udział w ekspedycji Bagnolda od 7 do 20 stycznia.

3. Jestem już prawie zdecydowany dokonać w końcu stycznia możliwie jak najsilniejszego zagonu na oazy Kufra. W tym celu Parazols pracuje bez wytchnienia nad stworzeniem z naszych „Bedfordów” oddziału w rodzaju oddziału Bagnolda.

Za dwa dni, tj. po przybyciu wielbłądów, będę mógł się dokładnie zorientować w możliwościach wspomnianej grupy.

Lotnictwo weźmie udział w tym wszystkim — przed, w czasie i po zagonie.

Łączność z Anglikami będzie zapewniona.

Znajduję się obecnie w fazie przygotowań, w której trzeba przezwyciężyć jeszcze wiele przeszkód: wskazują mi na niebezpieczeństwo działania, przeprowadza się niefortunne zmiany, które psują mi całą maszynę w momencie, gdy już zaczyna funkcjonować... Znowu napotykam ulubione metody francuskich sztabów, które nigdy nie są w stanie zrozumieć, że tylko maksymalna zwartość wewnętrzna oddziału jest rękojmią sukcesu. Niekiedy bierze mnie już chęć rzucić to wszystko, ale zawsze kończy się na tym, że powtarzam sobie maksymę, którą ongiś często wpajał mi mój dziadek: „chroni mnie Boże od przyjaciół, z nieprzyjaciółmi sam dam sobie radę”. Nie dotyczy to oczywiście generała de Larminat, który ma bardzo trzeźwy pogląd na sprawy.

Wrażenie sprawiane przez wojska Czadu: europejskie kadry dowódcze są zbyt rozdęte, szczególnie na północy, ale na nieszczęście nie mają za sobą doświadczenia ani z tej, ani z poprzedniej wojny... Batalion marszowy zebrał z nich całą śmietankę.

Wartość wojsk tubylczych minimalna, jest jeszcze jednym następstwem błędu Buhrera, który myślał, że strzelców można fabrykować równie prędko, jak puszki do konserw... Duży brak

kadr dowódczych. Spodziewam się doprowadzić do tego, aby średnio jeden sierżant-tubylec i dwaj kaprale przypadli na 30 ludzi, gdy tymczasem czarne wojska mają tylko wtedy realną wartość bojową, gdy jeden Europejczyk przypada na dziesięciu tubylców. Jeżeli przedsięwzięmę zagon na oazy Kufra, przeprowadzę selekcję w rodzaju tej, jaką przeprowadziłem przed akcją w Libreville.

De Marmier wyjechał... Mimo wszystkich jego braków nigdy nie zapomnę pomocy, której mi udzielił w operacji Libreville. Gdyby nie on, część naszych samolotów wciąż jeszcze znajdowałaby się w skrzyniach w Duali.

Niech Pan nie będzie rozczarowany, jeżeli w ciągu najbliższych trzech czy czterech tygodni nasze samoloty nie będą jeszcze bombardowały Włochów. Będę się starał rozpocząć działania w sposób jak najbardziej zdecydowany uderzając mocno od pierwszej chwili. Największy problem to odległości i zaopatrzenie samochodów i wielbłądów w wodę.

Może Pan być pewny, że nie damy się odstraszyć przez żadne trudności pochodzące z tej czy z innej strony.

Proszę przyjąć zapewnienie mego całkowitego oddania, szacunku i zaufania, jak również głębokiej wdzięczności za to, że dał mi Pan możliwość pozostać Francuzem.

1.I.1941 — Powróciwszy dziś z Unianga zastałem telegram generała Larminat, który mi pisze, że liczy Pan na mnie, Generale. Dziękuję Panu za to zaufanie. Gdyby Pan nas widział odciętych w ciągu trzech dni od świata przez burzę piaskową, nie wątpiłby Pan, że wszystko możliwe będzie zrobione. Przeprowadziliśmy już rozpoznanie lotnicze na Kufre. Stwierdziliśmy na ziemi siedem samolotów. Fort Tadż wydaje się silny i dobrze wyposażony.

Nie liczę więc na to, by go zdobyć, ale wyrządę maksymalne szkody bazie lotniczej i innym zewnętrznym urządzeniom fortu. Dla przewiezienia dwustu żołnierzy będę musiał użyć 70 samochodów z uwagi na odległość dzielącą nas od celu wypadu i znaczne zużycie paliwa przez nasze ciężarówki bynajmniej nie przysposobione do tego rodzaju „sportu”. Ale jakiegokolwiek miałibyśmy napotkać trudności, wyruszymy i dopniemy swego. Będziemy myśleć o Panu, Generale...

Proszę przyjąć jeszcze raz wyrazy szacunku i zaufania.

*List generała de Gaulle'a do A. Edena, angielskiego ministra
spraw zagranicznych*

Londyn, 4 stycznia 1941 r.

Panie Ministrze!

W chwili obecnej żaden zarzut nie może być wysunięty przeciwko admirałowi Muselier z wyjątkiem „dokumentów” pochodzących z Vichy — czyli od przeciwnika Wolnej Francji — a tym samym podejrzanych.

Z drugiej strony wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że te „dokumenty” zostały sfabrykowane przez Vichy w celu wyrządzenia poważnej, a nawet niepowetowanej szkody Wolnej Francji oraz skłócenia Wolnej Francji z Anglią.

Zmuszony jestem ponownie oświadczyć Panu oficjalnie, że sposób, w jaki wszczęta została ta sprawa, wydaje mi się godny pożałowania. Uważam, że bynajmniej nie sprawdzone twierdzenia, pochodzące ze źródła, z natury rzeczy zdecydowanego szkodzić Wolnej Francji i jej sojuszowi z Anglią, nie wystarczają same przez się do usprawiedliwienia aresztowania wiceadmirała francuskiego sprawującego dowództwo nad okrętami francuskimi walczącymi wspólnie z okrętami brytyjskimi. Uważam ponadto, że w każdym razie aresztowanie to nie powinno było nastąpić bez uprzedniego porozumienia się Rządu brytyjskiego ze mną osobiście.

Wreszcie nie mogę się zgodzić na warunki materialne i moralne, w jakich to aresztowanie nastąpiło i w jakich przebywa uwięziony.

Proszę więc z całym naciskiem o wydanie przez Rząd brytyjski niezbędnych zarządzeń, aby admirał Muselier był traktowany w godziwy sposób i by zakomunikowane mi zostały motywy, które mogłyby ewentualnie uzasadnić przedłużanie się jego internowania.

Proszę przyjąć, Panie Ministrze, wyrazy mego wysokiego poważania.

Pismo okólne generała de Gaulle'a do członków Rady Obrony Imperium Francuskiego: René Cassina w Londynie; admirała Muselier w Londynie; generała Catroux w Kairze; generała Larminat w Brazzaville; generalnego gubernatora Éboué w Brazzaville; generała-lekarza Sicé w Brazzaville; pułkownika Leclerca w Fort Lamy; komandora d'Argenlieu w Ottawie

Londyn, 18 stycznia 1941 r.

Przypuszczam, że znane Panu jest stanowisko, które zająłem wobec naszych sojuszników oraz rządu Vichy w niedawnych wystąpieniach radiowych i w przemówieniu wygłoszonym w obecności kardynała Hinsleya. Pragnę poznać pański pogląd co do następujących trzech ewentualności:

1. Czy zdaniem Pańskim w obecnej sytuacji, tzn. dopóki Vichy godzi się wykonywać warunki zawieszenia broni i współpracować — choćby w ograniczonych rozmiarach — z przeciwnikiem, powinniśmy wykluczać wszelkie stosunki z Vichy w jakiegokolwiek bądź postaci?
2. Czy zdaniem Pańskim, w razie gdyby Vichy odmówiło dalszego uznawania warunków zawieszenia broni oraz współpracy z wrogiem i zdecydowało się przenieść swą siedzibę na terytorium leżące poza zasięgiem przeciwnika, jednakże nie po to, aby wziąć znowu udział w wojnie, lecz po to, aby nadal przestrzegać neutralności — powinniśmy w dalszym ciągu nie uznawać jego władzy, poprzestając na utrzymywaniu pewnych ograniczonych stosunków z uwagi na przyszłość?
3. Gdyby rząd Vichy postanowił przenieść swą siedzibę do Afryki Północnej i znowu przystąpił do wojny, od jakich warunków w dziedzinie polityki zagranicznej i wewnętrznej powinniśmy uzależniać przyłączenie się do niego?

Telegram generała de Larminat, wysokiego komisarza w Brazzaville, do generała de Gaulle'a w Londynie

Fort Lamy, 20 stycznia 1941 r.

W dniu 11 bm. patrol francusko-brytyjski zaatakował zniemacka włoską placówkę Murzuk. Blokując swym ogniem nieprzyjacielską załogę w forcie oddział zaatakował i zajął lotnisko. Wzięto

jeńców. Całe wyposażenie lotniska, hangar i trzy samoloty zostały zniszczone. Włosi stracili około trzydziestu żołnierzy w zabitych i rannych. Nazajutrz zdobyliśmy Fort Tragen. Gatum zostało zaatakowane 13 bm. Oddział powrócił bez przeszkód. Poniesione straty: dwóch zabitych i jeden ranny.

*List generała de Gaulle'a
do sir Alexandra Cadogana,
stałego podsekretarza stanu w Foreign Office*

Londyn, 31 stycznia 1941 r.

Drogi Wiceministrze!

Był Pan łaskaw przesłać mi memorandum wyłuszczające punkt widzenia rządu angielskiego na sytuację w Indochinach.

Ze swej strony uważam za swój obowiązek przesłać Panu przy mniejszym memorandum, w którym określone jest stanowisko Rady Obrony Imperium Francuskiego w tejże sprawie.

Jednocześnie załączam tekst deklaracji, którą zamierza złożyć Rada Obrony Imperium Francuskiego. Tekst ten został zmieniony w myśl wysuniętych przez Pana sugestii.

Szczerze oddany.

Memorandum

20 stycznia 1941 r.

1. W obliczu faktu, że francuskie Indochiny zostały okupowane przez siły zbrojne Japonii i Syjamu, Rada Obrony Imperium Francuskiego zmuszona jest stwierdzić, że w chwili obecnej nie dysponuje niezbędnymi środkami materialnymi, aby wziąć na siebie zadanie obrony Indochin od zewnątrz. W przyszłości wszakże sytuacja ta ulec może zmianie. W każdym razie Rada Obrony Imperium Francuskiego uważa, że jej obowiązkiem jest stać na straży praw Francji wszędzie, gdzie one są zagrożone.

2. Rozwinięcie w samych Indochinach ruchu zmierzającego do zastąpienia władz mianowanych przez Vichy władzami mianowanymi przez Radę Obrony Imperium Francuskiego mogłoby pociągnąć za sobą natychmiastowe rozszerzenie zasięgu japońskiej

inwazji, czemu Indochiny w danej chwili nie byłyby w stanie zapobiec własnymi siłami. Dlatego też Rada Obrony Imperium Francuskiego nie zamierza zainicjować takiego ruchu. Rada Obrony Imperium Francuskiego przyjęła do wiadomości fakt, że władze Vichy w Indochinach widocznie nie zamierzają przedsięwziąć żadnej akcji, która mogłaby naruszyć porządek w posiadłościach francuskich w obszarze Pacyfiku; wydaje się zresztą, że gdyby nawet nosiły się z tego rodzaju zamiarem, nie byłyby go w stanie wykonać.

3. Pomijając wymienione wyżej względy celowości uważamy, że w każdym razie prawa Francji na Dalekim Wschodzie pozostają nadal te same, co prawa innych państw. W szczególności ekspansja Japonii i Syjamu w Indochinach — zwłaszcza gdyby ta ekspansja, jak należy przewidywać, miała obecnie lub w okresie późniejszym być kontynuowana — nie może nie mieć pewnych reperkusji na obecną sytuację Imperium Brytyjskiego, Stanów Zjednoczonych i Holandii na tych krańcach Azji.

4. Jeżeli próba mediacji podjęta przez jedno z tych państw mogłaby nie odnieść skutku bądź z powodu postawy obecnych władz w Indochinach, bądź z winy Japonii i Syjamu, to kolektywna mediacja wszystkich trzech państw, zmierzająca przynajmniej do zaprzestania działań wojennych, miałaby niewątpliwie szansę powodzenia. Sytuacja militarna Japończyków, w szczególności w Kuangsi, oraz rozciągłość ich komunikacji z Indochinami mogłyby spowodować, że Japonia w obliczu propozycji tego rodzaju zbiorowej mediacji ograniczyłaby swe żądania, na skutek czego ograniczyłby je również i Syjam. Natomiast jakiegokolwiek zmniejszenie zdolności oporu Indochin skłoniłoby Japonię i Syjam do zajęcia nieprzejednanego stanowiska.

5. W każdym razie, dopóki obecne władze w Indochinach będą skłonne przeciwdziałać w miarę możliwości zaborczym zamiarom Japonii i Syjamu, Rada Obrony Imperium Francuskiego nie ma żadnych zastrzeżeń co do tego, aby przyznano tym władzom pewne ułatwienia w utrzymaniu porządku wewnętrznego i obronie praw Francji. Dotyczy to zarówno wznowienia stosunków ekonomicznych z państwami sprzymierzonymi, jak i pozostawienia Indochinom swobody działania w celu uzupełnienia swych zbrojeń.

Z tego punktu widzenia uważamy, że wysłanie do Indochin samolotów z lotniskowca „Béarn” mimo wielu związanych z tym praktycznych trudności może być zaakceptowane, jednakże pod warunkiem zobowiązania się przez władze Indochin, że nigdy nie dopuszczą do użycia tych samolotów przeciwko siłom francuskim ani przeciw aliantom.

*Telegram delegata Wolnej Francji
w Stanach Zjednoczonych Garreau-Dombasle'a
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Nowy Jork, 21 stycznia 1941 r.

Profesor May kontynuował swe rozmowy i w dalszym ciągu sondował opinię sfer rządowych. Z uzyskanych w tej drodze informacji wynika, że rząd Stanów Zjednoczonych jest bardzo zaniepokojony niedawnymi wydarzeniami w Indochinach, lecz pragnie na razie uniknąć konfliktu z Japonią. Departament stanu, który uważa *de facto* Indochiny za dominium, utrzymuje ściśle i bezpośrednie stosunki z ambasadorem Haye i z admirałem Decoux, co usuwa nas zupełnie na bok. Zdaje się, że w czasie niedawnej rozmowy z posłem Syjamu sekretarz stanu Hull próbował wywrzeć pewien nacisk w celu zlikwidowania obecnego konfliktu. Naszym zdaniem nie ma na razie żadnych widoków, aby nacisk ten dał jakieś rezultaty. W sprawie tej zaangażowany jest osobisty prestiż dyktatora Luang Pibula. Wszelkie ustępstwo lub porażka militarna stanowiłyby śmiertelny cios dla jego kliku i wyszłyby na korzyść rywalom. Prócz tego Japończycy, którzy sprowokowali ten konflikt, nie pozwolą na to, aby został on zlikwidowany na samo tylko żądanie rządu amerykańskiego. Zdaje się, że Stany Zjednoczone uważają inwazję na Indochiny za nieuniknioną i nie sądzą, by warto było się temu przeciwstawić; przewidują one aktywne wystąpienie jedynie w tym wypadku, gdyby koła dobrze znające stosunki japońskie doszły do wniosku, że Japończycy są całkowicie zdecydowani posunąć się możliwie najdalej na południe.

*List generała de Gaulle'a
do generała Wavella,
naczelnego dowódcy wojsk brytyjskich
na Środkowym Wschodzie*

Londyn, 30 stycznia 1941 r.

Drogi Generale!

Generał Legentilhomme raz jeszcze zjawi się u Pana. Jak stwierdzam w wydanym mu rozkazie, oddaję go do Pańskiej dyspozycji, gdyż dobrze rozumiem, że dowództwo wojskowe w czasie działań nie może i nie powinno być podzielone. Nadmieniam, że generał Legentilhomme jest bardzo szczęśliwy i dumny z otrzy-

manego polecenia, o którym zawiadomiłem także generała Catroux.

Jak Panu już pisałem, życzeniem moim jest, aby oddziały przybyłe z Afryki Równikowej i oddane przeze mnie pod rozkazy generała Legentilhomme'a były użyte razem. Gdy będą już wszystkie na miejscu, całość przedstawiać będzie siłę sześciu batalionów, jednej kompanii czołgów oraz jednej baterii i jednego plutonu artylerii.

Jeżeli operacja „Marie” okaże się możliwa i będzie uwieńczona powodzeniem, siły te znacznie wzrosną i będą mogły razem wziąć udział w dalszych operacjach. W przeciwnym razie liczę bardzo na to, że zechce Pan oddziały przybyłe z Afryki Równikowej wykorzystać jako jedną całość. Pan lepiej niż ktokolwiek inny zrozumie, że ta akcja Francuzów, niezależnie od innych korzyści, będzie miała z politycznego i moralnego punktu widzenia znacznie większe znaczenie, jeżeli będzie skoncentrowana.

Do zobaczenia, Generale. Witam gorąco i podziwiam Pańskie zwycięstwa.

*Streszczenie odpowiedzi skierowanych do generała de Gaulle'a
przez członków Rady Imperium Francuskiego w sprawie
stanowiska wobec Vichy;*

(Streszczenie sporządzone przez René Cassina, sekretarza
Rady).

I. Streszczenie odpowiedzi na pierwsze pytanie: stanowisko w obecnej sytuacji:

1. *Generał Catroux:*

Biorąc pod uwagę wszystko, co wiemy, obowiązkiem naszym jest nie atakować marszałka Pétaina, lecz oddziaływać na niego wciągając w to niektóre osoby (np. generała Laure'a).

2. *Admirał Muselier:*

Wolna Francja powinna starać się utrzymywać stosunki z niektórymi członkami rządu Vichy. Należy nawiązać kontakt z gubernatorami kolonii, w szczególności w Afryce Północnej, i to z każdym z osobna, bezpośrednio lub przez osoby z jego otoczenia, tak aby każdej chwili mieć gotowych pośredników. Nie oznacza to uznania władz Vichy.

3. *Generał de Larminat:*

Utrzymywać stosunki jedynie okolicznościowe i w ograniczonym zakresie. Powinniśmy przy każdej sposobności podkreślać

nielegalność jakiegokolwiek władzy francuskiej odmawiającej kontynuowania wojny.

4. *Gubernator generalny Éboué:*

Powinniśmy nadal wykluczać jakiegokolwiek bądź stosunki z Vichy i podkreślać wobec Francji, że władze Vichy nie mogą być uznane za władze legalne.

5. *Profesor Cassin:*

W zasadzie należy wykluczać stosunki z Vichy, aby uniknąć osłabienia naszej pozycji moralnej wobec narodu francuskiego i kojarzenia nas w myśli z tamtejszym rządem. Kontakty pośrednie i dyskretne. Obecnie należy raczej podkreślać, że Vichy jest pozbawione wolności i autorytetu, niż podkreślać jego nielegalny charakter, który jest już faktem notorycznym. Obecnie nie napadać na Pétain. Podwoić energię, jeżeli wyczekująca pozycja Vichy zagrażałaby możliwościom obrony Imperium.

6. *Komandor d'Argenlieu:*

Należy w dalszym ciągu wykluczyć wszelkie stosunki oficjalne z Vichy. Powinniśmy wskazywać, że rząd winny zawarcia zawieszenia broni ponosi odpowiedzialność za jego następstwa i stracił wszelkie znamiona władzy państwowej. Unikać publicznego atakowania osoby marszałka Pétaina.

7. *Pułkownik Leclerc:*

Odpowiedź identyczna z odpowiedzią generalnego gubernatora Éboué.

Wynik ogólny:

Szereg członków Rady wypowiada się za nieoficjalnymi stosunkami z niektórymi członkami rządu Vichy oraz niektórymi czołowymi dowódcami wojskowymi lub gubernatorami i osobami ich otoczenia. Dominującą jednak nutą jest ostrożność: kontakty i stosunki o charakterze nieoficjalnym. Jednomyślny pogląd, że należy w dalszym ciągu nie uznawać władzy Vichy, jednakże bez polemicznych wypadów osobiście przeciwko marszałkowi Pétainowi.

II. Streszczenie odpowiedzi na drugie pytanie: jak ustosunkować się do rządu Vichy, jeżeli przeniesie on swą siedzibę do Afryki proklamując neutralność.

1. *Generał Catroux:*

Należałoby wtedy zacieśnić kontakty, lecz nie uznać rządu jako legalnej władzy, dopóki nie chwyci za broń. Wolna Francja nie może zaprzestać walki. Jej wierność wobec Wielkiej Brytanii w toczącej się wojnie jest ekwiwalentem zobowiązań zaciągniętych przez Churchilla.

2. *Admirał Muselier:*

Starać się wtedy nawiązać kontakt z tym rządem, lecz nie uznać jego władzy, gdyż przestrzeganie neutralności poza zasięgiem przeciwnika byłoby jeszcze haniebniejsze i jeszcze bardziej niewybaczalne.

3. *Generał de Larminat:*

Możliwe byłoby rozszerzenie stosunków jednakże bez zmiany stanowiska w sprawie nielegalności władzy odmawiającej kontynuowania wojny.

4. *Gubernator generalny Éboué:*

Odpowiedź jak wyżej.

5. *Generał-lekarz Sicé:*

Nie uznać władzy rządu, który nawet nie znajdując się pod kontrolą przeciwnika zachowywałby nadal neutralność. Utrzymywać pewne stosunki ograniczone do ogólnych celów związanych z przyszłością.

6. *Profesor Cassin:*

Wznowić nieoficjalne kontakty nie przerywając walki wolnych francuskich sił zbrojnych i bez uznania *de jure* i *de facto* rządu oraz bez jakiegokolwiek osłabienia Wolnej Francji. Wystrzegać się, by nie stać się narzędziem niemoralnej transakcji, w której rząd uzależniłby wznowienie działań wojennych od uznania legalności Vichy, jego poprzednich aktów i jego wyłącznego prawa do kierowniczej roli.

7. *Komandor d'Argenlieu:*

Stanowisko bez zmian. Kontynuowanie lub rozszerzenie nieoficjalnych stosunków.

8. *Pułkownik Leclerc:*

Odpowiedź identyczna z odpowiedzią gubernatora generalnego Éboué.

Wynik ogólny:

Pełna jednomyślność, że w razie tej drugiej ewentualności należy nawiązać lub rozszerzyć stosunki nieoficjalne, lecz pod żadnym pozorem nie uznać władzy rządu zachowującego neutralność.

III. Streszczenie odpowiedzi na trzecie pytanie: jak ustosunkować się do rządu Vichy, gdyby przeniósł on swą siedzibę do Afryki w celu wznowienia działań wojennych.

1. *Generał Catroux:*

Należałoby wyrazić gotowość uznania go, przekazania mu naszych terytoriów i walczenia w jego armiach pod jedynym warun-

kiem przywrócenia naszych praw i pozycji, jednakże nie zobowiązując się do zaaprobowania po wojnie jego aktów w dziedzinie polityki zagranicznej i wewnętrznej. W razie gdyby tego warunku nie przyjął, sojusz lub unia z tym rządem pozwoliłyby nam zachować kolonie, które się do nas przyłączyły.

2. *Admirał Muselier:*

Przyłączyć się do tego rządu pod jednym warunkiem w dziedzinie polityki zagranicznej, a mianowicie: kontynuowanie wojny. W dziedzinie polityki wewnętrznej połączenie terytoriów francuskich nie nastąpi natychmiast. Wolni Francuzi powinni być przywrócenie w swych prawach, natomiast sprawa reżimu nie może być postawiona od razu przed rządem, który będzie kontynuował walkę. Szef Wolnych Francuzów winien zająć jedno z czołowych miejsc w rządzie. Należy już obecnie zapewnić sobie pomoc Anglii dla tych, którzy wznowią walkę.

3. *Generał de Larminat:*

Należałoby przyłączyć się do rządu wyrażającego wolę kontynuowania wojny w sojuszu z Wielką Brytanią i gwarantującego wykonanie wszystkich środków przedsięwziętych przez Wolną Francję. Podstawą tej unii powinno być uznanie pewnej autonomii obecnej Wolnej Francji. Szef Wolnych Francuzów powinien zająć przodujące miejsce w rządzie.

4. *Gubernator generalny Éboué:*

Przyłączyć się do tego rządu na następujących warunkach: w dziedzinie spraw zagranicznych — wznowienie sojuszu z Wielką Brytanią i wojna totalna, w dziedzinie polityki wewnętrznej — generał de Gaulle zostaje głową państwa. Uchylenie wszystkich zarządzeń przeciwko Wolnym Francuzom. Odsuniecie od działalności osób, które z własnej inicjatywy występowały przeciwko interesom Francji. Sankcje karne przeciwko osobom, które paktowały z wrogiem. Rewizja prerogatyw przyznanych przez Vichy niektórym urzędnikom i wojskowym.

5. *Generał-lekarz Sicé:*

W dziedzinie spraw zagranicznych: wojna totalna po stronie aliantów; zobowiązanie się do niezawierania odrębnego pokoju; przywrócenie sytuacji w Indochinach; współpraca na równych prawach z sojusznikami. W dziedzinie spraw wewnętrznych: aresztowanie zdrajców i kolaborantów. Generał de Gaulle winien stanąć na czele rządu.

6. *Profesor Cassin:*

Konieczne jest jednolite kierownictwo wojny. Należy przede wszystkim dążyć do fuzji, której najważniejszą rękojmią jest objęcie przez generała de Gaulle'a czołowego stanowiska i wykorzystania-

nie jego współpracowników. W dziedzinie spraw zagranicznych: wznowienie wojny totalnej po stronie aliantów i ratyfikacja wszystkich układów zawartych przez Wolną Francję z sojusznikami. W dziedzinie spraw wewnętrznych: utrzymanie w mocy wszystkich środków przedsięwziętych przez Wolną Francję i uchylenie środków przedsięwziętych przeciw Wolnym Francuzom.

Rząd winien reprezentować całość sił narodowych walczących o wyzwolenie. Podobnie jak generał de Gaulle rząd winien zobowiązać się do zdania przed narodem rachunku ze swej działalności i do pozostawienia narodowi swobody decydowania o swym losie. Winien on odsunąć przyjaciół wroga i uchylić najbardziej niesprawiedliwe zarządzenia przeciwko obywatelom francuskim inspirowane przez przedstawicieli ustroju totalitarnego.

W razie gdyby fuzja rządu Vichy i Wolnej Francji okazała się niemożliwa, należy zastosować formułę „sojusz” przy zachowaniu pewnej autonomii.

7. Komandor d'Argenlieu:

Konieczne są gwarancje lojalnego wznowienia wojny po stronie aliantów, wykluczające możliwość jakiegokolwiek nowego manewru (separatystyczne zawieszenie broni lub pokój). W początkowym okresie współpraca powinna być ostrożna. Sojusz zapewniłby autonomiczne istnienie Wolnej Francji i ruchu podjętego przez najlepszą część społeczeństwa.

8. Pułkownik Leclerc:

Warunki wewnętrzne: generał de Gaulle powinien zająć kierownicze stanowisko w rządzie. Odsunąć od udziału w rządzie wszystkich ludzi, którzy w wyniku swej polityki przedwojennej ponoszą odpowiedzialność za klęskę lub od czasu zawieszenia broni występowali za polityką kolaboracji. Rozwiązać wszystkie partie polityczne. Przrzec utrzymanie w mocy pewnych pożytecznych zarządzeń marszałka Pétaina, w szczególności zarządzeń wzmacniających władzę centralną i broniących interesów rodziny.

Warunki zewnętrzne: wznowienie sojuszu z Anglią; określenie celów wojny z Niemcami, które przez zmiany terytorialne i niezbędną kontrolę powinny być pozbawione możliwości stania się znowu wielkim mocarstwem.

Wynik ogólny:

Wszyscy są zgodni co do tego, że ruch „Wolna Francja” winien by przyłączyć się do rządu kontynuującego wojnę, w którym szef naszego ruchu odgrywałby czołową rolę. Rząd ten wznowiłby sojusz, ratyfikował akty dokonane przez Wolną Francję itd.

Wszyscy są również zgodni co do tego, że nie można dopuścić, aby ruch „Wolna Francja” roztopił się i stracił na przyszłość swą dynamikę.

Istnieją pewne rozbieżności poglądów co do sposobu osiągnięcia tych celów. Jedni występują za sojuszem pozostawiającym Wolnej Francji pewną autonomię. Inni są zdania, że należałoby od razu założyć podwaliny zjednoczenia, przy czym Wolna Francja wniosłaby swą reputację i swego ducha do dzieła mobilizacji wszystkich sił narodu przeciwko wrogowi. Sojusz wysuwany jest alternatywnie w razie niemożności zjednoczenia.

*Telegram konsula angielskiego w Damaszku do Foreign Office
zakomunikowany generałowi de Gaulle'owi w Londynie*

Damaszek, 1 lutego 1941 r.

I. Von Hintig i Roser przybyli do Damaszku 28 stycznia i wyjechali stąd 30 stycznia do Alepu przez Homs, a dalej prawdopodobnie przez Palmirę i Deir-Ez-Zor.

II. Rzekomym celem wizyty jest omówienie spraw handlowych. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że ma ona także inne cele, a mianowicie: złożenie sprawozdania w Berlinie o ogólnej sytuacji na tym terenie i o stosunkach angielsko-francuskich; nawiązanie kontaktu z nacjonalistami; rozpoczęcie kampanii propagandowej przeciwko Wielkiej Brytanii.

III. Von Hintig i Roser spotkali się z Szukrim, Kuatlim, Nakibem Azmehem Adibem i innymi nacjonalistami. Wymienieni wyżej nacjonaści są zaciekłymi stronnikami buntowników w Palestynie. Obaj Niemcy widzieli się także z innymi Syryjczykami, żonatymi z Niemkami, i z różnymi znanymi germanofilami, w szczególności z Sadim Kailanim. Noc spędzili w jego posiadłości podmiejskiej, gdzie odwiedziły ich różne nieznane osoby. Komunikowali się kilkakrotnie z członkami włoskiej komisji do spraw rozbrowienia, m. in. z byłym konsulem włoskim.

Władze francuskie bacznie śledziły wszystkie ich kroki.

Wizyta ta wywołała poruszenie wśród Syryjczyków. Pozycja Niemiec ulega wzmocnieniu.

*Telegram delegata Wolnej Francji w Stanach Zjednoczonych
Garreau-Dombasle'a do generała de Gaulle'a w Londynie*

Nowy Jork, 6 lutego 1941 r.

Po ostatecznej kapitulacji Indochin Waszyngton zaczyna teraz lepiej uprzytamniać sobie, że Niemcy za pośrednictwem Japonii-

czyków wykorzystają w celu wtargnięcia do Singapuru bazy położone w indochińskiej części cieśniny Malakka, podobnie jak wykorzystują bazy na francuskim wybrzeżu kanału La Manche. Oficjalne koła amerykańskie są bardzo zakłopotane wytworzoną przez to sytuacją. Zdaje się, że dotąd nie zajęły jeszcze określonego stanowiska. Dla Stanów Zjednoczonych byłoby rzeczą logiczną wyrzucić silną presję dyplomatyczną zarówno na Japonię, jak na Syjam i podkreślić, że Stany Zjednoczone są zdecydowane nie dopuścić pod żadnym pozorem do wykorzystania baz syjamskich i indochińskich przez japońskie samoloty i okręty wojenne... Jest to zdaje się ostatnia możliwość udaremnienia lub opóźnienia definitywnego usadowienia się sił japońskich w Indochinach.

*Telegram generała de Gaulle'a do Garreau-Dombasle'a
delegata Wolnej Francji w Stanach Zjednoczonych*

Londyn, 13 lutego 1941 r.

Jak panu wskazywałem w jednej z poprzednich depesz, polityka amerykańska na Dalekim Wschodzie w ciągu ostatnich lat niezmiennie polegała na tym, by nakłaniać Anglię i Francję do przejawiania stanowczości wobec Japonii, podczas gdy Stany Zjednoczone uchylały się od dzielenia związane z tym ryzyka.

To, co obecnie dzieje się w Indochinach, jest tylko jeszcze jednym następstwem tej polityki.

Jeżeli chodzi o nas, o Wolną Francję, to oczywiście nigdy nie uznamy żadnej zmiany dokonanej w Indochinach pod groźbą japońską. Obecnie jednak musimy w naszej polityce kierować się troską o to, aby nie zwiększać niebezpieczeństwa zagrażającego Nowej Kaledonii i Tahiti.

Działając w pełnym porozumieniu z władzami angielskimi usiłujemy ograniczyć eksport rudy żelaznej do Japonii i przerwać sprzedaż niklu wznowioną po zawieszeniu broni.

Nasze wysiłki w tym kierunku powodują już obecnie protesty Japonii, co może nas postawić bezpośrednio w obliczu trudnych problemów obrony Nowej Kaledonii i Tahiti.

Sądzę, że w obecnej sytuacji możemy właśnie w Londynie, w bezpośrednim kontakcie z rządem angielskim, a w razie potrzeby z przedstawicielami Australii i Indii holenderskich, najlepiej uzgadniać naszą politykę w obszarze Pacyfiku.

Komunikat Wolnej Francji

Londyn, 22 lutego 1941 r.

W imieniu Wolnych Francuzów generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego oświadczają, co następuje:

1. Chwilowe nieszczęścia Francji nie mogą w żadnym razie usprawiedliwić jakichkolwiek zamachów ze strony obcych mocarstw na integralność terytorialną Imperium Francuskiego lub na prawa Francji w jakimkolwiek rejonie świata.

2. Wszelkie wyrzeczenie się całości terytorialnej albo wspomnianych praw przez rząd Vichy lub jego przedstawicieli uważane będzie przez Radę Obrony Imperium Francuskiego za niebyłe i pozbawione skutków prawnych.

3. Niniejsza deklaracja odnosi się także do konkretnego wypadku Indochin.

Rada Obrony Imperium Francuskiego nie kwestionuje bynajmniej pożyteczności układów mających na celu pogodzenie interesów francuskich Indochin z interesami obcych mocarstw. Jednakże Wolna Francja nie może uznać za prawomocne i ostateczne jakichkolwiek ustępstw wydartych przy użyciu siły lub gróźb, ani dokonanych w tejże drodze zamachów na status terytorialny i polityczny Indochin istniejący do dnia 23 czerwca, daty wejścia w życie „układów o zawieszeniu broni”.

Rada Obrony Imperium Francuskiego oświadcza, iż aprobuje z góry postawę Indochin przeciwstawiającą się tym naruszeniom.

*Telegram generała de Larminat, wysokiego komisarza w
Brazzaville, do generała de Gaulle'a w Londynie*

Brazzaville, 2 marca 1941 r.

Donoszę, że 1 marca o godzinie 9 rano Kufra skapitulowała. Jest to pierwsza placówka nieprzyjaciela zdobyta przez wojska francuskie, pierwszy krok na drodze do zwycięstwa. Niech żyje Francja!

List pułkownika Leclerca do generała de Gaulle'a

Fort Lamy, 13 marca 1941 r.

Generale!

Powracając z Kufry śpieszę podziękować Panu za telegram, który mnie głęboko wzruszył, i za przyznany mi Krzyż Wyzwolenia. Nie trzeba było aż tylu nagród, gdyż zapewniani Pana, że otrzymałem już hojną zapłatę za trudy widząc, jak w obecności naszego do głębi wzruszonego małego korpusu ekspedycyjnego flaga francuska podnosi się na wielkim maszcie fortu Tadz. Załączam szczegółowe sprawozdanie z ekspedycji oraz raport dotyczący najważniejszych nauk, jakie należy z niej wyciągnąć.

...W naszej ekspedycji wszystko było pasjonujące: najpierw to żeglowanie po Saharze, z szeroko rozciągniętymi plutonami samochodowymi, kierującymi się kompasem jak okręty. Potem, odległości, które praktycznie biorąc zrywały wszelką łączność z tyłami i zakazywały niepowodzenia. Następnie spotkania z kompanią Sahary znacznie przewyższającą nas uzbrojeniem, a jednak pokonaną, bo nie stosowała manewru. Wreszcie oblężenie sześcioma drużynami dobrze umocnionego fortu i związane z tym liczne problemy taktyczne... i moralne.

...A teraz parę słów o przyszłości. Gdyby Anglicy kontynuowali swą ofensywę w kierunku Trypolisu, podjąłbym działania na Fezzan nawet zmęczonymi niewystarczającymi siłami. Ale skoro się zatrzymali, nie mogę sam jeden wystąpić z moimi obecnymi środkami: Włosi w Fezzanie są bardzo silni i dobrze uzbrojeni i mogą szybko przerzucić tam swe odwody.

Natomiast rozpocząłem oczywiście przygotowania do następnego działania, zachowując, rzecz jasna, jak najściślejszą tajemnicę. Byłoby bardzo pożądane, aby mnie zasilono europejskimi podoficerami, o co zwróciłem się już do generała de Larminat. Jeżeli to jest niemożliwe, obędę się i bez tego. Natomiast otrzymanie sprzętu samochodowego to warunek *sine qua non*: Generał zna już moją prośbę. Będziemy wytrwale pracować, aby stworzyć piękny oddział zmotoryzowany.

Domyśla się Pan, Generale, że wszystko to nie osłabiło morale wojsk Czadu. Doświadczenie raz jeszcze dowiodło, że zwycięża ten, kto umie przetrzymać... Vichy tego nie potrafiło.

WSCHÓD

Telegram generała de Gaulle'a do Winstona Churchilla w Londynie

Freetown, 21 września 1940 r.

Muszę zaprotestować przeciwko sposobowi postępowania rządu angielskiego, który wysłał generała Catroux do Egiptu bez uzyskania uprzednio mojej zgody na to. Uważam, że ten sposób postępowania narusza zobowiązania zaciągnięte przez rząd angielski i przeze mnie, których ja ze swej strony całkowicie przestrzegam i nadal zamierzam przestrzegać.

Z drugiej strony stworzony przez to został pewien rozdźwięk. Generał Catroux jest niewątpliwie osobistością ze wszech miar powołaną do tego, aby reprezentować Francję na Wschodzie i gdybym był we właściwym czasie poinformowany o sytuacji w Syrii, bez wahania poprosiłbym go, aby się tam udał. Jednakże mimo iż przebywam tu od 16 września i że od tego czasu mógłbym otrzymywać pańskie informacje i propozycje, nie byłem o niczym powiadomiony i zostaję obecnie postawiony przed faktem dokonanym.

Generał Catroux może działać na terytoriach Bliskiego Wschodu, znajdujących się pod mandatem Francji, jedynie jako przedstawiciel Wolnych Francuzów, których jestem, uznanym zresztą przez rząd angielski, szefem. Może on działać tam tylko na mocy otrzymanego ode mnie polecenia. Gdyby miało być inaczej, musiałbym zdezwuować wszelkie jego kroki. Liczę na to, że zostanę w możliwie najkrótszym czasie poinformowany o środkach, jakie rząd angielski zamierza przedsięwziąć w związku z niniejszymi uwagami.

Po to, aby Wolna Francja mogła w tej wojnie u boku swych

sojuszników stopniowo podźwignąć się z upadku, jest rzeczą nieodzowną, alby rząd angielski pomagał jej w skupianiu swych wysiłków, natomiast unikał przyczyniania się do ich rozpraszania.

*Telegram Winstona Churchilla
do generała de Gaulle'a na morzu przed Dakarem*

Londyn, 22 września 1940 r.

Ze wszystkich stron domagano się przyjazdu generała Catroux do Syrii. Wziąłem więc na swoją odpowiedzialność zwrócenie się, w pańskim imieniu, do generała, aby się tam udał. Jest oczywiście uzgodnione, że swe stanowisko otrzymuje on od pana, co mu raz jeszcze podkreślą.

Niekiedy trzeba podejmować z miejsca niecierpiące zwłoki decyzje, ponieważ trudno je wyjaśnić tym, którzy znajdują się daleko. Jeżeli pan sobie tego życzy, można ją jeszcze odwołać, sądzę jednak, że byłoby to mało rozsądne.

Życzę powodzenia w jutrzejszym rannym przedsięwzięciu.

Telegram generała de Gaulle'a do generała Catroux w Kairze

Na morzu, 22 września 1940 r.

Aprobuje pański wyjazd na Bliski Wschód, gdzie może się pan w ogromnym stopniu przyczynić do sukcesu naszych poczynań. Musiałem zaprotestować wobec rządu brytyjskiego przeciwko jego sposobowi postępowania w tej sprawie. Moja reakcja jednak nie dotyczyła pańskiej osoby. Żywię do pana tyleż zaufania, ile przyjaźni i szacunku. Jest pan zresztą jak najbardziej powołany do tego, aby wziąć w ręce nasze sprawy na Wschodzie.

*Telegram generała Catroux
do generała de Gaulle'a w Brazzaville*

Kair, 3 listopada 1940 r.

1. Problem Syrii wymaga dużej cierpliwości. Nie brak tu ludzi sprzyjających naszemu ruchowi; surowe środki przedsięwzięte przez pułkownika Bourget nie tylko nie zniechęciły naszych stron-

ników, lecz przeciwnie, dodały im nowych sił i skłoniły do zachowania większej ostrożności. Jeżeli jednak chodzi o resztę, to jej świadomość wydaje się uśpiona: nie przyświeca im już żaden ideał; nie mając już przywódcy stracili oni ochotę do wszelkich wysiłków i pogodzili się z klęską.

2. Potrzebny jest silny wstrząs moralny, aby ich wyrwać z tej głębokiej apatii dającej się zauważyć zwłaszcza u ludzi starszych. W ciągu ostatnich dni miałem nadzieję, że zdołam spowodować tego rodzaju wstrząs posługując się jako bronią propagandową przyjętymi podobno przez Vichy warunkami pokoju. Ale teraz Vichy zdementowało te wiadomości, a generał Weygand oświadczył, że rząd, na którego czele stoi Pétain, nie przyjął i nie przyjmie warunków pokoju sprzecznych z honorem i interesami Francji oraz z zasadami, na których straży został postawiony. Wprawdzie ogłoszone jednocześnie oświadczenia złożone rzekomo przez Laval'a osłabiają tę deklarację Weyganda, ale uważam, że powinienem zachować powściągliwość, dopóki stanowisko Vichy nie będzie jasno określone. Wobec tych sprzecznych deklaracji odnoszę wrażenie, że albo w łonie rządu Vichy istnieje głęboki rozdźwięk, albo wszystko to jest tylko ukartowanym manewrem mającym uśpić czujność opinii publicznej.

3. Z powodów wymienionych w poprzednim punkcie odkładałam więc na później moje osobiste wystąpienie w tej sprawie i kontynuuję energicznie naszą propagandę, jednakże anonimowo.

4. Jeżeli chodzi o dalsze kroki, to pragnę wyraźnie stwierdzić, że nie zawaham się uchwycić władzy w Syrii, skoro tylko będę pewny, iż mam za sobą dwie trzecie armii i większość lotnictwa. Operacja ta zostałaby przeprowadzona bez pomocy wojsk angielskich, której należy uniknąć ze względów psychologicznych. Jeżeli nie wystąpię w Syrii, postaram się przyłączyć do naszego ruchu jak największą liczbę jednostek wojskowych. Można by ich potem użyć do ewentualnych operacji, o których wspominam poniżej.

5. Gdyby armia Bliskiego Wschodu miała być złamana, wówczas dla Wielkiej Brytanii i Turcji wyłonić może się konieczność zajęcia Syrii. Wojska nasze wzięłyby wtedy udział w operacjach jako oddziały sojusznicze.

6. Wyłożyłem powyższy plan działania Edenowi i zainteresowanym władzom angielskim i uzyskałem ich zgodę.

Telegram generała de Gaulle'a do generała Catroux w Kairze

Brazzawille, 6 listopada 1940 r.

I. Otrzymałem pański telegram z 3 listopada. Korzystam ze sposobności, by raz jeszcze powtórzyć panu, że całkowicie aprobuje pański plan i pańskie poczynania. Gdyby wydarzenia potoczyły się w szybkim tempie i zmusiły Anglików i Turków do zajęcia Syrii, wówczas z punktu widzenia wyższego interesu narodowego byłoby absolutnie nieodzowne, żeby w tej operacji uczestniczył, choćby tylko symbolicznie, oddział sił zbrojnych Wolnej Francji. W tym wypadku uzna pan niewątpliwie za stosowne wziąć osobiście udział w operacji, tak aby związane z nią było nazwisko wybitnego francuskiego wojskowego. Z drugiej strony pan lepiej niż ktokolwiek inny rozumie, że wkroczenie Anglików i Turków do Syrii poważnie skomplikowałoby sprawy na przyszłość. Byłoby nieporównanie lepiej, gdyby w operacji — jeżeli to tylko będzie możliwe — wzięli udział jedynie Anglicy i Francuzi.

II. Jeżeli chodzi o Weyganda, to, moim zdaniem, rząd Vichy powierzając mu zadanie w Afryce miał przed sobą trzy cele: po pierwsze, skłonić Niemców i Włochów do większego umiarkowania przez wskazywanie im na możliwość wybuchu inspirowanej przez Weyganda rewolty w Afryce; po drugie, doprowadzić stopniowo armię i ludność Afryki do oswojenia się z myślą o ewentualnym wkroczeniu przeciwnika, na które Pétain i Laval z pewnością wyrażą zgodę; wreszcie, po trzecie, zwrócić oburzenie wojsk afrykańskich, a także ich gotowość aktywnego wystąpienia, przeciwko Wolnej Francji. Weygand jest zresztą za stary, nazbyt przeciwny wszelkiemu ryzyku i zanadto skompromitowany przez swą klęskę i zawieszenie broni, aby mógł zdobyć się na zajęcie katerycznego stanowiska i na zerwanie z Vichy. Ponadto wszystkie główne bazy morskie znajdują się w ręku marynarki wojennej, ślepo posłusznej Darlanowi, który niewątpliwie jest zdecydowany prowadzić grę wspólnie z Pétainem i Lavalem. Już samo to wystarczyłoby do zastraszenia Weyganda i Noguèsa. W każdym razie, skoro tylko będzie można lepiej zorientować się w sytuacji, zamierzam przyprzeć publicznie Weyganda do muru.

III. Czy mógłby pan doprowadzić do skutku wysłanie naszego oddziału do Grecji, który by wziął tam udział w walkach i wcielił w swe szeregi pewną liczbę francuskich ochotników znajdujących się w Grecji i Jugosławii? Miałoby to duże znaczenie, zwłaszcza gdyby przeprowadzone było prędko.

IV. Jestem w dalszym ciągu zdecydowany wysłać generałowi Wavellowi brygadę, którą mu zapowiedziałem. Wojska te jednak wyruszą na Wschód nieco później, niż przewidywałem, a to w związku z pewnymi działaniami w Gabonie, które pragnę doprowadzić do końca. Zajęcie miejscowości Mitzic, N'Dzole i Lambarene wykonano zostało wspaniale. Wolną Francuska Afrykę Równikową, Kamerun i Czad mocno trzymamy w naszym ręku. Stopniowo, kładąc kamień po kamieniu, zbudujemy nasz gmach.

*List generała Catroux
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Kair, 8 grudnia 1940 r.

Syria to gorzki owoc, który wciąż jeszcze nie chce dojrzeć. Obawiam się, że nie zawładniemy nią inaczej niż siłą. Mamy tam stronników i podtrzymujemy ich cierpliwość i gorliwość, ale nie mamy nikogo, kto by mógł stanąć na ich czele, nie mamy siły napędowej.

Trzeba czekać. Jest jednak jasne, że gdyby Syria znalazła się w rękach przeciwnika, musielibyśmy wkroczyć w jej granice z naszym batalionem egipskim, dyspozycyjnymi siłami angielskimi, przy poparciu powstania od wewnątrz.

Próbowałem skomunikować się z Weygandem. Napisałem do niego przed miesiącem piękny(?) list, w którym nakreśliłem mu różne aspekty sytuacji strategicznej, wykazując, jaką ogromną rolę mógłby w niej odegrać. Ponowiłem te starania wysyłając do niego emisariusza z memorandum. Jeszcze nie mam odpowiedzi. Moje nadzieje są znikome. Obawiam się, że będzie nadal trwał w bezczynności i kroczył błędną drogą.

Tafcie same stanowisko zajmuje admirał Godfroy. Ludzie ci łudzą się nadzieją, że Francja bez walki doczeka się pokoju i odrodzenia. Są albo naiwni, albo nieuczciwi.

*Telegram generała Catroux
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Kair, 13 grudnia 1940 r.

1. Ostatnio zaproponowałem Puaux i generałowi Arlabosse, tak jak poprzednio generałowi Weygandowi, żeby skorzystali z okazji nadarzającej się w basenie Morza Śródziemnego i chwycili znowu za broń. Przypuszczałem, że Puaux będąc teraz uwolniony od swych zobowiązań wobec Vichy ustosunkuje się bardziej pozytywnie do mojej propozycji.

2. Puaux odpowiedział, że już nie sprawuje władzy. Generał Arlabosse odpowiedział uprzejmą odmową; list swój napisał w porozumieniu z Puaux i generałem Fougère. Jako motywy odmowy podał rozczarowanie spowodowane klęską Francji, stanowisko Anglików podczas kampanii francuskiej i po zawieszeniu broni oraz swoje zaufanie do Pétaina. Uważa on, że w Syrii nie zagraża Francji żadne wewnętrzne lub zewnętrzne niebezpieczeństwo, i oświadczył, że Syrii będzie się bronić przeciwko wszelkiemu agresorowi, nie wyłączając Anglików. Zdaniem jego najlepszym stanowiskiem, jakie możemy zająć, to trzymać się na uboczu od walki, podczas gdy państwa walczące będą wzajemnie wyczerpywać swe siły.

3. To żałosne rozumowanie odzwierciedla opinię wszystkich wyższych oficerów. Jedynie oficerowie niższych stopni i niektórzy podoficerowie zachowali ducha bojowego. Jak z tego wynika, nie możemy na razie liczyć na wojska francuskie w Syrii.

4. Rządy generała Dentza mogą tylko wpłynąć na dalsze umocnienie się tej mentalności. Dentz służył w Syrii kolejno z tą samą gorliwością pod dowódcami tak różnego pokroju, jak generał Weygand i generał Sarraill. Będzie on konsekwentnie wcielał w życie politykę Vichy.

Z tego, co zostało wyżej powiedziane, wynika, że na razie sprawa Syrii może być rozwiązana jedynie siłą, co nie jest ani możliwe, ani pożądane i prawdopodobnie przed wiosną przyszłego roku ogólna sytuacja nas do tego nie zmusi. Gdyby jednak konieczność tych działań wyłoniła się obecnie, powinny by one być przedsięwzięte przez Francuzów i Anglików...

*Telegram generała Catroux
do generała de Gaulle'a w Londynie*

Kair, 7 stycznia 1941 r.

1. W swych pierwszych deklaracjach złożonych w Bejrucie generał Dentz oświadczył, że Francja jest zdecydowana kontynuować swą misję w krajach Lewantu i stać na straży interesów ekonomicznych Syrii. Podkreślił on ze szczególnym naciskiem, że dobrobyt i bezpieczeństwo ludności mogą być zapewnione tylko pod warunkiem, iż uniknie się wojny i że on, Dentz, poświęci się temu zadaniu. Z tych pierwszych deklaracji jasno wynika, że opracowuje się obecnie projekty współpracy politycznej i ekonomicznej.

2. Daje to więc i nam z kolei okazję do publicznego oświadczenia, jak zamierzamy rozwiązać problem syryjski, i to przede wszystkim w płaszczyźnie politycznej. Osobiście uważam, że Francja tylko wtedy zdoła utrzymać się w Lewancie, jeżeli oprze swe stosunki z Syrią i Libanem na przyznaniu tym krajom niepodległości politycznej i na zawarciu z nimi traktatów sojuszniczych. Nie omieszkałbym ogłosić za pańską zgodą odpowiedniej deklaracji, gdyby nie powstrzymywały mnie od tego następujące względy.

3. Tego rodzaju deklaracja polityczna przeciągnęłaby na naszą stronę większość ludności, ale niechybnie wywołałaby w krajach Lewantu podniecenie, a być może nawet i zamieszki, których nie bylibyśmy w stanie ani uśmierzyć, ani skierować w odpowiednie łożysko, a przeciw którym wystąpiłaby armia i władze, co mogłyby wyzyskać państwa Osi i Turcja. Prócz tego generał Wavell obawia się, że podczas gdy wojska są zajęte na innych teatrach działań wojennych, powstać może na granicy Palestyny sytuacja, która zmusi go do wycofania pewnej części wojsk z frontów bojowych.

4. Powyższe okoliczności skłoniły mnie do odroczenia wspomnianej deklaracji do czasu powstania bardziej pomyślnej sytuacji.

Telegram generała de Gaulle'a do generała Catroux w Kairze

Londyn, 25 stycznia 1941 r.

Nowy kontyngent rezerwistów ma być niezwłocznie odesłany z Syrii do Francji na statku „Providence”.

Zważywszy, że władze w Syrii, jak same się do tego przyznają, przeprowadziły już na poprzednio wysłanych statkach repatriację znacznej liczby oficerów i żołnierzy sympatyzujących z Wolną Francją, rząd angielski zamierza zażądać, aby statek „Providence” najpierw skierowany został do portu w Hajfie celem uzyskania zezwolenia na kontynuowanie drogi do Marsylii. W tym przypadku byłoby nieodzowne, aby w momencie przybycia „Providence” któryś z naszych oficerów znajdował się w Hajfie i wspólnie z władzami brytyjskimi upewnił się, czy nie znajduje się na nim żaden z naszych stronników repatriowany wbrew swej woli.

Telegram generała de Gaulle'a do generała Catroux w Kairze

Londyn, 30 stycznia 1941 r.

Otrzymałem pański telegram dotyczący kontaktów z generałem Weygandem.

Pańskie informacje uzupełniają i potwierdzają wiadomości otrzymane z innych źródeł. Jest jasne, że Weygand obecnie inaczej zapatruje się na sytuację, niż zapatrywał się na nią w czerwcu. Jest również rzeczą stwierdzoną, że jego otoczenie wpływa na niego we właściwym kierunku. Wiemy wreszcie, że zdecydowanie wrogie stosunki osobiste między Darlanem i Weygandem przyczyniają się do tego, by kierować go na słuszną drogę. Jednakże doceniając w pełni wagę, jaką przedstawia ten początek ewolucji u Weyganda, nie przypisuję mu w chwili obecnej większego znaczenia praktycznego, a to z następujących powodów:

1. Jakkolwiek Weygand znajduje się w Afryce z rozkazu marszałka Pétaina i działa w porozumieniu z nim, to jednak jego sytuacja jest niepewna, albowiem Pétain, zwłaszcza dziś, nie można uważać za człowieka stałego. Przy tym Pétain, jak panu wiadomo, osobiście żywi mało sympatii do Weyganda, a sam Weygand stracił we Francji i w armii wiele ze swego prestiżu. Wystarczyłby może poważny nacisk Niemców na Vichy, aby Weygand został odwołany lub musiał uciekać.

2. Weygand ma siedemdziesiąt cztery lata. Nigdy nie lubił ryzykować. Czuje zresztą, że będąc wczoraj „człowiekiem zawieszenia broni” byłby dziś z góry zdyskredytowany jako „człowiek wojny”.

3. Gdyby nawet Weygand zdecydował się przystąpić znowu do wojny w Afryce, nie mógłby tego uczynić bez Darlana. Darlan

bowiem ma w swoim ręku porty — Casablankę, Oran i Dakar, przez które przybywałyby broń i żywność z Ameryki i Anglii. A Darlan nie chce wojny. Chce pewnego dnia zająć miejsce Pétaina, czego nie może osiągnąć bez poparcia Niemców. Trzeba dodać, że autorytet Weyganda w Afryce jest raczej teoretyczny niż realny. Maroko znajduje się pod władzą Noguèsa, który nie cierpi Weyganda. Algieria jest w ręku Abriala, w Tunisie rządzi Esteva; obaj są posłuszni Darlanowi. W Afryce Zachodniej władzę dzierży Boisson, który jest panem sytuacji w Dakarze.

Wspomnę jeszcze o półobietnicy Weyganda, iż nie zaatakuje nas w Afryce Równikowej. Sądzę zresztą, że gdyby nawet chciał to uczynić, to wojska tylko częściowo, a może i wcale, nie poszłyby za nim. Chociaż obecnie nasz plan oczywiście przewiduje skupienie naszych sił przeciw Włochom, to jednak bynajmniej nie mam zamiaru przyrzekać, że nie przedsięwzięmę niczego, aby przyłączyć do nas również i inne terytoria znajdujące się pod władzą Vichy. Nigdy nie powinniśmy dopuścić do tego, aby nas traktowano w jednej płaszczyźnie z ludźmi, którzy nie chcą walczyć za Francję. Mamy prawa i obowiązki i zawsze będziemy robili to, co uważać będziemy za stosowne, bez żadnych innych ograniczeń poza tymi, które wynikają z naszych sił i środków.

Wreszcie pragnę stwierdzić, iż zgadzam się na to, aby pan nadal kontynuował kontakty z Weygandem, które tak czy owak mogą być użyteczne. Rozumie się samo przez się, że powinny one być traktowane tylko jako kontakty osobiste i że nie pociągają za sobą żadnych zobowiązań ani dla naszego Komitetu Obrony, ani dla mnie osobiście. Niemniej jednak pragnę, aby mnie pan stale o nich informował, tak jak bardzo słusznie czynił pan to dotychczas.

*List generała de Gaulle'a
do Edena, angielskiego ministra spraw zagranicznych*

Londyn, 3 lutego 1941 r.

Drogi Panie Eden!

Generał Spears poinformował mnie, że statek „Providence” otrzymał od Rządu angielskiego zezwolenie na to, by udać się bezpośrednio z Bejrutu do Marsylii bez zawinięcia do Hajfy, jak mi to poprzednio zostało przyrzeczone.

Statek ten, jak Panu wiadomo, ma przewieźć z Syrii do Francji żołnierzy i oficerów, których część przejawiała sympatię dla sprawy aliantów i Wolnej Francji.

Jeżeli Rząd angielski istotnie powziął wspomnianą wyżej decyzję, zmuszony jestem kategorycznie przeciwko temu zaprotestować.

Zapewnienia wysokiego komisarza Vichy w Syrii, że przewóz żołnierzy i oficerów do Francji odbywa się bez żadnego uszczerbku dla moich stronników, nie stanowią wystarczającej gwarancji, tym bardziej że wszelki ruch statków Vichy może się odbywać tylko za zgodą wiesbadeńskiej komisji do spraw zawieszenia broni, tzn. w ostatecznym rachunku zgodnie z interesami naszych wspólnych wrogów.

Proszę Pana, drogi Panie Eden, przyjąć wyrazy mych najlepszych uczuć.

*List Edena, angielskiego ministra spraw zagranicznych, do
generała de Gaulle'a w Londynie*

Londyn, 6 lutego 1941 r.

Drogi Generale!

Przestudiowałem starannie treść Pańskiego listu z dnia 3 lutego w sprawie statku „Providence”.

Pragnę przede wszystkim wyjaśnić, że oczywiście nie wyraziliśmy zgody na to, aby na pokładzie tego statku odesłane były do Francji osoby sympatyzujące z Wolną Francją. Wręcz przeciwnie, uważamy, że naszym obowiązkiem jest do tego nie dopuścić. Konkretnie chodzi więc o to, czy fakt udzielenia przez generała Dentza osobistego zapewnienia, iż na statku tym znajdować się będą tylko rezerwiści, stanowi wystarczającą gwarancję.

Nie mogę więc oprzeć się wrażeniu, że Pański list polega na jakimś nieporozumieniu. Gorąco jednak pragnę zrobić wszystko, aby Pana zadowolić, chociaż nie jestem w stanie zmienić polityki, której postanowiliśmy się trzymać w danej sprawie. Na początek spróbuję uzyskać oprócz słowa wysokiego komisarza dodatkowe gwarancje.

Zatelegrafowałem więc ponownie do naszego konsula generalnego w Bejrucie z zapytaniem, czy istnieje możliwość uzyskania tych nowych gwarancji i czekam na jego odpowiedź, zanim poweźmę ostateczną decyzję.

Szczerze oddany.

*List generała de Gaulle'a
do Edena, angielskiego ministra spraw zagranicznych*

Londyn, 19 lutego 1941 r.

Panie Ministrze!

Generał Spears zawiadomił mnie, że Rząd angielski, przechodząc do porządku nad moimi uwagami, które zakomunikowałem Waszej Ekszelencji listem z 3 lutego, postanowił udzielić statkowi „Providence” zezwolenia na swobodny przejazd z Bejrutu do Marsylii.

Zmuszony jestem oświadczyć Waszej Ekszelencji, że decyzja ta może niekorzystnie wpłynąć na uczucia zaufania, z jakim Wolni Francuzi odnoszą się do poparcia Wielkiej Brytanii we wspólnie prowadzonej wojnie.

Sądzę, iż wolno mi dodać, że naród francuski, który w swej ogromnej większości aprobuje wspólne działania Imperium Brytyjskiego i Wolnej Francji, pokładając w nich całą swoją nadzieję, stwierdzi z ubolewaniem, że pewna liczba Francuzów pragnących walczyć za swój kraj została wydana na łaskę i niełaskę kolaborantów współpracujących z wrogiem albo i samego wroga, i że Rząd Wielkiej Brytanii nie przeszkodził temu, chociaż miał możliwość to uczynić.

Nie można w rzeczy samej polegać w tej sprawie na ogólnikowych zapewnieniach — których tekst zresztą nie został mi zakomunikowany — udzielonych w Bejrucie przez przedstawiciela tzw. „rządu” oficjalnie współpracującego z wrogiem i wykonującego rozkazy komisji wiesbadeńskiej.

Proszę Waszą Ekszelencję przyjąć wyrazy wysokiego poważania.

*List generała de Gaulle'a
do generała Weyganda w Algierze*

Londyn, 24 lutego 1941 r.

Generale!

Istniały między nami rozdziewięki. Ale dziś, wobec nieszczęścia, jakie spadło na Francję, trzeba brać za punkt wyjścia realną sytuację, w której się znajdujemy.

Nie można już mieć żadnych wątpliwości co do tego, dokąd prowadzi kolaboracja z Niemcami, ani co do ludzi, którzy ją uprawiają. Zwycięstwo Hitlera to koniec naszej niepodległości.

Pozostaje jeszcze kilka dni na powzięcie decyzji, dzięki której może Pan odegrać wielką rolę w historii naszego narodu. Potem będzie za późno.

Proponuję Panu, abyśmy się połączyli. Oświadczmy razem, że prowadzimy wojnę, aby wyzwolić Ojczyznę! Wezwijmy Imperium, aby wzięło w niej udział! Zna Pan nastroje w armii i wśród ludności. Wie Pan, że nasze porozumienie wzbudziłoby u wszystkich Francuzów ogromny entuzjazm i pociągnęłoby za sobą niezwłoczną pomoc aliantów.

Jeżeli Pańska odpowiedź brzmieć będzie „tak”, to proszę przyjąć zapewnienia mego szacunku.

Nota generała de Gaulle'a do W. Churchilla

Londyn, 1 marca 1941 r.

Znaczenie Francuskiej Afryki Północnej i Francuskiej Afryki Zachodniej dla wojny jest tak ogromne, że trudno je przecenić. Z punktu widzenia obrony ewentualna obecność Niemców w Bizercie, Oranie, Casablance i Dakarze stanowiłaby oczywiście poważne niebezpieczeństwo. Z punktu widzenia działań zaczepnych Francuska Afryka Północna jest najlepszą bazą wyjściową do późniejszych działań na kontynencie. Trzeba dodać, że jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone, to możliwość lub niemożliwość dysponowania tym przyczółkiem w strefie działań wojennych może mieć istotny wpływ na ich stanowisko i politykę w wojnie.

Coraz wyraźniejsze stanowisko Vichy w sensie kolaboracji z Niemcami chyba rozwiało nareszcie wszelkie iluzje co do skutecznego przeciwdziałania Vichy penetracji niemieckiej w Afryce.

Z drugiej strony stało się jasne, że obecne władze francuskie w Afryce Północnej i w Afryce Zachodniej nie wystąpią samorzutnie przeciwko wrogowi. Zresztą, jeżeli któraś z nich byłaby zdolna to uczynić, to komisja wiesbadeńska w porozumieniu z Vichy dawno by się z nią rozprawiła.

Co prawda armia oraz ludność francuska i tubylcza Afryki Północnej i Afryki Zachodniej są w przeważającej części gotowe do stawienia oporu i w szczególności przychylnie usposobione do Wolnych Francuzów. Gdyby przeciwnik spróbował dziś zagarnąć siłą te terytoria, niewątpliwie wywiązałyby się walki. Ale nie ma żadnych powodów przypuszczać, że obierze on właśnie tę drogę. Przeciwnie, należy przewidywać, że zastosuje inną metodę, która

okazała się tak skuteczna w stosunku do narodów zdradzonych przez swe rządy. Niemcy za zgodą Vichy już rozpoczęli „pokojową” penetrację w Afryce Północnej i Afryce Zachodniej. Przy pomocy demoralizacji i zastraszenia mogą oni wytworzyć nastroje tak dalece przeciwne stawieniu oporu, że później umożliwiłoby im to użycie baz morskich i lotniczych, a następnie sukcesywne objęcie pełnej kontroli nad tymi krajami.

Przekonany, iż wyrażam wolę narodu francuskiego, uciskanego przez wroga i przez kolaborantów z Vichy, jestem, jeżeli o mnie chodzi, zdecydowany działać tak, aby przeszkodzić wrogowi w wysadzeniu wojsk w Afryce Północnej i Afryce Zachodniej. Domagam się, aby akcja ta znalazła jak najwydatniejsze poparcie wszystkich państw sprzymierzonych.

Operacja polegałaby na tym, że wojska alianckie wystąpiłyby jednocześnie w wielu miejscach w Afryce Północnej i na jej tyłach w Saharze, tak aby rozdzielić siły przeciwnika w razie stawienia przez nie oporu i nawiązać możliwie najszerze przyjazne kontakty z ludnością i wojskami. Francuską Afrykę Zachodnią zajęlibyśmy się później.

Omawiana operacja wymagałaby użycia znacznych sił morskich, lotniczych i lądowych. Jeżeli chodzi o wojska lądowe, to potrzebnych byłoby siedem do ośmiu dywizji. Siły zbrojne Wolnej Francji wzięłyby w niej udział mniej więcej jedną dywizją, wszystkimi będącymi w ich dyspozycji okrętami wojennymi i trzema eskadrami lotniczymi.

Działaniom wojskowym towarzyszyłaby akcja wewnętrzna stworzonych uprzednio komitetów, które objęłyby kierownictwo w imieniu Wolnej Francji.

Byłoby nieodzowne, aby w odpowiednim momencie rządy sprzymierzone, w miarę możliwości z jednoczesną gwarancją Stanów Zjednoczonych, oświadczyły publicznie, że zobowiązują się respektować prawa Francji w jej Imperium i że Obecność alianckich sił zbrojnych na terytoriach Afryki Północnej i Afryki Zachodniej ma wyłącznie na celu nie dopuścić do nich wspólnych wrogów i przyspieszyć wyzwolenie Francji. Pożądane byłoby również rozwinięcie intensywnej akcji dyplomatycznej w celu zapewnienia sobie neutralności Hiszpanii. Przy niniejszym załączam szkic planu wojskowego powyższej operacji.

*Pismo okólne René Cassina, sekretarza Rady Obrony
Imperium,
do generała Catroux w Kairze;
do wiceadmirala Muselier w Londynie;
do generała de Larminat w Brazzaville;
do gubernatora generalnego Éboué w Brazzaville;
do generała-lekarza Sicé w Brazzaville;
do pułkownika Leclerca w Fort Lamy.*

Londyn, 3 marca 1941 r.

Generał de Gaulle pragnie znać pogląd członków Rady Obrony w sprawie stanowiska, jakie Wolna Francja powinna zająć w razie, gdyby Anglia i Turcja były zmuszone zająć siłą całość lub część terytoriów mandatowych Francji na Bliskim Wschodzie w celu zapewnienia bezpieczeństwa i ciągłości swych komunikacji w działaniach przeciwko Niemcom.

Czy w danym razie powinniśmy ogłosić protest potępiający tę akcję?

Czy powinniśmy nie sprzeciwiać się tej akcji poprzestając na zawarowaniu w formie pisemnej praw Francji na tych terytoriach?

Czy raczej powinniśmy przyłączyć się, w imieniu Francji, do tej akcji, która, jeżeli chodzi o nas, miałaby potrójny cel:

primo: przywrócenie w jednej z części Imperium Francuskiego warunków niezbędnych do wznowienia walki przeciwko wspólnym wrogom;

secundo: zabezpieczenie naszych praw przez fakt naszej obecności;

tertio: pomoc naszym sojusznikom.

Oczekujemy Pańskiej szybkiej i umotywowanej odpowiedzi.

Odpowiedź generała Catroux

Kair, 7 marca 1941 r.

Odrzucam dwa pierwsze rozwiązania. W razie powstania przewidywanej sytuacji powinniśmy znajdować się u boku Anglików zarówno w celu zabezpieczenia praw Francji do krajów Lewantu, jak i dla zmanifestowania realności naszego sojuszu.

W tym duchu, jeszcze przed Pańskim pismem, oświadczyłem Edenowi, że w przewidywanym przypadku zamierzam wyznaczyć w celu uczestniczenia w zajęciu krajów Lewantu siły zbrojne Wolnej Francji i osobiście objąć władzę mandatową. Anthony Eden wyraził zgodę na ten projekt.

Odpowiedź generała de Larminat

Brazzaville, 10 marca 1941 r.

1. Przewidywana ewentualność spowodowałaby wojnę między Anglią i Francją, a zatem interwencję floty francuskiej, i zniweczyłaby ruch Wolnej Francji. Należy więc uczynić wszystko, aby jej zapobiec drogą akcji politycznej i dyplomatycznej. Wydaje się mało prawdopodobne, aby kraje Lewantu mogły się oprzeć jednoczesnemu naciskowi Anglii i Turcji, a zarazem narazić na zamieszki wewnętrzne, jedynie z gotowości poświęcenia się dla pięknych oczu Niemiec. Ale niebezpieczeństwa związane z wojną francusko-angielską są tak groźne, że należy starannie rozważyć, w jakiej pozostają proporcji do korzyści wynikających z przyłączenia krajów Lewantu. W związku z tym należy mieć na uwadze minimalną przelotowość linii kolejowej El Kantara-Alep-Taurus, wynoszącą według przybliżonej oceny 3 transporty na dobę.

Należałoby zręcznie przeprowadzić akcję nacisku dyplomatycznego na kraje Lewantu z uwzględnieniem warunków lokalnych. Osobista interwencja generała Catroux, a być może nawet i pańska, miałyby duże znaczenie.

Jestem do pańskiej dyspozycji, gdyby Pan uważał, że moja pomoc może się przydać z racji mej znajomości stosunków lokalnych.

2. Nie możemy się przyłączyć do akcji wojskowej. Powinniśmy działać z największą energią, aby zapobiec tego rodzaju akcji i stworzyć w Syrii i Libanie warunki niezbędne do podjęcia na nowo wojny przeciw Niemcom. Gdyby akcja wojskowa miała nastąpić, wystąpienie przez nas z publicznym protestem byłoby niewłaściwe, ponieważ pozostawałoby w sprzeczności z interesami naszego sojuszu. Powinniśmy w danym razie uzyskać zapewnienie, że prawa Francji będą respektowane.

Odpowiedź generała-lekarza Sicé

Brazzaville, 11 marca 1941 r.

Jestem przeciwny wszelkiej ofensywie wojskowej prowadzonej przez Anglików i przez nas przeciw jakiegokolwiek części naszego Imperium nie okupowanej przez naszych wspólnych wrogów, o ile stacjonujące tam wojska francuskie same nas nie zaatakują.

Jednakże obecność wojsk przeciwnika w jakiegokolwiek części Imperium usprawiedliwiałaby i nakazywała podjęcie przez nas

ofensywy wojskowej; natomiast ofensywa podjęta mimo nieobecności wojsk przeciwnika spotkałaby się z potępieniem i dałaby zdrajcom w Vichy pożądany argument.

1. Powinniśmy złożyć naszym sojusznikom kategoryczną deklarację w sprawie naszych terytoriów. Jeżeli będą oni trwać w swym uporze, powinniśmy zastrzec na piśmie wszystkie prawa Francji do tych terytoriów. Odradzam publicznego protestu, byłby on aktem nieprzyjaznym.

2. Powinniśmy wywierać na wszystkich Francuzów i autochtonów w Syrii i Libanie energiczny i ciągły nacisk, uwzględniający lokalną mentalność i reakcję, aby ich przekonać, że obecna bezczynność jest zbrodnią przeciw interesom i przyszłym losom tych terytoriów i że jedynym obowiązkiem jest podjąć na nowo wraz z nami wojnę przeciwko wspólnemu wrogowi w celu złamania hegemonii niemieckiej.

Stawka jest nazbyt brzemenna w poważne następstwa, abyśmy my, Wolni Francuzi, mogli zawahać się w uruchomieniu wszelkich środków nacisku na ludność tych terytoriów.

Odpowiedź gubernatora generalnego Éboué

Brazzaville, 18 marca 1941 r.

1. Nie.

2. Nie.

3. Tak — ponieważ wspólna akcja zabezpieczyłaby prawa Francji, umożliwiłaby wznowienie walki na nowych frontach, utrzymałaby prestiż Francji na Wschodzie i mogłaby wywrzeć pomyślny wpływ na Afrykę Północną.

Akcja byłaby może niebezpieczna, ale łatwiej byłoby ją uzasadnić niż naszą bierność.

Brak mi danych, aby przewidzieć, jaką korzyść elementy pro-niemieckie w Vichy mogłyby wyciągnąć z tego rodzaju sytuacji i czy nie skorzystałyby z niej, aby rozpocząć kroki nieprzyjacielskie przeciw Wielkiej Brytanii. W związku z tą ewentualnością obowiązek każe mi polegać całkowicie na decyzji, którą poweźmie generał de Gaulle.

Odpowiedź pułkownika Leclerca

Fort Lamy, 23 marca 1941 r.

1. Żadnego protestu, konieczność wygrania wojny góruje nad wszystkim. Jednakże zajęciu krajów Lewantu towarzyszyć winna bardzo wyraźna deklaracja premiera brytyjskiego, stwierdzająca ponownie, że Wielka Brytania nie zamierza anektować żadnej części Imperium Francuskiego, oraz deklaracja generała de Gaulle'a podkreślająca, że Anglicy znaleźli się w obliczu absolutnej konieczności zajęcia — ubiegając przeciwnika — terytorium, którego Vichy nie jest w stanie obronić.

2. W żadnym razie nie powinno dojść do starcia. Nie należy przewidywać żadnej interwencji sił Wolnej Francji od zewnątrz. Natomiast należy wykorzystać w maksymalnych granicach żywiołową reakcję wewnętrzną przychylnych nam Francuzów i autochtonów celem ułatwienia zajęcia tych obszarów przez Anglików, przy czym władze brytyjskie powinny szczerze oprzeć się o te elementy, aby w przedsięwziętej akcji działać w pełnej zgodzie z zainteresowaną ludnością.

Odpowiedź profesora Cassina

Londyn, 24 marca 1941 r.

1. Nie.

2. Nie.

3. W punkcie trzecim zgadzam się z koncepcją, że powinniśmy poprzez zgodne ze sobą deklaracje i czyny utrzymać prawa Francji w krajach Lewantu. Należy jednak w miarę możliwości uniknąć materialnych niebezpieczeństw i moralnej odpowiedzialności za konflikt Zbrojny między Vichy i Anglią. Wypowiadam się więc, w porozumieniu z departamentem spraw zagranicznych, za inicjatywą zapewniającą nam bezpośrednie poparcie zainteresowanej ludności. Oprócz poprzednio wymienionych korzyści, polityka ta przedstawiałaby jeszcze i tę dodatnią stronę, że mogłaby być realizowana etapami. Pierwszy etap polegałby na złożeniu przez Pana w imieniu Rady Obrony uprzednio starannie tu opracowanej deklaracji, po której nastąpiłaby deklaracja brytyjska oraz zgłoszenie akcesu przez przywódców zainteresowanej ludności. Drugi etap stałby pod znakiem akcji zmierzającej do objęcia mandatu. Do tego etapu, uwzględniając należycie reakcję śro-

dowiska, nagromadzone środki i względy celowości, można by przystąpić bądź przed jakąkolwiek akcją sąsiadów spowodowaną atakiem niemieckim, bądź w synchronizacji z tego rodzaju akcją.

Odpowiedź wiceadmirala Muselier

Londyn, 26 marca 1941 r.

Nie sędzę, żeby Anglia i Turcja były zmuszone zająć siłą kraje Lewantu pozostające pod mandatem francuskim. Zdanie moje opieram w szczególności na tym, że pomoc Anglii może być udzielona Turcji drogą morską, przez Irak (Bassora) lub nawet, w tej porze roku, drogą lądową — z Palestyny do Bagdadu.

Zajęcie przez Turcję całości lub części tych terytoriów pociągnęłoby za sobą poważne i natychmiastowe trudności z większością miejscowej ludności. Anglia zbyt dobrze orientuje się w sytuacji, alby zgodziła się na okupację turecką.

Jeżeli wbrew mojej opinii przewidziana jest obecnie okupacja brytyjska bez uprzedniego porozumienia się z Wolną Francją, należałoby natychmiast zażądać przekazania Wolnej Francji administracji tych terytoriów z tym, że po zwycięstwie kraje te połączą się znowu ostatecznymi więzami z nową Francją, zgodnie z angielskimi przyrzeczeniami dotyczącymi integralności terytoriów francuskich.

Niemniej jednak byłoby pożądane, aby już obecnie opracować plan współdziałania z Anglią w okupacji Syrii. Operacja ta powinna by się automatycznie zakończyć utworzeniem rządu tymczasowego, pod zwierzchnią władzą szefa Wolnej Francji i z jednym z jego delegatów jako premierem.

Przed przystąpieniem do okupacji tych krajów Francja powinna by wystąpić z deklaracją o ich przyszłości politycznej. Deklaracja ta powinna by, z jednej strony, wykazać maksimum zrozumienia słusznych aspiracji różnych narodowości Syrii, z drugiej zaś energicznie bronić naszych praw.

W szczególności należało by uwypuklić fakt, że traktaty Viénot nigdy nie zostały ratyfikowane przez parlament francuski. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego w Syrii i Libanie nadal trwa reżim, mandatowy i działa statut uznany przez Ligę Narodów. Zgodnie z tym wojska okupacyjne mają jedynie za zadanie zapewnienie porządku wewnętrznego i Obronę przed zewnętrzną agresją. Jak z tego wynika, Syria i Liban nigdy nie znajdowały się w stanie wojny z Niemcami i Włochami i rząd mar-

szałka Pétaina nie miał prawa dopuścić do tych krajów komisji do spraw zawieszenia broni.

Deklaracja powinna by ze szczególnym naciskiem podkreślić te fakty. Jestem przekonany, że tego rodzaju konstruktywne stanowisko spotka się z aprobatą zarówno w Syrii i Libanie, jak i u naszych sojuszników.

Mandat zgodnie z uroczystym przyrzeczeniem powinien być uchylony i zastąpiony traktatem sojuszniczym, który ograniczyłby naszą bezpośrednią odpowiedzialność za zarządzanie krajem i zapewniłby nam prawo rozmieszczenia naszych sił lądowych, morskich i powietrznych w punktach, z których moglibyśmy skutecznie kontrolować cały obszar kraju.

Kontrola ta umożliwi nam zagwarantowanie integralności terytorium Syrii, ponieważ sami Syryjczycy na skutek rozterek politycznych i religijnych nie są w stanie stworzyć armii.

Kontrola winna zapewnić pokojowe współżycie czterech wielkich narodowości Syrii: Arabów, Libańczyków, Druzów i Alauitów, jak również różnych mniejszości wyznaniowych.

Kontrola winna zapewnić ochronę naszych praw kulturalnych i ekonomicznych w Syrii.

Aby móc sprawować tę kontrolę, Francja musi posiadać bazy wojskowe, morskie i powietrzne na wybrzeżu. Ograniczam się do wskazania, gdzie one powinny być położone:

na południu: w Libanie, w Bejrucie lub w jego pobliżu;

w centrum: w pobliżu Trypolisu, w rejonie wylotu rurociągu naftowego z Mossulu;

na północy: w Ladikiji (Latakiah).

Tereny te powinny być odstąpione Francji na przeciąg 99 lat z prawem prolongaty tego okresu, co umożliwiłoby Francji zbudowanie tam niezbędnych urządzeń administracyjnych i wojskowych.

Pod względem politycznym i administracyjnym Syria powinna być podzielona na pięć państw;

na południu — republika libańska, związana z Francją traktatem sojuszniczym;

w centrum — Syria arabska ze stolicą w Damaszku i z dostępem do morza wzdłuż linii kolejowej Homs-Trypolis; państwo to powinno być związane z Francją traktatem sojuszniczym;

terytorium Druzów na północo-zachodzie i terytorium Alauitów na północy powinny, zgodnie z niejednokrotnie wyrażonym życzeniem ich ludności, przejść znowu pod bezpośrednią władzę administracji francuskiej mającej swą siedzibę w Sueidzie i Ladikiji. Administracja ta zatwierdzałaby decyzje rad notablów, wybranych przez ludność miejscową. Później, gdy oba te kraje same

wyrażą życzenie i powezmą decyzję przejęcia całości rządów we własne ręce, ten system rządów zostałby zmieniony na wzór systemu zaprowadzonego w Libanie i w Damaszku;

to samo nastąpiłoby w Dżesireh, z Deirez-Zor jako głównym miastem, gdzie z uwagi na różne pochodzenie miejscowej ludności i na obecność uchodźców asyro-chaldejskich oraz innych mniejszości niezbędna jest bezpośrednia administracja francuska, co zresztą odpowiada obecnie życzeniu ludności.

Cała Syria byłaby połączona unią celną zapewniającą każdemu z wymienionych państw należny mu udział w korzyściach tego reżimu.

Telegram generała de Gaulle'a do W. Churchilla w Londynie

Brazzaville, 19 kwietnia 1941 r.

Po podróży na Wschód pragnę poinformować pana, iż zamierzam w miarę moich sił i możliwości rozszerzyć udział wojsk francuskich w walkach na tym teatrze działań wojennych.

Jeżeli chodzi o wojska lądowe, to oddziały małej dywizji znajdują się już na miejscu. Uzgodniłem z generałem Wavellem, że tę dywizję, którą dowodzi generał Legentilhomme, oddam do jego dyspozycji. Ma ona się zebrać w rejonie na południe od Kairu i wziąć udział pod rozkazami swego dowódcy w działaniach w Egipcie lub Libii.

Druga dywizja jest obecnie formowana w Francuskiej Afryce Równikowej i będzie gotowa we wrześniu. Nastąpi to bez uszczerbku dla okupacji tych terytoriów, w szczególności terytorium Czadu, która jest i nadal będzie należycie zapewniona.

Z drugiej strony, wojska francuskie terytorium Czadu nadal trzymają w rękę Kufrę. Grupa uderzeniowa Sahary, która opanowała Kufrę, zostaje wzmocniona w przewidywaniu dalszego rozwoju działań wojennych.

Jeżeli chodzi o siły lotnicze, to uzgodniłem z marszałkiem lotnictwa Longmore zorganizowanie na Wschodzie dwóch francuskich *flights* (kluczy) myśliwskich i dwóch *flights* bombowych. Dwa z tych *flights* biorą już udział w walkach.

Wreszcie, jeżeli chodzi o siły morskie, to przywiązuję dużą wagę do tego, aby przerzucić do wschodniej części Morza Śródziemnego większość francuskich okrętów znajdujących się obec-

nie w Anglii. Rozmawiałem w tej sprawie z admirałem Cunninghamem. Nie sądzę, by ze strony angielskiej wysunięto przeciw temu jakieś poważniejsze obiekcje.

Nawiązałem kontakty z Dżibuti: z francuskiego punktu widzenia przyłączenie Dżibuti do Wolnej Francji ma kapitalne znaczenie. Pod tym względem wszystko zależy od blokady. Trzeba jednak, aby ta blokada była realna. Z angielskiego i abisyńskiego punktu widzenia zaopatrzenie Abisynii będzie w znacznej mierze zależeć od portu i linii kolejowej Dżibuti: zawarcie w tej sprawie układu z rządem Vichy uzależniłoby zaopatrzenie Abisynii od tego rządu, czyli w końcowym efekcie od wroga. Zachodziłaby wówczas stała potencjalna groźba bitwy francusko-angielskiej w Dżibuti, którą Niemcy mogliby w każdej chwili sprowokować zmuszając Vichy do zamknięcia portu.

Jeżeli chodzi o Syrię, to tu sytuacja pogorszyła się pod kątem widzenia postawy Arabów w związku z zamieszkami arabskimi w Iraku, które niebawem mogą przerzucić się i na inne tereny. Z drugiej strony nie jest rzeczą niemożliwą, że Niemcy stworzą swe bazy w Syrii, jeżeli ich ofensywa na Wschodzie będzie tego wymagać. Nie sądzę, by polityka wszelkiego rodzaju ustępstw, w szczególności natury ekonomicznej, prowadzona przez rząd Vichy w Syrii, była dobra.

Proponuję Wavellowi, Cunninghamowi i marszałkowi Longmore plan operacji, którą przeprowadzić mają głównie siły zbrojne Wolnej Francji.

Na zakończenie pragnę panu powiedzieć, że angielskie siły zbrojne, z którymi miałem sposobność zetknąć się na Wschodzie, i ich dowództwo zrobiły na mnie doskonałe wrażenie. Również stan moralny wszystkich Wolnych Francuzów na Wschodzie, wojskowych i cywilnych, jest bardzo dobry. Bardziej niż kiedykolwiek są oni ożywieni wolą walki u boku swych angielskich sojuszników aż do zwycięskiego zakończenia wojny, jakiegokolwiek by były obecne i przyszłe jej perypetie.

*Telegram generała de Gaulle'a
do delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Brazzaville, 23 kwietnia 1941 r.

Zamierzam wystąpić z deklaracją w sprawie państw Lewantu pozostających pod mandatem francuskim. Treść tej deklaracji sprowadzałaby się w kwintesencji do tego, co następuje:

„Generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego, zgodnie z zobowiązaniami zaciągniętymi przez Francję przy ustanowieniu mandatu oraz z polityką niezmiennie potwierdzaną przez wszystkie rządy francuskie aż do 18 czerwca 1940 roku, gotowi są uznać niepodległość i suwerenność Syrii i Libanu i zawrzeć z tymi państwami sojusz polityczny i wojskowy, który by zapewnił ich obronę przed wszelką możliwą agresją, a zarazem przyczynił się do zabezpieczenia najistotniejszych interesów Francji na Wschodzie. Generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego proponują autorytatywnym przedstawicielom ludności Syrii i Libanu, alby udali się do Brazzaville, głównego miasta wolnej Afryki francuskiej, w celu omówienia z nimi obopólnych warunków sojuszu”.

Proszę was naradzić się w sprawie tego tekstu z Plevenem, admirałem Muselier, profesorem Cassinem i majorem d'Argenlieu oraz zaproponować mi ewentualne poprawki.

Proszę was ponadto:

- 1) poinformować rząd angielski o moim zamiarze;
- 2) zapytać, czy rząd angielski ze swej strony skłonny byłby publicznie potwierdzić przy tej sposobności, iż zdecydowany jest respektować wszystkie prawa Francji w krajach Lewantu.

Zwracam uwagę, że projekt deklaracji nie wspomina o traktatach 1936 roku. W rzeczy samej, obecne nastroje ludności Syrii i Libanu, a także uszczerbek poniesiony niestety przez prestiż Francji na skutek kapitulacji czerwcowej sprawiają, że wspomniane traktaty są zdezaktualizowane przez wydarzenia i utraciły swą siłę atrakcyjną.

*Telegram generała Spearsa
do generała de Gaulle'a w Brazzaville*

Kair, 9 maja 1941 r.

W związku z ostatnimi wydarzeniami przetransportowanie wojsk Wolnej Francji nie będzie możliwe przed upływem co najmniej miesiąca.

2. Oznacza to, że obecnie nie przewiduje się dla nich żadnych działań wojennych.

3. Jak mnie informują, otrzyma pan za pośrednictwem naszej misji w Brazzaville pismo zawiadamiające pana o decyzji naszego rządu w sprawie Dżibuti.

4. Ponieważ generał Cunningham zostanie upoważniony do

prowadzenia rokowań z gubernatorem Dżibuti, zażądałem, aby Legentilhomme wziął w nich udział.

5. Naczelný dowódca polecił mi zakomunikować panu, że jakkolwiek osobiście zawsze rad jest pana zobaczyć, nie widzi on obecnie i na najbliższą przyszłość konieczności pańskiego przyjazdu do Kairu. Podróż ta nawet byłaby dla pana do pewnego stopnia niepożądana. Ambasador podziela ten pogląd.

6. Ponieważ nie ma w tej chwili żadnej widocznej przyczyny dla pańskiej ponownej podróży do Kairu, nowa wizyta pana mogłaby stworzyć niepomyślną atmosferę i zmniejszyć sukces pańskiego poprzedniego pobytu.

7. Proszę pana jak najprędzej poinformować mnie o pańskich planach. Jeżeli pan nie przyjedzie do Kairu, to w najbliższym czasie przybędę do pana do Brazzaville. Sądzę, że wtedy będziemy mogli niezwłocznie powrócić do Londynu. Z uwagi na zwykłe trudności transportu lotniczego byłbym panu zobowiązany, gdyby pan zechciał, jeżeli to jest możliwe, zawiadomić mnie, na kiedy zamówić dla pana miejsce w samolocie.

*Telegram generała de Gaulle'a
do generała Spearsa, dla generała Wavella w Kairze,
zakomunikowany generałowi Catroux*

Brazzaville, 10 maja 1941 r.

Nie mam najmniejszego zamiaru udania się do Kairu, a to z uwagi na jednostronne decyzje rządu i dowództwa angielskiego w sprawie Syrii i Dżibuti. Jest oczywiście możliwe, że pojadę później na Wschód, aby odwiedzić wojska francuskie. Wtedy jednak dokonam jedynie przeglądu wojsk. Skądinąd nie mam też zamiaru wyjechać do Londynu.

Uważam, że zwłoka w koncentracji dywizji Legentilhomme'a jest w najwyższym stopniu godna pożałowania. Zwłoka ta uniemożliwi wojskom Wolnej Francji podjęcie jakichkolwiek działań w Syrii, w razie gdyby — obecnie zupełnie prawdopodobne — wylądowanie Niemców w tym kraju stworzyło pomyślne dla nas nastroje we francuskiej armii Lewantu.

Nadzieja, że Dentz wyda rozkaz stawienia oporu Niemcom, jest zwykłym złudzeniem. Dentz nie wystąpi przeciw Vichy, a przybycie Niemców do Syrii, jeżeli do tego dojdzie, nastąpi na mocy układu o współpracy między Vichy a Niemcami.

Tak czy owak uważam, że na skutek obecnych, jak również dających się przewidzieć dalszych wydarzeń na Wschodzie, wolna Afryka francuska, w szczególności zaś terytorium Czadu, nabierze poważnego znaczenia strategicznego. Dlatego też postanowiłem skupić moje wysiłki i środki na ewentualnej obronie tych francuskich terytoriów.

Niemniej jednak, jeżeli generał Wavell będzie w najbliższej przyszłości potrzebował wojsk francuskich na Wschodzie, chętnie je oddam do jego dyspozycji dla obrony Egiptu, pod warunkiem, że będą one zebrane pod rozkazami generała Legentilhomme'a, tak jak to uzgodniliśmy.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Brazzaville, 10 maja 1941 r.

Zakończyłem moje podróże inspekcyjne po terytoriach wolnej Afryki francuskiej. Stwierdziłem ogromny postęp pod wszystkimi względami: ekonomicznym, wojskowym i moralnym. Wszędzie panuje należyta organizacja, sprawnie funkcjonująca władza i porządek. Jest to bardzo ważne, gdyż w związku z obecną sytuacją i możliwym dalszym rozwojem wydarzeń terytoria wolnej Afryki francuskiej mogą nabrać wielkiego znaczenia strategicznego. Istotnie, ofensywa niemiecka w obszarze Morza Śródziemnego rozciągnie się w najbliższym czasie, prawdopodobnie przy współpracy z Vichy, na Syrię i Afrykę Północną.

Musimy w szczególności liczyć się z możliwością utracenia przez naszych angielskich sojuszników Egiptu. W tym przypadku działania wojenne toczyłyby się dalej na linii: Francuska Afryka Zachodnia — terytorium Czadu — Sudan anglo-egipski.

Postanowiłem skoncentrować nasze wysiłki i środki na terytorium wolnej Afryki francuskiej zarówno w celach obrony, jak i w celu podjęcia stąd ataku. Dlatego też siły nasze organizują się na tym terytorium. Proszę o wiadomość, jak przedstawia się obecnie nasz batalion i bateria artylerii znajdujące się w Anglii. Skoro tylko to będzie możliwe, ściągnę je tutaj. Kompania czołgów, gdy będzie gotowa i otrzyma swój sprzęt, również będzie przerzucona do wolnej Afryki francuskiej. Przypominam, że powinniście wysłać do Pointe-Noire lub do Duali amerykańskie uzbrojenie dla trzech batalionów piechoty typu normalnego, a na Wschód — uzbrojenie dla dwóch zmotoryzowanych kolumn i trzech batalionów piechoty typu normalnego.

Na razie nie zamierzam wracać do Londynu.

Telegram generała de Gaulle'a do generała Catroux w Kairze

Brazzaville, 12 maja 1941 r.

Zważywszy negatywną politykę, jaką nasi angielscy sojusznicy prowadzą w stosunku do nas na Wschodzie, uważam, że obecność w Kairze tak wybitnej osobistości jak pan i utrzymywanie tam nadal wysokiego komisarza jako przedstawiciela Wolnej Francji nie jest już niczym usprawiedliwione. Nie wykluczam możliwości pańskiego późniejszego powrotu do Kairu, w razie gdyby wydarzenia w związku z przywróceniem naszych dawnych stosunków z Anglikami tego wymagały. Na razie jednak proszę pana opuścić Kair, skoro tylko to będzie możliwe. Pragnę, aby pan przybył do mnie do Brazzaville i udał się stąd na inspekcję naszych wojsk w Afryce francuskiej, dopóki nie określimy pańskiego nowego stanowiska.

Zechce pan zawiadomić przedstawicieli angielskich w Kairze o tej decyzji. Nie ma żadnych powodów do ukrywania przed nimi przyczyny pańskiego wyjazdu. Przeciwnie, proszę pana, aby ją pan podkreślał. Ze swej strony zawiadamiam o tym rząd londyński.

Stanowisko pańskie oczywiście nie będzie objęte przez żadnego następcę. Mianuję Palewskiego moim przedstawicielem politycznym do spraw Wschodu, a Legentilhomme'a — dowódcą wojsk. Palewski uda się stąd w środę samolotem do Kairu. Legentilhomme będzie miał swego oficera łącznikowego przy Wavellu, a Tulasne będzie nadal szefem sztabu sił lotniczych...

Oczekuję pańskiego rychłego przybycia i dziękuję za wszystko, co pan zrobił. To nie od pana i nie ode mnie zależało, że nie mógł pan zrobić więcej.

*Telegram Edena
do generała de Gaulle'a w Brazzaville*

Londyn, 14 maja 1941 r.

Pleven, z którym dopiero co rozmawiałem, wyśle panu telegram wyłuszczający szczegółowo naszą politykę i nasze stanowisko w sprawie Dżibuti i Syrii. Nie ulega wątpliwości, że na skutek trudności w utrzymywaniu należytej łączności powstało wrażenie — nad czym bardzo ubolewam — jakobyśmy prowadzili nie-

życzliwą politykę w odniesieniu do tych dwóch rejonów. Ale to wrażenie jest niesłuszne i może pan być przekonany, że nasza polityka będzie tak pozytywna, jak tylko pozwolą na to nasze środki wojskowe. Mam nadzieję, że wobec treści depeszy skierowanej do pana przez Spearsa w dniu 14 maja będzie pan mógł pozostawić generała Catroux w Palestynie dla omówienia wszystkich spraw, które mogą się tam wyłonić. Wydarzenia mogą wymagać niezwłocznej decyzji.

*Telegram generała Spearsa, szefa angielskiej misji
łączności,
do generała de Gaulle'a w Brazzaville*

Kair, 14 maja 1941 r.

W toku bardzo zadowalającej rozmowy, która odbyła się dzisiaj między naczelnym dowódcą na Środkowym Wschodzie a generałem Catroux, uzgodniono, co następuje:

1. Syria: generał Catroux poinformuje Francuzów przez radio w Jerozolimie, że Niemcy przenikają do Syrii. Charakter jego dalszej propagandy będzie zależał od okoliczności.
2. Catroux przygotowuje ulotki, które mają być zrzucone nad Syrią w nocy z środy na czwartek i z czwartku na piątek.
3. Wojska Wolnej Francji znajdujące się obecnie w Kistinie (Palestyna) nadal tam pozostaną. Są one rozmieszczone w pobliżu linii kolejowej i mogą być szybko przerzucone na granicę. W każdym razie jest to jedyny możliwy środek transportu.
4. Jeżeli propaganda wywoła pomyślny oddźwięk, naczelnym dowódcą udzieli wojskom Wolnej Francji wszelkiej możliwej pomocy w zależności od sytuacji w danym momencie.
5. Dżibuti: a) blokada zostaje utrzymana;
b) Brosset będzie pełnił funkcje doradcy generała Cunninghama.
6. Generał Catroux uda się 15 maja do Palestyny. Wyjadę tam razem z nim.

*Telegram Winstona Churchilla
do generała de Gaulle'a w Brazzaville*

Londyn, 14 maja 1941 r.

Sprawa Dżibuti była rozpatrywana na posiedzeniu Komitetu Obrony, który odbyliśmy dziś po południu. Na posiedzeniu tym postanowiliśmy :

1. Utrzymać całkowitą blokadę Dżibuti.
2. Prosić pana o nieodwoływanie generała Catroux z Palestyny. Być może zaczął on tani już działać.
3. Serdecznie prosić pana o udanie się do Kairu, jeżeli będzie pan uważał, że daje się to pogodzić z bezpieczeństwem terytoriów Wolnej Francji.

*Telegram René Plewena
do generała de Gaulle'a w Brazzaville*

Londyn, 14 maja 1941 r.

1. Pański telegram nadszedł do delegacji na kilka godzin przed moim udaniem się do Edena, który wezwał mnie dla omówienia różnych spraw bieżących.

Eden został więc pierwszy powiadomiony o decyzjach, które pan polecił mi zakomunikować rządowi angielskiemu.

2. Pozwoliło mi to wytłumaczyć szczegółowo Edenowi, co skłoniło pana do powzięcia decyzji zawartej w pańskiej depeszy, a w szczególności do wyciągnięcia wniosku, że rząd angielski począł prowadzić politykę negatywną w stosunku do naszych interesów w Dżibuti i Syrii.

3. Eden z głębokim, przekonaniem, którego szczerości nie poddaję w wątpliwość, twierdził, że pańskie wrażenie zostało niewątpliwie spowodowane brakiem, wystarczającej łączności.

4. Co się tyczy Dżibuti, to jeśli prawdą jest, że kilka dni temu na skutek trwającego uporczywego oporu Włochów w Abisynii zachodziła absolutna konieczność jak najszybszego zapewnienia sobie użycia linii kolejowej z Addis-Abeby do Dżibuti, to obecnie definitywne załamanie się włoskiego oporu pozwala poddać rewizji to stanowisko.

Eden powiedział mi, że dziś w późnych godzinach popołudniowych odbędzie się w tej sprawie posiedzenie Komitetu Obrony, na którym będzie bronił stanowiska, iż należy utrzymać blokadę Dżibuti i że premier jest tego samego zdania.

Decyzja Komitetu Obrony zostanie mi zakomunikowana natychmiast po zakończeniu posiedzenia celem przekazania jej panu.

5. Jeżeli chodzi o Syrię, to konieczność interweniowania w Iraku zmusiła Anglików do wysłania tam wojsk przeznaczonych do wspólnych z nami działań w Syrii.

Gabinet brytyjski polecił naczelnemu dowódcy na Środkowym Wschodzie przerzucić wojska Wolnej Francji w pobliże granicy i udzielić im wszelkiej możliwej pomocy, w szczególności w zakresie lotnictwa, skoro tylko generał Catroux i generał Legentilhomme uznają, że nastał czas na rozpoczęcie działań.

Prawdopodobnie otrzymał pan już telegram od generała Spearsa, potwierdzający powyższe wiadomości i informujący pana, że generał Catroux będzie jutro przez radio jerozolimskie przemawiał do Syrii.

Rozpowszechnione będą ulotki i zależnie od stanowiska zajętego przez wojsko i ludność generał Catroux będzie mógł orzec, czy czas już wystąpić.

Według ostatnich otrzymanych tu wiadomości 17 samolotów niemieckich przeleciało nad Syrią. Inaczej mówiąc infiltracja przeciwnika rozpoczyna się według znanych metod.

Eden z wielkim naciskiem podkreślał, że Anglicy nigdy nie pragnęli tak gorąco rozwoju naszego ruchu jak obecnie i że stosunek Vichy i Darlana do niemieckiej penetracji w Syrii wydaje mu się zupełnie jasny.

Zdaniem Edena byłoby więc godne pożałowania, gdyby właśnie w chwili, kiedy może wybić godzina decydującej akcji, generał Catroux nie był obecny, aby poprzeć swym prestiżem działania wojsk w Syrii.

Wyraził więc nadzieję, że obecnie, gdy fakty, które skłoniły pana do powzięcia pańskiej decyzji, są całkowicie wyjaśnione, uzna pan za możliwe poddać ją rewizji.

6. Odnosimy tu wrażenie, że Kair przesłał panu zupełnie nie wystarczające wiadomości, podczas gdy tu gabinet angielski sądził, że jest pan przez Kair dokładnie informowany.

7. Osobiście nie ukrywałem przed Edenem, że byłem zdziwiony depeszą Spearsa, który radził panu nie wyjeżdżać do Kairu w momencie, gdy należało powziąć doniosłe decyzje.

Odniosłem wrażenie, że Eden podziela moje zdziwienie i wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby premier osobiście zatelegrafował do pana, radząc panu udać się do Kairu.

Po naszej rozmowie Eden telegraficznie zapowiedział panu, iż otrzyma pan ode mnie niniejszy telegram.

*Telegram generała Catroux
do generała de Gaulle'a w Brazzaville*

Kair, 14 maja 1941 r.

Pański telegram, w którym komunikuje mi pan swój zamiar odwołania mnie z Kairu, nadszedł tu w momencie, gdy sytuacja przedstawiała się następująco:

Primo, w sprawie Dżibuti: Wavell przyrzeka mi, że blokada nie będzie zniesiona, zapewnia, że nie wszczęto żadnych pertraktacji, gdyż Cunningham ograniczył się do zażądania od gubernatora sprecyzowania swej odpowiedzi na propozycje i zgadza się, aby Brosset reprezentował przy nim nasze interesy w czasie ewentualnych dyskusji.

Secundo, w sprawie Syrii: samoloty niemieckie, które uzyskały dostęp do lotnisk syryjskich, są wykorzystywane do podtrzymania Iraku i do przygotowania okupacji krajów Lewantu. W tej ostatniej sprawie Dentz oświadczył, że jeżeli rząd Vichy rozkaże mu nie stawiać oporu, zastosuje się do tego rozkazu.

Anglicy jeszcze nie powzięli decyzji, jakie w odpowiedzi podejmą kroki dyplomatyczne i militarne.

Jest możliwe, że interweniować będą siłami lotnictwa, natomiast wkroczenie ich wojsk do Syrii wydaje się wykluczone z powodu zaangażowania ich wojsk na innych frontach.

Vichystowska armia Bliskiego Wschodu zachowuje wobec przybycia Niemców do Syrii bierną postawę.

Zwracam się w dniu dzisiejszym za pomocą ulotek i radia z apelem do armii, wskazując jej całą haniebnosć tego rodzaju pomocy okazywanej wrogowi, wzywając ją do chwycenia za broń i zawiadamiając, że jeżeli to uczyni, znajduję się ze swymi wojskami u bram Syrii, aby ją wesprzeć.

Stanowisko to zająłem w porozumieniu z Anglikami.

Tertio: poinformowałem pana o moich krokach i obecnie oczekuję ich wyników, od których uzależniam mą decyzję.

W każdym razie byłoby nie wskazane wykonać polecenie zawarte w pańskiej depeszy i zawiadomić Anglików o odwołaniu mnie z Kairu.

W związku z powyższym proszę pana o odroczenie wyjazdu Palewskiego.

*Rozkaz generała de Gaulle'a
do terytoriów wolnej Afryki francuskiej*

Brazzaville, 15 maja 1941 r.

Przeprowadzona przeze mnie inspekcja terytoriów wolnej Afryki francuskiej wykazała, jakie postępy zostały tu osiągnięte. Wolna Afryka francuska znajduje się w pełnym rozwoju tak pod względem wojskowym, jak ekonomicznym i moralnym.

Jest to zresztą nieodzowne. W Afryce bowiem toczy się wojna. Nasze terytoria odgrywają w niej coraz większą rolę dzięki swemu wkładowi we wspólny wysiłek aliantów i na skutek swego położenia strategicznego. Rola ta wymaga, aby wolna Afryka francuska była aktywna, pełna zapału i zdyscyplinowana. W tej wojnie światowej wszystko ma swoje znaczenie.

Zrobiliśmy już coś niecoś, ale znacznie więcej mamy jeszcze do zrobienia. Zgodnie z nakreślonym przeze mnie planem niektóre niezbędne kroki znajdują się w toku wykonania, inne zostały ostatnio zadecydowane, co do jeszcze innych decyzje zapadać będą stopniowo. Aby jednak osiągnąć największe możliwe wyniki, czego każdy z nas pragnie, spełnione być muszą trzy zasadnicze warunki.

Trzeba przede wszystkim, aby władza była wszędzie sprawowana z jak największą stanowczością. Ci, którzy dowodzą lub kierują administracją, ponoszą odpowiedzialność. Trzeba ich słuchać. Przełożeni wyższych szczebli są zobowiązani ich popierać. Sam im w tym pomogę nie zważając na osoby.

Trzeba, po drugie, wykluczyć wszelkie swary i podejrzenia. Mogłyby nas one tylko osłabić. Wszyscy Francuzi współpracujący w urzeczywistnieniu świętej misji Wolnej Francji, tzn. uczestniczący w wojnie o obronę Imperium i wyzwolenie kraju, są ludźmi godnymi szacunku i dobrymi towarzyszami broni. Przekonania polityczne, religijne i społeczne nie mają znaczenia w naszej sprawie. Ocena zasług wobec narodu i osiągnięć w służbie należy do kierowników, i tylko do nich. Wzywam ich do surowego przeciwdziałania wszystkiemu, co może siał rozłam.

Trzeba wreszcie, aby inicjatywa przejawiała się wszędzie, od góry do dołu. Nie jest to sprzeczne z dyscypliną, przeciwnie, to jeszcze bardziej ją umacnia.

Jesteśmy obecnie poważną siłą. Pierwszy etap został przebyty. A więc naprzód do drugiego etapu! Francja posiada obrońców.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Winstona Churchilla w Londynie*

Brazzaville, 15 maja 1941 r.

1. *Thank you.*
2. *Catroux remains in Palestine.*
3. *I shall go to Cairo soon.*
4. *You will win the war.**

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie***

Brazzaville, 16 maja 1941 r.

W związku z pomyślną zmianą stanowiska naszych angielskich sojuszników w sprawie Syrii i Dżibuti postanowiłem na razie nie odwoływać generała Catroux. Wkrótce udam się do Kairu.

Rozwój wydarzeń wymaga od nas wielkiego wysiłku w Syrii. Jego podstawą jest propaganda. Trzeba więc skupić na tym działalność naszego radia. Prócz tego do akcji tej powinno się włączyć również BBC, ale w możliwie najskromniejszych rozmiarach i tylko według naszych wskazówek.

Oto zasadnicze akcenty naszej propagandy, którą prowadzić należy w sposób jak najbardziej przekonujący.

Niemcy przybywają do krajów Lewantu. Francja została zdradzona w Syrii i Libanie, tak jak zdradzona została w czasie zawarcia zawieszenia broni w czerwcu. Zdradzają ją ci sarni ludzie. Żołnierz nie słucha zdrajców. Czyżby oficerowie i żołnierze armii Lewantu mieli wydać przeciwnikowi terytoria, które Francja powierzyła ich straży? Straciliby honor żołnierski, gdyby w ciągu całej wojny nie oddali ani jednego strzału do Niemców. Do broni! Strzelajcie do nich!

Należy również mówić i skłaniać innych do mówienia pod adresem Dżibuti: obowiązkiem żołnierza jest walczyć. Wolna Francja — to walka, honor i zwycięstwo.

* 1. Dziękuję panu. 2. Catroux pozostaje w Palestynie. 3. Wkrótce udam się do Kairu. 4. Wygra pan wojnę.

** Podczas pobytu generała de Gaulle'a w Afryce i na Wschodzie agendami Wolnej Francji w Londynie kierowała delegacja w składzie: René Cassin, admirał Muselier, René Pleven i Maurice Dejean (*przyp. red.*).

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Brazzaville, 16 maja 1941 r.

Nasi sojusznicy liczyli na Pétaina i Dentza i jeszcze w zeszłym tygodniu mimo moich uprzedzeń nadal zaopatrywali Syrię. Jeżeli chodzi o Dżibuti, to kontynuowali negocjacje, z których byliśmy wyeliminowani. Wreszcie, prosili mnie, abym nie przyjeżdżał do Kairu. Dowództwo angielskie w Kairze systematycznie wstrzymywało wysyłkę sprzętu bojowego na palestyński teatr działań wojennych. Nie dostarczyło ono żadnych środków transportowych generałowi Legentilhomme, co go niemal całkowicie sparaliżowało.

Trudności w utrzymywaniu łączności między Kairem i Brazzaville nie mają nic wspólnego ze stanowiskiem, które zmuszony byłem zająć i które odniosło pożądany skutek. Wspominam o tym, aby sprawa ta była zupełnie jasna.

W każdym razie Anglicy na razie zajęli bardziej twarde stanowisko. Być może, że w najbliższym czasie Catroux znajdzie okazje do rozpoczęcia działań zgodnie z moimi instrukcjami, mimo że wojska znajdujące się pod jego rozkazami odczuwają brak wielu rzeczy. Proszę Plevana, admirała Muselier, profesora Cassina, d'Argenlieu i Dejeana, aby wysłali mu depesze dla podniesienia go na duchu...

Na skutek układu między Hitlerem i Darlanem należy się liczyć z ewentualną utratą Egiptu i wkroczeniem Niemców do Francuskiej Afryki Północnej i Zachodniej. Zwarty blok terytoriów wolnej Afryki francuskiej nabrałby wtedy decydującego znaczenia dla wojny na kontynencie afrykańskim. Musimy więc niezwłocznie uczynić wszystko, aby go wzmocnić.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Brazzaville, 17 maja 1941 r.

Proszę złożyć wszystkim rządům reprezentowanym w Londynie za pośrednictwem ich przedstawicieli następujące oświadczenie:

"W związku z »układami« zawartymi między »rządem« Vichy i hitlerowskimi Niemcami oraz w przewidywaniu ewentualnych następstw tych układów dla interesów Francji i dla stosunku państw do naszego kraju, generał de Gaulle i Rada Obro-

ny Imperium Francuskiego uważają za niezbędne podać do wiadomości rządu (tu nazwa kraju) następujące uwagi:

1. »Rząd« Vichy zawierając zawieszenie broni postawił się sam w sytuacji, która pozbawia go wszelkiej niezależności w stosunku do okupanta.

2. Tenże »rząd« uchwycił władzę i z gruntu zmienił instytucje prawno-państwowe Francji bez jakiegokolwiek odwołania się do opinii narodu francuskiego i przy pozbawieniu jego przedstawicieli możliwości wyrażania swego zdania w warunkach elementarnej swobody i godności ludzkiej.

3. Po uzurpowaniu władzy »rząd« Vichy sprawuje ją bez jakiejkolwiek kontroli ze strony narodu francuskiego, który pozbawiony jest wszelkiej możliwości wypowiedzenia swej opinii, ponieważ $\frac{2}{3}$ kraju są okupowane przez wroga, a $\frac{1}{3}$ znajduje się pod jego kontrolą w warunkach skazujących ludność na całkowite milczenie.

4. Zgodnie z tzw. tekstami konstytucyjnymi, którymi samowolnie zastąpiono konstytucję francuską, cała władza »rządu« Vichy skupiona jest w rękach 85-letniego starca, chociaż już od kilku lat wiadomo, że podeszły wiek osłabił jego władze umysłowe.

5. Z powyższych faktów wynika, że »rząd« Vichy nie jest w stanie spełniać funkcji suwerennej władzy francuskiej i że nie ma prawa do tego. W szczególności środki, które podejmuje on we »współpracy« z najeźdźcą, nie wypływają ze swobodnej i nieskrępowanej woli ani nie noszą charakteru legalnego i dlatego nie mogą być traktowane jako środki nakładające jakiekolwiek zobowiązania na naród francuski.

6. Wszędzie, gdzie obywatele francuscy mają możliwość swobodnego wyrażania swych prawdziwych uczuć, wyrażają oni w ogromnej swej większości pragnienie, aby Francja kontynuowała wojnę wszystkimi będącymi jeszcze w jej rozporządzeniu środkami. Stosuje się to do wszystkich terytoriów Imperium Francuskiego, które udało się uwolnić spod władzy Vichy, jak i do Francuzów we wszystkich krajach zagranicznych, mimo iż władze Vichy na rozkaz okupanta stosują surowe sankcje karne wobec osób kontynuujących walkę.

Wszystkie informacje zebrane na terytorium francuskim dowodzą, że ogromna większość Francuzów podziela te uczucia.

7. Generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego, których władza została dobrowolnie uznana przez wszystkie terytoria francuskie już wyzwolone spod kontroli wroga i którzy reprezentują prawdziwe uczucia swych współobywateli oraz w miarę możliwości zapewniają wykonanie traktatów i zobowią-

zań zaciągniętych przez Francję przed 18 czerwca 1940 roku, oświadczają że:

- a) Francja nie może i nie powinna być uważana za odpowiedzialną za akty dokonane rzekomo w jej imieniu przez »rząd«, który uzurpował sobie władzę i postawił się w stanie zależności od wroga w wykorzystaniu klęski militarnej armii francuskiej w walce o wspólne dobro wolnych narodów;
- b) naród francuski nadal bierze udział w wojnie wszystkimi siłami wojskowymi i na wszystkich terytoriach nie podlegających kontroli wroga, i w konsekwencji winien być traktowany przez wszystkie państwa jako strona wojująca, a przez państwa walczące ze wspólnym wrogiem — jako sojusznik ;
- c) naród francuski nie uznaje obecnie ani nie uzna w przyszłości żadnego naruszenia jakiegokolwiek jego prawa przez którekolwiek państwo świata w wykorzystaniu i pod pretekstem sytuacji, w której Francja znalazła się z winy wroga oraz zależnych od niego uzurpatorów pretendujących do sprawowania władzy".

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Kair, 31 maja 1941 r.

Po wielu niezależnych od nas zwłokach i wahaniach zbliża się godzina rozpoczęcia działań w Syrii. Do tego czasu zamierzam pozostać w Kairze. Potem, jeżeli sprawy potoczą się pomyślnie, udam się na jakiś czas do Syrii. W przeciwnym razie powrócę do Brazzaville i prawdopodobnie do Londynu.

Nasze stanowisko polityczne w Syrii będzie następujące. Ogłosimy niepodległość, jednakże nie z tym, że mandat zostaje po prostu uchylony. Byłoby to przede wszystkim niewłaściwe z prawnego punktu widzenia i wywołałoby niezadowolenie wszystkich tych, którzy nie rezygnują z Ligi Narodów. Prócz tego potrzebny jest pewien okres przejściowy przed przekazaniem władzy. Wreszcie terytorium Syrii znajduje się w strefie działań wojennych i dlatego nie można w pełnym toku wojny zmieniać istniejącego tu systemu rządów. Oświadczymy tylko, że przybywamy po to, aby zlikwidować reżim mandatowy i zawrzeć traktat gwarantujący niepodległość i suwerenność tego kraju.

W sprawach wojskowych zajmujemy następujące stanowisko. Przeprowadzimy reorganizacją francuskich, syryjskich i libańskich sił lądowych, morskich i powietrznych znajdujących się w krajach Lewantu i przekażemy je do dyspozycji naczelnym dowódców brytyjskich sił lądowych, morskich i powietrznych na Środkowym Wschodzie.

Jeżeli chodzi o Dżibuti, to Anglicy w końcu zrozumieli, że trzeba skończyć z dotychczasową polityką i przywrócić pełną blokadę. Pertraktacje zostały przerwane. Palewski przebywa w Harrarze jako mój przedstawiciel we wszystkich tych sprawach. Awiza „Savorgnan de Brazza” i „Duboc” znajdują się na Morzu Czerwonym, aby uczestniczyć w blokadzie.

Spotkałem się tu z synem prezydenta Stanów Zjednoczonych, który, jak się przekonałem, jest znakomicie zorientowany we wszystkim. Okazał mi swą sympatię.

Podzieliłem się z nim wieloma uwagami odnośnie do ogólnego sposobu prowadzenia wojny.

Odpowiedział mi, że na pewno pomówi o tym z ojcem.

Ogólnie biorąc, punkt ciężkości przesuwa się stopniowo do Waszyngtonu. Trzeba koniecznie, abyśmy zaczęli odgrywać tam jakąś rolę. W tym względzie liczę na podróż Plevena, którą należy przyspieszyć.

Telegram generała de Gaulle'a do Edena w Londynie

Kair, 4 czerwca 1941 r.

Wydaje się prawdopodobne, że układ zawarty niedawno między Niemcami i Vichy zawiera w szczególności zobowiązanie rządu Vichy do zawładnięcia koloniami francuskimi w Afryce, które przyłączyły się do mnie.

Akcja ta, gdyby była uwieńczona powodzeniem, spowodowałaby przerwanie wszelkiej bezpośredniej komunikacji między koloniami angielskimi w Afryce Zachodniej a Wschodem i pozwoliłaby Niemcom odebrać z powrotem Kamerun oraz usadowić się znowu na brzegach Konga, w dalszej zaś perspektywie umożliwiłaby im decydujące działania w postaci ofensywy od źródeł Nilu aż do jego ujścia oraz likwidacji baz angielskich w Nigerii, na Złotym Wybrzeżu, w Sierra Leone i w Gambii.

Należy przypuszczać, że Niemcy dla tej próby zawładnięcia wolną Afryką francuską dostarczają obecnie władzom vichystow-

skim w Afryce Północnej i Zachodniej środki bojowe odebrane im na skutek zawieszenia broni, w szczególności samoloty i czołgi. Jeżeli chodzi o zaopatrzenie uprzednio w benzynę, a być może nawet i w broń, to wiadomo, że władze vichystowskie w Afryce północnej i Zachodniej były bliskie uzyskania tych materiałów od Stanów Zjednoczonych, łudząc Amerykanów możliwością swego wystąpienia przeciwko Niemcom, czego nigdy nie przestawałem uważać za oszustwo.

Nie słyszałem, by to złudzenie, przynajmniej ze strony Amerykanów, całkowicie się rozwiało.

Ja osobiście i Rada Obrony Imperium Francuskiego bierzemy na siebie obronę terytoriów francuskich w Afryce, podlegających naszej władzy. Niemniej jednak musimy wiedzieć:

1. Jakie stanowisko zajmie rząd W. Brytanii w razie ataku Vichy na terytoria wolnej Afryki francuskiej?

2. W razie gdyby rząd brytyjski postanowił udzielić nam zbrojnej pomocy w obronie wolnej Afryki francuskiej przeciw Vichy, jakie siły lądowe, morskie i powietrzne mogłyby wziąć udział w tych działaniach, w jakim terminie i w jakich warunkach?

3. Jakie materiały, amerykańskie lub inne, w szczególności paliwo, środki transportowe itp. przybyły, przybywają lub przybędą do Francuskiej Afryki Północnej i Zachodniej pozostającej pod władzą Vichy?

Będę zobowiązany Waszej Ekscelencji za możliwie jak najszybszą odpowiedź w poruszonych wyżej sprawach.

*Telegram Winstona Churchilla do generała de Gaulle'a w
Kairze*

Londyn, 6 czerwca 1941 r.

Pragnę panu złożyć najlepsze życzenia z okazji powodzenia naszych wspólnych działań na Bliskim Wschodzie. Mam nadzieję, że pan jest zadowolony stwierdzając, iż wszystko, co tylko było możliwe, zostało zrobione, aby pomóc siłom zbrojnym Wolnej Francji.

Nie wątpię, że zgodzi się pan ze mną, iż nie tylko ta akcja, ale w rzeczywistości cała nasza przyszła polityka na Środkowym Wschodzie powinna być prowadzona w duchu wzajemnego zaufania i współpracy. Nasza polityka wobec Arabów powinna się opierać na jednakowych zasadach. Wie pan, że my, Anglicy, nie szukamy dla siebie w Imperium Francuskim żadnych specjalnych

korzyści i nie mamy najmniejszego zamiaru wykorzystywać we własnym interesie tragicznej sytuacji Francji.

Dlatego też pozytywnie odnoszę się do pańskiej decyzji przyrzeczenia niepodległości Syrii i Libanowi. Jak panu wiadomo, uważam za istotne, aby zostało ono poparte całym autorytetem naszych gwarancji. Zgadzam się z panem, że jakąkolwiek obierzemy drogę rozwiązania problemu syryjskiego, nie powinna ona narażać trwałości stosunków na Środkowym Wschodzie. Jednakże z tym zastrzeżeniem powinniśmy obaj uczynić wszystko, co leży w naszej mocy, aby uczynić zadość aspiracjom Arabów i liczyć się z ich wrażliwością. Nie wątpię, że weźmie pan pod uwagę tę doniosłą sprawę.

Wszystkimi myślami jesteśmy z panem i żołnierzami Wolnej Francji. W chwili obecnej, gdy Vichy stacza się na samo dno hańby, ofiarność i męstwo Wolnych Francuzów ratują chwałę Francji.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Winstona Churchilla w Londynie*

Kair, 7 czerwca 1941 r.

Przed chwilą otrzymałem pański telegram z 6 czerwca. Najzupełniej zgadzam się z panem, że nasza wspólna polityka w stosunku do Arabów, tak jak i w każdej innej sprawie, powinna opierać się na wzajemnym zaufaniu. Serdecznie dziękuję panu za słowa skierowane pod adresem moich wojsk. Cokolwiek by się stało, Wolni Francuzi będą jako wierni i zdecydowani sojusznicy walczyć w imię wspólnego zwycięstwa.

*Telegram Edena
do generała de Gaulle'a w Kairze*

Londyn, 9 czerwca 1941 r.

I. Sytuacja w Vichy jest wciąż jeszcze niejasna. Dotychczas nie powzięto ostatecznej decyzji. Weygand odroczył swój wyjazd. Jego poglądy na wojnę przeciwko degaullistom w Afryce różnią się diametralnie od poglądów Darlana. Weygand oświadczył rządowi, że z jednej strony siły, którymi dysponuje, są zbyt słabe

dla zrealizowania tego projektu, z drugiej zaś strony, że tego rodzaju wojna może wywołać poważne zaburzenia w całej Afryce francuskiej i doprowadzić do interwencji Stanów Zjednoczonych, czego on, Weygand, pragnie za wszelką cenę uniknąć. Ponadto Weygand odmówił zwrócenia się o pomoc wojskową do Niemców, gdyż przyspieszyłoby to interwencję amerykańską. Weygand uważa, że wobec coraz bardziej pesymistycznych meldunków Dentza o nastrojach w armii i wśród pracowników administracji cywilnej Syrii nie da się obronić i należy ją poświęcić.

II. Dotychczas większość członków gabinetu zgadza się z Weygandem mimo wysiłków Darlana popieranym przez wszystkich gubernatorów kolonii, którzy nastawieni są antygaullistowsko. Darlan zaciągnął wobec Niemiec konkretne zobowiązania w sprawie wojny przeciwko degaullistom i nadal podtrzymuje swój punkt widzenia dowodząc członkom gabinetu, że flota może rozpocząć działania wojenne przeciwko siłom Wolnej Francji i że Hitler umożliwi mu wysyłkę uzbrojenia do Afryki Północnej w celu ułatwienia działań wojennych przeciwko de Gaulle'owi.

III. W oczekiwaniu transportów broni dla Afryki Darlan przeprowadza obecnie akcję oczyszczania Marsylii, Nicei, Tulonu itd. z Żydów i rzekomych degaullistów i anglofilów, których się setkami aresztuje i deportuje. Darlan prawdopodobnie zażąda nowego spotkania z Niemcami celem przedstawienia im trudności stwarzanych przez Weyganda i zażądania dodatkowej pomocy. W sprawie Syrii przyjęto punkt widzenia Weyganda i polecono Dentzowi podjęcie takich kroków, które by „uratowały honor”. Obecnie Vichy nie jest skłonne walczyć o Syrię.

*Telegram Edena
do generała de Gaulle'a w Kairze*

Londyn, 9 czerwca 1941 r.

I. Rozważyliśmy gruntownie sprawę ewentualnej napaści na wolną Afrykę francuską. Na naszą prośbę rząd Stanów Zjednoczonych polecił ostatnio Murphy'emu oświadczyć Weygandowi, że Stany Zjednoczone udzielą pomocy Afryce Północnej pod warunkiem, że Weygand nie zaatakuje sił zbrojnych Wolnej Francji w Afryce Środkowej i Zachodniej i nie przeszkodzi w ten sposób pomocy, której rząd Stanów Zjednoczonych może udzielić rządowi Jego Królewskiej Mości. W odpowiedzi Weygand oświadczył Murphy'emu, że okres deszczowy oraz inne okoliczności i tak

uniemożliwiają atak przeciwko terytorium Wolnych Francuzów przed 1 września, że nie zamierza i nie pragnie atakować tych terytoriów i że gdyby nawet wydał rozkaz ataku, większa część jego oficerów nie wypełniłaby tego rozkazu.

II. Informacje pochodzące od Boissona potwierdzają, że atak nie byłby możliwy przed jesienią z powodu warunków klimatycznych i braku benzyny.

III. Otrzymaliśmy ściśle tajne informacje, według których w Vichy toczą się obecnie narady nad odstąpieniem Niemcom baz morskich i lotniczych w Afryce Północnej; Weygand prawdopodobnie pójdzie za Pétainem, który postanowił ustąpić przed niemieckim naciskiem. W związku z tym wyraziliśmy wobec rządu Stanów Zjednoczonych nadzieję, że w tych warunkach nie przystąpi on do realizacji swego planu zaopatrywania Afryki Północnej. Według posiadanych przez nas informacji dotychczas żaden transport żywności nie przybył jeszcze do Afryki Północnej ani do Afryki Zachodniej.

*Telegram Edena,
do generała de Gaulle'a*

Londyn, 11 czerwca 1941 r.

I. Komunikuję panu nasze ostatnie informacje. Weygand przekonał Pétaina, że należy ograniczyć współpracę z Niemcami w Syrii i oprzeć się wszelkim atakom przeciw Afryce Północnej i Zachodniej. Esteva i Boisson energicznie poparli Weyganda; zwłaszcza Boisson oświadczył kategorycznie, iż nie dopuści do tego, aby Dakar przeszedł pod kontrolę niemiecką.

II. 8 czerwca Weygand oświadczył Murphy'emu, że jego osobiste stanowisko w sprawie Afryki Północnej nie uległo żadnej zmianie, że Vichy nadal trzyma się swej polityki obrony Afryki Północnej przeciwko wszelkim atakom, że on sam nie ma zamiaru zaatakować kolonii znajdujących się w ręku Wolnych Francuzów i że pogłoski o mającym niebawem nastąpić ataku na te kolonie są pozbawione wszelkich podstaw.

*Telegram generała de Gaulle'a
do René Plevena,
delegata Wolnej Francji w Waszyngtonie*

Jerozolima, 14 czerwca 1941 r.

Według wiarygodnych wiadomości wydaje się obecnie prawdopodobne, że Vichy postanowiło zaatakować wolną Afrykę francuską z bezpośrednią pomocą Niemców lub bez tej pomocy. Niemcy dostarczają obecnie vichystom niezbędne uzbrojenie, w szczególności samoloty i czołgi. Weygand, zdaje się, zgłosił pewne zastrzeżenia, nie ulega jednak wątpliwości, że w końcu podporządkuje się Pétainowi i Darlanowi.

Stwierdzam, że Stany Zjednoczone przejawiają coraz większe zainteresowanie sytuacją Wolnej Francji w Afryce.

Zdaniem moim, tłumaczy się to przede wszystkim ich chęcią zapewnienia sobie bezpośredniego dostępu do Afryki na wypadek ich przystąpienia do wojny.

5 czerwca wręczyłem posłowi amerykańskiemu w Kairze notę do jego rządu. Stwierdzam w niej, że jesteśmy gotowi zgodzić się i dopomóc wszelkimi środkami będącymi w naszej dyspozycji do utworzenia amerykańskich baz lotniczych na terytoriach afrykańskich pozostających pod naszą władzą.

Z drugiej strony konsul amerykański w Léopoldville odwiedził 9 czerwca generała Larminat i zapytał go w imieniu swego rządu, czy atak Vichy lub Niemiec albo obydwu razem przeciw nam jest zdaniem jego prawdopodobny. Larminat odpowiedział, że atak ten jest nie tylko prawdopodobny, lecz według niego nastąpi w najbliższym czasie. Wtedy konsul zapytał, czym Stany Zjednoczone mogłyby nam dopomóc. Larminat podał mu wykaz pilnie potrzebnego nam uzbrojenia, w szczególności środków obrony przeciwlotniczej, których jesteśmy niemal całkowicie pozbawieni.

Proszę pana dopilnować tych obydwu spraw w porozumieniu z lordem Halifaxem. Rozumie pan, tak jak i ja, ogromne znaczenie praktycznych konsekwencji tych kroków dla naszej obrony, zarówno jak i ogólnych ich następstw dla naszych wzajemnych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi.

*Telegram Edena
do sir Milesa Lampsona, ambasadora angielskiego
w Kairze,
zakomunikowany generałowi de Gaulle'owi w Kairze*

Londyn, 18 czerwca 1941 r.

I. Departament stanu przekazał nam bardzo pilny i poufny telegram, który dopiero co otrzymał od konsula generalnego Stanów Zjednoczonych w Bejrucie. Oto główna treść telegramu:

II. „Na polecenie wysokiego komisarza Francji dyrektor oddziału politycznego Conty zwrócił się do konsula generalnego Stanów Zjednoczonych z prośbą, aby ten, niby z własnej inicjatywy, zapytał władze brytyjskie, na jakie warunki Francuzi w Syrii mogliby liczyć, w razie gdyby uznali za stosowne zwrócić się do konsula generalnego Stanów Zjednoczonych z prośbą o pośrednictwo w celu zaprzestania działań wojennych.

Conty powołał się na pogłoskę, jakoby Wolni Francuzi skazali Dentza i szereg innych oficjalnych osobistości francuskich na karę śmierci. Podkreślił on, że nie może to oczywiście stworzyć atmosfery sprzyjającej rokowaniom. W związku z tym władze francuskie w Syrii pragną uzyskać jak najbardziej szczegółowe informacje, jak rząd Jego Królewskiej Mości i degaulliści zamierzają postąpić w stosunku do: 1) francuskiej armii Lewantu, 2) urzędników francuskich w Syrii i Libanie, 3) wszystkich innych obywateli francuskich i ich rodzin, zamieszkujących w tych dwóch krajach.

Conty, chociaż nie powiedział tego wprost, dał jednak do zrozumienia, że przemawia w imieniu wysokiego komisarza. Wskazał także na to, że sprawa jest bardzo pilna i że należy ją traktować jako ściśle poufną, ponieważ władze francuskie nie chciałyby wywołać wrażenia, że błagają o pokój.

Konsul generalny Stanów Zjednoczonych odpowiedział, że chociaż nie może na własną rękę przekazać bezpośrednio tych pytań władzom brytyjskim na Bliskim Wschodzie, to jednak rad będzie zawiadomić o tym telegraficznie Waszyngton, prosząc o poinformowanie o tej sprawie rządu angielskiego.

Conty zgodził się na tę procedurę pod warunkiem, że konsul generalny Stanów Zjednoczonych będzie upoważniony do tego, aby w razie zwrócenia się władz francuskich do niego z tą prośbą spełnić swą rolę pośrednika nie czekając na nowe instrukcje. Zdaniem konsula generalnego Stanów Zjednoczonych symptomatyczny jest fakt, że Conty nie powoływał się na rząd Vichy i nie mówił o zwykłym zawieszeniu broni lub pertraktacjach o czysto wojskowym charakterze. Przeciwnie, Conty oświadczył, że władze

francuskie pragną się dowiedzieć, »jaki układ polityczny« może być zawarty z władzami brytyjskimi i Wolnymi Francuzami.

Konsul generalny Stanów Zjednoczonych odniósł wrażenie, że Francuzi są zmęczeni i że nie otrzymali posiłków z Francji. Zdaniem jego nie ulega wątpliwości, że są oni gotowi przyjąć warunki, czyniące zadość wymaganiom brytyjskim z punktu widzenia sił lądowych, morskich i powietrznych, a przy tym dostatecznie wspaniałomyślne, aby umożliwić Francuzom zaprzestanie z honorem działań wojennych".

III. Jednocześnie departament stanu przekazał następującą wiadomość pochodzącą od Wellesa: „1) Rząd Stanów Zjednoczonych wyraża nadzieję, że dla przyspieszenia sprawy rząd Jego Królewskiej Mości będzie mógł udzielić swej odpowiedzi jutro, 19 czerwca, rano; 2) zdaniem jego sytuacja przedstawia się tak, że szlachetna i »rycerska« odpowiedź rządu JKM może mu przynieść poważne korzyści".

IV. Urzędnicy departamentu stanu są przekonani, że jeżeli rząd JKM wyrazi życzenie, aby konsul generalny Stanów Zjednoczonych sam przeprowadził pertraktacje w tej sprawie, rząd Stanów Zjednoczonych gotów będzie pozostawić mu pełną swobodę działania, czego zresztą zdaje się również pragnąć wysoki komisarz Francji w Syrii.

Telegram generała de Gaulle'a do A. Edena w Londynie

Kair, 20 czerwca 1941 r.

Dziś o godz. 10 zaznajomiłem się z telegramem wysłanym przez Waszą Ekszelencję w dniu 19 czerwca do Waszyngtonu w sprawie warunków, które rząd Wielkiej Brytanii gotów jest zaakceptować jako podstawę rokowań z władzami Vichy.

Nie mogę ukryć przed Waszą Ekszelencją zdziwienia, jakie wzbudziła we mnie ta jednostronna i kategoryczna odpowiedź w sprawie, która w równej mierze dotyczy Wolnej Francji co Anglii i w imię której żołnierze Wolnej Francji oddają życie, tak jak oddają je za nią żołnierze brytyjscy. Wszak chodzi o sprawę dotyczącą przede wszystkim losu francuskich wojskowych i osób cywilnych oraz losu terytorium podlegającego władzy Francji.

Zaznaczam, że rzecznik wysokiego komisarza Vichy w Bejrucie, który niewątpliwie docenia znaczenie, jakie ma obecnie i na przyszłość stanowisko Wolnej Francji, pragnął poznać nie tylko warunki rządu brytyjskiego, lecz także warunki Wolnej Francji, tymczasem Wasza Ekszelencja telegram swój do Waszyng-

tonu ujęła tak, jak gdyby tylko rząd brytyjski był powołany do udzielenia odpowiedzi, co uważam za nieuzasadnione.

Wasza Ekscelencja niewątpliwie zrozumie, że w tym stanie rzeczy nie czuję się w żadnej mierze związany wywodami i wnioskami zawartymi w jej telegramie do Waszyngtonu...

*Telegram Edena
do sir Milesa Lampsona, ambasadora angielskiego
w Kairze,
przekazany generałowi de Gaulle'owi*

Londyn, 22 czerwca 1941 r.

Z telegramu Spearsa z przykrością dowiedziałem się o niezadowoleniu generała de Gaulle'a. Przy redagowaniu tekstu warunków uwzględniliśmy całkowicie punkt widzenia generała de Gaulle'a i naczelnego dowódcy na Środkowym Wschodzie w sprawie warunków zawieszenia broni, o które poprosiłby generał Dentz. Braliśmy również pod uwagę, że szybka okupacja Syrii w wyniku propozycji amerykańskiej spowodowałaby znaczne zwiększenie sił Wolnej Francji. Dlatego też nie uważaliśmy za niezbędne przedstawić naczelnemu dowództwu i generałowi de Gaulle'owi tekstu naszej depeszy do Waszyngtonu, ponieważ wyłuszczone w niej warunki nie odbiegały od tego, co zostało przedtem uzgodnione, a sprawa nie cierpiała zwłoki.

Mam nadzieję, że naczelny dowódca zdoła przekonać generała de Gaulle'a, iż w sprawach dotyczących Syrii lub kolonii francuskich nie zamierzamy działać bez uprzedniego zasięgnięcia jego opinii co do projektowanej przez nas polityki. Nie możemy mu jednak przedkładać tekstu każdego naszego telegramu, kiedy zachodzi konieczność szybkiego działania i porozumienie w zasadzie już zostało osiągnięte. Spodziewamy się, że zdoła go pan przekonać, iż w tego rodzaju przypadkach może polegać na naszej uczciwości.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Winstona Churchilla w Londynie*

Kair, 28 czerwca 1941 r.

W chwili gdy dzięki naszym wspólnym wysiłkom Wolna Francja niewątpliwie będzie mogła w najbliższym czasie zająć w Syrii i Libanie miejsce Vichy, uważam za konieczne przedstawić panu

mój pogląd na następstwa wynikające z tego faktu oraz na stosunki francusko-angielskie na Wschodzie.

Stanowisko, które rząd angielski zajmie w sprawie Syrii, będzie stanowiło niezmiernie ważne kryterium. Angielskie siły zbrojne po raz pierwszy wkraczają wspólnie z wojskami Wolnej Francji na terytorium podlegające władzy francuskiej. Nie należy przy tym zapominać, że kierunek polityki angielskiej rzadko kiedy zgodny tu był z kierunkiem polityki francuskiej. Z tych dwóch powodów zarówno francuska, jak i światowa opinia publiczna będzie śledzić ze szczególną uwagą, jak Wielka Brytania zachowa się wobec pozycji Francji w tym rejonie.

Jestem przekonany, że gdyby ku radości Vichy, Berlina i Rzymu nasza wspólna akcja w Syrii i Libanie miała pociągnąć za sobą osłabienie pozycji Francji w tych krajach i gdyby Anglia miała tu prowadzić własną politykę i działania, wywarłoby to fatalny wpływ na opinię mego kraju. Muszę dodać, że odbiłoby się to w najwyższym stopniu na moich własnych wysiłkach zmierzających do utrzymania moralnych i materialnych przesłanek francuskiego oporu u boku Anglii w walce przeciwko naszym wrogom.

Nie wątpię, że pan osobiście podziela ten punkt widzenia. Pragnąłbym jednak, aby w tym samym duchu działały również wszystkie miejscowe władze brytyjskie. Pragnąłbym także, aby ich działalność wywiadowcza, informacyjna, gospodarcza itp. nosiła ściśle określony i ograniczony charakter, tak aby nie wywoływała wrażenia, jakoby okupacja Syrii częściowo przez wojska brytyjskie i pod brytyjskim dowództwem pociągała za sobą bądź uszczuplenie władzy Francji, bądź roztoczenie nad tą władzą swego rodzaju kontroli.

W związku z tym jest rzeczą nieodzowną uregulować odpowiednio stosunki między generałem Catroux, sprawującym władzę w imieniu Francji, a władzami angielskimi zainteresowanymi przejściowo sytuacją w Syrii w związku z warunkami wojennymi. Zdaniem moim należałoby połączyć przedstawicieli różnych resortów brytyjskich w jedną jedyną misję z jednym kierownikiem, który utrzymywałby łączność z generałem Catroux i uzgadniał z nim — i tylko z nim — wszelkie sprawy wymagające współpracy francusko-brytyjskiej. Z wyjątkiem spraw czysto wojskowych współpraca ta powinna być z reguły ograniczać się do spraw związanych z organizacją stosunków gospodarczych z Palestyną i Transjordaną, z ustalaniem relacji między kursem funta syryjskiego i funta szterlingów oraz z wymianą informacji. Ze swej strony nie widzę przeszkód, aby kierownik tej misji angielskiej akredytowanej przy Catroux podlegał angielskiemu dowódcy wojskowemu.

Jednocześnie rozumiem, że może zachodzić potrzeba, aby szef tej misji informował bezpośrednio misję Spearsa w Londynie o wszystkich bieżących wydarzeniach.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Kair, 1 lipca 1941 r.

Powolne tempo działań wojennych w Syrii spowodowane jest głównie tym, że Anglicy, jak dotąd, zaangażowali tu stosunkowo nieznaczne i mało przysposobione do tych działań siły. Pobudziło to Vichy do oporu, podyktowanego zwłaszcza zawodową ambicją wojskową. Jednakże osiągnięte rezultaty, w szczególności zajęcie Damaszku, obecnie tak dalece zredukowały siły generała Dentza, że można przewidywać koniec jego oporu. Zdarzają się już wypadki przejścia jego ludzi na naszą stronę: liczba ich niewątpliwie wzrośnie po zakończeniu operacji, jednakże pod warunkiem, że Anglicy nie będą się śpieszyć z repatriacją tych wszystkich, którzy o nią poproszą. Tymczasem miejscowe dowództwo brytyjskie przejawia właśnie skłonności do tego rodzaju postępowania, przede wszystkim dlatego, że jest to droga najłatwiejsza, a być może także z utajonej chęci niedopuszczenia do tego, aby w Syrii powstała silna armia francuska. W sprawie tej zająłem jak najbardziej stanowcze stanowisko, którego potwierdzenie znajdziecie w moich telegramach do Edena; spodziewam się, że zostały wam one zakomunikowane.

Jeżeli chodzi o władzę francuską w Syrii, to moja podróż i uzyskane informacje przekonały mnie, że w sprawowaniu jej nie napotkamy ze strony syryjskiej i libańskiej żadnych trudności politycznych ani gospodarczych. Trudności powoduje raczej strona brytyjska, gdyż w sztabie generalnym, w ambasadzie w Kairze, w otoczeniu wysokiego komisarza w Palestynie itd. istnieje cała grupa ludzi o tendencjach proarabskich, którzy w krajach arabskich zawsze intrygowali przeciw Francji i obecnie skłonni są kontynuować tę politykę. W związku z tym wystosowałem przedwczoraj bardzo stanowczy telegram do premiera brytyjskiego. Poproście, aby wam zakomunikowano treść tej depeszy. W waszych stosunkach z resortami brytyjskimi, a w szczególności z *Foreign Office*, powinniście podkreślać, że jesteśmy bardzo zaniepokojeni tą sprawą.

*Telegram generała de Gaulle'a do generała Catroux w Kairze,
zakomunikowany generałowi Spearsowi, ambasadorowi
brytyjskiemu w Kairze i naczelnemu dowódcy brytyjskiemu*

Brazzaville, 15 lipca 1941 r.

Spodziewam się, że nie był pan zmuszony podpisać układu o zawieszeniu broni, który jest sprzeczny z moimi zamiarami i instrukcjami. Pozostawienie wojsk vichystowskich pod rozkazami ich oficerów oraz przyrzeczenie im szybkiej repatriacji na statkach Vichy uniemożliwia przystąpienie do nas wielu żołnierzy i oficerów. Jest to ta sama metoda, którą Anglicy zastosowali już wobec naszych żołnierzy i marynarzy w Anglii.

Urządza to być może Anglików, którzy wciąż jeszcze nie wyzbyli się swych złudzeń co do Vichy i pragną przede wszystkim pozbyć się Francuzów nie rozumiejąc, ile korzyści ci Francuzi mogliby nam przynieść. Francję jednak to stanowisko Anglików naraża na poważne szkody, ponieważ utrudnia odbudowę armii.

Rezultat będzie taki, że regularne wojska, które naszym kosztem nabyły doświadczenia bojowego i nabrały bojowego ducha, zostaną przerzucone do Francuskiej Afryki Północnej i Zachodniej, gdzie pewnego dnia zwrócą się przeciwko nam na terytorium Czadu lub nawet w Afryce Północnej, skoro tylko Hitler wyda taki rozkaz Darlanowi.

Nie zgadzam się więc na te warunki, co do których zresztą nikt nie zasięgał mojej opinii w toku rokowań, chociaż trwały one trzy dni. W rezultacie natychmiast po otrzymaniu szczegółowego tekstu układu zmuszony będę przedsięwziąć odpowiednie kroki, aby cała odpowiedzialność za układ o zawieszeniu broni spadła wyłącznie na Anglików.

*Nota wręczona przez generała de Gaulle'a O. Lytteltonowi,
ministrowi stanu w rządzie angielskim, w toku rozmowy 21
lipca 1941 roku*

Generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego zaznajomili się z tekstem układu o zawieszeniu broni i protokołu dodatkowego, podpisanych 14 lipca przez dowództwo brytyjskie na Wschodzie i „władze” Vichy w Syrii, działające w porozumieniu z wrogami Francji i pod ich kontrolą.

Generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego stwierdzają, że układ ten i protokół dodatkowy, stanowiące zakończenie kampanii wszczętej w Syrii z inicjatywy Rady Obrony Imperium Francuskiego przez wojska francuskie wspólnie z wojskami brytyjskimi, na skutek warunków w nich zawartych nie dają się pogodzić z interesami wojskowymi i politycznymi Francji i pozostają w sprzeczności z warunkami, co do których generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego zakomunikowali we właściwym czasie rządowi Wielkiej Brytanii i brytyjskiemu dowództwu wojskowemu swe poglądy. Warunki te zostały w szczególności wyłuszczone w telegramie skierowanym 13 czerwca przez generała de Gaulle'a do Winstona Churchilla, w tekście ustalonym wspólnie 19 czerwca przez ambasadora Wielkiej Brytanii w Kairze, brytyjskich naczelnych dowódców na Wschodzie i generała de Gaulle'a, w telegramie skierowanym 28 czerwca przez generała de Gaulle'a do premiera brytyjskiego i w wielu ustnych i pisemnych oświadczeniach złożonych przez generała de Gaulle'a ambasadorowi Wielkiej Brytanii w Kairze, generałowi Spearsowi i brytyjskim naczelnym dowódcom na Wschodzie, przy czym strona angielska nie zgłosiła w stosunku do żadnego z tych dokumentów i oświadczeń żadnych zastrzeżeń.

W związku z powyższym generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego mają zaszczyt zakomunikować Rządowi Jego Królewskiej Mości, co następuje:

Wolna Francja, to znaczy Francja, nie uważa się w żadnej mierze za związaną powyższym układem o zawieszeniu broni oraz powyższym protokołem dodatkowym i zastrzega sobie prawo odpowiedniego postępowania.

Wolna Francja, to znaczy Francja, nie zgadza się na dalsze pozostawienie dowództwu brytyjskiemu prawa sprawowania dowództwa nad wojskami francuskimi na Wschodzie. Z dniem 24 lipca 1941 roku w południe generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego przejmują z powrotem pełną i nieograniczoną swobodę dysponowania wszystkimi siłami zbrojnymi Wolnej Francji w krajach Lewantu.

List generała de Gaulle'a do O. Lytteltona

Kair, 21 lipca 1941 r.

Drogi Kapitanie Lyttelton!

Dziś rano miałem zaszczyt zawiadomić Pana o decyzji, powziętej przeze mnie i przez Radę Obrony Imperium Francuskiego.

W myśl tej decyzji 24 lipca w południe francuskie siły zbrojne w Lewancie przestają podlegać dowództwu brytyjskiemu na Wschodzie.

Decyzja ta, której motywy już Panu wyjaśniłem, oczywiście nie oznacza, że rezygnujemy ze współpracy wojskowej z dowództwem i wojskami brytyjskimi na Wschodzie. Przeciwnie, gotów jestem rozpatrzyć z Panem warunki tej współpracy, którą uważam za niezbędną i która powinna być oparta na zasadach odpowiadających potrzebom naszych dwóch narodów sprzymierzonych w wojnie przeciwko wspólnym wrogom.

Szczerze oddany.

Telegram generała de Gaulle'a do W. Churchilla w Londynie

Kair, 21 lipca 1941 r.

Po przybyciu do Kairu zaznajomiłem się ze szczegółami warunków zawieszenia broni w Syrii, które brytyjskie dowództwo wojskowe zawarło z Vichy. Zmuszony jestem oświadczyć panu, że zarówno ja osobiście, jak i wszyscy Wolni Francuzi uważamy, że układ ten w swej istocie sprzeczny jest z interesami wojskowymi i politycznymi Wolnej Francji, to znaczy Francji, a w swej formie narusza w niezmiernie przykry sposób naszą godność. Zawiadomiłem kapitana Lytteltona o konkretnych środkach, które w związku z powyższym ja i Rada Obrony Imperium Francuskiego uważamy za niezbędne przedsięwziąć tu na miejscu. Pragnąłbym jednak, aby pan osobiście zrozumiał, że tego rodzaju stanowisko Anglii w żywotnej dla nas sprawie poważnie zwiększa napotymane przeze mnie trudności i pociągnie za sobą następstwa, które z punktu widzenia podjętego przeze mnie zadania uważałbym za godne najwyższego ubolewania.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Kair, 21 lipca 1941 r.

Otrzymałem tekst waszego memorandum z 17 lipca (złożonego w angielskim ministerstwie spraw zagranicznych — *przyp. tłum.*) w sprawie anglo-vichystowskiego układu o zawieszeniu broni.

Memorandum to apróbuję. Dziś rano oświadczyłem ustnie i pisemnie Lytteltonowi:

1) że kategorycznie odrzucamy układ o zawieszeniu broni i protokół dodatkowy i zastrzegamy sobie prawo postąpić tak, jak będziemy uważali za stosowne. W szczególności nawiążemy z wojskami Vichy kontakt w każdej potrzebnej nam postaci i sami zorganizujemy na nowo „wojska specjalne Lewantu” (sformowane z Syryjczyków i Libańczyków — *przyp. tłum.*);

2) że 24 lipca w południe wojska Wolnej Francji na Bliskim Wschodzie przestają podlegać dowództwu brytyjskiemu.

Rozmowa trwała dwie godziny. Dosyć spokojna w tonie, była w treści swej bardzo stanowcza. W szczególności powiedziałem Lytteltonowi, że zachowanie się Anglików w tej sprawie godzi w honor i interesy Francji i obraża naszą godność narodową. Dodałem, że liczymy się nawet z możliwością zerwania naszego sojuszu, na co zdecydujemy się wprawdzie z bólem, ale bez wahania, walczymy bowiem za Francję, a nie za Anglię.

Lyttelton zewnętrznie zachowywał spokój, widać jednak było, że przejął się tą sprawą; wydawał się bardzo zakłopotany i zaniepokojony... Przebywam tutaj razem z generałem de Larminat. 25 lipca wyjeżdżamy do Bejrutu, gdzie spotkamy się z generałem Sicé.

Proszę wszystkich członków Rady Obrony Imperium Francuskiego, aby z całą stanowczością poparli mnie w tych decydujących pertraktacjach, które zresztą zdaniem moim zakończą się naszym sukcesem.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Kair, 22 lipca 1941 r.

Wczoraj wieczorem widziałem się z Lytteltonem na jego prośbę. Chociaż ta druga rozmowa przebiegała w mniej napiętym tonie niż pierwsza, powtórzyłem mu, że sytuacja, jeżeli chodzi o nasze stosunki z Anglią, nadal jest bardzo poważna. Przyczyną tego są warunki anglo-vichystowskiego zawieszenia broni oraz sposób, w jaki Anglicy wprowadzają je w życie. Tak np. Anglicy koncentrują armię Vichy, z Dentzem na czele, w rejonie Trypolis, rozmyślnie wywołując wśród wszystkich wojsk vichystowskich wrażenie, że na pewno zostaną one w najbliższym czasie zaokrętowane pod rozkazami własnych dowódców.

Odnoszę wrażenie, że sam Lyttelton i ambasada angielska zaczynają zdawać sobie sprawę zarówno z całej absurdalności układu o zawieszeniu broni, jak i z jego obelżywego charakteru w stosunku do nas oraz z poważnych następstw, jakie może on pociągnąć za sobą dla sojuszu Anglii z Wolną Francją. Być może, że uda im się nakłonić brytyjskie dowództwo wojskowe do wkroczenia na bardziej rozumną drogę przy wprowadzaniu w życie postanowień układu.

W każdym razie całkowicie przerwałem wszystkie formy zależności naszych wojsk od dowództwa brytyjskiego. Wydałem rozkaz, aby niezwłocznie przystąpiono do formowania „wojsk specjalnych Lewantu”; akcję tę rozpoczęto już na szeroką skalę, oczywiście bez jakiegokolwiek ingerencji ze strony Anglików. Polecilem generałowi Catroux, aby zarządził nawiązanie wszelkich potrzebnych kontaktów z wojskami Vichy oraz bezpośrednie przejęcie przez nas materiałów wojennych wszędzie, gdzie je zastaniemy. Uprzedziłem Lytteltona, że odpowiedzialność za wszelkie mogące stąd wyniknąć incydenty między angielskimi i naszymi wojskami spadnie całkowicie na Anglię, która obrała sposób postępowania nie dający się pogodzić z naszą godnością i honorem.

Lyttelton z widocznym zamiarem doprowadzenia do odprężenia oświadczył mi, że rząd brytyjski jest absolutnie zdecydowany nie mieszać się w niczym do spraw administracyjnych i politycznych w Syrii i że on, Lyttelton, wystosuje do mnie oficjalne pismo w tej sprawie. Powiedziałem mu, że zawsze rad będę otrzymać list od niego, ale że sprawa suwerenności politycznej oraz władzy administracyjnej w krajach Lewantu w ogóle nie podlega dyskusji, gdyż jest wyłącznie sprawą Francji, czyli naszą.

Proszę w kontaktach z władzami brytyjskimi wykazywać, że stanowisko Anglików w sprawie zawieszenia broni uważamy za w najwyższym stopniu niedopuszczalne. Starajcie się bez wahania wywoływać wrażenie, że sytuacja jest niezmiernie poważna, i dawać do zrozumienia, że cała Rada Obrony Imperium Francuskiego i wszyscy Wolni Francuzi są jednomyślni w swym postanowieniu, aby nie zważając na żadne następstwa nie dopuścić do wprowadzenia w życie warunków zawieszenia broni.

Wojna zostanie wygrana przez Anglię wspólnie z Francją albo w ogóle nie zostanie wygrana.

W piątek będę w Bejrucie.

List generała de Gaulle'a do O. Lytteltona

Kair, 23 lipca 1941 r.

Drogi Kapitanie Lyttelton!

Z przyjemnością otrzymałem Pański list z 23 lipca, w którym proponuje mi Pan zawarcie układu interpretacyjnego w sprawie układu o zawieszeniu broni między dowództwem brytyjskim a Vichy z tym, że ten układ interpretacyjny będzie natychmiast wprowadzony w życie przez wszystkie zainteresowane władze.

Wyznaczam generała de Larminat i pułkownika Valina jako mych przedstawicieli upoważnionych do przedyskutowania wspólnie z Pańskimi przedstawicielami projektu wspomnianego układu.

*List O. Lytteltona
do generała de Gaulle'a*

Kair, 24 lipca 1941 r.

Drogi Generale de Gaulle!

Przy niniejszym przesyłam Panu tekst układu opracowany wczoraj przez naszych przedstawicieli. Układ ten zawiera interpretację układu o zawieszeniu broni w Syrii, interpretację, którą władze brytyjskie i władze Wolnej Francji winny traktować jako bardziej miarodajną niż przepisy samego układu. Układ ten ma wyłączną moc obowiązującą. Dla władz brytyjskich i dla władz Wolnej Francji zastępuje on wszelką inną interpretację układu o zawieszeniu broni i jest decydujący.

W razie stwierdzenia przez komisję rozbrojeniową istotnego naruszenia przez wojska Vichy układu o zawieszeniu broni, uzgodniono, że tytułem sankcji oświadczymy, iż dowództwo wojsk Wielkiej Brytanii i Wolnej Francji uważa się za uprawnione do powzięcia wszelkich środków, które uzna za konieczne, aby przyłączyć wojska vichystowskie do Wolnej Francji...

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Kair, 24 lipca 1941 r.

Dziś rano po ciężkich perypetiach podpisałem z Lytteltonem układ dotyczący interpretacji układu o zawieszeniu broni. Treść układu zostanie wam zakomunikowana w osobnym telegramie. Mamy więc teraz możliwość skutecznego oddziaływania na wojska Vichy i przejęcia mienia wojskowego. Wyjeżdżam dziś do Bejrutu, aby wprowadzić to w życie i zorganizować naszą władzę polityczną i administracyjną w krajach Lewantu. Lyttelton napisał do mnie list, w których uznaje naszą całkowitą suwerenność nad Syrią i Libanem. Wszystko to daje nam poważne zadośćuczynienie.

Obecnie należy zapobiec repatriacji wojsk Vichy. W sprawie tej telegrafowałem do Winstona Churchilla. Postępowanie Vichy w stosunku do Indochin oraz stanowisko zajmowane obecnie przez Dentza w Syrii w pełni uzasadniają nasze postulaty w tej sprawie. Z drugiej strony, zdaniem moim, sprawa Dżibuti znajdzie w najbliższym czasie rozwiązanie w postaci kapitulacji. Uzyskałem od Anglików zapewnienie, że wysłali swym miejscowym władzom zadowalające dla nas instrukcje. Ogólnie biorąc polityka brytyjska ulega obecnie korzystnej dla nas zmianie. Kryzys był bardzo poważny i jeszcze nie jest w pełni zlikwidowany.

*Telegram Delegacji Wolnej Francji w Londynie do generała de
Gaulle'a w Bejrucie*

Londyn, 25 lipca 1941 r.

1. Zakomunikowaliśmy już panu, a także władzom w Londynie, nasz pogląd na główne postanowienia układu o zawieszeniu broni i na niedopuszczalny sposób, w jaki Anglicy postąpili wobec nas w tej ciężkiej sytuacji. Dlatego też, jeżeli chodzi o istotę sprawy, z całego serca przyłączamy się do pańskiego protestu.

2. Niemniej jednak nie mogło ująć uwagi naszych sojuszników, że swe bezpośrednie decyzje, angażujące oficjalnie odpowiedzialność Rady Obrony Imperium Francuskiego, zakomunikował pan rządowi Jego Królewskiej Mości bez uprzedniego zasięgnięcia opinii lub wysłuchania siedmiu z ogólnej liczby dziewięciu człon-

ków tejże Rady*. Obawiamy się, że może to w oczach rządu Wielkiej Brytanii zmniejszyć wagę użytej przez pana formuły „generał de Gaulle i Rada Obrony Imperium Francuskiego”, a tym samym zmniejszyć także wagę pańskiej deklaracji.

3. Anglia, chociaż ponosi główną odpowiedzialność w tej sprawie, to jednak, z uwagi na obecność generała Catroux, nie ponosi jej wyłącznie. Nie możemy więc całkowicie i jednostronnie zrzucić z siebie odpowiedzialności za wynik, choćby niefortunny, wspólnie przeprowadzonej akcji.

4. Z drugiej strony, przywiązujemy istotną wagę do sojuszu z Wielką Brytanią. W chwili gdy wobec knowań Vichy udzielone panu przez naszych sojuszników zgodnie z układem z 7 sierpnia przyrzeczenie pełnego przywrócenia wielkości i niepodległości Francji nabiera szczególnej wartości i napotyka zarazem szczególne trudności, nie możemy bez narażenia się na nieobliczalne ryzyko z własnej inicjatywy przekreślić układu, który tak co do litery, jak i ducha ma dla nas żywotne znaczenie.

5. Zdaniem naszym powinniśmy właśnie opierając się na duchu naszego sojuszu wykazać, że niektórzy nasi partnerzy odstąpili od niego, inni zaś chętnie afiszują się zgodnością swego stanowiska ze stanowiskiem kół amerykańskich upierających się przy polityce ugłaskiwania Vichy. Łatwiej nam wtedy będzie dopiąć tego, aby polityka angielska ściślej stosowała się do zobowiązań zaciągniętych przez jej odpowiedzialnych kierowników.

6. Gorąco pragnąc sukcesu pańskiej akcji, uważamy, że najlepszym sposobem osiągnięcia tego sukcesu jest zaapelowanie do pomocy władz brytyjskich, które żałując popełnionych błędów gotowe są wprowadzić do układu niezbędne poprawki. Zdaniem naszym intrygi władz Vichy, podżeganych przez Niemców, mogą tylko ułatwić poddanie rewizji tak ważnego problemu, jak sprawa przystąpienia wojsk vichystowskich do Wolnej Francji i sprawa ich repatriacji. Wreszcie jesteśmy przekonani, że w sprawie dowództwa na Bliskim Wschodzie uzyska pan daleko idące zadośćuczynienie.

7. W ostatecznym wyniku pańskie energiczne „nie”, jeżeli nastąpią po nim prowadzone w stanowczym duchu negocjacje, w których ma pan zapewnione poparcie wszystkich członków Rady Obrony Imperium, okaże się wystarczające do przywrócenia pełnej współpracy. Natomiast kroki zmierzające do zerwania mogą wyrządzić szkodę temu, co najważniejsze.

* Pięciu członków Rady Obrony Imperium Francuskiego znajdujących się w Afryce lub na Wschodzie, a mianowicie Catroux, Larminat, Sicé, Éboué i Leclerc, bezpośrednio zakomunikowało mi swe stanowisko.

*List O. Lytteltona,
do generała de Gaulle'a w Bejrucie*

Kair, 25 lipca 1941 r.

Drogi Generale de Gaulle!

Przesyłam Panu przy niniejszym tekst układu oraz układu dodatkowego o współpracy między władzami brytyjskimi i władzami Wolnej Francji na Środkowym Wschodzie, wspólnie uzgodniony przez nas dziś rano.

Pragnę skorzystać z tej sposobności, aby zapewnić Pana, że my, Anglicy, uznajemy historyczne interesy Francji w krajach Lewantu. Wielka Brytania nie ma żadnych interesów w Syrii i Libanie i zmierza tu tylko do jednego celu, tj. do wygrania wojny. Nie mamy żadnego zamiaru naruszania w jakikolwiek sposób pozycji Francji. Zarówno Wolna Francja, jak i Wielka Brytania przyrzekły niepodległość Syrii i Libanowi. Chętnie uznajemy, że po przebyciu tego etapu i ostatecznym jego zamknięciu Francja powinna mieć w Lewancie, wśród innych państw europejskich, dominujące i uprzywilejowane stanowisko. W tym właśnie duchu omawialiśmy powyższe sprawy. Miał Pan sposobność zaznajomić się z niedawnymi zapewnieniami złożonymi przez Premiera w tymże duchu. Rad jestem je dzisiaj Panu potwierdzić.

Byłbym szczęśliwy, gdybym otrzymał od Pana wiadomość, że załączone teksty uzyskały Pańską zgodę i aprobatę.

Szczerze oddany.

*Układ o współpracy władz brytyjskich i władz Wolnej Francji
na Środkowym Wschodzie*

Artykuł pierwszy

Środkowy Wschód stanowi jeden łączny teatr działań wojennych. Działania zaczepne lub obronne sojuszników na tym teatrze wojny winny być przez nich koordynowane.

Z drugiej strony, z uwagi na szczególne zobowiązania Francji w stosunku do terytoriów państw Lewantu, Wolna Francja postanowiła w obecnej sytuacji ogólnej poświęcić swe siły zbrojne na Wschodzie oraz wojska syryjskie i libańskie przede wszystkim obronie tych terytoriów.

Artykuł drugi

Każdy plan działań wojennych przewidujący użycie francuskich sił zbrojnych wspólnie z siłami angielskimi lub odnoszący się bezpośrednio do terytoriów państw Lewantu winien być ustalony wspólnie przez dowództwo brytyjskie i francuskie.

Biorąc pod uwagę, że w chwili obecnej siły brytyjskie na Wschodzie przewyższają siły francuskie opracowanie planów wojennych i określenie zadań francuskich sił zbrojnych we wspólnych operacjach na Wschodzie należy do dowództwa brytyjskiego. Dowództwo brytyjskie wyznacza te zadania wojskom Wolnej Francji z pełnomocnictwa generała de Gaulle'a. Stosuje się to także do dowództwa brytyjskiego każdego szczebla podległego brytyjskiemu naczelnemu dowódcy na Wschodzie w każdym wypadku, gdy ten zleci podległemu mu dowództwu niższego szczebla kierowanie operacjami na terytoriach państw Lewantu lub gdy przewidziany będzie udział sił francuskich. Jednakże w wypadku, gdy dowódca francuski uzna, że ustalony plan lub wyznaczone siłom francuskim zadanie nie dają się pogodzić ze szczególną odpowiedzialnością Francji wobec państw Lewantu, odwoła on się w tej sprawie do generała de Gaulle'a. Sprawa będzie wówczas rozstrzygnięta w drodze porozumienia między rządem Jego Królewskiej Mości w Zjednoczonym Królestwie a generałem de Gaulle'em.

Artykuł trzeci

W zasadzie dowództwo nad angielskimi i francuskimi siłami zbrojnymi operującymi w jednej i tej samej strefie działań wojennych sprawuje oficer angielski lub francuski zależnie od tego, czy w danym rejonie liczniejsze są wojska angielskie, czy też wojska francuskie. W każdym razie zachowana będzie organiczna łączność zarówno dużych, jak i małych oddziałów wojskowych.

Dowództwu sił angielskich, podporządkowanych oficerowi francuskiemu, lub dowództwu sił francuskich, podporządkowanych oficerowi angielskiemu, przyznaje się prawo i efektywną możliwość składania meldunków o swej sytuacji, zadaniach i potrzebach bezpośrednio dowództwu wyższego szczebla własnej armii i utrzymywania z nim bezpośredniej łączności. Może ono nadawać swym meldunkom charakter poufny.

Artykuł czwarty

Jakikolwiek byłby stosunek liczebny oraz zadania angielskich i francuskich sił zbrojnych, administracja terytorialna (kierownictwo lub kontrola wojskowa organów administracji publicznej,

bezpieczeństwo wewnętrzne, żandarmeria, policja, wykorzystywanie miejscowych zasobów itd.) sprawowana jest w Syrii i Libanie przez władze francuskie.

Angielskie siły zbrojne operujące na terytorium Syrii i Libanu i francuskie siły zbrojne operujące na innych terytoriach Środkowego Wschodu mogą same we własnym zakresie zapewniać swe bezpośrednie bezpieczeństwo i wykorzystywać wszystkie potrzebne im zasoby. W miarę możliwości winny to czynić przy współdziałaniu administracji terytorialnej.

Na terytorium nieprzyjacielskim administracja terytorialna zostaje podzielona pomiędzy władze angielskie i francuskie stosownie do stosunku liczebnego między angielskimi i francuskimi siłami zbrojnymi w poszczególnych częściach tegoż terytorium.

Artykuł piąty

W sprawach dyscypliny, organizacji wojsk i służb, przydziałów składu osobowego i sprzętu bojowego, umundurowania, cenzury pocztowej itd. wojska angielskie i francuskie podlegają wyłącznie własnemu, tj. angielskiemu względnie francuskiemu dowództwu.

Układ dodatkowy o współpracy władz brytyjskich i władz Wolnej Francji na Środkowym Wschodzie

Artykuł pierwszy

Generał de Gaulle uznaje prawo dowództwa angielskiego na Bliskim Wschodzie do przedsięwzięcia przeciwko wspólnemu wrogowi wszelkich środków obrony, które ono uzna za stosowne.

Gdyby miało się okazać, że któryś z tych środków jest sprzeczny z interesami Francji na Bliskim Wschodzie, sprawa będzie przedstawiona rządowi angielskiemu i generałowi de Gaulle'owi.

Artykuł drugi

Generał de Gaulle wyraża zasadniczo zgodę na werbowanie w rejonach pustyni wojsk pomocniczych dla potrzeb związanych z działaniami wojennymi.

Nie wyklucza on możliwości przydzielania, jeżeli to okaże się konieczne, poszczególnych angielskich oficerów-specjalistów do jednostek sformowanych w pustyni.

Generał de Gaulle nie zgłasza zastrzeżeń co do tego, aby wojska przeznaczone do działań w pustyni, sformowane przez władze brytyjskie w rejonie Nedż, Transjordanii, Iraku lub na innych terytoriach były użyte w pustyni syryjskiej.

Artykuł trzeci

Do służby bezpieczeństwa państw Bliskiego Wschodu przydzieleni będą pracownicy angielskiej wojskowej służby bezpieczeństwa w celu zapewnienia łączności z dowództwem angielskim i odpowiednimi służbami państw ościennych, jak również w celu uzgadniania ze służbami francuskimi wspólnych środków, które dowództwo angielskie uznałoby za potrzebne.

*Telegram generała Wilsona,
dowódcy wojsk angielskich w Palestynie,
Syrii i Libanie,
do generała de Gaulle'a w Bejrucie*

Jerozolima, 30 lipca 1941 r.

1. Generał Wilson prosi o wstrzymanie ruchów wojsk Wolnej Francji do czasu jego spotkania się z generałem Catroux dla omówienia tej sprawy w świetle art. 8 układu interpretującego warunki zawieszenia broni. Wymieniony artykuł przewiduje, że generał Catroux winien porozumiewać się z naczelnym dowódcą wojsk angielskich w sprawie wszystkich ważniejszych środków dotyczących rejonu Dżebel Druz.

Generał Wilson oświadcza formalnie, że przybycie w obecnych warunkach wojsk Wolnej Francji do rejonu Dżebel Druz może spowodować zaburzenia zagrażające bezpieczeństwu wojskowemu całego kraju. W sprawie tej zgodnie z art. 1 dodatkowego układu o współpracy wojskowej ostateczna decyzja, z wyjątkiem wypadku bezpośredniego zwrócenia się generała de Gaulle'a do rządu angielskiego, należy do generała Wilsona.

2. W danym wypadku generał Wilson, aby dać dowód dobrej woli, zgadza się na to, aby przedstawiciel francuski w Sueidzie objął w posiadanie „Dom Francuski” i by dowódca angielski zakwaterował się w innym wskazanym w liście generała Catroux domu, nad którym podniesiona będzie flaga angielska.

3. Generał Wilson podkreśla z całym naciskiem, że odmowa spełnienia jego prośby może pociągnąć za sobą bardzo poważne kon-

sekwencje i odbić się niepomyślnie na stosunkach z Wolnymi Francuzami.

4. Generał Wilson pragnie jednocześnie podkreślić, że rząd angielski nie ma żadnych ukrytych zamiarów w stosunku do terytoriów Dżebel Druz, o co władze francuskie zdają się go podejrzewać.

*Telegram generała de Gaulle'a
do generała Wilsona w Jerozolimie*

Bejrut, 30 lipca 1941 r.

1. Generał de Gaulle nie zamierzając wnikać w zagadnienie, czy skierowanie jednego batalionu francuskiego z Damaszku do Sueidy podpada czy nie podpada pod kategorię ważnych środków dotyczących utrzymania porządku w rejonie Dżebel Druz, wymagających porozumienia między obydwoma dowództwami, stwierdza, że wojska angielskie znajdują się obecnie w Dżebel Druz bez uprzedniego uzgodnienia tej sprawy między obydwoma dowództwami i mimo że układy o współpracy wojskowej weszły w życie 27 lipca.

2. Generał de Gaulle nie uważa, że art. 1 dodatkowego układu o współpracy wojskowej daje generałowi Wilsonowi prawo podejmowania wszelkich kroków związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa wewnętrznego. Wspomniany artykuł 1 układu odnosi się tylko do środków dotyczących obrony przeciwko wspólnemu wrogowi.

3. Generał de Gaulle z zadowoleniem przyjmuje do wiadomości fakt, że przedstawiciel władzy francuskiej, reprezentujący prawa suwerenne w Syrii, będzie mógł objąć w posiadanie dom przedstawiciela Francji w Sueidzie.

4. Generał de Gaulle zawiadamia generała Wilsona, że marsz batalionu francuskiego na krańce Sueidy był w chwili otrzymania telegramu generała Wilsona zakończony i że wskutek tego nie może uczynić zadość zgłoszonej w tym przedmiocie prośbie generała Wilsona.

5. Jednakże generał de Gaulle, chcąc dać dowód, iż armia francuska pragnie współpracować z armią angielską na terytorium państw Lewantu znajdujących się pod mandatem francuskim, poleca generałowi Catroux nawiązać, skoro to tylko będzie możliwe, kontakt z generałem Wilsonem celem uregulowania z nim całości

sprawy stacjonowania wojsk angielskich i wojsk francuskich w Dżebel Druz.

6. Generał de Gaulle ubolewa, że generał Wilson uważał za stosowne zagrozić mu poważnymi konsekwencjami w stosunkach wojskowych między armią angielską a armią francuską w krajach Lewantu jedynie z powodu marszu jednego batalionu. Mimo to generał de Gaulle ze swej strony jak dotąd, tak i nadal pragnie kontynuować szczerą współpracę wojskową pod warunkiem, że suwerenne prawa Francji w Syrii oraz godność armii francuskiej nie będą w żadnym razie narażone na szwank.

*List O. Lytteltona do generała Catroux zakomunikowany przez
gen. Catroux generałowi de Gaulle'owi jako załącznik do
raportu*

Kair, 30 lipca 1941 r.

Drogi Generale Catroux!

Jak Panu wiadomo, przykładam jak największą wagę do tego, aby naczelny dowódca brytyjski we wszystkim, co dotyczy Syrii, działał ręką w rękę z Panem. Jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że wśród mnóstwa spraw rokowania z rządem syryjskim i libańskim o zawarcie traktatów są sprawą szczególnie ważną. Dlatego też usilnie proszę Pana o wydanie takich dyspozycji, aby generał Spears, szef naszej misji, mógł być obecny na posiedzeniach, na których te traktaty są rozważane.

Na razie nie mogę opuścić Kairu, gdyż przybyłem tutaj niedawno i muszę się zaznajomić z wieloma sprawami. Spodziewam się jednak, że Wkrótce będę mógł swobodniej dysponować swym czasem, a wtedy z prawdziwą przyjemnością odwiedzę Pana i przy tej sposobności zawrę z Nim osobistą znajomość.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Bejrut, 1 sierpnia 1941 r.

Captain Lyttelton dopiero co zwrócił się z listem do generała Catroux prosząc go, jako o rzecz zupełnie naturalną, aby generał Spears był obecny przy pertraktacjach o zawarcie traktatu francusko-syryjskiego i francusko-libańskiego.

Generał Catroux oczywiście odpowiedział na to stanowczą odmową.

Jeżeli ta prośba Lytteltona odpowiada polityce jego rządu, to jasną jest rzeczą, że tego rodzaju polityka nie daje się pogodzić z suwerennymi prawami Francji. Jest również jasne, że nie możemy sami przykładać ręki do jakiegokolwiek naruszenia tych praw.

Jestem przekonany, że mieszanie się Anglii do francuskich spraw politycznych w Syrii i Libanie doprowadzi nas do poważnych komplikacji. Wszyscy znajdujący się tu Wolni Francuzi są jednomyślni w tym punkcie, przy czym rzecz jasna, nie mam na myśli innych Francuzów, których stanowisko wobec Anglii jest dostatecznie znane. Wydaje mi się, że wątpliwe korzyści, które polityka angielska mogłaby wyciągnąć z tego lekceważenia praw Francji, byłyby znikome w porównaniu z ogromnymi szkodami, jakie pociągnąłby za sobą zatarg między Wolną Francją i Anglią.

Poproście o audiencję u Edena i złożcie mu w moim imieniu stanowcze oświadczenie w tej sprawie.

*Telegram generała de Gaulle'a
do Delegacji Wolnej Francji w Londynie*

Bejrut, 6 sierpnia 1941 r.

W Dżibuti, podobnie jak w Syrii, władze Vichy starają się wszelkimi sposobami nie prowadzić pertraktacji bezpośrednio z nami. Wychodzi więc na to, jak gdybyśmy byli pozbawieni wszelkiego znaczenia i jak gdyby można między nami i Anglikami powodować wszelkiego rodzaju tarcia. Daje to wreszcie okazję Vichy, Berlinowi i Rzymowi trąbić potem na wszystkie strony, że jak wszędzie, tak i tutaj pracujemy wyłącznie dla Anglików. Jeżeli chodzi o naszych sojuszników, to podobnie jak w Syrii, tak i w Dżibuti mają oni, przynajmniej w skali lokalnej, ukryte cele i dążą do wszelkiego rodzaju kombinacji umożliwiających im mieszanie się do spraw francuskich. Są oni zatem i zawsze będą skłonni do bezpośredniego porozumienia się z Vichy bez naszego udziału, dopóki w końcu pewnego dnia nie zrozumieją, że ten sposób postępowania prowadzi nas do sporu, a być może nawet do zerwania. Układów Lyttelton — de Gaulle tutaj w ogóle nie zaczęto jeszcze wykonywać; znajdujemy się w pełni poważnego kryzysu.

Telegram Delegacji Wolnej Francji w Londynie do generała de Gaulle'a w Bejrucie

Londyn, 10 sierpnia 1941 r.

Informacje z Vichy otrzymane 8 sierpnia z bardzo wiarygodnego źródła potwierdzają obawy wyrażone przez pana w depeszy z 7 sierpnia do premiera.

Niemcy domagają się dla siebie baz w Afryce Północnej i w Dakarze. Darlan jest gotów ustąpić. Marszałek nie stawia oporu. Protesty Weyganda prawdopodobnie nie odniosą skutku. Sukcesy niemieckie na Ukrainie niewątpliwie posłużą Vichy za pretekst do usprawiedliwienia tego nowego ustępstwa.

Nie możemy zamykać oczu na fakt, że wytworzyło to dla Francji i dla naszego ruchu niezwykle poważną sytuację.

Rozumiemy doskonale i podzielamy uczucia, które wzbudza w panu widok wojsk wysyłanych do Afryki Północnej, by walczyć tam za sprawę Niemców. Ale szczerze mówiąc nie bardzo rozumiemy, jak można mówić o zerwaniu z Wielką Brytanią. Pod względem wojskowym i finansowym nie moglibyśmy istnieć bez pomocy Anglii. Z politycznego punktu widzenia zerwanie między nami a Anglikami wywołałoby konsternację w społeczeństwie francuskim i wniosłoby zamieszanie w nasze szeregi ku wielkiej radości Niemiec i Vichy. Rząd angielski byłby tym samym automatycznie zwolniony ze swych zobowiązań restytucji Francji. Praktycznie biorąc zerwanie oznaczałoby koniec Wolnej Francji, czyli utratę ostatniej nadziei ocalenia naszej nieszczęśliwej ojczyzny.

Myśl, że dla ogromnej większości Francuzów jest pan uosobieniem tej nadziei, powinna chyba skłonić pana do tego, by wznieść się ponad rozczarowania w sprawie syryjskiej, która mimo całego swego znaczenia nie powinna nam przesłaniać faktu, że samo istnienie naszej ojczyzny jest postawione na kartę. Groźby, których nie można spełnić, mogą nas tylko zdyskredytować. Wiemy ponadto, że pochodząc od pana sprawiają one wielkie zmartwienie Churchillowi.

Bardziej niż

ERROR: undefined
OFFENDING COMMAND: F3S6DYFFFFFFF93
STACK: